

# Stąd jestem!

**Książka jest zbiorem prac, które nadesłano  
na Konkurs „Stąd Jestem” zorganizowany  
przez Instytut Staszica**

Warszawa, 2023



Konkurs dofinansowano ze środków Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej  
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego w ramach Funduszu Patriotycznego

## ORGANIZATOR



## PARTNERZY



## Podziękowanie

Dziękuję!

Dlaczego istnieje tylko jedno „dziękuję”? Obok tego wymawianego dziesiątki razy w przestrzeni codzienności, czasem mechanicznie i odruchowo, gdy ktoś przepuści nas w drzwiach, zechce zamienić z nami kilka słów, czy udzielić pozytywnej informacji. Tego naznaczonego obyczajem, zwyczajnością, „osłuchanego” – zawsze miłego, świadczącego o naszej kulturze i wyczuciu sytuacji: odbieranego więc z uśmiechem – a jednak: dzień po dniu, dzień po dniu powtarzanego w nieskończoność, szaroburego i nieco trywialnego. Dlaczego obok niego nie istnieje inne „Dziękuję”? Pojemniejsze, pełniejsze, którego moglibyśmy używać w sytuacjach wyjątkowych, kiedy nasze serce przepełnione jest wdzięcznością trudną do wyrażenia. Osobistą i dogłębną, którą nie podzielimy się z innymi, bo pozostaje nam tylko to „byłe jakie” i wyświechtane „dziękuję”.

Właśnie teraz użyłabym tego nadzwyczajnego „Dziękuję” i wypowiedziałabym je do wszystkich, którzy odpowiadając na zaproszenie Instytutu Staszica, którym kieruję, nadesłali prace na organizowany przez nas Konkurs „Stąd jestem”. Wypowiedziałabym je przede wszystkim dlatego, że czytanie konkursowych opowiadań było dla mnie doświadczeniem głębokim, pięknym, prawdziwie wzruszającym, a nade wszystko chyba – pouczającym! Dlaczego jednakże pouczającym...?

Po pierwsze dlatego, że w przeciągu tych kilku wypełnionych lekturą wieczorów zwyczajnie bardzo dużo się dowiedziałam. Prace, w których zechcieliście podzielić się z nami swoim widzeniem, rozumieniem i osobistym czuciem tego wyjątkowego wyrażenia „Stąd Jestem” w większości niosą bowiem ze sobą ogromny ładunek informacji o historii zarówno w warstwie merytorycznej (daty, miejsca, ważne wydarzenia, osoby tworzące historię poprzez swoją działalność, aktywność społeczną, polityczną itp.), jak i w tej dziwnej metafizycznej przestrzeni, którą można byłoby określić „przefiltrowanym przez osobiste doświadczenia życiowe i wyobraźnię obrazem przeszłości”.

Te opowieści po raz kolejny przypominają oczywistą prawdę, że budulcem „wielkiej historii” opisywanej w podręcznikach były wszakże dziesiątki, setki, czy tysiące ludzi, którzy swoje życie przeżyli „w pełni” – aktywnie, kierując się wartościami wspólnotowymi, działając w różnych organizacjach, podejmując walkę (o różnym charakterze) w imię celów wyższych, dla niezawisłości ojczyzny, wolności współobywateli, czy szeroko rozumianego rozwoju swoich rodzimych wsi, miast, regionów – wreszcie ukochanego kraju. Z drugiej strony przypominają, że budulcem każdej rodziny, jej tożsamości i tego, jak kształtuje swoich obecnych i przyszłych członków są miłość i troska, które w niedawnej przeszłości często przechodziły wręcz niewyobrażalne dla nas próby: opisywane doświadczenia wojny, utraty najbliższych, biedy, niedostatków, osobistych dramatów.

A w tej drugiej przestrzeni? Konkursowe opowiadania tak mocno przywołują magiczny obraz przeszłości – ten który, pochłonięci codziennymi sprawami, widujemy wszak tak rzadko. Widzimy go wtedy, gdy oglądamy film historyczny z doskonałą pełną rekwizytów scenografią, odmalowaną na płótnie scenkę z dawnych czasów – obrazek codzienności, gdy zwiedzamy dawno niezamieszkały dwór, ходzimy po skrzypiącej posadzce pałacu albo... gdy światło padnie na załom starej kamienicy czy na odwieczny sad. Przemawia on do nas ze starego portretu, wizerunku dawnego wnętrza, muzealnych rekwizytów, anachronicznych przedmiotów codziennego użytku, pożółkłej fotografii (nie tylko takiej, na której przechadzają się damy ubrane w długie suknie i kapelusze, panowie w staromodnych melonikach, a ulicami przejeżdżają



konne tramwaje), z dawno nieużywanych słów, starodruków czy staroświeckich obyczajów. Widzimy go też wtedy, gdy dotykamy ręcznie robionej cudnej mereszki czy pachnącego pokostem starego mebla, który nieznane nam dłonie wykonały wszak tak dawno.. Wtedy wszystko staje się jednością, a przeszłość „widzimy” każdą komórką naszego ciała i całą mocą naszej duszy. I tak stało się właśnie wtedy, gdy czytając konkursowe prace widziałam ich bohaterów: tkających swoją codzienność, czujących, działających, wychowujących dzieci, obarczonych wieloma zadaniami, ale też radujących się i kochających – żywych choć w większości już nieżyjących...

Ale czytanie nadesłanych opowieści pouczające było nie tylko dlatego. Dowiedziałam się też bowiem, iż nie do końca trafnie albo zbyt gorzko, krytycznie oceniam dzisiejszą rzeczywistość. Świat, który widziałam jako coraz bardziej staczający się w bylejakość, prowizorkę, „schodzący na psy”, w miślakość, uproszczenia i bezmyślność, a finalnie w pełen frustracji niebyt, kojarzyłam chyba zbyt często z młodymi ludźmi. Z ich materializmem, pogonią za konsumpcją (moda, tipsy i gadzety), zanikiem chęci czytania, a zatem umiejętności językowych, pisania, przelewania na papier myśli i uczuć, a nawet ociążalnością intelektualną (po co wiedza, skoro wszystko można sprawdzić w Google!). Doświadczenie Konkursu, przeczytanie tak wielu ciekawych prac napisanych przez ludzi, z których duża część w XXI wieku dopiero wkracza w dorosłość, zweryfikowało to gorzkie przekonanie. Teraz wiem, że w świecie, gdzie ludzkie myślenie coraz bardziej zaczynają zastępować protezy i wszelkiego rodzaju internetowe „ułatwiacze” są jednostki, które nie tylko przetrwają, ale zwyciężą! W chwili próby trzeba bowiem będzie odwołać się do wiedzy przechowanej we własnej głowie, a sztuczna inteligencja nie wyruguje ostatecznie tych, którzy potrafią czuć i czują. A do tych zaliczam Was, którzy potrafiliście – poprzez piękne słowa, zdania i akapity – przefiltrować przez własną wrażliwość i przenieść w przyszłość pamięć o swoich przodkach, o swojej rodzinie i swoich korzeniach. I właśnie – wzruszyć.

I też między innymi z tego powodu uważam, że absolutnie wszystkie osoby, które wzięły udział w Konkursie są jego zwycięzcami! Zresztą powiedziałam o tym podczas jego uroczystego zakończenia, wyrażając poczucie niedosytu, że tylko kilka prac jury mogło wyróżnić, a przecież tak samo wartościowych jak te nagrodzone była w mojej ocenie cała rzesza innych!

I jeszcze jedno „pouczenie” – dla mnie. A raczej przypomnienie, że to najcenniejsze, co pozostawili po sobie bohaterowie nadesłanych opowieści, to: dobro, miłość, wartości i dobre uczynki przechowane przez bliskich w ich wspomnieniach. I przekazane. Co więc pozostawimy my? Nieprzebrane ilości materialnych rzeczy, których nigdzie przecież ze sobą nie zabierzemy i które finalnie zasilą tony zalegających Planetę odpadów? A może historie takie, jak przedstawione w konkursowych opowieściach?

Pisząc spotykamy się ze swoją duszą. Czytając spotykamy się duszą drugiego człowieka. I to jest kolejny powód mojej wdzięczności: zobaczyłam się z tak wieloma – wspaniałymi, należącymi do tych, którzy byli bohaterami konkursowych opowiadań, ale też właśnie z duszami autorów tych wzruszających prac. I za to moje największe – mimo niedostatecznej pojemności tego słowa – „DZIĘKUJĘ”!

Last but not least, słowa gorących podziękowań należą się osobom, bez których wysiłku, czasu i zaangażowania projekt „Stąd Jestem” nie miałby szans na praktyczną realizację. Przede wszystkim kieruję je do mojego zastępcy Piotra Balcerowskiego oraz do Marcina Rosołowskiego, a także do osób, które były członkami konkursowego Jury. W gronie oceniających nadesłane prace obok Marcina Rosołowskiego znaleźli się Wiktor Świetlik, Piotr Gursztyn oraz Piotr Trabiński – przyjmijcie wyrazy wdzięczności za poświęcone uwagę i czas!

Teraz ta książka, za pomocą której my – Instytut Staszica, pragniemy nie tylko gorąco podziękować za udział w Konkursie, ale też podkreślić że nagroda należy się każdemu z Was z osobna, jest naszym wspólnym dziełem i dorobkiem. Dorobkiem, jaki pozostawiamy tym, którzy przyjdą po nas...

Dr hab. Prof. SGH Agnieszka Domańska, prezes Instytutu Staszica

1.

## III MIEJSCE (Ex aequo)

# Obce dzieci. Zawodowa rodzina zastępcza od środka

Martyna Banaszak

Wielu ludzi, chcąc znaleźć inspirującą postać w swojej rodzinie, zagłębia się w drzewo genealogiczne i poszukuje królów, rycerzy, powstańców czy innych uhonorowanych przodków. Choć nawiązanie kontaktu i poznanie swoich rodzinnych bohaterów jest dla nich niemożliwe ze względu na upływ czasu, ubarwiają ich historie, wykorzystując różnorakie epitety, porównania oraz inne hiperbolizujące zabiegi stylistyczne. Nie znają ich osobiście, więc opowieści o krewnych zawsze są obarczone błędem subiektywizmu. Czytając tego typu historie, nie powinniśmy zatem być zbyt łatwowiernymi.

Moim bohaterem eseju, a raczej bohaterami, będą moi dziadkowie, nie Elżbieta i Wiesław, a po prostu babcia Ela i dziadek Wiesiu. Uważam, że szesnaście lat, w czasie których miałam okazję ich poznawać i wyrobić swoją opinię, jest wystarczającym czasem, aby naświetlić swój punkt widzenia.

Babcia i Dziadek mieli czworo własnych dzieci i dziesiątki wychowanków. Prowadzili zawodową rodzinę zastępczą przez ponad dwadzieścia lat. Nie miałam więc szansy posiadania ich na wyłączność. Dom dziadków zawsze był pełen dzieci, pełen życia. Z moich dziecięcych wspomnień był miejscem, w którym każdy walczył o trochę więcej uwagi dla siebie z ich strony. Ja, moje kuzynostwo i... obce dzieci. Nigdy nie byłam pewna jak nazywać dzieci, które trafiały do domu moich dziadków, którzy często traktowali je jak swoje. W końcu nie były moją rodziną. Przypięłam im jednak łatkę kuzynostwa. Można więc liczyć, że mam ponad stu kuzynów. Każdy z własną historią i problemami. Niektórych znam dość dobrze, innych w ogóle. Może czasem mijam któregoś z nich, kiedy idę ulicą.

Najczęściej wychowankowie nazywali ich ciocią i wujkiem, choć w przypadku młodszych nieraz przez ich usta przeszły słowa "mama" i "tata", w końcu każdy chce mieć rodziców. Babcia i Dziadek nie zakazywali im tak mówić, otaczali ich rodzinną miłością i troską. Byli dla nich rodzicami, których część dzieci często nie miała. Babcia Ela i dziadek Wiesiek byli przede wszystkim kochającym się małżeństwem. Poznali się, gdy mieli 14 i 18 lat i od tego czasu byli nierozłączni aż do śmierci. Chciałabym kiedyś poznać mężczyznę, który patrzyłby na mnie z taką miłością jak dziadek na babcie.

Rodzina zastępcza to praca całodobowa. Wydaje mi się, że w pewnym momencie dla moich dziadków praca ta stała się stylem życia. Nie do końca potrafiłam odnaleźć się w tej rzeczywistości, choć powinna być ona dla mnie normalnością, nie znałam w końcu babci i dziadka, którzy nie byłiby otoczeni gromadką obcych mi genetycznie dzieci.

Jeśli ktoś pomyśli, że robili to dla pieniędzy, osobiście go zbesztam. Prawda jest taka, że na początku ledwo starczało im na podstawowe potrzeby, a im więcej dzieci, tym były one większe. Jedzenie, ubrania, leki... Momentami w domu dziadków mieszkało nawet 15 osób naraz. Zrobienie obiadu czy prania stawało się logistycznym wyzwaniem. Nie wspominając już o porannej kolejce do toalety. Praca ta odbiła się na wszystkich członkach naszej rodziny. Z zewnątrz bowiem wygląda to cudownie. Dawanie rodzinnego ciepła dzieciom, które nie zaznały go w swoich domach. Gdzie jest w tym wszystkim miejsce na własne dzieci i wnuki?

Rodzina zastępcza nie dotyczy wyłącznie osób, które ją prowadzą, dotyczy również wszystkich bliskich. Tak samo jak żołnierz, który idzie na wojnę i oddala się od swoich krewnych, tak samo jak król zajęty swoją pracą nie ma czasu na przyziemne sprawy, tak samo babcia i dziadek, chcąc dać wszystko swoim wychowankom, zaczęli zbliżać się do nich, a oddalać od nas.

Jak już wspomniałam, posiadali czworo własnych dzieci, między dwojgiem starszych, a dwojgiem młodszych, jest aż 20 lat różnicy. Moja ciocia i wujek również nie znają życia bez brzemienia rodziny zastępczej. Dzielili pokoje z wychowankami, walczyli między sobą o słodycze, o uwagę swoich rodziców, o odrobinę spokoju, o oderwanie się od rzeczywistości, która była zupełnie inna niż ich rówieśników. Dziadkowie, zakładając rodzinę zastępczą, dali dziesiątkom dzieci rodzinne ciepło, jednocześnie odbierając standardowe dzieciństwo swoim własnym dzieciom.

Chciałabym, aby ci wszyscy ludzie, którzy mówili mi, że to ogromne szczęście mieć takich dziadków, weszli w moje buty. Często to, co piękne z zewnątrz, gnije od środka. Kochałam i kocham moich dziadków, choć są kwestie, których nigdy nie będę w stanie im wybaczyć.

Dziesięć lat temu wzięli pod swoją opiekę dziewczynkę z zespołem Downa. Wydaje mi się, że ta decyzja najwięcej "namieszala" w naszym życiu. Dziecko wymagało stałej opieki, jednak to, co przerażało mnie najbardziej, to postawa babci wobec dziewczynki.. Zaczęła traktować ją jak własną córkę.

Pandemia była wyjątkowo niebezpieczna dla osób starszych, a tym bardziej osób starszych mieszkających z dziećmi. Wielu ludzi może uważać za nieuchronne to, co się stało. Moi dziadkowie zachorowali i pomimo swojego krytycznego stanu, zostali w domu, zajmując się tym, co dla nich było najważniejsze - dziećmi. Myśleli tylko o nich, gdzie się znajdują, kiedy oni wyładują w szpitalu. Choć mój tata i jego brat, dowiedziawszy się o ich stanie zdrowia, od razu wezwali karetkę, był to ostatni raz, kiedy Babcia i Dziadek widzieli swój dom.

Babcia zmarła dwa tygodnie po trafieniu do szpitala, dziadek leżał prawie trzy miesiące w śpiączce. Miesiąc po przebudzeniu również pożegnał się z nami. To był ciężki czas dla nas wszystkich. Zrozumieliśmy, że już nigdy nie poznamy życia, jakie toczylibyśmy, gdyby dziadkowie zrezygnowali z rodziny zastępczej. Nigdy nie poznam babci i dziadka, których miałabym tylko dla siebie.

Cmentarz był wypełniony po brzegi na obu pogrzebach, kwiaty składali krewni, przyjaciele i osoby, które widziałam po raz pierwszy. Ludzie, których dziadkowie pragnęli odwiedzić, ale nie starczyło im dni.

Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy siedziałam z najbliższymi przy jednym stole po pogrzebie babci. Wtedy wszyscy płakaliśmy, wtedy jeszcze mieliśmy siłę płakać, nawet mój tata nie powstrzymywał łez. Po pogrzebie dziadka już nie płakaliśmy, nie dlatego, że nie otaczał nas smutek. Po trzech miesiącach nadziei i walki, nie mieliśmy już sił płakać, a ja wiedziałam, że kiedy moje oczy się osuszą, to będzie oznaczało, że już koniec, a dla mnie dziadek nadal żył.

Dziadkowie byli i są bohaterami. Bo tacy właśnie są bohaterowie, z zewnątrz ich dokonania są niesamowite, gloryfikujemy ich i ozłacamy, jednak bliscy im ludzie muszą zmierzyć się z ciemną stroną, towarzyszącą tym honorowym odznaczeniom. W mojej pamięci ukształtował się ich wizerunek jako zawsze uśmiechniętych. Bo tacy byli. Choć los rzucał im pod nogi kłody, nie dało im się zetrzeć z twarzy uśmiechów. Nie należę do osób silnie wierzących, ale doskonale pamiętam słowa księdza na pogrzebie. Mówił, że Babcia i Dziadek przyjmowali Boga w każdym dziecku i dzięki temu teraz czeka ich wieczny odpoczynek.

Poświęcili swoje zdrowie, relacje z własną rodziną, swój dom dla obcych dzieci, które traktowali jak swoje. Są bohaterami, o których powinien usłyszeć każdy.

## Jestem z małej drewnianej chatki ...

Justyna Kołacińska

Jestem z małej drewnianej chatki przyklejonej do ogromnego bukowego lasu, z serca Ma-zowsza, z niewielkiej wsi zwanej Dąbrową (bo jakże inaczej można nazwać w Polsce kilka chałup przyklejonych do ściany lasu?) I można by powiedzieć, że to wszystko. Tyle i aż tyle, trzy domy na krzyż, kilkunastu mieszkańców i kilka psów, które, jako że rozpoznawały po krokach wszystkich tubylców, pilnowały całej wsi, żywiły się ze wspólnych misek i w całym swoim psim życiu, nie widziały łańcucha. Nikomu nie przyszło do głowy, by je wiązać, bo gdy obcy pojawiał się w tej głuszy, było to wydarzenie, o którym informowały nawet okoliczne ptaki. Sami mieszkańcy opuszczali swoją Dąbrowę równie rzadko, no chyba, że był piątek. Piątek to co innego, wtedy odbywał się jarmark w odległym o kilka kilometrów miasteczku, a tam każdy szanujący się gospodarz i każda gospodyni być musiała. Stamtąd każdy gospodarzki koń na pamięć znał trasę do własnej stajni i bez zbędnych komend właściciela wracał spokojną, piaszczystą drogą przez las do domu.

Skąd jestem? Jestem z chaty z długą, pomarańczową lepką, która ogrzewała cały rok niewielką kuchnię, na której kości wygrzewali najstarsi członkowie rodu. Z chaty z wysoką, dębową szafą, która kryła niezliczone skarby, z chaty z drewnianym, ciężkim stołem, który mógłby być miejscem radosnych śmiechów i długich rodzinnych rozmów. Mógłby, ale nigdy nie był.

Skąd jestem? Jestem z bladych, niebieskich, smutnych oczu, zbyt przyzwyczajonych do łez, spierzchniętych, smutnych ust, zbyt wiele razy wykrzywionych cierpieniem, obwisłych piersi przykrytych niebieską, poliestrową podomką, z rąk szorstkich od zbyt ciężkiej pracy, pachnących chlebem i miłością, którą mogła dać tylko ona - zwyczajna bohaterka marzeń - BABCIA ANDZIA. Tak naprawdę Anna, ale o tym dowiedziałam się dopiero, gdy byłam nastolatką.

Życie w niewielkiej Dąbrowie mogłoby dla małej Andzi być rajem, mogłoby, ale nie było. A może było, przez pierwsze cztery lata jej życia, ale tego nie udało jej się zapamiętać. Pierwsze, świadome wspomnienie to zimny wiatr, błoto świeżo rozkopanej ziemi i drewniana, skrzynka, w której leżała ukochana mama. Kiedy zamknęli wieko i opuścili ją w głąb czarnego dołu, mała dziewczynka, nie rozumiejąc do końca tego, co działo się wokoło, schyliła się, zapewne żeby zobaczyć, co teraz mama tam robi i poczuła, jak ciepła czapka zsuwa się z głowy. Skwapliwy kościelny chciał nawet po nią wejść, ale sąsiadki zaczęły krzyczeć, żeby zostawić, że Konstancja chciała mieć obok siebie coś, co należało do córki. Trzeba więc było wracać do domu mimo przejmującego zimna bez czapki. Andzia nigdy nie dowiedziała się, czy sąsiadki miały rację, czy po prostu mama pozbawiając ją czapki, chciała szybko przyzwyczaić swoje ukochane dziecko do chłodu, który od tego momentu miał jej towarzyszyć w życiu już zawsze.

Potem ktoś niby próbował ratować sytuację, próbował znaleźć zastępstwo, ale jak można zastąpić matkę maleńkiej, smutnej dziewczynce? Może i można, ale nie tym razem. Potem przyszła wojna i choć wydawało się, że trzy chaty Dąbrowy ochroni duży, bukowy las, okazało



się, że są wydarzenia, przed którymi nie da się uciec. Pewnej nocy, Niemcy zabrali ojca, wujka i wszystkich innych mężczyzn z niewielkiej Dąbrowy. Długo nikt nie wiedział, co z nimi, a już na pewno nie mała Andzia, która nigdy w życiu nie słyszała ani o Warszawie, do której ich wywieźli, ani tym bardziej o Oświęcimiu, w którym ostatecznie się znaleźli. Mała Andzia wiedziała tylko jedno, ktoś musiał zająć się gospodarstwem, zwierzętami. Trzeba było wykarmić dwie młodsze siostry. Mimo, że Andzia nie miała pojęcia, co to Oświęcim, znowu czuła tamten strach i wiatr, który smagał włosy, gdy straciła czapkę. Pamiętała, jak bardzo się modliła, żeby tata Franuś już był. I wreszcie nadszedł taki dzień.

Gdy wracał po wyzwoleniu, Andzia była na podwórku. Sąsiadka krzyknęła, że wracają chłopcy z Oświęcimia. Mała dziewczynka wybiegła mu na przeciw. Opowiadała, że biegła długą, piaszczystą, wiejską drogą wzdłuż lasu. Biegła tak szybko, że pogubiła buty, biegła, bo gnała ją miłość, smutek, ból i ogromna tęsknota, biegła i..... minęła własnego ojca. Nie poznała go. Ten blisko dwumetrowy, postawny wcześniej mężczyzna ważył czterdzieści kilka kilo. Wyglądał tak, że nie poznała go własna córka.

Potem bywało różnie. Niby wszystko wracało do normy, a o wojnie przypominało tylko to, że Ojciec wyrwany ze snu o północy recytował swój obozowy numer i doświadczony głodem, nigdy nie pozwolił, by zmarnował się w domu choćby okruch chleba. Nigdy też nie było łatwo, ale Andzia zawsze wiedziała, że nikomu nie jest łatwo, bo życie po prostu nie jest łatwe, bo czasy są trudne. I tylko czasami nadal tęskniła do tego dziwnego uczucia ciepła i spokoju, który jak przez mgłę kojarzyła z czasów przed zgubieniem czapki.

I nie wiadomo, bo nikt nigdy nie miał odwagi, by o to zapytać, czy tak szybko uciekła z tego domu, bo szukała tamtego ciepła, czy chciała zdjąć z nich swój ciężar, czy może pokochała tego chłopaka, który w wieku 14 lat musiał stać się dorosły, bo Niemcy zabili mu ojca.

Mogłoby się wydawać, że wspólne, bolesne doświadczenia sprawią, że będzie łatwiej, mogłoby, ale znowu nie było. Bo czasy ciężkie, bo bieda ogromna, bo matka męża nie umiała, a może nie chciała stać się matką dla Andzi. I tak ręce marszczyły się od zbyt ciężkiej pracy, błękitne oczy bladły od łez, a serce powolutku kruszyło się od cierpienia, którym można by obdzielić całą wieś.

Były też momenty radości. Po kolei rodziły się córki, cztery dziewczynki, które dla Andzi były całym światem. Zapewne gdyby mogła, dałaby im cały świat, ale jak to zrobić, kiedy mieszka się w jednej izbie, kiedy trzeba zająć się obrządkiem, polem, odrobić u sąsiada dniówki za pożyczonego konia? Jak dać im świat, kiedy nawet butów nie można.

I może szorstka była to miłość, ale miłość ogromna, bo Andzia kochała i chroniła ten swój mały świat tak, jak umiała. I mimo że nie raz trzeba było ugiać kark i nadstawić głowę, przyjmowała te razy od życia z pokorą, kierowana matczyną miłością, której nigdy nie zaznała, za którą zawsze tęskniła. Nauczyła te swoje dziewczyny ciężkiej pracy, nauczyła, że mają za sobą stać murem. A one musiały czuć tę jej miłość, bo kochały ją tak, jakby chciały jej wynagrodzić cały ból tego świata.

Potem już mogłoby być lepiej, mogłoby, ale nie było. Śmierć, nieszczęścia, choroby niechętnie odpuszczały dom, w którym się rozgościli. I tak w okolicach 60 roku życia pojawiła się przyjaciółka, której Andzia starszuka nie znała i na pewno się nie spodziewała. Koleżanka depresja wykorzystała okazję, stare, pokruszone serce, poszarpane nerwy okazały się być dla niej świetnym miejscem. Rozgościła się i została już na stałe. Sprawiała, że ciężko było wstać z łóżka, jeść, żyć, oddychać. I chociaż nowoczesna medycyna naprawiła, co mogła, ruszyła biologię organizmu, to uśmiechu nie dała rady przywrócić. Lęk gromadzony przez całe życie

i spychany głęboko w podświadomość, wylazł na wierzch i wypełnił wszystkie komórki ciała. Tak naprawdę Andzia powoli żegnała się z tymi, których kochała, zapominała, myliła imiona, zapadała się w sobie. Spędzała całe dnie w swojej niebieskiej podomce na krześle przy kuchni i rozmyślała. Być może analizowała swoje niełatwe życie, być może marzyła o lepszym? Na pewno czekała, ciągle czekała na swoje cztery dziewczynki, na wnuki, prawnuki, a oni wracali, wracali do niej, bo jak nie wracać do korzeni.

Odprowadzała na cmentarze członków rodzin, sąsiadów, znajomych i przygotowywała się do własnej podróży. Ciągle powtarzała, że lepiej to już będzie dopiero na wiejskim cmentarzu “pod bartosem”. Ale nawet takiego pożegnania poskąpił jej los. Przyszła pandemia i jakiś, niezrozumiały dla Andzi Covid, dotarł do jej małej wsi i zabrał ją na spotkanie z jej ukochaną mamą, do której tęskniła całe życie. Nie pozwolił jej pożegnać, tak jakby chcieli bliscy, nie dał szansy potrzymać za rękę, pocałować po raz ostatni w poorane zmarszczkami czoło. Zostawił ogromny ból i tęsknotę, której wcale nie leczy czas.

Skąd jestem? Jestem z Niej, z bohaterki Andzi, bo to prawdziwe, codzienne bohaterstwo żyć tak, by mimo cierpienia, lęku, choroby, zostawić po sobie taką lekcję miłości i taką tęsknotę. Bo ja ciągle tęsknię. Tęsknię do jej zapachu, do jej pomarszczonej, zamyślonej twarzy i do jej szorstkich, spracowanych dłoni. Tylko one potrafiły dać tyle ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Od trzech lat nikt już nie mówi na mnie Justysia, nikt tak nie czeka na mnie jak Ona. To w Jej oczach zawsze widziałam bezwarunkową akceptację, to Jej niebieska, poli-estrowa podomka już zawsze będzie mi się kojarzyła z miłością, tak wielką, że aż dającą się odczuć fizycznie.

To Ona uczyła, nie słowami a życiem, że zawsze trzeba podjąć trud, że nawet wtedy, gdy nie jest łatwo, warto walczyć o swój świat, że człowiek jest najważniejszy i że, jakkolwiek górnolotnie by to nie zabrzmiało, miłość przynosi ocalenie. Bo dzisiaj, gdy o niej myślę, wracają do mnie właśnie te trzy słowa: siła, walka i miłość.

I być może nie jest to bohaterstwo w skali kraju, czy świata i nie będą o Niej pisać w podręcznikach do historii, ale dla mnie, dla nas, dla mojej rodziny to bohaterstwo najważniejsze, bo takie, które daje życie, buduje świat. I choć pewnie takich bohaterów i bohaterek są tysiące, to właśnie o nich powinniśmy mówić i o nich pamiętać. Bez tego codziennego bohaterstwa wczoraj i dziś nie będzie przecież jutra, tak jak bez Andzi i Jej codziennej walki nie byłoby mojej mamy Ewy, nie byłoby mnie, nie byłoby mojego syna Jakuba i jego brata Bartosza...

## Od rozbioru, aż do dziś

**Kamila Bartos**

Początek mojego drzewa genealogicznego zaczyna się w 3 Rozbiór Polski. Jest to 1795 rok. Wtedy pojawia się pierwsza informacja o moim przodku. Jest to mężczyzna, najprawdopodobniej o imieniu Piotr. Jego zstępnym zostaje syn, który będzie nosić imię- Piotr. Piotr Jastrząb, syn pierwszej znanej nam postaci rodu, daje życie mojemu prapradziadkowi Wawrzyńcowi. On zaś bierze ślub z Katarzyną, która przyjmując nazwisko Jastrząb- po mężu. Wspólnie mieli dziewięcioro dzieci, w tym jedno umiera w wieku 12 lat. Mała Leokadia traci życie przez Hiszpankę (Grypa hiszpanka dawała objawy podobne do tych, które kojarzone są z sezonowym wirusem grypy. Jednak charakteryzowała się ogromną śmiertelnością, szczególnie na podłożu krwotocznego zapalenia płuc.) Pozostała dwójka maluchów umiera na zapalenie płuc. Najdłużej z całego rodzeństwa, żyła Leokadia (po mężu Prokop) 1926-2014 r. Natalia (po mężu Grela) zmarła w wieku 89 lat, 1923-2012.

Prapradziadek miał gołębie serce. Nikomu nie odmawiał pomocy. Był prostym rolnikiem. Całe swoje życie przeżył pracując własnymi dłońmi na roli.

A osoba, na której chciałabym się teraz skupić to mój pradziadek Aleksy. Wziął on ślub ze Scholastyką Nowak, na którą każdy mówił Fredzia (z drugiego imienia). Na świat przyszła dwójka ich dzieci. Moja babcia Teresa 1956 - 2020 oraz wujek Jerzy 1951-2009. To właśnie od babci Teresy dowiedziałam się o tajemniczej działalności mojego pradziadka podczas wojny. Jak i jego ojciec Wawrzyńiec, tak i on pomagał partyzantom. Mieszkali w jednej z wsi w Gminie Żarnowiec. Zmęczeni ciągłymi walkami, żołnierze jak i cywile chcieli uciec z granic Żarnowca. Ich jedynym ratunkiem było przekroczenie Stotnicy – niewielkiej rzeki, która przepływa między Żarnowcem a Łanami Małymi. Była to granica ich autonomii. Ci, którym się udało i nie zostali rozstrzelani przez niemieckich okupantów, mogli liczyć na pomoc mieszkańców niewielkiej, pobliskiej wsi Łany Małe. W niewielkiej ceglanej chacie mogli odetchnąć z ulgą, zjeść i nawodnić organizm. Czasem udało się im i przenocować nad oborą, w sianie. Babcia wspominała, że w piwnicy domu jak i na starej kuchni, dziadek wraz z innymi mężczyznami byli propagatorami ulotek/gazet, nawołujących do walki narodowowyzwoleńczej.

Gdy skończyła się wojna a dzieci dorosły, każde obrało swoją ścieżkę. Babcia Teresa wyszła za męża, zmieniła nazwisko i zajęła się czwórką swoich dzieci, i gospodarstwem. Wujek Jerzy wyprowadził się do Bytomia i zaczął pracę. Za nim jednak to zrobił wraz ze swym ojcem (Aleksym), przyczynili się do budowy Remizy we wsi. Nie pamiętam niestety roku budowy, ale ich dokonania zostały upamiętnione na tablicy. W 2002 roku

Wujek Jerzy pracował w Kopalni Węgla Kamiennego Rozbark. Pracował tam do 1987/8. Wykonywał zawód elektryka. Brał udział również w strajkach robotniczych, co prawdopodobnie przyczyniło się do zwolnienia go z posady w kopalni. Wujek nigdy jednak się do tego nie przyznał, co było prawdziwą przyczyną wydalenia go. Był honorowym dawcą krwi ,aż

do całkowitej utraty zdrowia. Pracował później w szpitalu, jako właśnie wspomniany wyżej elektryk. Zrezygnował z pracy przez chorobę, rak kości z przerzutami. Przyznał się, gdy było za późno, nie chciał z nim walczyć.

Chodź historia mojej rodziny nie jest tak bogata i fascynująca jak pozostałe, to dla mnie jest bardzo wyjątkowa, bo moja. Dzięki tej pracy znów ożyła. Cieszę się, że mogłam przedstawić ją innym.

4.

## Pozakonkursowe wyróżnienie Prezes Instytutu Staszica

# Wspomnienie o Eugeniuszu Wróblu

Maria Wilgus

Mój Tata mimo rozlicznych obowiązków zawsze znalazł czas na to, aby porozmawiać z nami, swoimi dziećmi. Miał przy tym ogromną cierpliwość, nie unosił się emocjami, ale w prosty i logiczny sposób wykladał swoje racje. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o roli korzeni w życiu człowieka. Jako młoda dziewczyna dowodziłam, że w dzisiejszych czasach nie ma znaczenia, skąd dany człowiek pochodzi i gdzie się wychowywał. Miał przeciwne zdanie. Widać było, że temat jest dla Niego bardzo ważny i osobisty. Dziś nie pamiętam słów, jakich użył, żeby mnie przekonać, ale wystarczy spojrzeć na całe jego życie i działalność publiczną, aby zrozumieć czym dla Niego były korzenie i związana z nimi tożsamość.

Po upadku komunizmu w Polsce, w latach 1990-1995, był wicewojewodą katowickim, a w latach 2005-2007 – wiceministrem infrastruktury. Z jego inicjatywy i pod jego kierunkiem powstało oraz rozwinęło się Górnośląskie Towarzystwo Lotnicze S.A. w Katowicach, które w 1994 roku objęło zarząd nad Międzynarodowym Portem Lotniczym „Katowice” w Pyrzowicach. To śląskie lotnisko było mu szczególnie drogie i przez całe życie walczył o kluczowe sprawy z nim związane. Jest ono pewnym symbolem obrazującym sposób jego myślenia – chciał otwierać nasz region na świat, stymulować jego rozwój, zapewniać dostęp do nowoczesnej myśli i technologii.

Był twórcą i inicjatorem powstania w 2007 roku dokumentu „Program rozwoju sieci lotnisk i lotniczych urządzeń naziemnych”, który stał się m.in. podstawą do aplikacji o środku unijne a także dokumentem porządkującym pojęcia związane z systemowym podejściem do infrastruktury lotniskowej i nawigacyjnej w kraju. Jeździł po całym kraju ucząc lokalne władze jak zarządzać lotniskami regionalnymi. Przygotował autorski projekt ustawy pozwalającej zagospodarować na cele lotnictwa cywilnego przez samorządy lokalne tereny po byłych lotniskach wojskowych – dotyczyło to przede wszystkim opuszczonych i marniejących lotnisk opuszczonych przez żołnierzy radzieckich.

Walczył z pozostałościami po systemie komunistycznym w różnych dziedzinach życia. Znany był ze swojej krystalicznej uczciwości. Z biznesmenami i politykami nie umawiał się w restauracjach, a na spotkania służbowe zabierał podległych mu urzędników, aby rozmowy były jawne i aby wykluczyć próby korupcji lub innych nacisków. Nie zabiegał o dobry samochód służbowy i inne apanaże.

Pewnego dnia w Niemczech usłyszał, że samolot do Polski nie może planowo odlecieć, gdyż „polska przestrzeń powietrzna nie jest w stanie go przyjąć”. Problem ten wynikał z małej ilości i przepustowości polskich korytarzy powietrznych. Zawsze podkreślał, że „niebo nad Polską jest dobrem wspólnym” sprzeciwiając się faktowi, że do 2006 roku wszystkie przychody z korzystania z naszego nieba – przychody, które choć w części powinny finansować jego rozwój - otrzymywało lotnisko „Okęcie”. W 2006 roku był twórcą ustawy o Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej – nie tylko stworzył ją na papierze, ale również powołał ją do życia bu-

dując jej skład kadrowy i majątek – tym samym, jak mówiono, „otworzył niebo nad Polską”, gdyż ustawa ta umożliwiła finansowanie budowy i rozwoju korytarzy powietrznych dla samolotów latających nad Polską.

Przez całe życie pracował jako naukowiec – zajmował się językami assemblerowymi oraz przemysłowymi systemami czasu rzeczywistego. Zainicjował powstanie Centrum Kształcenia Kadr Lotnictwa Cywilnego Europy Środkowo-Wschodniej na Politechnice Śląskiej w Gliwicach i pełnił funkcję Przewodniczącego jego Rady Naukowo-Programowej. Spodziewał się, że rozwijające się lotnictwo cywilne będzie potrzebowało kadr. Przewidywał powstanie Centralnego Portu Komunikacyjnego, choć walczył o to, aby zbudować je w oparciu o lotnisko w Pyrzowicach, obecnie MPL „Katowice”. Miał na to rozwiązanie wiele merytorycznych argumentów. W 2010 roku, jako specjalista do spraw lotniczych, mając w tym środowisku wielu przyjaciół, z którymi się konsultował, był przekonany, że „katastrofa smoleńska” była udanym zamachem Federacji Rosyjskiej na Prezydenta RP a tym samym na Państwo Polskie. Niewielu ludzi mu wierzyło.

Kilka miesięcy później zginął nagle, z ręki chorego na schizofrenię syna, która to choroba objawiła się nagle i niespodziewanie w tak tragiczny sposób. Jestem jednak przekonana, że gdyby dano mu wybór, dobrowolnie przyjąłby na siebie ten cios, aby chronić innych. Orzeczone całkowitą i niezawinioną niepoczytalność mojego brata w tamtym momencie.

W pamięci mieszkańców rodzinnego miasta – Rybnika – zapisał się szczególnie jako harcmistrz, wychowawca młodzieży, jachtowy kapitan żeglugi wielkiej, człowiek o wielkiej sile wyobraźni i szerokich horyzontach. Działania, które inicjował rozwijają się do dziś i służą dobru lokalnej społeczności. W 1969 roku reaktywował 6 Harcerską Drużynę Żeglarską im. kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego i prowadził ją jako drużynowy przez osiem kolejnych lat – drużyna do dziś odnosi wiele sukcesów i wychowuje kolejne pokolenia młodych ludzi. W 1971 roku „szóstka” dokonała pierwszego spłynięcia rzeki Rudy od Rybnika do jej ujścia – rzeki Odry. Szlak ten na stałe wpisał się w Chorągwaną imprezę ZHP - Odrzańskie Spływy Wiosenne i otrzymał nazwę zasłużonego Rybniczana – płm Stanisława Wolnego “Baranka”. Dziś kajakowe spływy Rudą są znaną atrakcją turystyczną miasta. W 1972 roku rozpoczął zakończoną sukcesem walkę o zorganizowanie Harcerskiej Stacji Wodnej nad nowo powstałym zalewem Elektrowni Rybnik. Stacja ta do dziś służy młodzieży. Jako kapitan poprowadził wiele szkoleniowych żeglarskich rejsów morskich dla harcerskiej młodzieży.

Przez całe życie mieszkał w Rybniku, w swoim domu rodzinnym na ulicy ks. Henryka Joński. Czasem wyjeżdżał na krócej lub dłużej – zawodowo najczęściej do Gliwic, Pyrzowic, Katowic i Warszawy, z harcerzami żeglował po morzach - Bałtyckim i Północnym, a w czasie wolnym podróżował do Kenii, Chin, Afryki Południowej, Peru, Boliwii, Meksyku, Maroka, USA, Indii, Nepalu, Jordanii, Tajlandii, Malezji, Singapuru, Indonezji czy Etiopii.

Pełniąc funkcję wiceministra cieszył się, że nie należy do żadnej partii i nie musi jak jego koledzy brać udziału w wielogodzinnych naradach sobotnio-niedzielnich. Od poniedziałku do piątku pracował po 12 godzin dziennie, a czasem i dłużej, mieszkając w Warszawie. Na weekendy wracał do domu, do Rybnika. Dużą była w tym zasługa mojej Mamy, Lidii, która potrafiła w domu stworzyć atmosferę pełną wzajemnego szacunku i zrozumienia. Mieszkańcy dzielnicy Nowiny-Maroko mogli prawie zawsze spotkać Go w niedzielę na Mszy Świętej o godzinie 9:30 w kościele pod wezwaniem św. Jadwigi.

Porządkował i digitalizował zdjęcia rodzinne, chętnie słuchał opowieści o przodkach, dbał o relacje z rodziną bliższą i dalszą. Niedługo przed śmiercią zorganizował spotkanie swojej klasy licealnej. Miał wielu bliskich przyjaciół i cieszył się na spotkania z nimi. Chciał, abym zrozumiała, czym dla człowieka są jego korzenie. Nasz dialog wciąż trwa.

# Aleksander Wiktor Bohatkiewicz

## – człowiek umysłu

### Aleksander Romuald Bohatkiewicz

Historia – gdy myślę o tej dziedzinie nauki, w głowie automatycznie pojawiają się liczne, lecz jednak zbyt chyba oczywiste skojarzenia. Dzieje państwa, narodu, społeczeństwa, proces rozwoju, czy dokumentacja przebiegu tak licznych również w dzisiejszym świecie – niestety – wojen. Gdy jednak myślę o tym głębiej, pojawia się we mnie szczerza niezgoda i przekonanie, że coś w tym pojęciu historii jako samodzielna jednostka często... tracimy. Oczywiście, niezaprzeczalna jest wielkość wydarzeń historycznych, o których czytamy na kartach podręczników. Ale z perspektywy młodego, osiemnastoletniego człowieka takiego jak ja, w głowie rodzi się pytanie o pojedyncze życia – ktoś do tego doprowadził. Ktoś, poruszający się przecież w ówczesnym czasie i przestrzeni tak samo, jak my dzisiaj. A ja – człowiek – w całym swoim jestestwie, nie wziąłem się naturalnie znikąd. Magiczna ręka boska, nie wrzuciła mnie przecież w sam środek zdarzeń, tych dziejących się w trudnym do pojęcia teraz. Rodzi się więc pytanie – skąd się wziąłem?

Właśnie w tym miejscu, na myśl człowiekowi przychodzi ta jedna, cudowna dziedzina – genealogia. Bo gdy myślę o historii, to w pierwszej kolejności, w głowie rozbłyskują mi właśnie losy moich przodków – tak samo tych, których dane było mi poznać, jak i tych, o których wiedzę pogłębiać mogę jedynie z opowieści, lub – co jeszcze bardziej fascynujące – źródeł, takich jak zachowana kronika rodzinna. Bo to właśnie buduje najbardziej – świadomość tego, że skoro moi przodkowie mogli być kimś, to dlaczego nie mogę być kimś ja? Myślę, że oddaje to dobrze szczególną wartość zagadnienia.

Chciałbym w poniższym eseju, opowiedzieć o przodku, który zajął szczególne miejsce w moim wnętrzu, tożsamości oraz budowaniu świadomości. Aby było zabawniej, postać ta, to mój imiennik. Aleksander Wiktor Bohatkiewicz, pracownik uniwersytetu wileńskiego, bibliograf, wykładowca, a mówiąc najprościej – intelektualny patriota. To postać wyjątkowa, o której pogłębianie wiedzy zapewniło mi nie mało dreszczy, ale co chyba najważniejsze – dało mi wiarę. Najgłębszą wiarę w to, że można.

Ale o tym zaraz. Puentując ten paragraf eseju, myślę, że można łatwo odpowiedzieć na to jakże istotne pytanie, zadane przeze mnie wyżej. Gdy patrzę oczami historii na losy moich przodków, z dumą myślę... Tak – stąd jestem.

### Z POKOLENIA NA POKOLENIE

Aby znaleźć się w rzeczywistości Aleksandra, cofnąć należy się aż o... pięć pokoleń. Wydaje się to istotny dystans, ale fakt ciągłej pamięci o nim, chyba najlepiej świadczy o tym, z jaką dumą wiedza o nim przekazywana była w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. A w tym szczególną rolę odegrała najważniejsza postać mojego życia – śp. prababcia Urszula.

Jak dowiedziałem się z jej przekazu – z uwagi na to, że nie było mi niestety dane poznać mojego pradziadka Romualda – oraz co później zweryfikowałem w rodzinnej kronice, Aleksander Wiktor Bohatkiewicz wywodził się z tej samej linii rodu, co ja. Mój pradziadek Romuald, urodził się jeszcze przed wojną, w roku 1939 na Wileńszczyźnie. Jego ojciec Józef, do roku 1938 prowadził zakład szewski w stolicy regionu – Wilnie. Bowiem to właśnie są tereny, z których rodzina Bohatkiewiczów się wywodzi. Dokumentacja naszego rodu i jego pierwsze korzenie, sięgają już XIV wieku. W czasach przed zaborami Rzeczypospolitej, jak i w XIX wieku, reprezentował on ród szlachecki, co jednakże nie odgrywało już później takiego znaczenia w historii rodziny. Po II wojnie światowej, absolutna większość z nas musiała przenieść się na ziemię odzyskane.

Wracając – ojciec Józefa, był już natomiast kuzynem Aleksandra – ich ojcowie byli po prostu braćmi. Zachowanie wszystkich imion, dat i powiązań, cieszy tym bardziej, że mam z czego być po prostu dumnym. I tutaj zaczyna się opowieść o Aleksandrze...

### **CZŁOWIEK UMYSŁU I NAUKI**

Syn Michała i Marianny z Rudzińskich – Aleksander Wiktor Bohatkiewicz – urodził się 20 sierpnia 1795 roku w Piotrowszczyźnie. Pierwszym etapem jego bogatej kariery edukacyjnej, było rozpoczęcie w 1807 roku nauki w szkole powiatowej w Postawach. Ukończył ją on w roku 1813. Na tym jednakże naturalnie nie zaprzestał, a kierując się na studia przyjęty został na Wydział Nauk Fizycznych i Matematycznych. Serce Aleksandra natomiast kierowało go najwidoczniej gdzie indziej – po roku studiów, wstąpił na Wydział Literatury i Sztuk Wyzwolonych Uniwersytetu Wileńskiego. W tym miejscu, zaczyna się najważniejszy i najbardziej wpływowy okres życia mojego przodka.

W 1816 roku, po udanym egzaminie z łaciny, przeniósł się do Seminarium dla kandydatów do stanu nauczycielskiego. Tam spotkał się z kolejną niezwykłą w historii postacią – wybitnym filologiem, krytykiem literackim i numizmatykiem – Gotfrydem Ernestem Grodeckim. Aleksander został pomocnikiem profesora na Uniwersytecie. 10 października 1821 roku, uzyskał tytuł magistra filozofii.

Co chyba najbardziej ujmuje w tej niespokojnej, poszukującej ciągle postaci, to właśnie chęć poznania i sięgnięcia głębiej. W rzeczywistości zaboru rosyjskiego na ziemiach zabranych, ognistym umysłem pozostawały jeszcze... tajne stowarzyszenia. Właśnie na Uniwersytecie Wileńskim, Bohatkiewicz wstąpił do towarzystwa filomatów, będąc od tej pory jednym z jego 21 członków. Na tym etapie życiorysu Aleksandra pojawia się chyba największa persona, z jaką się zetknął, czyli młody wtedy jeszcze poeta – Adam Mickiewicz. Jaką rolę odegrało w historii to środowisko? Filomaci byli reprezentantami najważniejszej grupy pokolenia – ludzi, którzy dokonali w Polsce przemiany oświeceniowo-romantycznej. Jednocześnie, w tych właśnie latach, stałą korespondencję Aleksander utrzymywał również z wybitnym polskim historykiem znajdującym się później na emigracji. Tak, z Joachimem Lelewelem. Kopie korespondencji tych wybitnych umysłów na temat historii, sztuki działalności akademickiej czy literatury, zachowały się do dziś.

Umiłowanie nauki, dążenie do niesienia myśli oświeceniowej i praca na rzecz siebie, to główne hasła tej niezwykłej grupy ludzi, wśród których znalazły się również osoby takie jak Jan Czeczot, Franciszek Malewski, czy Jan Sobolewski, dla których dedykacja znalazła się nawet w III części Mickiewiczowskich “Dziadów”.

Kres istnieniu Towarzystwa Filomatycznego położył kurator wileńskiego okręgu szkolnego – niesławny Nikołaj Nowosilcow, który doprowadził do jego odkrycia na skutek dekonspiru-



jącego śledztwa. Aleksander bardzo przeżył proces swoich przyjaciół, w tym zsyłkę przywódcy filomatów – między innymi właśnie Adama Mickiewicza.

Mój przodek kontynuował jednakże wytrwale swoją karierę – został mianowany adiunktem, a w 1828 roku powierzono mu prowadzenie wykładów z bibliografii. Jeden z nich, zatytułowany „Rzecz o bibliografii powszechnej” został nawet wydrukowany, a teraz znajduje się prawdopodobnie gdzieś w odmetach biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego...

Co pochłonęło mnie w postaci jeszcze bardziej, to fakt, że w zasadzie robił dla rodziny to, co ja próbuję uzyskać w tym esej – dbał o zachowanie uznania i pamięci. W lutym 1833 roku, Aleksander wystąpił z prośbą do Deputacji Wywodowej Szlacheckiej Guberni Mińskiej, o dołączenie jego młodszego brata Hilarego do Księgi Genealogicznej i uznanie za szlachcica. Prośba opłaćła się, ponieważ dekret z kancelarii Szlacheckiej wydano.

Niestety, najbardziej problematycznym procesem okazuje się usystematyzowanie wiedzy o końcu życia Aleksandra. Około roku 1833 zaczął on mocno chorować, a na ten czas datuje się również jego ostatnie zapiski i listy. Mimo że nie znamy jego dokładnej daty i przyczyny śmierci, mówi się, że odszedł niestety osamotniony, zdradzając objawy komplikacji w zdrowiu psychicznym... I tak właśnie zgasła jego jasna gwiazda. Zmarł w mieście Postawy, do końca swoich możliwości pozostając aktywnym intelektualnie.

### **PAMIĘĆ W KAMIEN WZRASTA**

Czy czuję wyjątkową więź z postacią Aleksandra? Skłamałbym, gdybym próbował tłumaczyć, że jest inaczej. Może to ze względu na imię, może wielkie ambicje które kotłują się w moim umyśle, a może wielką dumę, którą po prostu czuję, pamiętając o wszystkich przodkach, którzy chcieli mi tę wiedzę przekazać. Myślę jednak, że sens tego wszystkiego kryje się tu w czymś innym. Z każdym razem, gdy wątpimy w siebie, nie czujemy się na siłach, czy wydaje się nam po prostu, że nie jesteśmy w stanie czemuś podołać. Wtedy jest jedna, piękna rzecz którą możemy zrobić – zajrzeć w przeszłość. Bo każda ścieżka życia, każdy oddech który wydali nasi przodkowie, jest przecież czymś, co ukształtowało w jakiś sposób również i nas. I oczywiście, przecież to niemożliwe by stać się nimi. Pamięć o nich natomiast, może nam naprawdę pomóc. I o tych wielkich ambicjach, jak również o mniejszych. Każde składają się jednakże na obraz nas samych. Dlatego właśnie, wytrwale noszę na swoim karku wszystkie te pokolenia - listy Lelewela, Mickiewiczowskie „Dziady”, oba wielkie i upadłe powstania, 11 listopada, biznesy międzywojnia, hekatombę II wojny światowej, układy i walkę w PRL-u, aż w końcu... jestem tutaj.

Wierzę w jedno – że nasze wnętrza i życiorysy, są ukształtowane przez poprzednie pokolenia. Należy pamiętać, bo jesteśmy przedłużeniem pięknej historii. Naszej historii! I piszmy ją dalej!

## Po prostu żyć

Kamil Kijanka

*„Życie nie jest tym, co człowiek przeżył, ale tym, co i jak zapamiętał”  
– „Sto lat samotności”  
Gabriel Garcia Marquez*

Przychodząc na ten świat stajemy przed pewnym wyborem i odpowiedzialnością. To od nas zależy, czy pamięć o naszych przodkach przetrwa. Badanie własnych korzeni to nie tylko nasza powinność, ale i niezwykle interesująca podróż, dzięki której możemy dowiedzieć się więcej o nas samych, poczuć dumę i docenić to, co mamy.

Pochodzę z Wałbrzycha – dolnośląskiego miasta znanego nie tylko z malowniczego zamku Książ, ale i zamkniętych już dziś kopalni węgla. Mój tata, podobnie jak wielu jego znajomych, miał zamiar pójść w ich ślady i zostać górnikiem. Aż przyszedł piąty, ostatni rok studiów i okazało się, że... kopalnie zamknęły.

Wiedziałeś, drogi czytelniku, że właśnie w moim rodzinnym mieście, w dość przypadkowych okolicznościach, pobrali się podczas trasy koncertowej Mira Kubasińska i Tadeusz Nalepa?

Im dłużej badałem historię mojej rodziny, tym dalej wędrowałem palcem po mapie. Zastanawiałem się więc, co sprawiło, że z Belgii, Niemiec i województwa świętokrzyskiego trafili właśnie tutaj. Zacząłem zadawać sobie fundamentalne pytanie – dlaczego?

Idąc za słowami legendy polskiego bluesa, wspomnianego Tadeusza Nalepy, historię przynajmniej niektórych członków mojej rodziny można w skrócie opisać słowami utworu „Co to jest życie”:

*Zabiorą ci sny, zostaniesz nagi bosy, nie będziesz miał nic,  
Zrozumiesz czy, czy warto żyć,  
Dowiesz się też co to jest życie, że życie trwa tylko raz*

Pojawienie się moich przodków na tych terenach wynikało przede wszystkim z chęci znalezienia lepszego życia po koszmarze II wojny światowej. Analizując drzewo genealogiczne, mogłem się przekonać, jak długą i bolesną drogę przeszli moi dziadkowie i pradziadkowie, aby w tym miejscu zacząć wszystko od nowa. Im więcej się dowadywałem o ich losach, tym większy był mój podziw dla nich. Przeżyli naprawdę wiele i często stawali przed wyzwaniem, które dla mojego pokolenia z pewnością byłyby ponad siły.

Jak to jest stracić wszystko? Czy można pogodzić się z tragiczną śmiercią najbliższych? A co gorsza – jak to jest żyć w niepewności, co stało się z ukochaną osobą? Kiedy tak zacząłem to wszystko analizować, doszedłem do wniosku, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą właśnie z tego powodu, że nigdy nie musiałem zadawać sobie podobnych pytań.

Jeśli się żyć pięknie nie może, należy przynajmniej pięknie skończyć – „Pożegnanie jesieni”, Stanisław Ignacy Witkiewicz

Kim jest bohater? Z definicji jest to osoba odznaczająca się męstwem, ofiarnością, czy pomocą. Nie ma większego, bardziej heroicznego czynu niż poświęcenie własnego życia lub zdrowia dla bliskich i ojczyzny.

Podczas II wojny światowej zginęło wielu prawdziwych bohaterów. Często ludzi młodych, w tym – moich rówieśników, którzy zamiast cieszyć się życiem, każdego dnia narażali je i walczyli o wolną Polskę. O to, by następne pokolenia mogły mówić i myśleć po polsku. Właśnie z tego powodu jesteśmy im winni dozągoną wdzięczność i pamięć.

Wśród poległych był 23-letni Stefan Sendrowicz z Samborca, małej wsi w województwie świętokrzyskim, nieopodal Sandomierza. Tak przynajmniej informuje tablica znajdująca się przy Pomniku Ofiar II Wojny Światowej. Ciało młodego żołnierza, jak i wielu innych jego kolegów, nie odnaleziono.

Moja prababcia, a zarazem babcia mojej mamy, Marianna Kielan, przeżyła niemal dziewięćdziesiąt lat. Do Wałbrzycha przyjechała z mężem po wojnie. Za pracą. Całe swoje długie życie zastanawiała się, co stało się z jej bratem. Stefan ruszył do walki i więcej się nie widzieli. Nie była to jedyna tragedia, jaką przeżyła. Ja, młodą dziewczynę, wysłano na przymusowe roboty do Niemiec, gdzie z zimną krwią, zastrzykiem z trucizną, hitlerowcy zabili jej nowonarodzone dziecko.

Dopiero wiele lat później syn Marianny, a mój wujek, podjął szereg działań, by zbadać drzewo genealogiczne naszej rodziny i rozwikłać zagadkę zaginięcia Stefana Sendrowicza. Dzięki tym staraniom udało się ustalić drogę batalionu, do którego należał brat mojej prababci i jak miało się okazać, najpewniej zginął w walce z wrogiem. Marianna jednak nie doczekała wyników tego śledztwa. Nie zdążyła.

Nicodżałowany wujek Jerzy to także niezwykle ciekawa postać. Był jednym z najmłodszych doktorów w Polsce i dyrektorem kopalni, dzięki czemu mógł zwiedzać świat w czasach, gdy było to niemal niemożliwe. Jego opowieści o wyjazdach do Japonii działały na wyobraźnię i sprawiły, że także zacząłem marzyć o podróżach. Podczas naszych spotkań, kiedy rozmawialiśmy przede wszystkim o historii naszej rodziny, lubił znienacka zadać matematyczną zagadkę – głównie związaną z całkami lub pochodnymi. I choć na studiach nie przepadałem za tymi działaniami, dziś bardzo żałuję, że więcej nie otrzymam kolejnej zagadki.

Do wszystkiego doszedł sam, choć nie miał łatwo. Wychowywał się w wielodzietnej rodzinie, gdzie, jak to zwykle się ładnie mówić, po prostu się „nie przelewało”. Pamiętam jak prababcia opowiadała mi o tym, że od najmłodszych lat uwielbiał się uczyć. Był niezwykle zdeterminowany, by osiągnąć sukces. Przy trójce rodzeństwa, trudno jednak było o spokój, dlatego miał w zwyczaju... godzinami zamykać się w łazience, by w spokoju studiować matematykę i ekonomię. Wiele lat później, w tym samym mieszkaniu wychowywał się także autor tej publikacji.

Prababcia Marianna mimo wielu tragicznych zdarzeń, jakich doświadczyła, pozostała osobą pogodną i pełną głębokiej wiary.

Z Wałbrzychem sąsiadują Dzieńmorowice – wieś, w której znajduje się uroczy kościół św. Jana z doskonale zachowanym, osiemnastowiecznym ołtarzem. Tuż przed świątynią możemy zobaczyć przepiękną kaplicę Matki Bożej. Powstała dawno temu z inicjatywy mojej prababci i została zachowana do dziś. Podobno fakt, że w naszej rodzinie jest osoba błogosławiona, nie miał z tym nic wspólnego. Mariannie miała przyśnić się właśnie Maryja i poprosić ją

o zorganizowanie zbiórki na ten cel. Tak przynajmniej opowiadała i... od słów przeszła do czynów.

Jedna z jej córek wyszła za Arkadiusza – pracownika administracyjnego pochodzącego z Poznania, który przed laty przyjechał do Wałbrzycha w poszukiwaniu pracy. Mój dziadek miał niesamowitą wiedzę na temat historii futbolu. Z wypiekami na twarzy słuchałem jego opowieści o dawnych gwiazdach poznańskiego Lecha – niesamowitym ofensywnym terciecie „Kolejorza” (Anioła-Białas-Czapczyk), czy zapomnianej dziś, legendarnej drużynie Nottingham Forest. O własnej przeszłości nie lubił mówić zbyt wiele. Trudno się dziwić. Jako dziecko wiedziałem tylko tyle, że grał przez pewien czas w juniorach Lecha. Pochodził z inteligentckiej rodziny urzędników i prawników. Podczas wojny jego piękny dom jednorodzinny został doszczętnie zniszczony, a rodzice zginęli w bombardowaniu. On trafił do domu dziecka, a marzenia o profesjonalnej grze w piłkę zostały brutalnie przerwane.

Życie bywa naprawdę zaskakujące. Mnie chęć rozpoczęcia studiów przygnała aż do Łodzi, gdzie po ponad jedenastu latach mogliśmy w końcu obejrzeć piłkarskie derby w najwyższej klasie rozgrywkowej. Widzew i ŁKS przeszły długą drogę i narodziły się na nowo. Czy wałbrzyskie kluby przejdą podobną drogę? Wątpliwe. Prędzej podzielią los biednych kopalni, choć był taki czas, że Górnik był piłkarskim mistrzem jesieni... Nadzieja jednak umiera ostatnia, czego dowodem są losy moich przodków. Dla reporterskiego obowiązku warto dodać, że wcześniej na obiekcie GKS-u grało Zagłębie, choć na mieście głośno o tym lepiej nie mówić. Byłoby to równie rozsądne, co spacer w koszulce Polonii Warszawa pod stadionem Legii. Mój dziadek na mecze wałbrzyskich zespołów jednak nie chodził. Wolał oglądać w telewizji ukochanego Lecha.

Zdecydowanie bardziej w pamięci zachowałem opowieści mojej babci – mamy mojego taty. Janina Kijanka przyszła na świat... 01.09.1939.r. Na jej szczęście – w Belgii, do której Niemcy dotarli nieco później.

Była zbyt młoda, by pamiętać szczegóły pierwszych lat dzieciństwa. Jednak niektóre przebliski pozostały. Jak dzień, w którym podczas bombardowania wraz z rodzeństwem chowała się pod stołem. Rosół, który udało się ugotować z cudem zdobytej kury nadawał się tylko do śmieci, bo tynk z sufitu spadł prosto do garnka z wywarem.

Często o tym mówiła. Wspominała, że nikt nie mógł darować Niemcom utraty tak dobrej zupy.

Albo o tym, że miała kiedyś młodszą siostrę, ale spotkał ją podobny los, co dziecko mojej drugiej prababci – żywot, który ledwo się rozpoczął, został brutalnie zakończony śmiertelnym zastrzykiem.

Albo o tym, że jej wujek, piłkarz grający w lidze belgijskiej, został utopiony przez Niemców w kałuży.

Ona także zaszczepiła we mnie miłość do nauki i górskich wędrowek. Była nauczycielem i przewodnikiem turystycznym po Dolnym Śląsku. Mimo ogromu tragedii, pozostała do końca pogodna i niezwykle dobruśna.

To tylko kilka historii członków mojej rodziny, których los z różnych zakątków Polski i Europy, skrzyżował w „moim” rodzinnym Wałbrzychu.

Nie mamy wpływu na przeszłość i naszych przodków. Od nas zależy jednak, czy pamięć o nich przetrwa.

Jestem wdzięczny za ich trud i poświęcenie w czasach, kiedy niełatwo było po prostu żyć. Odczuwam dumę z powodu mojej rodziny i cieszę się, że mogłem choć trochę o niej

opowiedzieć. Czuję, że jestem im to winien. Czy są to historie warte nagrody? Nie wiem. Dziękuję jednak, drogi czytelniku, że poświęciłeś swój czas, aby o nich poczytać. To dla mnie największy sukces.

Dano ci życie, które jest tylko opowieścią. Ale to już twoja sprawa, jak ty ją opowiesz i czy umrzesz pełen dni – „Sowa, córka piekarza”, Marek Hłasko

Kamil Kijanka

# Stąd jestem

**Anna Adamczewska**

Z dorosłością łączą się nie tylko obowiązki, ale także korzyści i cudowne odkrycia. Moje nastąpiło parę lat temu kiedy to uświadomiłam sobie, że inaczej patrzę na moich bliskich, bo z perspektywy równego im dorosłego. Tak też było z moją Babcia. Mama mojego Taty zawsze dama, zawsze z głową do góry, pięknie mówiąca, dobrze ubrana, zwracająca uwagę na to co myślą i mówią o niej inni. Urodzona przed wojną w łódzkiej wsi, ale wychowana w Łodzi. Okupacja, jak mówi z pewnością odcisnęła na jej dzieciństwie nieodwracalne piętno, ale Babcia nie pozwoliła, żeby w negatywny sposób zmieniła jej dorosłe życie. Lata 40-te, 50-te nie były łatwe zwłaszcza dla kobiet. Przypisane im role matki, gospodyni domowej, kochanki ograniczały ich codzienne życie. Wychodzenie po zmroku nie było bezpieczne, a zwykły przejazd tramwajem łączył się nierzadko z nachalnością często pijanych mężczyzn. Babcia po wojnie ukończyła liceum pedagogiczne, nakaz pracy spowodował, iż uczyła najpierw WF w podłódzkiej szkole by później, po ukończeniu studiów uczyć historii (została nawet doktorem historii!). Ówczesni studenci nosili charakterystyczne czapki, co z dumą podkreśla do dziś Babcia, choć jak wspomina łączyło to się również z nieprzyjemnymi zaczepkami. Zawsze chciała się uczyć, zawsze chciała się rozwijać. Ważne było dla niej także poczucie wspólnoty, dlatego dobrze odnajdywała się w nurcie szkolnym, a także harcerskim. Druhną była od zawsze. To na obozach harcerskich wychowywały się jej dzieci (córka i syn), to harcerstwo w dużym stopniu ją ukształtowało. Wartości takie jak: niesienie pomocy innym, aktywność, odpowiedzialność, obowiązkowość do dziś są bliskie jej sercu. W latach siedemdziesiątych była Komendantką Chorągwi Łódzkiej ZHP, Dyrektorką II Liceum Ogólnokształcącego im. G. Narutowicza w Łodzi wcześniej, bo w latach sześćdziesiątych. Od lat pięćdziesiątych była również członkiem PZPR. Rzadko o tym rozmawialiśmy, ale nigdy się tego nie wstydziła. Ja nigdy jej nie oceniam wiedząc, że był to jej życiowy wybór i nie miał wpływu na sposób w jaki traktowała innych ludzi. Później pełniła także funkcję Naczelnika Działu Szkolnictwa Ogólnokształcącego i Oświaty Dorosłych Kuratorium Okręgu Szkolnego w Łodzi, była też Łódzką Radną. W 1952 r. wzięła ślub z ukochanym Leonardem, który jak wspomina kiedy przychodził do niej do domu witał ją śpiewem: „Dziewczyno Ty Moja!” (Dziadzius pięknie śpiewał, miał prawdziwie operowy głos). Ich relacja była dla niej niezwykle ważna. Babcia miała zdecydowanie silniejszy charakter co nawet we współczesnym świecie było różnie oceniane, ale razem przeżyli prawie 70 lat! Zawsze była spragniona życia, kontaktu z drugim człowiekiem. Dopiero od paru lat spędza spokojną emeryturę na ukochanej działce. W 1979 r. założyła Stowarzyszenie Komitet Dziecka, którego głównym celem było wspieranie potrzebujących dzieci. To m. in. z jej inicjatywy powstał w Łodzi Pomnik Martyrologii Dzieci i Młodzieży w Parku im. Szarych Szeregów mający upamiętnić dzieci uwięzione podczas II Wojny Światowej w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Co roku 1 czerwca organizowana była pod Pomnikiem uroczystość upamiętniająca te wydarzenia podczas których wręczany był medal „Serce

Dziecku” dla osób działających na ich rzecz. Niestety Stowarzyszenie parę lat temu zostało zamknięte, ale jestem wciąż pod wrażeniem jak długo Babcia była w nim aktywna. Za pracę na rzecz dzieci została Kawalerem Orderu Uśmiechu, który, choć brzmi to pretensjonalnie, jest dla niej najważniejszym odznaczeniem. Babcia zawsze udzielała się społecznie, zawsze była silna, zawsze przemawiała, zawsze była seniorką rodu, jak lubi się określać. W 2012 r. zdiagnozowano u mnie stwardnienie rozsiane. Choroba powoduje pewną samotność, izolację dlatego wsparcie bliskich jest wówczas tak ważne. Pamiętam jak w tamtym czasie odwiedziła mnie razem z Ciocią i opowiedziała historie jak w latach 30-tych (kiedy była dzieckiem) lekarz ze Szwecji zoperował jej przepuklinę w kręgosłupie, co w tamtych czasach było praktycznie cudem. Mówiła o sile którą w sobie mamy jako ludzie, o tym jak kształtują nas właśnie te najtrudniejsze momenty, o tym jak ważna w takich chwilach jest rodzina. Do dziś jest to dewiza mojego życia. Żeby nie popaść w zobojętnienie, żeby nie zalał mnie strach i smutek w każdym ciężkim momencie szukam czegoś dla siebie, pewnej nauki na przyszłość. Staram się też wyciągać rękę do bliskich, dzielić się z nimi moimi troskami. Muszę przyznać, że do niedawna widziałam Babcię wyłącznie jako tą silną, kategorię, dystyngowaną osobę, jednak od kiedy skończyła 90 lat i zaczęła podupadać na zdrowiu dopiero wtedy zobaczyłam w niej normalnego, kruchego człowieka. Już nie musi trzymać gardy, nie musi trzymać fasonu. Rozmowa z nią otwartą, naturalną, potrzebującą wsparcia jest dla mnie ogromną przyjemnością. Jeżeli wraca w nich do dawnych czasów to jako kobieta, matka, podkreślając ich rolę i wagę w dawnym i współczesnym świecie. Mówi o rodzinie, wspólnocie, państwie. Kiedy w 2022 r. byłam w ciąży z moją córką oferowała pomoc, rozmowę, podkreślała jak istotne w tym czasie jest otaczanie się kręgiem kobiet. Na ogół uważa się, że otwartość, wrażliwość naraża nas na zranienie, ale tak naprawdę kiedy pokazujemy siebie zbliża to nas do innych ludzi. Patrząc na swoich rodziców, dziadków ważne żeby robić to z empatią i zrozumieniem. Pamiętać, że są ludźmi z krwi i kości ze swoimi zaletami, wadami, różnymi życiowymi wyborami, a co logiczne choć nadal niezwykle, że są częścią nas samych, dlatego poznanie nie tylko ich biografii, ale ich prawdziwych jest tak ważne w poznaniu samych siebie. I tak, kiedy piszę kolejnego maila czy list! do Pośła czy Rady Osiedla przypominam sobie, że to chyba mam po Babci, bliskiej mi osobie, a poznanej tak naprawdę dopiero pod koniec jej życia.

# Babcia Wandzia

Krzysztof Lejawka

Od dziecka wypytywałem mamę, dlaczego babci tak często nie ma w domu? Mama otwierała wtedy wielką księgę zwaną kroniką i przewracając stronę za stroną, opowiadała o wydarzeniach, które miały miejsce w naszym domu. Z ciekawością oglądałem zdjęcia, te bardzo stare, czarno-białe, na których była moja prababcia, i te kolorowe, na których w pięknym regionalnym stroju prezentowała się babcia Wandzia.

Historia mojej babci Wandy Hajok rozpoczęła się, gdy miała dziewięć lat – wtedy, w jej rodzinnym domu otwarto Klub Rolnika, którego kierowniczką została jej matka Waleria Prochot. W tamtych latach kluby były centrami kultury, w których codziennie odbywały się różnorakie imprezy oraz zajęcia dla dzieci, młodzieży i starszych. Wzorem do naśladowania była jej matka, która oprócz kierowania klubem pełniła różne funkcje w kole gospodyń, szerzyła czytelnictwo książek na wsi, tańczyła w zespole, organizowała różne akcje i imprezy. Działania klubu wielokrotnie były nagrywane przez telewizję, co nadawało rozgłosu i promowało Gilowice. Babcia była więc w samym centrum życia oświatowego, towarzyskiego i kulturalnego.

W 1963 roku Jan Gąsiorek założył zespół regionalny „Gilowianka”, w którym babcia zaczęła tańczyć, najpierw w grupie dziecięcej, a później z dorosłymi. Po ukończeniu liceum ekonomicznego podjęła pracę w Powiatowej Poradni Kulturalno - Oświatowej w Żywcu. Tam miała szczęście przez kilka lat pracować i uczyć się z wybitną choreografką Marią Romowicz. Jeżdżąc po terenie, poznawała folklor Ziemi Żywieckiej, a zdobytymi doświadczeniami dzieliła się z członkami zespołu w Gilowicach.

W 1986 roku wraz z Wiesławem Kubieniem, Franciszkiem Kastelikiem i Alicją Czulak założyła dziecięcy zespół góralski „Gronicek”, którego została kierownikiem i choreografem. Zapal dzieci był ogromny i po trzech miesiącach prób na Festiwalu Wiejskich Zespołów w Brennej „Gronicek” zajął III miejsce! Ten sukces uskrzydlił wszystkich i zachęcił do jeszcze większej pracy. Babcia kolejno realizowała różne programy, uwzględniając rok obrzędowy, zwyczaj wiosenne, bożonarodzeniowe, wielkanocne i letnie, zawsze pamiętając o tym, że muszą to być programy dziecięce. „Gronicek” kontynuował rozpoczęte pasmo sukcesów, zdobywając kolejne nagrody na różnorodnych festiwalach i przeglądach, zarówno w kraju, jak i za granicą. Babcia zawsze starała się, aby wyjazdy zespołu łączyć ze zwiedzaniem najładniejszych miejsc, poznawaniem historii i kultury oraz ludzi, którzy wraz z członkami zespołu uczestniczyli w festiwalach. Podczas kolejnych pobyków dzieci zawierały nowe przyjaźnie – niektóre trwają do dziś. Zespół od początku istnienia budził też zainteresowanie mediów. Powstały nagrania dla Telewizji Polonia z cyklu „Na polską nutę”, na których wzorowali się instruktorzy polonijnych zespołów. Od wielu spośród nich babcia otrzymała podziękowania za prezentowanie folkloru górali żywieckich.



Przez 35 lat przez zespół przewinęło się kilkaset dzieci w wieku od pięciu do trzynastu lat, ale bardzo wiele z nich nie chciało odejść... I to był moment, kiedy babcia postanowiła spełnić swoje największe marzenie!

W marcu 1997 roku założyła Regionalny Zespół „Dolanie”, który w swoim repertuarze prezentuje całą gamę autentycznych tańców i śpiewów od Starego Żywca, przez Gilowice aż po Suchą Beskidzką. Do nowo powstałego zespołu wróciła młodzież, która wcześniej tańczyła w „Gronicku”. A starszych, których babcia odwiedzała w domach, spotykała w sklepach, na drodze – wszędzie, zachęcała do przyjścia na pierwszą próbę. Zgłosiło się 80 osób w wieku od 14. do 77. lat. Do pomocy babcia zaangażowała pana Jana Gąsiorka, który najlepiej zna rodzimy folklor. Starsi i młodzież ćwiczyli bardzo intensywnie, stopniowo ucząc się kolejnych tańców, śpiewek i układów. Równocześnie babcia zajęła się zakupem materiałów i szyciem strojów dla członków zespołu. W czerwcu zespół „Gronicek” wyjechał na festiwal do Macedonii, podczas którego ministrowie Polski i Macedonii mieli podpisać umowę o współpracy kulturalnej pomiędzy oboma państwami. Całość koncertu w pięknym amfiteatrze transmitowała Telewizja Polska, a babcia nie mogła sobie wymarzyć piękniejszej inauguracji Regionalnego Zespołu „Dolanie”.

Taki był początek działalności zespołu wielopokoleniowego, skupiającego dzieci, młodzież i dorosłych – w wielu wypadkach także całe rodziny, bo tańcząc w nim rodzice z dziećmi, rodzeństwa i dziadkowie.

Poznając historię z kronik zrozumiałem, że na spełnienie marzenia, babcia poświęciła cały swój wolny czas. Pamiętałem tylko te radosne chwile, gdy z koncertów wracała uśmiechnięta i szczęśliwa. Zawsze z przejęciem relacjonowała wydarzenia z nimi związane, a każde zdobyte trofeum świadczyło, że Jej działania są dobre, a marzenia warto spełniać.

Wysoki poziom zespołu potwierdzają liczne nagrody, a wśród nich: Brązowe Żywieckie Serce zdobyte na Festiwalu Folkloru Górali Polskich Żywiec, Srebrna Ciupaga – z Międzynarodowego Festiwalu Ziemi Górskich w Zakopanem, I miejsce na imprezie „Żywieckie Gody” w 2001 i 2002 roku, I miejsce na imprezie „Nasze Korzenie” w Katowicach w 2000, 2001 i 2002 roku oraz liczne nagrody otrzymane na Międzynarodowych Spotkaniach Folklorystycznych.

Babcia jako choreograf otrzymała wiele nagród, między innymi Grand Prix Dąbrowickich Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych w Zbąszynku, Grand Prix Bałtyckich Spotkań Folklorystycznych oraz Grand Prix za obrzędy wiosenne i wielkanocne w Katowicach i Chorzowie. Została także uhonorowana Srebrnym Krzyżem zasługi, medalem „zasłużona dla województwa śląskiego”, „zasłużona dla gminy Gilowice” oraz wieloma innymi nagrodami.

Jestem dumny z mojej babci za to, że swoją pasją i chęcią propagowania folkloru i tradycji górali żywieckich zaraziła setki ludzi. Dzięki Niej mieszkańcy naszego regionu oraz publiczność zgromadzona na widowni podczas festiwali w Polsce i za granicą poznaje zwyczaje i obrzędy naszych przodków.

## Moja matka altruistka

Alicja Jończyk

Dopiero niedawno zauważyłam, jak niewiele wiem o swoim pochodzeniu. Przyznam, że najbardziej w tym poraziła mnie własna ignorancja. Jak to się stało, skoro wychowała mnie kobieta przywiązująca tak wielką wagę do rodziny, przodków i ich losów? Jak to możliwe, skoro wychowała równocześnie syna dzielającego jej zainteresowania, interesującego się historią? Na samą myśl czuję wstyd, wstyd, że to ja piszę ten esej, a nie ktoś, kto w pełni rozumie, jak właściwie się tu znalazł. Genealogia i dziedziczenie tradycji odgrywa ważną rolę w moim domu, dlatego mam nadzieję, że wszystko jeszcze przede mną. Wyrażam skruchę i postanowienie poprawy, niczym naiwne dziecko.

Postanowiłam poświęcić ten tekst swojej mamie, skupić się na tym co wiem i nie wybiegać poza krewnych pierwszego stopnia w linii prostej. Owszem, jest ciekawą i inspirującą postacią, o tym z pewnością powiem później, dla mnie jest jednak kimś znacznie więcej. Jest moją podporą, opoką. Jest jak bezpieczna oaza, która czeka na mnie, niezależnie od pory dnia, czy roku. Jest fundamentem mojego poczucia bezpieczeństwa oraz przynależności. Dzięki niej zawsze mam gdzie wracać, trwa przy mnie na dobre i na złe. Włożyła w moje wychowanie całe swoje serce. Czasem myślę, że wcale nie zasługuję na ciało, które mi podarowała, na tożsamość, którą pomogła mi odnaleźć, a przy której budowaniu była tak istotnym czynnikiem. Przyznam szczerze - nie wydaje mi się, żebym nawet w połowie była dla niej tak dobra, jak ona jest dla mnie. Dbła o mnie, ubierała i karmiła. Pomagała mi stawiać pierwsze kroki, później wozila mnie na lekcje pianina i zajęcia sportowe. Nie okazywałam jej wtedy wdzięczności, wręcz przeciwnie, czego żałuję po dziś dzień - zdaję sobie sprawę z tego, że zawsze starała się zapewnić mi taką edukację, na jaką zasługuje każdy człowiek. Teraz gromadzi nasze wspólne zdjęcia i moje zeszyty z pierwszych klas podstawówki, bowiem niedługo wybieram się na studia. Ofiarowała mi bez troskie życie - jak podziękować za tego rodzaju poświęcenie? Z biegiem czasu jego rozmiar tak się rozrasta, że ponownie wstyd jest mi o tym mówić. Jak pogodzić się z tym, że kobieta niezależna i odważna, jednocześnie zdołała skupić swoje szczęście na małej istocie ludzkiej? Jeśli człowiek ma zaszczyt dostąpić takiej funkcji, a nie wyzbył się samoświadomości, jest to zarówno dar, jak i wieczny dług. Nigdy niekończący się dług wdzięczności. Nie wyobrażam sobie być kiedykolwiek wystarczającą dla takiej osoby, gdyż drodzy Państwo, moja mama jest altruistką z krwi i kości. Oczywiście mówię to z perspektywy jej dziecka, lecz na tyle obdarzonego przytomnością, że dawno już zauważyło, iż kobieta ta potrafi wyzbyć się wszelkich własnych potrzeb, byleby osoby wokół miały łatwiej, miały lepiej. Pełna łagodności i czułości, zawsze dba o to, czy nikomu czegoś przypadkiem nie brakuje. Kiedyś zapytałam się jej czy zawsze była tak spokojna. Pamiętam, jak usiłowała zdusić śmiech i poprosiła, żebym zadała kiedyś to pytanie jej znajomym z dawnych lat - najwyraźniej jakaś część jej życia ma dla mnie pozostać niewiadomą. I tak owiana tajemnicą kobieta, czasem enigmatyczna, czasem figurująca w mojej głowie jako coś metafizycznego, podejmuje wszelkie

kroki, bym miała wszystkiego pod dostatkiem oraz abym nigdy nie czuła się opuszczona. Sama wychowała się w domu niekoniecznie pełnym wsparcia, wszystko co osiągnęła, może zawdzięczać wyłącznie sobie. Karierę zbudowała dzięki swojej ciężkiej pracy, był to jej spryt, jej zawziętość, jej błyskotliwość. Kobieta ta, gdziekolwiek się nie znajdzie, zdeterminowana jest dać innym możliwości, których ona nie miała. Zwiedziła również świat, podróżowała, o tak, podróżowała! W Paryżu, by zarobić minimum pieniędzy potrzebnych na utrzymanie, zajmowała się dziećmi, w Rzymie pisała olimpiadę z łaciny, w Hadze studiowała dzięki stypendium, a dzięki innemu programowi uczyła się w samym Oxfordzie. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojego podziwu, czy szacunku - tak było, jest i zapewne będzie. Nie wydaje mi się, że w świetle jej osiągnięć, kiedykolwiek będę uważać siebie samą za równie uzdolnioną, bynajmniej nie demotywuje mnie to. Stanowi bezpośrednie źródło mojej motywacji, mogę mieć jedynie nadzieję, że dzieje z nią jej cechy charakteru. Co może być lepsze, niż czerpanie inspiracji z osoby, która jest tuż obok? Wierzę, że przelała we mnie trochę swojej szlachetności, że będę w stanie uczynić świat nieco lepszym miejscem, kultywować wrażliwość społeczną i wzajemną serdeczność.

Zastanawia mnie często, jakie granice ma ludzka bezinteresowność? Do jakiego stopnia można korzystać z cudzego szczęścia, nie wadząc mu, po prostu obserwując je z boku? Mogłabym powiedzieć, że moja mama jest uosobieniem życzliwości, a gdy patrzę na nią, mam wrażenie, że świat jest miejscem przepełnionym rodzinnością i miłością. Jest to założenie niestety dość błędne, które nie odnajduje się w naszej rzeczywistości. W dzisiejszych czasach, każdy wyraża swoją oryginalną osobowość (tak być powinno), jednakże często zapominamy, że nasze ciała to również nasi przodkowie. Żyją w nas w tym najbardziej biologicznym sensie, dlatego chcąc, czy nie chcąc, będą trwać zarówno w nas, jak i w przyszłych pokoleniach. Prawda jest taka, że świadomość o własnym kręgu kulturowym umacnia nasze poczucie tożsamości, tym samym rozwijając indywidualność. Pisanie najwyraźniej w całości uwolniło moje poczucie wspólnoty, które przez jakiś czas będzie zapewne dyktować moim czasem wolnym – mam do nadrobienia masę zaległości. Nauczmy się zatem korzystać z dziedzictwa rodzinnego i wyciągać z niego to, co najlepsze.

10.  
**III MIEJSCE (Ex aequo)**

**Tereska**

**Dominik Nogala**



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stanisław – Przodek i Patron Tożsamości Narodowej

**Bartosz Zieliński**

Nasze korzenie, tożsamość i pochodzenie odgrywają ważną rolę w kształtowaniu naszej osobowości i wartości. Jednym z najważniejszych przodków mojej rodziny, który wywarł ogromny wpływ na moje rozumienie tożsamości narodowej, był mój prapradziadek Stanisław. Jego życiowa historia stanowi inspirację i źródło dumy, przypominając mi o znaczeniu zakorzenienia i miłości do ojczyzny.

Stanisław urodził się w małej wiosce na wschodnich terenach Polski pod koniec XIX wieku, w okresie, gdy Polska była pod zaborami. To były czasy ucisku, braku niepodległości i utraty narodowej tożsamości. Jednak Stanisław od wczesnych lat kształtował swoje przekonania patriotyczne. Pragnął wolności dla Polski, marzył o niepodległości i gotów był poświęcić wiele.

W młodym wieku Stanisław dołączył do tajnych organizacji patriotycznych, w których działał jako kurier i przemycał broń oraz materiały propagandowe, wspierając walkę o niepodległość. Był jednym z tych, którzy niezłomnie wierzyli, że Polska musi odzyskać swoją wolność, niezależnie od trudności i ryzyka.

Jego determinacja i odwaga w obliczu niebezpieczeństwa były inspiracją dla innych. Po wielu latach poświęcenia i trudnej pracy, Polska odzyskała niepodległość w 1918 roku. Stanisław przeżył ten historyczny moment z ogromną radością i dumą.

Jednak dla niego walka nie skończyła się wraz z odzyskaniem niepodległości. Zaangażował się w społeczne inicjatywy, pomagając budować nowe państwo i dbać o swoich rodaków. Był człowiekiem, który zawsze stawiał interes ojczyzny ponad własne potrzeby.

Jego miłość do kultury polskiej była równie głęboka jak miłość do ojczyzny. Był miłośnikiem muzyki, literatury i sztuki. Tworzył kulturalne środowisko, w którym artyści, pisarze i intelektualści spotykali się, inspirując się nawzajem i zachowując polską tradycję.

Mój przodek, Stanisław, jest dla mnie symbolem nie tylko walki o wolność, ale także oddania Polsce i jej kulturze. Jego historia przypomina mi, że tożsamość narodowa to nie tylko narodowość w dowodzie osobistym. To historia, tradycja, wartości i miłość do kraju, które są dziedziczone z pokolenia na pokolenie.

Dzięki Stanisławowi, czuję się zobowiązany do pielęgnowania naszego polskiego dziedzictwa, wspierania wartości patriotycznych i angażowania się w sprawy społeczne. Jego historia to nie tylko źródło dumy, ale także inspiracja do działania na rzecz dobra naszej ojczyzny. Stanisław jest moim przodkiem i patronem tożsamości narodowej, który pozostawił trwałe ślady w historii naszej rodziny i kraju.

## Ciesz się ile możesz

Patrycja Łabądz

Szarość ogarnęła dzisiejszy świat. Mijam szare domy, pomniki i ulice, nie mają mi nic do zaoferowania, męczą mnie. Wtedy już wiem, że codzienność zaczęła mnie przytłaczać, że muszę uciekać. Moja cicha przystań znajduje się sto osiemdziesiąt kilometrów od Lublina – tutaj niebo jest zupełnie inne, jakby bardziej błękitne. Wstając o świcie możesz usłyszeć szepczący wiatr. I gwiazdy – z takimi gwiazdami noc nie istnieje. A w samym centrum, serce mojej przystani – mój dom.

Zasiadam przy kwadratowym stole, który zdobi kolorowy obrus, spoglądam na krzątającą się po kuchni babcię – jest idealnie. Po chwili dołącza do nas osoba, która stale przypomina mi o znaczeniu słowa życie. Mój dziadek ma ponad siedemdziesiąt lat i oczy przepełnione wciąż żywymi historiami.

Patrzę na niego, kiedy jego wzrok błądzi po krajobrazie za oknem. Możliwe, że nikt tego nie widzi, możliwe, że to moja nadinterpretacja. Doskonale rozpoznaje moment, w którym uruchamia swój wehikuł, jego oczy zaczynają błyszczeć, usta unoszą się nieznacznie w górę – zaczyna się opowieść.

– Dawniej nie było telefonów – wspomina – Ciężko było o nowe buty, jedzenie czy ubranie. Niektórzy nie znali smaku czekolady, nie potrafili czytać ani pisać. W szkole kary fizyczne były na porządku dziennym. Ośmioosobowa rodzina mieszkała w dwóch pokojach, czasem w jednym. Co to był za ścisk... – urywa nagle.

Przyglądam się naznaczonemu przez wiek mężczyźnie, wiem, że jest przy mnie wyłącznie ciałem, myślami dryfuje po morzu wspomnień. Uśmiecha się lekko, a w jego oczach można dostrzec nuty melancholii.

– Dużo się zmieniło. – zauważam. Gdzieś wewnątrz mnie siedzi małe dziecko, które podskakuje z ekscytacji, spragnione nowych opowieści.

Jego wzrok wciąż zwrócony jest na pejzaż za oknem, znajduje się tam tylko pusta ulica i przystanek, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Spoglądam na dziadka i wiem już, że on dostrzega dużo więcej. Zaciąga się papierosem i rozgląda dookoła jakby chciał się upewnić gdzie jest.

– Dużo. – przytakuje – Gdybyś spróbowała tamtego chleba... zapach było czuć na kilometr. Jak się zjadło mięso, to człowiek czuł to i doceniał. Teraz idziesz do sklepu i masz wszystko, a i tak ci nie smakuje, bo co ma smakować – chemia? Wychodziło się wieczorem, wieś była pełna, żywa, ludzie przychodzili do siebie i przy świecach grali w karty. Dzieci bawiły się same w lasach i nad stawem, ludzie się tyle nie martwili. Pewnie, że było ciężko, ale mimo to żyło się łatwiej, rozumiesz? – przytakuje i chociaż wiem czym tak bardzo się zachwyca, ciężko mi sobie to wszystko wyobrazić.

Co jest w nim takiego wyjątkowego? Człowieczeństwo. Myślenie, które nie jest skażone wpływem mediów i rady opierające się na doświadczeniu. Czasem przypomina mi, że w życiu

chodzi o spełnianie marzeń, że kierując się zawiścią i zazdrością nigdzie nie zajdę, że słabszym trzeba pomagać. Trywialne? Oczywiście, że tak, ale czy to właśnie nie z tymi rzeczami mamy największy problem?

Ojciec trojga dzieci, dziadek ośmiorga wnucząt – przez ponad siedemdziesiąt lat patrzył, jak świat zmienia się i dojrzewa. Spoglądał na to z zaciekawieniem, ale też lekkim przerażeniem. Nagle zaczęły zanikać pewne wartości, ludzie zapominali o tym, co naprawdę ważne. Ja też zapominam, startuję w wyścigu szczurów, po drodze gubiąc samą siebie. Jednak mam swoją przystań, a w niej człowieka, który sprawia, że niebo jest tutaj bardziej niebieskie.

~ \* ~

Od tej rozmowy minęły prawie cztery lata. Za miesiąc minie dwa lata od śmierci mojego najlepszego przyjaciela, którym był mój dziadek. W domu zrobiło się znacznie ciszej, w domu babci nie unosi się już duszący zapach tytoniu. I mimo iż tęsknię każdego dnia, jestem też nadzwyczaj spokojna. Wiem, że ma do opowiedzenia mnóstwo historii komuś innemu. Czasami kątem oka dostrzegam go na swoim bujanym fotelu, jak z rozmarzeniem patrzy w niebo i zgaduje kierunki samolotów. Często pośród wielu donośnych śmiechów wylapuje jego, ochrypięty, gardłowy, ale tak bardzo prawdziwy. Widzę go szczęśliwego jak spaceruje po ukochanych polach. Serce tego miejsca nie przestało bić. Pozostanie tutaj razem z nim już na wieczność.

Mój dziadek był moim największym kibicem, zawsze dopingował mnie w moich wyborach, mimo iż często ich nie rozumiał. Czasami myślę, że to dlatego, że on sam nie mógł pozwolić sobie na pewne rzeczy, kiedy był młody. Zawsze był ciekawy nowych miejsc – żałuje, że nie zabrałam go w jego wymarzony lot samolotem. Był ogromnie przywiązany do rodzinnej wioski, nigdy nie brał pod uwagę przeprowadzki, ale zawsze chętnie słuchał o miejscach, które odwiedziłam. Moje wyczyny jednak wydawały mi się niczym w porównaniu do jego. Przygody z Włoch czy Grecji chowały się przy jego opowieściach o nocnych kąpielach w dzikich stawach, spaniu na sianie czy podmienianiu bram sąsiadom. Teraz już wiem, że nie chodziło tu o skalę wrażeń, ale o żarliwość i radość z jaką przekazywane były te historie. Gdyby mój dziadek miał motto życiowe byłoby nim zapewne „ciesz się ile możesz”.

Dziś wiem, że dom to historie. Moi przodkowie nie zapisali się wielkimi wyczynami na karcie historii, ale jeśli to oni przekazali mojemu dziadkowi radość życia i wartości, które zaszczylił również u mnie – jestem wdzięczna. Historia mojego dziadka dobiegła już końca więc teraz moja kolej na opowiadanie.

## O tym jak moi przodkowie wpłynęli na moje życie

**Gabriela Magdalena Woźniak**

Często nawet nieświadomie podążamy drogą naszych krewnych. Tak też było w moim przypadku. Ostatnio, gdy zaczęłam odkrywać swoje korzenie trafiłam na historię mojej praprababci Praksedy Zieńczuk. Gdy słuchałam opowieści mojej babci na jej temat od razu skojarzyła mi się z tytułową bohaterką „Siłaczki” Stefana Żeromskiego. Podobnie jak ona, moja praprababcia Praksesta była zmuszona do rezygnacji z nauki, a tak naprawdę nigdy nie była w stanie jej zacząć. Już kiedy skończyła sześć lat opiekowała się młodszym rodzeństwem, aby jej ojciec mógł iść do pracy. W 1915 r., kiedy Brześć był okupowany przez wojska niemieckie zaczęto wysiedlać jego mieszkańców. Właśnie wtedy moja praprababcia wraz z dwójką rodzeństwa opuściła swoje rodzinne miasto – Brześć. Jednak zaczynając od początku...

Moja praprababcia Praksesta Zieńczuk urodziła się w okolicach 1903 roku. Była najstarsza z trójki rodzeństwa. Jej matka umarła niedługo po urodzeniu najmłodszego z dzieci – syna Michała. Z tego też powodu moja praprababcia była zmuszona do pomocy i pracy od najmłodszych lat. W czasie I wojny Światowej pomagała jako sanitariuszka, gdzie nauczyła się ratować życie innym. Najczęściej zajmowała się nastawianiem kończyn oraz opieką nad rannymi. Praprababcia nie lubiła jednak wspominać czasów wojny stąd też moja rodzina niewiele wie o jej poczynaniach w tych latach. Po pierwszej wojnie światowej jej rodzeństwo wróciło do Brześcia, a Praksesta została w okolicach Legionowa. Przygarnęła ją rodzina Cieślaków, która miała rozlewnię i wytwórnię piwa. Pomagała im przy codziennych obowiązkach takich jak np. opieka nad dziećmi. Tam też poznała swojego przyszłego męża Stefana Kurzyńskiego. Mój prapradziadek, który również pracował dla Cieślaków miał za zadanie rozwożenie napojów, które często pakowała właśnie Praksesta. Parę lat później w okolicach roku 1927 moja praprababcia wyszła za Stefana Kurzyńskiego. Przeprowadzili się oni wówczas do mieszkania w Nowym Dworze Mazowieckim. Mój prapradziadek zaczął pracę jako stróż w twierdzy Modlin. Praksesta wtedy zajęła się domem i chorymi. Chorymi?

Moja praprababcia Praksesta Zieńczuk przyjmowała w swoim domu chorych, a zwłaszcza chore dzieci. Często przychodzili do niej ludzie najubożsi, niemogący liczyć na pomoc państwa. W jej mieszkaniu co rusz można było zobaczyć „dzieci niczyje, dzieci ulicy”. Były to najczęściej dzieci nieślubne, bezdomne czy osierocone. Chociaż praprababcia nie miała wiele pomagała wszystkim jak tylko mogła. Dzieliła się jedzeniem oraz wiedzą, jaką zdobyła jako sanitariuszka. W pewnym momencie do jej domu była kolejka osób, które prosiły o nastawienie kończyny, pomocy przy odebraniu porodu oraz leczeniu m.in. krzywicy. Wtedy mówiono o tym, że Praksesta ma „magiczne ręce”, jednak teraz możemy domyśleć się, że nieświadomie wykonywała ona rehabilitację swoim pacjentom.



Prakseda wraz ze Stefanem mieli czworo dzieci. W trakcie ich wychowywania udało się im przeprowadzić do własnego domu. Moja praprababcia oprócz opieki nad dziećmi zajmowała się zwierzętami oraz całym gospodarstwem. Szanowała ona naturę i każdą nawet najmniejszą istotę. Kiedy 1 września 1939 roku rozpoczęła się druga wojna światowa moja praprababcia miała 36 lat. Jej mąż i synowie pomagali ojczyźnie zajmując się przemysłem broni oraz towarów pierwszej potrzeby. Rodzina Kurzyńskich nie była głośna w swoim pomaganiu, ale każdy wiedział, że można na nich liczyć. Ich postawa jest podobna do tej opisanej przez Aleksandra Kamińskiego w „Kamieniach na szaniec”. Uważam, że doskonale ilustruje to cytat z owej lektury: „Patriotyzm nie polega na przekrzykiwaniu się kto Polskę bardziej kocha. Rzecz w tym, aby po cichu, z zaciętymi zębami, nieco pochylonym karkiem, ale z podniesioną głową żyć w niej i nie uciekać”.

Niestety koniec II wojny światowej nie przyniósł mojej praprababci wiele dobrego. Albowiem zaledwie kilka lat po zakończeniu działań zbrojnych jej jedyna córka – Janina utonęła w Narwi. Stało się to zaraz po odebraniu świadectwa, gdy Janina uległa koleżankom i poszła z nimi nad wodę. Najprawdopodobniej, gdy jedna z dziewczyn zaczęła się topić reszta ruszyła jej na ratunek. Niestety tym sposobem z czterech czternastolatek tylko jedna zdołała wrócić do domu. Pomimo olbrzymiego smutku i cierpienia to nie powstrzymało mojej praprababci od pomocy innym. Była naprawdę silna. Uważam, że siłę naszych przodków świetnie pokazuje cytat z książki Elżbiety Cherzińskiej po tytule „Królowa” – „Kiedyś się mówiło, że nasi przodkowie byli jak trawa. Wiatr przygnał ich do ziemi, a gdy niebezpieczeństwo zniknęło, podnosili się”

Moja praprababcia Prakseda walczyła o każde życie. Dowiodła o tym, kiedy żona jej syna Apolinarego była w ciąży. Niestety podczas brzemienności wystąpił konflikt serologiczny. Rodzina musiała stanąć przed wyborem kogo ratować. Matka Wandy (żona Apolinarego) była za ratowaniem córki. Jednak moja praprababcia nie chciała pozwolić na śmierć ani swojej synowej, ani swojej wnuczki. Wzięła swoją wnuczkę do swojego domu i opiekowała się nią. Co sześć godzin, nie ważne, o której w nocy, chodziła z nią do lekarza na zastrzyki. Karmiła i zajmowała się moją babcią jakby była jej dzieckiem. Lekarz wielokrotnie mówił mojej praprababci Praksedzie, że to cud, że jej wnuczka żyje. Ja jednak sądzę, że to nie tylko cud a też ogromny trud i poświęcenie, jakie włożyła moja praprababcia w celu uratowania życia mojej babci.

Podsumowując sądzę, że moja praprababcia Prakseda Zieńczuk była wspaniałym, godnym podziwu człowiekiem. Uratowała ona wiele żyć oraz, co najważniejsze nauczyła naszą rodzinę jak należy żyć. Można powiedzieć, że ja nieświadomie poszłam w ślady mojej praprababci Praksedy. W tym roku kończę technikum weterynaryjne, aby jak moja praprababcia ratować życie tym najbardziej bezbronny. Warto zastanowić się nad życiem, jakie mieli nasi przodkowie. Możemy się od nich wiele nauczyć, a nawet zobaczyć wiele podobieństw...

## Stąd jestem

Łukasz Sawicki

Niebo nad moim domem rodzinnym było zawsze niewzruszone, pełne chmur, które przypominały mi o moim dziadku Stefanie. Te chmury były jak on – stałe, obecne, nieskazitelne w swej formie. Czasami myślę, że to dzięki nim niebo było dla mnie takie wyjątkowe.

Dziadek Stefan to postać godna literackich eposów. Był górnikiem, mężem, ojcem, przyjacielem, kombatanem, ale przede wszystkim dla mnie – mentorem. Wydaje mi się, że w jednym człowieku skumulowało się tyle różnych ról, ile ścieżek biegnie przez nasze życie.

Gdy nauczył mnie jeździć na rowerze, nie było to zwykłe szkolenie. To było wprowadzenie do świata odpowiedzialności, równowagi i wiary we własne siły. Ten rower, który mi podarował, stał się dla mnie symbolem drogi życiowej, którą każdy z nas musi przemierzyć. Bez upadków, które uczą nas wstać, nie byłoby też triumfalnych przejazdów na dwóch kołach.

Dziadek był rzemieślnikiem ducha. Jego warsztat pełen narzędzi świadczył o pasji, jaką nosił w sercu. Gdy patrzę na swoje dłonie, które dziś potrafią naprawić kran czy zbudować domek dla kota, widzę w nich nie tylko moje umiejętności, ale przede wszystkim nauki dziadka. Dziadka, który chociaż nie pozwolił mi ruszyć piły spalinowej, nauczył mnie cierpliwości, precyzji i szacunku do tworzenia.

Nie tylko narzędzia go otaczały. Człowiek ten, który piekł ciasta lepsze niż wielu cukierników, który przygotowywał przetwory mięsne wspanialsze niż te ze sklepu, był też człowiekiem serca. Zwierzęta, które go otaczały – psy, koty – były świadkami jego dobroci, jaką niósł każdego dnia.

Relacje, które dziadek Stefan budował, były głębokie i trwałe. Czułem, że jestem częścią tej niezwyklej sieci ludzkich więzi. Ludzie często odwiedzali go w poszukiwaniu rady, wsparcia czy po prostu serdecznego uśmiechu. Dziadek był dla wielu ostoją, postacią głęboko szanowaną w lokalnej społeczności.

Jednak najpiękniejszym przesłaniem, jakie od niego otrzymałem, była jego niewzruszona postawa wobec życia. Pomimo trudów, które napotkał na swojej drodze, mimo wojny, której był świadkiem, dziadek nigdy się nie poddawał. Był odważny, silny i pełen życiowej mądrości, której próbuję się nauczyć każdego dnia.

Relacje międzypokoleniowe są jak mosty łączące brzegi rzeki czasu. W jednej chwili, stojąc na jednym krańcu, jesteśmy dziećmi, które patrzą z podziwem na starsze pokolenie, chłonąc ich mądrość, opowieści i doświadczenia. Gdy przechodzimy na drugi brzeg, stajemy się dorosłymi, a czasem nawet dziadkami, przekazującymi własne nauki następnemu pokoleniu.

Dziadek Stefan był dla mnie tym mostem. Jego opowieści o trudach pracy w kopalni, o wojnie, o młodości, były jak mapy skarbu, które pokazywały mi, skąd pochodzę i kim jestem. Każda historia była drogowskazem, który pomagał mi zrozumieć świat, ludzi i siebie samego.

Były chwile, kiedy dziadek opowiadał mi o swoich przyjaciółach z młodości, o zabawach, którymi się zajmowali. Jego oczy wtedy jaśniały, a ja widziałem w nich młodego chłopaka, pełnego pasji i życiowej energii. Były też momenty smutku, kiedy dziadek wspominał o straconych przyjaciółach z czasów wojny, o trudnych wyborach, które musiał podjąć. Wtedy w jego oczach pojawiała się refleksja, głębia i pewna melancholia.

Ale niezależnie od tego, czy dziadek opowiadał o radosnych czy smutnych chwilach, zawsze czułem w jego słowach przesłanie. Przekaz, który mówił o wartości życia, o tym, jak ważne jest, aby doceniać każdy jego moment, cieszyć się małymi rzeczami i być wdzięcznym za to, co mamy.

Dziadek Stefan miał też niesamowitą zdolność do inspirowania innych. Jego pasje, jak majsterkowanie, pieczenie czy opieka nad zwierzętami, były dla mnie dowodem na to, że można żyć pełnią życia, rozwijając swoje pasje i dążąc do doskonałości w tym, co się robi. Jego postawa wobec życia pokazywała mi, że można stawiać czoła trudom i przeciwnościom losu z godnością, siłą i odwagą.

Dziadek Stefan był też dla mnie przypomnieniem o tym, jak ważne są relacje międzyludzkie. Jego przyjaźnie, które trwały całe życie, były dowodem na to, że prawdziwa miłość i przyjaźń są wieczne. Dziadek uczył mnie, że warto dbać o bliskie relacje, pielęgnować je i doceniać każdy wspólnie spędzony moment.

Za każdym razem, gdy patrzę na niebo nad moim domem, przypominam sobie o dziadku Stefanie. Chociaż fizycznie go nie ma wśród nas, jego duch jest wszechobecny w moim życiu. Jego nauki, miłość i opowieści są jak chmury – wieczne, pełne tajemnic i mądrości, które będą mi towarzyszyć przez całe życie.

Wspomnienia o dziadku Stefanie uczą mnie, że życie nie polega jedynie na wielkich osiągnięciach czy spektakularnych sukcesach. To codzienne chwile, małe gesty i nauki przekazywane z pokolenia na pokolenie stanowią esencję naszego istnienia. W dzisiejszym świecie, pełnym pośpiechu i technologii, warto przypomnieć sobie o wartościach, jakie niosą ze sobą historie naszych przodków.

Dziadek Stefan był dla mnie żywą lekcją o tym, jak ważne jest dbanie o bliskie relacje, pielęgnowanie tradycji i docenianie prostoty życia. To dzięki niemu rozumiałem, że prawdziwe bogactwo nie mierzy się liczbą posiadanych rzeczy, ale głębią doświadczeń, siłą wspomnień i nieprzemijającą miłością do bliskich.

Z każdym dniem stajemy się starsi, zbierając kolejne wspomnienia, które kiedyś przekażemy młodszemu pokoleniu. Zastanawiam się, jakie historie opowiem swoim wnukom. Mam nadzieję, że podobnie jak opowieści dziadka Stefana, będą one pełne mądrości, ciepła i miłości, inspirując kolejne pokolenia do doceniania prostych radości życia.

Niech każdy z nas będzie strażnikiem swojej rodziny, jej historii i tradycji, bo to właśnie one tworzą naszą tożsamość i pokazują, kim naprawdę jesteśmy.

## Odkrywanie tożsamości poprzez inspirującą postać – mój krewny

**Adrian Hoszowski**

Tożsamość jest jednym z najważniejszych aspektów naszego życia. To, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jakie wartości reprezentujemy, kształtuje naszą osobowość i wpływa na nasze wybory. W poszukiwaniu źródeł swojej tożsamości, często potrzebujemy inspiracji. W moim przypadku, ta inspiracja przychodzi od mojego krewnego, który jest nie tylko ciekawą postacią, ale także motywuje mnie do odkrywania swoich korzeni i wartości.

Mój krewny, Janusz, jest niezwykle postacią, która od zawsze fascynowała mnie swoją pasją do poznawania historii i kultury Polski. Jego nieustanne poszukiwanie źródeł swojej tożsamości jest dla mnie inspirujące i zachęcające do podążania własną ścieżką odkrywania. Janusz jest zapalonym genealogiem, który spędza godziny w archiwach, przeglądając stare dokumenty i badając rodzinne drzewo genealogiczne. Jego determinacja w odkrywaniu przodków i poznawaniu ich historii jest niezwykle. Dzięki niemu dowiedziałem się o naszych przodkach, którzy byli bohaterami walk o niepodległość Polski. Ich odwaga i poświęcenie dla ojczyzny są dla mnie inspiracją do dążenia do czegoś większego niż ja sam.

Janusz nie tylko bada historię naszej rodziny, ale także zgłębia kulturę i tradycje Polski. Jego pasja do poznawania polskiego folkloru, tańców i muzyki jest niesamowita. Często organizuje spotkania rodzinne, podczas których uczymy się tradycyjnych tańców i śpiewamy polskie pieśni. To dzięki niemu zrozumiałem, jak ważne jest zachowanie naszych korzeni i przekazywanie ich kolejnym pokoleniom.

Jednak to nie tylko pasja Jana do genealogii i kultury Polski sprawia, że jest on inspirującą postacią. To również jego postawa wobec życia i innych ludzi. Janusz jest człowiekiem pełnym empatii i zawsze gotowym do pomocy. Jego bezinteresowność i oddanie dla innych są dla mnie wzorem do naśladowania. Widząc, jak wiele radości przynosi mu pomaganie innym, zrozumiałem, że wartość tożsamości nie polega tylko na poznawaniu swojej historii, ale także na wpływaniu na innych i tworzeniu pozytywnych zmian wokół siebie.

Mój krewny, Janusz, jest nie tylko ciekawą postacią, ale także inspirującym przykładem dla wszystkich Polaków, którzy poszukują źródeł swojej tożsamości. Jego pasja do genealogii, kultury i tradycji Polski motywuje mnie do odkrywania swoich korzeni i wartości. Jego postawa pełna empatii i gotowość do pomocy innym przypomina mi, że tożsamość nie polega tylko na poznawaniu siebie, ale także na wpływaniu na innych i tworzeniu pozytywnych zmian wokół nas. Dzięki Januszowi, jestem bardziej świadomy swojej tożsamości i gotowy podążać własną ścieżką odkrywania.

# Jestem swoją babcią

Izabela Julke

Moi przodkowie nie byli wielkimi bohaterami. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Co więcej, historia mojej rodziny z obu stron jest owiana tajemnicą. Na moje dziecięce pytania odpowiadano raczej zdawkowo, półsłówkami. Rodzinne przyjęcia też nie były specjalnie pomocne. Zdania urwane w połowie, znaczące spojrzenia i machanie ręką tylko wzmagały moją ciekawość, aż do dziś nie w pełni zaspokojoną.

Pragnienie poznania tej historii tylko się wzmogło kiedy rozpoczęłam przygodę z harcerstwem. W tym środowisku każdy miał mamę, która zakładała hufiec i tatę, który na początku lat 90-tych gasił największy pożar w regionie. Do tego dziadkowie byli w AK albo w Szarych Szeregach. Wszystkie rodziny były ciekawsze od mojej, a tymczasem ja najczęściej słyszałam, że jestem wypisz-wymaluj Babcia Jadzia. Być może coś się zmieniło przez ostatnią dekadę lub dwie. Kiedy ja byłam nastolatką na przełomie wieków, nie znałam nikogo, kto chciałby być sobowtórem, nawet młodszym, otyłej, dość zgryźliwej i upartej kobiety. Podczas gdy na szczytach list przebojów królowały Britney Spears i Jennifer Lopez, absolutnie żadna dziewczynka z klasy nie marzyła o tym, by być Kathy Bates.

Na domiar krzywdzącego, w moim ówczesnym mniemaniu, porównania Babcia Jadzia mieszkała trzysta kilometrów dalej. Każda wizyta wiązała się z wczesnym wstawaniem w wolny dzień, chorobą lokomocyjną i kilkoma dniami nudy. Przecież Babcia Jadzia, seniorka mojej nieciekawej rodziny, nawet nie mogła mieszkać gdzieś na wsi jak inne babcie. Musiała się uprzeć na nudne mieszkanie, w którym niczym nie wolno się bawić, na nudnej Pradze, po której nie wolno samemu chodzić.

Lata mijały. Napisałam maturę nie wiedząc dlaczego babcia nie ma dziadka. Zdałam egzamin wstępny na studia nie znając chociaż imion dalszej rodziny. Irytujące porównania do Babcji Jadzi były coraz częstsze i coraz mniej zrozumiałe. Cóż takiego ja, młoda, pełna energii i pasji dziewczyna, mogę mieć wspólnego z opryskliwą kobietą, która zawsze jest przekonana o swojej racji?

Sytuacja zaczęła się zmieniać, kiedy Babcia Jadzia odeszła. Mogłoby się wydawać, że wraz z jej ostatnim oddechem ludziom dookoła zaczęły się powoli rozwiązywać języki. W końcu niektóre zdania zostały dokończzone. Znaczące spojrzenia zmieniły się w prawdziwe słowa! To dalej nie była cała historia, wciąż tylko strzępki narracji i sterylne fakty pozbawione kontekstu, ale wystarczyły na tyle, by chociaż trochę poznać i usiłować zrozumieć kobietę, która, mówiąc kolokwialnie, działała mi na nerwy całe życie. Dwadzieścia dwa lata zajęło mi dowiedzenie się tego, co można zawrzeć w kilku zdaniach.

W 1939 roku mała Jadwiga miała tylko 11 lat, kiedy bomba uderzyła w jej rodzinny dom. Część mieszkańców zginęła na miejscu. W nadchodzących głodnych i chłodnych latach, Jadwiga stopniowo przejmowała rolę opiekunki, żywicielki, a w końcu matki i ojca swojego

młodsze rodzeństwa. Po wojnie, postrzegana jako panna z dwójką dzieci, jakimś cudem (a może po prostu ogromną determinacją?) zdobyła wykształcenie i rozpoczęła karierę zawodową. Karierę zawodową. Panna. Z dwójką dzieci. W latach pięćdziesiątych. Nudne, czyż nie?

Kiedy rodzeństwo się usamodzielniało, Jadwiga z determinacją rozwijała się zawodowo by w trudnych czasach powszechnego niedostatku zapewnić całej swojej rodzinie godne życie. Jej inteligencja, spryt i zawziętość przyniosły jej, kobiecie, dyrektorskie stanowisko w jednym ze śląskich przedsiębiorstw, w przemyśle zdominowanym przez mężczyzn. Gdzieś w między czasie poznała człowieka, którego genealogia nazwie moim dziadkiem, zaszła w ciążę i... Gdyby to była bajka, mogłabym napisać już tylko, że żyli długo i szczęśliwie. Niestety to nie jest bajka, a historia lubi się powtarzać.

„Dziadek” okazał się niewiernym alkoholikiem. Pani Jadwiga, niezależna kobieta, której nieobce były trudy życia, wolała znowu zostać panną z dzieckiem niż udawać, że akceptuje kolejne zniewagi męża. Dla bliskiego otoczenia rozwód okazał się bardziej skandalizujący niż cudzołóstwo. Powrót do nazwiska panieńskiego i przekazanie go pierworodnemu synowi przypieczętowały wyrok opinii publicznej - roszczeniowa, oderwana od rzeczywistości, dumna. Tylko tyle i aż tyle udało mi się poskładać z tej rozsypanki. Zostało kilka luźnych elementów, które nijak nie pasują do całości, a które sugerują, że mało w tej historii radości i szczęśliwych zakończeń.

Wraz z każdym nowo nabytym doświadczeniem, z coraz większym szacunkiem patrzę na Babcię Jadzię, której ktoś wyświadczył tym pseudonimem niedźwiedzią przysługę. Panna Jadwiga, jak myślę o niej teraz, była żywiołem, niepowstrzymaną siłą natury, kompetentną i zdecydowaną by żyć na własnych warunkach. Zabrakło jej tylko szczęścia do ludzi i czasów, w których się urodziła.

Moment zwrotny w mojej relacji z panną Jadwigą nastąpił całkiem niedawno, prawie dekadę po jej śmierci. W trakcie zabawy ze sztuczną inteligencją, na pół z ciekawości, a na pół z próżności, postanowiłam sprawdzić jak będę wyglądać na starość. Podobieństwo było tak uderzające, że na moment zaparło mi dech. Na ekranie telefonu nie pojawiło się selfie z algorytmem starości tylko koloryzowana wersja jednego z portretów Jadwigi. W mojej głowie obrazy sprzątanania mieszkania po jej śmierci nałożyły się z niedawnym sprzątaniem mojego własnego lokum. Bezwiednie powielalam jej schematy odkładania projektów na później, pisania listów, katalogowania zdjęć i układania książek. Mam wysokie stanowisko w „męskiej” branży. I tak, zwykle mam rację! Nagle, tak często słyszane „rządzisz się jak babcia” nie brzmiało już jak obelga, tylko największy komplement.

Tak bardzo jesteśmy podobne. Lata milczenia, zarówno jej jak i reszty rodziny sprawiły, że ciężko mi to było zauważyć, a co dopiero zaakceptować z należytą dumą. Dlatego tak bardzo jesteśmy różne. Ja, Izabela Jadwiga Julke, opowiem moim potomkom o wszystkim, niezależnie od konsekwencji. Pozostaje mi mieć nadzieję, że zechcą słuchać.

17.

## Ustrońskie strofy

Adam Donczew



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

# Niezwykły samouk

## Alicja Karniej

„Nie znać historii, to być zawsze dzieckiem”, mawiał Cyceeron. Będąc admiratorką złotych myśli, postanawiam bliżej poznać historię życia malarza, mego dziadka, syna rzemieślnika. Nie znałam go, urodziłam się po jego śmierci. W domu rodzinnym wisiał jeden z jego obrazów. Akt kobiety zniknął, co się później z nim stało, historia rodzinna milczy.

Współwiczająca na zajęciach mówi, że na wystawie „Kobieta w malarstwie polskim” wisi „Portret dziewczynki” z 1926 roku, podpisany moim nazwiskiem. Ciekawość bierze górę, rzeczywiście, to jest obraz namalowany ręką mego dziadka.

Któregoś dnia wpada mi w ręce „Toruński słownik biograficzny”. Ze zdumieniem odkrywam, że w 1986 roku powstała praca magisterska na temat życia i twórczości mego dziadka. Dlaczego ja o tym nic nie wiem, muszę ją zdobyć. Zaczynają się schody, nie znam adresu ówczesnej studentki, a bez jej wiedzy, uczelnia nie przekaze mi kserokopii wspomnianej pracy. Ale...jest furтка, jeżeli promotor udzieli mi zgody, to uczelnia prześle mi stosowne strony. Ten cień niepokoju, czy uda mi się sprawę załatwić do końca. Mam szczęście i to duże. Promotor żyje, uczelnia przesyła kserokopię wspomnianej pracy, wystarczy oprawić strony i cieszyć się pomyślnym zakończeniem. Zastanawia mnie tylko fakt, dlaczego w pracy nie ma żadnej wzmianki o sukcesie dziadka, który w Wilnie za „Portret żony” w 1924 r. otrzymał „Mały Złoty Medal”.

Postanawiam wyłuskać z tej pracy najważniejsze informacje i spróbować je opublikować. Szczęście mi dopisuje. Stosowne wspomnienia ukazują się w lokalnym wydaniu gazety ogólnopolskiej. Nawiązuję kontakt z muzeami w Toruniu i Bydgoszczy, proszę o zdjęcia obrazów przodka, moja kolekcja pamiętek po nieznanym dziadku rośnie.

Nadarza się okazja wyjazdu do Wrocławia. W programie wycieczki jest wizyta w Muzeum Narodowym. Dochodzi do śmiesznej sytuacji, grupa podziwia dzieła Abakanowicz, ja w zawrotnym tempie poszukuję obrazu dziadka. Jakaż ulga...jest, mogę się sfotografować z babcią. Stoję przed wspomnianym wyżej obrazem „Portretem żony”. Emocje nie do opisania, w muzealnej przestrzeni spotkanie babci, dziadka i wnuczki. Dyrekcja muzeum zgadza się na umieszczenie tego zdjęcia w mediach społecznościowych, ale...jednocześnie ogłasza konkurs i publikację zdjęć zwiedzających na tle wybranych obrazów. Wysyłam zamówienie na wykonanie reprodukcji tego obrazu, oczywiście w mniejszym formacie. Replika dzieła wisi na czołowym miejscu w moim pokoju. Rośnie apetyt na kolejne emocje, związane z osobą dziadka.

Odzywa się posiadacz grafiki wykonanej węglem i piórkiem, nabytej w pewnym antykwariacie na przedmieściach Chicago. Podpis i data nie budzą wątpliwości, to jest dzieło dziadka. Z głębi kraju pisze właściciel namalowanej przez dziadka kobiety z różami. Zaczynam się zastanawiać, ile jeszcze rzeczy nie wiem o dziadku, co jeszcze odkryję. Człowiekiem targa niepewność, co czeka go za zakrętem. A widok ten może być bardzo ciekawy.



Pięć lat temu udzielałam wywiadu znanej osobie. Po tej rozmowie towarzyszy mi uczucie dyskomfortu. Dziennikarz nie podważa żadnego, dosłownie żadnego słowa z mej historii, umieszcza nawet post i zdjęcia na swoim profilu, ale...ja czuję się niezręcznie, nie mając namacalnych dowodów, że jestem wnuczką tego malarza. Postanawiam działać, czas goni. Nawiązuję kontakt z genealogiem z Wilna. Jak się okaże, będzie to strzał w dziesiątkę. Mam parę dokumentów, związanych z osobą dziadka, jak i innych członków rodziny. Jakież to emocje targają człowiekiem, mając w ręku akt chrztu, podanie o wydanie dowodu osobistego czy zaświadczenie, że dziadek jest członkiem rzeczywistym Wileńskiego Towarzystwa Artystów Plastyków.

Kolejnym krokiem jest przekazanie wszelkich pamiątek po sławnym dziadku do miejscowego archiwum państwowego. Efektem jest wystawa plenerowa „Dotyk pamięci”, zorganizowana z okazji Dnia Archiwisty. Przyznaje, że takiego obrotu sprawy nie byłam w stanie przewidzieć.

Co się dzieje w tzw. międzyczasie? Odkrywam, że na wileńskiej Rossie znajdują się groby moich krewnych: brata dziadka, Romualda oraz samego pradziadka, Józefa. Od warszawskiego historyka otrzymuję mapkę z dokładnym opisem, jak dojść do tych grobów. Wystarczy pojechać do Wilna. Niestety, spełnienie marzenia muszę odłożyć na czas nieokreślony. Koronawirus rządzi światem, plany biorą w łeb. Wycieczka odwołana, muszę uzbroić się w cierpliwość. Czekam półtora roku, wreszcie zbliża się upragniona chwila, godzina zero. Wycieczka zmierza się z historią Piłsudskiego, a samozwańcza, ośmioosobowa grupa ósemka z organizatorem wycieczki na czele szuka grobów moich przodków. Następuje historyczny moment, mogę zapalić świeczki na grobach nieznanym krewnym, położyć kwiaty czy zmówić modlitwę. Wysyłam podziękowanie dla historyka. Ten odpowiada „Bardzo dziękuję za informację, cieszę się, że udało się tak dobrze odnaleźć nagrobek. Jest to dla mnie bardzo miłe, jak wiem, że moja praca nie idzie na marne”.

Ale to nie wszystko. Wybieram się na kolejną wycieczkę objazdową: nadrzędnym celem będzie wizyta w toruńskim muzeum. Co innego mieć zdjęcia obrazów, a co innego zobaczyć je w muzealnej scenarii. Jestem umówiona z kustoszka na konkretny dzień, ale...organizator zmienia program wycieczki, zamienia dni. Grupa zwiedza muzeum pierników, a ja siłą rzeczy muszę odłączyć się od niej i choć przez chwilę przyjrzeć się obrazom dziadka. Wyścig z czasem, na szczęście kustoszka jest na miejscu, proponuje nawet wspólne zdjęcie w tak ważnym dla mnie miejscu. Muszę definitywnie stwierdzić, że szczęście mi dopisuje, a mając dużą dozę cierpliwości, można dotrzeć do miejsc i rzeczy pozornie nieosiągalnych.

Chętnych do poznania losów malarza Edwarda Karnieja, zapraszam do lektury mojego wpisu na <https://odeszli.pl/miejsca-pamieci/5fa3d75fd44b871a6377e014,edward-karniej>

Wnuczka

# Każdy z nas jest mapą

Patryk Kijanka

Pochylając się nad tematem naszych przodków oraz zasadności badania własnych korzeni przypomniała mi się pewna animacja wytwórni Disneya z lat 90, która przedstawiała losy greckiego herosa – Herkulesa. Główny bohater już bowiem jako mały chłopiec czuł, że w znacznym stopniu różni się od swoich kolegów. Wyróżniała go bowiem nadludzka siła i odwaga, którą zawdzięczał boskiemu pokrewieństwu. Poczucie obcości, które rosło w nim w okresie dojrzewania zostało dostrzeżone przez ludzkich opiekunów, którzy wyjawili mu prawdę dotyczącą jego prawdziwych korzeni. Kultowy utwór stanowiący muzyczny motyw przewodni animowanego filmu, a więc „Droga mi nie straszna” stanowi przesłanie Herkulesa, który postanawia wyruszyć w wędrowkę na boski Olimp po to by odkryć swoją prawdziwą tożsamość. Czy każdy z nas niczym mityczny heros nie nosi zatem w sobie pewnej tajemnicy przeszłości, którą możemy odkryć jedynie udając się w podobną metaforyczną podróż podążając śladami naszych przodków?

## **DOLNY ŚLĄSK – POWOJENNY, MIGRACYJNY KONGLOMERAT**

Koniec II wojny światowej przyniósł nowy ład, uwzględniając także geograficzny kształt granic państw - ustalony bez udziału przedstawicieli Rzeczypospolitej na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku. Z tego powodu część ludności polskiej utraciła bezpowrotnie swoje domy znajdujące się na Kresach Wschodnich, które zostały włączone do ZSRR. Był to w istocie dramat wielu ludzi, którym nie dane było wrócić do rodzinnych gospodarstw – często po wielu latach walki z okupantem o wolność. Z tego powodu niektórzy nigdy nie wrócili do Polski – na myśl przychodzą chociażby solidarni żołnierze generała Andersa. Inni próbowali z kolei znaleźć swoje nowe miejsce w powojennej Rzeczypospolitej – m.in. na ziemiach byłego Królestwa Prus przyznanego naszemu krajowi w ramach terytorialnej rekompensaty. To właśnie z tego powodu badając korzenie moich dziadków, którzy większą część swojego życia spędzili w dolnośląskim Wałbrzychu mogłem dokopać się do wielu interesujących faktów.

## **1 WRZEŚNIA 1939 ROKU – DZIEŃ ROZPOCZĘCIA NIEMIECKIEJ AGRESJI, LECZ NIE TYLKO...**

Pragnę podkreślić, iż II wojna światowa w istocie od zawsze stanowiła w mojej rodzinie temat poddawany częstej analizie i dyskusji. Nie mogło być inaczej, zważywszy, iż moja babcia (matka ojca) Janina Kijanka z domu Kocemba urodziła się niezwykle symbolicznego dnia – 1 września 1939 roku w polskiej rodzinie w Belgii. Udało mi się odszukać informację, iż ojciec babci, a mój pradziadek Stanisław Kocemba pochodził ze wsi sąsiadującej z Wadowicami. Zarówno emigracja do Belgii, jak i powojenny wyjazd na Dolny Śląsk był związany z podjęciem pracy w górnictwie w tych miejscach. Podobnie jak dziś - pogoń za pracą i chlebem była naj-

częstszym powodem wyjazdu z rodzinnych stron. Babcia Janina będąca nauczycielem, a także karkonoskim przewodnikiem turystycznym zaszczepiła we mnie pasję do wędrówek, lecz także historii. Często opowiadała mi o swoim dzieciństwie, latach młodości oraz korzeniach swoich rodziców. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że starsi ludzie zamieszkujący Dolny Śląsk bardzo lubią podkreślać swoje pochodzenie, myślę, że jest to związane z misją zachowania własnej tożsamości i pielęgnacji pamięci o rodzicach, których los zmusił do opuszczenia rodzinnego domu. Podobnie było z moim dziadkiem – mężem wspomnianej babci Janiny, którego bliscy pochodzili z obwodu lwowskiego.

### **FOTOGRAFIA W PUDEŁKU**

Losy rodziny od strony mojej mamy również stanowią pochodną wydarzeń będących następstwem II wojny światowej. Mama mojej babci – prababcia Marianna Kielan (z domu Sendrowicz) pochodziła ze świętokrzyskiej wsi Samborzec. Przez całe życie prababcia wspominała o swoim młodszym bracie Stefanie - polskim żołnierzu, którego powojenny los był nieznanym. Pewien czas temu w mojej rodzinie zaczęto odtwarzać drzewo genealogiczne. Okazało się, że natrafiono na ślad Stefana Sendrowicza, którego najprawdopodobniej zamordowali radzieccy okupanci już na początku wojny. We wsi Samborzec znajduje się Pomnik Ofiar II wojny Światowej, a na tablicy imiennej można znaleźć jego imię, nazwisko, a także wiek – 23 lata. W albumie z fotografiami rodzinnymi do dziś znajduje się jego jedyne zachowane zdjęcie (w wojskowym mundurze). Bezcenny ślad pamięci zachowany po młodym człowieku, który pewnie tak samo jak ja pragnął żyć i cieszyć się młodością.

### **ZACHOWANA TAJEMNICA**

Zawsze ciekawiła mnie także historia mojego dziadka, ojca mamy, który pochodził z Poznania. Wiadomo jedynie tyle, że jego rodzice byli wysokimi urzędnikami, których Niemcy zamordowali prawdopodobnie w wyniku akcji związanej z unicestwieniem poznańskiej inteligencji. Dziadek jednak nigdy nie chciał poruszać tego tematu. Tajemnicę zabrał do grobu.

### **DROGA NAM NIE STRASZNA**

Czy tego chcemy, czy nie – każdy z nas nosi w sobie pewnego rodzaju bogactwo stanowiące wypadkową zarówno aspektów fizycznych (zapisanych w naszych genach), jak i niematerialnych (związanych z historią naszych przodków). To właśnie one tworzą fundamenty pozwalające w lepszym stopniu odkryć i zrozumieć naszą własną tożsamość. Każdy z nas jest zatem swego rodzaju mapą, która prowadzi do skarbnicy naszych korzeni. To jednak od nas zależy, czy znajdziemy w sobie potrzebę, by przestudiować jej legendę. W tej wędrówce czasem celem jest sama droga – do zrozumienia siebie. Idąc na skróty, lub dając się ślepo prowadzić urządzeniom GPS możemy łatwo zgubić trasę prowadzącą do zrozumienia naszej tożsamości. Nie dajmy się zatem sterować bezrefleksyjnie. Sądzę, że sumiennie wertując mapę własnych korzeni możemy odkryć wiele niespodziewanych miejsc. Posiada to w moim odczuciu znamiona niezwyklej przygody. Weźmy przykład z Herkulesa – niech droga nie będzie nam straszna. Może być naprawdę ciekawie.

Patryk Kijanka

# Stąd jestem

Martyna Polny

Za bohatera uznaje się tylko tych, o którym uczy się w szkole na lekcjach historii, nakręcono film, napisano książkę albo zdobył Pokojową Nagrodę Nobla. Oczywiście, nie umniejszając żadnemu z nich – to prawda, dokonali w swoim życiu wielkich czynów i tego nie można im w żaden sposób odebrać. Jednak nie można też zapomnieć o przyziemnych – bliższych – bohaterach, o których uczymy się mniej, a wiemy o nich tak wiele.

Uważać to można za drobnostkę, małą błahostkę, która jest oczywistą oczywistością tak wyrazistą, że wszyscy o niej zapominają. A przecież jest ona najważniejszą osobą – przynajmniej, w moim życiu na pewno. Mam na myśli: mamę. Każdy z ludzi ma swoją matkę i każdy też jest z nią związany w sposób wyjątkowy i indywidualny. Wraz z moimi braćmi mamy naszą i choć ją bardzo kochamy, choć czasami mamy jej dosyć, choć jej śmiech zmusza nas również do bezwładnego śmiechu aż popękają nam policzki, i choć tak wolno i spokojnie, beztrudnie i w cieple mijają przy niej czas – tak każdy z nas kocha ją inaczej. Tak samo mocno, lecz na inny sposób. Jedno spędza z nią więcej czasu, drugie więcej z nią rozmawia, a trzecie więcej o niej myśli i się martwi.

Moim zdaniem świat jest wielki, jednak przy mamie ten olbrzym staje się wielkościami moim domem – małą, niedostrzegalną kropką na globusie. Tu gdzie sentyment wyświecła mi w głowie eony wspomnień. Gdzie wiem jak wejść bez klucza – nie potrzebuję go, bo te drzwi tutaj są dla mnie zawsze pozostawione otwarte. Z chwilą przeprowadzki uznałam, że nie liczy się w domu cztery ściany i dach, budynek pozostanie zawsze budynkiem, a domowe ciepło podaży zawsze za naszym śladem. Już w tej chwili wiem, że właśnie stoję krok od wylecenia z gniazda, a za każdym razem, gdy wrócę będę się uśmiechać tak szeroko jak za każdym razem razem moi bracia podczas pobytu w domu. W domu pełnym cudownej harmonii, nad którym sprawuje władzę – nie kto inny – jak nasza mama.

Gdybym miała powiedzieć, że jest cudowną kobietą, od razu musiałabym przyznać, że to byłoby za mało, aby w ten sposób ją opisać. Trzeba by było zebrać wszystkie synonimy tego słowa, włącznie z ich przetłumaczonymi formami z innych języków, aby zobrazować jakim dobrym człowiekiem jest moja mama. Byłby to opis wyłącznie pełen superlatyw, wydający się jednym, wielkim wyolbrzymieniem i idealizacją – jednak tak samo jak w legendach kryje się ziarno prawdy, tak samo ten obraz mojej mamy nie byłby daleki od pierwowzoru.

Dziecko kocha swoich rodziców, a szczególnie matki. Są one pierwszymi osobami, z którą zostajemy zaznajomieni w naszym życiu. Czujemy jej nierozdzielną bliskość przez długie dziewięć miesięcy, a gdy przychodzi czas rozwiązania, to w jej ramionach koimy nasz pierwszy w życiu płacz i to przy niej najlepiej milknie każdy kolejny. Moja mama nie różni się w tej kwestii od innych mam. Dbała o nas, dba o naszą trójkę nadal i dbać dalej będzie o każde ze swoich dzieci w przyszłości.

Moja mama jest przykładem poświęcenia. Bezinteresownie w swoim sercu do nas miłości. Oraz pracującym w wolontariacie ducha troskliwości. Bezinteresownie pomaga i ma umysł wypełniony po same szeregi chęciami do pomocy. Są sprawy, które ją przerastają, jednak kiedy jedno z jej dzieci potrzebuje z tym pomocy, ona nie ustąpi, nie podda się w próbach, nie da odpuścić tak łatwo. Pozostanie nieugięta, nawet gdy wie że polegnie pod ciężarem. Ale się stara, jest w końcu wojowniczką, najprawdziwszą Walkirią XXI wieku.

Mama wie, moja mama wie to na pewno, że dzieci są ważnym elementem. Są jak skarb, skrzynia wypełniona tym co daje szczęście i ten skarb chce się mieć dla siebie i mieć przy sobie jak najdłużej. Moja mama wie o tym, raz już prawie straciła jeden ze swych skarbów. Wspomina to zmiennie; z początku jest radość, bo się z nim bawi wesoło, potem jest mrugnięcie i zdziwienie, bo go nagle brakuje jej przed oczami, następnie pojawia się wołanie i strach, który nie odpuszcza nawet gdy zguba się znalazła - zdrowa, cała, jedynie z szoku przerażona – a potem następuje ulga i nowy rodzaj szczęścia, zapamiętany na wieki, bo zrodzone zmartwienie wybucha w pełni. I wciąż po latach ten obraz pojawia się jak kolec i wbija, ukazując bukiet bolesnego wspomnienia.

Moja mama ma trójkę dzieci. Kocha nas i uwielbia wbijać nam złośliwe szpilki w żebra, ale robi to z miłości. I my także stosujemy tę akupunkturę. Jednak, gdy ona pozostaje dla nas uczynna, u nas piętrzy się wobec niej dług. Musiała przez nas przejść wiele, znosić każdy humorek, wrzask i odmawiać zachciankom. Mając pod uwagę nasze dobro, poszła na studia – mając w domu trójkę, małych dzieci, które na cały dzień zostawiała pod opieką, aby pojechać dziesiątki kilometrów na zajęcia. Starła się, walczyła, ilość nieprzespanych nocy spędzonej na nauce wie tylko ona i uzyskała wyższe wykształcenie. Nie mogli już patrzeć na nią z góry, uważać że ona mało wie, nie zna się na tym, bo nie ukończyła studiów. I mogła zachować swoją pracę – mało płacną, mało prosperującą oraz z mało sumienną kadrą innych pracowników; ale wciąż dochodową.

Bohaterowie tacy jak ona są wszędzie. Nie noszą oni masek jak w komiksach, tylko zwykłe codzienne ludzkie twarze. Są tak widoczni, że umysł zapomina o nich, omija ich, ale to nie znaczy, że nie są ważni. To właśnie ci najważniejsi kryją się pod latarnią. O tych bohaterach nie napiszą nawet złamanego słowa w książkach ani nie dadzą roli statysty w filmie – o nich mówimy my sami. Prowadzimy z nami wywiady każdego dnia, a fakt, że mam moją mamę każdego jednego dnia na wyłączność sprawia, że jestem szczęśliwsza z każdą sekundą.

## Heroizm dnia codziennego

**Kamil Pawełszek**

Pamiętam, jak pokłóciłem się z matką o to sformułowanie. Byłem młody. Liczył się dla mnie pęd, tętent kopyt dosiadanego konia, niosącego mnie w życie, marzenia do zrealizowania i bitwy do wygrania.

– A gdzie heroizm dnia codziennego? – zapytała, wbijając mi szpilę. I zadając ćwieka na resztę moich dni. Moja Matka, Genowefa Pawełszek z domu Łowczynowska, potrafiąca biegle łączyć słowa w nietypowe związki wyrazowe, co przez wieki zwykło się nazywać poezją. Lubiąca niczym jej ojciec, robić sobie przerwę od pracy i kłaść na łące, by spoglądając w niebiosy słuchać, jak wszystko wokół rośnie.

– Nie wiesz, jakie myśli podczas pracy w ogrodzie przychodzą mi czasem do głowy. Wielkie myśli, wielkie wiersze – powiedziała.

Nie wiem. Zwykle ich nie zapisywała. Wejdźmy w czasoprzestrzeń, rozsuńmy ją, jak ciężką zasłonę myśli skrywającą, i spróbujmy je w niej odnaleźć.

Lata sześćdziesiąte. Piętrowy dom w nadmorskim Niechorzu. Data? Niech będzie trzeci maja. I milicjant dobijający się do drzwi.

– Obywatelu Łowczynowski! Co robi ta flaga nad drzwiami? – pyta milicjant, wskazując palcem na targaną morską bryzą biało-czerwoną.

– Jak to co, wisi – Adolf Łowczynowski spodziewał się tych odwiedzin. Był już przyzwyczajony. Co roku, właśnie trzeciego maja odwiedzał go milicjant.

– Ale święto było przecież pierwszego.

– Drabina mi się połamała, ściągnąć nie mogę. Proszę samemu zobaczyć. I dlatego flaga została. Ale przecież nikomu nie szkodzi – milicjant odszedł klnąc pod nosem a flaga powiewała dalej, nic sobie nie robiąc, że targa nią wiatr w zakazane święto.

Wieczorem Adolf spotka się ze swoimi trzema braćmi, przy odświętnym stole. W pokoju, gdzie bił wielki, stary zegar a ze ściany spoglądały malunki świętych. Gdy zapadnie mrok, zasłoni się okna, a dzieci zostaną ułożone do łóżek. Taka była zasada, o przeszłości nie opowiada się przy dzieciach. Mogą potem coś chlapanąć w szkole i będzie trzeba iść, wyjaśniać. Wszystkie już spały, oprócz Genowefy, ukrywającej się pod tym okrytym obrusem stołem. To była jej pasja. Zdobywanie strzępków informacji z rodzinnych opowieści i łączenia w fabułę, taką, jak w uwielbianych przez nią książkach. A było tych opowieści wiele. Bo przecież pochodzący z okolic Nowogródka Łowczynowscy legitymowali się właśnie ułańską fantazją.

– My są szlachta – powiedziała niedawno jedna z ciotek Genowefie. A ona tak bardzo chciała się dowiedzieć, co to znaczy? Więc słuchała, jak sama będzie opowiadać, z wypiekami na policzkach, tych rodzinnych opowieści, w których ożywały dawne strzelaniny i pogonie.

– Pamiętacie, jak sunęliśmy saniami przez pole? Ruscy strzelają z jednej strony, Niemcy z drugiej, a my środkiem prując do nich – zapytał jeden ze stryjów. Adolf tylko skinął głową.

– Piękne czasy. Wypijmy za nie. Sursum corda – powiedział wznosząc szklanicę.

– Sursum corda- powtórzyli bracia. Czyli „w górę serca”. Adolf podczas okupacji ukrywał się u znajomego księdza. Przez lata nauczył się na pamięć łacińskiej mszy. Po wojnie, ksiądz i Adolf zostali aresztowani przez NKWD. Dosolono im jakieś długie wyroki. Ale jedna z ciotek, co podobno było wtedy na wschodzie powszechną praktyką, wykupiła obu z więzienia. Za złoto. Sursum corda-w górę serca- pozostało jednak jako rodzinne zawołanie i toast. A przecież tak ciężko trzymać je wysoko. Minęło zaledwie dziesięć lat od momentu, kiedy ich rozkułaczono. Drugi raz. Pierwszy raz był na wschodzie, kiedy rodzinie przyszło porzucić wielki majątek ziemski i ruszyć pociągiem, na zachód, wioząc ze sobą tyle dobytku, ile udało im się spakować. Ukryte w walizkach jakieś szpargały, maryjny szkaplerz, niepewność i właśnie heroizm dnia codziennego, trudnego dnia. Drugi raz przyszła po nich bezpieka już na ziemiach odzyskanych. I wyrzuciła Łowczynowskich na siarczysty mróz, by w miejscu prowadzonego przez Adolfa gospodarstwa utworzyć PGR. Dwuletni brat Genowefy, Bolesław, złapie zapalenie płuc i już nie wyzdrowieje. Kiedy Adolf wtedy usłyszał buty esbeków skrzypiące na śniegu, pomyślał, że podczas kolejnej rewizji będą szukać pistoletu. Bo Adolf miał pistolet, który zabierał ze sobą, kiedy gdzieś zniknął na kilka dni. Pistolet był ukryty w stodole, za belką więźby dachowej. Bezpieka szukała i tam. Nie wpadła jednak na to, że drabina w stodole jest za krótka i żeby znaleźć broń trzeba szukać wyżej. Kilkadziesiąt lat później, na łożu śmierci, miejsce jego ukrycia Adolf zdradzi właśnie Genowefie. Naoliwionej i gotowej do użycia broni bezpieka nie znajdzie nigdy. A PGR-owska stodoła sponie kryjąc dowody.

W 2022 roku, trzeciego maja, Genowefa wspominała te chwile patrząc na flagi powiewające na wietrze. Ona też swoją wywiesiła, na osiedlu w którym puste okna łączy tylko, jak w piosence, odbijająca się w nich „niebieska szklanka” wieczornych wiadomości. Flagi nie wiszą, a przecież nie grozi już żadna kara, za to, żeby je wywiesić. Za to w pobliskim dyskoncie ustawiła się długa kolejka po tanią kaszankę i piwo na „grillowe święto”. Wiersze? Te można kupić na stoisku obok, w przecenie, za równowartość trzech rolek szarego papieru toaletowego. Ale przecież nikt ich już nie kupuje, nie czyta.

Czym jest więc heroizm dnia codziennego? Każdym krokiem, który trzeba uczynić w życiu, nie wiedząc, ile ich nam jeszcze zrobić przyjdzie? Tak chyba odpowiedziałyby Genowefa, podczas swojej kolejnej podróży ogrodu, by posłuchać, jak wszystko wokół rośnie. Gdy będzie dumnie, jak zwykle, trzymać głowę w górze, ale niepewnie dzierżyć kulę inwalidzką w dłoni, bo każdy krok wypełniony jest przeszywającym bólem zwyrodniałego biodra. A każdy oddech jest zatykany przez trzepoczące jak ptak, rozprute chorobą serce. A każda myśl jest jak niezapisany, wielki wiersz...

*Małeńkie szare miasteczko  
tutaj też był mój dom.  
Przemierzałam ulice z teczką,  
pełną szkolnych mądrości  
oddana jesiennym skutkom  
wiosennych radości.  
Mijały lata,  
uciekających dni  
nie warto było gonić.  
Nie było nawet końca świata.  
Znów wiosna, pełna gorzkiej ironii...*

Genowefa Pawełoszek (1950-2022)

22.

## III MIEJSCE (Ex aequo)

# Stąd jestem

Anna Rutkowska



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film



23.

# Stąd jestem

Mateusz Urbański



Kliknij w zdjęcie aby otworzyć film

## Na balkonie o zmierzchu

Olga Zegartowska

Wspomnienia to jeden z elementów dziedzictwa, tak mówią. Dla mnie pierwszym wspomnieniem pozostanie zapach szarlotki i gotowanych ziemniaków buzujących na gazie kuchni mojej babci. To nie była wielka kuchnia, ani nie była to szarlotka, którą mogli się poszczycić renomowani cukiernicy, ale zapach unosił się nad moją dziecięcą głową, niczym sekret wypowiedziany przy ledwo uchylonych drzwiach. Zawsze towarzyszyło mi uczucie, że moja babcia miała wiele takich sekretów i czasem żałuję, że część z nich zabrała ze sobą.

Kiedy Stanisława Zegartowska urodziła się w Wieliczce, blisko Krakowa, właśnie wybuchła Druga Wojna Światowa i cień zagłady unosił się nad krajem. Pierwszy incydent, w którym brała udział, jeszcze jako niemowlę, nie można nazwać inaczej niż tragicznym. Pradziadek Adam (ojciec babci) drukował nieprzychylnie najeźdźcy ulotki i, choć nigdy mu tego nie udowodnili, interesowali się nim bardziej, niż powinni. Pewnego dnia zawitali do rodzinnego domu. Jeden z żołnierzy Trzeciej Rzeszy wziął na ręce moją babcie tylko po to, by za chwilę rzucić odeskiem o bruk. Gest bestialstwa, na szczęście, nie pociągnął za sobą większych skutków poza czystą i zakorzenioną nienawiścią babci do Rzeszy, a później również Niemiec. Kiedy w gimnazjum uczyłam się języka niemieckiego, sama idea przyprawiała ją o gęsią skórkę. Nigdy nie mogłam się oprzeć, by nie porównywać tego incydentu z resztą życia mojej babci. Wypełnionego potencjałem, który niejednokrotnie był tłamszony.

Grała na instrumentach, ale nigdy nie wyszła poza granie hobbyistyczne. Umiała doskonale gotować, ale warunki życia nie pozwoliły na otwarcie własnego biznesu. Szyła ubrania, ale poza kilkoma zleceniami w młodości, nigdy nie otworzyła własnego zakładu krawieckiego. Za mąż wyszła młodo, przez co zawsze powtarzała nam wnukom, żeby się nie spieszyć, żeby wykorzystać czas, który człowiek może mieć tylko dla siebie. Słuchaliśmy, ale nie do końca rozumieliśmy. Bo jak dziesięćolatek może pojąć, że ludzie się zmieniają i czasem łamią obietnice? Że małżeństwo oznaczało dla niej zmaganie z widmem alkoholizmu, który na koniec zaowocował nieuleczalną chorobą? Moja babcia paliła. Paliła jak komin. Najczęściej papierosy „Klubowe”, jeszcze te bez filtra. Paliła nawet wtedy, gdy zdiagnozowano u niej chorobę serca. Robiła to by odreagować, by się zdystansować, jednocześnie przestrzegając każdego wnuka z osobna, by nie ważył się choćby zerknąć na papierosy. Nikt nie śmiał zabronić jej niasiadówek na balkonie, kiedy zmierzch otulał Kraków, a ludzie sennie wracali do domów. Filozoficzna godzina i, mimo upływu lat, dobrze pamiętam sylwetkę mojej babci zastygłej przy balustradzie. Papieros dymił w rękach, noga założona na nogę. To była jej walka i zapamiętałam ją jako żołnierza.

Moja babcia kochała historię. To były te rzadkie momenty, kiedy jej oczy błyszczały i całkowicie zatapiała się w innym świecie. Na potwierdzenie, jeszcze w podstawówce, odkryłam u niej niedużą biblioteczkę pełną biografii królów Wydawnictwa Ossolińskich. Pożyczałam je od niej namiętnie, a kiedy odeszła, zabrałam kilka tomów na własność. Przypominają mi o niej i pasji, którą miała dla tego, co było. Ale najbardziej pozwalają wrócić do tamtych

popołudni spędzonych w zagraconej kuchni, nagrzanego ciastem i gazem, oraz do niekończących się rozmów na temat rozbiorów Polski i obu wojen. Ponieważ moja babcia była patriotką. Ale taką, dla której historia była bodźcem do działania, nie więzieniem. Powtarzała, że z historii możemy się uczyć, ale nie możemy się w niej zaklinować. Zabawne, że to mówiła, kiedy sama po tylu latach wciąż nie znosiła brzmienia języka niemieckiego. Ale zaszczerpiła w nas, dzieciach, dumę z tego, że jesteśmy nie tylko Polakami, ale też Europejczykami. Nigdy nie omieszkła przypomnieć nam, że mieszkamy w sercu Europy, bo z jakiegoś powodu dla nas, dzieci dorastających pod koniec lat 90-tych, to nie zawsze była oczywista wiedza. Jako uczennica podstawówki, a potem gimnazjum i liceum, obserwowałam jej podupadające zdrowie. Efekt złych wyborów, ale niejednokrotnie prozaiczny brak szczęścia. W małżeństwie była przemoc, potem choroba zawisła nad każdą beztroską godziną. Niejeden podsumowałby całość jako nieszczęśliwe życie. Ale właśnie z tamtego okresu pozostał mi obraz babci jako najsilniejszej kobiety pod słońcem. A nie była przecież tak inna od reszty młodych żon, urodzonych tuż przed lub po wojnie, zakładających rodziny w erze komunizmu. Nigdy nie pracowała ani nie pozostawiła po sobie materialnego dziedzictwa, tylko wspomnienie własnej osoby i długich godzin spędzonych na rozmowach o tamtej Polsce, która w latach 90-tych już nie istniała. Historia rodziny, przy głębszym spojrzeniu, nie wyróżniającej się na tle innych polskich rodzin. Ale nieraz to w podobieństwach drzemie największa siła.

Czasem, kiedy nachodzi zmierzch, wychodzę na balkon krakowskiego mieszkania i, obserwując dymy unoszące się wysoko nad miastem, myślami wracam do mojej babci. Nie odeszła daleko, bo jej mogiła spoczywa na pobliskim cmentarzu. Spacer tam zająłby ledwie dwadzieścia minut. Ale czuję, że największym hołdem dla niej jest celebrowanie tych chwil, które były tak ważne, kiedy jeszcze żyła. Celebrowanie wolności i faktu, że człowiek zawsze może patrzeć w przyszłość z uniesioną głową. Moja babcia fizycznie nie jest już z nami od szesnastu lat, ale cząstka jej nigdy nie odeszła.

I dopóki będziemy pamiętać, zostanie tu na zawsze.

## Rozalia, czyli krewna po kądzieli, która nie miała prawa być szczęśliwą

Aleksandra Beczek

Rozalia, córka Anieli i Wojciecha, urodziła się 20 sierpnia 1874 roku w Podosiu, małej wsi na ziemi lubelskiej. Ciemne kręcone włosy, ciemne oczy, odstające uszy, równo zaczesany przedziałek, wąskie, zaciśnięte jakby w oporze usta – tak prezentuje się na zdjęciu, na którym wygląda na mniej więcej pięćdziesiąt lat.

Czy była ładna? Trudno powiedzieć. Czy jest we mnie cięń podobieństwa do mojej praprababci? Chyba najbardziej podobna jest do niej ciocia Ula, jej prawnuczka. Może też trochę moja babcia.

A czy moja historia w jakiś sposób przypomina jej historię?

Rozalia przyszła na świat w zaborze rosyjskim, więc oficjalnie była pozbawiona swej polskiej tożsamości. Czy była patriotką, czy bardziej obchodziły ją rodzinne i sąsiedzkie relacje niż oddawanie się patriotycznemu duchowi? Niestety pośród dostępnych źródeł, takich jak akta metrykalne, nie znajduję tej informacji.

Rozalia jako młoda dziewczyna musiała wiedzieć, że nie będzie jej dane poślubić tego, kogo kocha, bo w jej czasach małżeństwo było transakcją, swego rodzaju wymianą barterową. Pewnie próbowała oponować, gdy w wieku 19 lat oświadczono jej, że ma poślubić owdowiałego pół roku wcześniej i starszego od niej o 13 lat Adama, bo opowieść o tym, że go nie chciała, przetrwała w rodzinie do dziś. Ojciec „sprzedał ją” za flaszkę wódki i kilka morgów ziemi. Razem młodzi mieli pomnażać swój majątek o wspólne włości.

I tak też się stało: 25 października 1893 roku prawdopodobnie zawałił jej się świat, gdy w kościele parafialnym w Wilczyskach zawarła związek małżeński z Adamem, którego nazwisko zresztą było derywowane od słowa „kochać”(!). Stamtąd przeprowadzili się do Okrzei, znanej dzięki polskiemu nobliście, Henrykowi Sienkiewiczowi, urodzonemu w pobliskiej Woli Okrzejskiej.

Kto miał największy wpływ na zrękowiny? Czy był w rodzinie ktoś, kto rozumiał żal dziewczyny, jej gniew i smutek? Czy współczuła Rozalii jej 14-letnia wówczas siostra Anna albo 12-letnia siostra Wiktoria? Czy je też miał czekać kiedyś podobny los?

Czy mówiono Rozalii, żeby nie histeryzowała, bo nie ona pierwsza poślubia człowieka, którego nie kocha, bo taka jest kolej rzeczy?

Czy Rozalia kogoś kochała, przyrzekała komuś miłość w sercu? Tego się już nie dowiem. Mogę się tylko domyślać, że w jej życiu była taka osoba, do której tęskniła, z którą czuła niewidzialną nić porozumienia. W końcu była młoda, 19-letnią dziewczyną.

Dwa lata po ślubie Rozalia urodziła swojego pierworodnego syna. Razem z Adamem doczekali się łącznie czwórki dzieci: Edwarda, Aleksandra, Genowefy i Anny, mojej prababci.

W jakiej atmosferze wychowywały się te dzieci? Czy rodzice nauczyli je bycia szczęśliwymi? Dążenia do marzeń, ideałów, czy raczej do intratnych interesów?

W 1939 roku, zaraz po wybuchu wojny, umiera Adam, ten, którego nazwisko kojarzy się z miłością. Rozalia jest wreszcie wolna. Nie ma jednak już czasu na to, aby odzyskać utracone marzenia (a może się myłę, może jest wtedy szczęśliwą matką i babką licznej już zresztą grupy wnucząt?).

Mimo to umiera w rok po swoim mężu, w wieku 66 lat, na łożu śmierci prosząc, aby nie chowano jej w tym samym grobie, co jego. Tym razem jej wola zostaje uszanowana, bo kto ma odwagę odmówić czegoś umierającemu?

Dzięki małżeństwu Adama i Rozalii powstało wiele ludzkich żyć, wyrosła potężna gałąź drzewa genealogicznego. Ich związek zdeterminował losy kolejnych pokoleń. Gdyby nie pogwałcona wola mojej praprababki, nie byłoby mnie dzisiaj. A jednak zawdzięczam swoje istnienie czyjeś krzywdzie... Czy zatem mogę być dziś szczęśliwa?

W jakim stopniu moja babcia była podobna do swojej, gdy odrzuciła zaloty zakochanego w niej żołnierza? Czy myślała, że ten związek nie ma przyszłości, bo w jakimś stopniu czuła się od niego „gorsza”? Za swojego przyszłego męża wyszła z miłości czy bardziej z rozsądku? A może była to piękna przyjaźń? Żałuję, ale nigdy jej o to nie zapytałam.

Czy moja mama wierzy w prawdziwą miłość między kobietą i mężczyzną, gdy często opowiada tę historię z życia swojej prababci w formie zabawnej anegdoty? Jej zdaniem w kwestii wyboru męża dziewczyna nawet dziś powinna słuuchać się rodziców...

Czy los innych kobiet w mojej rodzinie był równie zdeterminowany przez wolę ich ojców? Czy miały odwagę podążać za swoimi marzeniami, powiedzieć „nie”? Dzisiaj ja znajduję się w podobnej sytuacji. Paradoksalnie nie w XIX, a w XXI wieku.

Co ja mam zrobić z tą historią, gdy dziś nie wolno mi kochać tego, kogo chcę kochać? Na razie mogę ją tylko opowiedzieć, przedłużając tym samym żywot mojej praprababci, dopowiedziawszy sobie to wszystko, czego już nigdy nie będę w stanie się dowiedzieć.

\*\*\*

Okazuje się, że tropienie dziejów przodków paradoksalnie rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Żeby naszkicować wizerunek swojego antenata, potrzeba licznych rozmów z krewnymi, „przedzierać się” przez akta metrykalne, dociekania i uważności, bo łatwo można pomylić jedną Annę Kowalską z inną.

Na jednym z popularnych serwisów internetowych, gdzie można odtworzyć drzewo genealogiczne swojej rodziny, pojawia się coraz więcej unowocześnień, w tym „ożywianie” twarzy na fotografii czy opcja opowiedzenia swojej historii przez danego przodka z wykorzystaniem sztucznej inteligencji. Brzmi fantastycznie, a jednak... gdy w ten sposób „ożywię” moją praprababcę Rozalię, z „jej” opowieści dowiaduję się, że wyszła za „miłość swojego życia”(!) oraz że dzień ślubu był „najszczęśliwszy w jej życiu”(!).

Poszukiwanie prawdy wymaga pokory i skrupulatności, jeśli chce się uniknąć zbudowania fałszywej narracji o swojej rodzinie. Nawet jeśli historia przekazywana z ust do ust ewoluuje i ma namiastkę subiektywności, prawdy o przodkach warto szukać w tradycyjny sposób, przede wszystkim poprzez rozmowę z innymi czy korzystanie z wiarygodnych źródeł historycznych. Nie warto wybierać dróg na skróty ani podkoloryzowywać rzeczywistości.

## Szukając źródła

Julia Wołowiec

Nie wywodzę się z nauczycielskiej rodziny. Nie mogę powiedzieć, że to rodzina typowo lekarska, bo oprócz psychiatrów czy dentystów tworzą ją też prawnicy, ale na pewno nie jest to rodzina nauczycielska. Pewnie dlatego moja decyzja o studiowaniu polonistyki z zamiarem kształcenia w przyszłości młodzieży była dla tak wielu bliskich mi osób... zaskakująca.

Szczerze? Sama się nieco dziwiłam. Natomiast gdy odkryłam, co stoi za moim wyborem, w jednej chwili przestałam. Ale o sobie napisałam już wystarczająco dużo. Teraz czas skupić się na kobiecie, której poświęcam tę pracę.

Moja prababcia Jadwiga Mikoda (z domu Klimaszewska) przyszła na świat 30 października 1907 roku w Szczecnie. Trudno odszukać jakiegokolwiek informacji na temat jej dzieciństwa, jednak biorąc pod uwagę fakt, że siedem lat po jej narodzinach wybuchła wojna, która trwała aż do 1918 roku, sądzę, iż życie mojej przodkini od początku było naznaczone strachem i niepewnością. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść...

Prababcia ukończyła Państwowe Pedagogium w Krakowie. W sierpniu 1929 roku przybyła do Grzymałkowa i rozpoczęła pracę w szkole, a po pięciu latach poślubiła Jana Mikodę – kierownika placówki. W 1935 roku na świat przyszło ich pierwsze dziecko- Ryszard. Para doczekała się również córki, Mirosławy, dwa lata młodszej od brata.

Pradziadkowie mieszkali w domu Antoniego Cieślickiego. Na stronie Szkoły Podstawowej w Grzymałkowie można przeczytać, że szybko zdobyli uznanie dzieci, rodziców i społeczeństwa. Podobno wkładali całe serce w pracę, co z resztą widzę oczyma wyobraźni. Zarówno prababcia, jak i pradziadek, jawią mi się jako ludzie szczerze kochający młodzież i uwielbiający ją edukować. Czas pokazał, że, istotnie, dla polskich dzieci byli w stanie poświęcić bardzo wiele.

Wrzesień 1939 roku musiał być dla Jadwigi niezmiernie trudny. Właśnie wtedy, tak bardzo kochającej kształcić młodzież, kobiecie odebrano etat nauczycielski. Co to właściwie oznaczało? Koniec pracy w szkole. Decyzja kieleckiego kuratorium była spowodowana podejrzeniami o działalność konspiracyjną. Człowiek, któremu zdawało się, że wydaje wyrok na nauczycielkę, nie był jednak świadomy, że zamiast zdusić potencjalny problem w zarodku, sam roznieca prawdziwy pożar.

Prababcia rozpoczęła organizację tajnych kompletów. We własnym domu uczyła dzieci polskiej literatury, historii oraz geografii, a pradziadek edukował je w zakresie chemii, matematyki, fizyki i języka niemieckiego. Jadwiga pozostawała w stałym kontakcie z dyrektorką konspiracyjnego Państwowego Liceum i Gimnazjum im. bł. Kingi- Marią Opiełińską. Należy podkreślić, że tajna działalność pedagogiczna była konspiracją wysokiej rangi.

W książce „Ocalić od zapomnienia” Tadeusza Jandudy można przeczytać o aresztowaniu Jadwigi Mikody. Rankiem 26 maja 1943 roku do mieszkania pradziadków wkroczyli hitlerowcy. Szukali Jana, od paru miesięcy wpisanego na listę gestapo, ale mężczyzna uciekł. Niemcy,

przekonani, że ukrył się na strychu, zaczęli strzelać w dach, który niebawem zajął się ogniem. Sąsiedzi, wypędzani ze swoich domów przez żandarmów, gasili rozprzestrzeniający się pożar, a rodzina Mikodów przeżywała dramat. Niemcy zabrali Jadwigę- matkę dwójki malutkich dzieci- ośmioletniego Ryśka i sześciolatniej Miły. Rodzeństwo, wybudzone nagle ze snu, ponoć głośno płakało, a prababcia usiadła na podłodze i zalała się słonymi łzami. Została zaarrestowana osobiście przez fanatycznie zainteresowanego działalnością pradziadków Franza Hansa Witteka, noszącego pseudonim „Szpicbródka”. Na myśl nasuwa się pytanie, dlaczego człowiek, który doprowadził do śmierci tak wielu osób, sam przez długi czas zdawał się być niezniszczalny. Jak czytamy na stronie Nasza Historia, przeżył aż jedenaście zamachów i zginął dopiero za dwunastym razem zastrzelony przez „Kajtka” (Zygmunta Firleja).

Jadwiga Mikoda trafiła do kieleckiego więzienia, gdzie była bita i torturowana. Od rodziny dowiedziałam się, że jej brat miał wręczyć wysokiemu rangą hitlerowcowi pieniądze, w zamian za które ten zobowiązał się uratować prababcie. Niestety, Niemiec zginął w przededniu umówionego spotkania, a Jadwiga trafiła do Oświęcimia.

Prababcia została przywieziona do obozu koncentracyjnego 24 czerwca 1943 roku i oznaczona numerem 46488. Mirosława Mikoda-Dereniewicz (moja babcia) w książce Jandudy wspomina o dwóch listach, które matka przysłała z Oświęcimia. Zaadresowała je na nazwisko siostrzenicy- Heleny Piskulskiej. Niestety nie zachowały się do dziś.

Rodzina przesyłała Jadwidze paczki żywnościowe. O jej śmierci nie powiadomiono nikogo z bliskich. Gdy wiadomości od prababci przez długi czas nie przychodziły, domyślono się jednak, że umarła. Dopiero po wojnie, na podstawie dokumentacji obozowej oraz zeznań współwięźniarek, rodzina utwierdziła się w przekonaniu, że Jadwiga zginęła. Jak mówi Mirosława, „dowiedzieliśmy się [...], że nasza droga Mama została zamordowana w Oświęcimiu-Brzezince w dniu 8 grudnia 1943 roku”.

Na akcie zgonu przysłanym z obozu jako przyczynę śmierci prababci podano „Kahexie bei Darmskattarth”, czyli wycieńczenie przy katarze jelit. Z wpisu „Sposób zakłamywania przez SS dokumentacji o uśmiercanych więźniach” na stronie Notatnik Historyka Nieprofesjonalnego można się dowiedzieć, że była to po prostu jedna z pozycji na liście kilkudziesięciu powodów zgonów, spośród których Niemcy wybierali, sporządzając dokumentację więźniów. W moim opowiadaniu zatytułowanym „Bohaterka, która odeszła po cichu” spekuluję, że prababcia mogła zginąć w komorze gazowej, ale jak było naprawdę, raczej nigdy już nie odkryjemy.

Dziś patronką Szkoły Podstawowej w Grzymałkowie jest moja prababcia. 14 czerwca 2022 roku Rada Gminy w Mniowie przyjęła uchwałę, a uroczystość nadania placówce imienia Jadwigi Mikody odbyła się 8 grudnia. Przyglądając się sztandarowi z wizerunkiem prababci zrozumiałam, że moje marzenia o studiowaniu polonistyki i nauczaniu nie były kwestią przypadku. Dotarłam do źródła.

## Rzeczpospolita żyje... w nim

Anna Dragan

Był dwudziesty pierwszy czerwca 1918 roku w Serebryszczach (obecnie wieś zmieniła nazwę, ale dla nas istnieje tylko ta), kiedy moja Babcia, matka licznych córek, urodziła Felcia. Dobrze, że nie mógł wiedzieć, co w dwa lata później przeżywano w pałacu. Bolszewicy zbliżali się do Chełma. Babcia oświadczyła wówczas surowo chowanym panienkom: w razie gwałtu trzeba to przyjąć, i dalej z tym żyć...

Odnaczała się konserwatywnymi, szlacheckimi poglądami, które wskazywały, o czym wypada mówić dziewczętom, a o czym z pewnością nie. Wtedy jednak spoza konwenansów wyjrzał jej mocny charakter. Felcio odziedziczył po Matce nie tylko wschodnią urodę, ale i wyrazistą osobowość. Poza tym, jak wielu z klanu Lechnickich, był człowiekiem z temperamentem.

Nawałnica przeminęła, chłopczyk rósł spokojnie wśród sióstr, kochany jako „rodzynek”. Jeździł z Ojcem linijką w pole, zachwycał się urokami wsi w ślad za Lenartowiczem. Później sam rymował w zbliżonej tonacji...

Zapisywał w rodzinnej gazecie, jacy pojawili się goście, i czy żrebaczek jest zdrowy, ale również, co wiedział o sprawach kraju. Zapewne jego Tatusz po powrocie z Sejmu coś przy chłopcu opowiadał, a ten umiał słuchać.

Dziedzic Serebryszcz, Felicjan Kajetan Lechnicki i jego przyrodni bracia, parlamentarzyści, zasilali BBWR. Było ich trzech, bez Klemensa, który poległ na froncie w 1920 roku. Popierali Piłsudskiego, ale w 1931 roku Zdzisław złożył mandat, z powodu brutalnego traktowania w Brześciu uwięzionych posłów.

Tadeusz, szalony kawalerzysta, podpułkownik, straszyl Babcie, wskazując konno przez okno do salonu w Serebryszczach. Podobnie jak bracia, zaczynał w carskim gimnazjum narodowym spiskowaniem i uczył, że nie wolno się bać. W 1917 roku tworzył w Rosji i na Ukrainie pierwsze formacje Wojska Polskiego. Był ekonomistą, wykształconym w Wiedniu i w Berlinie, pełnił wysokie funkcje krajowe, m.in. jako szef Biura Ekonomicznego Prezesa Rady Ministrów i wiceminister skarbu.

Otóż do niego, do majątku Skorczyce, wybrał się Felcio w pierwszą, samodzielną podróż koleją. Stryj przyjął go z honorami jak dorosłego, odkrywał przed nim tradycje patriotyczne Lechnickich, pokazywał pamiątki. Odnaczyło się to mocno w młodej mentalności. Chłopiec bardzo lubił czytać i miał zdolność całkowitego skupienia się na tym. Siostry sprawdzały go, pytając: chcesz czekoladę? Żadnej odpowiedzi. Od czasu pamiętnej wizyty u Stryja Tadeusza chętniej wybierał książki, traktujące o sprawach polskich.

\*\*\*



Niedługo przed maturą trafił do „Szpilek” z wierszykami na polityczne tematy. W kołach sejmowych pokazywano je sobie z uwagi na nazwisko. Kiedy dowcip dosięgnął szefa BBWR-u, Felcio musiał stawić się przed obliczami Ojca oraz Stryjów. Nakazano mu publikować pod pseudonimem. Na to kilkunastolatek:

– Panowie o czymś zapomnieli. Ja także nazywam się Lechnicki...

Później już tak będzie: strzeże rodzinnych tradycji, ale też demonstruje niezależność. W czasie trwających dwa lata studiów był aktywnym działaczem akademickich kółek piłsudczyków, oraz przekorną indywidualnością, brylującą m.in. na wieczorkach u Wańkowicza, którego nie cierpiał jego Ojciec.

\*\*\*

Hitlerowcy w kraju. Felcio, kurier, zbiera informacje. Potem przez dziewięć miesięcy, jak włóczęga, przedziera się do sił zbrojnych na Zachodzie. Jest w Anglii w kwietniu 1942. W grudniu tego roku kończy Szkołę Podchorążych – wybrał najkrótszą wersję szkolenia, żeby jak najszybciej walczyć w lotnictwie. Jednak, z uwagi na wadę oka, komisja lekarska go odrzuca. Poddaje się operacji, i jesienią 1943 roku zostaje strzelcem ogonowym w Lancasterze, bombardowcu Dywizjonu 300 Ziemi Mazowieckiej. Wkrótce, obsługując karabin maszynowy odmroził ręce, grozi mu amputacja wszystkich palców, jest w szpitalu. Na jego namolne prośby lekarze zwalniają go wcześniej – i przed końcem tego samego 1943 roku znowu lata. W styczniu 1944 odznaczony Krzyżem Walecznych.

Na swój osiemnasty, dodatkowy, dobrowolny lot wyruszył w nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1944 roku.

Nad Normandią samolot splonął z całą załogą.

Felcio miał wtedy 26 lat. Upamiętniono go na pomniku lotników polskich pod Londynem oraz w miasteczku Beauvilliers. Z czasem został przeniesiony na polski cmentarz wojskowy w Grainville-Langannerie.

Odczytałam po latach na nagrobnej płycie, którą telewizja odsłoniła w jednym z reportaży, duży napis: Klemens Felicjan Lechnicki.

\*\*\*

Od kwietnia 42 do lipca 44 nie upłynęło wiele czasu, a jednak Felcio sprawił, że wspominają go pamiętnikarze. Polityk Tadeusz Katelbach poświęcił mu książkę (szczegóły w zbiorze moich opowiadań: Szpula poplątanych nici, wyd. Marszałek, Toruń 2022). Działał m.in. w zawiązywanych z przyjacielem Stanisławem Sęp-Szarzyńskim kółkach piłsudczyków w wojsku. Zdążył też stać się znanym publicystą. Twierdzi, że emigracyjne nawoływanie do odzyskania niepodległości to frazes. – Rzeczpospolita istnieje, gdyż żyje w polskich duszach – napisał. Niemcy zwyciężyli w kategoriach materialnych, ale w prawnych obowiązuje ciągłość władzy polskiego rządu. Ojczyzna ma swoje wojsko: AK w kraju oraz siły zbrojne na Zachodzie. Żołnierze wciąż umierają za Nią.

\*\*\*

Miał wiele propozycji, które uznał za błahe wobec szansy zrzucania bomb na Niemców.  
Kariera korespondenta wojskowego, posada adiutanta prezydenta Raczkiewicza itp.  
Nie i nie.

\*\*\*

Gdziekolwiek był, tworzył wiersze – rodzaj pamiętnika.

Poza przeblaskami talentu robią tu wrażenie – jako autentyki – daty i zapisy miejsc.  
Ogromnie tęskni. Chciałby widzieć w Serebryszczach przy wspólnym stole wszystkich ocalałych,  
być porównywanym do Stryja Tadeusza, ofiarować Ojcu medale.

Jest w jego zeszytach coś o modzie na polskich lotników wśród angielskich pań. To nie  
jest miłość. On pamięta Niebieskooką, pozostawioną w kraju.

Wiersze Felcia są dla mnie, siostrzenicy, wciąż odnawiającą się rozmową.  
Zwiera mi się z tego, jak żył i co czuł...

# Stąd jestem

Julita Wojnar

—

## Stąd jestem

Kinga Gdowska

Historią mojej rodziny zainteresowałam się już w okresie licealnym. Wtedy też zaczęłam zbierać materiały i wspomnienia związane z moimi przodkami. Zaczęłam coraz częściej wypytywać moich rodziców i dziadków o szczegóły z życia dawno nieżyjącej prababki lub wujka. Moją uwagę szczególnie przykuła historia prapradziadka Romana Kubasiaka. Chciałabym ją opowiedzieć, aby pamięć o moim krewnym się nie zatarła, ponieważ zdecydowanie na nią zasługuje.

Roman Kubasiak urodził się 27 stycznia 1898 roku w Morawskiej Ostrawie na terytorium ówczesnych Austro-Węgier. Tam, przed laty, w poszukiwaniu pracy, wyjechali jego rodzice. O samych rodzicach mojego prapradziadka wiadomo jedynie tyle, że nazywali się Wincenty oraz Agata (z domu Płachciak) oraz, że w wieku 6 lat Roman został sierotą. Wczesna śmierć rodziców nie była na początku XX wieku niczym niespotykanym. Jednak myślę, że to trudne doświadczenie mogło bardzo mocno wpłynąć na życie mojego prapradziadka, jego przyszłe problemy alkoholowe i wiążącą się z tym kiepską sytuację finansową. Nie miał żadnej rodziny, która by mu pomogła, więc sam, już w tak młodym wieku, musiał zadbać o to, żeby przeżyć. We wspomnieniach pisał o tym, że stał się tułaczem, nieraz głodował i nie miał się gdzie schronić. Jego los poprawił się, gdy miał 11 lat. Poznał wtedy kupca Franciszka Kodelo, który go do siebie przyjął.

W 1914 roku Wielka Wojna ogarnęła całą Europę. Od jej rozpoczęcia aż do 1915 roku mój prapradziadek przebywał w taborze z końmi w Komarom – mieście położonym w północnej części Węgier. Tabory te należały do kupca Franciszka Kodelo, który przed laty go przyjął. Nawet będąc nastolatkiem, nie można było uniknąć poboru do wojska. W drugim roku trwania wojny mój prapradziadek został siłą wcielony do wojska austriackiego i wysłany na front rosyjski na całe 2 lata. W 1917 r. trafił na front włoski w okolicę góry Monte Santo. Gdy szukałam na mapie tego miejsca, nie mogłam go początkowo znaleźć. Po długich poszukiwaniach doszłam do wniosku, że mogło chodzić o górę Monte Santo di Lussari, która faktycznie znajdowała się w pobliżu linii frontu podczas Wielkiej Wojny (obecnie jest to region Friuli-Wenecja Julijska).

Dwudziestoletni Roman Kubasiak nie chciał służyć w austriackim wojsku. Nie czuł żadnej więzi z cesarstwem i pomimo, że urodził się na terenie Austro-Węgier, to był polskim patriotą. Postanowił razem z innym Polakiem zdezerterować z wojska. Zrobili to w iście westernowym stylu. W nocy 27 maja 1917 roku zaatakowali placówkę austriacką, a jej strażnicy ostatecznie trafili do niewoli włoskiej. We wspomnieniach Kubasiak pisał też, że „[ci] którzy się nam opierali to życiem dopłacili”. Później mój prapradziadek dostał się do Francji, a następnie na tereny obecnie należące do Polski.

Po zakończeniu I wojny światowej sytuacja polityczna w Europie nadal była niespokojna. Nowo powstałe Państwo Polskie było zagrożone z praktycznie wszystkich stron, więc weterani niedawno zakończonej Wielkiej Wojny, musieli być gotowi na walkę w obronie granic II RP. Okazja nadarzyła się niestety bardzo szybko. W 1919 roku mój prapradziadek, należąc do 47. Pułku piechoty Strzelców kresowych, został obrońcą Lwowa. Następnie wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Za wysadzenie mostu podczas jednej z bitew otrzymał order *Virtuti Militari*. O obydwu wojnach napisał w swoim życiorysie. W tamtych czasach nie mówiono o traumie powojennej czy zaburzeniach stresu pourazowego. Jednak z krótkiej notatki można wywnioskować, że doświadczenia wojenne były dla mojego prapradziadka bardzo trudne. W pewnej chwili, podczas jednej z bitew, wrogie wojska zabiły większość ludzi z jego batalionu. Kubasiak został niemalże sam i jako ochotnik zgłosił się do przecięcia drutów na barykadach oraz linii telefonicznej w okopach wroga. Został ranny, przez co w późniejszych latach w dokumentach dopisywano, że jest on inwalidą wojennym.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej szeregowy Kubasiak zamieszkał w Krakowie. Ożenił się z Zofią (z domu Grabowską). W 1923 roku przyszła na świat ich pierwsza córka, a moja prababcia Aleksandra. Trzy lata później urodziła się jej siostra Wanda. Bardzo mało wiem o losach Kubasiaków w tamtym okresie, ponieważ moja prababcia była wtedy jeszcze dzieckiem, a po II wojnie światowej podobno bardzo mówiła na temat swojej młodości. Mój prapradziadek w młodym wieku został wdowcem. Miał ukończone zaledwie 4 klasy szkoły ludowej, więc trudno mu było znaleźć stałe zatrudnienie. W pismach urzędowych niejednokrotnie skarżył się, że nie ma z czego wyżyć i utrzymać rodziny. Niestety wszystkie jego życiowe doświadczenia, począwszy od wczesnego osierocenia, przez doświadczenia wojen, aż do problemów finansowych w latach 20. i 30. doprowadziły mojego prapradziadka do problemów z alkoholem. Przeglądając stare gazety z czasów międzywojennych kilka razy natknęłam się na informacje o tym, że Roman Kubasiak wszczywał awantury i był za to kilkukrotnie karany.

Mój prapradziadek podczas II wojny światowej, podobnie jak w okresie międzywojennym, pracował dorywczo jako robotnik. Pewnego razu wracał po pracy do swojego mieszkania na krakowskim Podgórzu. Gdy przechodził obok jednej z kamienic, trwało wysiedlanie jej mieszkańców. Złapany przez Niemców dozorca, wyprowadzany na zewnątrz, zobaczył nieznanego mu Kubasiaka i, nie wiadomo dlaczego, krzyknął „on też tu mieszka!”. Mój prapradziadek został złapany przez jednego z żołnierzy i razem z mieszkańcami kamienicy trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Tam zginął 15 lutego 1944 roku.

Dla mnie historia mojego prapradziadka pokazuje przede wszystkim to, że nawet rodząc się „w złym miejscu i złym czasie” człowiek jest w stanie przetrwać wiele. Jednak, co może bardziej istotne, życiorys Romana Kubasiaka uświadomił mi, że wszystko ma swoją cenę, a powojenna rzeczywistość wielu żołnierzy w II RP wyglądała zgoła inaczej niż w propagandowych broszurach i filmach.

# Stąd jestem

**Magda Rakucka**

Każdy z nas, chodzący po tej planecie, ma swoją własną nierzadko druzgocącą historię życiową. Szereg zdarzeń, przez które przeszedł ukształtował jego charakter i sposób w który postrzega obecnie świat dookoła. Każdy człowiek na Ziemi nosi swój własny, niewidzialny plecak doświadczeń, który raz po raz ciągnie go swoim ciężarem w dół i nie pozwala wydostać się z objęć traumy przeszłości. Życie pisze dla nas różne scenariusze, nie zawsze sprawiedliwe, ale jeżeli w odpowiednim czasie zasiejemy ziarenko nadziei i będziemy je w sobie pielęgnować, wyrosnie z niego piękny kwiat, który w najgorszych momentach życia uświadomi nam, że warto się nie poddawać i iść przez życie z podniesioną głową. Takich wartości życiowych nauczyli mnie moi dziadkowie, Elżbieta i Marek, którzy w tym roku obchodzą rocznicę 60-lecia małżeństwa.

Zarówno babcia jak i dziadek, stanowiąc moją rodzinę zastępczą, ukształtowali mnie w sposób najpiękniejszy jaki potrafili. W tej chwili chciałabym poświęcić tą pracę najsilniejszej kobiecie jaką znam - mojej babci, która ponad dwadzieścia lat temu, gdy zmarła moja mama objęła mnie skrzydłem rodzicielskim i pomimo wieku zdecydowała się zastąpić najważniejszą osobę w życiu rocznego dziecka – mamę.

Elżbieta Rakucka urodziła się pewnej styczniowej nocy w małej podkrakowskiej wiosce. Już jako młoda kobieta pomagała przy gospodarstwie wraz z dziesięciorgiem rodzeństwa. Mimo trudnych czasów, w których przyszło jej spędzać młodościę lata, zawsze wspominała to z uśmiechem na twarzy. Elżbieta należała do osób, które godzinami stały w kolejkach po towary sprzedawane za kartki żywnościowe, a po powrocie do domu zajmowała się czwórką dzieci, nad którymi opieka wymagała dużego poświęcenia. Mieszkając w małym mieszkaniu radziła sobie z trudami macierzyństwa naprawdę dobrze. Duże oparcie miała w swoim mężu, który zawsze stawiał na piedestał potrzeby dzieci. Jak każde małżeństwo mieskali również słabsze momenty, w których emocje puszczały górę. Każde z dzieci w obecnych czasach jest dorosłe, wszyscy założyli już własną rodzinę i według własnych przekonań wychowywali swoje dzieci. Jednakże chciałabym wrócić do czasów, w których ja dorastałam i spojrzeć na nie oczami 50-letniej kobiety, która wychowywała dziecko syna ...

Moja mama zmarła na raka i osierociła trójkę dzieci, z których to ja byłam najmłodsza. Do rodziny zastępczej zostałam wzięta wraz z moją siostrą, która jednakże po kilku latach zamieszkała z ojcem i najstarszą siostrą. Powodów, dla których babcia Elżbieta zdecydowała się poświęcić kolejne dwadzieścia lat życia wychowując kolejne dziecko jest wiele, jednakże największym była obawa, że mój ojciec doprowadzi do tego, że my również podzielimy los mojej mamy i zostaniemy odesłani do domów dziecka. Jakie to musiało być ciężkie zadanie, ponownie wdroyć się w zmienianie pieluch małego dziecka, nieprzespane noce, choroby. I wszystko wypełnione było zmartwieniem sięgającym w przyszłość. Mój ojciec nie interesował

się moim życiem, mówię to otwarcie choć wiem jak trudne jest to dla babci, która jest jego matką. I w tym momencie pojawia się odwieczny konflikt – wychowywała dziecko swojego syna jak własne. Ojciec postanowił utopić żale i smutki w alkoholu, który wyciągał z niego najgorsze cechy. Wielokrotnie Elżbieta odbierała telefony i wsłuchiwała się w agresywne monologi Adama, którego żale wylewały się strumieniami niczym alkohol, który spożywał codziennie. Pamiętam ten strach i rozpacz, którą dało się wyczuć w powietrzu ,gdy babcia sięgała po telefon, wiedząc, że zaraz zostanie oskarżona o wiele nieprzyjemności. Mój ojciec nie pojmował, że dziadkowie nie zabraniali mi kontaktu z nim, a wręcz namawiali bym spędzała z nim czas, ponieważ “tak powinno być”. Małe dziecko wyczuwa atmosferę, wsłuchuje się godzinami w awantury, których jest źródłem – “Namawiacie Madzię, żeby nie chciała spędzać ze mną czasu! Nie potraficie jej wychować! To Wasza wina!”. Mimo tego piekła, które rozgrywało się w tej relacji ,babcia zawsze przychodziła i próbowała usprawiedliwić ojca. I do dziś ma w sobie poczucie winy ,starannie wypracowane przez niego w ciągu tych lat. Ja odciełam własną decyzję i odciełam się od toksycznej relacji, po prostu lepiej mi się żyje bez niego.

Okres wychowania dziecka był dosyć trudnym doświadczeniem dla mojej babci. Zawsze pojawiała się na wywiadówkach, na których znacząco wyróżniała się swoim wiekiem. Przez cały okres podstawówki oraz gimnazjum starała się, bym nie czuła się gorsza o swoich rówieśników. Pomimo faktu, że nie posiadaliśmy samochodu, zawsze starała się w osiedlowym sklepie kupić mi jakieś nowe ubranie lub buty. Z największą starannością przygotowywała mnie na wszelakie uroczystości i walczyła z moją odwieczną naturą bałaganiarza. Była gotowa podczas każdej choroby iść ze mną kilka kilometrów do lekarza i spowrotem. W domu nie przelewało się nigdy, w końcu dziadkowie byli już na emeryturze, a tak jak wspomniałam ojciec nie uczestniczył w moim życiu, szczególnie tym finansowym. Pomimo tego babcia Ela nigdy nie dawała po sobie poznać, że jest jej z tym wszystkim po prostu ciężko. Nigdy nie odcięła się od ojca, ponieważ zawsze wierzyła, że kiedyś się on zmieni, usprawiedliwiała jego zachowanie chorobą alkoholową, w którą de facto sam się wpędził.

W okresie gimnazjalnym babcia Ela wielokrotnie oczekiwała moich powrotów po schadzках i pełna zaniepokojenia przyglądała się moim mizernym obiektom zainteresowania. Był to chyba najtrudniejszy okres jaki wspominam - nadopiekuńcza, zestresowana babcia dzieliła pokój z młodą, dorastającą, zbuntowaną nastolatką, która wpadła w wir potrzeby “przypasowania się” oraz “akceptacji” rówieśników.

Elżbieta od zawsze cieszyła się z najmniejszego sukcesu i z uśmiechem na twarzy rozpoczynała każdy kolejny dzień, w pełni gotowa na wyzwania życia codziennego. I z takimi przekonaniem wchodziła w dorosłe życie, pełna wdzięczności i miłości dla tej kobiety, która została moją mamą.

## Stąd jestem

Monika Duraj

Moja córka obudziła się z płaczem, ponieważ śniło jej się, że babcia Hela umarła. Ze łzami w szeroko otwartych oczach zapytała: „A co jeśli umrze naprawdę?”

Zastanowiłam się. Babcia ma 95 lat i wygląda jakby miała żyć jeszcze 50 kolejnych lat. Kiedy byłam u niej ostatnim razem ubolewała, że lekarz się jej zestarzał (77 lat) i „już na nic przyszedł” oraz martwiła się, że moja mama umrze. „Hej, hej tacy ludzie już umierają” powiedziała, kiwając głową. Moja mama jest 40 lat młodsza od niej i jest całkiem zdrowa. Babcia jest już chyba ponad czasem. Zdaje się być jak narrator w powieści – jest cały czas obecna, mimo że nie bierze bezpośredniego udziału w wydarzeniach.

Urodziła się we wrześniu 1929 roku i miała dokładnie 10 lat, kiedy wybuchła wojna. Wydarzenia poprzedzające wybuch wojny: dochodzące plotki, niejasne pogłoski, zorza polarna a ostatecznie prorocstwo- sen mojej prababci, że Matka Boska huštała się na linie i rozwaląla budynki zbiegły się z tym, że babcia nauczyła się na pamięć tabliczki mnożenia oraz, jak wielokrotnie powtarzała, pisać i czytać bez błędu. Babcia potem ciągle nam przypominała, że te umiejętności w połączeniu z pracowitością, wystarczą, by przeżyć. Przeżyć godnie, sprawiedliwie i szlachetnie, bo dla babci, tej prostej kobiety z gór, to było esencją życia. Nigdy nie kradnij, powtarzała nam. „Klęknij tu zaraz, tutaj i przysięgnij Matce Boskiej, że nigdy nikomu nic nie weźmiesz” słyszałam przez całe dzieciństwo podobnie jak inne napomnienia babci. Trzeba było myć naczynia (od razu!), karmić głodnych i bardzo, bardzo szanować zwierzęta. „Pies też człowiek” mówiła babcia, kiedy z powodu psa nie chciało nam się wychodzić na zewnątrz w mroźny poranek lub deszczowy wieczór.

Czego nauczyła mnie babcia? Zastanawiałam się później cały dzień. Na pewno nauczyła mnie porządnie palić w piecu kaflowym. Rano, u babci trzeba było wziąć reklamówkę i nanieść drewna. Suchego. Cienkiego na podpałkę i tego grubszego, żeby utrzymywał się ogień. Napalić należało tak, żeby nie kopcic i żeby nie wybrudzić białych kafelków i drzwiczek. Płonące kawałki drewna należało pchać do samego tyłu i lekko uchylić drzwiczki, by dobrze i równomiernie się rozpałilo. To zabawne, że w czasach kuchenek indukcyjnych ta umiejętność okazała się być dla mnie tak niebywale ważna- na kursie przewodników górskich, w chatkach bez prądu i wody niejednokrotnie ratowałam się, paląc w piecu. Czego jeszcze? To zabawne, ale babcia nauczyła mnie, jak i całe stado swoich wnuków, pić kawę. Babcia nie uznawała kawy za napój szkodliwy, więc gdy dziecko tylko było w stanie pić samo ze szklanki dostawało mleko z kawą. Kiedy sama zostałam mamą, próbowałam ustrzec swoją córkę przed tym zbrodniczym rytuałem głośno, dobitnie i stanowczo akcentując, że nie życzę sobie podawania takiego napoju mojemu dziecku, ale podejrzewam że bez skutku. Kawa była dla babci ważna. Gdy ja byłam mała, co tydzień jechałyśmy rano do kościoła do Żywca a po Mszy zawsze babcia zapraszała mnie na kawę i ciasto. Zawsze to samo ciasto, w tej samej kawiarni, przy tej samej



uśmiechniętej Pani. „Człowiek nigdy nie jest tak biedny, by go czasem nie było stać na kawę w kawiarni?”- słyszałam wtedy.

Babcia była prawdziwą przewodniczką- co prawda tylko na małym wycinku rzeczywistości, ale spowodowała, że ten wycinek stał się piękny i ważny. Opowiadała mi sporo o górach i tradycjach. W jej opowieściach nie było nic wulgarnego, krzykliwego. Jej opowieści nie przypominają jarmarczego folkloru. Dziady, które chodziły po przyżywieckich wsiach na Nowy Rok były przede wszystkim straszne. Kierpce były powodem do wstydu, że nie ma się trzewików, nie były podstawą do rubasznych piosenek. Droga w Wielkim Poście na bosaka do Kościoła była przede wszystkim długa. A praca w polu uciążliwa. Kiedy babcia mówiła o swojej pracy, czułam palące słońce, zmęczenie od pracy na nieurodzajnych górskich polach i czułam lęk, że ukąsi mnie żmija zygzakowata. Bo babcia nienawidziła żmij i tą nienawiść próbowała na nas przelać.

Dużo myślałam jakie to szczęście, że mam babcię, a moje dziecko prababcię. Dzieciństwo przy niej napełniło mnie poczuciem bezpieczeństwa i dało mi przekonanie, że kluczem do szczęścia jest proste, uczciwe życie. Dzięki niej pokochałam góry, które stały się moją pasją i ostatecznie zamarzyłam, by zostać przewodnikiem górskim. Dzięki niej wiem kim jestem, bo w opowieściach starszych ludzi jest ukryty prawdziwy diament, prawdziwy skarb – poczucie tożsamości i przynależności.

Postanowiłam ją odwiedzić i specjalnie dla niej kupiłam bryndzę. Babcia lubi bryndzę. Kiedyś, zawsze to opowiadała, dała na hale owcę z piękną, mięciutką, białą wełną. Jednak kiedy minęło lato i przyszła jesień, oddali jej inną owcę, tłumacząc że tamta, szlachetną, zeżarły wilki. Babcia czuła się bardzo oszukana i teraz, kiedy je chleb z serem i powoli popija kawą, po raz setny opowiada mi tą właśnie historię.

– Jakie miałeś życie, babciu? – pytam.

– Bardzo dobre, dziecko, gdyby mi było przyszło żyć jeszcze raz, nic bym nie zmieniła.

# Odziedziczona tradycja: o moim przodku, o pochodzeniu i tożsamości

Wioletta Boćkowska

W dzisiejszym świecie, gdzie globalizacja zdaje się zmniejszać znaczenie naszego pochodzenia, zachowanie świadomości genealogicznej i tradycji staje się ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Moje korzenie sięgają daleko wstecz, a historia mojego przodka jest jak otwarta księga, która kształtuje nie tylko moją tożsamość, ale również moje postrzeganie roli jaką pełnię jako obywatel i patriota.

Przodek, którym się interesuję, to mój pradziadek Jan. Urodził się w małej wiosce na polskiej wsi pod koniec XIX wieku, w czasach, gdy Polska była pod zaborami. Mimo trudnych warunków życia i opresji politycznej, zawsze walczył o zachowanie swojej polskości i języka ojczystego. Dziedziczona tradycja opowiada, że był aktywnym uczestnikiem ruchu niepodległościowego, co wzbudza we mnie ogromny szacunek.

Dzięki poszukiwaniom genealogicznym dowiedziałem się o jego bohaterskich czynach, które przyczyniły się do odzyskania niepodległości przez Polskę. Jego postawa obywatelska i patriotyczna zainspirowała mnie do bardziej aktywnego udziału w życiu społecznym i politycznym. To dziedziczone wartości, takie jak niezależność, wolność i miłość do kraju, które kształtują moją postawę obywatelską.

Korzenie mojej rodziny są głęboko zakorzenione w polskiej kulturze i tradycji. To dziedziczone rytuały, pieśni, potrawy i opowieści, które przekazywane były z pokolenia na pokolenie. Przywołują one uczucia dumy i więzi z moim narodem, a jednocześnie ukazują, jak wiele cennych dziedzictw przekazujemy przyszłym pokoleniom.

Nasz przodek, Jan, przypomniał mi o roli jaką odgrywamy jako ogniwa w długim łańcuchu historii. To nasza odpowiedzialność kontynuować dziedzictwo przodków, chronić naszą tożsamość narodową i pracować nad tym, by nasz kraj był lepszy dla przyszłych pokoleń. Dlatego też, z pełnym oddaniem, zgłaszam się do konkursu i podzielę się tą historią, by zachęcić innych do odkrywania swoich korzeni, budowania więzi z przodkami i kształtowania silnej postawy obywatelskiej i patriotycznej.

Wartość zakorzenienia sięga głęboko w naszą tożsamość i kształtuje naszą rolę w społeczeństwie. To dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie, które warto pielegnować i celebrować.

Współcześnie, w czasach dynamicznych zmian i wielokulturowości, łatwo można zapomnieć o swoich korzeniach i tradycjach. Jednak właśnie te korzenie nadają nam tożsamość i wyznaczają naszą ścieżkę życiową. Prześledzenie historii mojego przodka, Jana, skłoniło mnie do refleksji nad znaczeniem przekazywania dziedzictwa kulturowego i wartości obywatelskich.

Dziedziczenie tradycji to nie tylko celebrowanie przeszłości, to także przygotowywanie się na przyszłość. Nasze korzenie kształtują naszą postawę wobec świata i naszego miejsca w nim. Moje poszukiwania genealogiczne skłoniły mnie do bardziej aktywnego uczestnictwa w lokalnej społeczności, aby przyczynić się do jej rozwoju i polepszenia warunków życia mieszkańców.

Dziedziczenie tradycji to także nauka od przodków, jak przekazywać wartości i mądrość przyszłym pokoleniom. To odpowiedzialność, która wymaga troski o edukację, moralność i etykę. Przykład Jana, który wbrew trudnym czasom walczył o zachowanie polskości, inspiruje mnie do bycia wzorcem dla młodszych pokoleń i przekazywania im miłości do kraju i ducha patriotyzmu.

Wartość zakorzenienia nie kończy się na naszej rodzinie. To także więź z naszym krajem, historią narodu i kulturą. Korzystając z możliwości poznawania swojego pochodzenia, możemy lepiej zrozumieć bogactwo różnorodności kulturowej i społecznej naszego kraju. To umożliwia budowanie mostów porozumienia i szacunku między ludźmi o różnych tradycjach i przekonaniach.

Dlatego właśnie zgłaszam się do konkursu, by podzielić się moją historią i zachęcić innych do odkrywania swojego dziedzictwa, budowania postawy obywatelskiej i patriotycznej oraz pielęgnowania wartości zakorzenienia. To nasze korzenie nadają nam siłę i tożsamość, która może wpłynąć na lepszą przyszłość naszego kraju.

33.

# Skąd jestem

Mikołaj Jordan



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Józef Micun – mój tata, rolnik, patriota, nietypowy ekolog

Bogusława Pilisiewicz

Zawód wyuczony: murarz-szpachlarz, zawód wykonywany przez większość życia – rolnik.

Dzięki zawodowce, później technikum budowlanym był wielokrotnie za granicą. Jego opowieści o Niemczech, Czechosłowacji, a w szczególności o Libii były często największą nagrodą i motywowały do pomocy mu w gospodarstwie. Słowa piosenki „Pamiętaj o tym wnuku, że twój dziadek był w Tobruku...” parafrazowane czasem: „Pamiętaj o tym córko, że twój tata był w Tobruku...” były niejako hymnem wykopków i coroczną, refleksyjną lekcją historii. Zbierając ziemniaki, rozmawialiśmy o bezsensie wojen, emigracji, polityce wielkich mocarstw. Była to również niesamowita lekcja geografii w czasach PRL-u.

Wszelki tego typu mozolne i nużące czynności (grabienie siana, jego zbieranie, noszenie zboża) były zarazem pretekstem do rozmowy o poszanowaniu ziemi i zwierząt. Zwykłej myszy polnej nie wolno było zrobić krzywdy na polu. Między wszelaką zielenią tata kazał poruszać się wydeptanymi ścieżkami. „Bywały czasy, że każda trawka była ważna”- mawiał często, dodając, że „Z takich pojedynczych źdźbeł składa się pasza dla krów”.

Strażak ochotnik i aktor grający w amatorskim teatrze, chórzysta w lokalnym chórze, kandydat na sołtysa, skarbnik w organizacji zrzeszającej emerytów i rencistów nauczył swe córki i wnuki, że „jak nie my to, kto zaopiekuje się Korycinem... a jak się troszczysz o Korycin to też o Polskę, bo...” Umiał tak mówić, by wywołać nawet w nastolatkach chęć do dyskusji na ten temat. Wystarczyło zdanie: „Czy jak podniesiesz papierek z ulicy, to jest, czy nie jest gest patriotyczny?” Większość dorosłych się wówczas śmiała, a wszystkie dzieci zaczynały wymyślać, co też one mogą zrobić dla Polski.

Mój tata rozmawiał ze wszystkim, co żywe. „Wychowywał kury” krzycząc na nie czasem. Witał się z krową, wyciągając do niej rękę i głaskał ją (jeśli tego chciała) między rogami. Przed każdym karmieniem drapał świnię za uchem. Zarzynając maciore, dziękował jej, że tak dobrze mu służyła. Kiedyś go spytałam: „Czy nie żal Ci jej zabijać?”, odpowiedział: „Miała dobre życie. Po co ma się jeszcze męczyć?”. „Ale może nie powinniśmy jeść mięsa”- drążyłam wówczas temat.

„Gdybyśmy nie jedli mięsa, to jej życie nie miałoby sensu, w ogóle nie byłoby świń. Chciałabyś tego?” Pokręciłam wówczas tylko przecząco głową. On umiał tak ją zabić, że ona nawet nie kwiknęła.

Piszę „mówił”, „robił”, choć On jeszcze żyje. Leży obecnie w hospicjum w Augustowie kilkadziesiąt metrów od brzegu jeziora. Bez mowy, sparaliżowany po kolejnym udarze, oddycha dzięki respiratorowi i karmiony jest dojelitowo. Wcześniej porozumiewaliśmy się dzięki ręce i ruchom ust. Teraz już tylko mówi do mnie swoimi oczami.

## Skąd jestem

Zuzanna Uramowska

To, że podróże kształcą, słyszał już chyba każdy z nas. Niewiele osób jednak podróżuje z głową. Istnieją turyści, którzy zwiedzają muzea, restauracje i robią selfie na tle rzymskiego Koloseum. Istnieją również podróżnicy, którzy próbują porozumieć się z tubylcami, poznawać ich zwyczaje, odwiedzają ich domy, kosztują ich potraw. Taką osobą chciałabym być ja, i myślę, że jakiś tego załazek tego, buzuje już w mojej krwi. A zaczęło się od mojego dziadka. Mimo, że to ja dalej chodzę do szkoły, to jednak on był o wiele mądrzejszy. Zawsze rozwiązywał krzyżówki i oglądał różne ciekawe programy w telewizji. Kiedy przesiąknął już tą wiedzą i był ekspertem w tej dziedzinie, a ja akurat znajdowałam się u nich podczas niedzielnego obiadku, dopytywał się mnie o różne kraje. Czasem były to pytania o stolicę Czarnogóry, a czasem o lokalizację jakiegoś miasta, o którym nawet nie miałam pojęcia. Kiedy już odwiedziłam Hiszpanię i odpowiedziałam mu wreszcie na pytanie, czym jest paella, coś się we mnie obudziło. Bo dlaczego bym sama nie mogła mu zadawać pytań o te różne wspaniałe miejsca na Ziemi i rozmawiać całymi dniami na temat jakiegoś kraju. Jednak do tego trzeba by się ruszyć, kupić bilet i wyjechać. Od tamtej pory, mój umysł chciał więcej wrażeń, a ja także chciałam posiadać taką wiedzę jak dziadek. Teraz niestety nie mam już komu opowiadać o moich podróżach, lecz dzięki niemu pasja podróżowania i zwiedzania świata pozostała. Na razie jest to Europa, czyli kontynent, w którym czuję się bezpiecznie, znając tutejszą kulturę, ale istnieje również świat za Atlantykiem. Z jego śmiercią zrozumiałam, że my wszyscy umieramy, starzejemy się, czy chorujemy. Nie wiemy, który dzień będzie tym ostatnim, ale raczej lepiej brzmi śmierć w miejscu, w którym się było szczęśliwym, niż umrzeć oglądając tiktoka. I nie chcę się tutaj wywyższać, ale mam nadzieję, że z czasem przegonię dziadka i zwiedzę miejsca, o których nawet on nie miał pojęcia. A gdy już będę chwalić się znajomym, gdzie to ja nie byłam, zawsze o nim wspomnę- o człowieku, który mnie zainspirował. Być może sami będziemy rywalizować ze sobą w "Jeden z dziesięciu", kiedy oboje znajdziemy się tam „na górze”. Na razie jednak mam zamiar pozbierać trochę sił, do tej ostatecznej rozgrywki.

## Stąd jestem

Marta Kizner

Znam niewiele szczegółów dotyczących życia moich przodków. Od zawsze towarzyszyło mi poczucie bycia zanurzonej w bezwolnej przestrzeni, w której dusza i ciało zaledwie dotyka ziemi, ale z jakichś niepoddających się świadomemu wglądowi pobudek, nigdy nie może się w niej osadzić, zakorzenić. Rozwód rodziców, rozliczne przeprowadzki, wieloletnia choroba dziadków i inne okoliczności otaczającej mnie „fragmentarycznej rzeczywistości” sprawiły, że losy mojego rodu wciąż stanowią dla mnie wielką, intymną tajemnicę.

A przecież wybory, postawy i przeżycia przodków w sposób nie do końca dający się wytłumaczyć warunkują nasze jestestwo i nadają kształt osobowościom. Powiedzenie, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, co członkowie naszych rodzin skłania do refleksji. Gлина od zarania dziejów stanowi podstawowy budulec wszelkich materialnych form, które były powoływane do istnienia, aby zaspokajały ludzkie potrzeby. W wielu przekazach mitologicznych glina jest materiałem, który daje początek życiu ludzi, bogów i herosów. Nawet jeśli nasza pamięć nie obejmuje historii życia, pragnień, marzeń naszych przodków, to jesteśmy ze sobą i tak scaleni. Owo połączenie nauka definiuje jako genealogię genetyczną; psychologowie tłumaczą to uwspólnieniem wzorców i sposobów myślenia; a ezoterycy uważają, że żyjący i zmarli członkowie rodzin dzielą ze sobą wspólne pole morficzne. Także prostych ludzi nurtuje ta kwestia. Pamiętam panią sprzedawczynię z wiejskiego sklepiku lat 90-tych, która przed wydaniem zakupów zadawała pytanie „A od kogoś Ty jest?”. Wtedy nie spodziewałam się, że w wieku dorosłym wielokrotnie zadam sobie to samo pytanie.

Poszukując odpowiedzi na pytanie, które od dzieciństwa wybrzmiewało w mojej pamięci, sięgnęłam pamięcią do jednej z niewielu rozmów, które odbyłam w młodości z moją babcią. Zwróciłam wtedy uwagę na osobę mojego pradziadka, o którym wiem tylko tyle, co zdołałam zapamiętać z naszej rozmowy.

Mój pradziadek miał na imię Edmund i urodził się w pierwszej dekadzie ubiegłego stulecia. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, ożenił się z moją prababcią, niedługo później na świat przyszły ich trzy córki. Mimo, iż byli osobami słabo wykształconymi i pracowali na roli, byli zgodnym i ciepłym małżeństwem. Babcia zapamiętała swój dom rodzinny jako miejsce bezpieczne i pełne miłości. Wspominała, że w jej domu rodzinnym nigdy nie było przemocy, rodzice nie mieli w zwyczaju podnosić głosu na dzieci, panowała serdeczna i przyjazna atmosfera. Niestety jak sama twierdziła tego dobrego wzorca nie powieliła w rodzinie, którą założyła jako dorosła osoba. Historia jej idyllicznego, wczesnego dzieciństwa została brutalnie przerwana z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Czas wojennej pożogi był nie tylko końcem jej dzieciństwa, stanowił także kres szczęścia rodzinnego i wiary w dobro. Mój pradziadek został wcielony do wojska, gdzie służył przez kilka lat. Do domu moich pradziadków zawitali Rosjanie, którzy wygnali prababcię wraz z trzema małymi córkami do piwnicy. Odtąd

prócz ciężkiej pracy na roli, zadaniem matki wraz z córkami było służenie brutalnym bandytom, których zwyczajnie uragały nie tylko wojskowej dyscyplinie, ale przede wszystkim ludzkiej godności. Ich wyjazd po kilku latach „goszczenia” w domu pradziadków był hucznie świętowany przez mieszkańców wsi. Bardziej odważni rzucali kamieniami w rosyjskie wozy wyposażone skradzionymi łupami. Po tym wydarzeniu i niosącej się wieści o końcu wojny, życie prababci, babci i jej sióstr napełniła nadzieją powrotu do normalności. Wspólnie wyczekiwały na powrót mojego pradziadka, który wracał z frontu do swojej ukochanej rodziny. Kompania wojskowa, w której służył miała do przebycia trasę, która liczyła kilka dni marszu. Będąc już blisko domu, pradiadek ukoił swoje pragnienie poprzez napicie się wody ze strumyka. Niestety jego wycieńczony organizm zakaził się czerwonką. Choroba miała szybki i gwałtowny przebieg. Gdy powrócił do domu, choroba była już w zaawansowanym stanie. Moja babcia wspominała tę okrutną noc, w trakcie której wraz ze swoją mamą udały się do oddalonego o 6 kilometrów miasteczka, w którym lekarz przekazał im lekarstwo dla pradiadka informując o tym, że szanse na powrót do zdrowia są małe. Gdy babcia wraz ze swoją mamą wróciły do domu, mój pradiadek już nie żył. Czas powojenny był dla prababci i jej córek naznaczony żałobą i koniecznością pracy na roli ponad siły.

Przypominając sobie opowiedzianą przez babcię historię, zadaję sobie pytanie: Jak wyglądałby jej los, gdyby tata przeżył wojnę? Zapewne nie musiałaby aż tak ciężko pracować i skończyłaby studia. Być może cieszyłaby się lepszym zdrowiem? Może w założonej przez siebie rodzinie byłoby więcej szacunku i miłości? Dochodzę do wniosku, że nigdy na te pytania nie znajdę właściwych odpowiedzi. Nie mam odpowiedzi również na wiele innych. Esej ten dedykuję pamięci mojego pradiadka Edmunda, ukochanego męża, ojca i bohatera. Jego przedwczesna śmierć nazaczyła losy moich przodków. Mimo, że wiem o nim tak niewiele, moja pamięć o jego dobrym sercu i nienagannych postawach rodzicielskich jest wciąż żywa.



## Leśniczówka ze szkła

**Dominika Kaczmarek**

Każde drzewo ma wiele korzeni. Każde z nich ma inną historię i budowę. Nie sposób spotkać w lesie dwóch tych samych sosen lub dwóch bliźniaczych świerków. Może takie przemyślenia miała moja prababcia spacerując po podwórku leśniczówki na polskich ziemiach?

Wszystko zaczęło się podczas II wojny światowej, gdy zesłano na przymusowe roboty do Niemiec Polaka o nazwisku Michalski. Mimo ciężkiej pracy wiedział, że nie może się poddawać oraz że po wojnie na pewno uda mu się wrócić do biało-czerwonej ojczyzny. Wierzył w zwycięstwo Polski, która przecież nie raz, nie dwa wygrywała z dużo silniejszym wrogiem. Podczas jednego z codziennych, trudnych dni na wywózce Bronisław Michalski poznał rodzinę Niemców – nie byli oni tacy jak wszyscy. Schindwein'owie (bo tak mięli na nazwisko) okazali się ludźmi dobrego serca. Zaczęli bezinteresownie, ryzykując własnym życiem pomagać Polakowi, który przecież nie mógł dać im nic w zamian. Przynosili mu jedzenie, pomagając mu przetrwać w obozie pracy. Miesiące na zesłaniu mijały, a Bronisław Michalski coraz lepiej poznawał rodzinę Schindwein. Poznał również ich córkę – Idę Schindwein, która była ciepłą i skromną kobietą. Mimo, że Bronisław i Ida byli ludźmi z dwóch różnych światów, dodatkowo będących wrogami, zakochali się w sobie. Lata minęły, a wraz z nimi minęła II wojna światowa, zostawiając za sobą krwawe żniwo. Jednakże ku szczęściu Bronisława Michalskiego i wszystkich Polaków – Polska wygrała wojnę. Obywatele Niemiec po upadku ich kraju wiedzieli jedno – Polska będzie bogatym krajem. Tak też uważała rodzina Schindwein. Chcieli oni dla swoich dzieci jak najlepiej, dlatego też polecieli córce, aby wyjechała ze swoim ukochanym do Polski. Początkowo nie chciała ona zostawiać rodziny, swojej pracy w biurze, ale finalnie dała się przekonać Bronisławowi Michalskiemu oraz rodzicom. Również uwierzyła w to, że jej wschodni sąsiad będzie jednym z najbogatszych państw w Europie. Nie chciała zostać w przegranych Niemczech, które dodatkowo były okrzyknięte krajem nazistów. Wyjechała więc do Polski razem ze swoim narzeczonym, z żalem opuszczając rodzinę.

Niestety mimo, że Polska triumfowała, była doszczędnie zniszczona. Na jej ziemiach niewiele się ostało. Jednak dwójka narzeczonych nie wiedziała o kolejnym zagrożeniu zbliżającym się do granic kraju...

Ida Schindwein i Bronisław Michalski po długiej podróży w końcu dotarli do lasu nieopodal wsi Myślątkowo. Ida rozejrzała się wokół szukając swojego nowego domu. Okolica zasiała w niej ziarno niepokoju. Na narzeczonych czekały już dwa konie, które finalnie miały ich zawieść pod sam próg ich lokum. Kobieta niepokoiła się coraz bardziej, widząc, że pokonali już konno 5 kilometrów, a nie minęli żadnego najmniejszego domostwa. Nagle zza drzew zaczął wylinać się mały, drewniany domek w samym sercu lasu. Była to stara leśniczówka na polanie. Ida Schindwein widząc domek przestraszyła się. Wcześniej mieszkała w pięknym domu w niemieckim miasteczku. Mimo obaw pomyślała, że leśniczówka położona w naturze może dobrze na nią

wpłynąć. Lubiła zwierzęta i rośliny. Jednak gdy kobieta weszła do środka, wiedziała, że popełniła błąd. W leśniczówce nie było prądu ani wody. Na drewnianym stoliku stało kilka świec i lamp naftowych. Co więcej, w domku nie było toalety. Ida Schlindwein poczuła jakby cofnęła się w czasie aż do średniowiecza. Teraz nie miała już wątpliwości – musi wracać do Niemiec, nawet jeśli przegrały wojnę. Po długich rozmowach z ukochanym, który bez względu na wszystko kochał swój kraj, kobieta finalnie przekonała go, aby wyjechali do Niemiec, w których mogą mieć lepsze życie. Niestety było już za późno... komuniści, którzy przejęli już kontrolę nad Polską nie wypuścili Idy Schlindwein za granicę, ponieważ urodziła dziecko, które było obywatelem Polski.

Ida Schlindwein została w Polsce już na zawsze. Miała trójkę dzieci, które bardzo kochała – Marię, Genowefę i Józefa. Ciężko pracowała fizycznie wraz z mężem. Zajmowali się polem, pasli bydło i hodowali pszczoły. Aby lepiej zobrazować jej tragiczną sytuację, opiszę warunki życia w powojennych Niemczech – Ida Schlindwein żyła w części nowoczesnej, w której były nowoczesne sklepy, lodówki... Miała ona pracę w biurze. Pewnego dnia pojawiła się jednak szansa na powrót do dobrych warunków życia. Ida Schlindwein mogła odwiedzić swoją rodzinę na zachodzie, jednakże musiała zostawić w Polsce swojego małego synka i męża, aby nie próbowała zostać w Niemczech na zawsze. Z bólem serca wyjechała dwa miesiące, aby choć raz zobaczyć rodzinę.

Po wyjeździe Idy Schlindwein na drodze, każdego dnia siedział samotnie mały chłopiec. Patrzył w dal wypatrując koni. Tęsknił za matką, nie rozumiejąc, dlaczego go zostawiła. Po dwóch miesiącach kobieta wróciła do Polski wraz ze swoimi dwiema córkami, które były już w wieku szkolnym. Niestety zrodził się kolejny problem, który ciężko było Idzie Schlindwein przezwyciężyć. Jej małe córki poprzez długi pobyt w Niemczech zapomniały jak mówi się po polsku. Musiały iść jednak do polskiej szkoły. Tam nie zdały do kolejnej klasy i wraz z matką były wyzywane przez rówieśników. W Polsce panowały wrogie nastroje wobec obywateli Niemiec, z resztą nie można się temu dziwić...

Ida Schlindwein spędziła w leśniczówce kruchej jak szkło całą resztę życia. Pewnego dnia mąż znalazł ją zapłakaną nad brzegiem rzeki, prawdopodobnie chciała odebrać sobie życie. Jej miłość do dzieci i męża była jednak silniejsza i dla nich nie poddała się. Nauczyła się mówić po polsku, próbowała również nauczyć się pisać. Ida Schlindwein stała się ofiarą komunistów, poprzez których nigdy nie poznała Polski z dobrej strony. Pokochała jednak Polaka i dla niego poświęciła swoje całe życie. Zmarła prawdopodobnie ze stresu, na wylew krwi do mózgu. Moja prababcia zawsze będzie dla mnie bohaterką, która mimo ogromnych przeszkód i straszego losu nie poddała się i nie nienawidziła Polski, której wizerunek zniszczyli komuniści.

# Stanisław Gustaw Jaster – człowiek, którego zgubiło jego własne szczęście

**Bartosz Jaster**

Oglądając drzewo genealogiczne mojej rodziny, można się natknąć na szczególną postać; chciałoby się rzec – prawdziwy kwiat. Łączą mnie z nią więzy pokrewieństwa, sięgające daleko wstecz. W 1921 roku we Lwowie urodził się Stanisław Gustaw Jaster, który dwie dekady później uczestniczył w najbardziej brawurowej ucieczce z obozu koncentracyjnego KL Auschwitz. Razem z trzema współwięźniami ukradł mundury z magazynu SS, a następnie... samochód należący do komendanta obozu! Udając Niemców, czterej zbiedzy bezpiecznie przejechali obok wartowników, szlabanu oraz ogrodzenia, po czym wydostali się na wolność.

Ta historia nadal nie jest powszechnie znana, być może dlatego, że wielu osobom wydaje się zbyt nieprawdopodobna, jakby wymyślili ją hollywoodzcy scenarzyści. Wydarzyła się jednak naprawdę, a jeden z jej bohaterów odgrywa w moim życiu szczególną rolę. Pod pewnymi względami nawet go przypominam – Stanisław Gustaw Jaster miał 193 cm wzrostu\*, dokładnie tyle, co ja. Wychowywał się w patriotycznej rodzinie; jego ojciec (brat mojego pradziadka) był żołnierzem Legionów Polskich, otrzymał nawet order *Virtuti Militari*. Stanisław uprawiał liczne sporty, m.in. żeglarstwo, i należał do harcerstwa. W szkole często popadał w tarapaty ze względu na niepokorny charakter, ale uczył się na tyle dobrze, iż w maju 1939 roku zdał maturę. Wojna pogrzebała jego plany o studiowaniu architektury.

Jeszcze w latach 20. moja rodzina przeniosła się ze Lwowa do mieszkania przy ul. Pogonowskiego w Warszawie. Podczas okupacji aktywnie zaangażowała się w działalność konspiracyjną; w lokalu przechowywano m.in. broń i nielegalną prasę. Jak na ironię to nie z tego powodu Stanisław został aresztowany przez Niemców – po prostu znalazł się w centrum wielkiej, ulicznej łapanki, zorganizowanej przez nich na Żoliborzu we wrześniu 1940 roku. Po krótkim pobyciu na Pawiaku, dwudziestoparolatek trafił do KL Auschwitz, gdzie otrzymał numer 6438. Niemcy przydzielili mu pracę w magazynach z zaopatrzeniem dla SS... tam Stanisław poznał mechanika Eugeniusza Bandere, harcerza Kazimierza Piechowskiego oraz zakonnik Józefa Lemparta. Razem opracowali plan wspomnianej ucieczki, ale na tym nie poprzestali. Zgodnie z zarządzeniem hitlerowców, gdy ktoś uciekł z obozu, 10 osób z jego komanda skazywano na śmierć. By chronić współwięźniów, zbiedzy stworzyli więc fałszywe, 4-osobowe komando.

Nie będę szczegółowo opisywał przebiegu ucieczki z bardzo prostego powodu: i tak nie zrobię tego równie obrazowo, jak Kazimierz Piechowski, jej najdłużej żyjący uczestnik. W wieku 88 (!) lat wystąpił w filmie dokumentalnym „Uciekinier” – można, i naprawdę warto, znaleźć go w serwisie Youtube. Dość powiedzieć, że Piechowski powrócił do Auschwitz, aby przebyć przed kamerą tę samą trasę, która ponad sześć dekad wcześniej zawiodła jego oraz trzech innych więźniów ku wolności.

W obozie Stanisław Jaster poznał jeszcze jedną ważną postać – Witolda Pileckiego. Po ucieczce mój krewny wrócił do Warszawy i przekazał raport rotmistrza działaczom Polskiego Państwa Podziemnego. Jako członek AK, Stanisław przybrał pseudonim „Hel”; było to nawiązanie do gazu lżejszego od powietrza, mającego tę właściwość, że bardzo szybko się ulatnia. W istocie chłopak nie mógł wybrać sobie trafniejszego pseudonimu, bo w lipcu 1943 roku został ponownie aresztowany, tym razem wraz ze swoim dowódcą, Mieczysławem Kudelskim ps. „Wiktor”. Obu żołnierzy AK zatrzymali na ulicy ubrani po cywilnemu członkowie Gestapo, którzy poruszali się czarnym mercedesem. Niemcy kazali Stanisławowi oraz jego dowódcy zająć miejsca na tylnej kanapie auta, po czym sami na niej usiedli, tuż przy drzwiach. Na Placu Zbawiciela w aucie doszło do szarpaniny, Stanisław wypchnął jednego gestapowca z pojazdu. Parę sekund później sam wyskoczył i... zniknął.

Istnieją co najmniej dwie hipotezy na temat dalszych losów „Hela”. Miesiąc wcześniej Niemcy zadali dotkliwy cios Armii Krajowej, aresztując w kościele na Placu Trzech Krzyży kilkudziesięciu członków tej organizacji, którzy uczestniczyli w ślubie por. Mieczysława Uniejewskiego. Ktoś doniósł hitlerowcom o zgromadzeniu. Kontrwywiad AK za wszelką cenę starał się ustalić tożsamość konfidenta. Niektórym kolegom Stanisława Jastera jego nieprawdopodobne szczęście zaczęło wydawać się podejrzane – dwukrotnie uciekli Niemcom w spektakularny sposób. Pojawiły się przypuszczenia, że okupanci wręcz pomogli wydostać się „Helowi” z obozu oraz pędzącego mercedesa, bo chcieli, by donosił im o poczynaniach AK. Wedle części historyków, po kilku dniach życia w ścisłym ukryciu Stanisław skontaktował się z towarzyszami broni. Ci jednak byli pełni podejrzeń – i rozstrzelali go w bliżej nieokreślonym miejscu oraz dniu. Według drugiej hipotezy, „Hela” w końcu odnaleźli, a następnie zabili Niemcy. Fakty są takie, że nigdy nie powrócił do domu, nie zobaczył się z bliskimi.

Po latach badacze historii obalili tezę o rzekomej zdradzie Stanisława Jastera. Na jego korzyść świadczy wiele faktów. Przede wszystkim to, że po ucieczce z Auschwitz hitlerowcy w odwecie aresztowali, a następnie zesłali do obozu rodziców chłopaka. Oboje zginęli tam, skąd ich synowi udało się wydostać. W 2019 Stanisław Jaster został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a zatem niejako zrehabilitowany.

Podobnie jak mój przodek, żyje w Warszawie. Często bywam na Nowym Świecie, Placu Zbawiciela, Placu marsz. Józefa Piłsudskiego. Dzięki patriotom pokroju Stanisława Jastera miejsca te nadal istnieją, a ponadto wciąż mają polskie nazwy. To zaszczyt być krewnym tak odważnego człowieka. Tylko w jeden sposób mogę mu się odwdziżyć za to, co robił: opowiadając jego historię, równie tragiczną, jak i niezwykłą.

*\* Dane faktograficzne zaczerpnąłem z książki Darii Czárneckiej “Największa zagadka Polskiego Państwa Podziemnego. Stanisław Gustaw Jaster – człowiek, który zniknął”.*

# Mój Dziadek

## Wacław Leszczyński

Mój Dziadek (i ojciec chrzestny), Wacław Manduk urodził się w Warszawie 6 lutego 1872 r. Jego ojciec, Antoni, absolwent Szkoły Głównej, był aptekarzem, działaczem społecznym i gospodarczym, twórcą i prezesem Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego. Rodzina Manduk (Mandukas), pochodziła z Grecji, skąd w końcu XVII wieku uciekła przed represjami ze strony Turków. Matka Wacława, Elżbieta Heidenbruch była wnuczką Jana Ulricha, nadwornego ogrodnika władcy Księstwa Warszawskiego, Fryderyka Sasa. Wacław mieszkał z rodzicami i braćmi Antonim i Stanisławem przy ul. Wolskiej 10, gdzie była apteka ojca. Po ukończeniu szkoły w Warszawie, wyjechał w 1890 r. do Moskwy, studiować chemię na politechnice. Widział, jak z nastaniem mrozów, w domach na przedmieściach Moskwy, ludzie polewali szyby okien wodą, tworząc na nich tafłę lodu, chroniąca przed zimmem. Mleko kupował w postaci zamrożniętych krążków nawleczonych na sznurek. Po roku przeniósł się na farmację na Politechnice w Karlsruhe. Studiowało tu wielu Polaków, tworząc własną organizację studencką. Po ukończeniu studiów pracował w aptece ojca, potem we własnej, przy ul. Wolskiej 10, a później przy ul. Wolskiej 91.

26 kwietnia 1900 r. Dziadek ożenił się z Emilią Pfeiffer z rodziny przemysłowców, garbarzy. W ciągu 10 lat urodziły mu się trzy córki i syn. W 1910 r. zakupił, głównie za posag żony, kamienicę przy ul. Chłodnej 26 i zamieszkał tam z rodziną. Gdy w 1914 r. był z rodziną na wakacjach we Włoszech, wybuchła I Wojna Światowa. Dziadek zostawił rodzinę w Szwajcarii, w domu Ignacego Paderewskiego z nim zaprzyjaźnionego, a sam pojechał przez Anglię do domu, po środki na powrót rodziny. W 1915 r. okrężną drogą przez Grecję i Serbię wszyscy wrócili do Warszawy. W czasie okupacji niemieckiej w latach 1915-18, Babcia działała w organizacjach dobroczynnych, a Dziadek w Radzie Aptekarskiej Królestwa Polskiego. On wcześniej był sędzią handlowym, sędzią pokoju, członkiem Rady Miasta, wiceprezesem Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego i prezesem Towarzystwa Ubezpieczeń „Farmakon”. Po odzyskaniu niepodległości został prezesem Okręgowej Izby Aptekarskiej w Warszawie, członkiem Komisji Rewizyjno-Sprawozdawczej Skarbu, Towarzystwa Rozwoju Przemysłu, Handlu i Rzemiosł „Rozwój” i członkiem prezydium Rady st. Miasta Warszawy, którym był do 1939 r. W 1919 r. kupił dom z działką w spółdzielni letniskowej w Nadliwiu, koło Wyszkowa i tam z rodziną spędzał wakacje. W czasie wojny z bolszewikami, jego 18-letnia córka Jadwiga (moja Mama) była sanitariuszką-pielęgniarką wolontariuszką w Wojskowym Szpitalu Polowym Polskiego Białego Krzyża.

Na Politechnice Gdańskiej, studiowało wielu Polaków, często traktowanych wrogo przez gdańskich Niemców. W 1913 r. powstała tam korporacja studentów polskich „Wisła”. Korporacje wspierane były moralnie i materialnie przez „filistrów”, absolwentów uczelni. Po zakończeniu wojny, powstał Związek Akademików Gdańskich (ZAG), skupiający polskie korporacje

studenckie w Wolnym Mieście Gdańsk. W 1924 r. utworzono „Związek Filistrów”, do którego przyłączyli się absolwenci Politechniki w Karlsruhe, a wśród nich Dziadek. Związek Filistrów ZAG „Wisła” objął opieką wszystkie polskie korporacje w Gdańsku. Dziadek był jego wiceprezesem, a od 1929 r. do II Wojny Światowej, prezesem. Praca w prezydium Rady Miasta, Izbie Aptekarskiej, Związku Filistrów ZAG i w innych organizacjach zajmowała mu wiele czasu, ze stratą dla dochodowości jego apteki.

W 1923 r. jego córka Wanda wyszła za Edwarda Freyera pracownika firmy „Spiess”. W 1924 r. córka Jadwiga podjęła pracę nauczycielki w powiecie Wołożyn, w województwie nowogródzkim, 15 km od stacji kolejowej. Warunki były tam bardzo prymitywne i było niebezpiecznie. Przekonał się o tym Dziadek, gdy na pociąg, którym jechał tam w odwiedziny, napadła z bronią w rękę banda atamana Muchy. Dziadzio przepisał na usamodzielnione córki, po ósmej części kamienicy przy ul. Chłodnej 26 i wynikłe z tego dochody. Córka Jadwiga w 1932 r. wyszła za inżyniera hydrotechnika Zygmunta Leszczyńskiego (mego Tatę) i przeniósła się do Brześcia nad Bugiem, gdzie on pracował. W 1936 r. Dziadkowie byli na paratygodniowej wycieczce po Jugosławii, jej koszty były w granicach ich możliwości finansowych. Najmłodsza córka Hanna uzdolniona artystycznie mieszkała z nimi, a syn Władysław ukończył na Politechnice Warszawskiej chemię i w 1937 r. ożenił się z Zofią Kruszewską, inżynier chemii.

Wybuch II Wojny Światowej zastał Dziadka z rodziną w Nadliwiu. Stamtąd, okrężną drogą wrócił do okupowanej przez Niemców Warszawy. Tam, córka Wanda działała w obronie przeciwlotniczej i przeciwpożarowej. W mieszkaniu Dziadków, pozbawionym szyb w oknach wybuchami bomb, oprócz nich i córki Hani zamieszkaliśmy my, tzn. Mama Jadwiga i ja z bratem Jankiem (Tatę internowano na Litwie). Obok domu, od 1940 r. znajdowała się brama Getta, którą przejeżdżały tramwaje i inne pojazdy. Z okien mieszkania widzieliśmy niemieckich żandarmów bijących i mordujących przy tej bramie żydowskie dzieci. W 1941 r. Niemcy wypędzili Dziadków z domu, włączając go do Getta. Przy nim wzniesli nad ulicą most dla pieszych, łączący dwie części Getta. Zamieszkaliśmy w mieszkaniu przy ul. Chłodnej 44. W 1942 r. córkę Dziadzi, Jadwigę (moją Mamę), kuriera Komendy Głównej AK, aresztowało Gestapo i wywozilo do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Mną (6 lat) i moim bratem, Jasiem (9 lat) zaopiekowali się Dziadkowie. Dziadek wiele przeżył, od początku XX wieku działał politycznie i społecznie, był w Rosji, Niemczech, Austrii, Belgii, Anglii, Włoszech, Szwajcarii i Jugosławii, więc pisał pamiętnik. Gdy w drugim, 500-kartkowym tomie pisał o wydarzeniach z 1916 r., to tylko mnie wolno było być z nim w pokoju. Latem 1944 r. Babcia z nami wyjechała na lotnisko w Milanówku, a Dziadek został w Warszawie. 10 sierpnia 1944 r. Niemcy rozstrzelali Dziadka wraz z 177 mężczyznami, a Jego dom spalili. Jego zwłoki w 1947 r. pochowano na Powązkach.

# Biegnij!

## Monika Szuba Wujcik

Mój dziadek Ryszard Szuba – partyzant (zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła” pod dowód. Roberta Satanowskiego) był człowiekiem wysportowanym. Mam teraz 14 lat, gdy on był zaledwie 4 lata ode mnie starszy, trafił do niemieckiego obozu pracy. W swoich wspomnieniach (spisywał je jako 70-latek) zawarł bardzo mądre słowa, o których chciałbym opowiedzieć: sport może uratować życie.

Spisywał je będąc tuż po wylewie. Mój dziadek a jego syn oraz inni członkowie rodziny bardzo dobrze zapamiętali, że schorowany, słaby i niedołączny siadał z niebieskim zeszytem i pisał. Moja mama wciąż wspominała, że jej ojciec wielokrotnie mówił o zagubionych wspomnieniach. Pradziadek zmarł w 1987, zeszytek był bezskutecznie szukany 36 lat. Kiedy odnalazł się wiosną 2023 roku, nie mogłem przejść obok tego obojętnie. Postanowiłem - przeczytać, spisać i zrozumieć jak najwięcej.

Pradziadek w swoim pamiętniku wspomina, że gdy miał 18 lat: “zaczęły się masowe aresztowania. Dużo naszych chłopców zostało rozstrzelanych lub wywiezionych do obozów koncentracyjnych, skąd przeważnie nie powrócili. W 1943 zabrano 25 rocznik do przymusowego obozu pracy. W barakach zagrodzonych dookoła kolczastym drutem i dookoła stały posterunki żandarmów. Za byle wykroczenie, a często niewinnie, bito nas i głodzono. Wyżywienie było bardzo złe: zupa z brukwi lub pokrzyw, 300 gramów chleba, łyżka buraczanej marmolady, czarna zbożowa kawa. Wydano nam drewniaki bardzo ciężkie i drelichy do pracy. Pracowaliśmy najczęściej po 12 godzin dziennie przy budowie linii kolejowej”. Okres okupacji hitlerowskiej na terenie gminy Hańsk (skąd pochodził), jak i w innych rejonach kraju, zapisał się w jej historii „czarną kartą”. Pochłonął wiele ofiar wśród ludności cywilnej. Utworzono dużo obozów zagłady, m.in. w Sobiborze, Krychowie, Osowie i Ujazdowie<sup>2</sup>. “Byłem bardzo słaby i wyczerpany” - wspomina dalej Ryszard- “nieustannie myślałem o jedzeniu, bo nas głodzili. Pewnego razu kolega zaproponował mi ucieczkę.” Wiedziałem dlaczego wybrał pradziadka – Ryszard był szybki i zwinny, dzięki temu, że od małego, codziennie biegał po lesie. Zrobił sobie też „siłownię” w stodole (mieszkał na wsi, a podnosił nawet wory z mąką, byleby pracowały mięśnie). „Biegliśmy bardzo, bardzo szybko, choć nie wiem do dziś skąd wygłodzony i spracowany miałem na to siłę”. Doskonale wiem, że gdyby Ryszard nie trenował wcześniej, nie dałby rady uciec i czekałaby go pewna śmierć. Gdy wrócił do swojej wioski, musiał się oczywiście ukrywać, więc wstąpił do partyzantki. Tam przeszedł przeszkolenie saperskie, walczył jako saper w lasach parczewsko-włodawskich, m. in. zajmował się wysadzaniem pociągów. Wzruszająco opisany jest we wspomnieniach moment powrotu „do cywila”, do domu rodzinnego:

„Do Lublina dojechało nas tylko trzech, przedział opustoszał, wreszcie dotarłem do stacji docelowej. Był silny mróz i zadyмки śnieżne. Wstąpiłem do kuzynów po drodze, tam zjadłem

obiad, chciałem wyruszyć w dalszą drogę, doradzali mi, żebym u nich zanocewał, ale nie chciałem. Postanowiłem ciągnąć do domu, droga była bardzo zawiana, liczyłem, że szosa będzie przejezdna, ale okazało się, że również była zawiana, tak, że trudno się było zorientować, gdzie jest szosa, ponieważ słupy telefoniczne w czasie wojny zostały zniszczone. Szedłem po prostu na azymut, czułem się bardzo zmęczony, a do domu było jeszcze daleko, chwilami chciałem usiąść na śniegu, ogarniała mnie senność, siłą woli przemogłem się i szedłem wciąż naprzód<sup>1</sup>. Wieś do której szedł to miejsce jego urodzenia – Górki (dziś powiat włodawski). Sprawdziłem odległość – to 64 km! Zawsze gdy przypomnę sobie ten fragment wspomnień, robi mi się wstyd za kolegów i koleżanki, którzy wciąż unikają wychowania fizycznego w szkole, „kombinują” ze zwolnieniami lekarskimi, a przecież sport zapewnia wytrzymałość i hart ducha na całe życie.

Stawianie sobie celów, pokonywanie własnych słabości i ograniczeń – oto do czego zainspirował mnie pradziadek. Wówczas, w tę śnieżną, zimową noc, żeby zmęczonym nie położyć się na śniegu i nie zasnąć (co groziło niechybną śmiercią), postanowił biec. „Biegłem przed siebie, żeby tylko nie usiąść na śniegu. W krzakach błyszczały oczy zwierząt leśnych, dla obrony przed wilkami złapałem jakąś gałąź i dalej biegłem. Gdy traciłem siły, robiłem skłony, przykucałem i patrzyłem wokół, to była przepiękna noc. Wreszcie po godzinie 24.00 dotarłem do domu, choć nogi miałem jak z waty, a w głowie mi szumiało. Domownicy nie spodziewali się mnie, ale bardzo się ucieszyli”-tak kończy tę opowieść mój przodek.

Dla mnie sport jest powietrzem, bez którego nie potrafię żyć. Podczas gdy koledzy i koleżanki całymi dniami grają na telefonach lub przesiadują w domach, przeglądając facebooka, ja biegam.

To dla mnie powietrze, które nie daje mi zwariować. Pozwala przeżyć w tych trudnych dla nastolatków czasach, gdy tak wielu popada w depresję albo ginie w wirtualnym świecie.

<sup>1</sup> Rocznik pradziadka.

<sup>2</sup> Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945. Informator encyklopedyczny”, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1979.



## Korzenie w sepii

Łukasz Zwoliński

*Pod szóstką mieszka już ktoś, a Ty mieszkasz gdzieś,  
gdzie, w przypudrowanych niebieskich przestworzach,  
tak wiem, czasem na balkonie przylatuje do mnie gołąb  
i myślę, że to Ty.*

Pierwsze chwile uchwycone, w białym kocu w czarnym aucie Ty i ja, mama miała wtedy rude włosy. Krocie kliszy później, wieczorem zapach lakieru do paznokci przyciągał mnie do salonu, niczym pszczołę wonny kwiat. Babcia w moich oczach była otoczona paletą ciepłych barw, obrotnością i ikłą. Ilekroć zachłyśnięta apetytem na coś lepszego, zakasywała rękawy, by lada dzień skleić w myślach, to co dalej. Od przepisów, aż po diety, od przesuwania mebli na kocu w kaczuszkach po samodzielne tapetowanie korytarza w złotawą tapetę. Nic, dzięki niej nie imponuje mi bardziej niż zaradność.

Albumy, czarno-białe, te przeplatane sepią i te z dwutysięcznym cyfrowym fleszem. Fotografie pradiadków na tle ceglanego domu, portrety cioc i wujków, welony nieznanymi mi kuzynek i ten jeden owczarek przewijający się pomiędzy nimi. Mąż tej, to syn tego, a jego córka z pierwszego małżeństwa od lat w Ameryce. Te relacje, poplątane, zawile tak, że główni aktorzy, chyba sami się w nich gubią – myślałem jako dziecko. Mamusia z jamnikiem na kolanach z czerwonymi ustami przy choince, jakiś z wąsem Pan podnoszący kieliszek. Pięćdziesiąt procent zdjęć z odciętymi głowami i palcami po lewej, rzecz można nazwać je artystycznymi. Szum, zapach wydostaje się z pierwszego lepszego z nich. Moimi faworytami są te z dziećmi pięćdziesiątych lat, wszyscy na nich wycięci z żurnala, babcia z upięciem jak Bardot. Stała po Ziemi, nie metr nad nią jak ja, mimo to marzyła wzorem romantyka, tyle że po cichu.

Żołnierz na pustyni, mój pradziadek, pamiętam go na fotelu przed białą firanką huśtaną przez letni wiatr. Przynieśliśmy truskawki, których smak zamieszkał na stałe na moim języku. Z nutą tych paru godzin nasiąkniętymi czasem książek, przewiniętymi stronami i Ryszardem wpatrzonym w nas jak obraz. Babcia przypominała mu stare czasy z nadzieją, że coś w nim zaiskrzy – nadaremno. Jego rozmowność pozostawiała wiele do życzenia, zdawał się wsłuchany w samego siebie. Poproszony po raz drugi, by opowiedział mi cokolwiek o sobie, wyteżył się i sprawił, że pokój przez minutę bądź dwie pochłonęła czerń i biel. Wyłapywałem kluczowe słowa, by utkać sens, jednakże co drugie jego słowo nie wiele wnosiło, a retrospekcyjny slajd przysłał mu wraz z ostatnią truskawką.

Krystyna prowadziła rytmiczny styl życia, praca sekretarki u boku dziadka, spotkania z przyjaciółkami i czas z wnukami od poniedziałku do piątku- z jednym z nas naprzemiennie goszczącym na weekend. Szósta rano, mama odwoziła mnie z braćmi do Krysi, gdzie czekało na nas śniadanie i wigor. Chwilę później, domofon odlatywał od ściany-dziadek! Jak synchro-

nizowany chór, odstawialiśmy od stołu i ustawialiśmy się w kolejce, by przytulić Edka, mecenasa mecenasów. Zwariowałby Świat, gdyby ten choć raz nie stał w progu wolny od niespodzianek. Z dzieciństwa nie kojarzę dnia, by przyszedł w niemrawym nastawieniu, a babcia nie zaszerwowała żartu, który on by potem odbił, przypominało to grę w ping-pong – ich poczucie humoru budziło nas. Tuż po szkole czekał już kulinarny wojaż, sfinalizowany ciepłą herbatą. Seria pytań przed serią niekończących się nam tematów, począwszy od nowin na szklanym ekranem, po rozległe filozofie. Nie było między nami tematów tabu-dziś zabójco mi naszych rozmów brakuje. Zakończony szkolny rok wiązał się z deklaracją, iż to już ostatni rok, tych napadów nad ranem. Atoli od września do czerwca nie żałowały one grosza i nikt nie wyobrażał sobie tygodnia w innym świetle. Na wagarach, na które często machała ręką, wielokrotnie wręczała mi scenariusz do roli chłopca na posyłki: zakupy, naczynia, mycie okien – moja frekwencja prędko ulegała poprawie. Dbała o to, by mój piórnik, jak i ja, był wzorcem do naśladowania. W łazience unosiła perłowe włosy po chmury, rozbłysk z flakonu za uchem – uwielbiałem wspólne szykowanie się przed wyjściem. Predylekcja do nienagannej prezencji wiernie towarzyszy nam trojga. Krysia zapoznała nas z grzebieniem i żelazkiem, słowami: proszę, dziękuję, przepraszam.

Czasy w kancelarii wspominam za przewodni prym w rozwoju indywidualności. Byłem pierwszorzędnym widzem dorosłych interakcji, wyniosłych słów i atmosfery, niczym kameleon. Z ochotą podawałem filizankę na spodku, a przed mogłem się spytać, czy z cukrem, czy bez. Dziadek wychodził pod pretekstem papierosa, a ja siadałem na czarny fotel i wczuwałem się w rolę przyszłego adwokata, by ten zaraz wrócił z siatką słodyczy. Kserowanie pism, pieczętowanie tudzież nadawanie listów na poczcie, zakorzeniło we mnie odpowiedzialność. Obojga władali zdolnością do emitowania swoich wszechstronności poprzez klarowne polecenia. Priorytetowo wręczali obeznanie, obycie, rarytas w postaci poczucia przydatności, nie mniej niż niejeden dyplom, czy kwit. Z pierwszych wlotów i upadków, szkolnych występów i wigilijnych spektakli, dziadkowie czerpali radość i nadzieję, ich aplauz był dla nas ekwiwalentem sukcesu.

Tkwią we mnie echa naszej działki, to na niej przewinęło się pół tego miasta, na niej lata trwał ten zieleńszy trawnik. Niebieski plastikowy wbity w ziemię basen, parzący stopy chodnik a w dłoni śmietankowy na patyku lód – nie ma słów, by opisać wdzięczność tu. Każdemu z nas trzech, dziadkowie zasadzili drzewo – dalej rosnące. Zodiakalny wodnik nauczył mnie tam jak scalać pożyteczność z przyjemnością, jak zrobić coś lepiej i szybciej, jednocześnie spędzony tam czas, był odskocznią dla dużych i małych. Zakorzeniła ona we mnie odruch dbania o florę i faunę, czułem się rześko wśród iglaków i ptaków, podczas rozrysowywania palcami i słowami wizji na skalniak. Dziś działką z troską opiekuje się mama, a oczy Edwarda odnotowują reformy i wpatrują się w nietuzinkowe tam kadry jej autorstwa.

Spacery po mieście i wzdłuż Odry, to podczas nich, babcia przedstawiała mi związane z wieloma miejscami historie – pochłaniałem je. Stojąc pod poprzednimi adresami babci, wpatrzony we wskazane mi okna, wyobrażałem sobie, jak to mogło być, przecież to lata temu, rodziło to nurtujące pytania. Chciałem wiedzieć wszystko, o czasach przed ślubem, o komunie i o czasach związanych z mamą-tak bardzo chciałem wiedzieć. Mała dziewczynka chcąc poczuć się kobietą, węglem malowała sobie brwi z koleżankami na klatce schodowej, a twarz smarowała kakaem zmieszonym z białym kremem. Babcia w niesłychanie magnetyzującym stylu potrafiła się wypowiadać, nie stroniła również od ironii, wykwintnie, dobierała słowa, a w jednym zdaniu mogła wyrazić to, co reszta rozpisałaby na trzech kartkach. Przełomowym przeżyciem, było wprowadzenie przez ojca telewizora do domu. Ubrała się w swój najlepszy

strój i usiadła przed nim, wpatrzona i podekscytowana. Zaczęła zaglądać zza to toporne pudło i wołać presterkę z ekranu, nieodpowiadającej jej na zapytanie, nie mogła uwierzyć, jak się tam zmieściła. Dziecinną wręcz ciekawość i niedowierzenie bezapelacyjnie po niej odziedziczyłem.

Opowiadała mi, jak prababcia Adela prowadziła osiedlowy sklepik, a mama pradiadka, była teatralną aktorką, którą po szkole odwiedzała moja mama, zauroczona jej bibelotami. Moja muza miała starszą mitomankę za siostrę i dwóch młodszych braci bliźniaków, którymi opiekowała się, na miarę mamy. Ten okres wspominała za pełen kontrastów, od ojca goniącego ich czworga batem, po kolorowe miesiące, gdy ten wyjeżdżał służbowo. Zaskoczyło mnie, z jaką dedykacją na starsze lata, babcia podjęła się intensywnej jego opieki, równoległe z rodzeństwem umywającym ręce – nigdy nikomu nie odmówiła pomocy, sama też nigdy o nią nie poprosiła. Krystyna, kobieta renesansu, z którą można było przewijać się wśród elit i tańczyć na stołach. Odnajdywała się wszędzie, co owocowało różną pulą zdarzeń i przypadków. Nie wstydziła się okazywać przede mną wachlarzu emocji, widziałem ją tańczącą o południu z koleżanką na działce, z podniesionym ciśnieniem po rozmowie z siostrą, nie raz też z łzawymi wieczorem oczami. Przemieniała próżnię w konkrety. Z pozornie pustej lodówki, nakrywała stół, a ze starej firanki wysnuwała letnią sukienkę.

Odegrana przez moją sikorkę scena oswoiła mnie z nieprzewidywalnością życia i jest emanacją czarnej komedii. Zapuszczony w marzenia wracałem ze szkoły, aby otworzyć drzwi, krzyknąć jestem i zostać spoliczkowanym przez ciszę. Lecę przez korytarz, lecz ten wydłuża się w nieskończoność. Dywanowi brakowało wyłącznie konturu z kredy, wołam: Babcia, babcia! Ta odskoczyła z uśmiechem od ucha do ucha. Zaczęłem klepać babcie i mówić: Jak mogłaś, to nie śmieszne! - pewnie wymknęło mi się to słowo, mać po raz pierwszy. Nie raz i nie dwa byłem świadkiem garści tabletek, ciśnieniomierza na ławie i coraz częstszych wizyt w aptekach. Domyślałem się, że już wtedy wiedziała coś, z czym nie chciała się podzielić...

Odkąd przypadło się spotkać twarzą w twarz z tym jakże bezpardonowym wyrokiem – rakiem, życie prędko nabierało surrealistycznej woni, dzień po dniu-fotokopią bez litości. Uchwyciłem babcie w rodzinnym domu, dzień po chemioterapii. Przypudrowaliśmy zaczerwionę policzki, babcia zasłoniła szyję chustą, pozowała oparta o ramę drzwi. W międzyczasie lat babcia zadbała o przekazanie wiedzy o tym, kto z kim, kiedy i jak, poprzez liczne opowiadania, znaczące spacerunki i niezliczone fotografie. Ozdobionymi złotymi pierścienkami dłońmi, wyrzeźbiła we mnie asertywność, optymizm i wiarę w intuicję. Korzenie me czuję w jej słowach, wierzę w każde z nich, w pamięci nie utkwilo mi nic bardziej autentycznego, niż czas z nią spędzony. Miałem przywilej spędzić z babcia nieco ponad osiemnaście lat, być przy ostatniej łzie w śnieżną lutową noc.

Od gestych rozmów aż po szperanie w zapomnianych krawędziach szuflad – ubzdurałem, troszkę zapewne sobie dopisałem à propos przeredzonych pokoleniami korzeni. Więc, choć może naiwna ta pastelowa wizja przeszłości, to wolę taką, niż żadną.

*Babcia, chcę się z Tobą śmiać w czarnych golfach przy berbacie.*

42.

# Stąd jestem

Natalia Sara Skorupa

—

# Mój dziadek Kazimierz: historia wytrwałości, odwagi i nienaruszalnych wartości

Wojciech Sobon

W wielu z nas budzi się pragnienie odnalezienia bohaterów, którzy w obliczu trudnych okoliczności potrafią nas zainspirować i wskazać drogę ku sukcesowi. W tym kontekście pojawia się postać Kazimierza – mojego dziadka. Jego życiowa historia to nie tylko zestawienie wyzwań i triumfów, lecz przede wszystkim przykład nieskazitelnych wartości, które wykraczają poza granice czasu.

Opowieść o dziadku Kazimierzu jest opowieścią o niezwykłym mężczyźnie, który już w młodym wieku musiał stawić czoła ekstremalnym wyzwaniom. Wywieziony na Syberię w wieku 6 lat w czasie II wojny światowej, przetrwał w trudnych warunkach. Co jednak wyróżnia go jako bohatera to nie tylko przeżycie tych trudnych chwil, lecz także umiejętność czerpania z nich siły.

Po powrocie do Polski, Kazimierz wraz z matką podejmuje odważną decyzję o osiedleniu się w Krakowie, wybierając pierwszą stację, na której zatrzyma się pociąg. To wyraz ich zdolności do podejmowania trudnych wyborów oraz determinacji w budowaniu nowych perspektyw życiowych.

Bez wsparcia ojca, Kazimierz zostaje zobligowany do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za rodzinę. Przez dni pracuje, a wieczorami zdobywa wykształcenie. Jego osiągnięcia stanowią wyraźny dowód na to, że ciężka praca i wytrwałość są kluczami do osiągnięcia sukcesu. Dzięki tym osiągnięciom udaje mu się z powodzeniem dostać na studia, pomimo że nie musieliśmy stawiać przed nim egzaminów. Był to z pewnością przejaw jego wyjątkowych zdolności oraz niezachwianej determinacji.

Po ukończeniu studiów, Kazimierz podjął pracę w państwowym przedsiębiorstwie, gdzie zdobywał cenne doświadczenie i sukcesywnie wspinał się po szczeblach kariery. Jego zdolności i wyjątkowy wkład otworzyły przed nim drzwi do nowych możliwości, w tym również okazję do wyjazdu poza żelazną kurtynę – co w tamtych czasach stanowiło rzadkość. To właśnie w tym okresie miał okazję doświadczyć różnorodności kultur i perspektyw społecznych, co poszerzyło jego horyzonty i wzbogaciło postawę oraz podejście do świata.

Kazimierz nigdy nie wstąpił do partii, wybierając drogę uczciwości i niezależności. Ta postawa nie tylko zdobyła uznanie w późniejszych czasach, ale wówczas również przyciągnęła uwagę służb bezpieczeństwa. Jego odwaga w stawianiu czoła przeszłości oraz umiejętność traktowania i współpracy z ludźmi, którzy byli w pewnym sensie jego oprawcami, z dystansem i szacunkiem, dowodzą, że nienaruszalna moralność i uczciwość stanowią fundament budowy przyszłości.

Kazimierz, mój dziadek, nie tylko zainspirował swoją rodzinę, ale również obudził w innych ludziach wytrwałość, odwagę i lojalność względem wartości. Jego historia pokazuje, że pochodzenie, doświadczenia przodków i życiowe trudności mają istotny wpływ na nasze wybory, ale ostatecznie to my decydujemy, jakie wartości chcemy kultywować i jak kształtować przyszłość. Kazimierz stanowił żywy dowód na to, że odwaga, wytrwałość i niezachwiana wierność wartościom prowadzą do osiągnięcia prawdziwego sukcesu – zarówno osobistego, jak i dla dobra całego narodu.

## Stąd jestem

### Małgorzata Szczygielska

Nie było mi dane osobiście poznać prapradziadka Feliksa. I nic dziwnego – zmarł pół wieku przed moimi narodzinami. Niemniej wiem o nim, odkąd pamiętam, a co najmniej od czasu, gdy nauczyłam się odczytywać napis na nagrobku, przy którym ustawialiśmy się podczas każdej świątecznej mszy na naszym cmentarzu:

GRÓB RODZINY  
FELIKSA WINIARCZYKA  
1867-1934  
SENATORA RP

Już jako dziecko zdawałam sobie sprawę, że senator to coś rzadszego niż ksiądz czy lekarz, bo takiego napisu nie widziałam na żadnym innym grobie w okolicy. Musiało jednak minąć wiele lat, zanim w pełni zrozumiałam, jak w istocie wielkim dokonaniem było zostać reprezentantem Narodu, będąc prostym chłopem z Podlasia.

Choć z tą prostotą to może przesada: po kądzieli Feliks wywodził się bowiem z rodu sołtysów łanowych, spadkobierców tradycji piechoty wybranieckiej. W muzeum w Łukowie zachował się oryginalny przywilej króla Sobieskiego dla wybrańców z Trzebieszowa, z nazwiskiem jednego z moich przodków w prostej linii. A zatem chłopci, ale bynajmniej pańszczyzny nie robili, stawali za to z bronią w ręku na każde wezwanie króla; i nawet jeśli niektórzy kwitów służby wojennej nie produkowali [tj. okazali], wyświadczyła ich gromada, jakoby zawsze wojny traktować nieomieszkiwali – jak czytam w lustracji trzebieszowskich łanów wybranieckich z XVIII wieku.

Feliks, najmłodszy z trójki braci, przyszedł na świat w tych mrocznych latach, gdy dogasało powstanie styczniowe; równo dwa lata wcześniej powieszony został ostatni powstańczy naczelnik Podlasia i Lubelszczyzny, ks. Brzóska. Według jego własnego oświadczenia, Feliks czytać i pisać nauczył się w domu, który to szczegół z jego biografii zawsze mnie intrygował. Piśmienny chłop nie był z pewnością czymś częstym na Podlasiu w XIX w. Czyżby w okolicy działał jakiś wędrowny nauczyciel, potajemnie krzewiący oświatę i polskość wśród wiejskich dzieci na przekór terrorowi rusyfikacji? Jeśli tak, zasiane ziarno wydało plon i w przyszłości Feliks nie tylko zostanie autorem i redaktorem gazety Wyzwolenie (której tytuł mówi sam za siebie), ale osiągnie jedno z najwyższych stanowisk w państwie – najpierw posła, a następnie senatora odrodzonej RP. Na jego interpelacjach poselskich widzimy ładne, drobne pismo wprawnej ręki.

Feliks swobodnie władał też językiem rosyjskim i to nie dla robienia interesów z zaborcą, lecz dla skuteczniejszej z nim walki. Znana jest anegdota o tym, jak to w niedzielę po sumie,

gdy w kościele w Trzebieszowie odczytywano ukazy carskie, a ludzie mieli je przyjąć poprzez podniesienie rąk, Feliks płynnie przekładał je sąsiadom na polski i doprowadzał do tego, że ukazów nie przyjmowano. Za tego rodzaju wybryki, jak również za rozprowadzanie „pism niecenzuralnych” (jak Gazeta Ludowa czy Zaranie), bywał aresztowany zarówno przez władze rosyjskie, jak i później, w czasie I wojny, niemieckie. Za kontakty z Zaranem jego starszy brat Aleksander trafił nawet na Sybir, gdyż pechowo przebywał w redakcji tej gazety akurat w dniu obławy. Spotkanie z nim na etapie w Butyrkach odnotował inny niepodległościowy działacz Feliks Kaliński: okazało się, że tym samym stołypińskim wieziono do Moskwy całą redakcję „Zarania”. Prócz tego kilkudziesięciu chłopów, stałych czytelników tego pisma. Musiała być tam wielka wsypa... Najbardziej się ucieszyłem, że spotkałem się z chłopem Winiarczykiem Aleksandrem z Trzebieszowa. Ledwo go poznałem, biedak osiwiął. Niezwykłym przeżyciem jest tak niespodziewanie natknąć na krewniaka w cudzych wspomnieniach, usłyszeć echo sprzed stu lat.

Jako wysoki szczeblem działacz partii PSL-Wyzwolenie Feliks znał się osobiście z Witosem i Piłsudskim, a w jego rodzinnym domu w Trzebieszowie – co wspominała jego córka Maria, moja prababcia, indagowana w 1977 r. przez dziennikarkę pisma Chłopska Droga – bywali tacy ludzie jak Kosmowska, Thugutt czy Malinowski, o których (pisała) ja się uczyłam na lekcjach historii i których twarze znam tylko ze starych fotografii. Z lat kariery parlamentarnej zachowała się anegdota o tym, jak to pewnej zimy Feliks jechał na obrady do Warszawy, odziany w chłopski kożuch, czym wzbudził niesmak jadącego w tym samym przedziale oficera. Oburzony współpasażer wezwał konduktora i zażądał, aby uświadomił temu człowiekowi, że to wagon I klasy i musi się przesiąść. Dopiero kiedy Feliks okazał konduktorowi legitymację poselską, oficerek spiekł raka, zasalutował, przeprosił i szybko opuścił przedział. Z wrogością Feliks borykał się także na lokalnym podwórku, zwłaszcza że jako przedsiębiorczy duch angażował się w wiele aktywności: śpiewał w chórze jako tenor-solista, zorganizował we wsi szkołę i Spółkę Wodną, założył Kasę Stefczyka, prezesował straży ogniowej itd., jego syn Rudolf tworzył zaś lukowskie struktury skautingu i POW. W efekcie proboszcz skarżył się, że Trzebieszów został opanowany przez partię Wyzwolenie, która ze swoim posłem rządzi miejscowym sklepem, mleczarnią, kółkiem rolniczym, organizacjami młodzieży; a pewna sławna parafianka, autorka poczytnych romansideł, wysmażyła nawet na niego paszkwil pt. Sfinks, oczywiście zmieniwszy Feliksowi personalia z obawy przed procesem o zniesławienie. Mój dziadek Apoloniusz, wnuk Feliksa, po przeczytaniu tej książki nie mógł przeboleć: jak ona mogła tak go oczernić! A on przecież tyle zrobił dla Trzebieszowa i dla Polski!

Przez cały okres swojej politycznej i społecznej działalności Feliks prowadził rodzinne gospodarstwo rolne i mieszkał z żoną i pięciorgiem dzieci w skromnej chałupie krytej strzechą, która spłonęła we wrześniu 1939 r. od niemieckich bomb. Był to zresztą dziwny atak, trudny do uzasadnienia, bo we wsi nie było ani wojska, ani linii kolejowej, ani nawet kolumny uchodźców czy innych ulubionych celów niemieckich lotników; niemniej, jak wspominał dziadek, zniknęła wtedy spory kawał wsi od apteki do cmentarnej drogi. Z zabudowań Winiarczyków przetrwała tylko murowana obora, jeden z pierwszych nowoczesnych budynków w Trzebieszowie. Jest ona użytkowana do dziś – ostatnia pamiątka po moim wielkim prapradziadku.

,



## Mieczysław Drabik: siła tradycji i życiowa moc

**Łukasz Hartka**

Historia życia jest jak barwna mozaika, składająca się z niezliczonych kawałków wspomnień, wyborów i wyzwań, które kształtują nasze istnienie. Wśród tych wielu historii ukazuje się również historia życia mojego dziadka, Mieczysława Drabika - rolnika, ojca, sportowca i intelektualisty. Jego życiowy przekrój ukazuje wyjątkową siłę charakteru i nieustępliwość, która trwała aż do późnej starości.

Mieczysław Drabik urodził się wśród pól i pachnącej ziemi pod Grudziądzem, w sercu rodzinnego gospodarstwa rolnego. Jego związek z ziemią i naturą było nieodłącznym elementem jego życia. Dziedziczenie 39 hektarów po rodzicach nie tylko przekazało mu odpowiedzialność za gospodarstwo, ale także umocniło w nim wartości pracy, troski o ziemię i przywiązania do rodzinnych tradycji.

Los, jednak, nie zawsze układa się tak, jak planujemy. Czas wojny przyniósł ze sobą przymusową przeprowadzkę do odległych terenów pod Rzeszowem. To wydarzenie wyryło się w pamięci dziadka jako bolesna strata i nowa próba, którą musiał podjąć wraz z rodziną. Jednak nawet w obliczu trudności, nadal pozostał wierny swojemu charakterowi - wytrwał, nie poddał się i uczynił z nowego otoczenia nową szansę na rozwój.

Młodość dziadka była nasycona różnorodnymi pasjami i osiągnięciami. Pracując w stadninie koni w Miłosnej, odkrył swoją miłość do koni i sportów jeździeckich. Zdolności sportowe pozwoliły mu na udział w zawodach jeździeckich ze skokami przez przeszkody, a zdobywane nagrody były nie tylko dowodem na jego umiejętności, ale także świadectwem jego wytrwałości i poświęcenia w osiąganiu celów.

Warto również podkreślić, że w życiu dziadka było miejsce na tragedię. Śmierć jego ośmioletniej siostry na skutek gruźlicy była bolesnym doświadczeniem, które zapewne wpłynęło na jego zdolność do empatii i zrozumienia dla innych ludzi. Ta strata stała się dla niego źródłem głębszej refleksji nad kruchym pięknem życia oraz wartością rodziny i zdrowia.

Mieczysław Drabik był nie tylko sportowcem, ale również oddanym ojcem czwórki dzieci. Jego zaangażowanie w życie rodziny, troska i wsparcie, które nieustannie oferował, były ukoronowaniem jego życiowych osiągnięć. Był przykładem nie tylko w działaniu, ale i w postawie - nauka od niego, jak troszczyć się o innych i jednocześnie rozwijać się jako jednostka.

Późna starość to czas, gdy wiele osób zwalnia tempo, skupiając się na codziennych rutynach. Dziadek Mietek nie znalazł jednak granic w swym poznawczym zapałom. Czytanie książek, oglądanie filmów i korzystanie z komputera były dla niego sposobem na utrzymanie żywego umysłu i zacieśnianie związków z nowinkami kultury. To ukazuje, że w każdym wieku można dążyć do rozwoju, poszerzać horyzonty i być otwartym na nowe doświadczenia. Mój dziadek

nie odstawał również zdolnościom manualnymi - na emeryturze połowę dnia spędzał w warsztacie, składając hybrydy pojazdów, udoskonalając i naprawiał narzędzia rolnicze oraz projektował meble i mniejsze budowle.

Mieczysław Drabik zakończył swą ziemską podróż w wieku 90 lat, ale pozostawił po sobie niezatarte ślady w sercach tych, którzy mieli przywilej go poznać. Jego historia to opowieść o siłowym charakterze, wytrwałości, rodzinie i otwartości na życie. Przeszedł przez wyzwania i radości, zachowując integralność i dając swym bliskim wzór do naśladowania. Jego życie przypomina nam, że każda chwila ma wartość, każda decyzja kształtuje naszą przyszłość, a miłość do rodziny i pasja do życia są nieocenionymi skarbami.

## Karol Czyż, odwaga wspomnień: dziedzictwo przodków jako latarnia wyzwań i mądrości

Karol Czyż

Pochodzenie, to jak korzenie drzewa, ukrywa się pod ziemią, ale stanowi fundament dla rozwinięcia gałęzi i liści w przyszłość. To z tego źródła czerpiemy siłę i wyznaczamy naszą drogę. Nasze przodkowie, wędrujący przez życie i historię, rzeźbili naszą tożsamość i wpłynęli na nasze wybory. Ich doświadczenia, ich bóle i triumfy, przeplatają się z naszymi postawami, tworząc nierozzerwalny most między przeszłością a teraźniejszością. Warto więc zgłębić tę rzekę przeszłości, co podsunęła nam na myśl Fundacja Instytutu Staszica, zachęcając Polki i Polaków do odkrywania źródeł swojej tożsamości.

Niewątpliwie, opowieści moich dziadków, jak rozdzierające wiatrem strony z przeszłości, stały się dla mnie literackim przewodnikiem po złożonej historii. Zaczniemy od historii dziadka ze strony taty, jakby przeniesieni w czasie do jego 21 lat, kiedy to zostaje on wciągnięty niechcianie do niemieckiego wojska i staje w obliczu wschodniego frontu. Tam, w krwawym tańcu walk, jego serce pulsowało w rytmie nie tylko osobistego strachu, ale i kolektywnego cierpienia całego pokolenia. Raniony w udo, jak jakieś nieodwracalne piętno, zamyka jego aktywną rolę na polu bitwy. Opowieści o przeżytych bombardowaniach na morzu w drodze do szpitala w Hamburgu jak i już na miejscu, w które wplątane były jego marzenia i nadzieje, maluje nieuchronnie obraz młodego człowieka skonfrontowanego z niewyobrażalnym dramatem. Zrozumienie dla tych chwil, w których czuł zapewne głęboki strach i niepewność, pozwala mi odgadnąć, że niejedną raz patrzył na gwiazdy nocnego nieba, żądając odpowiedzi na pytania, na które nie istniały słowa.

Rozmyślając nad drugim dziadkiem, którego niestety nie zdążyłem poznać osobiście, widzę go w odblaskach opowieści. Chłopiec w wieku 17 lat, wciągnięty w kołowrót historii, staje wobec wyboru, którego nigdy nie chciał dokonywać. Walki na wschodnim i zachodnim froncie jawią się jako mroczny sen, a jego wpadnięcie w niewolę w przez armii czerwonej przynosi ze sobą piekło, które opisuje jako najstraszniejszy moment w swoim życiu, zaznał tam cierpienia, ale i stał się świadkiem tych wydarzeń. Jego opowieść to epepeja o przetrwaniu w obliczu horroru wojny. Te straszliwe okoliczności wydają się płynąć z czarnych kartek historii, przypominając nam o tym, że rzeczywistość wojny jest nie do opisanania.

Dziadek ze strony matki, w opowiadaniach bogatszy, przenosi nas na inny szlak wojennych losów. Wojna, która nadepnęła na jego duszę, przelała swoje cienie na jego przekonania. Wojna, jako przedstawicielka bezwzględności i niszczycielskiej potęgi, nie mogła pozostać obojętna wobec jego serca. I choć ich opowieści na pozór różnią się, ukazują podobny przekaz – wojna to koszmar, który wyrывa ludziom z rąk nadzieję, zostawiając za sobą jedynie blizny i żal.

Nie można jednak zapomnieć, że moim dziadkom nie przyznano wyboru. Zostali wciągnięci siłą do niemieckiego wojska, zmuszeni walczyć w obcych mundurach. Jednak nawet w najgorszych momentach, ich główną motywacją do walki był nie ideał narodowy, lecz wola przetrwania i powrotu do domu. To silne pragnienie, to dążenie do odzyskania utraconego, podtrzymywało ich na froncie, sprawiając, że w świetle konfliktu wojennego pozostawali oni ludźmi, pragnącymi żyć.

Zaskakujące jest również, że mimo że zostali oni poddani presji wojennego aparatu, nie ulegli stereotypom i nie nurtowały ich uprzedzenia. Ich doświadczenia na froncie nie zatrwały ich serc. Po wojnie, mimo okrucieństw, nie obciążali zwykłych Niemców winą za wydarzenia. Wręcz przeciwnie, utrzymywali kontakt z ludźmi, których poznali w tamtym czasie, ukazując, że nie narodowość określa czy ktoś jest dobry czy zły, lecz indywidualne wybory i postawy.

W końcu, opowieści o moich dziadkach ukazują jak wartościowe jest poznawanie naszych korzeni. To nie tylko żywa przeszłość, to fundament naszej tożsamości. Fundacja Instytutu Staszica wskazuje na wagę poznawania swoich źródeł. Historie moich dziadków stają się drogowskazem, który ukazuje, że przeszłość kształtuje teraźniejszość i inspiruje przyszłość. Ich przekonania, wyłonione z gorzkiego doświadczenia wojennego, są jak lampy prowadzące nas przez mrok. Mimo że zostali oni siłą wciągnięci do wojska niemieckiego, ich życie to nie tylko historia jednostkowa, lecz cenna lekcja dla nas wszystkich. Dzięki ich doświadczeniom uczymy się szacunku, zrozumienia i pokoju jako wartości przekazywanych przez pokolenia. Wartości, które stają się światłem w mrokach historii, prowadząc nas ku lepszemu jutru.

## Stąd jestem

Joanna Łepecka

Od małego mówiono mi o Armii Krajowej, kim są jej żołnierze. „To bohaterzy” mawiał dziadek, którego ojciec, a mój pradziadek walczył w ich szeregach „Za wolność Naszą i Waszą”. Pradziadek, Antoni Łepecki, pod wodzą Antoniego Hedy ps. „Szary” pełnił służbę dla ojczyzny, aby odzyskać skradzioną wolność. Mój pradziadek to wspaniała i godna naśladowania postać. Pomimo tego, że przyszło mu żyć w tak tragicznych czasach jakim był okres II wojny światowej i czasy powojenne, zawsze był człowiekiem odważnym i szlachetnym, dla którego Bóg, Honor i Ojczyzna nie były pustymi słowami. On te wartości reprezentował, pielegnował i wpał innym. Był i jest przykładem do naśladowania, dlatego też pragnę podzielić się jego losami. Tym co przeżył w swoim jakże burzliwym życiu. Choć nie udało mi się odkryć jego wszystkich czynów, pragnę przybliżyć jego życie i przedstawić kilka jego wojennych dokonań. Tym czym, pomimo lęku o rodzinę w okresie powojennym, podzielił się ze swoimi dziećmi. Kawałkiem historii człowieka ważnego dla Polski, dla którego Polska była najważniejsza. Antek urodził się 18 marca 1921 roku w Aleksandrowie Dużym w gminie Sienno. Miał sześciu braci i młodszą siostrę. Cała rodzina wychowywana była w duchu patriotyzmu i miłości do Boga i Ojczyzny, co zaowocowało późniejszym ich udziałem w konspiracji i walce z okupantem sowieckim. Najstarszy brat Jan Łepecki podchorąży 3-go P.P.Leg. AK, „Zagończyk” wraz z bratem kpt. Czesławem Łepeckim „Ostoja” należeli do oddziału „Orla” ze grupowania „Zagończyka”. Czesław był dwa razy skazany na śmierć, ukrywał się przez wiele lat przed UB. Kolejni bracia, którzy poszli w ślady braci to por. Antoni Łepecki „Krak”, ppor. Franciszek Łepecki „Nieznany” i jedyna siostra, która również działała w konspiracji. Była łączniczką o pseudonimie „Ewka”. Kiedy jej starszy brat Czesław zmuszony był uciekać do Wrocławia, ponieważ został zdekonspirowany przez zdrajców z AK, Ewa nie wahała się wspierać brata w jego działaniach partyzanckich dostarczając mu krótką broń w wypiekanych prze siebie chlebach. W książce Krzysztofa Bussea i Arkadiusza Kutkowskiego „Bić się do końca. Podziemie niepodległościowe w regionie radomskim w latach 1945–1950”, Czesław Łepecki „Ostoja-Bór” opisany jest tak – „Jeden z nielicznych żołnierzy podziemia, których nie udało się ująć aparatowi bezpieczeństwa mimo zakrojonych na szeroką skalę i obejmujących także teren zachodniej Polski poszukiwań. Ukrywał się do 1965r.”. Pradziadek w chwili wybuchu II wojny światowej miał osiemnaście lat. Był młodym, radosnym mężczyzną. Jednak wojna brutalnie przerwała ten w miarę beztrudny czas. Zbombardowana szkoła, ginący ludzie, wkroczenie armii niemieckiej. Czas okupacji niemieckiej, a potem sowieckiej. Do Armii Krajowej wstąpił bez wahania, gdy tylko nadarzyła się taka okazja. Tak jak i jego pozostali bracia. Choć ich mama nie chciała, by się narażali, oni postawili na swoim. „Do armii krajowej dołączyłem za młodu. Jeszcze w pełni umysły nierozwinięte, a tu do wojska idziemy. Ta decyzja doprowadziła do rzeczy dobrych, ale i złych. Nikt nie chce widzieć na własne oczy czym jest wojna i jakie są jej ofiary. Po drugie

strach, lęk i bezradność wykańczały człowieka. W AK poznałem Marię. Została moją koleżanką z wojska, a potem żoną. Przy niej czułem się szczęśliwy i pomimo tragedii otaczającej nas, pragnąłem żyć i walczyć z tym złem”. Pradziadek o wojnie mówił niewiele, gdyż pamiętał czasy swojej powojennej tułaczki i ucieczki przed sowieckim wyzwolicielem, któremu pomagali ludzie z UB. Wiem, że był partyzantem WIM należał do nadwiślańskiej jednostki AK w Aleksandrowie. Jego pseudonim to „Krak”. W jednej z opowieści wspominał o roku 1943. Oddziały dziadka przeprowadziły akcję zdobycia i zabezpieczenia rakiety V-2. Była to broń, nad którą pracowali i testował Hitler. W deszczowy dzień wraz z kolegami musiał przetransportować raketę na brytyjski samolot. Pilot z uwagi na bagnistą ziemię i lęk nie chciał wystartować. Czas upływał, a ryzyko spotkania wroga rosło.–

Startuj! – krzyczy jeden z żołnierzy kierując lufę pistoletu w stronę pilota. Ten leci do Brytanii.

Raz przydzielono mu pozbycia się wroga pomagającemu III Rzeszy. Dziadek, który nie chciał już zabijać, nie wykonał wyroku. Zrobił to inny żołnierz. Później okazało się, że konfident działał również dla Sowietów, dlatego po wojnie wykonawcę wyroku skazano na wzięcie. Z uwagi na prowadzoną działalność partyzancką, pradziadka poszukiwało UB po wojnie. Ukrywał się w on stodółach, zdala od rodzinay. Jego żona była wielokrotnie więziona przez Sowietów w piwnicach w Siennie. Grożono jej śmiercią i zmuszano do ujawnienia pobytu męża. Była jednak nieugięta. W nocy spotykała się z dziadkiem przy wolnostojącej piwnicy sąsiadów. Akcje represyjne wobec członków AK trwały. Pewnego razu UB i zdrajcy z AK urządzili zasadzkę na pradziadka. Ten jednak dzięki odwadze prababci, która zasłaniała linię strzału sobą i dzieckiem, zdołał uciec pomimo dużego ostrzału do lasu. Ich małemu synkowi mówiono, że osoba która do nich przychodzi to „baran”. Na pytania Ubeków, mówił o baranie i tym sposobem nie wydał ojca. Tak zabezpieczano się przed prawdomównością dzieci. W czasie amnestii, Antek zgłosił się do UB. Mimo zapewnienia bezpieczeństwa i wolności, został aresztowany. Był więziony i bity. Dziadek jednak nie złamał się. Z braku dowodów, na szczęście został zwolniony. Pradziadek Antek, mimo wielu przeżyć przez całe życie był czynnym patriotą. Zawsze stawał w obronie Boga i Ojczyzny. Jego życie było przepelnione wiarą. Wiarą w Boga i wolną Ojczyznę. Do końca swoich dni krzewił te wartości. Jestem dumna ze swojego pradziadka. Dumna, że jestem jego prawnuczką. Dumna z tego kim był, jaki był i jak postępował. Dziś Ja biorąc z niego przykład staram się mu dorównać i być osobą dla której słowa Bóg, Honor i Ojczyzna wiele znaczą. Aby pamiętać o nim i o podobnym mu ludziach, którzy tak wiele dla nas zrobili, tyle wycierpieli – pielęgnuję pamiętki z jego życia i staram się żyć „tak jak trzeba”.

## Ale to był Aleksy – mąż Niusi

Joanna Józefowicz

Był sobie Dziadek Aleksy.

Aleksy Józefowicz urodził się w 1917 r. w czasie bieżenstwa w siele Nowy Kryżym nad Donem (Rosja - saratowskaja obłost'). Do Milejczyc, obecnie wsi gminnej w województwie podlaskim – rodzinnej miejscowości jego rodziców przybył z ojcem, rodzeństwem i babcią. Był wówczas niemowlęciem. Po ekspansji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 roku, jako młody chłopak został wezwany na wojskową komisję poborową i przymusowo wcielony do Armii Radzieckiej. Skierowano go do podoficerskiej szkoły wojskowej w Odessie. Walczył w Armii Czerwonej, która broniła się przed naporem wojsk niemieckich i rumuńskich na froncie południowym. Cudem przeżył obóz jeniecki w Rumunii. W 1944 roku Aleksego ponownie wcielono do Armii Czerwonej. Brał udział między innymi w bitwie o Belgrad. Wojnę zakończył pod Wiedniem. Za udział w działaniach wojennych otrzymał wiele odznaczeń i medali ( m.in. za wyzwolenie Belgradu 20 październik 1944 r.; został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. ) Aleksy do Polski wrócił w grudniu 1945 roku. Jedną z opowieści o dziadku jest taka, że w czasie drogi powrotnej do Milejczyc, znalazł on nocleg w gospodarstwie, w którym mieszkała młoda dziewczyna. Gospodarze szybko zauważyli w Aleksym idealnego kandydata na męża (poza wieloma zaletami był również przystojny). Mój dziadek uznał, że „natura ciągnie wilka do lasu”. Chciał zamieszkać i założyć rodzinę w rodzinnej miejscowości. Dlatego, gdy zauważył co się święci poprosił, by pościelono mu w niedocieplonej izbie z oddzielnym wejściem, tłumacząc, że w chacie będzie mu zbyt gorąco.

Stamtąd w nocy czmychnął.

W Milejczycach mój dziadek ożenił się z Anną, z którą przeżył równo 64 lata. Aleksy Józefowicz zmarł w swoją rocznicę ślubu. Jeszcze rok a małżeństwo doczekałoby się żelaznej rocznicy. Babcia zmarła niedawno. Do 100 lat zabrakło jej kilkunastu dni. Mój dziadek i babcia pasowali do siebie, choć często się droczyli w myśl powiedzenia, że „Kto się czubi, ten się lubi”.

Pewnego razu dziadek rzekł do babci (Niusia, to w gwarze milejczyckiej Anna) – Niusia, zjadłbym zupki.

Babcia całe życie była gospodynią, uwielbiała gotować. Szybko zabrała się więc za przygotowanie pysznego obiadu dla męża. Talerz ze świeżą, parującą zupą stanął przed Aleksym. Dziadek: A co to?

Babcia: Twoja zupka.

Dziadek: A ja nie chcę.

Babcia w nieudawanej złości trąkotała, a uśmiechającego się pod nosem dziadka brała radość, że babcia się złości, choć z jego strony nie było to złośliwe - wiedział, że zaraz babci przejdzie, a zupkę zjedzą oboje.

Aleksy i Anna pasowali do siebie zamiłowaniem do miejsca na ziemi, które świadomie wybrali. Ilekroć wyjeżdżali autobusem do miasta do lekarza (gdy byli nieco młodszy) po zrealizowaniu swoich spraw natychmiast wracali na wieś. Bardzo rzadko korzystali z propozycji noclegu u swoich dzieci w mieście. Dlaczego? Bo „trzeba nakarmić kury”, które zawsze mieli... mimo, że ich już dawno nie było. Podobnie jak nie było potem już byków, krów, świń, które kiedyś hodowali.

Wracając wspomnieniami do dawnych czasów, pamiętam koguta. Kogut był narwany łagodnie stwierdzając. Rzucił się walecznie do wszystkich, kto tamtędy przechodził. Irytował zwłaszcza babcie, która by nakarmić kury, opędzała się przedtem przed kogutem kijem. Aleksy jako prawdziwy mężczyzna tak wyrozumiały nie był i chciał go zabić na rosół. Sprawa rozwiązała się jednak sama. Pewnego ranka kogut zawisł na siatce i tak dokonał żywota. Smaczny był rosół-zupka ugotowany przez babcie – mistrzynię domowej kuchni.

Jak już wspomniałam Aleksy kochał wieś i rolę całym swoim sercem. W sędziwym wieku był ciekaw jak mają się sprawy ze zniwami. Młody duchem, wsiadł na rower, by nadzorować prace wynajętego przez syna kombajna. Na pole dojechał, ale...

– Jak ja teraz wrócę?? – zachodził w głowę.

Mój tato odwiózł go do domu. Samochodem.

Hart ducha miała również żona Anna. Ona także spróbowała kiedyś swych sił rowerem, choć nie skończyło się zbyt zabawnie. Wiekowa babcia robiła latem powidła z własnoręcznie zerwanych w sadzie śliwek węgerek. Zabrakło cukru. Uznając, że nie dojdzie po drabinie na strych po zapasy (syna nie ma co przecież o przysługę prosić), wsiadła na rower damkę i udała się do pobliskiego sklepu. Wioząc na ramie 10 kg cukru, przewróciła się, upadła i połamala sobie rękę. Cukier się rozsypał. Nusia przepłaciła (cukier ze strychu był z promocji i tańszy) oraz przypłaciła gipsem.

Dziadek z babcie do końca swych dni zachowali silną wiarę, niezłomność. Dziadek mimo szybkiego postępu choroby miał do końca swych dni niezwykle poczucie humoru. Babcia zmarła niespodziewanie na zapalenie płuc. Babcia była kobietą odważną, z klasą i lubiła dbać o swój wygląd. Uwielbiała torebki i białe korale – perełki oraz jasne buty. W sieni wiejskiego domu stało lustro. Babcia Ania w wieku 98 lat odwiedziła kosmetyczkę w ramach prezentu na Dzień Babci od wnuczki. Po 90-tce była również w teatrze. Nie podobał jej się tylko dym z przedstawienia, od którego zaczęła kaszleć (wybrała miejsce w pierwszym rzędzie). Mimo, iż babcia uchodziła za elegantkę, który niezbyt pasował do wiejskiego klimatu Milejczyc, oboje byli bardzo przywiązani do swej wsi-małej-ojczyzny i byli ludźmi spełnionymi i szczęśliwymi. Oboje byli ludźmi wierzącymi. Uczęszczali na nabożeństwa i czytali w domu Biblię. Dziadek miał wiele marzeń, z których chyba tylko jedno się nie spełniło - tuż przed śmiercią nakłaniał syna, by zajął się hodowlą baranów.

– Będą strzyc za darmo trawę i kosić nie trzeba: w sam raz na moje lata!

Po śmierdzi dziadka, jego syn a mój tato, na wsi założył nie hodowlę baranów a pasiekę pszczół. Dziadek kochał wieś, mój tato również ją kocha.

Joanna Józefowicz



## Rozmowa z Babcią

### Julia Parcheniak

*„Pochodzenie, postawa przodków oraz ich doświadczenia życiowe mają znaczący wpływ na postawy i wybory jednostki. Wychowanie i przekazy rodzinne stanowią fundament budowy wspólnoty narodowej.”*

Ja: Cześć! Chciałbym porozmawiać z Tobą na temat naszego rodowego dziedzictwa i tego, jak myślisz, że wpłynęło to na nasze życie.

Babcia: Cześć! Jasne, chętnie podzielę się swoimi przemyśleniami na ten temat.

Ja: Super! Zacznijmy od naszych przodków. Co myślisz, jakie doświadczenia życiowe mieli i jakie wartości przekazywali?

Babcia: Nasza rodzina miała różnorodne doświadczenia. Wielu przodków przechodziło przez trudne okresy, wojny czy migracje. To na pewno wpłynęło na ich postawy, szczególnie na umiejętność radzenia sobie z trudnościami. Przekazywane były nam wartości takie jak wytrwałość, współczucie czy dążenie do lepszego życia.

Ja: To ciekawe. A czy uważasz, że te postawy i wartości przekazane przez przodków wpłynęły na nasze wybory i postawy?

Babcia: Zdecydowanie tak. Widzę, że nasza rodzina zawsze podkreślała znaczenie edukacji i ciężkiej pracy. To wpłynęło na to, że większość z nas dążyła do osiągnięcia sukcesu zawodowego. Ponadto, nasza otwartość na różnorodność może być rezultatem doświadczeń przodków z różnych kultur.

Ja: Wartości i postawy przekazane przez rodzinę mają więc duże znaczenie dla naszych wyborów i podejścia do życia?

Babcia: Tak, wierzę, że nasze korzenie kształtują nasze podejście do wielu rzeczy. To, co słyszeliśmy od rodziców i dziadków, wpłynęło na nasze wybory życiowe, wartości moralne i sposób, w jaki traktujemy innych ludzi.

Ja: A co sądzisz o wychowaniu i przekazie rodzinnym jako kluczowych elementach budowy wspólnoty narodowej?

Babcia: To fundamentalne. Wychowanie i przekazywane wartości tworzą spoiwo, które łączy nas jako wspólnotę narodową. To dzięki nim mamy wspólne odniesienia, rozumiemy pewne tradycje i jesteśmy bardziej zjednoczeni. To jak kamień węgielny, na którym buduje się więzi społeczne i kulturowe.

Ja: Dzięki za te wspaniałe przemyślenia. Wydaje się, że nasze dziedzictwo i wychowanie naprawdę mają ogromny wpływ na to, kim jesteśmy i jak się zachowujemy.

Babcia: Tak, to fascynujące, jak nasza historia wpływa na naszą teraźniejszość. Dzięki temu możemy lepiej zrozumieć samych siebie i swoją rolę w społeczeństwie.

Ja: Zgadza się, to naprawdę interesujące spojrzenie. Dzięki za rozmowę na ten ważny temat!

Babcia: Nie ma sprawy, cieszę się, że mogłam się podzielić swoimi myślami. To zawsze warto odkrywać nasze korzenie i zastanawiać się, jak wpłynęły na nasze życie.

# Stąd jestem

## Wojciech Konieczny

Babcia Karolina urodziła się w czasach, o których czytałem w podręczniku do historii. Gdy byłem dzieckiem, wszyscy ludzie, którzy mieli więcej niż trzydzieści lat, wydawali mi się starzy, a rok który po 19 miał cyfrę mniejszą niż 7 mógł być równie datą bitwy pod Grunwaldem. Dawno. Kiedyś. Stare.

Dziś sam mam więcej lat niż ludzie, których uznawałem wtedy za starych, rok 1920, w którym urodziła się moja babcia, nie jest już datą z zamierzchłej epoki, choć ona sama coraz bardziej zaciera się w mej pamięci.

Gdy byłem dzieckiem i co roku wraz z mamą jeździliśmy do niej na wieś, wakacje te jawiły mi się jako koniec świata. No bo koledzy jeździli na kolonie, nad morze, do wujka w Warszawie, nawet za granicę, a my tylko ciągle do tego Kromolina. Co to za nazwa w ogóle? Potem dowiedziałem się, że wieś nazywała się wcześniej Mirosław, ale też Schonow i Schönau, co już nic mi nie mówiło.

Jakie to zresztą miało wtedy dla mnie znaczenie? Koledzy byli w tylu fajnych miejscach, a my ciągle w małej wsi gdzieś między Nową Solą a Głogowem, na styku województw, których nazwy brzmiały dla mnie nie dość egzotycznie, by móc się nimi potem pochwalić w szkole. To nie było nic wielkiego, ale nic większego wtedy nie miałem. Zwłaszcza, że nie było zbyt wielu możliwości spędzania czasu.

Na szczęście lubiłem słuchać dziwnych, tajemniczych opowieści, z nutką grozy i fantastyczności, nawet jeśli potem bałem się zasnąć. I tu babcia Karolina okazywała się prawdziwą skarbnicą historii, Szeherazadą z małej wsi między Nową Solą a Głogowem, choć, jak sama mówiła, nigdy nie czuła się mieszkanką tego miejsca tak do końca. „Jestem z Lublina” – mówiła zawsze. Tam się urodziła, tam poznała dziadka i stamtąd wywieziono ją na roboty do Niemiec, z których nie dane jej już było do Lublina wrócić. Ale wróciła – razem z dziadkiem, tyle, że do Kromolina właśnie, do którego teraz i ja zmierzam wraz z mamą pociągiem na kolejne już wakacje i do którego wracam myślami za każdym razem, bo choć gdy byłem dzieckiem chciałem być zawsze gdzieś indziej, to teraz wiem, że właśnie to miejsce wpłynęło na mnie najbardziej i chyba nigdy tak naprawdę go nie opuściłem.

Więc leżę w największym pokoju domku babci. Obok mnie leży mama, na łóżku pod oknem babcia. Jest jeszcze mój młodszy brat, ma może trzy, może cztery lata. Jest lipcowy wieczór, ale musi być już bardzo późno, bo jest ciemno, a jedynymi źródłami światła są czający się za oknem księżyc i fosforyzująca figurka Matki Boskiej na wypełnionym po brzegi świętymi artefaktami regale. Tuż za ścianą znajduje się mur starego kościoła. Między domem babci a murem kościoła znajduje się bardzo wąska ścieżka – ma może pół metra szerokości, a dalej mały przykościelny cmentarzyk, na którym pochowanych jest kilkanaście osób (reszta zmarłych leży na cmentarzu na krańcu wsi). I wśród tych kilkunastu są też moi wujkowie i ciocie, których

nigdy nie poznałem i których nie poznała też babcia, bo żyli za krótko, albo wcale. Zawsze było mi ich strasznie szkoda. Kim by byli, co by robili, gdzie by mieszkali? Może w Warszawie i wtedy mógłbym do nich pojechać na wakacje? Albo nad morzem, albo nawet za granicą? Ale mieszkają tu, na za murem, metr albo dwa od naszych łóżek i równocześnie jest mi strasznie smutno i bardzo się boję. I wtedy babcia zaczyna opowiadać. O swoim dzieciństwie w Lublinie, o tym jak wywieźli ją do pracy, jak zakochała się w dziadku i wraz z nim wróciła po wojnie do kraju, którego nie znała i osiadła w wiosce, której nazwy nie była w stanie wypowiedzieć bez łez (nigdy nie rozumiałem, dlaczego płacze, a płakała bardzo dużo, zresztą moja mama ma to chyba po niej, a ja po swojej mamie, bo też za dużo płaczę – i mój syn także, chyba jesteśmy skazani na sto lat płaczu, prawie jakbyśmy byli jakąś rodzimą wersją powieści Marqueza). A potem przejdzie do historii czarnej postaci z cmentarza na krańcu wsi, która pojawia się tam co jakiś czas i stoi nieruchomo ku przerażeniu miejscowych, którzy przyjdą odwiedzić zmarłych (i dlaczego akurat jutro na cmentarz musimy iść też my, do dziadka, który zmarł zanim zdążyłem go poznać, jak większość mojej rodziny, przez co czuję się, jakbym tak do końca jej nie miał). I jeszcze opowieść o kościelnym murze, tym tuż za ścianą domu babci, który ponoć pewnej nocy zawałił się z ogromnym hukiem, budząc wszystkich domowników. Moja mama wyszła wtedy z domu i zobaczyła, że mur rozsypał się w drobny mak, jakby ktoś rozsadził go granatem i babcia powiedziała wtedy, żeby wrócili do domu i spróbowali spać, a rano się kogoś wezwie. Ale rano, gdy wszyscy wstali, okazało się, że mur stoi, jakby nigdy nic, że ani jednego kamyczka nie brakuje! I zachodzili wszyscy w głowę, że jak to możliwe, przecież widzieli, a już na pewno słyszeli! Cały dzień się głowili, co też się wydarzyło, albo raczej nie wydarzyło, i wtedy do drzwi ktoś zapukał (w tym momencie historii zawsze myślę, że to ta zjawa z cmentarza). Ale to był wujek Tadek, brat babci, mieszkający dwie wioski dalej, no i powiedział, że ciocia Halinka nie żyje i już wszyscy wiedzieli, kiedy zmarła. W nocy, dokładnie w tej chwili, gdy runął mur...

\*\*\*

Dwadzieścia kilka lat później idziemy na cmentarz, gdzie oprócz dziadka i kolejnych wujków i ciotek leży jeszcze babcia Karolina. Znajduję grób babci, której nigdy tak naprawdę nie zdążyłem poznać, choć wysłuchałem tylu opowieści, spędziłem w jej domu na wsi tyle wakacyjnych dni przez tyle lat, ale nie myślałem przecież wtedy, żeby spytać o coś jeszcze, poznać ją lepiej, kim była, co robiła i jakie były jej marzenia. I wiem, że już nigdy się tego nie dowiem, bo wszystkie odpowiedzi pochowane są tu wraz z nią, obok dziadka i dzieci, które nie zdążyły dorosnąć i napisać swoich historii. I wtedy podchodzi do mnie mój syn i mówi, że chodź tata, idziemy już, więc idę, ale muszę jeszcze zadzwonić, więc wyciągam telefon, wybieram numer i gdy po chwili w słuchawce odzywa się głos, mówię „Cześć, Mamo” i dałbym głowę, że brzmie, jakbym znowu miał osiem, dziewięć lat...

# Stąd jestem

**Anna Dragan**

Klemens Felicjan Lechnicki, który zginął spalony w Lancasterze bombowym Dywizjonu 300 Ziemi Mazowieckiej w nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1944 roku nad Normandią, miał 26 lat, za sobą wielomiesięczne przedzieranie się do Anglii, problemy ze zdrowiem, i cel – walki w lotnictwie o Polskę, rodzinę, dom. Mimo iż jego aktywność w wojsku długo nie trwała, był odznaczony Krzyżem Walecznych. Aby latać odstąpił od licznych pasji. Zachęcano go do zajęcia się publicystyką, gdyż był cenionym autorem artykułów w prasie emigracyjnej, a także aktywnym działaczem. Prezydent Raczkiewicz proponował mu stanowisko adiutanta. Wspominają go serdecznie pamiętnikarze, a wśród nich aktor Mieczysław Pawlikowski oraz Stanisław Sęp-Szarzyński. Tadeusz Katelbach poświęcił mu jedną ze swoich książek. Jestem jego siostrzenicą, czuję to, co on, kiedy notował przeżycia w wierszach pisanych w ekstremalnych warunkach, w stylu post-skamandryckim. Pragnął być pisarzem, ale sztukę i ambicje własne stawiał na drugim planie. Chciałabym, żeby została utrwalona pamięć jego czynów i ślady niecodziennej osobowości. Miał dar prostoty w obejściu i wyjątkowe poczucie humoru. Pisząc o nim, podążam za tym, jak rozwijał się od najmłodszych lat i co zdarzyło mu się potem.

# Dziadek Jan

Agata Drozd

To było dwudziestolecie międzywojenne - na południowych kresach, na wsi, bieda aż skrzypiała. W domu mojego dziadka było kilkanaścioro dzieci, wszystkie bosc. Głodni bywali na przednówku.

Na wsi chłopcy otrzymywali zazwyczaj jedno z dwu imion, Jan albo Stanisław; te imiona często naprzemiennie pojawiały się w historii mojej rodziny. Zdarzały się także Maciej, Antki, Jakuby.

Ta historia będzie o moim dziadku Janie. Był on ojcem mojego dziadka Stanisława, ojca mojej Matki.

Dziadek Jan był trochę jak młody Chrystus, a trochę jak Janko Muzykant – chodził po polach, nie miał w rękach nic do roboty, nie miał nawet skrzypek – chodził, myślał, patrzył w dal.

Wyobrażam sobie, jak pewnego razu poszedł do swojego ojca, którego imię tonie już w pomroce dziejów, i powiedział, ojciec, płynę do Ameryki.

Ojciec jego zapewne nie powiedział nic, bo na wsi podczas posiłku usta otwierało się tylko do jedzenia.

Jan powtórzył swoje oświadczenie. Pod deską miał schowane pieniądze na bilet, bilet trzeciej klasy, ale nikt w mojej rodzinie nie wie, skąd wziął te pieniądze. Po prawdzie, jedynie moja Matka, najmłodsza z piątki siostr, pielęgnuje pamięć o dziadku Janie.

\*\*\*

Popłynął. Na początek wynalazł sobie skądś buty; mając buty, ruszył na poszukiwania pierwszej pracy. Dziadka fascynowały samochody, więc gdy ujrzał szyld „Car Rent” wszedł do środka, zapewne zapominając o tym, że teraz wypadaloby skorzystać z wycieraczki. Tak to widzę teraz, z perspektywy swojego wygodnego, warszawskiego mieszkania, pełnego książek i obrazów.

Dziadek pracował wytrwale, chłonał język, obserwował. Był bardzo inteligentny – umiał wyciągać wnioski; niedługo później postawiono go jako szeregowego pracownika, by zajął się negocjacjami z klientami.

Po latach dziadek miał założyć własny biznes, ale spotkał moją babkę.

Babka moja była osobą nad wyraz bezbarwną. Pracowała przy szyciu i cerowaniu, nie znała języka, była nieufna i zamknięta. Zbiegiem okoliczności pochodziła z okolic dziadka. Kiedy Jan zobaczył moją babkę, zapewne ujrzał swoje przysze dzieci, wyobraził sobie tę nijaką kobietę jako panią Janową Bryś, żonę właściciela zakładu motoryzacyjnego. Oglądałam kiedyś ich zdjęcia z wesela przyjaciół – wyglądali jak zadowolona i zamożna klasa średnia, kobiety w tych sukienkach z dwudziestolecia, z białymi, jedwabnymi opaskami na krótkich włosach.

Niedługo potem urodziły im się dzieci, ale nostalgia babki nabierała na sile. W końcu przeprawili się przez ocean i osiedli na podkarpackiej wsi; babka postawiła na swoim.

Babka Paulina pracowała na gospodarce wraz z dorastającymi córkami. Była niewdzięczna i zgryźliwa, uważała, że nikt nie pracuje jak należy.

Dziadek coraz częściej zaszywał się sam w pokoju ze swoimi amerykańskimi książkami ze szkicami pojazdów w środku.

W końcu decyzja zapadła: dziadek zostawił za sobą książki, pola i rodzinę. Kupił bilet na prom i pojechał do Stanów wraz z dwiema najstarszymi córkami.

Babka nie powiedziała nic, ale książki wcisnęła w najdalszy kąt ciemnego strychu i zamknęła go na klucz. Nikt nie był na tyle głupi, by się jej przeciwstawić.

Dziadek pisywał. Zdawał dokładne relacje z tego, jak rozwija się biznes, przysyłał pieniądze. Babka odpisała tylko raz.

Pewnego sierpniowego, dusznego wieczoru przyszedł list, w którym dziadek Jan oświadczał, że jest gotowy przejść na emeryturę Planował sprzedać biznes, zamknąć amerykańskie konto i przyjechać na Podkarpacie z pieniędzmi i dwiema córkami, Helen i tą drugą, której imienia nie znam.

Babka była lakoniczna niczym Spartanka: „Jeśli poradziłyśmy sobie bez ciebie przez tyle lat, to i teraz sobie poradzimy.”

Babka moja, Krystyna, matka mojej Matki, dowiedziawszy się o liście babki Pauliny, napisała na szarym papierze: „Tato, przyjeźdź, zrobiłam Ci pokój na poddaszu stodoły. Proszę Cię, przyjeźdź, mama ci wszystko wybaczy.”

Tym razem poczta zadziałała bez zarzutu. List babki Pauliny doszedł do dziadka w ciągu miesiąca.

Jak każdy obywatel amerykański, dziadek trzymał w swoim domu broń. Nigdy nie użył jej do obrony, nigdy nie strzelał do sąsiada ani nawet do bezdomnego psa.

Mężczyźni wybierają ten rodzaj śmierci jako szybki, konkretny, bezbolesny – męski. Poza tym, w Stanach jest on nader łatwo dostępny.

Pogrzeb odbył się na miejscu, w Newarku. Dziadek wciąż miał tam przyjaciół, wielu z nich przeżyło go o co najmniej dwadzieścia lat.

\*\*\*

W latach siedemdziesiątych moja Matka Barbara, zwana Musią, była kilkuletnią dziewczynką z dwoma kucyczkami. Jej cztery starsze siostry – Maria, Halina, Władysława i Jolanta były pięknymi, szczupłymi pannami; pochodziły z najbogatszego domu we wsi. Jeździły nad Morze Bałtyckie, bawiły się tam we własnym gronie. Najstarsza, Maria, zabrała kiedyś moją dziesięcioletnią Matkę, by pokazać jej Jastarnię.

Panny były najlepiej ubrane – wystarczyło, że zrobiły jakiś drobiazg dla swej babki Pauliny, albo po prostu posiedziały z nią i połuskały wspólnie słonecznik. Pewnego sierpniowego południa było bardzo duszno, babka Paulina, niedowidząc, rzekła:

– Ale w tej Ameryce to musi być gorąco. Mnie to tylko koni szkoda, muszą ciągnąć wozy w tym New Yorku.

– Babciu, są już lata siedemdziesiąte, konie nie jeżdżą już po Manhattanie!

– Co ty tam wiesz! Byłam, widziałam.

A potem urodziłam się ja, najmłodsze dziecko w całej wiosce, jak nazywa mnie mój partner, Podobno to widać. A potem wyjechałam do Warszawy, gdzie czekało na mnie wielu dobrych ludzi. Moja rodzina – Matka, Ciotki – wciąż żyją, jeżdżę do nich kilka razy do roku. Tylko kiedy byłam młodsza i starali się o mnie różni chłopcy, mówili o mnie: tajemnicza, smutna, nostalgiczna.

## Zjazd rodzinny 2023: tworzenie więzi poprzez dziedzictwo i miłość

Katarzyna Szeremet

W dzisiejszym dynamicznym świecie, gdzie tempo życia narasta w wirze zobowiązań i wyzwań, wartość spędzania czasu z bliskimi staje się jeszcze bardziej wymowna. W miarę jak więzi społeczne wydają się coraz bardziej rozciągnięte, wydarzenia, które koncentrują się na jednym z najcenniejszych aspektów ludzkiego doświadczenia – rodzinie – nabierają ogromnego znaczenia. W roku 2023, w oceanie codziennych zajęć i obowiązków, wyłonił się wyjątkowy punkt świetlny – zjazd rodzinny. To spotkanie nie tylko przyniosło razem członków rodziny, ale także wciąż trwa jako piękna i niezatarta pamiątka w sercach i umysłach uczestników. Wujek, z nadzwyczajnym poświęceniem i uczuciem dla rodziny, podjął się roli inicjatora tego bezcennego wydarzenia, a w efekcie stworzył coś o wiele głębszego i donioślejszego niż tylko kolejne spotkanie – stworzył platformę, na której przeszłość i teraźniejszość mogły się połączyć w jedną harmonijną całość.

Wujek, jako siła napędowa tego wyjątkowego spotkania, nie był jedynie organizatorem wydarzenia. Przez wiele lat systematycznie przygotowywał się do tego dnia. Jego pasja i poświęcenie dla zrozumienia korzeni rodzinnych były inspirujące dla wszystkich uczestników. Przez intensywne badania, stworzył drzewo genealogiczne, które stało się mapą, ukazującą skomplikowane relacje między różnymi pokoleniami. To był proces, który wymagał ogromnej cierpliwości i wytrwałości, jednak osiągnięty cel był tym bardziej cenny. Poprzez drzewo genealogiczne, każdy uczestnik mógł spojrzeć wstecz i odczuć w sobie moc łączącą go z przodkami.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień zjazdu rodzinny, a atmosfera była naszpikowana emocjami, radością i głębokim poczuciem wspólnoty. Ten zjazd nie był jedynie spotkaniem – to był moment, w którym przeszłość przenikała się z teraźniejszością i rozciągała ku przyszłości. Atrakcje zaplanowane na to wydarzenie były różnorodne, by uwzględnić potrzeby i oczekiwania ludzi z różnych pokoleń. Od wspólnego śpiewu, który przywoływał dźwięki przeszłości, po głębokie rozmowy o życiu i marzeniach.

Akt symboliczny podczas zjazdu miał wyjątkowe znaczenie- posadzenie drzewa stworzyło moment przejęcia odpowiedzialności za przyszłe pokolenia i przekazywania dziedzictwa. Każda gałąź drzewa reprezentowała jedno z pokoleń, ukazując jednocześnie trwałość i kontynuację życia rodzinnej tradycji.

Wspólne malowanie obrazu było jednym z wydarzeń, które podkreślały zaangażowanie uczestników w tworzeniu wspólnego doświadczenia. Każde pociągnięcie pędzlem i kropla farby były manifestacją różnorodności każdego członka rodziny, której suma tworzyła piękny i spójny obraz.



Ciekawym elementem zjazdu była możliwość przedstawienia historii każdej z rodzin. To była okazja do dzielenia się przeszłością, doświadczeniami i marzeniami. Te opowieści były jak kawałki skomplikowanej układanki, które tworzyły pełny obraz wielopokoleniowej tożsamości rodziny.

Po zakończeniu zjazdu, wyjątkowa chwila została uwieczniona w formie albumu ze zdjęciami. To była pamiątka, która nie tylko zachowała fizyczne obrazy, ale również uczucia i emocje towarzyszące temu niezapomnianemu wydarzeniu. Album stał się świadectwem wspólnej historii, wspólnych przeżyć i jedności rodzinnej.

Inicjatywa wujka, która stała się kluczowym czynnikiem w organizacji tego zjazdu rodzinnego, pozostawiła trwałe ślady. Jego oddanie i miłość do rodziny przekształciły to spotkanie w niezwykle wyjątkowe wydarzenie, które pozostaje w sercach uczestników. To opowieść o tym, jak miłość i poświęcenie mogą przekształcić zwykłe spotkanie w wyjątkową okazję do odkrywania, dzielenia się i łączenia pokoleń.

W czasach, kiedy więzi rodzinne czasem odchodzą na dalszy plan, ten zjazd rodzinny jest nie tylko inspiracją, ale i przypomnieniem, że korzenie i wspomnienia stanowią fundament tożsamości rodziny. To przykład, jak zaangażowanie w tworzenie wspólnych doświadczeń może pogłębić więzi między członkami rodziny i zbudować wspomnienia, które przetrwają pokolenia. Wujek, poprzez swoje działania, ukazał, że prawdziwa miłość rodzinna to siła, która łączy, inspiruje i przetrwa próbę czasu.

# Babcia Matka Marysia Polka

## Kacper Forysiak

Jestem Polakiem i pochodzę z Łodzi, gdzie mieszka moja babcia od strony mamy i gdzie wydarzyła się historia, którą chcę się podzielić. To historia, jakich pewnie wiele. Jej ewentualne i coraz bardziej z biegiem czasu prawdopodobne niezrozumienie, a wraz z nim podziw dla bohaterki-babci wynikają zapewne z tego, że czym dalej w las, tym generalnie żyje nam się w Polsce lepiej. Niemnie, mnie przynajmniej, chwyta cały czas za serce.

Mam (właśnie skończone) 30 lat, a historia to studia mojej mamy (chyba bardziej ich początek, niż koniec), więc (choć to oczywiście tylko dla mnie) jeszcze beze mnie na tym świecie. Dobra koleżanka mamy, jej przyjaciółka po dziś dzień, z jakichś powodów nie dostała akademika, a jest z Podlasia. I jest problem. Nie wiem, czy przyszła do domu rodzinnego mojej mamy z prośbą o noc lub kilka, czy po prostu, np. tylko się uczyć. Tak czy inaczej, gdy moja babcia dowiedziała się o tej sytuacji, podjęła w swojej głowie szybką decyzję i powiedziała: „Dziecko, tu jest Twoja półka, teraz zostajesz u nas”. Jak już wspomniałem, nie było mnie przy tym, więc nie cytuję tych słów dokładnie, nie o to tu też chodzi. Chodzi o to, co spowodowało, że ta moja ciocia do dziś, gdy odwiedza moją mamę, odwiedza też moją babcię i niejako wiecznie jej dziękuje za tamten ratunek w wielkiej po prostu potrzebie. Więc dziś też jest to zrozumiałe: dla nich, dla mnie, i mam nadzieję, że też dla Was.

Bo to część nas, ludzi – człowieków, jeśli takie niepoprawne generalnie sformułowanie mogłoby jakkolwiek spowodować, że bylibyśmy właśnie bardziej... człowieczy. Och, Człowiecze Wielki – Ma Babciu!

## Ślady sztuki i ducha wyzwania, czyli o Pradziadku – malarzu pokojowym doby wojny w Lublinie

Adam Szczepanek

Pędzłem w rękę, w oku blask tęczy, malarz pokojowy w ciszy wojny stanął. Jego płótna stawały się krainami ucieczki, oazami w świecie zbombardowanych marzeń. Każdy ruch pędzla był jak szept natury wśród hałasu armat i wybuchów. Jego barwy były jak kwiaty wśród krwawego pola bitwy - symbolami życia i nadziei. Obrazy tworzone w tym mrocznym okresie przypominały o pięknie, które można znaleźć nawet w najbardziej nieludzkich sytuacjach. Jego płótna stawały się znakami równowagi w chwilach chaosu, przypominając, że światło może wyłaniać się nawet z najgłębszej ciemności. Malarz, choć otoczony przemocą, odmawiał nawiązywania dialogu z agresją. Jego pędzlem wyrażał sprzeciw wobec niszczycielskich sił, tworząc symbole wolności i spokoju. Jego płótna były jak tajemnicze mapy, na których zakłete były opowieści o duchach przeszłości. Malując obrazy, odkrywał drogi do serc ludzi, pozostawiając ślady swojego istnienia w ich umysłach. Jego twórczość była mostem między historią a wyobraźnią, pozwalając nam sięgnąć poznania ukrytych prawd. Przypominał, że nawet w najbardziej trudnych chwilach można znaleźć drogę do piękna, malarz pokojowy był jak kometa przelatująca przez nocne niebo wojny. Jego obrazy były jak wiersze bez słów, opowiadające o siłach ludzkiego ducha, które potrafią stawić czoła nawet najciemniejszym burzom. Jego paleta barw była jak język emocji, którym opowiadał historię o tym, co jest ważne. W jego dziełach każdy odcień oznaczał coś więcej niż tylko kolor - były to symbole uczuć, myśli i pragnień, które nie poddały się zagładzie.

Tak, jak w przypadku zrujnowanej kamienicy, gdzie cień wojny jeszcze tkwił, pojawił się Pradziadek wraz ze swoimi pędzlami i farbami. Stworzył na ścianach obrazy, które ożywiły ducha miejscowych mieszkańców. Kwiaty zakwitły na zardzewiałych murach, a ptaki zaczęły śpiewać na kartkach zniszczonych dachów. Wspólnie odkryli, że sztuka ma moc wskrzeszania piękna, nawet w najbardziej zapomnianych zakątkach świata. W świecie zdominowanym przez odgłosy wojny, postawa Pradziadka, stała się symbolem oporu, którego bronią była jego sztuka. Jego płótna były jak krople deszczu spadające na gorący piasek, gaszące pragnienie duszy. Jego ślad pozostaje jako ukryty skarb, który kryje się w zakamarkach naszych umysłów i serc, przypominając, że w każdej chwili można wybrać tworzenie zamiast niszczenia.

## Stąd jestem

**Kamila Bartoszek**

Życie dziadka Stanisława, rolnika w województwie świętokrzyskim, jest historią pełną pracowitości, związku z naturą i trwałego dziedzictwa wiejskiego życia. To opowieść o twardych dłoniach, brudnych spodniach i sercu oddanym ziemi, którą troskliwie pielęgnował przez dziesięciolecia. To także relacja o wyzwaniach, które stawiała przed nim natura, i o satysfakcji płynącej z osiągnięcia celów przy wsparciu rodziny i sąsiadów.

Dziadek, wychowany na tradycjach wiejskich, spędził większość swojego życia na urokliwych, zielonych polach województwa świętokrzyskiego. Jego dni były zapośredniczone przez rytm przyrody – wiosenne sadzenie, letnie okopywanie i pielęgnowanie, jesienna żniwa i zimowe chwile spokoju. Każda pora roku przynosiła nowe wyzwania i obowiązki, lecz również wyjątkową radość płynącą z bliskości z naturą. Praca w polu była centralnym elementem codzienności dziadka. Wstawanie o świcie, gdy pierwsze promienie słońca malowały horyzont, towarzyszyło mu przez lata. Przemyślane zaplanowanie prac, odpowiedni wybór narzędzi i skrupulatność w działaniach były nieodzowne dla osiągnięcia sukcesu na polu. Widok orzeźwionego i zadowolonego dziadka, obserwującego swoje wysiłki przynoszące plon, był inspiracją dla młodszych pokoleń, ukazując wartość ciężkiej pracy i wytrwałości.

Rodzina i społeczność wiejska stanowiły nieodzowne wsparcie w życiu dziadka-rolnika. Praca w polu często była wspólnym wysiłkiem, gdzie sąsiedzi przychodzili z pomocą podczas prac sezonowych, a wszyscy wspólnie uczestniczyli w żniwach i pracach gospodarskich. To wzmacniające poczucie wspólnoty sprzyjało wymianie doświadczeń, wiedzy oraz budowaniu trwałych relacji. Wieczorne opowieści przy ognisku, wspólne świętowania i chwile refleksji podczas niedzielnych mszy tworzyły tkankę społeczności wiejskiej, która niezmiennie towarzyszyła dziadkowi. Jako dziecko obserwowałam to z zainteresowaniem i zachwytem. Momentami wydawało mi się, że mój dziadek jest sławny, bo przecież każdy mówi mu “Dzień dobry”. Gdy zadałam mu pytanie, czy tak jest naprawdę, odpowiedział: “Nie, Kruszyno, nie jestem sławny. Na wsi znają się wszyscy, bo jesteśmy jedną wspólnotą, która się wspiera”. Te słowa zapadły mi w pamięć i wryły się w moim sercu, które pomimo upływu czasu już zawsze szukało swojej wspólnoty oraz silnych więzi opartych na wsparciu i wzajemnej pomocy.

Podczas gdy wiele aspektów życia Dziadka Stanisława było pełne harmonii, nie brakowało również wyzwań. Niepewność pogody, choroby roślin, a także konieczność podejmowania decyzji dotyczących hodowli i upraw były stałymi wyzwaniami dla dziadka. Jednak to właśnie te trudności kształtowały jego charakter, ucząc go elastyczności, adaptacji i cierpliwości.

W otulającej zielonej oprawie województwa świętokrzyskiego, gdzie pola falują jak złociste morza, a wiatr śpiewa tajemnicze pieśni przez starodrzewia, przyszło pokolenie odnajdują ukrytą skarbnicę w postaci sentymentalnych wartości, które mój Dziadek Rolnik z oddaniem przekazał dalej. Jego ręce, związane z ziemią jakby nieprzerwanie od wieków, przekazywały nie tylko

troskę o uprawy i hodowlę, lecz przede wszystkim głębokie nauki o wytrwałości i pracowitości. Te dłonie, wyęzające się nad zagonami podczas gorących dni i w wilgotnych porankach, nauczyły przyszłe pokolenia, że aby osiągnąć coś wartościowego, trzeba włożyć w to wysiłek i oddanie. Dziadek, w swoim wiejskim zakątku, wpajał mi, młodej marzycielce, szacunek do natury. Jego oczy pełne zadumy, patrzące na rozkwitające łąki i zachód słońca nad horyzontem, były prawdziwym podręcznikiem z zakresu miłości do zieleni, drzew i zwierząt. W ten sposób przekazał mi, że jesteśmy tylko gośćmi w królestwie natury i naszym obowiązkiem jest chronić ją, tak jak on chronił swoją ziemię przed niepogodą.

Tradycja i kultura, wypełniająca dom podczas świąt i uroczystości, była dla Dziadka czymś niezwykle cennym. Jego opowieści o zwyczajach, które przetrwały przez pokolenia, otwierały przede mną drzwi do przeszłości, kształtując moją tożsamość i zakorzenienie w historii. Zrozumiałam, że to nie tylko rytuały, ale również duchowy kapitał, który łączy mnie z przodkami. Z jego oczu promieniała miłość do rodziny, widoczna w każdym uśmiechu i gestach troski. Przekazał mi, że w życiu najważniejsi są ci, którzy stoją u naszego boku, gotowi wspierać w każdym kroku. Nauczył mnie, że rodzina to ognisko ciepła i bezpieczeństwa, które trzeba pielęgnować przez całe życie.

Umiejętności praktyczne, które przekazał mi Dziadek, były jak sztuka samodzielnego bycia. Jego cierpliwość w nauce uprawy, warsztatowych umiejętności i domowych rozwiązań sprawiła, że czułam, że mogę sprostać wyzwaniom codziennego życia. W ten sposób pokazał, że umiejętności praktyczne to klucz do samowystarczalności i pewności siebie. W moim sercu zapłonęła także wartość uczciwości i honoru. Jego uczciwe spojrzenie i zasady etyczne były jak kompas w morzu życiowych wyborów. Dziadek uczył mnie, że w świecie, gdzie wartości czasem się zacierają, to właśnie uczciwość czyni nas ludźmi wartościowymi. Jego odkrycie w prostocie życia było niewątpliwie wartością najcenniejszą. Siedząc obok pieca i delektując się chwilą ciszy mógł pokazać, że w ciągłym pośpiechu i gonitwie warto czasem się zatrzymać, odetchnąć i cieszyć się życiem takim, jakie jest. Prostota i skromność były dla niego źródłem szczęścia, co jest warte zapamiętania w świecie, w którym ciągle pragniemy więcej.

Na skrzyżowaniu przeszłości i terażniejszości wciąż pamiętam historie Dziadka jako opowieści o prostym życiu, wartościach i duchu nieustannego wysiłku. Pozostawił mi w dziedzictwie sentymentalne wartości, które wciąż wyznaczają mi drogę życiową. Jego historia przypomina mi, że korzenie naszego dziedzictwa są głęboko osadzone w ziemi, którą troskliwie pielęgnował, i we wspólnocie, którą tworzył. Chociaż świat się zmienia, a życie wiejskie przekształca, historia dziadka nadal pozostaje aktualna - przypomina nam, że w rzeczywistości istnieją wartości, które są ponadczasowe i niezastąpione.

## Mój krewny Adam

Michał Martyniuk

Adam, mój krewny od strony taty, był postacią niezwykle w mojej rodzinie. Urodzony w małej wsi na wschodzie Polski, Adam dorastał w czasach, gdy Polska była podzielona i nękana przez zewnętrzne siły. Jego młodość przypadła na trudne lata II wojny światowej. Choć nie był żołnierzem Armii Krajowej ani nie brał udziału w podziemnej walce, jego życie było pełne wyzwań i prób charakteru.

Adam był synem rolnika. Jego rodzina posiadała niewielkie gospodarstwo, które stało się ich schronieniem w czasach wojny. Mimo że nie mieli wiele, zawsze dzielili się tym, co mieli, z potrzebującymi. Adam często opowiadał o tym, jak jego rodzina ukrywała Żydów przed Niemcami, ryzykując własne życie. Ta postawa altruizmu i odwagi była dla mnie inspiracją. Po wojnie Adam postanowił opuścić rodzinne strony i przenieść się do większego miasta w poszukiwaniu lepszego życia. Tym sposobem trafił do Warszawy. Jego determinacja i ciężka praca przyniosły mu sukces. Został właścicielem małego zakładu rzemieślniczego, który z biegiem lat rozrósł się i stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych w okolicy.

Jednak to, co najbardziej zapadło mi w pamięć, to jego opowieści o przodkach, tradycjach i wartościach, które przekazywał z pokolenia na pokolenie. Adam był głęboko zakorzeniony w polskiej kulturze i historii. Jego opowieści o przodkach, którzy walczyli w trakcie wojny, o tradycjach rodzinnych i o wartościach, które kształtowały jego życie, były dla mnie wyjątkowe.

Dzięki niemu zrozumiałem, jak ważne jest poznanie swoich korzeni i zrozumienie, skąd pochodzimy. Uświadomił mi, że nasza tożsamość kształtuje się nie tylko przez nasze osobiste doświadczenia, ale także przez historię naszych przodków. Jego opowieści nauczyły mnie, że wartości, które dziedziczymy, mają wpływ na nasze decyzje i postawy w życiu.

Adam był dla mnie nie tylko krewnym, ale także mentorem i przewodnikiem. Jego życie było dowodem na to, że mimo trudności i wyzwań, które stawia przed nami życie, zawsze możemy znaleźć siłę, by iść naprzód i dążyć do realizacji swoich marzeń.

Choć Adam jak już wspomniałem nie był bohaterem wojennym ani nie odznaczał się wielkimi osiągnięciami na tym polu, jego życie było pełne małych, ale ważnych chwil. W cieniu wielkich historii, które opowiadał, kryły się codzienne zmagania, które były równie ważne.

Adam często opowiadał o trudach powojennego życia w Polsce. O tym, jak ciężko było zdobyć podstawowe produkty, jak chleb czy cukier, które teraz są na wyciągnięcie ręki. Ale mimo tych trudności, zawsze podkreślał, jak ważna była dla niego rodzina i jak wiele znaczyła wzajemna pomoc i wsparcie.

Jednym z najbardziej poruszających wspomnień Adama była historia o tym, jak w trakcie jednej z mroźnych zim, kiedy w domu skończyło się opał, sąsiedzi podzielili się drewnem, dzięki czemu jego rodzina mogła przetrwać najzimniejsze dni. Ta historia była dla mnie dowodem na to, że nawet w najtrudniejszych chwilach ludzie potrafią być dla siebie wsparciem

i że wartość wspólnoty jest nieoceniona, o czym niestety zbyt często zapominamy, zamykając się w naszych 4 ścianach.

Jego opowieści o sąsiadach, którzy pomagali sobie nawzajem, o przyjaciółach, którzy byli z nim w najtrudniejszych chwilach, były dla mnie przypomnieniem o tym, jak ważne są relacje międzyludzkie i jak wiele znaczy dla nas wsparcie innych, szczególnie w trudnych chwilach.

Wspominając Adama, zawsze czuję wdzięczność za to, że miałem okazję poznać taką osobę. Jego życie było pełne trudów, ale także pełne miłości, wsparcia i wzajemnej pomocy. Adam, choć nie żyje od wielu lat, pozostaje obecny w moim życiu. Jego historie, które tak chętnie opowiadał, stały się dla mnie drogowskazem w codziennych wyborach i decyzjach. Wielokrotnie zastanawiałem się, co by zrobił Adam na moim miejscu? Jakie wartości byłyby dla niego ważne w danej sytuacji?

Wspomnienia o rodzinnych świętach, o wspólnie spędzanych chwilach przy stole pełnym tradycyjnych potraw, o śpiewach i opowieściach przekazywanych z pokolenia na pokolenie, stały się dla mnie symbolem tego, co w życiu najważniejsze.

Często zastanawiałem się, jakie byłyby relacje Adama z dzisiejszym światem? Jak by postrzegał współczesne technologie, media społecznościowe, globalizację? Czy jego wartości i przekonania byłyby nadal aktualne w dzisiejszych czasach? Nie mogę znaleźć na to odpowiedzi i chyba nigdy nie znajdę.

Jedno jest pewne: Adam na pewno by nie zapomniał o swoich korzeniach. Jego silne poczucie tożsamości i przynależności do społeczności byłyby dla niego ważne również w dzisiejszym świecie. Być może miałyby trudności z zrozumieniem niektórych aspektów współczesności, ale na pewno nie straciłby swojej autentyczności i wierności wartościom, które były dla niego ważne.

Myśląc o Adamie, czuję pewien smutek, że nie miałem okazji spędzić z nim więcej czasu. Choć fizycznie go nie ma, jego nauki pozostają ze mną na zawsze, przypominając mi o tym, co w życiu naprawdę ważne.

Jego historia jest dla mnie nie tylko opowieścią o przeszłości, ale przede wszystkim inspiracją do kształtowania przyszłości.

## Godło: Echo

Anna Błachucka

Dziadek.

Papierz. Proszę nie poprawiać. Nie ma błędu. Bo tutaj nie chodzi o takiego papieża, jak np. Jan XXIII, ale o takiego, który wywodzi się od papierzysk. Fachowca od papierów: aktów urodzin, małżeństw i zgonów, od aktów nadania ziemi, dzierżaw, umów kupna i sprzedaży. Umiał odczytać te dokumenty i właściwie je wykorzystać, a wszystko dla dobra drugiego człowieka, niezaradnego i wystraszonego. Ważniejszy dla wsi taki papierz niż ten rzymski, pisany przez „ż”, bo rzymski daleko i przez wagę urzędu – niedostępny. Tak daleki ludziom jak i Księżyc. Świeci światłem uzyskanym od Boga, ale w zwykłej codziennej potrzebie nim się nie ogrzejesz. Znowu tam jadę. Dziś mam taką pogodę w duszy, że jednym spojrzeniem na działkę, gdzie kiedyś mieszkał, stawiam na nogi jego chatkę z krzywymi drzwiami i wielkim kamieniem zamiast schodów. Nie dbał o materialny status. Niezbędny mu był jedynie dach nad głową i ludzie, którzy go potrzebowali. Tak właśnie. Najbardziej potrzebni mu byli ludzie, którzy mogliby korzystać z tego, co on umiał i rozdawał za darmo.

Niektórzy na dziadka mówili pisatiel. Kiedyś ta wieś była pod zaborem rosyjskim i wiele słów zostało w pamięci i swojskiej mowie.

Zapamiętałam mojego dziadka Józefa jako „papierza” albo „pisatiela”. Oba określenia były trafne. Wysoki, szczupły, z bujną fryzurą i zawsze z tajemniczym półuśmiechem zdradzającym jego nieobecność tu i teraz. Przywoływany do rzeczywistości wciągał ten uśmiech gdzieś w głąb siebie, jak krnąbrny dzieciak – wywieszony język. Widać było wyraźnie, że przerywało mu się jakieś myśli, które nie były „tutejsze” i „terajsze”. Siadał i zginał kręgosłup, dopasowywał się na krześle do niskiego kuchennego stołu. O ubiór nie dbał. Tę arcyciekawą postać sumiennie od lat okrywał stary kaftan pozbawiony jakiegokolwiek stylu. Lubiałam patrzeć, jak z parapetu okiennego dziadek zabierał swoje pisarskie szpargały i rozkładał na stole. Znał się na tym, umiał „upisać” podanie do Gromadzkiej Rady Narodowej, wyjaśnienie do sądu, ogłoszenie do gazety rolniczej, dzieciom – wierszyk na akademię, listy – ludziom, którzy mieli krewnych za granicą, młodzieży – jasełka, a Panu Jezusowi – lamentsy szczere, jak ci, którzy je potem śpiewali. Już jako dziecko byłam z niego dumna. Wieczorami przychodzili do niego ludzie i opowiadali o swoich krzywdach, tych poczynionych ludzką ręką, ale i tych z boskiego przydziału. Bo to ziemniaki zgniły od nadmiaru wilgoci w glebie, u innego wichura powaliła dorodne zboże na kolana i wyległo; innym razem zboże skiełkowało w mendlach, a ziemniaki wydały plon podobny orzeszkom laskowym. Nie mówiąc już o zwierzyńcu, a szczególnie dzikach, które potrafiły w jedną noc zbebeszyć całą łękę.

Ale odbiegłam od tematu. Pisanie dziadka... Zamyślał się i pisał. Na każdym skrawku papieru, na pudełku po butach, na torebce po cukrze, na plandece, skrawku ceraty... Pisał wieczorami, ale też w czasie i miejscu do tego najmniej odpowiednim. Wynikały z tego



zabawne, lecz nieraz i smutne historie. Dziadek szedł za swoimi myślami, nie patrzył na drogę i czasem wszedł w kałużę, a raz nawet – w rzekę. O mało co się wtedy nie utopił, bo pływać nie umiał.

Krowy wchodziły w szkodę i pokrzywdzeni nie mogli zrozumieć, że taki zdolny papierz nie umie zapanować nad zwykłym bydłem. Nie miał żadnego zmysłu praktycznego ani orientacji w sytuacji. Jak już raz wpadł na pomysł, żeby zebrać pranie przed deszczem, to omyłkowo wziął się za pościel i bieliznę sąsiadki. Wynikła z tego niezła awantura, a potem śmiech na całą wieś. Namnożyło się plotek, z których jedna była szczególnie okrutna, że dziadek kradnie suszące się na płocie damskie majtki. Babcia bardzo z tego powodu cierpiała.

Innym razem przyszedł z lasu z nieswoim koszykiem grzybów. Po prostu postawił swój na chwilę, nie pamiętał, gdzie, nie zapamiętał jaki, więc zabrał koszyk innego grzybiarza, który też na chwilę postawił go na pieńku. Zdarzało się, że wciskał się w za ciasny na niego sweter mojego ojca albo próbował włożyć buty kogoś z domowników. Takich historii zapamiętałam kilkadziesiąt. Babcia w tych sprawach myślała za niego, przewidywała, a jak już się coś wydarzyło, to łągodziła, tuszowała sprawę.

Miał dość zalet i wad, aby zostać nawet pisarzem, takim prawdziwym, którego biografię trudno by napisać, bo było w nim kilka osobowości, a może nawet kilkanaście.

To jego patrzanie... Jakby poza wieś, poza las, poza rzekę. Gdzieś go coś ciągnęło, szedł za marzeniami jedynie piórem, ale i przed piórem skrywał zakamarki swojego życia, nie opowiadał o przeszłości, a jeśli już, to fragmenty, urywki. Był dla mnie tajemnicą i tak już pozostanie.

Codziennosc w towarzystwie dziadka, urwała się, gdy miałam czternaście lat. Zdałam do liceum i zamieszkałam w mieście. A takiego współodczuwania losu nie nadrobi się wakacjami. Wśród ludzi trzeba być, aby móc o nich pisać. Jednak te pierwsze lata na tyle mocno zostały we mnie, że odzywają się z nadzwyczajną intensywnością.

Wryła mi się w pamięć jego rada, aby przeszłości nie rozdrapywać, aby energię kierować na jutro. Drobne niepowodzenia w szkole bardzo źle na mnie wpływały. Płakałam. Dziadek kładł wtedy swoją wielką dłoń na mojej głowie i mówił:

– Wczorajszej przykrości nie wykreślisz, ale jutro może ją złagodzić. Pomyśl, aby się to nie powtórzyło, pokombinuj tak, aby inni się zmienili, nie ustępuj zawsze. Nie ustępuj, bo wpadniesz w uległość, wpadniesz w nijakość.

Nie rozumiałam wtedy tej przenośni. Nie miałam pojęcia, co to jest ta nijakość. A cierpiałam nieraz z racji swej inności. Dziadek też cierpiał, był przedmiotem kpin, żartów, a i zazdrości. Zazdrości nieuzasadnionej. To inni praktycznym zmysłem, sprytem zapewniali byt rodzinie, dorabiali się, a dziadek z takim bogatym umysłem ubożał, samotniał, zwijał się w sobie i znikał powoli, zanurzony po uszy w świecie marzeń, celów nie do osiągnięcia, dróg nie do przebycia... Ten jego hołubiony z miłością świat słów, cudowny intymny zakątek zbudowany z kartek, karteluszek, zapisków i zeszytów, wypełniony

## Stąd jestem

**Karol Bakuła**

Czy człowiek potrafi się zmienić? Czy niezmiennie tkwi w bezładzie swojej upartości nie dostrzegając tego, że to z nim jest coś nie tak? Dotychczas sądziłem, że człowiekowi samemu z siebie jest niezmiernie trudno się zmienić. Nawet jak ktoś go wspiera, naprowadza go w dobrym kierunku, ku lepszej przyszłości, ten zrazu tego nie dostrzega. Uważa, że ktoś na siłę chce go zmienić, dla swej wygody. Taka jest historia, dla mnie osobiście nietuzinkowej osoby, która sprawia, że staram się żyć trochę lepiej.

Moja mama była chora, cierpiała na nowotwór(okrutna choroba, rzadko puszcza wolno, jeńców nie ma w zwyczaju brać). Ty starałeś się jak mogłeś, z całych swych sił, dawałeś radę. Nie było lekko. A gdy mama usiadła na wózku, ty nie zwątpiłeś. Jeszcze małe dziecko na barkach miałeś. Kiedy ona Cię ojcie prosiała byś ją oddał innym ludziom pod opiekę. Ty się nie zgodziłeś.

„Będziesz z nami” – tak wtedy powiedziałaś. Mama usychała w oczach, widać było, że cierpi. Śmierć czekała za rogiem. To wyjazd do jednego szpitala, to zaraz kolejny szpital. Bez ustanku wizyty... i gdy nastąpiła ta chwila. Niespodziewanie. Byłem daleko, nie zdążyłem. Ale ty byłeś przy mnie, ty mnie pocieszałeś. Dziękuję. To ty jesteś dla mnie bohaterem, choć wiele lat minęło od tamtych wydarzeń. Ale to zostanie ze mną.

Nauczyłeś mnie jak nie wjechać rowerem w pole obrosnięte żytem(a byłem dość wątpliwym przypadkiem tego ile razy można wjechać w to samo miejsce). Pokazałeś mi jakimi wspaniałymi stworzeniami są zwierzęta(szczególnie te małe wielkouche potwory, które nie znają umiary. Wspierałeś mnie w moich pasjach, nawet jak były dość ekscentryczne. „Każdy ma prawo marzyć inaczej” – Paul Coelho. Jak koledzy(takich kolegów nikomu nie życzę) mi dokuczali, ty chciałeś ich sprać. Chodziliśmy razem na grzyby i choć dzisiaj nie lubię takich eskapad, to tamte nasze wyprawy dobrze mi się zapisały w pamięci.

Sami, ale razem. Tak dorosłem, wspinając się po twoim ramieniu. Z pewnością momentami byłem utrapieniem. To ty mnie potrafiłeś ujarzmić. Byłeś mi latarnią, do której jak ćmy suną żeglarze po morskich odmętach fal. Tak dalej brniemy wprost przed siebie, na nieznane ludziom dalsze swe dzieje. Życie ludzkie jest nieodgadnione, jak to co ty, kochany tato, planujesz zrobić jutro. Bez końca wprawiasz mnie w zdumienie. Jesteś dla mnie jak Hobbici, możesz myśleć, że znasz je od podszewki i niczym cię nie mogą zaskoczyć, ale one nieustannie zaskakują.

Jesteś jak ten Geralt co za swoją Ciri pójdzie na koniec świata. Mam nadzieję, że i ja będę takim ojcem dla swoich dzieci jakim ty byłeś i jesteś dla mnie.

60.

## Stąd jestem

Oliwia Nowak

Jedną z najbardziej inspirujących osób w moim życiu jest bez dwóch zdań moja babcia. To nie tylko dlatego, że jest ona moim bliskim krewnym, ale przede wszystkim ze względu na jej życiową historię, siłę charakteru oraz pozytywne podejście do życia, nawet w chwilach, gdzie przeciętna osoba by się już dawno poddała. Ale nie moja babcia.

Moja babcia urodziła się w czasach wojny, w trudnych warunkach m.in. materialnych. Wraz z rodzeństwem musiała walczyć o przetrwanie, dzień w dzień. Co nauczyło ją wartości pracy i oszczędzania. Mimo tych trudnych początków, zawsze miała marzenia i cele, które chciała osiągnąć. Po ukończeniu szkoły podstawowej podjęła pracę w fabryce, aby wesprzeć finansowo swoją rodzinę i zapewnić sobie wykształcenie.

Lecz los ponownie postawił przed nią trudne wyzwania. W młodym wieku straciła męża, zostawiając ją z dwójką dzieci do wychowania. Mimo to, nie poddała się i kontynuowała swoją pracę, aby zapewnić swoim dzieciom godne życie. W ciągu kolejnych lat, babcia pracowała ciężko, oszczędzała pieniądze i zawsze starała się dawać swoim dzieciom jak najlepsze warunki do życia.

Jednakże, jej determinacja i siła charakteru nie kończą się na tym. Gdy przeszła na emeryturę, zdecydowała się nauczyć języka angielskiego i podróżować po świecie. Odwiedziła wiele krajów, poznając nowe kultury i ludzi. Jej pasja do podróży i otwartość na świat są dla mnie bardzo inspirujące, i ona zaraziła mnie miłością do podróżowania i odkrywania zakątków świata.

Najważniejsze jednak jest to, że moja babcia zawsze ma pozytywne podejście do życia. Mimo trudnych doświadczeń, zawsze potrafi znaleźć powody do radości i uśmiechu. Jej optymizm i siła ducha są dla mnie niezwykle inspirujące i uczą mnie, że niezależnie od sytuacji, warto patrzeć na świat z pozytywną perspektywą.

W sumie, moja babcia to osoba, która przez całe swoje życie pokazywała mi, że nic nie jest niemożliwe, jeśli tylko mamy wystarczająco dużo determinacji i siły charakteru. Jej historia to dla mnie przykład tego, że warto walczyć o swoje cele i marzenia, a jednocześnie cieszyć się każdą chwilą życia. Bo życie przecież mamy jedno, i to tylko od nas zależy jak je przeżyjemy.

## Stąd jestem

Patrycja Pelica

Jesień 1945 roku. W Gdańsku (niedawnym Danzig), pod jednym z kościołów tłoczą się zebracy. Wśród nich mężczyzna oparty na kuli, bez nogi. Musiał stracić ją na wojnie, po której wciąż nosi postrzępiony mundur. Ludzie mijają go – i tylko jedna dziewczyna przystaje. Z kieszeni wyciąga zawinięty w strzępy gazety kawałek chleba. Przez moment ściska go w dłoniach, jakby się namyślała – w końcu to jej posiłek do wieczora – po czym wciska go Niemcowi. Przecież to Szkop, rzuca ktoś; nie pamiętasz, co zrobili Niemcy, dodaje inny.

Pamięta, a jednak odpowiada: Przecież to człowiek.

Będzie to jej życiowa dewiza, a skąd o tym wiem?

Bo ta dziewczyna to moja babcia.

Moja babcia, czyli Helena Kazimierczyk z domu Choma, urodziła się w Grabniaku na Lubelszczyźnie, sześć lat po odzyskaniu niepodległości. W domu nasłuchiwała się opowieści o tym, jak jej ojciec, Franciszek, szykował okopy w I wojnie, a matka, Ludwika, modliła się o cud, gdy bolszewicy szli na Polskę. W szkole miała portret Piłsudskiego, o którym recytowała wiersze. Szła zwykle boso – buty były tylko do kościoła i to raczej dla starszych sióstr. Hela uwielbiała książki, a gdy jej rodziców, którzy podpisywali się krzyżkami, nie stać było na świece, przy pełni księżyca wspinała się na dach, żeby czytać. Lubelszczyzna tamtego okresu to Wieża Babel: tygiel języków i narodowości, więc w klasie Heli byli i Niemcy, i Żydzi – ci, jak w wierszu Julii Hartwig, wychodzili przed lekcją religii. Ubóstwiana nauczycielka, Melania Chimiuk, była unitką. Żyli bez większych kłótni aż do września 1939 roku. I choć lato faktycznie było piękne tego roku, to zmieniło wszystko. To Niemcy pierwsi spojrzeli w niebo na widok samolotu, pytając Czy to nasz, czy to wasz?

Hela jeszcze nie wiedziała, czym naprawdę jest wojna. Wiosną 1940 poszła do kuzynów, którzy zajmowali się nielegalnym handlem. To pod ich domem pierwszy raz usłyszała strzały, a kilka minut później minęli ją żołnierze, wyprowadzający konie, którymi wujostwo jeździli na niedzielną mszę. Wojna była bliżej, niż się spodziewała.

To jednak nie powstrzymało jej, by na wieść, że w sąsiedniej wsi ukrywają się dwie żydowskie dziewczynki, zanosić im mleka, a jej zdanie Przecież to są ludzie wystarczyło za wszelkie tłumaczenia. Jedna z tych dziewczynek przetrwa wojnę i wróci, by w Wereszczynie ufundować pomnik pamięci tych, którzy mieli mniej szczęścia. Hela dzieliła się też z ludźmi, którzy tracili bliskich w czasie epidemii tyfusu, a gdy jej nauczycielka zmarła na niego w 1942,

Hela jako jedyna miała odwagę podejść do trumny i pocałować ją w rękę.

Wojna skończyła się wraz z nadejściem Rosjan. Hela z ukrycia obserwowała dziwnych oswobodźców, o których powie kiedyś, że nosili karabiny na sznurkach i bili się o butelkę wódki. Skończyła 21 lat, ale nie w głowie było jej małżeństwo. Matka Heli, Ludwika, zaczęła tracić wzrok i potrzebowała operacji. Skąd jednak rodzina, której nie stać było na buty dla

dzieci, miałyby je wziąć? Może z Ziemi Odzyskanych, o których krążyły legendy? I tak Hela znalazła się w pociągu do Gdańska, modląc się, by nie spaść ze stalowych złączy wagonów, na których jechała.

Zamieszkała na Wrzeszczu, gdzie kiedyś Gunther Grass, i zaczęła pracę w sklepie. Kup sobie konia, wołali za nią repatrianci ze Lwowa, gdy sama ciągnęła wóz załadowany warzywami na gdański rynek. Przedzierała się przez gruzowiska, omijała miny i czasem zaglądała do kościołów, gdzie na ławkach wciąż widniały niemieckie nazwiska. To pod jednym z nich spotkała kalekiego żołnierza i oddała mu swój posiłek. Odtąd dzielenie się z nim weszło jej w nawyk, aż Niemiec zapytał, o co się dla niej modlić. Moja matka jest niewidoma, odpowiedziała, mieszając polskie i niemieckie słowa.

4 lipca 1946 ciekawość zaprowadziła Helę na plac, gdzie wieszano esesmanów z pobliskiego Stutthoffu. Jeszcze po latach wspominała, jak jedna ze skazanych, już z pętlą na szyi, krzyczała Heil Hitler, a tłumy przychodziły, by to oglądać.

I w tym tłumie znalazł się też Czesław Kazimierczyk, rocznik 1922, który walczył w obronie Grodna. Żeby zaciągnąć się na ochotnika, sfałszował w dokumentach rok urodzenia, o czym jego rodzina dowiędzie się dopiero w 2001, załatwiając akt zgonu. Za Buguem zostawił rodzinę – polskich panów, jak mówili z pogardą sowieci, nim odebrali im ziemię. Czesław i Helena pozanalili się parę miesięcy później. Wiosną 1947 pobrali się w oliwskiej katedrze i wrócili na Lubelszczyznę. Hela zdążyła jeszcze pomachać kalekiemu Niemcowi, z którym dzieliła się chlebem. Prababcia Ludwika przeszła operację oczu i do śmierci w 1975 cieszyła się dobrym wzrokiem.

Helena i Czesław doczekali się ósemki dzieci. On pracował jako traktorzysta, ona prowadziła punkt biblioteczny i gospodarstwo. Z uporem chowała dzieła Lenina, do posiadania których ją zmuszano, rozprowadzając za to Rycerza Niepokalanej, a kiedy nauczyciel powiedział dzieciom, że Boga nie ma, a wszystko stworzyła przyroda, oznajmiła najstarszej córce, że wcale nie musi go słuchać. To wiara pomogła jej przetrwać lata komunizmu. Płakała, kiedy papież przyjechał do Polski (na spotkanie z nim w Lublinie w 1987 pojechała jej najmłodsza córka, Maria) – i gdy Wałęsa został prezydentem. W czasie powodzi 1997 dzieliła się pieniędzmi i zbożem z pokrzywdzonymi. Zawsze taka była: dzieliła się wszystkim, co miała, nawet, jeśli nie było tego wiele. To ona nauczyła mnie, czym jest tolerancja wobec innych narodowości i wyznań (choć sama nigdy nie użyła tego słowa); to ona zainteresowała mnie historią, choć z biegiem lat coraz mniej mówiła o przeszłości, powtarzając Nie daj Boże wojny. To ona jednak sprawiła, że zaczęłam o tej wojnie pisać. Nie brała udziału w walkach, nie należała do opozycji, a jednak była bohaterką, oddaną pracy i bliskim. Całym swoim życiem udowodniła, że jak mówił prof. Bartoszewski: „warto być przyzwoitym”. Zmarła jesienią 2007 roku.

2023.

I dziś ja tu jestem, z Góry Gradowej patrzę na jej Gdańsk i jedyne, co mogę napisać, to dziękuję. Dziękuję, że mogę tu być. I dziękuję tym, co byli przede mną.

## Opowieść o mojej babci – Helenie Szaradowskiej zd Halfar, dziadku Sylwestrze Szaradowskim oraz ojcu Walterze Szaradowskim z Katowic

Grażyna Cetnarowska

W miejscowości ukrytej w zacisznych zakamarkach Śląska, rozkwitała historia mojej babci – kobiety, której milczenie stało się najpiękniejszym językiem.

Helena, od urodzenia głuchoniema, świat od samego początku odkrywała bez dźwięków. Choć jej usta pozostawały zszyte ciszą, jej serce biło melodyjnie, a wzrok emanował tęsknotą za swobodnym wyrażaniem uczuć.

Mimo że na pierwszy rzut oka wydawało się, że została odcięta od otaczającego świata, Helena przekładała swoją bogatą wyobraźnię na płótno tkanin. Od najmłodszych lat jej ręce płynęły w rytmie igły, tworząc haftowane opowieści, które mówiły więcej niż słowa. Jej talent zaowocował zawodem krawcowej, gdzie tkanina stawała się płótnem opowieści ludzkich marzeń i wytrwałości. Życiowe drogi zaprowadziły ją do chwil, gdzie splatały się niemożliwe z pięknem. W sercu wojennych nawałnic, Helena spotkała mężczyznę, który również posługiwał się wyłącznie mową ciała. Ich spotkanie było jak taniec nieśmiertelnego zrozumienia, ukazując, że komunikacja to nie tylko dźwięki. Ich miłość rozwijała się jak tajemniczy haft, tworzący harmonię dwóch dusz.

W trudnych czasach wojny, ich krawieckie umiejętności stały się oazą normalności. Nocami, przy tłumionym świetle lampy, tworzyli ubrania, które były jak niezwykle opowieści przetrwania. W sercu ciemności ich dłonie stworzyły światło, które oświetlało drogę nadziei. Dłonie tych dwojga zakochanych tworzyły nie tylko odzież, ale także zaszywały nadzieję w sercach tych, którzy nosili te ubrania. Było to piękno narodzin w najmroczniejszej nocy, które przypominało, że nawet w chaosie ludzkiej destrukcji, można tworzyć coś, co przetrwa lata.

Głuchonieme małżeństwo miało odwagę wychowywać trójkę dzieci pomimo niespokojnych, wojennych czasów. Ich dom był twierdzą miłości, ciepła i solidarności. Dzieci nauczyły się czytać emocje z ruchów dłoni i spojrzeń, co wzmocniło więzi rodzinne. Helena była nie tylko matką, ale także przewodniczką po świecie, w którym niemożliwe stawało się możliwe. Jednym z tych dzieci był mój Ojciec. Wcześniej nauczył się, że wartość komunikacji tkwi w głębszych warstwach, niż tylko w dźwiękach. Dzięki wychowaniu w świecie bezsłownym, otworzył się na różnorodność wyrażania myśli i uczuć. To wzbogaciło jego perspektywę, uczyniło go empatycznym i gotowym słuchać historii, które milczą.

Historia mojej śląskiej babci, to opowieść o sile milczenia, którego piękno można odkryć tylko wtedy, gdy przyjrzymy się sercu. Jej życie uczy, że komunikacja wychodzi poza słowa – jest to taniec myśli, gestów i spojrzeń, który tworzy nić łączącą nasze dusze.

Dziedzictwo, które pozostawiła, jest jak haft, tkany przez pokolenia, przypominający, że choć historia nie zawsze wydobywa się z ust, to zawsze przemawia głośno w naszych sercach.

Grażyna Cetnarowska

## Od pradziadka do jego pradziadka – od XIV-wiecznych Kaszub przez Powstanie Listopadowe, Armię Hallera do Powstania Warszawskiego

Łukasz J. Małecki

W dzieciństwie wydawało mi się dziwne, że chodzimy na grób dziadka, ale pradziadka już nie. Przez wiele lat nie zastanawiałem się nad przyczyną tego stanu i raczej uznawałem zdawkowe odpowiedzi mojej mamy. Wraz z jej śmiercią pytania wróciły ze zdwojoną siłą. Za pytaniami, na które nie miał już kto odpowiadać szły poszukiwania dokumentów. I tak oto pradziadek Ksawery Feliks, ojciec Ksawerego Jerzego i syn Ksawerego Leona stał się obiektem moich zainteresowań i poszukiwań. Swoista konsekwencja w nadawaniu imion jak się okazało była wielowiekową tradycją w rodzinie Brochwicz-Lewińskich.

W rodzinnych zasobach ostało się wyblakłe świadectwo zgonu i dyplom z Krzyżami Hallerowskimi. Ale nadal nie wiedziałem, gdzie pradziadek jest pochowany. Jego żona – moja prababcia – Stanisława Lewińska zginęła ostatniego dnia Powstania Warszawskiego i jest pochowana na Cmentarzu Bródnowskim. Po śmierci mojej mamy jedynymi osobami, które mogłem o te kwestie zapytać, było jej rodzeństwo cioteczne. Liczyłem, że ciocia i wujek będą wiedzieli coś więcej. Oboje powiedzieli, że pradziadek zmarł w czasie okupacji i jest pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Niestety nie było grobu z jego inskrypcją. Tu znowu z odsieczą przybyli krewni, którzy wspomnieli, że po Powstaniu Warszawskim dokumentacja cmentarza spłonęła i należy szukać grobu Lewińskich. Jest taki grób, ale nic mi nie mówiły imiona osób, które zostały wpisane na grobie: Lewińscy - Augustyn i Klementyna z Krasuskich. Poszukiwania pradziadka szły więc dwutorowo – z jednej strony w zakresie jego służby wojskowej, a z drugiej od strony genealogicznej, w tym w poszukiwaniu związku z pochowanymi krewnymi i przodkami w grobie rodzinnym.

W archiwum wojskowym udało się potwierdzić udział pradziadka w Armii Polskiej we Francji generała Hallera, a następnie wraz z jego Armią – szlak bojowy w trakcie wojny 1920 roku. Archiwum wojskowe miały jednak szereg innych dokumentów, które świadczyły o dość swobodnym podejściu pradziadka do dyscypliny wojskowej. W wyniku deliktów dyscyplinarnych Ksawery Feliks Lewiński pozbawił się szans na inne ordery i odznaczenia II Rzeczypospolitej.

Równoległe do tych poszukiwań coraz więcej ustaleń udawało się znaleźć na gruncie genealogicznym. Udało się otrzymać z kilku archiwów z całej Polski dokumentację wszystkich pokoleń łączących mnie z wymienionymi na grobie – Augustynem i Leontyną Lewińskimi. Podczas tych poszukiwań interesowało mnie również ustalenie, w którym momencie Lewińscy zaczęli stosować w dwudziestoleciu międzywojennym nazwisko dwuczłonowe zawierające



herb – Brochwicz – a do którego momentu nie musieli tego robić z uwagi na możliwość wykazania prawa do herbu. W efekcie doszło do dość zabawnego zjawiska – jakim było wykazanie prawa mojej śp. mamy do posługiwania się herbem – w wyniku moich poszukiwań moich praw do grobu.

Te same poszukiwania zwróciły moją uwagę na historię rodu Lewińskich z Lewina herbu Brochwicz III, którego istnienie datuje się na XIV wiek. Gniazdem rodowym tej linii było Lewino oraz Lewinko na Kaszubach. Obecnie są to sołectwa gminie Linia. Przodkowie mojej mamy opuścili Kaszuby w XIX wieku – w momencie nominacji sędziowskiej Franciszka Ksawerego Lewińskiego z Lewina. Jego portret – obok Krzyży Hallerowskich mojego pradziadka – jest jedną z nielicznych zachowanych w rodzinie pamiątek rodowych. Postać pradziadka mojego pradziadka jest, jak sądzę dość ważna dla historii Polski, choć mało znana. Był on głównym orędownikiem – ustanowienia w Królestwie Polskim Kodeksu Napoleona. Jest autorem m.in. Zbioru systematycznego porządku praw Sukcesyjnych podług zasad “Kodexu Cywilnego przez Xawerego Lewińskiego Sędziego Trybunału Województwa Mazowieckiego”, wydanego w Warszawie w 1817 roku. Mając na uwadze, że wszystkie kolejne kodeksy cywilne w Polsce odnoszą się wprost do ram wyznaczonych Kodeksem Napoleona, można – nie bez przesady – uznać, że pradziadek mojego pradziadka był współautorem obowiązującego do dzisiaj w Polsce modelu sukcesji majątkowej. Model ów co naturalne ewoluował i był zawieszony w wielu aspektach w okresie PRL, niemniej do dzisiaj rezonuje w polskim prawie cywilnym. Franciszek Ksawery Lewiński był również ministrem sprawiedliwości w Rządzie Narodowym podczas Powstania Listopadowego.

Podróż, którą rozpocząłem rozważaniem nad miejscem pochówku mojego pradziadka zaprowadziła mnie do wnikięcia w: historię Kaszub, szlaku bojowego Armii gen. Hallera, specyfiki procesu legitymacji herbowej oraz licznych źródeł do badań genealogicznych. Ten rok jest szczególnie, ponieważ po licznych poszukiwaniach postanowiłem odwiedzić gniazdo rodowe Lewińskich. Z pewną dozą nieśmiałości, ale też z wielkimi nadziejami przyjechałem z rodziną w okolice Lewinka i Lewina. Tutaj miałem okazję uczestniczyć w Mszy Świętej w Parafii Strzecz, do której od XIV wieku należą te dwie miejscowości i w której jako ostatni z linii mojej mamy – został ochrzczony wspomniany pradziadek pradziadka – późniejszy senator, sędzia i minister.

Kiedy zakończyłem około czteroletnie poszukiwania, zwieńczone obecną wizytą na Kaszubach – uświadomiłem sobie, że w dość niepozornych Lewinku i Lewinie, w środku Kaszub zaczęła się historia, która nie raz stała się Historią. To właśnie z Lewina wywodzą się dwaj biskupi i senatorowie, i to właśnie z rodu Lewińskich herbu Brochwicz wywodzi się Bolesław Antonii – minister obrony w rządzie emigracyjnym w Londynie. To przedstawiciel tego roku – Janusz ps. „Gryf” bronił Pałacyku Michła w czasie Powstania Warszawskiego, aby po wyzwoleniu z niewoli przez Brytyjczyków – związać się przez kilkadziesiąt lat z wywiadem Jej Królewskiej Mości. Za sprawą mojego pradziadka i wielu lat poszukiwań jego przodków i krewnych stało się dla mnie klarowniejsze zdanie otwierające zakurzoną teczkę poświęconą Lewińskim, że „historię rodu nie sposób badać, bez historii narodu”.

64.

## I MIEJSCE

# Józek

**Stanisław Wawrzyszkiewicz**

Józek był moim wujkiem. Szczyciłem się, że coś mnie z nim łączy. Nie tylko ja.

Kobiety mówiły, że był najprzystojniejszym chłopcem jakiego znały. Mężczyźni twierdzili, że nikt nie szukał przygód tak jak on.

Po szkole podstawowej poszedł do wadowickiego gimnazjum prowadzonego przez Pallotynów. Uciekł z niego po kilku miesiącach, bo „namawiali tam na księży”, a księżowskie życie wcale go nie pociągało. Naukę podjął w żywieckim ogólniaku. Uczyl się tam dobrze, a z matematyki lepiej niż bardzo dobrze, skoro nauczyciele powierzali mu niekiedy prowadzenie lekcji. Był przekorny. W klasie maturalnej, oświadczył wychowawczyni, która właśnie motywowała klasę do lepszych wyników na pierwszy semestr, że on będzie miał na półrocze trzy oceny niedostateczne. Słowa dotrzymał.

Wiosną wpadł na pomysł, że ucieknie na Zachód. W Czechosłowacji zniszczył dokumenty i podając się za Cygana dotarł do granicy austriackiej, która okazała się przeszkodą nie do pokonania. Po kilku nieudanych próbach wrócił do Polski. Mimo dwutygodniowej nieobecności w szkole, zdał maturę bardzo dobrze.

Ukończył studium nauczycielskie, podjął pracę w wiejskiej szkole podstawowej, a po roku pracy zgłosił się do pallotyńskiego seminarium.

Seminarium źle znosił. Wolny ptak nie może dobrze znosić zamknięcia. Po święceniach został wysłany na dalsze studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wyrzymał tam kilka miesięcy. Powiedział, że studia teologiczne są marnowaniem czasu. Wystarczy mu to, co zawarte jest w Ewangelii.

Kilka lat pracował w Polsce i we Francji. Zawsze z młodzieżą. Następnie wyjechał do Mato Grosso w Brazylii. Kiedy opanował język portugalski na tyle, by prowadzić proste rozmowy, zapakował swój dobytek do plecaka i udał się do Amazonii. To miał być tylko urlop. Został na stałe.

Tyle się dowiedziałem od jego rodziny i szkolnych kolegów. Wyczekiwałem jego powrotu. Ciągłe pojawiały się jakieś przeszkody. Pieniądze, przeznaczone na podróż do Polski, dwa razy przeznaczył na zakup lekarstw dla Indian. Za trzecim razem jego przełożony zamiast pieniędzy, dał mu bilety na statek i samolot. Józek obydwie bilety sprzedał, by kupić lekarstwa. Po piętnastu latach dotarła do nas wiadomość o jego tragicznej śmierci. Odprawiano msze w jego intencji. Pół roku później okazało się, że ksiądz Józef jednak żyje.

Pojawił się po osiemnastu latach. Nie chciał występować publicznie, bo wstydził się swojej polszczyzny. A ja wstydziłem się do niego zagadać. Raz spotkaliśmy się wzrokiem i uśmiechnął się do mnie. Ruszyłem w jego stronę, ale na mojej drodze stanął proboszcz naszej parafii i zabrał Józka na plebanię.

Następnym razem przyjechał po pięciu latach. Jak tylko dowiedziałem się o jego powrocie, natychmiast poszedłem do niego.

Był upalny, letni wieczór, a on był w grubym, wełnianym swetrze, nogi okrywał kocem. Twarz miał żółtą, policzki zapadnięte. Przywitał mnie szerokim uśmiechem i natychmiast zaproponował, abyśmy przeszli na „ty”. Zauważył, że dziwi mnie jego ubranie.

– Malaria. Już ósmy raz. Lekarz mnie przebaadał i zdumiał się, że jeszcze żyję. Powiedział, że już dawno powinienem być tam – Wyciągnął do mnie dłoń i energicznie obrócił kciuk w dół. Roześmiał się. – Życie jest piękne, a ludzie są dobrzy. Jeszcze jakiś czas tu zostanę. Tak po raz pierwszy usłyszałem jego ulubione powiedzonko, z którego był znany wszystkim jego znajomym.

– Tu? – podchwyciłem.

– Moje „tu” jest w Amazonii. Tam jest mój dom i moja rodzina.

– Rodzina?

– Mam dziesiątki dzieci.

Takiego wyznania nie spodziewałem się. Józek roześmiał się.

– Nie martw się. Żadne nie poczęło się z moim udziałem. Mam chyba prawo nazywać je moimi dziećmi. Przecież ważniejszy jest ten, kto wychowuje niż ten, który płodzi. Spytałem, jak często spotyka się ze swoimi dziećmi.

– Teraz tylko raz w roku. Przyjeżdżają do mnie, do Novo Airao, na urodziny. To jest jedyny dzień w roku, kiedy nic nie robię. Kołyszę się tylko na werandzie w moim bujanym fotelu. Dzieci, którymi kiedyś się zająłem, od dawna już nie są dziećmi. Niektórym przewijałem pieluchy, a wszystkie uczyłem czytać, pisać i rachować, a przede wszystkim myśleć. Nie potrafię o nich myśleć inaczej jak o własnych dzieciach. Jestem z nich bardzo dumny. Każdy uczciwie zarabia na życie.

Kiedy siedzę na werandzie i patrzę na Czarną Rzekę, to często myślę sobie, że najlepiej byłoby, gdyby moim grobem stała się właśnie ona. W ten sposób oszczędziłbym moim dzieciom kłopotu z pogrzebem, a mięsożerne ryby miałyby łatwy posiłek. Może nie tak łatwy – roześmiał się – moje ciało jest już stare i twarde.

Przegadaliśmy pół nocy.

Następnym razem spotkałem się z nim na cmentarzu, nad grobem jego siostry, gdy po raz kolejny przyjechał na urlop. Podjął rozmowę, jakby cztery lata były krótką chwilą. Przy pożegnaniu dał mi numer komórki do jego misji w Novo Airao. Spytał, czy przyjadę do Amazonii. Chciał pokazać mi miejsca, które go zawsze zachwycają.

Zadzwoiłem do niego w nocy Bożego Narodzenia. Obliczyłem, że w Amazonii powinien być jeszcze dzień. W słuchawce usłyszałem męski głos. To nie był Józek. Spytałem po portugalsku o ojca Józefa. Nauczyłem się tego jednego zdania w tym języku. Domyśliłem się, że pójdzie go szukać. Patrzyłem z przerażeniem na zegar i liczyłem upływające minuty. Wreszcie usłyszałem w słuchawce zadyszany głos Józka. Cieszył się i przeproszał, że nie może długo ze mną rozmawiać, bo właśnie wyjeżdża odprawić trzecią mszę. Powiedział, żeby do niego jeszcze raz zadzwonił w połowie stycznia, by omówić szczegóły mojej podróży do Amazonii.

To była nasza ostatnia rozmowa.

Józek zmarł jedenaście dni później w szpitalu w Manaus. Nie spełniło się jego pragnienie, aby zniknąć w wodach Rio Negro. Pochowano go na cmentarzu w Novo Airao. Mieszkańcy miasteczka, którego był honorowym obywatelem, jeszcze nigdy nie widzieli tak wielu obcych ludzi. To były dzieci Józka. Przyjechały ze swoimi dziećmi.

## Mój dziadek umiera, a ja nie jestem w stanie przez to żyć

Amelia Wallis

Może jest to dość dramatyczny wstęp, ale jeśli uznamy, że życie każdego człowieka polega na prześcigającym się między sobą stanami życia i śmierci, nabierze on dodatkowego sensu. Ponieważ każdy z nas umiera, od razu po tym jak się urodzi, chociaż najpierw każdy powinien żyć.

Niestety, w swojej świadomości rzadziej zauważam ten drugi człon zdania.

Ciężko jest określić na jakim etapie to śmierć wyprzedza życie, jeszcze ciężiej jest mi pojąć kiedy zaczęłam zauważać ten wyścig i czy jestem wystarczająco świadoma, aby dopingować którejś ze stron.

Myślę, że mój dziadek już od dłuższego czasu dopinguje śmierci, nie dlatego, że ma już dość życia, które ciągle ją wyprzedza, ale dlatego, że obawia się bycia ciężarem. Myślę, że jego zdaniem, każda osoba z trybun skrycie dopinguje jego śmierci, która “jak na złość” ciągle przegrywa.

Nie wiem czy w historii wszechświata istniała osoba, która była w większym błędzie niż on.

Dziwnie mi się o nim piszę, mimo, że już od paru dobrych lat powtarzam sobie, że napiszę o nim książkę. Nigdy jednak, nie mogłam się za to zabrać. Już teraz, tworząc ten esej, słowo po słowie, czuję się jakbym tworzyła coś na wzór pożegnania. A przecież nie jest jeszcze na to czas.

Głupio wmawiam sobie, że nigdy nie nadejdzie.

Ale zawsze byłam naiwna, gdy chodziło o życie bliskich, a konkretniej, ich kres.

Mój dziadek jest osobą, której nie przyjrzyś się na ulicy, na której twój wzrok nie zatrzyma się dłużej niż to konieczne, której nie będziesz szukał w tłumie.

Mój dziadek jest osobą, której brak odczujesz siedząc tuż obok, której ciepło poczujesz nawet w środku zimy, której uśmiech zapamiętasz widząc go tylko raz.

Mój dziadek nie jest dla każdego, ale każdego dnia dziękuję jakiemukolwiek to zrządzeniu losu, za pozwolenie mu być dla mnie.

Zdzisław, bo tak ma na imię jest czuły i empatyczny, chociaż nigdy nie okaże żadnej z tych cech bezpośrednio. Dziadek zachowuje się jakbym jego osobowość była ciągle przykryta gęstą chmurą, czasem mam wrażenie, że on sam się za nią kryje. Potrzeba wtedy nie lada determinacji, aby się przez nią przedostać. Dziadek, posiada zestaw cech, które sam doświadczysz po latach, a docenisz? Może jeszcze później.

Sama boję się, że nigdy nie docenię go w pełni. Bo nie wiem, czy istnieją słowa, które mogą oddać ile dla mnie znaczy, a słowa zawsze były dla mnie nirwaną, szczególnie te pisane. Także jeśli czuję, że nawet one są niewystarczające, to co może być?

Myślę, że każdy w życiu trafia na osobę, którą gloryfikuję, jednak w głębi duszy wie, że ma ku temu istotne podstawy. Na świecie panuje deficyt dobrych ludzi, dlatego kiedy już taką spotkam, nie możemy powstrzymać się przed jej doświadczaniem.

A dziadka możesz doświadczyć

Po tym jak stoi na czatach i kryje ci tyły, gdy masz osiem lat i w południe wspinasz się na blat żeby dosięgnąć szafki ze słodyczami, których babcia zabrania ci jeść przed obiadem.

Po tym jak łapie kota, który wcześniej cię podrapał i podchodzi do ciebie z nim na ramionach, abyś mogła go spokojnie pogłaskać i zapamiętać jako coś pięknego i przyjaznego, a nie drapieżnego.

Po tym jak poświęca godzinę w ciągu dnia by bując na huśtawce ciebie i twoją kuzynkę i nie krzyczy, gdy nagle zeskakujecie z niej w trakcie bujania, aby rozstrzygnąć, która skacze dalej.

Po tym jak nie pozwoli odjechać twojemu tacie i mamie, bez wypicia razem kawy.

Po tym jak przytula się do swojej żony, gdy nadal jest jej zimno pod górą kocy, które wcześniej na nią zarzucił.

Po tym jak każde zwierze, traktuje równym sobie.

Po tym jak każda jego uwaga, czy przestroga zawiera jedynie troskę, nigdy złość, czy zażenowanie.

Po tym wiesz jak dobrym jest dziadkiem, ojcem, mężem, bratem.

Po tym po prostu wiesz jak dobrym jest człowiekiem, jaką oazą spokoju jest na co dzień i zastanawiasz się jedynie jak wielka burza musi nadejść, żeby wytraciła go z równowagi.

I nie możesz zrobić nic więcej tylko go podziwiać i jak ja, nieść w sercu potrzebę podzielenia się nim ze światem, pozbycia się tej samolubnej myśli o zatrzymaniu go dla siebie, bo tacy ludzie nie zasługują by obchodzono się z nimi samolubnie, tacy ludzie nie zasługują na zapomnienie.

Żadna inna osoba nie zasługuje bardziej na miejsce w pamięci.

Mamy już swoich bohaterów wojennych, królów ludu, mamy władców słowa. Część, na pewno większa, nie zasłużyła by faktycznie być zapamiętanym, bo jedynie część z nich, na pewno mniejszą, można uznać za wartościową w sercu.

Jestem pisarką.

Jedyne co zawsze chciałam zawierać w swoich dziełach jest prawda.

Nie ma nic bardziej wartościowego od prawdziwego człowieka, człowieka, na którego ludzkość sama w sobie nie zasługuje.

Tym człowiekiem jest właśnie Zdzisław Czechowski.

Mimo to, on istnieje, nie jest jedynie idea, czy archetypem pożądanym w powieściach.

Jest prawdziwą osobą, jest dobrym człowiekiem.

Jestem dumna, że mogę być osobą, która go zna.

Jestem tym bardziej dumna, że mogę nazwać się jego wnuczką.

## Prababcia – niezłomna bohaterka na polu wojny i życia

Dominika Żeleźniak

Prababcia - słowo, które przywołuje obraz mądrej, odważnej i niezłomnej kobiety, która stawiała czoła wyzwaniom wojny i życia, stając się nie tylko wzorem do naśladowania, ale również źródłem inspiracji dla całej rodziny i społeczności. Historia życia mojej prababci, która uczestniczyła w wojnie, jest prawdziwym przykładem determinacji, siły charakteru oraz nieustępliwości, które powinny prowadzić nas przez życie.

Prababcia była świadkiem trudnych czasów, gdy świat był ogarnięty wojną. Jej odwaga i gotowość do walki były widoczne już od wczesnych lat, kiedy zdecydowała się dołączyć do sił oporu. To było wyjątkowe w tamtych czasach, by kobieta wzięła udział w działaniach wojennych, ale prababcia nie bała się stawić czoła przeciwnościom losu i walczyć o wolność swojego kraju.

Jej poświęcenie, umiejętność podejmowania trudnych decyzji i zdolność do przetrwania w skrajnych warunkach pola walki stanowiły o jej wyjątkowym charakterze. Prababcia nie tylko walczyła fizycznie, ale również była wsparciem moralnym dla swoich towarzyszy broni. Jej odwaga była źródłem inspiracji dla innych, a jej wytrwałość motywowała ich do nieustannej walki w obliczu niebezpieczeństwa.

Po wojnie prababcia kontynuowała swoją walkę - tym razem o odbudowę swojego życia oraz życia swojej rodziny. Jej determinacja i pracowitość były kluczowe w przezwyciężaniu trudności powojennego świata. Niezłomność, z jaką stawiała czoła trudom, pokazuje, że prawdziwi bohaterowie nie tylko wychodzą zwycięsko z bitew, ale także potrafią odnaleźć się w codziennym życiu, inspirować innych i tworzyć lepszą przyszłość.

Dziedzictwo prababci przenika kolejne pokolenia, stanowiąc fundament wartości, które są istotne dla nas jako rodziny i społeczności. Jej historia uczy nas o sile charakteru, solidarności, szacunku dla wartości demokratycznych oraz umiejętności przeciwdziałania niesprawiedliwości. Jest to wzór do naśladowania, który przypomina nam, że nawet w najtrudniejszych momentach można zachować godność i odwagę, dążąc do lepszej przyszłości.

Podsumowując, prababcia była nie tylko uczestniczką wojny, ale również niezłomną bohaterką, która pokazała, że siła charakteru i determinacja mogą kształtować nie tylko nasze życie, ale również wpływać na losy całego społeczeństwa. Jej historia przypomina nam, że wartości takie jak odwaga, poświęcenie i dążenie do lepszej przyszłości są ponadczasowe i nadal inspirować nas do osiągnięcia wielkich celów.

67.

## Stąd jestem

**Dominika Górka**

Skąd jest Dominika Górka niepełnosprawna ruchowo od urodzenia cierpiąca na Mózgowe Porażenie Dziecięce Czterokończynowo Spastyczne od urodzenia? + Tak jak jej ukochana Siostra Mamy Małgorzata Ciocia Katarzyna Kaźmierczak Dominika Górka ma swoje korzenie od urodzenia w Warszawie = Bo to widać że jestem z miasta Warszawa + Bo to słychać że jestem z miasta Warszawa + Bo to czuć że jestem z miasta Warszawa.

# Zapomniany Patriota

**Remigiusz Ogonowski**

Żeby egzystować jako polityk zdaniem cyników należy wyzbyć się wrażliwości społecznej, ale nie każdy polityk tą pełną małostkowością maksymę realizował, zupełnie odmienne poglądy wcielał w życie słusznie nazwanym „zapomnianym bohaterem” – Stanisław Posner. Jego zaangażowanie w odrodzenie Polski i niesie pomocy ludziom wymagającym takiej pomocy zasługiwały na miano człowieka idei lewicowej w jej pierwotnym założeniu. Stanisław Salomon Posner urodził się 21 listopada 1868 roku jako syn Leona i Matyldy z Bornsteinów. Ten prawnik już jako student Wydziału Prawa Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego napisał wiele artykułów prawniczych, za rozprawę konkursową – Szkoła historyczna prawa w Niemczech został nagrodzony złotym medalem. Gruntowne wykształcenie Posnera zdobyte podczas późniejszych studiów prawniczych w Berlinie przygotowało go do pod względem prawniczym aby swoją działalność polityczną – społeczną nieść pod „strzechy”. Posner swoją działalność wykonywał w czasie historycznym w którym dzisiejsza demokracja nie istniała, była tzw. demokracja szlachecka i społeczeństwo klasowe. I w tych warunkach Stanisław Salomon Posner postanawia nieugięcie walczyć o prawa człowieka jako świątły Europejczyk ze wszelkimi przysmiankami tej postawy. Posner to także poliglota biegle władał i pisał nie tylko w języku ojczystym, ale też po niemiecku i francusku. Podczas emigracji we Francji publikował dziesiątki artykułów i broszur z dziedzin społecznych i prawniczych, jego postawa życiowa to życie dla drugiego człowieka, aby ten człowiek mógł nim być w pełni znaczenia tego słowa. Podczas pierwszej wojny światowej przebywał we Francji i zachodniej Europie, gdy tylko wizja odrodzenia Polski zaczęła nabierać realnych kształtów, Stanisław Posner z olbrzymim zapałem i werwą zaangażował się w jej odzyskanie poprzez prowadzenie odczytów, pisał liczne artykuły do prasy francuskiej o Polsce i spotykał się z wypalonymi ludźmi którzy mogli się przyczynić i być pomocni dla sprawy Niepodległości Polski. Ten zagorzały orędownik na rzecz odrodzenia się państwa polskiego cały swój pobyt na emigracji poświęcił sprawie polskiej poprzez zakładanie instytucji naukowych rdzennie powiązanych z polskością takich jak Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza czy Polską Ligę Nauczania która zajmowała się gromadzeniem materiałów dydaktycznych dla przyszłej Polski. Publikował również używając pseudonimów Rajmund Kucharski, sygnował również swoje prace jako henrykbezmanski pisane łącznie. Był wybitnym mówcą czego dał dowód jako senator ziemi kieleckiej, który to urząd senatora sprawował od 1922-27.r.

Na poczet zasług senatora Posnera z ramienia PPS należy wspomnieć, że głównie dzięki niemu Polska ratyfikowała zakaz pracy nocnej i zatrudnianie w przemyśle dzieci poniżej 14 roku życia w przemyśle podczas Pierwszej Międzynarodowej Konferencji Pracy w Waszyngtonie w 1919 roku. Był współautorem Deklaracji Genewskiej z 1924 roku na rzecz praw dzieci.



Dokonania senatora Posnera można mnożyć, był niestrudzonym propagatorem demokracji i zwolennikiem pokojowego rozwiązywania sporów, jego motto życiowe brzmiało – „że szczęściem jest móc kochać ludzi. Trzeba ich szanować , a nie nienawidzić i gardzić nimi. Ludzi należy jednoczyć , a nie dzielić w celu „ wykluczania” z życia w każdej jego formie, trzeba rozpałać ogniska łączności społecznej , tworzyć wspólnoty „ pracy i chleba” i raz na zawsze zamknąć kratery nienawiści i wszechobecnego egoizmu.

Senator Stanisław Posner zmarł 8 maja 1930 roku. Jego ciało spoczęło na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie.

## Obcy w Szczecinie: historia i tożsamość

Andrzej Kulpa

Trudno jest powiedzieć „stąd jestem”, żyjąc w miejscu, w którym wszyscy są obcy. Historia miasta Szczecina, położonego nad Odrą, jest barwną opowieścią o wielokulturowym dziedzictwie, które kształtowało to miejsce przez wieki. W ciągu ostatnich trzydziestu lat, które spędziłem w tym 400-tysięcznym mieście, widziałem, jak przeszłość i terażniejszość spletały się w tkance tożsamości, tworząc wyjątkowy charakter tego miejsca.

Szczecin, dawna stolica księstwa pomorskiego i miasto hanseatyckie, to miejsce, gdzie historia Niemiec, Danii, Szwecji, Prus i Polski przenika się w niezwykle sposób. Od lenn Cesarstwa Rzymskiego po okupację francuską, miasto przeszło przez różne ręce, nadając mu złożoną i wielowarstwową tożsamość. Mimo że przynależność narodowa zmieniała się przez wieki, Szczecin pozostawał miejscem, które przyciągało ludzi z różnych zakątków Europy.

Podobnie jak historia miasta, historia jego mieszkańców jest równie różnorodna. Sam będąc tu obcy czuję to doskonale, gdyż moje korzenie rodzinne sięgają odległych zakątków Polski - od okolic świętokrzyskiego, przemyskiego po Podhale. Przybywając do Szczecina na studia przed trzydziestu laty, wtopiłem się w tkankę tego miejsca. To tutaj urodziły się moje dzieci, a ja stałem się dumnym „paprykarzem” - mieszkańcem Szczecina.

Jednak terażniejszość nie może istnieć bez zrozumienia przeszłości. Po siedemdziesięciu latach od zakończenia II wojny światowej, młodsze pokolenia mogą zapominać, że Szczecin nie zawsze był Polską. Wspomnienia o obecności niemieckiej, szwedzkiej czy pruskiej mogą blednąć w tle. To ważne, aby nie tylko mieszkańcy, ale także miasto samo, nie utraciło świadomości swojej długiej i złożonej historii.

Odnalezienie tożsamości miasta jest kluczowe dla budowania silnej więzi pomiędzy mieszkańcami a ich przeszłością. Warto docenić, że Szczecin nie zaczyna swojej historii w 1945 roku. Pamięć o dawnych czasach przynosi głębsze zrozumienie korzeni i kształtuje więź z miastem. Przeszłość jest cennym skarbem, który inspirowa i kształtuje tożsamość miejsca.

Szczecin, z różnorodnym dziedzictwem i mieszkańcami z różnych stron, stanowi piękny przykład miasta, które staje się domem dla obcych. Jego przeszłość stanowi podstawę do zrozumienia terażniejszości i budowy przyszłości. Dla tego miasta życzę, aby nie tylko mieszkańcy, ale i samo Szczecin, pamiętało o swojej historii, by zachować integralność tożsamości i aby wszyscy w tym wyjątkowym miejscu czuli się „u siebie”.

## Stąd jestem

Dorota Malina

Skąd jestem? Z Małopolski, skąd niemało Polaków wyjechało do wielkiego świata: papież, Polański, Penderecki. Ale oprócz artystów i naukowców, którzy wyruszyli podbijać zagraniczne sceny i salony, są też miliony prawie anonimowych ludzi, którzy wyjechali, na trochę lub na zawsze, po prostu za chlebem: na saksy do Niemiec, do krewnych na Greenpoint, do kopalni w Lille czy na służbę w Paryżu. Do tej fali emigrantów ekonomicznych należy moja ukochana babcia, Aleksandra córka Józefy.

Józefa, czyli prababcia Józia, nigdy nie opuściła rodzimej wioski, Zebrzydowic. Wychowała tam czworo dzieci i choć przeżyła dwie wojny światowe, wczesne wdowieństwo (pradziadek zginął na froncie), kolektywizację i głęboki komunizm, i do końca życia mieszkała w drewnianej chatce bez bieżącej wody, zawsze była pogodna. Dożyła sędziwego wieku i do dziś, kiedy o niej pomyśle, widzę jej pomarszczoną jak stare jabłuszko uśmiechniętą twarz i żywe błękitne oczy.

Czuję też zapach swojskiej kielbasy (której babcia, córka rzeźnika, przy każdej okazji odkrawała sobie „iskrę”) i rosolu, który pyркаł na piecu i który jadłam z talerza „z krasnalkiem”.

Prababcia Józia wiodła zwyczajne, „małe życie”, dzielnie opierając się zawierusze historii, Ołę natomiast we wczesnych latach dziewięćdziesiątych wywiało za ocean. Już na emeryturze, żeby pomóc córce i zięciowi postawić dom, zostawiła im mieszkanie i wyjechała do Chicago, skąd posyłała zachodnie frykasy (szynkę w puszcze, snickersy i galaretki Jelly’O), kolorowe ubranka (byłam najbarwniejszym przedszkolakiem) i zielone dolary. Na hasło „paczka przyszła!” reagowałam ślinotokiem. Wtedy, jako kilkulatka, nie zastanawiałam się, skąd babcia to wszystko bierze i jak wygląda jej amerykański sen.

Dziś wiem, że nie, nie był koszmarem, ale daleko mu do hollywoodzkiej bajki. Żeby zarobić na batoniki i budowę, babcia sprzątała u bogatych. Do Ameryki wyruszyła z jedną walizką i bez angielskiego. Na wielkim O’Hare jej pracodawczyni początkowo zgarnęła nie tę imigrantkę, co trzeba, bo na wołanie „Ola, Ola” stawiała się jakaś Meksykanka. „Bogaci” okazali mili i ponieważ babcia Ola potrafi zjednywać sobie ludzi, blisko zaprzyjaźniła się z panią domu. Nie wiem, jak zdołała się z nią porozumieć, ale widocznie na tyle dobrze, że kiedy po latach odwiedziłam panią Gail, ze łzami w oczach opowiadała mi o „Oli”.

Za każdym razem, kiedy bezsensownie stresuję się podróżą, myślę o babci, która, bez znajomości języka i nie wiedząc, co (i kto) na nią czeka, wsiadła do samolotu w nieznaną. „To nie Chicago” – mówimy w rodzinie, ilekroć, wyposażeni w inteligentne urządzenia i władający językami, wybieramy się w dalszą podróż. Damy sobie radę.

Bo tak mogłaby brzmieć mantra mojej babci: dam sobie radę. Poradzę sobie. Ludzie są życzliwi, a świat stoi otworem. Podobno Polacy są nieufni i lękliwi, ponoć noszą w sobie traumę historii, bo w każdej rodzinie ktoś zginął w Katyniu albo w obozie, pamięta Ruskich albo Szwabów, musiał ukrywać pochodzenie albo wyznanie, a ciało pamięta. Może, jak mawiał

ksiądz Tischner, „to tys prawda”, ale moja dzielna babcia zadaje kłam stereotypom. Do dziś jest zaradna i pogodna, towarzyska i głodna wiedzy. Należy do klubu książki i kółka emerytów, czyta tylko non-fiction („żeby dowiedzieć się czegoś o świecie”) i chadza na wszelkie lokalne imprezy („bo trzeba wychodzić do ludzi”). Spacer z nią trwa w nieskończoność, bo co rusz spotyka znajomych, którzy chętnie przystają, żeby pogawędzić, bo babcia nigdy nie narzeka i dla każdego ma miłe słowo.

Chodziłam do dobrego krakowskiego liceum (i przez trzy lata babcia dawała mi kieszonkowe „na kawę i kino”) i poznałam wnuków słynnych opozycjonistów, artystów i intelektualistów. W porównaniu z nimi babcia Ola miała raczej „zwykłe życie”. Dla mnie jednak zawsze pozostanie osobą niezwykłą, bez kompleksu polskiego, za to z mnóstwem życzliwości do świata.

71.

## Stąd jestem

**Ernest Paśnik**

Moja mama to osoba, która od zawsze była dla mnie wzorem. To nie tylko moja mama, ale również ktoś, kto mnie naprawdę inspiruje. Jej determinacja w dążeniu do celów i nieustanne dążenie do samodoskonalenia sprawiają, że podziwiam ją każdego dnia.

Jedną z rzeczy, która wyróżnia moją mamę, jest jej pasja do gotowania. Widzę, jak kreatywnie eksperymentuje w kuchni, tworząc wyjątkowe dania, które zawsze smakują niesamowicie. To nie tylko umiejętność, ale także sposób, w jaki wyraża swoją miłość do nas, przygotowując nasze ulubione posiłki. Jej umiejętność łączenia smaków i tworzenia nowych przepisów sprawiają, że jestem zachwycony jej talentem kulinarnej artystki.

Ale to nie tylko gotowanie stanowi o jej pasji. Moja mama uwielbia podróżować i poznawać nowe miejsca. Jej ciekawość świata sprawia, że zawsze jest gotowa wyruszyć w nową przygodę. Widzę, jak wraca z podróży pełna entuzjazmu i nowych historii do opowiedzenia. To na pewno jej otwarte podejście do świata inspirowało mnie do tego, by patrzeć na życie z optymizmem i zawsze być gotowym na nowe wyzwania.

Jednak to, co sprawia, że moja mama jest jeszcze bardziej inspirująca, to jej serce pełne dobroci i empatii. Jej życzliwość wobec innych ludzi, gotowość do pomagania i wsparcia są naprawdę godne podziwu. Widzę, jak poświęca swój czas i energię, by pomagać tym, którzy tego potrzebują. Jej przykład uczy mnie, jak ważne jest być życzliwym i wrażliwym na potrzeby innych.

Wszystkie te cechy - jej pasja do gotowania, miłość do podróży oraz dobroć wobec innych - sprawiają, że jest ona dla mnie prawdziwą inspiracją. Widzę, jak wiele osiągnęła dzięki swojemu podejściu do życia i w jaki sposób wpływa to na ludzi wokół niej. Jestem szczęśliwcem, że mam taką wspaniałą osobę w mojej rodzinie.

## Stąd jestem: Śladami Stanisława Skoczyńskiego “Robotnika”

Błażej Szlęk

Kiedy myślimy o bohaterach narodowych, nasze myśli często biegną ku postaciom, które stały się symbolem walki o niepodległość i wolność. Jednak prawdziwa historia Polski jest pełna mniej znanych, ale równie ważnych postaci, które w cieniu wielkich wydarzeń kształtowały naszą tożsamość. Jednym z takich bohaterów był mój pradziadek, Stanisław Skoczyński, znany pod pseudonimem “Robotnik”.

Urodzony w Łodzi, Stanisław od młodych lat angażował się w działalność społeczną. Łódź, przemysłowe serce Polski, była miejscem, gdzie ideały walki o lepsze jutro były szczególnie ważne. W tym środowisku Stanisław dorastał, ucząc się wartości takich jak solidarność, praca i poświęcenie. Łódź była wówczas miastem tkanin, gdzie każde krosno i każda fabryka były świadectwem ciężkiej pracy i determinacji.

Jego serce biło dla Polski, co przejawiało się w działaniach w harcerstwie. Instytucja ta w tamtych czasach nie było jedynie formą spędzania wolnego czasu. To była szkoła życia, która kształtowała charaktery młodych ludzi, ucząc ich wartości takich jak honor, odwaga i poświęcenie. W harcerstwie Stanisław uczył się, jak być liderem, jak inspirować innych i jak służyć swojej ojczyźnie.

Jego pseudonim “Robotnik” nie był przypadkowy. Symbolizował pracę, wytrwałość i poświęcenie dla dobra narodu. Stanisław nie tylko walczył za te ideały, ale żył nimi na co dzień. Jego postawa była inspiracją dla wielu młodych ludzi, którzy widzieli w nim wzór do naśladowania.

W czasie Powstania Warszawskiego, kiedy wielu zastanawiało się nad sensem walki, Stanisław nie miał wątpliwości. Wiedział, że wolność jest wartością nadrzędną, za którą warto poświęcić wszystko. Jego odwaga i determinacja były inspiracją dla wielu żołnierzy. Wspomnienia tych, którzy walczyli u jego boku, świadczą o tym, jak ważną postacią był wśród powstańców.

Po wojnie, w nowej rzeczywistości, gdzie ideały wolności i niepodległości były zagrożone przez nowy reżim, mój pradziadek nie poddał się. Mimo represji i prześladowań, pozostał wierny swoim przekonaniom, stając się symbolem oporu przeciwko komunizmowi. Jego postawa była dowodem na to, że prawdziwe wartości nie giną, nawet w obliczu największych przeciwności.

Dziś, kiedy przechodzę obok ulicy w Łodzi nazwanej jego imieniem, czuję dumę i wdzięczność. Dumę, że pochodzę z rodziny, w której wartości takie jak honor, odwaga i poświęcenie były cenione ponad wszystko. Rozpiera mnie wdzięczność, że mogę czerpać inspirację z życia tak wyjątkowego człowieka.

Esej ten jest hołdem dla mojego pradziadka, ale także przypomnieniem dla nas wszystkich, że prawdziwi bohaterowie nie zawsze są głośno świętowani. Często są wśród nas, w naszych rodzinach, w naszej historii. To od nich czerpiemy inspirację, ucząc się, jak być lepszymi ludźmi, jak walczyć o swoje przekonania i jak kochać swoją ojczyznę.

Stąd jestem. Z rodziny bohaterów, z kraju pełnego niezłomnych ludzi, z historii pełnej poświęcenia i odwagi. I choć czasem zapominamy o tych, którzy kształtowali naszą tożsamość, ich duch żyje w nas na zawsze. Wspominając życie i dokonania „Robotnika”, przypominam sobie, skąd pochodzę, kim jestem i jakie wartości są dla mnie najważniejsze. W jego historii odnajduję źródło mojej tożsamości, inspirację do dalszego działania i przekonanie o niezłomności ducha narodu polskiego. Wspomnienia o nim są dla mnie przewodnikiem, jak żyć z pasją, determinacją i miłością do ojczyzny.

# Woda

## Marcin Ostasz

Lato tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku było wyjątkowo gorące. Tego dnia radio ogłosiło suszę. Byłem sam w naszym mieszkaniu. Mama wyszła nagle wcześniej, gdy usłyszała, że w sklepie rzucili mięso. Martwiłem się o nią, bo od pobliskiej stacji kolejowej Staroniwa dochodziły odgłosy strzałów i wybuchów. Dym unosił się nad śródmieściem naszego miasta, Rzeszowa.

Usłyszałem kroki na klatce schodowej. Nie widziałem Taty od kilku miesięcy, ale szybko zrozumiałem, że te kroki są jego.

Tato wyjechał trzynastego grudnia. Tego mroźnego poranka, jak zawsze, chciałem obejrzyć Teleranek. Ale telewizja pokazywała jedynie Generała Jaruzelskiego. Mówił, że musi zbawić naszą Ojczyznę. Wydał rozkaz milicji i wojsku, aby opanowały sytuację i siłą położyły kres strajkom.

Telefon zadzwonił. Tato rozmawiał z kimś szeptem. Założył swój milicyjny mundur polowy, przypiął do pasa kaburę z pistoletem i powiedział mi i Mamie, że musi wyjechać na Śląsk, aby przywrócić tam porządek.

Z upływem czasu, przyzwyczailiśmy się do jego nieobecności. Mieliśmy taki cichy układ, że o tym nie rozmawiamy. Myślę, że po prostu chcieliśmy wierzyć, że Tato nadal pracuje na rzecz społeczeństwa. Tak, jak kiedyś, gdy budował szpitale, szkoły, drogi, kanalizacje, boiska. Jego flagowym projektem był obóz harcerski, który organizował każdego lata w lesie w pod miastem. No ale tego lata, oczywiście, z obozu nici.

Tato wbiegł do mieszkania. Miał na sobie ten sam mundur, w którym wyjechał ponad pół roku temu. Teraz były na nim dziury i plamy krwi. Tato pokryty był siniakami i szramami. Poprosił o szklankę wody. Pobiegłem do kuchni, ale kran tylko zasyczał. Potem, Tato wydał rozkaz: idziemy!

Tato trzymał mnie za rękę, gdy szybkim krokiem szliśmy wzdłuż bloku. Ludzie na nasz widok zamykali okna. Strzały i wybuchy nadal dochodziły z centrum.

Doszliśmy do potężnego pojazdu zaparkowanego na ulicy przed naszym blokiem. Był opancerzony i miał wgłębienia na całym swoim ciele. Na boku był biały napis: ZOMO. Z tyłu znajdował się olbrzymi pojemnik a z dachu sterczała lufa małego działka, obok którego znajdował się głośnik.

Tato wskoczył do kabiny od strony kierowcy, otworzył drzwi dla mnie z drugiej strony i pomógł mi wdrapać się do kabiny.

Na półce pod kierownicą była niedojedzona kanapka i pistolet. Mała drabina prowadziła do armatki wodnej na dachu.

Tato uruchomił silnik. Bestia odżyła. Tony wody z tyłu wydały dźwięk podobny do fal morskich. Jechaliśmy przez nasze osiedle mijając tłumy ludzi, którzy zbiegali w małych grupach do centrum. Niektórzy z nich zatrzymali się i gapili się na mnie i na Tatę. Mieli transparenty z napisami: WOLNOŚĆ, SOLIDARNOŚĆ.



Zapytałem się co z Mamą, ale w tej chwili grad cegieł uderzył w kabinę. Tato nawet nie zwolnił. Odłamek cegły zbił szybę i wleciał do kabiny, raniąc Tatę w rękę. Trysnęła krew i rozlała się po spodniach Taty. On zaklął i obwinał rękę brudną szmatą. Jechaliśmy dalej.

Dotarliśmy do skrzyżowania z barykadą. Mężczyzna z długimi wąsami wydawał polecenia demonstrantom. Uciszyli się oni, gdy zobaczyli naszą armatkę wodną. Tato podniósł mikrofon i przez głośnik na dachu poprosił ich, aby wrócili do swoich domów. W odpowiedzi spadł na nas ponownie grad cegieł, a potem butelek z benzyną.

Tato nakazał mi, abym kucnął przed siedzeniem. Opuścił boczne okno i wystrzelił kilka razy z pistoletu z gazem łzawiącym. Białe dym spowił wszystko. Ludzie uciekali zasłaniając oczy rękami, kaszląc i krztusząc się.

Tato docisnął pedał gazu. Silnik zaryczał. Rozbiliśmy tę barykadę. Zmiażdżone kawałki mebli i ławek wylatywały spod kół naszej armatki wodnej.

Jechaliśmy przez miasto. Ludzie rzucali w nas czym się da. Zapytałem się Taty, dokąd jedziemy, ale wydawało się, że mnie nie słyszy.

Wyjechaliśmy za miasto. Pędziliśmy przez pola i łąki. Rolnicy przerywali pracę i gapili się na nas z niedowierzaniem. Bociany klekotały w gniazdach. Słoneczniki obracały swe głowy ku słońcu.

Nagle, Tato zahamował. Położył ręce na kierownicy i powiedział: „Gdy byłem w Twoim wieku, nasz ojciec umarł w szpitalu z powodu głupiego zakażenia. Byliśmy bardzo biedni. Nasza Mama nie miała pieniędzy, więc poszła do księdza i poprosiła go, aby pochował ojca za darmo. Powiedział: NIE. Kazał nam sprzedać jedyną naszą krowę, nasze jedyne źródło mleka. Mój brat był jeszcze niemowlęciem. Musiałem pracować jako dziecko budując drogę przez naszą wieś, aby trochę zarobić.

Gdy nadszedł socjalizm, otrzymałem stypendium, aby uczyć się w naszym mieście. Dali mi pracę, nowe życie, rodzinę—wszystko. Myśleliśmy, że możemy zbudować lepszą przyszłość, bardziej sprawiedliwy świat, w którym żadne dziecko nie będzie głodne i żadne dziecko nie będzie musiało pracować, aby przeżyć. Myślałem, że mój przykład przekona innych do budowy tego nowego świata.”

Tato ponownie uruchomił silnik. Wjechaliśmy do lasu, a potem na polanę. Rozpoznałem to miejsce jako miejsce naszego obozu letniego. Zobaczyłem moich kolegów harcerzy. Przeszali się bawić i gapili się na nas przerażeni.

Tato wjechał na środek obozu i zatrzymał się. Harcerze stali jak zamrożeni, nie wiedząc, co począć.

Tato wspiął się do armatki na dachu. Obrócił ją i wycelował. Pomyślałem sobie, że z takiej małej odległości może on zabić kogoś. Przypomniałem sobie o pistolecie obok kierownicy i o tym, że umiem strzelać – Tato nauczył całą naszą drużynę harcerską strzelać. Chwyciłem pistolet, stanąłem za Tatą i wycelowałem w niego. Musiałem się spieszyć, aby Tato nikogo nie zabił, ale nie mogłem zmusić moich palców do ruchu.

Ale Tato mierzył w mały basen dla harcerzy i napełniał go wodą. Powoli odłożyłem pistolet.

Gdy Tato skończył nalewanie wody, mrugnął do mnie i pomógł mi zejść. Moi kumple harcerze z ulgą rozbierali się i wskakiwali do wody. Tato pocałował mnie, pożegnał się ze mną i odjechał, zapewne aby walczyć z kolejną demonstracją.

Zostałem w tym obozie do końca lata. Co kilka dni, Tato przyjeżdżał ze świeżą wodą i z Mamą, która tego letniego dnia niestety nie kupiła mięsa – bo zabrakło.

## In perpetuum rei memoriam

Marek Franus

Wszystko co tutaj napisałem to zaledwie 10 proc. tego co wiem o swoich przodkach i rodzinie. Wszystkie fakty mają potwierdzenie w dokumentach będących w posiadaniu członków rodziny, archiwach no i w internecie. Nie mam możliwości przedstawienia zdjęć i rysunków a trochę się tego zachowało. Nie wystarczyło także miejsca na rodzinne wspomnienia, opowieści i anegdoty. Mam jedynie nadzieję, że ten kto to przeczyta nie będzie miał wątpliwości skąd jestem i dlaczego TU jestem. Zaczynamy.

Rok 2001. W Tarnobrzegu spotykają się po raz pierwszy potomkowie (w tym ja) Marcina Kalicińskiego herbu Prawdzic, mojego praprapradziadka. Do tego czasu moja wiedza o przodkach kończyła się na dziadkach, a tu, proszę, zjechało się kilkadziesiąt osób, a ja odbyłem podróż w przeszłość, aż do czasów Augusta III!

Ale po kolei.

Marcin Kaliciński (1790-1887) mieszkał w Morawicy k. Krakowa, ale po utracie majątku (prawdopodobnie za udział syna, Wojciecha, w Powstaniu Styczniowym) udał się na służbę do hrabiów Tarnowskich w Dzikowie (obecnie dzielnica Tarnobrzega). To tu, jego syn, Wojciech (1841-1900), był przez 30 lat zarządcą dóbr hrabiów Tarnowskich. Mieszkali razem w majątku Wymysłów. Wojciech w 1870 r. ożenił się z Marią Protschke z którą miał dziesięcioro dzieci, w tym najstarszą córkę Antoninę (1871-1938), moją prababcie. Zarówno Wojciech wraz z ojcem Marcinem, jak i jego teściowie mieszkali razem w majątku Wymysłów (obecnie dzielnica Tarnobrzega) i zostali pochowani na cmentarzu, (obecnie to zabytkowa nekropolia) w Miechocinie (dzielnica Tarnobrzega). Na grobie Wojciecha stoi pomnik ufundowany przez hr. Tarnowskiego z takim oto epitafium: „Długie lata dzielnie pracował w Dobrach Dzikowskich. Zjednął sobie serca wszystkich. Głęboki żal i najlepszą pamięć po sobie zostawił. Wieczne odpoczywanie racz dać mu Panie. Jego wspomnieniu ten pomnik postawił Zdzisław Tarnowski?”.

W tym czasie, w sąsiednim majątku, w Przeclawiu, zarządcą gorzelni hr. Reya (sic! tych Reyów) był Stanisław Cisowski (1861-1918) herbu Jastrzębiec. Tak jakoś się stało, że ów Stanisław i Antonina (najstarsza córka Wojciecha) zostali wyswatani i w 1891 r. wzięli ślub. Podobno hr. Tarnowski udostępnił im swój pałac w Dzikowie na wesele. Mieli sześcioro dzieci. Antoninę (ur. 1892), Stanisławę (ur. 1901), Czesława (1895 – 1923), Józefa (1897-1962), Ludwika (1899-1940) i Kazimierza (1898-1976).

Czesław – żołnierz Legionów Polskich, internowany w Talaborfalva, pochowany w Przeclawiu

Ludwik – kapitan artylerii, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Zamordowany przez NKWD w Charkowie. Pośmiertnie mianowany w 2007 r. przez prezydenta RP na stopień majora artylerii. Miał dwoje dzieci.

Józef – mój dziadek. Ożenił się z Janiną Diaczyszyn i zamieszkał w domu teścia w Lubaczowie. Dom ten istnieje do dzisiaj i mieszka w nim jego wnuczka z mężem. Był wielkim

patriotą i nieźle musiał zależeć za skórę władzy ludowej skoro posiedział trochę w więzieniu, a na prośbę córki (mojej ciotki) IPN przysłał nieźły elaborat o jego „szkodliwej” działalności.

Kazimierz – chyba najciekawsza postać z tej rodziny, znany mi ze wspomnień. Miał przed wojną sklep odzieżowy na ul. Długiej w Krakowie a mieszkał tuż obok Nowego Kleparza. Często tam bywałem. Nieprzejednany piłsudczyk. Nie można było złego słowa powiedzieć o Naczelniku, którego portret zajmował pół ściany w pokoju. I oczywiście brał udział w budowie Kopca Piłsudskiego. Zatrzymam się trochę dłużej przy tej postaci, bracie mojego dziadka ze strony matki.

Otóż, w czasie spotkań rodzinnych miał zwyczaj pokazywać jakiś pożółkły papier twierdząc, że jest to dokument potwierdzający szlacheckie pochodzenie rodziny Cisowskich herbu Jastrzębiec. Problem polegał na tym, że ów dokument był spisany po łacinie i nikt nie potrafił go przetłumaczyć, nawet łacinnicy. Dopiero pewien profesor z Uniwersytetu Poznańskiego wraz ze specjalistą od średniowiecznej dyplomatyki zgodzili się, po znajomości, wziąć to na warsztat. Okazało się, że ten tekst jest napisany barokową łaciną. Tutaj zacytuję ich komentarz: „Składnia jest strasznie zagmatwana, orzeczenie do podmiotu pierwszego zdania znajduje się gdzieś pośrodku strony. Podobnie jest ze zdaniem następnymi.”

I czegoż z niego się dowiadujemy? Otóż, niejaka Justyna z Reklewskich, druga żona (ślub w 1739 r.) Jana Cisowskiego (pierwsza zmarła) domaga się sądownie uznania ich dwóch synów, Józefa i Ignacego Cisowskich, za szlachciców, co Cesarsko-Królewski Sąd Szlachecki potwierdził we Lwowie w 1782 r.

W piśmie tym jest także napisane, że Jan Cisowski herbu Jastrzębiec był skarbnikiem trembowelskim, który to tytuł nadał mu król August III. W 1752 r. został prawem zastawnym właścicielem Harklowej k. Nowego Targu (jest nawet o tym wzmianka w Wikipedii), a w 1766 r. dóbr Zbydniów w okręgu bocheńskim. Ergo, należy przypuszczać, że ten, który chwali się owym dokumentem jest potomkiem Jana i Justyny Cisowskich, tylko nie wiadomo, czy od Józefa czy od Ignacego, bowiem zrobiła się luka w drzewie genealogicznym.

Jeszcze kilka słów o pierwszej żonie Jana Cisowskiego, Jadwidze z Kosińskich herbu Rawicz (prawdopodobnie córka albo wnuczka Andrzeja Kosińskiego, podstarosty i sędziego grodzkiego trembowelskiego). Zmarła bezdzietnie w Harklowej w 1762 r. i została pochowana w bazylice klasztoru w Kalwarii Zebrzydowskiej w kaplicy Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Marii. Tam też pochowany jest Jan Cisowski, o czym świadczy epitafium wraz z jego portretem. Był on też hojnym darczyńcą. Bractwu Niepokalanego Poczęcia ofiarował 6000 złp. Dla porównania Mikołaj Zebrzydowski uposażył klasztor roczną kwotą 400 złp.

Powróć jeszcze do rodziny mojej babci ze strony matki, Janiny Cisowskiej de domo Diaczyszyn. Jej panięńskie nazwisko sugeruje pochodzenie ukraińskie, bowiem jest często spotykane za naszą wschodnią granicą a i Lubaczów, gdzie mieszkała jest niedaleko od granicy polsko-ukraińskiej. Jej brat, Jerzy Diaczyszyn, w czasie wojny walczył w partyzance a po zakończeniu wojny nie ujawnił się, tylko w dalszym ciągu tułał się po lasach walcząc tym razem z władzą komunistyczną. Dzisiaj takich ludzi nazywamy Żołnierzami Wyklętymi. Pewnej nocy przyszedł do domu, wziął trochę rzeczy i tyle go widziano. Dopiero na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jego bratanek słuchając Wolnej Europy usłyszał głos stryjka. Tym sposobem rodzina dowiedziała się, że Jurek wyjechał do Niemiec i zatrudnił się w RWE. Przez długi czas, z oczywistych względów, była to pilnie strzeżona rodzinna tajemnica. Tam, w Monachium, ożenił się z Polką i miał dwoje dzieci, Krystynę (psycholożka, terapeutka, malarka) i Zbigniewa (nauczyciel, dzieci w szkole zwracały się do niego „Herr Dia”, zmarł na

raka). Natomiast siostra mojej babci (Zuzanna) była prezeską banku w Makowie Podhalańskim i wyszła za mąż za Stefana Biedrawę, uczestnika walk o Monte Cassino. Po kilku kieliszkach miał zwyczaj śpiewać swoim tubalnym głosem (a był słusznej postury, z zawodu masarz) „Czerwone maki na Monte Cassino”. Jego życiorys i szlak bojowy można przeczytać w internecie.

Tak w skrócie wygląda moja historia po kądzieli. A po mieczu niewiele wiem, bowiem dotarłem tylko do dziadków. Być może z powodu tego, że byli „nieherbowi” i nie zachowały się źródła pisane. Zarówno dziadek, Bernard, jak i babcia Paulina, pochodzili z Radymna. Ślub wzięli w 1916 r. i nawet zachowała się fotografia ślubna zrobiona w Przemyślu. Dziadek był wtedy ułanem w c.k. armii Austro-Węgier i służył w Wiedniu. Pamiętam, że zawsze marzył o tym, by jeszcze raz zobaczyć Wiedeń. Niestety, nie dane mu było to. Po II wojnie światowej zorganizował grupę kilkudziesięciu rolników i razem pojechali zasiedlać Ziemie Odzyskane na Dolnym Śląsku. A ponieważ żaden był z niego rolnik, więc po kilku latach wrócił z babcią i zamieszkali w Przemyślu, moim rodzinnym mieście. To, że nie było kontaktów z tą gałęzią rodziny wynika prawdopodobnie z tego, że poszło o nieprzekazanie obiecanego posagu. I ta zadra trwała tyle lat.

I takie oto są moje korzenie. Opisałem je w wielkim skrócie, pomijając wielu członków rodziny i różne opowiadki i anegdoty rodzinne nie mające umocowania w źródłach. Jak widać, jestem wpisany w Galicję. Terytorialnie, genealogicznie, mentalnie i genetycznie. I nikt mnie stąd nie wykurzy. Czuję tę ziemię, rozumiem tutejszych ludzi i tutejszą kulturę. Jestem też wdzięczny antenatom, że przekazali nam dobre geny, dzięki którym żyjemy długo i w zdrowiu.

Osobne podziękowania należą się ś.p. Andrzejowi Łempickiemu, który chociaż nie był członkiem rodziny (był mężem Urszuli z domu Pischinger, prawnuczki Wojciecha Kalicińskiego) oraz Jackowi Kalicińskiemu (ostatni noszący to nazwisko), którzy poświęcili czas i energię, by pamięć o naszych przodkach nie została zapomniana.

## Utracony świat dzieciństwa

Zuzanna Łuczak

Kiedy tylko w szkole nauczyciele historii opowiadali o czasach po II Wojny Światowej, zawsze ciekawiła mnie historia mojej rodziny, jak ona wtedy funkcjonowała w tak ciężkich czasach. Zaczęłam wtedy czytać książki, które piszę mój wujek Czesław Hajduk, o tematyce osobistych przeżyć XX wieku. Wtedy zaczęłam jeszcze bardziej interesować się jego życiem, które było bardzo ciekawe. Wujek Czesiek urodził się na terenie powiatu Wołóżyńskiego na Nowogródzczyźnie 10 marca 1932 r. we wsi Bajrasze. Kiedy skończył sześć lat zaczął uczęszczać do szkoły we wsi Ługomowicze. Tam po raz ostatni oglądał wojsko Rzeczypospolitej Polskiej, którzy byli żołnierzami Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP-U), gdzie po agresji Związku Radzieckiego na Polskę stoczyli krótką bitwę i podążali w kierunku Wilna, razem z rannymi kolegami, których miejscowi żegnali płaczem. To wspomnienie opisał jako pierwsze i zostało ono wydrukowane w miesięczniku „Jaworzniacy”. Przez cały czas sowieckiej okupacji nasza rodzina żyła pod groźbą zesłania na Syberię lub do Kazachstanu. Pod panowaniem sowieckim znajdował się dwukrotnie w latach 1939-1941 i 1944-1945. Wcześniej dowiedział się o ludobójczych zbrodniach Sowietów oraz zrozumiał że komunizm to chorobliwy wytwór wyobraźni, który zmierza do całkowitego zniewolenia ludzkości.

Mój pradziadek, który współpracował z akowskim podziemiem podczas okupacji niemieckiej czasem wysyłał swojego syna czyli Czesława Hajduka z jakimś zaszyfrowanym przekazem do kogoś z siatki konspiracyjnej. Wtedy poznał polityczną sytuację Polski i meandry pracy konspiracyjnej. W owym czasie był również świadkiem eksterminacji Żydów. Chociaż był jeszcze małym dzieckiem.

W 1946 uczęszczał do klasy szóstej w szkole białoruskiej w Iwju jednak w kwietniu tego samego roku w ramach tzw. „repatriacji” został razem z rodzicami przesiedlony do ówczesnej Polski. Zamieszkali najpierw w Sulęcinie gdzie w ciągu 2 miesięcy zdołał ukończyć I klasę gimnazjum a, a we wrześniu przeprowadził się do Warszkowa koło Sławna na Pomorzu Środkowym. Tam uczęszczał do gimnazjum w Sławnie.

W 1948 r. będąc uczniem III kl. gimnazjum z inicjatywy kolegi zaczął organizować konspiracyjną Polską Organizację Wojskową (POW), która miała ujawniać sowieckie zbrodnie, wychować młodzież w duchu międzynarodowego harcerstwa, przeciwstawiać się sowietyzacji naszego kraju oraz miała przygotować do zbrojnego wystąpienia przeciwko sowieckiej okupacji w razie przewidywanej wtedy III wojny światowej. Organizacja rozwijała się dynamicznie i zaczęła przybierać charakter ogólnokrajowy. Powstało 12 placówek: w Sławnie dwie oraz po jednej w: Darłowie, Malechowie, Bobrowicach, Starym Ryszewie, Wrześnicy, Białogardzie, Elblągu, Białymstoku, Sulęcinie i Żydowie. Organizacja miała także trzech współpracowników w starszym wieku był to pewien emeryt, nauczyciel i leśniczy. Po roku działalności POW zostało zdekonspirowane. Był on wówczas uczniem IV klasy gimnazjum. Przeszedł brutalne

dziewięć miesięcy śledztwo w szczecińskim Urzędzie Bezpieczeństwa (UB). Został skazany przez wojskowy Sąd Rejonowy w Szczecinie na 10 lat pozbawienia wolności, utratę mienia i obywatelskich praw honorowych. Karę odbywał w więzieniu w Szczecinie, w Więzieniu Centralnym w Goleniowie i w tzw. Więzieniu Progresywnym w Jaworznie. Dzięki amnestii kara została skrócona. Łącznie przebywał w więzieniu 4 lata, 3 miesiące i 2 tygodnie.

Po wyjściu na wolność miał poważny problem z uzyskaniem świadectwa dojrzałości oraz prawa do studiowania. Próbował w Szczecinie ale nie dopuszczono go do egzaminów wstępnych na tamtejszą Akademię Medyczną. Dlatego przez rok czasu pracował w Zarządzie Wodno-Melioracyjnym w Sławnie na stanowisku młodszego księgowego. Dzięki pomocy ludzkiej został później dopuszczony do egzaminu wstępnego na Łódzką Akademię Medyczną. Egzamin zdał ze świetnym wynikiem, a następnie został przyjęty na Wydział Lekarski. Kiedy studia dobiegały końca wujek ożenił się z Teresą Jędrusiak, która była studentką Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi.

Zaraz po studiach i ukończeniu stażu przed dyplomowego i po dyplomowego odbył dwuletnią okresową służbę wojskową, w Mragowie na stanowisku lekarza izby chorych.

Po odbyciu służby wojskowej zamieszkał razem z żoną w Płocku, gdzie zdobył specjalizację z zakresu medycyny przemysłowej, chorób wewnętrznych i z reumatologii. Tam też przez dziesięć lat wykładał histologię na Pomaturalnym Studium Techników Analityków w Płocku.

W 1980 roku wujek Czesiek wygrał konkurs na ordynatora Oddziału Reumatologicznego w Sławnie. Kiedy wszystko szło po dobrej drodze sławieńskie czynniki polityczne przypomniały sobie że kiedyś w ich mieście Czesław Hajduk konspirował. Wtedy zaczęły się problemy z przekazaniem mu mieszkania, które wcześniej przekazała mu Miejska Rada Narodowa w Sławnie. Po roku czasu musiał zrezygnować z ordynatury w Sławnie i powrócić do pracy w Płocku, gdzie do dnia dzisiejszego mieszka i pracuje.

Po transformacji ustrojowej i politycznej zaczął się zajmować pisarstwem. Przez około 10 lat pracował społecznie w Płockim Hospicjum dla chorych w stanie terminalnym. Został prezesem Płockiego Oddziału. Oraz 19 lat działał w Związku Byłych Młodocianych Więźniów Politycznych „Jaworzniacy”. Także należy i działa w Katolickim Stowarzyszeniu Lekarzy w Płocku. Jest członkiem Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy. Otrzymał kilkanaście odznaczeń takich jak, za wzorową pracę w służbie zdrowia, za zasługi dla Miasta Płocka, Złoty Krzyż Zasługi, Order Męczeństwa i Zwycięstwa, Oficerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski.

# Pacyfikacja Poręby Dzierżnej

Magdalena Świerczek-Gryboś

Warte zapamiętania czyny i te wymagające potępienia nie działy się tylko na ulicach Warszawy czy innych miejsc wpisanych w podręczniki. Poręba Dzierżna, niepozorna małopolska wieś, symbolizuje te niezliczone punkty na mapie, których nazw nie zdawaliśmy na egzaminach, lecz niosą ze sobą nie mniejszy bagaż.

Poręba Dzierżna to urokliwa wieś ulokowana pośród pagórków i skał wapiennych gminy Wolbrom. Może się wydawać, że miejscowość ta, jak tysiące innych, znaczyła wszystko dla mieszkańców i niewiele w kontekście dziejów, jednak nie tylko pacyfikacja z 1944 roku sprawiła, że tereny te nasiąknęły krwią i naznaczone zostały walką o wolność.

Jak czytamy w tekście „Prawda o potyczce grupy Parasol” Michała Subocza, wieś znalazła się na planach grupy partyzanckiej „Parasol” dotyczących zamachu na SS-Obergruppenführera Koppego, którego dokonano 11 lipca 1944 roku, a w pobliżu postrzelono uciekinierów po nieudanej akcji. Okupanci wiedzieli więc, że na tych terenach stacjonują partyzanci.

Dnia 7 sierpnia 1944 w Porębie Dzierżnej Niemcy (żandarmi, własowcy i pilicki Motcug), po akcji stacjonujących w okolicy partyzantów, w wyniku której śmierć poniosło trzech hitlerowców, zabili około czterdziestu osób i spalili około osiemdziesiąt budynków.

W przeddzień masakry w Porębie Dzierżnej odbywał się hucznie obchodzony odpust. Wieś tętniąca życiem, szykująca się na plony, w niespełna dobę miała obrócić się w zgłiszcza. Następnego dnia zasadzających się na niemiecką ciężarówkę partyzantów zauważył czternastoletni chłopak, Czesław, który rankiem 7 sierpnia pasał krowy na skraju wsi. Spostrzegł ich również mój pradziadek, sołtys wsi Marek Świerczek, który znajdował się z synami na polu. Mniej więcej w tym samym czasie inny młody chłopak, Józef, pojawił się w dworze Siemiątkowskich, sugerując służbie folwarcznej ucieczkę z powodu możliwych reperkusji po poczynaniach partyzanckich. Pani Siemiątkowska, przekonana, że Niemcy pozostawią ich w spokoju, na zgubę pracujących w dworze nakazała pozostanie przy pracy.

Partyzanci „Tadka Białego” ostrzelali dwa pojazdy niemieckie i zabili trzech z podróżujących. Zbiegli Niemcy dotarli wkrótce do Wolbromia i zameldowali Żandarmerii Niemieckiej o napadzie. Natychmiast podjęto decyzję o odwecie i „przykładnej” karze dla Poręby Dzierżnej oraz wezwano posiłki z Pilicy do walki z „polskimi bandytami”. Wieś otoczono i na sygnał z karabinu maszynowego przystąpiono do działań. Zaalarmowani mieszkańcy, według słów Mieczysława Pandela, ostatniego żyjącego świadka wydarzeń, rozpieczęli się niczym stado naganianych na polowaniu saren.

Gdy minęło południe, z dworu zgarnięto służbę folwarczną i rządcę oraz Siemiątkowską z nastoletnim wnukiem Andrzejem. Zabudowania dworskie podpalono, wkrótce płonąła cała „wielka” wieś, przez którą przepędzono mieszkańców, a na miejsce egzekucji – pod stodołę Jana Laskowskiego – poprowadzono kilkudziesięciu mężczyzn. Po segregacji (rozkaz dotyczyć

miał rozstrzelania 40 mężczyzn, a było ich około 60, hitlerowcy więc wybrali młodszych) ofiary zostały ostrzelane i pozostawione pod płonąca stodołą. Ocalało trzech. W tym mój pradziadek, który tuż przed egzekucją rzucił się do ucieczki.

Z relacji samego pradziadka, którą można znaleźć w publikacji okolicznościowej „Są miejsca, czasy i ludzie, o których się nie zapomina”: „(...) Około 11 usłyszałem strzały od strony Wolbromia i Udorza (...). Wypuściłem krowy i konia, a następnie schowałem się w piwnicy. Stamtąd zabrali mnie Niemcy (...). Przeprowadzono nas pod Franciszka Struzika, po jakimś czasie Niemcy kazali mężczyznom ustawić się dwójkami i zaprowadzili nas pod stodołę Laskowskiego. Zauważyłem, że jeden z trzech hitlerowców szykuje pistolet do strzału. Wtedy zerwałem się do ucieczki. (...) W czasie skoku zostałem ranny w nogi. Nie mając siły dalej uciekać, dostałem się za stodołę i ukryłem obok ustępu za brogiem słomy. Gdy bróg zaczął się palić, przeczolgałem się w ziemniaki, gdzie doczekałem odjazdu Niemców”. Pradziadek był leczony w szpitalu w Miechowie przez półtora miesiąca. Eleonora Kunik podała: „sołtys Świerczek Marek o mało nie umarł z upływu krwi, ale uratowano go”.

Podobny los co sołtysa spotkał drugiego uciekiniera, Kazimierza Głanowskiego – postrzelony w nogę ukrył się i założył sobie prowizoryczny opatrunek; Stanisław Mazur cudem przeżył ostrzał pod stodołą i w płonącej marynarce umknął nie tylko Niemcom, ale i psom policyjnym, które odpędził, zrzucając swoje płonące ubrania.

Z relacji Eleonory Kunik wiemy, że gdy strzały ucichły, „zdecydowałam się iść do wsi (z plebanii). Wyszedł ze mną ks. Dubiel. Wokół panowała śmiertelna cisza. Usłyszeliśmy nagle strzał. To był ostatni strzał, jaki oddali Niemcy w tym dniu w Porębie. Od tego strzału zginął Piotr Liszka, zginął na zagonie przed swoim domem”.

Mówiła również: „Patrzę, a Świerczkowa z dziećmi siedzi pod wierzbą na łące, a od góry leci Niemiec. (...) Niemiec kładzie się przy sadzawce i do nich celuje, a ona miała obraz Świętej Rodziny i trzymała go przed sobą. Jak on zobaczył ten obraz, to poszedł. Zapalił stodołę u nas, jak i u Świerczka (...)” Według Sobocza podczas selekcji z grupy przeznaczony na śmierć wyciągnięto brata sołtysa, Jana, a na jego miejsce postawiono młodszego rolnika. Zamordowani zostali pochowani we wspólnym grobie na parafialnym cmentarzu. Niemcy przyjeżdżali jeszcze przez dwa tygodnie, by rabować majątki pomordowanych.

Według artykułu „Gdyby nie ten chłopski upór” Hanny Smolańskiej z lat 80., w 1983 roku odznaczono wieś, a wraz z nią Świerczka. „Dla niego to, co wydarzyło się 44 lata temu, to nie była historia. To prawie wczoraj, nie może się od tego uwolnić”.

Czy w ogóle możliwe jest uwolnić się od przeszłości, zwłaszcza gdy zadziała się w niej krzywda?

W historii naszego kraju wielokrotnie spotykaliśmy się z bestialską pacyfikacją, z próbą wymazania całego naszego narodu, jak i naszych niewielkich światów – pustoszonej miejscowości. Niektórzy jednak przetrwali i dziś możemy nieść dalej bezcenną pamięć.



# Pamięci Henryki Kubajek

Ilona Misztal

„Nie ma nic za darmo. Chcesz żyć – płuć” z trudem szeptała ciotka Rysia. Była wiosna 2015 roku, miała 86 lat i leżała z ciężkim zapaleniem płuc na oddziale pulmonologii szpitala w Zielonej Górze. Przez uszkodzone struny głosowe mogła posługiwać się wyłącznie szeptem.

Jedyną siostrę mojego ojca rzadko widywałam. Do Zielonej Góry, gdzie mieszkała z matką i mężem, trzeba było tłuc się pociągiem prawie 500 kilometrów. W dodatku moi rodzice mieli ze sobą na pieńku, a mama miała na pieńku również z teściową. Nic dziwnego, że przez to wszystko w ciągu całego mojego dzieciństwa, tylko dwa, może trzy razy pojechałam do Zielonej Góry. W tym jeden raz z ojcem.

Było fajnie. Jeszcze zanim wsiedliśmy do pociągu okazało się, że ojciec ma wyraźną ochotę wynagradzać mi finansowo swoje ojcowskie niedociągnięcia, a ja byłam gotowa skwapliwie z tego korzystać.

Dla mnie, siedmiolatki z małego miasteczka w Polsce B, Zielona Góra wydawała się wielką metropolią. Zielonogórskie mieszkanie też było w moich oczach o niebo elegantsze niż nasze zabałaganione dwa pokoje w starej kamienicy, z wejściem przez kuchnię. Do tej kuchni ciągle ktoś wpadał i wypadał, rozmaite ciotki i sąsiadki przylatywały po to czy tamto, za każdym powitaniem i pożegnaniem chwytając mnie w objęcia mocno woniejące tym, co akurat miały w garach. A Zielona Góra pachniała Zachodem.

Babcia Maria sprawiła na mnie wrażenie dość ekscentrycznej osoby. Koło siedemdziesiątki, uznawszy, że dość się już nachodziła, postanowiła dalsze lata spędzić w łóżku. Od tamtej pory prawie nie wstawała, i - rozsiewając wokół siebie intensywny zapach Fitolizyny – spędzała czas wyszywając makatki i wojując ze swoim zięciem. Jej zachowanie było dla mnie krzepiącym przykładem, że jeżeli się czegoś naprawdę chce, to trzeba to robić.

Trochę mi było szkoda lysego jak kolano wujka Mietka. Pięknie zaciągał, chociaż w inny niż babcia sposób: ona pochodziła z Turki w powiecie stanisławowskim, on był „Wilniukiem”. W młodości bił Niemca w szeregach Armii Ludowej, a po wojnie pracował w milicji, na jakimś mętym „stanowisku technicznym”. Z tejsze milicji został pod koniec lat sześćdziesiątych wyrzucony na emeryturę za ślub kościelny z ciotką i od tamtej pory wiódł beztroski żywot męża swojej żony. Wypuszczał się na grzybobraniu i ryby, miał akwarium, zabawiał się metaloplastyką i doskonale gotował. Nie miałam pojęcia, dlaczego babcia była dla niego taka okropna.

Codziennie słowne przepychanki między nimi były dla mnie i ojca źródłem nieustannej, choć skrzętnie ukrywanej wesołości. Już od śniadania czekałam, co też znowu wytrzasną – w moich oczach ta dwójka odgrywała w zielonogórskim domu rolę komediowe. Inaczej sprawy się miały z ciotką. Ciotka budziła mój podziw.

W tamtych kolorowych latach siedemdziesiątych była dość korpulentną kobietą o papuzim profilu, niewysoką, zawsze starannie ubraną i uczesaną. Pod wpływem odjechanej mody epoki zdarzało jej się wcisnąć bujne kształty w jakieś ukwiecone spodnie, ogólnie jednak prefe-

rowała styl ponadczasowy i elegancki. Solidny wizerunek sugerował, że para się poważnym i nudnym zajęciem i rzeczywiście tak było: pracowała jako główna księgowa. Wyszła za mąż w kwiecie staropanieństwa, po czterdziestce, rozczarowując tym posunięciem matkę, która stwierdziła, że ona sama „mając posiadę” nawet by o zamążpójściu nie myślała. Była jedyną bezdzietną kobietą, jaką wtedy znałam, chodziła do kosmetyczki, dużo czytała i zabierała mnie do zielonogórskiej palmiarni. Zwracając się do mnie, używała wołacza i potrafiła kogoś zrugać w ogromnie kulturalny sposób.

Jednak w 2015, w szpitalu, nie wyglądała jak przedwojenna paniusia. Przypominała raczej zdezorowanego ptaszka zamotanego w gniazdo z pościeli. Była ostatnią żyjącą przedstawicielką rodziny ojca, wątłym ogniwem łączącym moje pokolenie z Turką i Samborem, ostatnią, która przechowywała w pamięci skomplikowane koligacje i anegdotyczne opowieści o charakternych przodkach. Bez niej nie wiedziałam, kto z Czyżewiczów, roześlony na syna – emigranta, który w emigracji w Kanadzie zmienił nazwisko, listy do przენiewierczego potomka zaczynał zawsze od: „Ty łotrze Adamsonie”. Nie byłam w stanie przypomnieć sobie imienia ukochanego brata babci Marii, wysadzonego na froncie I wojny światowej tak dokładnie, że nie został z niego nawet strzępek odzieży. I nie pamiętałam szczegółów historii o niekonwencjonalnej krewnej – nauczycielce, która poślubiła młodszego o dziesięć lat inżyniera. Zdaje się, że związek był udany, tylko kiedy „wizytowali”, zwykła była oznajmiać, iż „przywiozła gówniarza”. Chciałam, żeby się uspokoiła. Chciałam, żeby uwierzyła w darmowe prezenty od losu. Między nią a moim ojcem (nazywała go „Jerzykiem”) była niewielka różnica wieku, rok bez dwóch dni. Kochali się, ale ich relacje było skomplikowane. Rzadkie spotkania traktowali jak okazję do naparzania się w intelektualnym ringu: jedno drugiemu próbowało udowodnić ignorancję.

Ojciec trochę pokpiwał z jej przyziemnego zajęcia i pewnej ostrożności w życiu i poglądach. Nie rozumiał jak można dzień w dzień zajmować się przechodami i rozchodami. On kochał matematykę. I fraktale. Za pomocą komputerowej magii, która miała coś wspólnego z matematycznymi równaniami, rozmnażał te mandelbrotowskie cuderka na ekranie. Matematykę (i fraktale) postrzegał jako coś w rodzaju „opisania świata” – mnie przypominały misterna, egzotyczna roślinność wijąca się skomplikowanymi esami floresami po ramach secesyjnych luster.

Podejrzewam, że ciotka nie miała pojęcia o fraktalach. A na pewno nie przyszłoby jej do głowy myśleć o nich w kontekście losów ich rodziny: małego fraktala wojennych losów wielu polskich rodzin z Kresów.

Mój dziadek, Stanisław August, policjant, 17 września 1939 roku przedarł się na Węgry. Internowany w Obidzie, został tam pochowany po tym jak w 1943 roku zmarł na serce. Rodzinna anegdota głosi, że zgon nastąpił w trakcie gry w pokera, ale chyba nie należy jej wierzyć. Czy przegrana w karty rzeczywiście mogła nim wstrząsnąć bardziej niż nieliczne, pokreślone przez sowiecką cenzurę listy Jerzyka z zesłania w Kazachstanie, w których syn skarżył się na głód i zimno?

Wszystkie te listy przepadły, tak i cały skromny dobytek dziadka, który posiadał na Węgrzech. Zachowały się natomiast listy wysyłane przez Stanisława Augusta do żony i dzieci przebywających w kołchozie Krasnyj Oktiabr. „Listy” to zresztą za dużo powiedziane: ot, kartki rozmiarów pocztówki, bez koperty. Tyle zostało po Stanisławie: kilka niewyraźnych zdjęć i te czarne od cenzorskich interwencji, zapisane kaligraficznym piśmem karteluski.

Kiedy po śmierci ciotki porządkowaliśmy jej mieszkanie, znalazłam publikację Uniwersytetu Zielonogórskiego z 2012 roku, zatytułowaną: „Matki Sybiraczki, losy i pamięć”. To opracowanie stricte naukowe, które na podstawie relacji świadków i uczestników tamtych wydarzeń buduje

obraz losów polskich kobiet i dzieci zesłanych w głąb ZSRS podczas II wojny światowej. Skromną książeczkę otworzyłam bez szczególnych emocji, przerzucałam strony czytając na chybił trafił relacje, jakich mogłam się spodziewać: o ciężkich warunkach, głodzie, chorobach i umieraniu.

I nagle jakieś jedno słowo, jeden obraz otworzyły śluzę międzypokoleniowej pamięci i widziałam już nie opisywaną przy pomocy liczb i historycznych faktów masową wywózkę, ale drewniany domek w Turce i bandę „kałmuków” w środku kwietniowej nocy walących karabinami w drzwi. I „kipiatok” – wrzątek wydawany w pociągu, który wioził Marię, Jerzyka i Rysię w nieznaną. Rudolfa, dwulatka który głośno domagał się swojego nocniczka, ponieważ bał się załatwiać do dziury w podłodze. I jak Jerzyk i Rysia razem płakali, kiedy on zjadł swoją i jej kromkę chleba, zapłatę za dzień pracy obojga. Tyfus i pobyt w radzieckim szpitalu, który Jerzykowi wydał się istnym rajem: trzy posiłki dziennie i prawdziwe łóżko, co prawda dzielone z innym chorym, ale czyste. To ich przeżycia, ich wspomnienia, ale - osiadłe w mieliznach pamięci genetycznej – do dziś wpływają na kształt moich lęków.

Marii się poszczęściło. Wrócili – chodzące trupy w zawszonych strojach uszytych z UNNR-owskich koców, dzieciom z niedożywienia chwiała się wszystkie zęby, Rysia przestała rosnąć – ale żywi i w komplecie. Tyle tylko, że już nie do domu.

W Zielonej Górze, dokąd ich (znowu) przesiedlono, szukali kamienicy z porządną bramą, żeby nie dali jej rady wyważyć pijani Ruscy żołdaci. W akcie „łaskawości” ludowa ojczyzna przydzieliła im mieszkanie komunalne, do którego dokwaterowano wojskowego natychmiast po wyjeździe Jerzyka na studia.

Żyli biednie: Maria nie mogła utrzymać się w żadnej pracy, a po przedwojennych policjantach, „sługusach sanacji”, renta się nie należała. Rysia jak i Jerzyk świetnie się uczyli – niestety, bo matka musiała wybrać, które z nich pójdzie na studia. Nauczyciel z przyspieszonych kursów licealnych radził wysłać syna, a „dziewczynę szybko wydać za mąż”. Rysia z bijącym sercem podsłuchiwała pod drzwiami jak ktoś rozstrzyga o jej przyszłości. Postanowiła, że da sobie radę.

W kwestionariuszu na studia, w rubryce „zawód ojca”, Jerzyk wpisał „urzędnik państwowy”.

Rysia po maturze poszła do pracy. Utrzymywała matkę i brata. Doksztalcała się i awansowała. Długo nie wychodziła za mąż. Nie miała dzieci. Latami wysyłała pocztą swojemu Jerzykowi starannie zapakowane ciasta domowej roboty.

Wtedy, w szpitalu, udało mi się ją uspokoić. Z szufladki stolika nocnego wyciągnęłam legitymację kombatancką – Jeżeli ktoś zażąda od cici zapłaty, proszę mu to pokazać – powiedziałam – i powiedzieć, że wszystko jest już zapłacone.

Rysia umarła w listopadzie 2017 roku. W grudniu urodziła się moja wnuczka.

Na obidzkim cmentarzu, na płycie nagrobnej Stanisława Augusta umieściliśmy napis: „Tutaj zostałeś, w nas przetrwałeś”.

## Stąd jestem

**Agnieszka Kaufka-Zalewska**

Moja babcia, Kordulka, była wyjątkowa, niezwykła, po prostu zjawiskowa. Kobieta urodzona w 1929 roku, która jako mała dziewczynka przeszła drugą wojnę światową. Wychowywała się w domu pełnym kobiet, u boku trzech siostr, ciężko pracując od dziecka na gospodarstwie.

Pamiętam ją właśnie jako niebywale pracowitą i silną, ale jednocześnie niesłuchanie ciepłą i opiekuńczą osobę. Dla mnie, małej jeszcze wtedy dziewczynki, była zwyczajnie ukochaną babcią, która przytuliła, powiedziała dobre słowo, czasem zganiała, ale w dobrej wierze, ugotowała pyszny rosół, upiekła drożdżówkę, po prostu była. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, jakie mam szczęście, że ją w ogóle mam. Nie zdawałam sobie jeszcze wtedy sprawy, jak ważną osobą dla mnie będzie, jaki będzie miała na mnie wpływ.

Każde lato spędzałam u dziadków na wsi, bawiąc się, jeżdżąc na traktorze, skacząc na sianie, ganiając kaczki i kury, głaszcząc konie i mięciutki króliczki, pijąc mleko prosto od krowy, zrywając truskawki i porzeczki, po prostu sielankowo, ale i ucząc się pracy na gospodarce. Na szczęście dziadkowie nie mieszkali daleko, więc oprócz wakacji odwiedzaliśmy ich w każdy weekend.

Rozwinęła się między nami cudowna więź. Byli dla mnie więcej niż dziadkami, bardziej może rodzicami, bo to oni próbowali mnie ukształtować, mieli w sobie więcej wyrozumiałości i dojrzałości niż moi młodzi dwudziestoletni rodzice. Na dziadków zawsze patrzyłam oczami pełnymi uwielbienia. Traktowali siebie nawzajem z szacunkiem, lubili się, byli zgodną parą. Moja babcia jako kobieta była dla mnie wzorem do naśladowania. Niby małego wzrostu, delikatna, wrażliwa, ale jednak niezwyknięta, nieustraszona, bardzo rezolutna.

Miałam 17 lat, kiedy zmarła. Była więc obok mnie całe moje dzieciństwo i nastoletniość. Mogłabym uznać, że zdążyła mnie wychować, ukształtować i że już w tym wieku jej strata będzie bolała mniej, ale może właśnie dlatego bolało jeszcze bardziej, bo dopiero wtedy zrozumiałam, że straciłam najbliższą mi osobę, którą kochałam, jak nikogo innego i której ciągle jeszcze, mimo zbliżającej się pełnoletności, potrzebowałam.

Kiedy dziś przywołuję jej obraz w mojej pamięci, to widzę elegancką kobietę, dla której wygląd zawsze miał znaczenie, mimo że całe życie mieszkała na wsi, pracowała na gospodarstwie i nie musiała się na co dzień stroić, to powtarzała: “pamiętaj, że kobieta powinna zawsze przywiązywać wagę do nienagannej fryzury, gustownej torebki i czystych, eleganckich butów”.

I właśnie taką ją noszę w sercu - wyfryzowaną, w garsonce albo sukience z uroczą torebką i w stylowych butach na obcasie. Niestety nie odziedziczyłam tyle gracji, co miała ona, ale kiedy szykuję się do wyjścia z domu, to stale jej słowa dźwięczą mi w uszach, więc zanim wyjdę przynajmniej się uczeszę, schludnie ubiorę i przetrę tenisówki...

Babcia imponowała mi swoimi talentami. Potrafiła nie tylko świetnie zająć się domem, gotować, robić przetwory, ale też doskonale szyła na maszynie, udzielała się w swojej małej

wiejskiej społeczności, była aktywna w różnych kółkach zainteresowań. Dodatkowo mówiła biegle po niemiecku, była oczytana, inteligentna, miała bardzo silne własne zdanie, była pewna siebie, ale też niesamowicie towarzyska, życzliwa i uczynna. Patrzyłam na nią z wielkim zainteresowaniem.

Wydawała się jakby bez wad. Często się zastanawiałam, skąd ona bierze tę siłę i jak ona to robi, że wszyscy ją lubią? Skąd bierze w sobie tyle dobroci?

Zawsze walczyła jak lwica o swoją rodzinę, była bezkompromisowa. Często się z nią nie zgadzałam i czasem “tupałam ze złości nóżką”, a ona przyjmowała wszystkie zdarzenia takimi, jakimi były, płynęła na “fali życia”. To tylko ja wtedy tego nie rozumiałam i jak nieopierzony kurczak protestowałam wobec przeciwności losu, a ona była z nimi pogodzona i co najwyżej szukała możliwych rozwiązań. Chciałabym umieć tak jak ona bez agresji, pretensji i żalu godzić się z każdym dniem. A może ona tylko tłumila swoją złość i jak dama jej nie okazywała? Może to wygłuszanie emocji wpędziło ją w choroby i ostatecznie zabiło?

No i może mój bunt i niezgoda wcale nie były aż tak bez sensu???

W tamtych czasach okazywanie emocji nie było w cenie. Liczyła się pewna poza, nie tylko przed „obcymi”, ale także przed tymi „swoimi”. Dopiero teraz na zdjęciach widzę, jak moja ukochana babcia zaciskała pięści w swoich ostatnich latach życia i domyślam się, że chodziło o ból, którym nas nie chciała obarczać. Ja byłam najpewniej jeszcze za małą, żeby zrozumieć. Natomiast jej córka, a moja mama, miała już swoje własne małżeńskie problemy. Dziś ta świadomość, że moja najdroższa babcia była ze swoim cierpieniem sama, bardzo mnie kłuje, a jednocześnie jestem pełna podziwu dla jej niestrudzonego poświęcenia. Mimo zdrowotnych perturbacji każdego dnia co rano jechała rowerem przez las, żeby dostać się do sąsiedniej miejscowości, do naszego domu i zaopiekować się moją małą siostrą lub mną, kiedy byłam chora. O sobie zawsze myślała na końcu. Rzadko odpoczywała, a przecież na starość powinna była odsapnąć po ciężkiej pracy na roli, po wychowywaniu dwójki swoich dzieci, opiekowaniu się całe życie niepełnosprawnym bratem swojego męża i jeszcze opieką nad wnukami. Tylko że dla niej nie jej wychnienie się liczyło. Zawsze był przecież ktoś ważniejszy w potrzebie, komu to właśnie ona musiała pospieszyć z pomocą. Stale mawiała: “zdążę jeszcze odpocząć po śmierci”...

Żałuję tylko, że o tyle rzeczy nie zdążyłam jej zapytać, poradzić się, dowiedzieć się czegoś więcej o jej rodzicach, dziadkach, o moich przodkach, porozmawiać o doświadczeniach wojny. W okresie mojej młodości to były niestety albo tematy tabu, albo rozmawiało się po prostu o czymś innym, a teraz nie mam już kogo zapytać... Przeglądam stare zdjęcia i nie rozpoznaję wielu osób ani miejsc. Chciałabym pobiec do babci i zapytać: “a kto tam stoi obok Ciebie?”, „a co to za uroczystość”? Czasem tak bardzo bym chciała zapytać ją o zdanie, poprosić o radę, albo zwyczajnie znów zagrać z nią w karty... Tak bardzo mi jej brakuje. Po 25 latach ja wciąż za nią tęsknię...

## Z miłości do słowa

Dominika Tkaczyńska

Kwestie krewnych zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie. Słuchając opowieści minionych lat, czy oglądając zdjęcia z rodzinnego albumu, bardzo trudno jest żywić emocje wobec postaci, której nie mieliśmy okazji poznać. Niezwykle rzadko mamy możliwość aby członkowie rodziny, których pośród nas już nie ma, przedstawili nam się w pierwszej osobie. Za życia nie zaprzętałyśmy sobie głowy tym, że wiele lat po naszym odejściu znajdą się osoby, które zapytają o naszą historię. Nieświadomie powierzamy to zadanie innym, bezgranicznie ufając, że choć w niewielkim stopniu przybliżą prawdę o nas. Ja jednak otrzymałam taką szansę dzięki Pamiętnikom Chłopów, dokładnie Pamiętnikowi nr 9, wydanemu w roku 1935, który został napisany przez Bolesława Soleckiego, dziadka mojej babci, a mojego prapradziadka. Dzięki tym wspomniałym zapiskom, wspólnie z moim przodkiem mam możliwość opowiedzieć jego historię.

Dziadek Bolek, bo tak nazywamy go w rodzinie, pochodził z Pajęczna, a z zawodu był stolarzem. Jednak to, co wyróżniało go na tle innych, to fakt, że odkąd tylko nauczył się liter, uwielbiał zarówno czytać, jak i zapisywać własne przemyślenia. „Piszę, co mnie uczyli pisać abym pisał, a czytać abym czytał” – podsumowuje swoje zainteresowanie w Pamiętnikach. Był niezwykle obserwatorem świata, miał wyjątkowy dar doszukiwania się niezwykłości nawet w najbardziej trywialnych sprawach. Potrafił zatrzymać się, by spojrzeć z zachwytem na otaczającą go rzeczywistość, którą później uwieczniał wypełniając kolejne kartki zeszytów, notatników, czy listów.

Jednak nam, współczesnym czytelnikom, nie jest łatwo wyobrazić sobie jak niecodzienne było to wtedy zajęcie. Musimy więc mieć na uwadze, że przed I wojną nie było ogólnej edukacji na wsi, a wolny czas spędzało się głównie na ciężkiej pracy. „Dziadek jako jedyny prenumerował gazety – podpowiada babcia, podczas gdy ja z niedowierzaniem wyliczam kolejne enigmatyczne tytuły: „Zaranie”, „Polska Ludowa”, czy „Wiadomości Polskie” – mało kto interesował się wtedy czytaniem, mało kto w ogóle potrafił czytać”. Z tego względu wiele osób w otoczeniu Dziadka Bolka postrzegało czytanie i pisanie jako marnowanie czasu. I zdaje się, że sam Dziadek Bolek doskonale zdawał sobie z tego sprawę podkreślając w Pamiętnikach oburzenie znajomego księdza na temat jednej ze swoich prenumerat: „To pan to pismo opłaca, to nie pasuje na rzemieślnika, to tylko dla takich co to siedzą w fotelu, o nic się nie martwią”.

Niemniej ani nieprzychylnie spojrzenia społeczności, ani trudna sytuacja na polskiej wsi nie przeszkodziły Dziadkowi Bolkowi w realizacji swojej pasji. Nawet wtedy, gdy los zesłał go na koniec świata, a dokładnie do wojska carskiego w Aszchabadzie, nie porzucił swojej miłości do słowa pisanego, co opisuje w sposób następujący: „Tutaj w 1896 zaabonowałem sobie „Gazetę Świąteczną” z Warszawy i przesyłałem do niej opisy tego miasta i gór i tutejszej ludności, zarobki i ich życie. Sprowadzałem polskie książki i gazety dla żołnierzy Polaków (...) ażeby nie zapomnieli mówić po polsku”.

Mając na względzie swoje niezwykle jak na tamte czasy zamiłowanie, zdawać by się mogło, że konkurs na napisanie Pamiętników Chłopów został niczym stworzony dla Dziadka Bolka. Była to niepowtarzalna szansa, by mógł posłać swoją historię dalej. I tak oto, zapełniając kolejne kartki, zaprosił on czytelnika do swojego świata, na polską wieś, począwszy od roku 1872, powoli odkrywając jej radości i troski. Dzięki tym zapiskom posiadamy niezwykle cenne świadectwo wiejskiego życia i dzięki niemu mamy możliwość poczuć nastroje panujące wokół I wojny światowej oraz niemal współuczestniczyć w ważnych wydarzeniach lokalnej społeczności, takich jak na przykład założenie poczty.

Kiedy czytałam Pamiętniki Chłopów, jedna historia szczególnie zwróciła moją uwagę. Był to fragment, w którym Dziadek Bolek opisuje proces równania placu pod dom. Samodzielna, długotrwała i niemal katorżnicza praca zaowocowała pięknym terenem z malowniczym domem wśród drzew i krzewów, wśród których jako mała dziewczynka stawiałam pierwsze kroki: „Plac kupiony na wapiennicy te doły i góry równam po dwie godziny co dzień, to znaczy od 6 rano robię w warsztacie do 6 wieczór i teraz biorę kilof, motyczkę, szpadel i idę równać ten plac”. I tak oto mój dom, miejsce, w którym dorastałam, stało się dla mnie niejako symbolem wyrzeczeń, ciężkiej pracy i uporu.

„Śmiali się ludzie jak równałem doły pod dom i sad, śmiali się jak orałem krowami, i śmieją się z mojego opisywania pamiętników i mówią, że to nic nie polepszy doli chłopą polskiego” – brzmi finalne zdanie Pamiętników. Cóż, w kwestii doli chłopą polskiego niewiele mam do powiedzenia. Jednak jestem pewna, że Pamiętniki Chłopów to nie tylko wspaniałe świadectwo. To przede wszystkim dowód miłości do słowa pisanego oraz upór, bez względu na warunki, opinię innych oraz ówczesną sytuację. I właśnie to wszystko sprawiło, że niemal sto lat później miałam niezwykłą okazję poznać swojego przodka oraz jego historię, która jest jednocześnie preludem do mojej własnej. Zupełnie inaczej spójrzałam na swoje pochodzenie. Pajęczno, moje rodzinne miasteczko, stało się czymś więcej niż tylko miejscem z którego my, młodzi ludzie, chcemy jedynie uciec do większych miast. A plac, w który Dziadek Bolek włożył tyle serca, do dziś prezentuje malowniczy sad i piękny dom, który, jak gdyby na przekór niedowiarkom, w całej okazałości eksponuje swoje mury. Mury, w których odbija się echo historii, która czeka na kolejne pokolenia.

## Z miłości do słowa

Dominika Tkaczyńska

Kwestie krewnych zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie. Słuchając opowieści minionych lat, czy oglądając zdjęcia z rodzinnego albumu, bardzo trudno jest żywić emocje wobec postaci, której nie mieliśmy okazji poznać. Niezwykle rzadko mamy możliwość aby członkowie rodziny, których pośród nas już nie ma, przedstawili nam się w pierwszej osobie. Za życia nie zaprzętałyśmy sobie głowy tym, że wiele lat po naszym odejściu znajdą się osoby, które zapytają o naszą historię. Nieświadomie powierzamy to zadanie innym, bezgranicznie ufając, że choć w niewielkim stopniu przybliżą prawdę o nas. Ja jednak otrzymałam taką szansę dzięki Pamiętnikom Chłopów, dokładnie Pamiętnikowi nr 9, wydanemu w roku 1935, który został napisany przez Bolesława Soleckiego, dziadka mojej babci, a mojego prapradziadka. Dzięki tym wspinałym zapiskom, wspólnie z moim przodkiem mam możliwość opowiedzieć jego historię.

Dziadek Bolek, bo tak nazywamy go w rodzinie, pochodził z Pajęczna, a z zawodu był stolarzem. Jednak to, co wyróżniało go na tle innych, to fakt, że odkąd tylko nauczył się liter, uwielbiał zarówno czytać, jak i zapisywać własne przemyślenia. „Piszę, co mnie uczyli pisać abym pisał, a czytać abym czytał” – podsumowuje swoje zainteresowanie w Pamiętnikach. Był niezwykle obserwatorem świata, miał wyjątkowy dar doszukiwania się niezwykłości nawet w najbardziej trywialnych sprawach. Potrafił zatrzymać się, by spojrzeć z zachwytem na otaczającą go rzeczywistość, którą później uwieczniał zapełniając kolejne kartki zeszytów, notatników, czy listów.

Jednak nam, współczesnym czytelnikom, nie jest łatwo wyobrazić sobie jak niecodzienne było to wtedy zajęcie. Musimy więc mieć na uwadze, że przed I wojną nie było ogólnej edukacji na wsi, a wolny czas spędzało się głównie na ciężkiej pracy. „Dziadek jako jedyny prenumerował gazety – podpowiada babcia, podczas gdy ja z niedowierzaniem wyliczam kolejne enigmatyczne tytuły: „Zaranie”, „Polska Ludowa”, czy „Wiadomości Polskie” – mało kto interesował się wtedy czytaniem, mało kto w ogóle potrafił czytać”. Z tego względu wiele osób w otoczeniu Dziadka Bolka postrzegało czytanie i pisanie jako marnowanie czasu. I zdaje się, że sam Dziadek Bolek doskonale zdawał sobie z tego sprawę podkreślając w Pamiętnikach oburzenie znajomego księdza na temat jednej ze swoich prenumerat: „To pan to pismo opłaca, to nie pasuje na rzemieślnika, to tylko dla takich co to siedzą w fotelu, o nic się nie martwią”.

Niemniej ani nieprzychylnie spojrzenia społeczności, ani trudna sytuacja na polskiej wsi nie przeszkodziły Dziadkowi Bolkowi w realizacji swojej pasji. Nawet wtedy, gdy los zesłał go na koniec świata, a dokładnie do wojska carskiego w Aszchabadzie, nie porzucił swojej miłości do słowa pisanego, co opisuje w sposób następujący: „Tutaj w 1896 zaabonowałem sobie „Gazetę Świąteczną” z Warszawy i przesyłałem do niej opisy tego miasta i gór i tutejszej ludności, zarobki i ich życie. Sprowadzałem polskie książki i gazety dla żołnierzy Polaków (...) ażeby nie zapomnieli mówić po polsku”.



Mając na względzie swoje niezwykle jak na tamte czasy zamiłowanie, zdawać by się mogło, że konkurs na napisanie Pamiętników Chłopów został niczym stworzony dla Dziadka Bolka. Była to niepowtarzalna szansa, by mógł posłać swoją historię dalej. I tak oto, zapełniając kolejne kartki, zaprosił on czytelnika do swojego świata, na polską wieś, począwszy od roku 1872, powoli odkrywając jej radości i troski. Dzięki tym zapiskom posiadamy niezwykle cenne świadectwo wiejskiego życia i dzięki niemu mamy możliwość poczuć nastroje panujące wokół I wojny światowej oraz niemal współuczestniczyć w ważnych wydarzeniach lokalnej społeczności, takich jak na przykład założenie poczty.

Kiedy czytałam Pamiętniki Chłopów, jedna historia szczególnie zwróciła moją uwagę. Był to fragment, w którym Dziadek Bolek opisuje proces równania placu pod dom. Samodzielna, długotrwała i niemal katorżnicza praca zaowocowała pięknym terenem z malowniczym domem wśród drzew i krzewów, wśród których jako mała dziewczynka stawiałam pierwsze kroki: „Plac kupiony na wapiennicy te doły i góry równam po dwie godziny co dzień, to znaczy od 6 rano robię w warsztacie do 6 wieczór i teraz biorę kilof, motyczkę, szpadel i idę równać ten plac”. I tak oto mój dom, miejsce, w którym dorastałam, stało się dla mnie niejako symbolem wyrzeczeń, ciężkiej pracy i uporu.

„Śmiali się ludzie jak równałem doły pod dom i sad, śmiali się jak orałem krowami, i śmieją się z mojego opisywania pamiętników i mówią, że to nic nie polepszy doli chłopą polskiego” – brzmi finalne zdanie Pamiętników. Cóż, w kwestii doli chłopą polskiego niewiele mam do powiedzenia. Jednak jestem pewna, że Pamiętniki Chłopów to nie tylko wspaniałe świadectwo. To przede wszystkim dowód miłości do słowa pisanego oraz upór, bez względu na warunki, opinię innych oraz ówczesną sytuację. I właśnie to wszystko sprawiło, że niemal sto lat później miałam niezwykle okazję poznać swojego przodka oraz jego historię, która jest jednocześnie preludem do mojej własnej. Zupełnie inaczej spójrzałam na swoje pochodzenie. Pajęczno, moje rodzinne miasteczko, stało się czymś więcej niż tylko miejscem z którego my, młodzi ludzie, chcemy jedynie uciec do większych miast. A plac, w który Dziadek Bolek włożył tyle serca, do dziś prezentuje malowniczy sad i piękny dom, który, jak gdyby na przekór niedowiarkom, w całej okazałości eksponuje swoje mury. Mury, w których odbija się echo historii, która czeka na kolejne pokolenia.

# Jestem nomadem z XXI w. jak Drzymała w XX

Dorota Tylutka

Przewrotny tytuł łączący tak wiele wątków i problemów okazuje się być tematem, który żyje w mojej rodzinie od pokoleń, a w mojej głowie od momentu, gdy uświadomiłam sobie, że od wielu lat poszukuję swojej pełnoletniej i odpowiedzialnej drogi życiowej i przemieszczam się pakując najważniejsze dla mnie na ten moment rzeczy. Beztroskie czasy studenckie oznaczały dla mnie łączenie pracy, dziennych studiów i szukania swojej własnej, bezpiecznej przestrzeni. Ten esej to nie jest historia moich wielu przeprowadzek przez ulice dużego miasta, ale próba refleksji na temat decyzji, które podejmujemy jako młodzi ludzie, a których sens i przyczyny odkrywamy po latach i budujemy swoją tożsamość.

„Polski chłop z Wielkopolski, który zamieszkał w cyrkowym wozie”, „symbol walki z germanizacją”, „cyrkowy wóz jako symbol walki o polskość” to określenia historii, mającej miejsce na początku XX w. w Wielkopolsce, a która do dnia dzisiejszego opowiadana jest na lekcjach historii i której ja sama uczyłam się ze szkolnych podręczników. Historii, która miała miejsce w mojej rodzinie i której z dumą słuchałam przez wiele lat przy świątecznym stole, kiedy mój dziadek wspominał lata swojej młodości i historię rodu

A jak to wszystko się zaczęło? Zaczęło się we Wschowie, w województwie lubuskim. W moim życiu miałam cudowną przyjemność poznać mojego Dziadka- Wiesia, który nauczył mnie czytać, każdego dnia odbierał ze szkoły i to On opowiadał mi niesamowite historie swojego życia. Tata mojego ukochanego dziadka – mój pradziadek Antoni (urodzony w 1900r.), jako najmłodszy z dziesiątki rodzeństwa, miał brata, którego córka wyszła za słynnego Michała – „Tego od cyrkowego wozu”.

W 1904 roku w miejscowości Podgradowice (dziś to Drzymałowo w województwie wielkopolskim), z powodu germanizacyjnych praktyk stosowanych wobec Polaków, Michał Drzymała – polski rolnik – nie otrzymał zgody na budowę domu, dlatego podążając za swoimi pragnieniami i chcąc zapewnić bezpieczne miejsce swojej rodzinie, zakupił cyrkowy wóz, którym każdego dnia przemieszczał się o kilka metrów, omijając jednocześnie kary za nieprzestrzeganie narzuconego prawa administracyjnego.

Choć można by pomyśleć, że moja rodzina nie jest z nim w żaden sposób spokrewniona, to od lat był i jest członkiem naszej rodziny, bohaterem opowieści, a także (a może przede wszystkim) symbolem odwagi, a moim symbolem podążania za swoimi marzeniami.

Jako dziecko XXI w. można powiedzieć, że miałam wszystko, bo temat wojny znam jedynie z książek i szkolnych podręczników. Tymczasem teraźniejszość, w której przyszło mi żyć i budować swoją własną tożsamość, jest krainą wielkiej niewiadomej i ciągłego poszukiwania sensu istnienia przez młodych- już dorosłych. Mojego własnego istnienia. Okazuje się jednak,

że dla ludzi w moim wieku nie ma już barier językowych, ale są te społeczne. Zamiast relacji są reakcje, a zamiast serc są wirtualne serduszka. Zamiast rozmów są dni ciszy i rozstania zamiast pożegnań. Sami musimy przełamywać schematy i przestać zamiatać problemy pod dywan. Dziś mierzymy się z samotnością w tłumie, ciszą na zatłoczonym rynku i tęsknotą wśród kiedyś nam bliskich. Często mamy dużo do powiedzenia, ale milczymy, bo byliśmy nauczeni, że dzieci i ryby głosu nie mają. Wracamy do swoich wspomnień, ulic dzieciństwa i marzeń młodości, stale poszukując magicznej tabletki na uspokojenie i ukojenie lęków dużego miasta. Zamiast pojednania – nowe pożądanía, zamiast wspólnej zabawy indywidualna gra, w której każdy dąży do ugaszenia swojego pragnienia. Często nie jesteśmy sami, a samotni. Często wygadani, choć tak mało mamy do powiedzenia. Wracamy do starych, niby bezpiecznych rejonów, albo porywamy się na wzburzone morze, choć żaden z nas nie potrafi pływać. Nie chcemy stabilizacji, której drugie imię to kredyt na dziesiątki lat, powielane z rodzinnego domu schematy, albo domek z ogródkiem.

I to jest też ok.

Nie pozwalamy więc już na mówienie nam jak mamy żyć, gdzie pracować i z kim mieszkać. Układamy świat po swojemu- łamiemy schematy, podejmujemy własne decyzje, rozwodzimy się i zakochujemy na nowo. I to też jest ok. Chcemy więc zwiedzać świat, kupować bilety na samolot i móc spakować się w jedną walizkę, by jeszcze bardziej eksplorować nieznanne. Jeszcze bardziej, mocniej, głębiej i częściej. Czym jest dom? Nasz dom nie ma murów, dachu, ani komina. Jest poczuciem, że mamy przy sobie bliskich i jesteśmy prawdziwi – choćbyśmy byli na końcu świata w wynajmowanym mieszkaniu- tak jak Michał w cyrkowym wozie. Jesteśmy Nomadami XXI w., którzy pragną bardziej, mocniej, głębiej i częściej.

A w naszych żyłach płynie krew odwagi i podążania za swoimi marzeniami, choć każdy pisze własną małą, wielką historię.

# Stąd jestem

## Kacper Kozłowski

Pośród wspomnień mego dzieciństwa szczególne miejsce zajmuje cykliczne wydarzenie, którego jako dziecko nie doceniałem, bo wydawało mi się zwyczajnie nudne, mianowicie urodziny mojej prababki. Prababcia była pokoleniem międzywojnia, toteż wiele doświadczyła. Każdy kolejny rok jej życia stanowił więc w naszej rodzinie okazję do hucznego świętowania. Uroczystości odbywały się najczęściej w dużym ogrodzie po drugiej stronie brukowanej uliczki, naprzeciw ceglastego domku z gankiem. Rozstawiano wtedy duży namiot, a pod nim stoły wraz z honorowym miejscem dla prababki. Był tort, śpiewy i mnóstwo prezentów. Ogród musiał pomieścić całą naszą rodzinę, także tą z Niemiec. Był to bowiem jedyny czas w roku, kiedy cała rodzina mogła się spotkać, gromadząc się wokół swej nestorki. Dzieci, wnuki, prawnuki, a nawet praprawnuki. Wszystkie rozmaite rozgałęzienia naszego drzewa rodowego zbiegła się wówczas w jednym jednoczącym i spajającym je korzeniu. Z niego też jako młode pokolenia czerpaliśmy życiodajne soki, które sączono nam do uszu w postaci dawnych opowieści, które prababka zawsze przy tej okazji snuła. Po czasie, gdy tych spotkań już nie ma, gdy rodzina nie jest już tak zespolona jak dawniej, dostrzegam z tęsknotą, że zawierały one w sobie coś z raju. Ogród, uczta, radość, jedność, młodość współegzystująca z doświadczeniem, tak jakby nie istniał czas, jakby nie było granicy między jednym a drugim stuleciem. Być może dlatego to wszystko przeminęło tak szybko, a ja czuję, że bez wspomnień nie uda się powrócić, choć na chwilę, z wygnania do owego raju. Pojąłem, że urodziny prababki, a także sama jej osoba znaczyły coś więcej. Były jakimś ideałem, ucieleśnieniem jedności i wspólnoty, których dopiero późniejszy deficyt usilnie mi to uświadomił. Dziś pozostało mi tylko z nostalgią raz po raz odtwarzać w mej pamięci opowieść jej życia, którą sama co roku nam opowiadała. Mieszkała w małej wsi na południu Warmii. Ta niepozorna wioseczka, obecnie wyglądająca na nieco uśpioną, kiedyś została, tak jak wiele innych miejscowości plebiscytowych rzucona na pożarcie narastających antagonizmów wszelkiej maści, których istnienie z przerażeniem odkrywali w sobie ówczesni mieszkańcy. XIX – wieczny wynalazek tożsamości narodowej dotarł na Warmię i Mazury dopiero w 1920 roku, a sami Warmiacy i Mazurzy nie za bardzo potrafili się nim obsłużyć. Z tutejszości wyrwały ich nagle żądania polityków i wiecowych krzykaczy, by się określić, czy jest się Warmiak polski czy Warmiak niemiecki. Decydowało w dużej mierze odczucie, a ono u wszystkich było intersubiektywne: Warmiak. Ale to polityce przecież już nie wystarczało. Decyzję trzeba było w końcu podjąć i dodać ten wymagany epitet dookreślający. Początkowo wydawało się, że to tylko śmieszne i nic nieznaczące etykiety, bo przykładowo Gräber uważał się za Polaka i za Polską głosował, a Garbinski określił się jako Niemiec. Można by zapytać o kryterium językowe, ale jeden i drugi znali niemiecki oraz polski. Zresztą na co dzień i tak gadali po warnijsku. Słowem, wszyscy najchętniej by te plebiscytowe etykiety ściągnęli, ale w latach 30. okazało się, że już się nie da. Wtedy to wrosły one

w jestestwo każdego mieszkańca tej wioski. Warmiński Niemiec nie kupował już mleka od warmińskiego Polaka. W ten sposób utwierdzał się, że jest Niemcem a prześladowany Polak przekonywał się o swej polskości. Przekłete etykiety okazywały się coraz bardziej prawdziwe. W końcu i młode pokolenia – dzieci posyłane były do oddzielnych szkół, choć często nie rozumiejąc jeszcze zawilosci politycznych bawiły się wspólnie na jednym podwórku. Ale szkoła już wybije im to z głowy. Jedne schluss do niemieckiej, drugie marsz do polskiej. Co ciekawe obie mieściły się w tej małej wioseczce. Niemiecka w północno zachodniej części, nazywanej przez to Berlinem, a polska w południowo wschodniej, zwanej Warszawą. To ciekawe dla antropologów i etnografów, że taki światowy wtedy podział umieszczono w tak klaustrofobicznej niemal przestrzeni. Naprawdę to anomalia, która o ile nie mogła zaistnieć w geograficznej rzeczywistości o tyle z powodzeniem mogła egzystować w ludzkich głowach bez cienia absurdu. Warszawa nie różniła się właściwie niczym od Berlina. Zabudowa ta sama, ogródki te same, sposób uprawiania ziemi ten sam. Można było patrzeć i porównywać godzinami, ale bez skutku. Podobnie i dziś dawny Berlin oraz Warszawa są równie ciche. Obie części wyzute z wszelkich rozpalających je wizji przyszłości jakie tu rozaczano niejednokrotnie w ubiegłym wieku. Co jednak sprawiło, że te ceglaste domki rozbłysły nagle czerwienią tańczących płomieni, zupełnie jakby warmińskiej zabudowie były takie zabiegi potrzebne średnio co 10 lat, aby zachowała swą świeżość dopiero co wypalanej, czerwonej cegły? Plebiscyt 1920 roku był pierwszym tąpnięciem. Jego ofiarą stała się lokalność, która przepadła bezpowrotnie właśnie przez ten światowy i sztuczny podział wioski. Ceną zakazanego politycznego owocu było wygnanie z raju, gdzie wszyscy żyli w harmonii. Od biblijnej księgi Rodzaju ta opowieść różniła się tylko tym, że to nie wąż był kusicielem a raczej kłobuk. Poza tym wszystko było identycznie. Ludzie zjedli polityczny owoc i poznali, że są inni. Poznali, gdzie są. Nie w raju tylko w Niemczech. Nie w raju tylko w Polsce. Warmińska wieża Babel runęła. Koniec. W jednej rodzinie potrafiło być dwóch braci, Niemiec i Polak. Zupełnie jak Kain i Abel. Od tego momentu już niewiele trzeba. Wystarczy iskra, a w latach 30. było ich pod dostatkiem. Ceglasty domek z drewnianym gankiem, stojący wzdłuż brukowanej drogi doskonale pamiętał tę sierpniową noc, której chłodne już powietrze zostało nagle rozgrzane przez kilkadziesiąt płonących pochodni niesionych dumnie przez maszerujących w rytm jakiejś niemieckiej pieśni, młodych chłopców z Hitlerjugend. Śpiewali chórem, że zdobędą cały świat. „Dzisiaj wy a jutro cały świat”. Chyba tak brzmiały słowa, od których włos się jeżył na głowie. Krążyli tak wokół polskiej szkoły jak w jakimś amoku, a obok nich gromadziło się coraz więcej sąsiadów z Berlina. Żandarmi niemieccy zupełnie nie reagowali. W końcu w ruch poszły kamienie i brzęki tłuczonego szkła zachęcił ludzi by wdarli się do środka. Rozrąbano siekierami pożyczonymi od kilku gospodarzy drzwi i to samo zrobiono z wyposażeniem klas. Nauczyciela polskiego całe szczęście nie było już w mieszkaniu. Wyjechał do miasta. Oprawcy w zamian zniszczyli jego rower, którym codziennie dojeżdżał do pracy. Kilku chłopców z Hitlerjugend zaczęło wyrzucać przez okna książki na utworzony na drodze stos. Inni starannie je układali, a potem podpalali za pomocą pochodni, śmiejąc się przy tym, że Polakom i tak nie są potrzebne, bo nie potrafią czytać. Zdawało się im, że polskość ulatywała z tej ziemi wraz z nadpalonymi skrawkami papieru unoszonymi przez sierpniowy chłód. Polską szkołę zlikwidowano 30 sierpnia 1939 r. Dzieci, które tam chodziły przekazano do niemieckiej. Tak Kain zabił Abła. Jeszcze wiele dni później przerzucając siano w pobliskiej stodole można było w nim znaleźć zwęglone strzępki kartek z polską poezją. Niedługo w jednej z byłych klas zamontowano kraty i zrobione przejściowe więzienie dla Żydów z okolicy. Wioska zmieniła się po zniszczeniu szkoły całkowicie.

Było już tylko gorzej. Pochłonęło ją wtedy coś, co pochłonęło też miasto Arras ze słynnej prozy Szczypiorskiego. Ale za wieś nikt nie będzie odprowadzał mszy. Po dawnej przedwojennej sielankowej atmosferze zostały we wsi tylko nieliczne ślady, które niczym dwaj cherubini z mieczami strzegą wejścia do utraconego raju. Gdzie ich szukać? W centrum wsi, które było prostym skrzyżowaniem dróg – jednej prowadzącej w górę do miejscowości ze strzelistą wieżą kościelną i drugiej biegnącej do części berlińskiej, stoi okazała kapliczka z błyszczącą w słońcu sygnaturką na szczycie. Przystrojona jest kolorowymi wstęgami i otoczona małym płotkiem. Naturalne jej ogrodzenie stanowią ponadto trzy duże lipy, pełniące w tym miejscu od przynajmniej stu lat. Przed kapliczką znajdują się dwie drewniane ławeczki. Dzisiaj puste, ale kiedyś cała wieś, zarówno z południowo– wschodniej jak i północno-zachodniej części, schodziła się tu na wspólne modlitwy na dźwięk sygnaturki, której obsługa przypadała zawsze najstarszej, najbardziej poważanej osobie spośród mieszkańców. Czy po tym wszystkim, co wydarzyło się tutaj w ubiegłym wieku ostał się jakiś most łączący Warszawę z Berlinem? Czy mógł istnieć tak długi most? W starożytnym Rzymie budowniczymi mostów nazywano najwyższe kolegium kapłanów, bowiem ich zadaniem było budowanie mostów między niebem a ziemią, ale nie tylko. Musieli też czuwać nad jednością i porządkiem kultu, kalendarem.

Można powiedzieć nad całą powierzoną im czasoprzestrzenią. Nie było to łatwe, ponieważ trzeba było zjednoczyć flamenów, czyli kapłanów służących, każdy własnemu bóstwu. W tym celu powstał właśnie pontyfikowie. Pamiętam z opowiadań, że ową sygnaturkę na szczycie wspomnianej kapliczki przez wiele lat obsługiwała matka mojej prababci, czyli z kolei moja praprababka, potem tę funkcję przejęła z czasem jej córka. Czy można je nazwać warmińskimi pontyfikami? Nie wiem. Lecz wiem, że opowieść prababki nauczyła mnie pewnej zasady: politycy to najgorsi pontyfikowie. Póki nie rozniecą w ludziach płomieni ich własnych partykularyzmów, póki nie zrobią z nas flamenów, to mogą istnieć pomiędzy nami dowolnie długie mosty. Tak, to miejsce stanowiło rajską bramę w postaci warmińskiej wieży Babel z sygnaturką na szczycie. Byłem pewien.

Dzień przed swoją śmiercią, mój ojciec, wtedy już bardzo chory, wspominał prababkę. Wierzę, że oczyma umysłu widział wówczas ogród po drugiej stronie ulicy, a w nim nas wszystkich i nią samą pośrodku, opowiadając niekończącą się opowieść rodzinną. Wspominał raj, powtarzając na głos punkty orientacyjne, prowadzące do miejsca, w którym było się tylko raz, dawno temu.

Istnieją mosty, łączące to co w świecie i pozaświatem, istnieją pontyfikowie i w końcu istnieją wspomnienia – rajskie palimpsesty.

## Moja Mama Siłaczka – Józefa Bogusz-Dzierżkowa

Stefan Dzierżek

Dla mnie i mojego rodzeństwa zawsze miała czas i zawsze przeżywała wszelkie radości i niepowodzenia. W trudnych sytuacjach nigdy nie podnosiła głosu, krzyk był obcy jej naturze, zawsze szukała rozwiązania problemu, a nie piętrzenia konfliktu. Również dla moich dzieci – dzisiaj już dorosłych – była niekwestionowanym autorytetem o niezwykłej empatii i przyśłowiowej dobroci, każde wakacje spędzały tylko u babci na wsi.

Mama należała do pokolenia Kolumbów - młodzieży, której najpiękniejsze lata życia przypadły na okres koszmaru II Wojny Światowej. Posiadała wrażliwość i postrzeganie świata tych największych z jej pokolenia. Podobnie jak Szymborska swoje myśli przelewała na papier i podobnie jak Wojtyła wielką miłością darzyła teatr.

Urodziła się w 1923 r. we wsi Szymanowice pod Łowiczem. Jej ojciec przed I Wojną Światową służył jako oficer w carskiej gwardii w St. Petersburgu. Rodzice byli właścicielami dużego gospodarstwa rolnego, dbali o wykształcenie dzieci. Mama ukończyła gimnazjum w Łowiczu, następnie zdała tzw. małą maturę w 1942 r. w Warszawie.

Tragiczny okres w jej życiu to lata okupacji. We wrześniu 1939 r. Niemcy rozstrzelali ojca, w 1944 r. zmarli brat i siostra – przyczyną była gruźlica.

Atmosfera domu i działalność starszych siostr w organizacji ZMW „Wici” jasno ukierunkowały jej sposób postrzegania świata.

Również nowo powstała żeńska szkoła rolnicza w sąsiedniej wsi - Dąbrowie Zduńskiej oraz grono nauczycieli miały duży wpływ na poglądy i rozwój Mamy. Wzorcami dla tej szkoły były uniwersytety ludowe w Dani i Szwecji. Mama uczestniczyła w tajnych kompletach w 1940 r. Wiele z tych osób, które spotkała Mama w Dąbrowie i czerpała od nich wiedzę to dzisiaj legendy ruchu ludowego – szkołą kierowali Leokadia i Kazimierz Wyszomirscy. Z Łowicza przyjeżdżali Konrad Dargiewicz i Jan Wegner, a z Warszawy m.in. Jerzy Cierniak, Jerzy Zawiejski, Zofia Niedziałkowska, Hanna Chorążyna. Na spotkania z młodzieżą przyjeżdżała także Maria Dąbrowska.

W latach 1946-47 Mama była słuchaczem Uniwersytetu Ludowego w Brusach pod Łodzią prowadzonego przez Zofię Solarzową. Z kolei na Uniwersytecie Ludowym w Boczku już samodzielnie prowadziła wykłady z literatury w latach 1947-48.

Mama ukończyła jeszcze kurs pedagogiczny, a nabyte umiejętności wykorzystała jako nauczycielka w szkole podstawowej w Zdunach, gdzie uczyła j. polskiego w 1951 r.

Zaraz po wojnie włączyła się w wir pracy społecznej. Pierwsze zebranie wiejskie ZMW „Wici”, w którym Mama uczestniczyła odbyło się w kwietniu 1945 roku. W tym samym roku bierze udział w przygotowaniach do akademii ku czci Wincentego Witosa.

Wielką miłością Mamy była literatura oraz teatr. Pierwszą sztukę wystawiła dla najbliższych sąsiadów już jako dziesięciolatka, a za „teatralną scenę” posłużyła jej wiejska stodoła.

Potem wielokrotnie reżyserowała i występowała zarówno w sztukach wg tekstów literackich, jak i własnych pomysłów, były to m.in. fragmenty „Chłopów” W. Reymonta. Jedną ze sztandarowych inscenizacji była „Chata za wsią” według J. Kraszewskiego z popisową rolą Mamy jako cyganki Azy. Sztuka ta wystawiana wielokrotnie w domach kultury za każdym razem budziła zachwyt publiczności i silne przeżycia wśród „aktorów”.

Oprócz aktywności na wsi, działała w ZSL-u, partii reprezentującej wieś, skupiającej wielu działaczy z przedwojennej „Wici”. W latach 1964-72 była członkiem władz naczelnych, uczestnicząc aktywnie w czterech Kongresach ZSL-u w Warszawie.

Jej wystąpienia poruszające problemy wsi były szczere i krytyczne wobec panującego systemu, nie bała się mówić o nich głośno z mównicy, bo po prostu nie miała nic do stracenia, nie ryzykowała żadnego stanowiska – była tylko i aż WIEJSKĄ KOBIETĄ. Miała niezwykłą łatwość wypowiedzi i skupienia na swojej osobie uwagi - m.in. dlatego, że mówiła bez kartki, co w tamtych czasach było rzeczą niespotykaną. Jej wypowiedzi były komentowane nie tylko w kularach i cytowane w gazetach, były także przedmiotem dyskusji naukowców zajmujących się problematyką wiejską. Współpracowała i przyjaźniła się z wieloma działaczami ludowymi, m.in. z Dyzmą Gałajem, Stefanem Ignarem oraz Kazimierzem Wyszomirskim, którego w niezwykle osobisty i wzruszający sposób żegnała na Powązkach po jego tragicznej śmierci w 1965 roku. Jako radna wojewódzka mówiła na sesji w Łodzi w 1960 r.:

„Konieczną pomocą wiejskiej kobiety są przedszkola. Stanowczo jest ich za mało na wsi. Matka pracująca w rolnictwie musi być odciążona od opieki nad dziećmi”. Jakże te słowa były przez wiele lat aktualne.

Ten cytat z eseju A. Szczypiorskiego z 1994 r.:

„W roku 1945 była wśród naszej inteligencji cała armia Judymów i Siłaczek, byli entuzjaści ruchu spółdzielczego i uniwersytetów ludowych, spadkobiercy myśli i czynów Abramowskiego i Solarza, śmieszni idealści, którym śniły się szklane domy, mleczarskie kooperatywy, bezpłatne przedszkola” – wpisuje się idealnie w wizerunek Mamy.

Kolejną wielką pasją Mamy było pisanie. Od lat szkolnych zapisywała w formie pamiętników i notatek otaczając ją życie. Wolne chwile - te wieczorne, a często i nocne - po dniu ciężkiej pracy przeznaczala na pisanie. Pisała dużo i o ważnych sprawach, tych które znała najlepiej – roli kobiety na wsi, problemów z wychowaniem dzieci, dostępu do wiedzy i kultury. Napisała ok. 160 artykułów, które drukowane były m.in. w „Zielonym Sztandarze”, „Gospodyni”, „Tygodniku Kulturalnym”.

Jest współautorką 10 książek o tematyce związanej z ruchem ludowym. Podsumowaniem pracy pisarskiej są dwie książki autobiograficzne: „Smak ziemi – smak życia” – 2001 r. oraz „Szerokie pola – ludzkie drogi” – 2011r. Opisuje w nich życie swoje i środowiska od lat 20-tych do 60-tych XX w.

Podczas promocji pierwszej książki Mamy w 2002 roku, w pięknych, barokowych wnętrzach muzeum łowickiego, jeden z gości składając gratulacje powiedział: „Kiedy patrzy się na Pani życie i to, co Pani zrobiła, wydaje się prawie niemożliwe, żeby tyle dokonać, doba chyba miała więcej niż 24 godziny”.

Konsekwencją jej aktywności był udział w programach telewizyjnych, które emitowane były jeszcze „na żywo”. W pierwszym z 1959 r. występowała razem z Marią Łopatkową, z którą połączyła Mamę wieloletnia współpraca i przyjaźń wynikająca z takiego samego postrzegania wielu spraw.



W 1961 r. w programie „Kobieta XX wieku”, który prowadziła Irena Rybczyńska-Holland - aktorki H. Dąbrowska oraz J. Traczykówna czytały pamiętnik Mamy, a potem odbyła się dyskusja z autorką. Mama dobrze czuła się w studio telewizyjnym, była naturalna w swoich wypowiedziach, tak że zaproponowano jej cykliczny udział w programie. Niestety, proza życia dnia codziennego nie pozwoliła na realizację tak śmiałych planów.

W 1971 r. telewizja z Hamburga, z Niemiec Zachodnich zawitała do naszego gospodarstwa, realizowała program o polskich kobietach – jedną z nich była moja Mama. Wizyta zrobiła na dziennikarzach duże wrażenie, a Mama zaimponowała wiedzą i otwartością poglądów. Całe życie Mamy było wyjątkowe i zasługuje na podziw. Swoje dorosłe życie rozpoczęła po zakończeniu wojny, kiedy panowały bardzo trudne warunki w zniszczonym kraju. Prowadzenie dużego gospodarstwa w latach 50-tych z przyklejoną etykietą kulaka i obłożeniem przez władze tzw. obowiązkowymi dostawami wymagało wielkiego wysiłku – zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Jest to okres, kiedy rodzice budują dom mieszkalny, rozbudowują gospodarstwo, wychowują czwórkę dzieci (wszystkie ukończyły studia wyższe) i zmagają się z przeciwnościami losu i historii. Indywidualne gospodarstwa rolne traktowano jako pozostałość kapitalizmu, w naturalny sposób wrogie w stosunku do ówczesnej władzy. Pomimo tych trudności Mama nie negocjowała i nie kontestowała ówczesnej rzeczywistości, zresztą jak miałyby to zrobić – podjąć strajk we własnym gospodarstwie?

Mama zawsze pragnęła dzielić się z ludźmi tym co najlepsze – uczestniczyła i tworzyła życie społeczne, integrowała środowisko, pobudzając je do pozytywnych działań. Ten optymizm i wiara w drugiego człowieka towarzyszyły jej przez całe życie.

Nawet nieszcześliwy wypadek – w wieku 92 lat - i operacja, podczas której wstawiono jej implanty w stawie biodrowym nie złamał w tej drobnej i kruchej postaci Mamy woli walki o powrót do zdrowia podczas długiej rehabilitacji.

W styczniu 2021 r. zakażona koronawirusem trafiła do szpitala w Skierniewicach. Po dwóch tygodniach pobytu otrzymujemy wiadomość, że Mama planowana jest do wypisania, ponieważ została wyleczona! To było jej ostatnie zwycięstwo. Załatwiliśmy miejsce przewiezienia do ośrodka opiekuńczo-leczniczego, ponieważ Mama wymagała specjalistycznej opieki. Niestety, organizm był już zbyt osłabiony po ciężkiej chorobie, Mama odeszła od nas 30 stycznia. Niestety, nie było mi dane być przy niej w jej ostatnich chwilach... Na jej pożegnanie pasują słowa, jakie Mama napisała po śmierci swojego brata (zmieniłem tylko formę osobową): „Odchodziła bez buntu, bez słowa skargi, ale jakby z poczuciem winy, że sprawiła rodzinie tyle kłopotu swoją chorobą”.

Podczas pogrzebu w Zdunach, pomimo ograniczeń związanych z pandemią, kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. Było wiele przemówień, Mama została pożegnana tak jak na to sobie zasłużyła całym swoim życiem. W imieniu rodziny Mamę żegnała moja córka Klaudia, przeczytała list, który napisała do swojej ukochanej Babcy 20 lat wcześniej (list ten Mama wtedy otrzymała), a zaczynał się tak:

„Babciu, zawsze się zastanawiałam, dlaczego najdłuższe przemówienia i najwięcej tych ważnych słów pada wtedy, kiedy ta osoba, o której mówią już nie może tego usłyszeć? Dlatego właśnie chciałam Ci Babciu już dziś podziękować za to wszystko, co od Ciebie do tej pory otrzymałam i co dostaję każdego dnia, za każdą rozmowę odbytą z Tobą, za Twoją pogodę ducha, za niekłamana skromność. Dziękuję Ci Babciu, za czerwone jabłka w sadzie, za twój szlafrok, który mi przyniosłaś po kąpieli, dziękuję Ci za smak dojrzałego żyta, które łuskaliśmy prosto z pola, dziękuję Ci za chabry i maki na stole w Twoim pokoju”.

## Moja babcia Królowa Madagaskaru

Paweł Kosiorek

*„Dźwiga na plecach  
Dom, ogród, pole,  
Krowy, świnię, cielęta, dzieci.*

*Jej grzbiet dźwigi się,  
Ze nie pęknie.  
Jej ręce dźwigią się,  
Ze nie odpadną.  
Ona się nie dźwigi (...)*”

A. Świrszczyńska „Chłopka”

To są paprocie olbrzymie, które wspominam dosyć często. Myśli paproci są czarne, zapach niebieski. Od czasów mojego dzieciństwa nie pachną już tak samo. Myślę, że cały świat od kilku lat stracił na swoim aromacie, został wywietrzony. To są paprocie olbrzymie, w których się chowałem. Nurkowałem pośród nabrzmiałych zielonkawych nurtów, wodnych żył, a liście okraszone wilgotnymi koralami, kąsały na wskroś rześkie powietrze. Była to najlepsza kryjówka przed ciotkami. Pamiętam, jak szukały mnie między paprociami w tych swoich staromodnych sukniach. Ręka ciotki Eriki jak nóż wbijała się w te rozległe malachitowe dywany, a jej złote pierścionki raz po raz zahaczały o kruche łądźki. Z czasem paprocie zostały wycięte. Ciotki Eriki też już nie ma.

To jest drzewo czereśni o słodkich owocach. Myśli drzewa są szare, zapach niebieski. Od czasów mojej młodości straciło na swojej wielkości, chociaż kiedyś było najwyższe w całym sadzie. Niczym pogański bożek płodności, drewniany totem, licznie rozdawał nam swoje owoce w podzięce za opiekę. A wszyscy zrywali je zachłannie, wspinali się na szczyt, konkurując z ptakami, słodkie czereśnie rozgniatali między palcami lub wbijali zęby tak łapczywie, że aż sok kapał po brodzie. Cały szereg kobiet preparował je w wielkich szklanych słojach, a dziadek Lucjan znosił je cierpliwie szeregiem do piwnicy i jak lepkie skarby układał równiuseńko na drewnianych półkach. Odwiedzałem to miejsce pełne szalonych, kolorowych duszków uwieczonych w przezroczystych kloszach. Wyjadałem te wszystkie słodkie owoce, konfitury, powidła, dżemy, soki i syropy. Po czereśni zostały tylko pestki i suchy konar. Dziadka Lucjana też już nie ma.

Na co dzień żyliśmy jak na starej fotografii. Myśli zdjęć są żółte, zapach czerwony. Biegaliśmy pod stołami, objając się barkami o nogi dorosłych. Oni raczyli się tajemniczymi, krwistymi trunkami, które podawano tylko do poważnych rozmów. Stukali się co jakiś czas kryształowymi

kieliszkami, głosząc jakieś zrozumiałe tylko dla nich toasty. A babcia Ela paliła długie papierosy i wypuszczała kłęby dymu ustami. I snuła opowieści między wydechami a wdechami, a dym trochę jak słowa, brudził niebo obok nas, zmuszając powietrze do wibracji.

Mówiła zawsze o przeszłości. Jak to te nowe osiedle budują dokładnie tam, gdzie było nasze pole. W ogóle całe miasto, Stare Żory, to było kiedyś jedno wielkie pole, ale nasze było tym największym. I pamięta doskonale, że jak przyszli młodzi Rosjanie w tych swoich pięknych mundurach, to siali na tych polach, ale spustoszenie. I jednego z naszych sąsiadów uznali za Niemca, bo jakimś dziwnym narzęciem niemieckim mówił, chociaż to ani polski, ani niemiecki, tylko że śląski za głęboki. I znaleźli go ci młodzi Rosjanie, w zabrudzonych już wówczas mundurach, na tym naszym polu właśnie, i na miejscu zatłukli i grób płytki wykopali. I mówiła dalej babcia Ela, że jak praca w polu była, a żyzne złote kłosa dojrzewały między tym nagrobkiem, to nosiła tam zawsze kolorowe polne kwiaty, na to miejsce właśnie, bo śmierć trzeba szanować i o śmierci pamiętać. A te nowe osiedle to budują dokładnie tam, gdzie było nasze pole, na tym grobie właśnie.

Chociaż słyszałem już tę opowieść nieraz, to lubiłem zadawać to pytanie. A pamiętasz, jak wybuchła wojna? Zmieniał się wtedy wyraz twarzy babci Eli, oczy zachodziły jakąś mgłą. Ona nie pamięta, bo była za mała, tylko takie słowa zachowały się w jej pamięci, które dorosli przeczytali chyba z jakiejś gazety. Że oto nadchodzi wojna, która wybuchnie Polakom prosto w twarz, a my będzie tylko udawać zaskoczonych, nie pokażemy żadnego strachu, przecież to normalne, nasz naród przywykł do śmierci. I rozproszymy się jak dzikie koty we wszystkie strony, tłukąc niby dla zabawki napotkane szklanki. I będzie to ostrzeżenie dla całego świata.

Pamiętam dzień, w którym zrozumiałem, że moje dzieciństwo się skończyło. I chociaż sądziłem, że takie zmiany skradają się po cichu, ledwo zauważone, dla mnie wystarczył jeden moment. Chodziłem wtedy do gimnazjum. Siedziałem na podwórku przed naszym domem, jak zwykle popijając mój ulubiony, zimny, wiśniowy kompot. I nagle doszło do mnie, że te wszystkie bloki, które widzę wokół, to nie jest żaden krajobraz, tylko prawdziwe bloki. Że otaczają nas z każdej strony, zaciskają pięści, patrzą spode łba. Że za tymi prawdziwymi blokami, kryją się prawdziwe okna, a dalej są prawdziwe zasłony, a za nimi jeszcze bardziej prawdziwi ludzie. Że teraz jak tylko spojrzą przez prawdziwą szybę, to zobaczą mnie takiego, jakim jestem, prawdziwego, podanego na tacy, na pustej scenie, jak przy tablicy, jak podczas publicznego wystąpienia. Kiedyś kompletnie nie zwracałem na to uwagi, a jak tylko zaczęło mi to przeszkadzać, zrozumiałem, że nie jestem już dłużej dzieckiem. Wkroczyłem do świata, w którym najpierw zauważa się to, co jest wokół, zamiast tego, co znajduje się w środku.

Do tej pory w naszym salonie wisi portret dziadka Ernesta, pierwszego męża babci Eli. Czarno-białe zdjęcie w złotej ramie, na które zawsze się bałem patrzeć. To pewnie dlatego, że od zawsze mówiono, że jestem do niego strasznie podobny. Dziadek Ernest był mężczyzną, który wiedział jak zachowywać się przy kobietach. Podobno niewielu takich ostało się do naszych czasów. Przynajmniej tak twierdzi babcia. Dziadek pochodził z zamożnej rodziny, w końcu do kościoła chodził w butach. Jego rodzinny dom położony był niedaleko naszego, miał bardzo strome schody. To przed nim dziadek Ernest rzucił się z pięściami na swojego brata, tylko dlatego, że ten uderzył konia. Na miejscu starego domu zbudowano wiadukt, a jedynym dowodem jego istnienia, jest nasza pamięć. Myśli tego domu są puste, zapachu też już nie ma.

Jak poznałaś dziadka Ernesta, babciu? – „To było na weselu jego siostry, pracowałam wtedy na kuchni, Eścik przybiegał co chwile, żeby zmyć za mnie naczynia, żeby miał czas

z nim zatańczyć” – odpowiadała. Od tamtej pory widywali się codziennie, aż w końcu wzięli ślub. Dla babci to był wyjątkowy dzień, jedyny dzień w życiu, w którym czuła się jak prawdziwa królowa. Miała na sobie białą suknię uszytą z setek falbanek, nikt takiej nie miał, bo dostała ją od żony kuzyna, która była Włoszką. Bukiet ślubny też był nietutejszy, babcia Ela szła do ślubu z kwiatem pomarańczy w rękach. „Kiedy Ernest mnie zobaczył, to powiedział, że wyglądam jak nie z tego świata, jak królowa Madagaskaru. Potem często mnie tak nazywał. Chociaż ja nawet nie wiedziałam, co to jest cały ten Madagaskar. Tydzień po weselu poszłam na Stare Żory do sklepu, to przede mną panie w kolejce opowiadały, że ostatnio był taki ślub, że takiej pięknej młodej pary to jeszcze w naszym mieście nie było. Oczywiście nie przyznałam się, że mówią właśnie o mnie” – wspomina między wdechem a wydechem babcia. Jak to w życiu bywa, wielką miłość przerwała straszliwa choroba. Dziadkowi Ernestowi zmarło się na jesień, kiedy moja mama była młodą dziewczynką. Babcia Ela została sama.

Moja babcia nie obaliła komunizmu, bo wielka polityka nie zaglądała do małego miasta. Moja babcia nie odkryła nowego pierwiastka, bo matka zabroniła chodzić jej do szkoły, praca w polu była w końcu bardziej potrzebna. Moja babcia nie brała udziału w wojnie, ale walczyła o każdy dzień, samotnie wychowując trójkę dzieci. Moja babcia nie była sławną podróżniczką, bo kochała tak swoją ziemię, że od razu dostawała wysypki, jak tylko musiała gdzieś jechała. Moja babcia nie była bohaterką żadnych skandali, od zawsze prowadziła proste i spokojne życie. Moja babcia nie była szlachcianką, w której żyłach płynie błękitna krew, ale dla mnie na zawsze pozostanie Królową Madagaskaru.

Myślę, że w życiu każdego pojawiła się jego własna babcia Ela. Kobieta, która jak perły zbierała rodzinne opowieści, przesiewała je jak mak od popiołu, układając z nich zgrabne naszyjniki, które rozkwitały w jej rękach, jak bajkowe kwiaty pomarańczy. Rodzinne opowieści powiewają zmyślnie na linie czasu, niektóre są wyolbrzymione, inne lekko zatarte, jeszcze inne spadły zapomniane w kącie, czekając, aż ktoś je w końcu podniesie. Nawet te zwykłe i codzienne historie kształtują naszą tożsamość, ale tylko te spisane, zostaną już z nami na zawsze. Dlatego nadstawiamy uszu, bądźmy ciekawi, nie bójmy się zadawać pytań. Kto wie, czy w przyszłości sami nie będziemy bohaterami własnych opowieści. Myśli moje są teraz jasne, wokół unosi się zapach papierosa.

## Dawne kształtuje nowe...

**Marika Machulik**

Piszę tą pracę mając na sobie biżuterię mojej babci. Obok mnie leży sygnet, zmarłego już dziadka, który mi przekazała, za niedługo ta rodzinny pierścień będzie należał do mojego kończącego osiemnaście lat brata...

Moja rodzina wywodzi się różnych stron Polski, ale obecnie żyje w różnych krajach. Mam ciocie w Szwecji, Dani i Austrii. Mój wujek mieszka w Niemczech razem ze swoją żoną, która pochodzi z Chin! W Polsce mam rodzinę na pomorzu, a także w województwie wielkopolskim. Ja oraz reszta mojej rodziny mieszkamy na Śląsku, no oprócz paru kuzynów, którzy wyjechali na studia lub do pracy do Londynu i Amsterdamu.

Myślę, że powoli wyłania się już tutaj jedna cecha, którą odziedziczyłam po mojej rodzinie - zamiłowanie do podróży, ale więcej o niej trochę później. Ogromnie się cieszę, że odległości pomiędzy tymi wszystkimi miejscami, które wymieniłam wyżej wcale nie sprawiły, że oddaliśmy się od siebie jako rodzina. Wręcz przeciwnie, wszyscy stale utrzymujemy ze sobą kontakt, a odwiedziny u siebie nawzajem w tych tak różnych od siebie miejscach zbliżają nas do siebie i otwierają na świat.

Drugą cechą naszej rodziny jest aktywny, zdrowy tryb życia, zamiłowanie do sportu. Szczególnie widać to było po moim dziadku - Tadeuszu (to ten wspomniany na początku tekstu), którego rodzice pochodzili z Ostrowa Wielkopolskiego. W młodym wieku zawodowo grał w piłkę ręczną, ale jego największą sportową miłością był tenis i zawsze zachęcał do niego młodsze pokolenia. Gra w tenisa towarzyszyła mu przez całe życie, a relacje, które zawiązał na kortach na Śląsku, były niezastąpione. Jestem dumna z tego, że kontynuuję tradycję pielęgnując w sobie entuzjazm do tej gry, ale również z tego, że moja pasja także do innych sportów m.in. tańca i narciarstwa, jest częścią mnie, którą przejęłam właśnie po dziadku.

Mój dziadek miał w swoim życiu także wiele podróży, razem z babcią - Krystyną, odwiedzili Włochy i parę najbliższych krajów, ale szczególne miejsce w jego życiorysie zajmuje podróż do Afryki. Spędził on tam ponad dwa lata jako kierownik budowy elektrowni. Mieszkał w Botswanie, ale jego ciekawość świata nie pozwoliła mu pozostawać w jednym miejscu. Do dziś co jakiś czas przeglądam jego album ze zdjęciami z tego okresu, zachwycając się pięknymi krajobrazami, przyrodą i zwierzętami. Stamtąd też mój dziadek przywiózł ze sobą do Polski pierścionek zaręczynowy mojej babci. Mam go teraz na sobie, gdy ściskam go w dłoni i zamykam oczy widzę jak odtwarza się przede mną historia moich dziadków, wyobrażam sobie romantyczną chwilę, gdy dziadek po swoim powrocie klęka przed babcią na jedno kolano i zakłada pierścionek na jej palec. Czuję się jakbym poznawała ich na nowo; a po rozmowie z babcią, która opowiedziała mi historię tego jak poznali się w kawiarni na mieście niedługo po jej przeprowadzce z Polanicy Zdrój do Katowic, czuję też, że mam w sobie część z każdego z nich, że naprawdę należę do tej rodziny i jestem w niej kimś ważnym, kimś kto tworzy jej obecną historię.

Bardzo ważną częścią mnie jest polskie morze. Pobyt nad nim przynosi mi ukojenie, spokój, uzdrowia mnie. Moje pierwsze dalekie podróże odbyły się właśnie tam. Gdy byliśmy mali ja i mój brat co roku jeździliśmy z rodzicami nad Morze Bałtyckie, zatrzymując się po drodze u naszej rodziny w mieście Golub-Dobrzyń. Pochodzi stamtąd moja druga babcia – Maryla (ona także uwielbia podróże, stale żyje w trasie odwiedzając członków naszej rodziny!) i myślę, że to właśnie dlatego jestem tak połączona z morskim klimatem. Jako młoda kobieta dalej jeżdżę nad morze aby relaksować się i uprawiać sporty wodne, w tym roku uczyłam się kitesurfingu. Pobyt na północy Polski łączy mnie z rodziną, jestem w miejscu, z którego pochodzą moje korzenie i robię to co zakorzenione jest w mojej rodzinie - żyję na sportowo. Polskie morze otworzyło mnie także na inne morza i oceany. Każdy w naszej rodzinie ma w swoim życiorysie jakieś wyprawy. Zarówno moje babcie jak i dziadkowie, nawet jako starsze już osoby, wciąż jeżdżą na wycieczki zarówno po Polsce, jak i do innych krajów. Ich dzieci odziedziczyły po nich tą ciekawość świata, a ja zawdzięczam ją im, moim rodzicom – Aleksandrze i Mikołajowi. Co roku w czwórkę – ja, mój brat, moja mama i mój tata poszerzamy nasze horyzonty zwiedzając różne kraje, poznając kultury i oczywiście podziwiając architekturę, ponieważ moi rodzice są z zawodu architektami. To dzięki nim, ale także dzięki ich rodzicom i rodzicom ich rodziców rozwinęła się we mnie wrażliwość na piękno, sztukę, przyrodę, architekturę oraz innych ludzi. Cechy, które sprawiły, że mój tata został architektem – talent do rysowania, oryginalne spojrzenie na świat, kreatywność, to cechy, które umilają mi codzienne życie i pozwalają wyrażać się artystycznie. Z kolei cechy mojej mamy - myślenie analityczne i logiczne, umiejętność planowania, chęć do pracy w zespole, pomagają mi w moim życiu zawodowym i sprawiają, że nauka nowych rzeczy przychodzi mi łatwo.

Jestem niesamowicie wdzięczna za wszystkie cechy, które odziedziczyłam po moich krewnych, a także bardzo dumna z tych, które są nowe, które rozwijam w sobie sama. O wszystkie z nich będę dbać jeszcze bardziej wiedząc już skąd pochodzą. Dzięki temu, że poznałam głębiej swoją rodzinę, poznałam głębiej także samą siebie. Zrozumiałam, że nigdy nie jestem sama, bo jestem częścią wielkiej całości - mojej rodziny, a fragmenty tej całości były we mnie jeszcze zanim się urodziłam i zostaną ze mną już na zawsze.

## Stąd jestem

Marta Urbaniak-Piotrowska

Przeglądając stare pamiętniki natknęłam się na słowa zapisane pod datą moich urodzin: „Zadzwoiła do mnie babcia i zapytała, ile kończę lat. Powiedziałam, że dwadzieścia trzy, a ona na to –Mój Boże, ja miałam dwadzieścia cztery, gdy mnie wywieźli do Rosji. A potem to już koniec życia. Wróciłam po sześciu latach i byłam za stara na cokolwiek. A w każdym razie taka się czułam.”

Historia zaczyna się od beznoגיעgo Rosjanina, którego spotyka na letnim balu moja prababcia Wiktoria Iwaszkiewicz, kierowniczką szkoły w Mizocz, małej miejscowości gdzieś na Wołyniu. Rosjanin nogę stracił podczas pierwszej wojny światowej, od starego Kirgiza, który uratował mu wtedy życie, zyskał za to inny dar – wrózenia z dłoni. Nie wiem, co skłoniło moją prababkę do rozpoczęcia z nim rozmowy. Być może współczucie, bo młoda żona Rosjanina wolała bawić się w tańcu niż opiekować kalekim mężem. Nie muszę tego jednak wiedzieć, mogę to pozostawić domysłom. Teraz liczy się tylko to, że moja prababcia siada z Rosjaninem przy stole i zaczyna rozmowę. Czy to krótka wymiana uprzejmości, o pogodzie albo samym przyjęciu, czy głęboka konwersacja o życiu? Domyślam się, że raczej to drugie. Jeszcze ważniejsze jest bowiem to, co Rosjanin za chwilę powie. Czy jest tego świadom? Czy choć przez moment zastanawia się nad wagą niewypowiedzianych jeszcze słów? Czy może nie waha się, mówi ot, tak, co mu przychodzi do głowy, bo jest letnia noc, a ta młoda kobieta siedząca koło niego taka miła... Przysnaję, chciałabym wiedzieć jedno: czy jeszcze mu się to kiedyś zdarzyło? Czy był to jednorazowy przebłysk absolutu, czy może dar-przekleństwo, którym jak Kasandra obdarowywał tych wszystkich nieszczęsnych, stojących na jego drodze?

Rosjanin nie powiedział wiele, tylko tyle, że moja prababcia będzie mieszkała na Sachalinie, a jej syn trafi do kolorowego wojska.

Sachalin – rosyjska wyspa na Oceanie Spokojnym, w tamtych czasach niewyobraźalnie odległa od epicentrum moich korzeni. Wiele lat wcześniej cały reportaż poświęcił jej Antoni Czechow. Opisywał w nim system carskiego więziennictwa. Jednym z charakterystycznych tamtejszych widoków są trzy skały wystające z wody przy wybrzeżu, zwane „Trzema Braćmi”. Legenda głosi, że mogli oni opuścić wyspę pod warunkiem, że żaden nie obróci się za siebie. Jeden nie wytrzymał, a za karę skamienieli wszyscy trzej. Ku przestrodze tych, którzy będą próbowali stąd uciec.

Podejrzewam, że prababcia natychmiast zapomniała wróżbę beznoגיעgo Rosjanina, tak jak zapomina się sny. Bo kto zawracałby sobie myśli dziką wyspą gdzieś na krańcach Azji, niedaleko odległej Japonii?

Rangę przepowiedni oceniamy jednak po fakcie. O ile mi wiadomo nikt z mojej rodziny nigdy nie gościł na wyspie Sachalin. Nie poznał chłodu jej zim, nie rozczarował zbyt krótkim latem. Nie zmagął się z tajgą, nie spłynął nurtem górskich rzek, nie kąpał się w licznych, choć

plytkich jeziorach. Nie został jednym z trzech braci nierozsądnie (i egoistycznie!) odwracającym się za siebie. Zamiast tego los wygnał moich przodków do Kazachstanu. O którym moja babcia zawsze z uporem mówiła „Syberia”.

Kiedy powiedziałam jej, że spróbuję napisać o jej wygnaniu z Polski, obruszyła się. „Wygnanie? Czy można o mnie powiedzieć, że zostałam wygnana? Wygnana to by było, gdyby mnie wyrzucili z Polski, a mnie z Polski zabrano.” A jednak ja myślę, że to było wygnanie, wyrwanie z korzeniami, wbrew jej woli i bez przyczyny. Następnie przesadzenie do byle jakiej doniczki, niedopasowanej, za rzadko podlewanej. Pozostawienie na granicy wegetacji. „A potem to już był koniec życia” – powiedziała przecież babcia i to też pozwala mi myśleć, że jednak została wygnana.

Tylko za co? Jej ojciec – mój pradziadek, Włodzimierz Iwaszkiewicz, urzędnik w cukrowni przy majątku Karwickich, miał szlacheckie pochodzenia, ale bliżej mu było do ludu. Co go nie ocaliło. W wigilijną noc 1939 roku został aresztowany przez NKWD. Kilka lat później przyszło zawiadomienie, że zmarł w obozie pracy w Uhcie. Kiedy, tego z naszej rodziny nie wie nikt.

Jego żona, prababcia Wiktoria, ze swoimi rodzicami – moimi prapradziadkami Anną i Józefem Szymkowiakami, oraz swoją córką, moją babcią Zosią, była już wtedy dawno na wygnaniu w Kazachstanie. Było piękne lato, step spalony słońcem, suche, gorące powietrze, rozleniwiona natura. I prababcia Wiktoria taka nieobecna w tym wszystkim. Przeczynała?

Czasem zastanawiam się, co by było, gdyby to mnie nagle w środku nocy dali czterdzieści minut na spakowanie się, a potem wywieźli gdzieś, gdzie nigdy nie byłam i nigdy nie chciałabym być. Co bym ze sobą zabrała? Pewnie jak one – same niepotrzebne rzeczy. Garnki – a co tam można było gotować? Bizuterię – komu ją miały sprzedawać? Rosyjskie książki – nie mogły ich czytać! Prababcia zapomniała okularów i nie widziała wyraźnie liter, a babcia nie znała jeszcze cyrylicy.

Trzeba było pakować mydło, naftę, igły i nici do cerowania, chusteczki... Niedoceniane przedmioty codziennego użytku. Nudne. Niezauważane. Przyziemne. Czy jesteśmy w stanie docenić taką na przykład chusteczkę? Po latach nawet moja babcia chowała ją wstydliwie w zagięciu rękawa. A tam, na wygnaniu, był to towar cenny. Dla którego warto ryzykować. Tak jak wtedy, gdy zerwała się śnieżna burza, a mimo to babcia postanowiła zboczyć z drogi, by złapać ten skrawek materiału, który z rąk wyrwał jej wiatr. I potem próbowała trafić przez oślepiającą biel z powrotem na drogę, ale droga przestawała istnieć, tonęła w powodzi śnieżnych płatków. A gdy zniknęła i stawało się pewne, że to już koniec, nagle w całej tej totalnej śnieżnicy rozbrzmiało bzyczenie komara. Umieram, pewnie w takiej sytuacji przemknęłoby mi przez myśl, umieram i mam omamy, albo już umarłam i jestem w świecie, gdzie nic nie jest oczywiste. Ale moja babcia nie zdążyła nawet odgonić komara, by jej nie ukąsił, bo oto okazało się, że to wcale nie komar, tylko dzwoneczek przy dyszlu wołu, a ona sama jest z powrotem na drodze i spotyka sanie z człowiekiem gotowym ją uratować.

Cud? Były i inne. Gdy podczas robót w polu w świeżo zaoranym czarnoziemie zginęła część pługa (po ukraińsku „hystok”) pewnym wydawało się, że za sabotaż trafią wszyscy do łagru. Przejechali kilkanaście metrów, zanim się zorientowali. Nie było szans, by go odnaleźć. „Nawet ten twój Bóg nam nie pomoże” – powiedział do babci butny, nastoletni Ukrainiec, z którym pracowała i było to najłagodniejsze z bluźnierstw, którym ją tego dnia uraczył. „Czy przestaniesz bluźnić, gdy znajdę tę część?” – spytała. Po czym pewnie wsadziła rękę po łokieć



w rozpulchnioną ziemię, modląc się z całych sił, aż poczuła pod palcami upragniony chłód metalu. Hystok.

A kiedy któregoś dnia poczuła się źle, postanowiła w nocy wrócić do wsi, do swojej matki, mojej prabaci. Szła przez step, a na jej spotkanie wybiegła horda dzikich, wygłodniałych wilków. Przewodnik stada obwąchał ją, a potem dał sygnał pozostałym. Ich miarowe oddechy i lśniące w świetle księżyca oczy towarzyszyły babci aż do samej wsi. Wilki nie rzuciły się na nią. Odprowadziły ją, bo wiedziały, że nie należy już do świata ofiar, tylko do świata naznaczonych – piętnem tyfusu plamistego.

Krótko przed powrotem do Polski, na pytanie pewnej kobiety, która, zobaczywszy medalik na jej szyi, zdziwiła się: „pani taka wykształcona, a w Boga wierzy?“, babcia Zosia odpowiedziała: „ja nie wierzę, ja wiem”.

Beznogi Rosjanin też wiedział.

Jego wróżba sprawdziła się przynajmniej w połowie. Syn prabaci, mój wuj Ignacy, z niewoli rosyjskiej trafił do 2. Korpusu Polskiego pod dowództwem generała Andersa. Walczył w ramach sił Aliantów Zachodnich razem z przedstawicielami wszelkich kultur i narodowości. Kolorowym wojskiem.

Jeśli chodzi o drugą część przepowiedni...

Sachalin – to była nazwa dzielnicy, w której prababcia Wiktoria z babcią Zosią mieszkały od pierwszego dnia przez cały okres swojego wygnania na Kazachstan. A kiedy w latach dziewięćdziesiątych po raz pierwszy i jedyny pojechałam z rodzicami do Rosji wodolotem z Krynicy Morskiej do Kaliningradu, pierwszym, co po zejściu na rosyjski ląd ukazało się naszym oczom, był wielki biały statek o nazwie Sachalin.

88.

# Wujek Tadek

Zofia Niesiołowska-Księżak

—

# Babka Chamerowa

Jakub Buźniak

Patrzę na czarno-białe zdjęcie, chyba jedyne, jakie nam po niej zostało. W kadrze mój stary pokój – rozpoznaję ryczącego na makacie lwa i wersalkę z narzutą w pasy. Na niej siedzi kobieta, bardzo stara, pomarszczona i chuda. Wykrzywione artretyzmem dłonie złożyła na podołku i patrzy w obiektyw skupiona, cierpliwie wyczekując trzasku migawki. Obok dwójka dzieci, może dziesięcioletnich, chłopak i dziewczynka. Moje rodzeństwo. Jest rok siedemdziesiąty siódmy albo siedemdziesiąty ósmy i Polacy właśnie na dobre rozstają się z gierkowskimi złudzeniami. Ale fotografowanych niewiele to obchodzi, bo na politykę są albo za starzy, albo za młodzi. Dzieciaki rozpiera energia i tamtego letniego dnia nie mogą już wysiedzieć, czekają, aż zgrzytnie przesłona zorki, by zerwać się, wybiec z domu, popędzić na plażę albo do parku. Ich życie dopiero się zaczyna. Życie starej kobiety niebawem się skończy.

Patrzę na pooraną brudami twarz, twarz własnej prababki, którą wszyscy uparcie nazywamy babką Chamerową, i myślę właśnie o tym życiu. Długim, prawie stuletnim, zwyczajnym i zaskakującym. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku babka wysiada na gdańskim hauptbanhofie, wśród, jak pisał Miłosz, „krajobrazu dźwigów i kanałów, splecionych torów i zimowej mgły” i jest wygnańcem wśród tysięcy wygnańców. Są tu objuczone tobołami rodziny, z inwentarzem i ojcowizną schowaną tuż pod powiekami, są szare twarze dipisów, repatriantów, zabuzańców, wszystkich tych ulissesów, z samotną walizką i półlitrowką w kieszeni. Gdzieś w tym morzu ruin będą szukać swojej Itaki. To ludzie rozszczępieni, z dwiema połówkami życia, z przedwojnem i powojniem, które teraz trzeba jakoś połączyć, zszyć choćby najgrubszą dratwą. Trzeba nauczyć się świata na nowo. A on jest przecież inny, obcy, gotycki, pełen bruku, klinkierowej cegły, zapachu ryb i chrapliwej mowy bylejsz rasy panów.

Wyobrażam sobie babkę, jak patrzy na spalone miasto i wszystkiemu się dziwi. Ta analfabetka, wtedy sześćdziesięcioczeroletnia, urodziła się w Galicji, „na samym rogu tej starej mapy”, w czasach, gdy tym kawałkiem Europy, jakby wyjętym z obrazów Malczewskiego, władał dobrotliwy Franciszek Józef. Był tam dwór i dziedzic w tweedowej marynarce, mleko w kamionkach, stara studnia i kapliczka obsypana majowymi kwiatami. Byli żeńcy i znojna praca w letnim słońcu, a wokół morelowe sady i pozorny spokój poukładanego życia. Ale wąsatego cesarza już od dawna nie ma, nie ma też dworu i wsi, bo jak przechodził front, to Rosjanie albo Niemcy puścili wszystko z dymem. Jest tylko to miasto, w którym niedługo znów zaczną jeździć tramwaje i autobusy, które ma port pełen kominów i obcej mowy i szerokie, czteropasmowe ulice. Po jednej z nich idzie babka, owija twarz chustą, bo wieje od morza, i ściskając różaniec prosi Boga, by pomógł jakoś się na obczyźnie urządzić.

Nowe życie musiało babkę fascynować. Wiele lat później, gdy już zapuściła w Gdańsku korzenie, a miasto zapomniało wreszcie o wojnie i wypełniło się marynarzami oraz przybyłszami z „krajów zaprzyjaźnionych”, w naszym domu zaczęły pojawiać się goście. Niecodzienni.

Wietnamczycy, niemal zawsze z jakimiś warzywami, główkami kapusty lub marchwią w plastikowych „paryżankach”, smagli Arabowie i Angolczycy o oczach jak migdały i jasnobrązowej skórze. Kłaniali się, pytali, czy „babcia czynna” i zaraz znikali w jej pokoju, by popijać herbatę lub samorobne wino i rozmawiać. O czym? W jakim języku? Nie mam pojęcia. Nie wiem też, dlaczego mężczyźni, często przecież młodzi i zupełnie „nie stąd”, przychodzili do takiej starowinki? Ta, najwyraźniej zaintrygowana innością, zaczepiała ich, wychylała się z okna i machając ręką wołała „panie, panocku!”. Być może niepiśmienna i nie znająca się na zegarku kobieta imponowała odwagą i ciekawością świata, otwartym i, mimo podeszłego wieku, chłonnym umysłem. No więc przychodzili i jakoś tam, łamaną polszczyzną, rozmawiali o sobie tylko wiadomych, ale z pewnością bardzo ważnych sprawach. I tym sposobem babka Chamerowa, zupełnie bezwiednie, umacniała braterstwo między narodami przodującej i postępowej części ludzkości.

O jej intelektualnych dyspozycjach świadczy coś jeszcze. Babka czytała, wręcz pochłaniała książki, całą polską i światową klasykę, której PIW-owską kolekcję mój ojciec kupił, bo dobrze wyglądała na meblościance. Był tam Sienkiewicz, Prus, Reymont, Mniszkówna, Dumasowie, Orzeszkowa, Żeromski, Flaubert. Babka była zatem niepiśmienną miłośniczką dobrej literatury. Intrygujący paradoks. Czytać nauczyła się sama, jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, z podręczników własnych dzieci. Te posłała do szkół za cenę ogromnych wyrzeczeń. W domu pracowała tylko ona – prądziadek Jan wrócił z Wielkiej Wojny ciężko chory, „corny i bzydki”, nie domagał. Babka doglądała go, jednocześnie pracując w trzech różnych firmach. Jakoś starczało na czesne i życie. Pracowała zresztą prawie do śmierci. W Gdańsku najęła się w miejskiej „Zieleni” i przez ponad dwadzieścia lat, aż do osiemdziesiątki, każdego ranka wsiadała w tramwaj i jechała grabić ulice lub pielęgnować klomby. Władza dawała jej za to medale dla różnych przodowników i „siłaczek” z ludu, ale babka wzruszała tylko ramionami.

Patrzę na zdjęcie i uświadamiam sobie, że w losach tej kobiety odbija się cząstka polskiego losu, sto lat naszej historii. Sto bardzo burzliwych lat. Wszystko zaczyna się w CK Monarchii, potem jest Rzeczpospolita Paderewskiego, Dmowskiego i Piłsudskiego, groza wojny i groza powojnia, z tymi wszystkimi Bermanami i Mincami, szara stabilizacja Gomułki i gierkowska prosperita na kredyt. Babka odchodzi w lutym 1980 roku. Sześć miesięcy później wybuch karnawał Solidarności i PRL zaczyna trzeszczeć w szwach. Uśmiecham się do tych myśli. W dziejowym spektaklu babka była jedynie statystką, nie miała kwestii. Ale miała głowę na karku, dwie sprawne ręce i żelazną wolę, by przetrwać ten najokrutniejszy wiek. Udało się, nie złamali jej. Ani Hitler, ani Stalin, ani tubylecza komuna.

I Polski też nie złamali.

## Korzenie tożsamości: siła i determinacja Agnieszki Bednarczyk

Oliwia Bednarczyk

Wszystko, czym jesteśmy, zaczyna się od korzeni. To właśnie tam rodzi się nasza tożsamość, nasza siła i nasza determinacja. Agnieszka Bednarczyk, urodzona w trudnych warunkach w Warszawie, jest prawdziwym dowodem na to, jak zakorzenienie w historii i tradycji może kształtować naszą drogę przez życie.

Agnieszka wychowała się w trudnych warunkach. Nie miała wielu pieniędzy, ale miała marzenia i ogromną determinację. To nie były łatwe czasy, ale to właśnie one sprawiły, że stała się niezwykle silną i nieugiętą osobą. Wiedziała, że edukacja jest kluczem do lepszego życia, więc pracowała nad sobą każdego dnia. Nieustannie uczyła się, dążąc do osiągnięcia swoich celów.

Jednakże, jedno z najbardziej wzruszających wspomnień z młodości Agnieszki było związane z jednym flamastrami. Była to sytuacja, która na zawsze pozostała w jej sercu i wpłynęła na jej postawę wobec życia.

Pewnego dnia Agnieszka zabrała mnie, swoje jedyne dziecko, do sklepu z artykułami szkolnymi. W oknie widziałam te kolorowe flamastry i bardzo chciałam je mieć. Moje oczy lśniły ekscytacją, a serce wypełniło się nadzieją, że w końcu będę mogła się nimi cieszyć.

Jednak wtedy, jak to bywało w trudnych czasach, pieniądze były na wagę złota. Agnieszka miała dokładnie policzone każde grosze, a na te flamastry zabrakło nam kilku. Było to dla mnie trudne do zaakceptowania, i to wywołało w mnie wielkie rozczarowanie.

To wtedy stało się coś, co na zawsze pozostało w mojej pamięci, a także w sercu mojej mamy. Jakiś starszy pan, obcy człowiek, który nas zauważył, zdecydował się pomóc. Podeszedł do nas i bez słowa wręczył jej te brakujące grosze. To były grosze, które zmieniły nasze życie, otworzyły drzwi do kreatywności i nauki, przede wszystkim mojej.

To wydarzenie było dla Agnieszki nie tylko gestem dobroci, ale także dowodem na to, że w świecie pełnym trudności i niepewności istnieją ludzie gotowi pomagać. To wzruszające wydarzenie ukształtowało jej postawę wobec innych ludzi. Nauczyła się, że nawet w najtrudniejszych chwilach warto okazywać empatię i wsparcie innym.

Dziś, dzięki jej determinacji, ciężkiej pracy i wsparciu, mam wszystko, czego pragnę. Ale najważniejszą rzeczą, którą przekazała mi Agnieszka Bednarczyk, jest to, że sukces nie polega tylko na zdobywaniu dóbr materialnych, ale także na budowaniu relacji, okazywaniu wsparcia i wzajemnej trosce.

Podsumowując, nasza tożsamość jest jak korzenie drzewa, głęboko osadzone w ziemi, które kształtują nasz rozwój. Agnieszka Bednarczyk, to osoba, która nauczyła mnie, jak ważne są te korzenie i jak istotna jest empatia w naszym życiu. Jej siła, determinacja i miłość do drugiego człowieka stanowią dla mnie nieustające źródło inspiracji. Jej historia to opowieść o sile ludzkiego serca i o tym, jak małe gesty dobroci mogą zmieniać życie.

# Stąd jestem

**Zofia Kumor**

Regina, znaczy królowa. Cóż, może mama mojej prababci królową nie była, ale silna i zaradna kobieta, to za mało, by opisać jej osobę.

Wszystko zaczyna się w 1895 roku, kiedy w skromnym majątku na dalekim wschodzie, pod Witebskiem, rodzi się mała Regina Stankiewiczówna. Jej krewni otrzymali owy majątek za udział w powstaniu styczniowym. Regina dorastała wśród licznego rodzeństwa, wyróżniał ją zamyślony wzrok, gęste ciemne włosy układane według ówczesnej mody i łagodne rysy twarzy. Uwielbiała czytać, cechowała ją ambicja oraz niespotykana odwaga, pomimo nieśmiałości wypisanej w oczach. W tamtych czasach, kobieta była synonimem piękna, płochliwości i delikatności, a babcia Reginka, choć szykowna, elegancka i niepospolitej urody, z pewnością nie była płochliwą sarenką, chowającą się za silnym męskim ramieniem. Poszła na studia, jako pierwsza kobieta w rodzinie i wyszła za mąż z miłości, co w tamtych kręgach, nie było oczywiste.

Rodzinną sielankę przerwał wybuch I wojny światowej, która stała się początkiem końca europejskich mocarstw, jednak dla Polski była iskierką nadziei na upragnioną wolność. Rok 1917 przyniósł ze sobą rewolucję, a ponieważ szlachta jawiła się jako największy wróg ucieszonego proletariatu, młodziczka Regina musiała przerwać naukę i wraz z rodziną uciekać na zachód.

Trafili pod Wilno, już na tereny niepodległej Polski. Smak wolności, Regina poznała na rozległych zielonych polach, w rytmie wschodzącego i zachodzącego słońca, i wileńskich krajobrazów. Przez wojnę, nie skończyła studiów, ale rozpoczęła pracę jako nauczycielka. Babcia Reginka, po mężu już Wolakowa, władała kilkoma językami, mówiła biegle po niemiecku i po rosyjsku, gdyż, jak zawsze mawiała: język wroga trzeba znać. Urodziła trójkę dzieci, w tym najstarszą Wiesię – moją prababcie, Janusza oraz Wojtka.

Dwudziestolecie międzywojenne wspominała jako najpiękniejszy okres w jej życiu. W domu Wolaków dbano o dobre wychowanie i pielęgnowano wartości patriotyczne. Dla babci wolność była wartością bezcenną, a Polska drugą matką. Jako kobieta silnej wiary, powierzała swoich bliskich opiece Najświętszej Pani. Dbała o edukację dzieci, gdyż w mądrości dostrzegała prawdziwą siłę.

II Wojna Światowa, jedna z najkrwawszych i najbardziej zgubnych dla naszego Narodu, zastała babcię w Lublinie. Wolakowie mieszkali wówczas w kamienicy, a do ich mieszkania dokwaterowano żołnierza wehrmachtu, który jednak zachował w sobie resztki człowieczeństwa i nie sprawiał znanego problemów. Ta wojna była jednak dla babci Reginki prawdziwym egzaminem, bo właśnie wtedy poznała się na ludzkim okrucieństwie po raz kolejny.

Pewnego dnia do kuchni wpadła Ziułka, pomoc domowa. Młoda, blada z przerażenia dziewczyna, zdążyła tylko wyrzucić z siebie, że Wojtusia wraz z ojcem łapanka zastała. Na myśl o tym, że Niemcy postawili pod ścianą ukochanego męża i synka, babcia zdrząła w duchu, ale jak to babcia, ona nigdy się nie poddawała. Wiedziała, że jak nie zachowa zimnej krwi,

straci połowę swojej rodziny. Złożyła ręce jak do modlitwy i poprosiła Maryję o radę, potem założyła najbardziej szykowną sukienkę jaką miała w szafie i przećwiczyła szybko swój niemiecki. I tak, udając rodowitą Niemkę, wybiegła na podwórze i kiedy ujrzała Wojtusia w tłumie przerażonych ludzi, krzyknęła stanowczo, z perfekcyjnym niemieckim akcentem: „Hans! Do domu na obiad, co ty tutaj robisz?!” Zmieszany żołdak niemiecki pomyślał pewnie, że chłopiec jest Niemcem i wplątał się w łapankę wraz z ojcem zupełnym przypadkiem. Bacia stanowczym ruchem pociągnęła za rękaw Wojtusia i swego męża, a Niemiec przeproszał ją jeszcze za to nieporozumienie. Kiedy myślę o tym incydencie, jestem bardziej niż pewna, że babcia Reginka była najodważniejszą kobietą w mojej rodzinie.

Wojna nie zdołała jej złamać, nie udało się to również komunistom, wszak wnuczka babci Reginki, również nauczycielka, uczyła historii i śmiało mówiła o Katyniu, za co groziły wówczas surowe konsekwencje.

Babcia Reginka oprócz Polski, nauki i swojej rodziny, kochała również kwiaty, dlatego, będąc już w podeszłym wieku, pielegnowała je z ogromną radością. Pomimo swojej szlacheckiej krwi, nigdy nie bała się pracy fizycznej i nie stroniła od niej. Pewnego upalnego dnia, kiedy moja kilkuletnia wówczas mama bawiła się w ogrodzie, babcia Reginka dostała ataku serca. Pielili grządki i nagle upadła. Moja odważna krewna, kobieta, która przetrwała zabory, krwawą rewolucję obie wojny, komunizm, odeszła w 1975 roku, pozostawiając po sobie smutek i żal wśród bliskich. Nigdy jej nie poznałam, ale z opowieści jej wnuczki, a mojej babci, wiem, że była to kobieta, za której życiowymi radami staram się podążać.

## Stąd jestem

**Bogusława Jastrzębski**

Nie ma złych nacji tylko ludzie dobrzy i źli

Są w naszych domach rzeczy magiczne, przedmioty będące obiektami kultu. Są miejsca dokąd pamięć wraca bez wstępu. Kojarzą się z ludźmi, którzy odeszli, jednak w nas pozostali. Patrzymy na ich ulubione filiżanki i deserowe talerze, zaśniedziałe patery, poźółkle zdjęcia i stare marynarki przesiąknięte specyfikami na mole.

Niektóre z nich przypominają mi o kimś najważniejszym, który mnie ukształtował poprzez swą nieobecność. Mój dziadek Alojzy Szuścik rocznik 1905 zmarł kiedy byłem kilkuletnim chłopcem. Zdążył mi jeszcze opowiedzieć o rozbójniku Ramży, co sobie kazał konia podkuć na odwrót i tak mylił pogoń, Ondraszku, którego za zbójowanie poćwiartowano na rynku we Frydku. Zaludnił mą wyobraźnię strzygami ze szkaradnymi pyskami, stworokami i utopcami. Mówił o wielkim bogaczu Holtzu. Miał jeździć czerwonym powozem, a pochowano go w ogrodzie, w cynkowej trumnie. Fabrykancie Kaszycy, który psami żebraka poszczuł, za co ten go przeklął i Kaszyca stracił czucie w nogach. W tych opowieściach zło nigdy nie pozostawało bezkarne, a krzywda niepomszczona. To był dziadek domowy uczący szatkowania tytoniu krajalnicą, kładąc swoją dłoń na moich chłopięcych. Z nim chodziło się na basen, plewiło grządkę, karmiło króliki. Jego się podpatrywało gdy stawiał taboret przy oknie i kurząc papierosy własnej roboty, wypatrywał tego co minione, kiedy radio było zbytkiem, a noszenie butów przywilejem zarezerwowanym na słotne dni. Ćmił te swoje cuchnące gotowanym asfaltem papierosy i patrzył zapadając w taki wspomnieniowy trans przywołując do siebie tych wszystkich nieobecnych. Ze skrytek pamięci wywlekał dawno minione zapachy końskich popregów, skórzanych pasów, prochu z ładownic, smaków zaprzyszłych potraw, kolorów, które w jego głowie znowu wybuchały, wzbijając w górę tumany wspomnień. W swej prywatnej podróży do kresu czasu przekraczał kolejne pokłady sięgając coraz głębiej do dzieciństwa w małej wiosce jaką wówczas był Suszec, kuźni dokąd pomagał nosić wodę, a gorąc bił w niej od ścian i klepiska. Dziś na tym miejscu stoi kopalnia Krupiński. Do wyjazdów do miasta, do hut skąd przywoził siostrą kandyzowane skórki pomarańczy. Widział siebie w jakieś powstańczej kompanii. Szpik z niego był, to mu powiedzieli, patrz za rzekę, a kiedy będą szli ci z Freikorpsu, to mycką machej. Może nadal imaginował sobie, że winda paternoster wozi go, podrzędnego urzędnika Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, między piętrami Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Podglądając go nie mogłem nigdy zgadnąć, czy akurat gra w skata w sali Polonii, czy siedzi w okopach i myśli jedynie żeby wrócić do żony i dwóch córek.

Bywało, że milczał całymi dniami. Kiedy pytałem co mu jest, nic nie odpowiadał tylko brał garnek i szedł wody się napić. Zawsze miał naszykowane wiadro z wodą, obok emaliowany garnuszek i nim czerpał te wodę. Czasem cały duszkiem wypijał tylko mu grdyka chodziła jakby ptaka więził. Tak już miał, że jak go o coś trudnego zapytać, to szedł się wody napić. W te wodę uciekał.



Umarł kiedy byłem kilkuletnim chłopcem, umarł we własnym łóżku. Może ostatnią rzeczą, którą zobaczył było moje zakradanie się do kredensu, gdzie rodzice trzymali pomarańcze na święta. Patrzył na mnie jak wybieram jedną z nich i uciekam, by zjeść ukradkiem. Wiele razy próbowałem mu wytłumaczyć, powiedzieć że mi wstyd. Wstrzymałem wtedy oddech i usiłowałem przywołać go zza świątów. Stawał przed mną z przyklejonym do warg papierosem, a kiedy musiałem zaczerpnąć powietrze znikał.

Pozostały po nim: mundur, kilka medali, zeszyt z odręcznymi notatkami, litery koślawe i pokurczone, pismo z charakterystycznym „k” mocno pochylonym do przodu i „sz” przypominającym raczej rosyjskie „ż”. Album starych zdjęć. Na jednym mężczyzna w kapeluszu i w długim palcie trzyma za rękę małą dziewczynkę, to moja matka, kolejne ten sam mężczyzna w mundurze, usiłuje się uśmiechnąć, na odwrocie sierpień 1939. Dalej portretowe, głowa ogolona do skóry, pasiak i skrawek pieczęci punktu repatriacyjnego, datownik listopad 1947. Potem takie letnie, siedzi na ławce, goły tors, w zębach fajka, w rękę książką, przypomina Bobkowskiego. Z każdym z nich wiązała się jakaś opowieść, o którą nie zdążyłem zapytać. Zostało mi nasłuchiwanie, strzępy wspomnień, którym przysłuchiwałem się w trakcie rodzinnych spotkań, kiedy zasiadali do skata. Czasem nawet przykrywali lustra w szafach i etażerkach, by nie patrzeć sobie w karty, a kiedy zaczynali się klócić albo mówić o wstydliwych szczegółach z życia rodziny, przechodzili na niemiecki. Ich wspomnienia zaludniali polscy kawalerzyści, niemieccy szeregowcy, którzy zginęli Für Großdeutschland, Freiheit, Führer und Vaterland, krasnoarmiejcy w szynelach po kostki, przed którymi dziewczęta chowały się po piwnicach. Kleiłem z tego dziadka domowego na własną miarę, najpierw dziecięcą, potem dorosłą, dokładając do tego warstwę dziadka zewnętrznego, tego światowego z listy powstańczej, składu osobowego I plutonu Kompanii Obrony Narodowej walczącego w Mikołowie pod Sośnią Górą we Wrześniu 1939 roku. Tego wojennego gdy wrócił z niemieckiej niewoli. Wrócił po trzech tygodniach, tylko nie było do czego wracać, bo nie było już jego domu, ani Śląska ani Polski, którą zachował w dobrej pamięci dzięki osiemdziesięciolutowej podwyżce, którą podpisał osobiście premier Sławoj Składkowski. Wrócił i w cegielni się najął. Jukobowitza wywieźli, przysłali nowego gospodarza z Rzeszy. Nie był zły, nawet sowieckich jeńców po ludzku traktował. Kopiowym ołówkiem wypisuje liczbę wyrobionych cegieł i patrzy na wychudzone ciała radzieckich jeńców. Przynosi im chleb pod płaszczem.

Potem przyszli inni Rosjanie, witał ich z białą-czerwoną opaską oficera AK. Trafił do ten samej celi NKWD, w której wcześniej przesłuchiwało go Gestapo. Potem jechał bydlęcym wagonem na wschód wraz z tymi, dla których w styczniu 1945 roku na Śląsku nie było wyzwolenia. Jechał rąbać węgiel w Donbasie. W Donbasie będzie wypatrywał takich, którzy jemu podadzą glinianą kromkę albo resztki tytoniu. Wrócił po trzech latach z jednym płucem. W urzędzie wojewódzkim nikt na niego czeka, inaczej w pszczyńskim Urzędzie Bezpieczeństwie, w którym musiał się stawiać. Trwało to do późnego Gomułki, bo przecież był jeszcze kuzyn w Anglii, a taki życiorys i taki krewny, to w tamtych czasach przepis na katastrofę. Ustało wraz z Gierkiem, który lubił pokazywać się z powstańcami. Polska ludowa nie musiała się ich już bać, bo byli starzy, więc opasała ich medalami. Dziadek dostał Śląski Krzyż Powstańczy, medal „ Za udział w wojnie obronnej 1939” i Krzyż Walecznych z dodatkiem chlebowym. Trzymałem je na poduszce kiedy grabarze opuszczali jego trumnę. Padał deszcz, poduszka stawała się coraz cięższa, moje dłonie słaby.

Wiele lat po jego śmierci usłyszałem że stereotypów uczymy się na kolanach swoich dziadków. W jego opowieściach nie było złych nacji, złych Niemców, Polaków czy Rosjan, byli dobrzy i źli ludzie.

## Mrówki i ołtarze

Elżbieta Sawuła

W piwnicy w moim rodzinnym domu, obok półek z przetworami na zimę stał wielki kufer. Jako dziecko lubiłam zaglądać do skarbów, które były tam ukryte. Należały do nich stare palta, pachnące naftaliną, z kołnierkami ze skór jakichś wtedy nie znanych mi zwierząt, papiery, książki, zdjęcia, listy, pamiętnik sprzed wojny, puste i pełne flakoniki i sama już nie pamiętam, co. Ale skarby nie byłyby skarbami bez komentarza mojej babci. To „Anna Karenina”, której starszy brat nie pozwalał jej czytać, bo to nieodpowiednia lektura dla panienki. To listy od brata z Ameryki, byłego żołnierza Wojska Polskiego, który po zakończeniu II wojny nie chciał, czy nie mógł już wrócić do Polski. A ten mężczyzna w okularach i z wąsem na zdjęciu to Franek – stryjeczny brat babci – rzeźbiarz, ekscentryk, święty, duma rodziny.

Napatrzyłam się w dzieciństwie na ołtarze rzeźbione przez Franciszka. Podczas nudnych kazań mój wzrok ślizgał się po neogotyckich cieniutkich fialach, filigranowych rozetach, ornamentach rybiego pęcherza, który kojarzył mi się z płonącymi świecami. Znałam wszystkie pęknięcia, wszystkie puste miejsca po zagubionych żabkach. Obserwowałam smukłe anioły, niezmiernie symetryczne, z prawdziwie niebiańskim spokojem na twarzach. Święty Józef o nieobecnych spojrzeniu, lekko przygarbiony, z żyłastymi rękami przypominał jednego z tych stojących nieopodal ludzi siłą nawyku i poczucia obowiązku oderwanych od fizycznej pracy i zostawionych przed ołtarzem ze swoimi myślami.

Dopiero później, kiedy studiowałam historię sztuki, dowiedziałam się, skąd się wzięły te wszystkie subtelności gotyckich katedr na polskiej wsi w XX wieku i zainteresowałam się postacią Franciszka Maksymiuka, jednego z twórców tego procesu i dalekiego krewnego. Razem z moim mężem organizowaliśmy wyprawę „w poszukiwaniu Maksymiuka”. Odwiedziliśmy różne kościoły neogotyckie, robiliśmy zdjęcia, przeglądaliśmy archiwa, żeby znaleźć jakiś, choćby mały, zapis o naszym rzeźbiarzu, rozmawialiśmy z ludźmi, którzy mogli go znać. Pamiętam, na przykład, jak przyjechaliśmy do miejscowości Sadowne popołudniową porą i zobaczyliśmy neogotyckie, złożone, koronkowe ornamenty wykonane w latach 50-tych przez Franciszka i byliśmy naprawdę urzeczeni. Poza tym entuzjastyczne i ciepłe opinie ludzi, których tam spotkaliśmy, o naszym rzeźbiarzu miło nas zaskoczyły.

Od czego zaczęła się jego pasja do tworzenia ołtarzy? Chyba od tego, że do jego rodzinnej parafii w Komarówce Podlaskiej przyjechał snycerz, który miał robić ołtarz do nowego neogotyckiego kościoła. Widziałam umowę na wykonanie tego wyposażenia, bodaj z 1911 roku. U dołu same krzyżyki, chyba tylko jeden zwykły podpis. Niewiele osób na wsi wtedy umiało pisać. W tym czasie Franek mógł mieć około 12 lat, wszyscy wiedzieli, że lubi rzeźbić figurki z drewna, więc rodzice oddali go na naukę rzemiosła do wspomnianego snycerza. O ile wiem, była to jego jedyna „szkoła”, po ukończeniu której, o ile w ogóle ją ukończył, przyjechał i założył zakład w swojej wiosce, gdzie do końca życia rzeźbił, projektował, konstruował

wyposażenie do kościołów . Mimo braku konkretnego wykształcenia, umiał tworzyć piękne ornamenty, detale architektoniczne w różnych stylach, miał jakieś wrodzone wyczucie formy. Jego praca nie była dla niego zwykłą pracą zarobkową. Wydaje mi się, że widział w niej jakąś misję. Na początku XX powstało na wszach na wschodzie Polski dużo kościołów, zwłaszcza neogotyków. Działo się to wysiłkiem i tak już biednych ludzi i przeważnie brakowało pieniędzy na wystrój, jego uzupełnianie trwało jeszcze długo po II wojnie. I Franek w tym pomagał, jak mógł.

Na pewno nie zrobił majątku. Z tego, co wiem, w tamtych czasach z zapłatą było ciężko, nieraz musiał długo czekać, zanim ludzie zebrali pieniądze, a przecież trzeba było kupić materiały i opłacić pracowników zakładu. Żył najskromniej, jak tylko można, niczym jakiś średniowieczny mnich – w małym pokoiku obok swojej stolarni, w otoczeniu rzeźb, szkiców, własnych projektów, dłut i dłutek. Oprócz tych sprzętów podobno miał tylko stół, krzesło i łóżko. Nigdy się nie ożenił, mówił, że jego praca zajmuje mu zbyt wiele czasu, by starczyło dla rodziny, ale zawsze pomagał braciom i bratanekom.

Na żadnym z jego ołtarzy czy ambon nie znalazłam podpisu. Wzorem dawnych anonimowych mistrzów, uważał chyba, że dzieło jest ważniejsze od twórcy. Pracował nieraz do późnych godzin nocnych, rzeźbił, rysował projekty, nie oszczędzał wzroku, który stawał się słabszy. Zawsze był przyjacielski i uczynny, nawet dla niemieckiego oficera, który w czasie II wojny mieszkał niedaleko i nieraz podziwiał pracę artysty.

Nie znałam osobiście Franciszka. Zmarł w tym roku, w który ja się urodziłam, ale mój tato pamięta go, jak stał w kościele wyprostowany i skupiony . Może się modlił, a może, tak jak ja kiedyś, rozmyślał nad detalami architektonicznymi, co by tu jeszcze poprawić. W pewnym wieku chyba każdy człowiek odczuwa zwątpienie w to, co robi, kiedy wszystko wydaje się nie takie, jak miało być. Franek też w późniejszym okresie życia stwierdził, że nie będzie tworzył rzeźb, tylko małą architekturę, bo nie był z nich zadowolony. Zresztą w czasie jego działalności królowały już na dobre gipsowe figury - kolorowe, banalne i tanie, ale przecież odpowiadające gustom wielu ludzi.

Kiedyś Franka zaproszono na wesele. W czasie uroczystości zorientowano się, że artysty nie ma. Obraził się, źle się poczuł? Później ktoś z gości spotkał go w pobliskim lasku, zajętego obserwowaniem pracy mrówek. Może stronił od zgjelku, a może rozmyślał nad tym, że są ludzie, którzy, tak jak te mrówki, pracują dla innych nie myśląc o sobie, dla jakiegoś większego od nich samych celu i, że może w tym są drobiny szczęścia.

# Anielka

**Maria Malinowska**

Anielka urodziła się pod koniec XIX wieku w zaborze austriackim w rodzinie kolejarza jako najstarsza z liczego rodzeństwa. Ma to znaczenie, bo wśród opowieści o Anielce jako najstarsza informacja pojawia się to, że jako nastolatka namawiała mamę, by wraz z całą rodziną i dobytkiem wsiąść do podstawionego dla kolejarzy pociągu i udać się „na ucieczkę” przed pożogą wojenną do Austrii. Musiała być odważna, a także przekonująca, bo tak właśnie uczyniono, choć nie wiadomo, czy pozostanie na miejscu nie byłoby bardziej korzystne. W czasie pobytu rodziny poza wsią, ich dom spłonął i po przyjeździe tułali się jakiś czas wśród krewnych, a potem kupili dom na bardzo małej działce i znacznie mniej wygodny od utraconego. W Austrii urodził się braciszek Jaś, który tam zmarł i jego mogiłka została w Mariazell, gdzie rodzina przeżyła I wojnę światową.

Chyba Anielka była piękna i interesująca, bo w Mariazell spotkała młodego Bośniaka Milana, który został zmobilizowany, a przed pójściem na wojnę wręczył jej srebrny pierścionek z napisem „Mariazell” i obiecał, że ją odnajdzie, gdy wojna się skończy. To historia bez dalszego ciągu, chociaż... Moja babcia Anielka, która zmarła nagle w wieku sześćdziesięciu czterech lat, kiedy ja liczyłam sobie lat prawie osiem, jakiś czas przed śmiercią dała mi ten pierścionek. Opowiedziała wtedy o Milanie i o tym, że kiedy wychodziła za mąż za dziadka Antoniego, pytała księdza, czy nie powinna jeszcze na niego czekać. Ksiądz ją uspokoił, że gdyby Milan przeżył wojnę i szukał jej, już by się to wyjaśniło.

Na przełomie wieków wraz z mężem i synami pojechaliśmy w podróż sentymentalną do Mariazell i Ołomuńca, śladami mojej babci Anielki i dziadka męża Józefa, który zmarł w szpitalu w Ołomuńcu jako żołnierz armii austriackiej. Zostawił po sobie żonę i pięcioro dzieci. W bazylice w Mariazell widzieliśmy „milczące świece” przyniesione przez wiernych w 10-tą rocznicę zakończenia okupacji Austrii przez ZSRR symbolizujące kraje: Austrię, Bośnię, Czechy, Chorwację, Polskę, Słowację, Słowenię i Węgry. Zgodnie z intencją zostały one zapalone przez przedstawicieli tych krajów po ich wyzwoleniu się spod komunizmu. Grobu dziadka Józefa nie odnaleźliśmy.

Anielka urodziła czworo dzieci – trzy córki i syna. Kiedy dzieci były małe, mąż wyjechał do Ameryki, by zarobić pieniądze na ukończenie budowanego domu. Początkowo wszystko układało się zgodnie z planem, jednak kiedy wybuchł kryzys w Ameryce, pieniądze przestały przychodzić i Anielka zaznała niedostatku. By ją wspomóc, bezdzietny brat – nafciarz pracujący w Borysławiu zabrał do siebie na rok jedną z córek. Była to moja mama, która jako dziesięciolatka przez rok chodziła do szkoły z Polakami, Rusinami i Żydami i nie wspominała, by kiedykolwiek przeżyła jakiś konflikt z tego powodu. Po powrocie z Borysławia mama i jej młodsza siostra zostały umieszczone w zakładzie dla dziewcząt prowadzonym przez Siostry Felicjanki. Spędziły tam osiem lat, praktyczne jako dorosłe wróciły do domu po zakończeniu II wojny światowej. Kiedy były w zakładzie przysłała z Ameryki wiadomość o śmierci ich ojca.

Najstarsza córka została w czasie wojny wysłana na roboty do Niemiec, a syn Anielki ukrywał się przed wywózką. Po przejściu frontu został wcielony do polskiego wojska. Po wojnie starsze dzieci nie wróciły do domu – córka zamieszkała w Warszawie, a syn jako zdemobilizowany żołnierz otrzymał mieszkanie i warsztat ślusarski w Żaganiu. W mojej pamięci pozostał obraz tęskniącej babci, która oczekiwała odwiedzin dzieci. Nie zdarzały się one zbyt często.

Anielka była osobą czynną i zaangażowaną. Po wyjeździe męża do Ameryki pracowała w hucie szkła, chodząc do pracy piechotą sześć kilometrów. Prowadziła skup mleka. Założyła żeńską drużynę ochotniczej straży pożarnej. Po II wojnie światowej była radną gminy, a także członkinią zarządu spółdzielni mleczarskiej. Za swoją działalność otrzymała Brązowy Krzyż Zasługi.

Miała sześcioro wnuków przy tym jeden z wnuków był wychowankiem syna. Troje z nich ukończyło wyższe studia.

Pewnej zimowej nocy usłyszałam rozpaczliwe walenie w drzwi i głos babci: „Wstawajcie, ubierajcie się, bo się palimy.” Cały pokój był rozświetlony na czerwono, a z zewnątrz słychać było przeraźliwy świst wiatru. Mama z ciotką ubrały szybko mnie i brata, tzn. na nocne koszulki włożyły zimowe płaszczyki, a na bose stopy trzewiczki i mama zaprowadziła nas do sąsiada. Chciała nas tam zostawić, ale sąsiad powiedział jej, że tylko dzieci jej zostały, bo tam już nie ma po co wracać. Pamiętam, że jak szliśmy przez sad, koło nas przelatywały płonące fragmenty strzech i biegały zwierzęta, które wydostały się z płonących domów. Pamiętam też, że koszulka nocna była uszyta z białej flaneli w niebieskie słoneczka. Babcia, jej brat i córka zaczęli ratować dom, który jeszcze się nie zaczął palić.

Z późniejszych ustaleń okazało się, że w wietrzną styczniową noc samotna kobieta podpaliła swój dom. W tej części wsi zabudowania były bardzo blisko i ogień szybko się rozprzestrzenił. Spłonęło sześć gospodarstw, z czego pięć było pod strzechą, a jedno pod blachą. Nasz dom był murowany pod dachówką, jednak najbliższy płonący dom był oddalony od naszego jedenaście kroków i dachówka się pokrzywiła z gorąca, zaś na strychu była słoma i siano i iskry mogły w każdej chwili wzniecić pożar. Początkowo babcia z pomocnikami nosili po wąskich schodach wodę w wiadrach, aż wpadli na pomysł, by wziąć pościel, zamoczyć w wodzie i rozesać na strychu. Wtedy mogli skupiać się na mniejszej liczbie ognisk pożaru. Nasz dom został uratowany. Obecnie należy do prawnuczki Anielki – Kasi i za dwa lata będzie miał sto lat.

Niestety, po pożarze Anielka nie czuła się dobrze. Mówiła, że nałykała się ognia i piekło ją w przelyku. Po niespełna dwóch miesiącach dostała wylew i zmarła w ciągu tygodnia. Wszystkie dzieci Anielki zdołały przyjechać na pogrzeb. Na jej nagrobku został również upamiętniony mąż, zmarły przed laty w Nowym Jorku. W ciągu tego samego roku zmarło też kilkoro starszych sąsiadów, którzy ucierpieli w tym pożarze.

Jakiś czas przed śmiercią babcia zrobiła sobie zdjęcie portretowe i jak się później okazało, rozdała odbitki swoim dzieciom. Znalazłam jedną z nich w rzeczach wujka w Żaganiu, kiedy wraz z jego synową likwidowałam po jego śmierci mieszkanie. Oczywiście to zdjęcie widziałam wcześniej w domu, jednak zwykle nie zastanawiamy się nad rzeczami oczywistymi – ot, zdjęcie babci... Wtedy zastanowiło mnie, że przecież nie mogła mieć wiele więcej niż sześćdziesiąt lat, a z fotografii patrzyła na mnie starsza kobieta. Kiedy już miałam swoje dzieci, nieraz myślałam o tym jak wiele przeszła w życiu moja babcia Anielka. I nawet w naszej małej społeczności niewiele jest osób, które mogą ją pamiętać.

Anielka, córka autorki i prawnuczka Anielki jest kobietą piękną i interesującą.

## Bohater ze skłonnością do wybuchów gniewu

Magdalena Layer-Sarzotti

Z pamiętnika prababki Józefy Layerowej:

*We środę 20 lutego 1924r. odebrał sobie życie mój syn najukochańszy, moja duma, nasz bohater, kawaler orderu Virtuti Militari, mój Bronus maleńki (...).*

*Umarł mój syn, a ja żyję – dlaczego? Czy jesteś Boże na świecie, że możesz do tego dopuścić?*

Bronisław urodził się w 1892 roku, a zmarł tak dawno, że w rodzinie niewiele się o nim mówiło. Dziadek Edward oszedł gdy miałam pięć lat, nie zdążył mi więc nawet wspomnieć o swoich dwóch braciach – Bronku i Gustawie, a jego siostry Heleny, która zmarła wiele lat po wojnie, nie miałam okazji poznać.

Bronek miał 32 lata, był wojskowym i zmarł w szpitalu w Krakowie – tyle o nim wiedziałam do 2012 roku, kiedy przypadkowo wnuczka Heleny niechcący zdradziła mi, że tak naprawdę strzelił sobie w tym szpitalu w skroń. Po moich naleganiach pokazała mi pamiętnik naszej wspólnej prababci.

To właśnie w tym pamiętniku znalazłam fotografię Bronka, wykonaną krótko przed jego śmiercią. Młody, zmęczony życiem mężczyzna, bo już nie chłopak, o wilgotnych, pozbawionych jakiegokolwiek wyrazu oczach. Nie mogłam zapomnieć tych oczu i postanowiłam poznać tajemnicę Bronka.

Odkryłam, że w ogrodzie szpitala wojskowego w Krakowie zastrzelił się brat mojego dziadka Edwarda, Bronisław Layer, kapitan Szesnastego Pułku Piechoty Ziemi Tarnowskiej, odznaczony srebrnym krzyżem Orderu „Virtuti Militari” V klasy za wojnę 1918-1920.

Czy istnieje w Państwa archiwum karta choroby stryja lub jakikolwiek inny ślad tej sprawy? Na zdjęciu, zrobionym tuż przed śmiercią, stryj wygląda na człowieka w ciężkiej depresji. Podejrzewam, że jego desperacka decyzja mogła być spowodowana niesprawnością powstałą w wyniku odniesionych ran lub wiszącym w powietrzu skandalem związanym z nieotrzymaniem zgody dowódcy na ślub z ciężarną narzeczoną.

Na poznaniu prawdy o śmierci ojca bardzo zależy córce Bronisława, teraz już starsusze.

W pierwszej kolejności skontaktowałam się ze Szpitalem Wojskowym, w którym stryj odebrał sobie życie oraz z Archiwum Państwowym w Krakowie.

Odpowiedzi nadeszły szybko i były bardzo krótkie. Szpital poinformował mnie, że nie dysponuje już żadnymi materiałami z okresu międzywojennego i skierował do Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie.

Krakowskie Archiwum przesłało mi wpis dotyczący Bronisława w księdze zgonu zmarłych Chrześcijan Urzędu Zdrowia w Krakowie. Miał umrzeć w dniu 20.02.1924 r. w Wojskowym Szpitalu Okręgowym. W rubryce śmierci wpisano: „Vulnus sclopetarium capitis suicidium (rana postrzałowa głowy w wyniku samobójstwa)”.

Archiwum Wojskowe w Warszawie było w remoncie, który miał jeszcze potrwać dwa lata. Dotarłam natomiast do archiwum pułku, w którym służył Bronisław. Przyczyna jego śmierci nie była im znana, jednak przesłali mi bardzo interesujący dokument dotyczący nadania mu orderu *Virtuti Militari* po walce pod Rusiłowem w 1920 roku oraz pisemne zeznania dwóch świadków.

Trudno jest przeczytać dziś te zeznania, pisane drobnym, kaligraficznym pismem. Udało mi się jednak zrozumieć, że w czasie „kontrataku od Ostrowa” kilka oddziałów wycofało się z walki i również kompania stryja zaczęła się rozpraszać. Stryjowi udało się jednak zdyscyplinować swoich podwładnych i nakłonić ich do pozostania na polu walki. Gdy kawaleria bolszewicka była już niedaleko, kompania stryja, na jego rozkaz, otworzyła silny ogień i efekcie sparaliżowała akcję kawalerii bolszewickiej w sile półtora szwadronu, blokując jej drogę do Rusiłowa.

„(...) Kapitan Bronisław Layer ustawiwszy kompanię w szyku rozwiniętym do szarżującej konnicy odbija raz po raz dwie zaciekle szarże, a gdy po nich kawalerja nieprzyjacielska rozdzieliwszy się na drobniejsze grupy zajeżdża ze wszystkich stron, ostrzeliwuje się zwartymi plutonami tak długo, aż w skutek poniesionych strat kawalerja nieprzyjacielska wycofała się za własną tyraljerę (...)

Po tej porażce kawalerja nieprzyjacielska tego dnia więcej nie wystąpiła zaczepnie. Popołudniu tego samego dnia zajął kapitan Layer energicznym atakiem o godzinie 17.30 Rusiłów z powrotem (...)

Przez następne dwa lata, czyli do zakończenia remontu w Warszawskim Archiwum Wojskowym nie miałam żadnych nowych wiadomości o stryju.

Niestety moja wizyta po otwarciu archiwum nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Nie dowiedziałam się absolutnie niczego na temat samobójstwa Bronisława.

Udało mi się natomiast uzyskać sporo dokumentów rzucających światło na jego przeszłość – tę bohaterską i tę mniej chlubną.

Stryj był zawodowym żołnierzem, władał biegle czterema językami i cieszył się wielkim szacunkiem zarówno ze strony swoich podwładnych jak i zwierzchników, którzy podkreślali jego nadzwyczajną wytrzymałość na trudy wojenne, energię i charyzmę.

„Koleżeński, taktowny, odważny, doskonały dowódca, który umiał porwać w chwilach krytycznych tak oficerów jak i szeregowych żołnierzy” – takie opinie figurują w starych dokumentach.

Za męstwo okazane w bitwach Pierwszej Wojny Światowej został odznaczony Brązowym Medalem Waleczności, Srebrnym Medalem Waleczności II klasy oraz dwukrotnie Srebrnym Medalem Waleczności I klasy.

Z karty ewidencyjnej:

Znajomość języków: polski, niemiecki, ukraiński, włoski

Znajomość krajów: Kraje b. Austrii, Włochy północne, Litwa, Białoruś

Rany i kontuzje: 2/VII/1915 ranny, postrzał twarzy

Zawód, zatrudnienie przed wojną: prawnik

Data wstąpienia do armii obcej: 1 sierpnia 1914r. do 80 p.p.b. armii Austr.

Data wstąpienia do armii Polskiej: 5 listopada 1918 r.

A jednak ten odważny człowiek, niepodważalny bohater, doskonały instruktor i wychowawca, zastępca dowódcy batalionu miał, jak się okazało, i swoje słabości, które jeden z jego przełożonych dyplomatycznie nazwał „skłonnością do wybuchów gniewu”.

Dotarłam do orzeczenia sądu honorowego dla oficerów, dotyczącego naruszenia przez

stryja godności stanu oficerskiego. Wyrokiem sądu został wtedy skazany na karę czternastu dni aresztu domowego.

Stryj mój zaczął mianowicie, a następnie pobił przypadkowego przechodnia.

Jak można przeczytać w orzeczeniu : „W nocy z dnia 8-go na 9-go VI. 1921r. na ulicy, w stanie mocno podnieconym alkoholem zaczął pana Czesława Bandurę i po wymianie słownej czynnie go znieważał, czem wywołał publiczne zgorszenie.”

Stryj w swoim oświadczeniu nie stara nie bronić. Wyznaje krótko:

„(...) Znajdowałem się w stanie nieprzytomności i bardzo silnego alkoholicznego podniecenia, polegającego na tem, że nie zdawałem sobie sprawy z tego co czynię(...)”.

Z karty ewidencyjnej:

Poczucie honoru i godności własnej: b. duże

Odwaga, zachowanie się w boju: b. duża

Sprężystość cielesna: b. duża

Bystrość umysłu: b. duża

## PODSUMOWANIE

Stały i prawy charakter, skłonny do wybuchów gniewu (...).

W stosunku do społeczeństwa cywilnego taktowny. Bardzo towarzyski.

Ujma na honorze oficera mogła być powodem samobójstwa, jednak stryj po swym niechlebnym wyczynie powrócił do służby, a rok po zajściu został mianowany kapitanem piechoty.

Jego wojskowa kariera była więc znów w rozkwicie. Myśl o śmierci musiała z całą pewnością przyjść znacznie później.

Wybuchowy charakter stryja dał ponownie o sobie znać po koniec 1922 roku, kiedy to został ukarany dziesięciodniowym aresztem domowym za nieodpowiednie zachowanie się wobec funkcjonariuszy Policji Państwowej.

Nie wiem czy ten drugi incydent miał jakiś wpływ na jego dalszą karierę.

Na pewno w latach 1923-24 wielokrotnie przebywał w szpitalu, jednak nie udało mi się dotrzeć do żadnych informacji dotyczących charakteru leczenia. Podobno pod koniec 1923 roku w wyniku operacji podupał na zdrowiu i korzystał z urlopu zdrowotnego.

W styczniu 1924 skierowano go na leczenie do szpitala wojskowego, w którym, jak wówczas mawiano, dokonał zamachu samobójczego.

W wyniku mojego prywatnego śledztwa udało mi się odkryć, że w kilka miesięcy po śmierci stryja, przyszła na świat jego nieślubna córka – owoc romansu z pielęgniarzką polową.

Pojawiły się nowe pytania:

Dlaczego w ówczesnych dziennikach, w których informowano o samobójstwie każdej panny kuchennej, przemilczano śmierć oficera?

Czy Bronisław wiedział, że miało przyjść na świat jego dziecko?

Czy zamierzał poślubić jego matkę?

Jak powszechnie wiadomo, dowódcy pułków zwracali w tamtych czasach znaczną uwagę na stan majątkowy narzeczonych żołnierzy i mogli zatuszować samobójstwo, jeśli romans i nieślubne dziecko oficera było jego przyczyną.

Jeśli tak się stało w przypadku stryja, szanse na poznanie prawdy stają się znikome.



Dodatkową przeszkodę stanowi fakt, iż w 1939 roku, gdy wojska niemieckie wkroczyły do Polski, część akt wojskowych trafiła w ich ręce. Akta te obecnie są w posiadaniu Niemieckiego Archiwum Narodowego, które niestety nie odpowiada na moje listy.

Z Metryki Śmierci i Pogrzebu:

Stopień wojskowy: kapitan

Stan cywilny: wolny

Miejsce wypadku/śmierci: Szpital Okr. N. V w Krakowie

## **POST MORTEM**

Pięć lat po śmierci Bronka, zginął jego najmłodszy brat Gustaw. O Gustawie opowiadał mi często tata. Jego śmierć była dla mnie i kuzynów swoistą przestrożą. Gdy latem kapaliśmy się w Skawie, dorośli upominali nas, żebyśmy nie wskakiwali za szybko do zimnej rzeki, bo brat naszego dziadka wskoczył kiedyś za piłką i doznał szoku termicznego.

Po śmierci Gustawa prababka Józefa nie dała już rady niczego napisać w swoim pamiętniku. Wpisu dokonała za nią córka Helena:

Dnia 21 lipca 1929r. utonął w Popradzie w Piwnicznej (dokąd pojechaliśmy na wakacje) nasze wielkie ukochanie, nasza wielka nadzieja Gustuś, w wieku 19 lat. Był studentem I roku prawa na U.J.K. we Lwowie (...). Rozpacz po utracie tego udanego naszego Gustusia, który był anielsko dobry, a grał na skrzypcach jak wirtuoz - nie da się opisać. Mama nasza najdroższa załamała się po utracie tego drugiego syna.

Został jej syn Edward i córka Helena (...).

Śpij spokojnie aniele nasz.

### III MIEJSCE (Ex aequo)

## O Zofii i Tadeuszu, czyli o moich korzeniach

Michał Knopik

Korzenie są ważne. Bez nich trudno trzymać się podłoża i pobierać z niego to, co niezbędne do przetrwania. Zazwyczaj jednak widzimy roślinę bez korzeni, które schowane są przed wzrokiem głęboko w ziemi. Prawda, jak pisał wielki filozof, lubi się skrywać. Ale literatura powinna, jak kret, wchodzić w głębię i wydobywać na światło dzienne autentyczność – budować takie krecie kopce sensu. Przyjrzyjcie się, Drodzy Czytelnicy, mojemu kopcowi. Nie zasypujcie go zbyt szybko, nawet jeśli macie inną wizję piękna waszego ogrodu. Takie są moje korzenie nie pozwolę ich sobie wyrwać!

Nad Opoczmem zbierały się gęste chmury smogu. Ludzie palili, czym popadnie, a mróz nie odpuszczał. Dochodziła północ. Latarnie dawno zgasły, a miasto zasnęło. Sypał delikatny śnieżek, który po kilku godzinach zamierzał przerodzić się w śnieżycę. We wszystkich domach dzieci wtulone w swoje poduszki wyczekiwały Mikołaja, który nadejść miał z rana i obdarować ich prezentami. Prężyły się stopy polukrowanych pierników, a w radio całą dobę nadawano świąteczne melodie. Znamy to, prawda? Wszechobecne szczęście wylewające się z polskich domów niczym rzeka miłości zatapiająca nawet najbardziej zatwardziałe smutki i dąsy. Oto kolejna rocznica narodzin Zbawiciela – znów stanie się cud, a nadzieja i radość zagospodzą w naszych duszach.

Nie każdy jednak w Opocznie mógł sobie pozwolić na świętowanie. Pani Ela miała zbyt wiele na głowie, by móc poddać się tej corocznej magii. Za wiele złego ostatnio się działo w jej życiu i nie dało się tego odłożyć na margines bezmyślenia i zapomnienia. Nie miała męża, który wsparłby ją w trudnej chwili. Odszedł nieoczekiwanie kilkanaście lat temu. Zostawił po sobie podupadający biznes oraz długą listę niezłatwionych spraw, którymi wdowa musiała się zająć. Na szczęście miała czworo wnucząt, które kochała nad życie. Wnukowie odwzajemniali to uczucie w pełni – była dla nich babcią z prawdziwego zdarzenia: rozpieszczała, ale również ciągle motywowała do rozwoju, gdyż najszczerzej na świecie zachwycała się każdym, nawet najmniejszym ich osiągnięciem. Nikt, tak jak ona, nie płakał podczas ich scenicznych występów i wykrzykiwał ochy i achy, kiedy próbowała przygotowanej przez nich kanapki. Po prostu babcia-marzenie, babcia-balsam, babcia-troska, babcia-kibic...

Od miesięcy głowa Elżbiety nie mogła jednak wyluzować. Jej rodzice, już po 90., bardzo podupadli na zdrowiu i z dnia na dzień przestali radzić sobie z codziennością. Cudowni staruszkowie. Zawsze byli obowiązkowym punktem wizyty prawnucząt. Starodawny dom z dwoma pięknymi duszami, dla których rodzina była wszystkim. Największą radością. Dlatego każde z prawnuków starało się osiągnąć jak najwięcej sukcesów, by z dumą móc o nich opowiadać swoim kochanym pradziadkom: Zofii i Tadeuszowi.

W zamian mogli liczyć na ich wspomnienia. Dziadkowie lubili opowiadać – a nikt nie opowiadał lepiej niż oni. W końcu przeżyli prawie wiek, i to jak trudny wiek. Wojna, potem komunizm, a następnie gwałtowna zmiana systemu i gigantyczny postęp technologii, w której nie potrafili się odnaleźć. Ale próbowali... Babcia Zofia z przyjemnością testowała nowe modele bezprzewodowych telefonów i za każdym razem nie mogła wyjść z podziwu, że współczesny człowiek jest taki pomysłowy. Dziadek Tadeusz od współczesności wołał wspomnienia.

– I wtedy się pojawili... Wiedziałem, że to zły znak, ale postanowiłem stawić im czoła

– Naprawdę, dziadku? Jakim cudem przeżyłeś? – dziwiła się wtedy Hana, najmłodsza z wnuków pani Elżbiety.

– Okazało się, że to przyjaciele z nowiną. Warszawa została zdobyta. I mieliśmy kreta... Takie to opowieści miał w zanadrzu pan Tadeusz. Oprócz tego kochał rozdáwać słodczyce...

– Michał, mizernie wyglądasz! Poczekaj, dam ci jakieś ciastko!

– Nie dziadku, nie trzeba!

– Oj trzeba, trzeba! Jesteś u dziadka... A dziadkowie są od rozpieszczania!

Babcia Zofia natomiast była prawdziwą gwiazdą rodziny – niezłomną opiekunką starszego od niej nieco pana Tadeusza oraz oddaną matką, babcią i prababcią. Każdy członek rodziny miał założoną w jej głowie swoją kartotekę, w której zapisywała z precyzją kronikarza kolejne wydarzenia z ich życia. Niesamowita pamięć Zofii budziła zazdrość młodszych pokoleń rodziny. Przynajmniej nikt nie miał wątpliwości, do kogo trzeba zwrócić się, aby wyjaśnić kulisy jakiegoś zdarzenia sprzed kilku dekad lub określić koligację rodzinne z niejakim Zbyszkciem zza młyna lub z tajemniczymi dwoma ciotkami ze Staromiejskiej.

Babcia Zofia miała wewnętrzny instynkt, który podpowiadał jej, kiedy może swoim wnukom i prawnukom opowiadać o wojnie. Dla dziecka był to dowód, że w oczach babci jest już wystarczająco dojrzały, aby sprostać wyzwaniu i wysłuchać pięknej, ale jednocześnie bolesnej historii rodziny rozgrywającej się równoległe do losów Europy i świata. Zdziwiła wyrażność wspomnień babci Zofii. O wydarzeniach, w których uczestniczyła gdzieś między Kielcami a Radomiem jako siedmiolatka, mówiła jak o faktach sprzed roku. Zawsze płakała, kiedy wspominała małżeństwo młynarzy zamordowane na jej oczach za pomaganie Żydom. Wtedy prosiła słuchaczy, aby ich pokolenie nigdy nie doprowadziło do wojny, cierpienia i prześladowania kogokolwiek. Powtarzała, że widziała Zło z każdej strony i wie, że czasem sprawia wrażenie Dobra, mając tym samym sumienie człowieka. Dlatego trzeba kilka razy zastanowić się nad swoim działaniem i skutkami, jakie ono może spowodować. Bywa, że dobro wybrane przez jednego człowieka jest tylko jego dobrem, a szkodzi innym. Babcia Zofia nie moralizowała, ale opowieściami ze swojego życia, doprowadzała do sytuacji, w której słuchacz sam miał wyciągnąć wniosek. Ona tylko go wzmacniała swoim „a no właśnie!”.

Lecz wszystko, co dobre, z czasem się psuje – tak działa biologia i czas, niestety. I nadeszło to w najgorszym możliwym momencie – miesiąc przed świętami.

– Gośka! Ktoś dzwoni! Obierz proszę! – zawołała z kuchni pani Elżbieta do swojej córki.

– Dobrze, już lecę!

Odruchowo wzięła na głośnomówiący.

– Cześć, tutaj Bogdan – odezwał się głos w słuchawce – Babcia się przewróciła! W nocy chciała pójść do łazienki i wyrzuciła się o próg... Dziadek spanikował i nie wiedział, co robić. Właśnie trwają badania w szpitalu. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek wstanie.

Od teraz wszystko stało się jasne – seniorów rodu nie można zostawić samych, nawet na chwilę. Dziadek już prawie nie kontaktował, babcia nie mogła wstać.

Pani Elżbieta musiała zorganizować opiekę nad swoimi rodzicami i zrobić wszystko, aby jej mama mogła znów samodzielnie chodzić. Wiedziała, że kto jak kto, ale jej rodzicielka, bez ruchu załame się i całkowicie podupadnie na zdrowiu.

Wigilia. Była już ósma nad ranem, gdy cała rodzina zjawiała się u pani Zofii i pana Tadeusza. Okazało się, że babcia jest w ciężkim stanie. Ledwo oddycha. Nawet zaczęła chodzić ze specjalnym balkonem, lecz dziś nie miała siły. Trudno było rozpoznać w niej tę dawną siłą i bez przeszkód pracą do przodu kobietę.

Gdy wszyscy zasiedli do wigilijnego stołu, pani Zofia zarządziła, by odśpiewać kolędy. Swoim piskliwym, ledwo zipiącym głosem zaczęła „Bóg się rodzi”, lecz pani Elżbieta zabrała ją do sypialni, by trochę odpoczęła. Wtem zaświeciła pierwsza gwiazdka. Zgromadzeni, widząc ją, zaczęli się modlić. Jedynym prezentem, jakiego oczekiwali było zdrowie pradiadków.

Ktoś zapukał do drzwi. Lokalni kolędnicy zaczęli umilać wieczór gościom. Wkrótce przyszedł też ksiądz, zaniepokojony stanem zdrowia pani Zofii. Pomodlił się za jej długie życie, błogosławiąc też pana Tadeusza, który w obliczu ostatnich wydarzeń, zamknął się sobie i chyba całkowicie już stracił słuch.

Gdy kolędnicy i ksiądz wyszli, drzwi się ponownie uchyliły i zrobił się przeciąg. W mig wszystko zrozumiano – oto przybył zbląkany wędrowiec. Ugościli go jak domownika i zabrali się za pałaszowanie potraw i rozmowy. Przybysz zapytał o panią Zofię, a słysząc o jej stanie zdrowia pobiegł do sypialni i zaczął się modlić. Około godziny dziesiątej wyszedł z domu i udał się w dalszą drogę.

Pani Elżbieta była wdzięczna za to, że kolejna wigilia była taka ciepła i rodzinna, jak zawsze, lecz jednocześnie zdruzgotana brakiem poprawy stanu jej matki. Jakże się więc zdziwiła, gdy po raz kolejny otworzyły się drzwi i wleciał wiatr. Leciał płynnie, prosto w kierunku drzwi sypialni.

– Rany boskie! Co tu się dzieje? – zdziwiła się pani Elżbieta.

Drzwi sypialni się otworzyły. Wiatr omiótł panią Zofię, po czym... wstała, jak gdyby nigdy nic podeszła do stołu:

– Witam towarzystwo! Ja mam się świetnie, lepiej niż za starych lat! Czuję, że zostałam uzdrowiona... Dziękuję wam bardzo za modlitwę w moim imieniu, a Tobie, Panie – tu się przeżegnała – za to, że podarowałeś mi drugie życie.

– Ja również wam dziękuję! Boże, ja słyszę kolędy! – zawołał radośnie pan Tadeusz, dotychczas niedosłyszający.

Po tych słowach wybuchła prawdziwa ekstaza. Biesiadnicy przytulali się, dzielili się opłatkiem i miłością, ściskali panią Zofię i pana Tadeusza. I jedno jest pewne – te Święta na zawsze pozostaną dla bohaterów tej historii niezapomniane.

Ot, magia Bożego Narodzenia... Nieoczekiwany zwrot akcji, gdy wszystko ma się już ku końcowi... Gdy życie chciałoby wyświetlić swoje napisy końcowe, akcja zaczyna nabierać rozpędu.

Ot, magia wyobraźni... Niech się więc stanie! Niech rzeczywistość choć raz skopiuje słowa, a nie na odwrót. Tak wiele osób czeka na rozmowę z panią Zofią i panem Tadeuszem...

\*\*\*

Kiedy pisałem powyższy esej z motywami opowiadania, bardzo martwiłem się o zdrowie moich pradiadków. Brakowało nam wiary, że nastąpi przełom, więc chciałem stworzyć taki świąteczny nośnik nadziei. I udało się! Pradiadkowie są wciąż z nami. A literatura po raz kolejny udowodniła swoją moc ocalania i troski. Troski o korzenie – bez nich uschniesz.

# Karolina z Nepl

Elżbieta Maćkowska

Niepospolitą kobietą w mojej rodzinie była babcia Karolina Melaniuk, z d. Sterniczuk, która urodziła się we wsi Krzyczew, gm. Bohukały, pow. Biała Podlaska. Mieszkała tam zaledwie kilka lat, a większość swego młodego życia spędziła we wsi Neple w gm. Terespol, powiat Biała Podlaska, woj. lubelskie. Jej życie było ciężkie i to od najmłodszych lat. Mimo wielu cierpień do końca swych dni zachowała dobry humor i optymizm.

Jej matką była Anna z d. Klinczyk, pochodząca z Pratulina, która została żoną chorowitego, utykającego Teodora, syna ogrodnika, mimo iż kochała jego urodziwego brata. Ślub katolicki odbył się w nocy, była pewna, że ślubuje ukochanemu, ale rankiem w łóżu był nie on, lecz jego brat. Jednak noc poślubna odbyła się, więc odwrotu nie miała. Mimo podstępów rodziny Teodora, para z czasem zaczęła żyć zgodnie, a z tego związku na świat przyszło dwoje dzieci: Karolina i Antoni. Po narodzeniu dzieci Teodor zmarł, a jego rodzina wygoniła Annę z Krzyczewa, odmawiając prawa do spadku. Było to około 1903-1904 roku. Anna tułała się po rodzinie, od gospodarza do gospodarza, podejmując się różnych prac rolnych, aż w końcu trafili do majątku Zofii Dymusy z d. Kierbedź i jej męża Lubomira Dymusy w Neplach. Zamieszkali w tzw. czworakach, przydzielono im 1 izbę. Anna zaczęła pracować w kuchni, ale musiała rozstać się z jednym z dzieci – taki był warunek Pani „przyjmę cię do pracy, ale tylko z jednym dzieckiem”. Przy Annie pozostał młodszy Antoś, a Karolina, mając zaledwie 4 czy 5 lat „poszła na służbę” do swojej ciotki mieszkającej koło Janowa Lubelskiego. Tam pomagała w pracach domowych. Starsze dzieci ciotki pokazały jej litery, ale czytać nauczyła się sama z książeczki do nabożeństwa, pisać nie umiała, tylko nieporadnie się podpisywała. Nigdy do szkoły nie chodziła.

Gdy ukończyła lat 6 trafiła do gospodarza, aby opiekować się dzieckiem. Antoś w tym czasie pasał gęsi. Krótko, przed wybuchem I wojny światowej Karolina ponownie zamieszkała z matką i bratem, bowiem dziedziczka uznała, że już może w polu pracować. Jedną z Jej opowieści z tego czasu była ta o ucieczce za Bug, gdy we wsi pojawili się Kozacy, krzycząc, że zbliżają się Niemcy. W chlewiku, dobrze ukryta, zostawili świnę z pełnym korytem jedzenia i wodą, w obejściu kury, na wóz załadowali tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Po tygodniu wrócili. Świnia, chociaż chuda - żyła, kury zjedzone przez wojsko, obejście zdemolowane, a stacjonujący już we wsi Niemcy pytali – „po co uciekaliście? Do tej biedy na wschodzie?”. Z biegiem czasu Anna awansowała, wieść rodzinna niesie, że została szefową dworskiej kuchni. W 1925 r. babcia Karolina poznała Stefana Melaniuka z Mokran Starych. 7 lutego 1926 r. wyszła za niego za mąż. Stefan odszedł z ojcowizny i zaczął pracować u ówczesnej właścicielki Nepli – Zofii Jelskiej z d. Dymsza. Był gumienym, ale gdy Pani kupiła automobil, został jej kierowcą, a brat Karoliny, Antoni – kierowcą u kuzynki Jelskiej, Felicji hr. Romerowej, mieszkającej też w Neplach. Wspominała, że gdy żył mąż Stefan, powodziło się im stosunkowo

dobrze. W 1927 r. na świat przyszła córka Teresa, potem w 1931 r. Zosia, a w styczniu 1933 r. powiła bliźnięta: Irenkę i Rysia. Niestety, to co dobre szybko się kończy. Latem 1933 r., w wieku 31 lat zginął Stefan, ratując topiące się dziewczyny, które wypadły z łodzi, gdy wracali z sianokosów, przepływając przez rozległe jezioro. Jako jedyny z grupy młodych ludzi umiał pływać, wyłowił 6 dziewczyn, ale sam utonął. Najprawdopodobniej przyczyną śmierci był zawał serca spowodowany wysiłkiem. Karolina z czwórką dzieci została sama. Na domiar złego, niebawem zjawiła się u niej dziedziczka z żądaniem, by opuściła zajmowane pomieszczenia. Babcia harda była i odpowiedziała „Jaśnie Pani, mój mąż zginął pracując dla Pani, a ja się z mieszkania nie usunę, do pracy nie pójdę, bo mam małe dzieci!” Aby utrzymać rodziną najmowała się okazjonalnie do prac polowych u miejscowych gospodarzy jako tzw. wyrobница - a to za worek kartofli, a to za parę groszy. W końcu dziedziczka dała za wygraną i nawet wystarała się dla Karoliny o rentę po mężu. Otrzymała tej renty 65 zł, ale w tamtych czasach było to dużo. Np. za 20 groszy można było kupić garść cukierków. Gdy przychodziła renta babcia Karolina wynajmowała gospodarza z wozem i koniem i wyruszała na zakupy do Terespoła (7 km. od Nepel). Kupowała sól, mąkę, kasze, materiały na ubrania itp. rzeczy. Musiało wystarczyć na cały miesiąc. Dbała o dzieci. Wioskowa krawcowa szyla im ładne ubranka na podstawie żurnali, które jeszcze za życia przywoził jej mąż Stefan i brat Antek z Włoch, gdzie jeździli z Państwem.

W latach 1939-1945 Karolina pracowała przymusowo u Niemców. W czasie II wojny na chleb musiały zarabiać wszystkie dzieci Karoliny: Rysiek pasał owce i krowy u gospodarzy, Irenka bawiła dziecko u sołtysa, Tereska pracowała u niemieckiego ogrodnika, a Zosia była pokojówką w pałacu, zajęтым przez Niemców. Często pod obszernymi spódnicami przemycaly a to butelkę z mlekiem, a to jakieś warzywa – musiało starczyć na wyżywienie dla całej piątki, gdyż renta po mężu przestała przychodzić. W 1942 r. do obejścia Karoliny zawitał nieznajomy mężczyzna, fotograf z Warszawy. Karolina portret rodzinny zamówiła, a że mąż już nie żył, jego zdjęcie zostało do portretu wkomponowane. Po dwóch miesiącach fotograf pojawił się ponownie i już u wdowy został. Zajął się szewstwem, dbał o dzieci, pomagał Karolinie wychowywać je w szacunku dla dorosłych, do wiary katolickiej, do Ojczyzny. Dbał o wyżywienie. Babcia z nostalgią wspominała tamten okres swego życia. Niestety, pod koniec 1945 r. nie omijał już kieliszka z gorzalką, babcia zabroniła mu przychodzenia do domu, więc ją okradł i wyjechał.

W 1947 r. babcia Karolina i jej dzieci (Tereska była już zamężna) postanowili wyjechać na tzw. Zachód. W Nepelach większych perspektyw nie mieli. Nadal zajmowali jedną izbę, a w wyniku parcelacji majątku Jelskich otrzymali tylko 3 ha ziemi. Opowiadano, że na Zachodzie czekają duże gospodarstwa i to z zabudowaniami. Najpierw pojechał to sprawdzić mąż Tereski. Znalazł dla siebie i żony gospodarstwo we wsi Bielawy pow. Nowa Sól. Za nim przyjechała cała rodzina. Babcia Karolina z Zosią, Irenką i Ryśkiem zajęli nieduży domek. Było też nieco, bo 2,5 ha ziemi. Potem kolejna przeprowadzka, do większego gospodarstwa. W 1951 córka Zosia wyszła za mąż i wyjechała do wsi Różanówka, a w roku 1954 za mąż wyszła Irenka –mieszkała z mężem u matki. Rysiek poszedł do wojska. Nie wiodło się im na roli. Rodzinna opowieść głosi, że zaraz po ślubie, zięciowi Eugeniuszowi Cyganka przepowiedziała, że nr 13, pod którym mieszkali, nie przyniesie im nic dobrego. I tak faktycznie było: a to woda zalała uprawy, a to koń zdechł, a to kury i gęsi padły. W 1959 r. Babcia Karolina z Irenką, zięciem i ich dziećmi wyjechała do wsi Niechlów w woj. wrocławskim (obecnie dolnośląskie). Wybrali życie „na państwowym”: zięć został furmanem w PGR, Irenka prowadziła dom,

a w sezonie pracowała także przy pracach polowych. Babcia Karolina w tym czasie opiekowała się wnukami. Do końca swego życia mieszkała z Ireną i jej rodziną. Niedużą rentę, którą otrzymywała, nie zatrzymywała dla siebie. Kupowała prezenty dla wnuków, wspomagała swoje dzieci w potrzebie. Karolina zmarła w trakcie wizyty u córki w Różanówce w lipcu 1974 r. Odwiedziła wtedy Tereskę, Zosię i szykowała się do wyjazdu do syna Ryśka. Zmarła siedząc na krześle w trakcie ubierania się. Przyczyną był zawał serca. Miała lat 74.

Pamiętam, że pierwszy zegarek otrzymałam od babci Karoliny. Pamiętam ją z mego domu rodzinnego, gdy w białej chusteczce na głowie, w drobne niebieskie kwiatuszki, siedzi w kuchni przy stole i czyta gazetę, pamiętam, jak opowiadała nam dzieciom o duchach, magii, o ukochanych Neplach, zatopionym kościele, o pierwszych latach życia na Zachodzie. Zawsze podkreślała jak ważne są honor, odpowiedzialność, wiara katolicka, pomoc innym. Jako maluchy słuchaliśmy jej z otwartymi buziąmi, ale jak już podrośliśmy, nie byliśmy już zainteresowani wspomnieniami. Ogromnie teraz tego żałuję – tyle jeszcze mogłam się dowiedzieć. Żałuję, że nie spisywałam Jej wspomnień, pamięć jest wszak zawodna, a dokumentacja rodzinna, którą zgromadziłam, nie odpowiada na wszystkie pytania.

Babcia Karolina była osobą bardzo towarzyską, lubiła siadywać na ławeczce przed domem, spotykać się z sąsiadkami, poplotkować, powspominać. To nie były czasy TV, Internetu, za kontakt ze światem odpowiadał tzw. głośnik, gazety i właśnie te wspólne rozmowy rodaków. Teraz rozumiem jej czasami dziwne zachowania, nadmierną bojaźń czy też dużą religijność. Mimo tego co sama przeszła, jak nieciekawie potoczyły się losy Zosi i Tereski, jej dwóch córek, mimo życia w stanie wdowim do końca swych dni, mimo ciężkiej choroby i operacji jaką przeszła, mimo chorób, których doświadczyła - była moją Babcią Karoliną, przykładem osoby, która z pokorą przyjmowała od życia to co jej przynosiło, ale również pełną radości, pogody ducha, wierna wartościom, które wpajała nie tylko swoim dzieciom, ale i nam – wnukom.

Taka była moja babcia Karolina.

## Stąd jestem

Nikodem Szydłowski

Odzyskana pamięć „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród!”(Maria Konopnicka) Agresja Niemiec na Polskę pozbawiła życia wielu istnień ludzkich. Bohaterska postawa okupowanego narodu polskiego przyczyniła się do zwycięstwa nad Niemcami. Jedni walczyli z bronią w rękę, drudzy zmagali się z codziennymi problemami, by przetrwać następny dzień, a jeszcze inni skupiali się na pomaganiu potrzebującym w miejscu zamieszkania. Takimi bohaterami z czasów II wojny światowej byli moi prapradziadkowie: Edward i Franciszka Szydłowski oraz ich dzieci. Edward Szydłowski, urodzony 16 marca 1892r. w Warszawie. Po wybuchu I wojny światowej został powołany do armii carskiej. Losy wojenne rzuciły go na wschodnią Ukrainę w okolicę Charkowa, gdzie poznał Franciszkę Berych. Urodziła się ona 13 kwietnia 1895r. w miejscowości Kowala. Młodzi wzięli ślub pod Charkowem w 1917r. Tam, rok później urodziła się ich pierwsza córka Jadwiga. Pozostałe dzieci Zofia i Jerzy urodziły się już w Ogrodzieńcu, gdzie rodzina mieszkała od 1918 r. do 1933 r.. Dziadek po wielkiej wojnie był buchalterem i prowadził cementownię w Ogrodzieńcu oraz w Zawierciu. Byli bardzo zamożni. W 1933 roku nabyli majątek w Rudnie Dolnym. Tam postanowili przeczekać II wojnę światową. Mój prapradziadek dał się poznać jako wybitny gospodarz, społecznik, oddany mąż i ojciec. Nigdy biedakami nie gardził, lecz ich wspierał. Gdy wybuchła II wojna światowa i Niemcy stosowali zaplanowane i systematyczne ludobójstwo, rodzina Szydłowskich swoje serce kierowała na drogę pomocy tym, którzy potrzebowali wsparcia, żeby przeżyć. Kiedy władze okupacyjne rozpoczęły zakrojone na szeroką skalę działania wymierzone przeciwko społeczności żydowskiej, do Rudna Dolnego przybyli Żydzi. Moja rodzina bez oporu przyjęła ich i ukrywała w stodole. Ta stodoła dla wielu żydowskich istnień była przestrzenią ciągłego zagrożenia i walki o przetrwanie. Prapradziadkowie wiedzieli, że odpowiedzialność za Żydów, spoczywała na nich, ale jednocześnie byli świadomi, że życie osób, które udzielały schronienia Żydom, kończyło się egzekucją całej rodziny. Przekonani, że pomaganie innym jest ważniejsze od własnych potrzeb – pomagali. Znajomość jidysz ułatwiała prapradziadkowi kontakt z Żydami. W tym czasie coraz więcej Żydów przybywało do dworu. Już się nie mieścili w stodole. Zagrożenie stawało się coraz bardziej realne, bo w nocy wychodzili na wieś, a wśród miejscowej ludności był również kolaborant, który współpracował z Niemcami i sądził, że wykorzystywał istniejące wówczas prawo okupacyjne. Prapradziadkowie we dworze mieli służące. Dwie Żydówki – matkę i córkę. Z owym 2 szmalcownikiem, mimo ostrzeżeń ze strony prapradziadków, przyjaźniła się młoda Żydówka. Dnia 20 października 1943r. przekazała Jadwidze, że jest w ciąży z kolaborantem. Edward - pracownik Urzędu Gminy w Nowym Brzesku, oprócz wydawanych legalnie Kennkart, wypisywał też sfałszowane Żydom. Na miejsce tych, którzy odchodzili z Kennkartami, przychodzili nowi. Gdy rodzina dowiedziała się, że Estera jest w ciąży z donosicielem, prapradziadek, zdając sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpie-



czeństwa, wypisał Kennkarty dla niej i matki. Wieczorem Estera spotkała się z ojcem dziecka i oznajmiła mu, że wraz z matką posiadają własne Kennkarty. Były przekonane, że im pomoże. Do dworu przyszła z płaczem i opowiedziała, że ojciec dziecka kazał im się wynosić z Rudna Dolnego. Rano 21 października 1943r. wyszły na wieś, a gdy wracały do dworu, aresztowało je Gestapo. Kolaborant doniósł Gestapowcom na prapradziadka. Przy Żydówkach znaleźli fałszywe Kennkarty z jego podpisem. Niemcy zrewidowali Żydówki, zabrali Kennkarty i je wypuścili. Przerazone udały się do kolaboranta z nadzieją, że ich ukryje, lecz on wyprowadził je w pole i tam rozstrzelał. Widzieli to świadkowie, którzy jeszcze żyją. Na drugi dzień, gdy Edward wracał do dworu, na dziedzińcu dopadli go Gestapowcy. Pokazali rozkaz i chcieli go na miejscu rozstrzelać. Franciszka, kazała uciekać dzieciom. Sama wybiegła na dziedziniec i błagała Niemców, by darowali Edwardowi życie. Wówczas została uderzona karabinem w głowę i zalana krwią upadła. Jerzy i Zofia uciekli podziemnym tunelem. Gestapowcy zabrali mojego prapradziadka Edwarda, przewieźli go pod Miechów i tam zastrzelili. W dniu 14 czerwca 1946r. na posiedzeniu Sądu Grodzkiego w Miechowie Jan Jurkowski zeznał, że to on przewiózł zwłoki na cmentarz w Miechowie, a Jan Grzędziela wskazał miejsce pochówku Edwarda. Jak się okazało, zwłoki zostały złożone w zbiorowej mogile, ale poza murami cmentarza. Sąd 14 czerwca 1946r. wydał decyzję zezwalającą na ekshumację zwłok i pochowanie Edwarda Szydłowskiego na cmentarz w Miechowie. Zwłoki zostały odkopane, złożone w trumnie i w obecności najbliższej rodziny złożone do mogiły. Spoczywają tam do dzisiaj. Jadwiga zabrała matkę do dworu. Franciszka namawiała, żeby córka uciekała. Ale ona nie opuściła matki. Żydzi, widząc całe zdarzenie, wieczorem opuścili stodołę. Za parę dni Gestapowcy przeszukali wszystkie budynki. Aresztowali Franciszkę i Jadwigę. Zabrali je do więzienia Montelupich w Krakowie. W dniu 14 grudnia 1943r. do KL Auschwitz – Birkenau przywieziono transport liczący 21 mężczyzn i 13 kobiet skierowanych do obozu z więzienia Montelupich w Krakowie. Wśród tych więźniów była Franciszka oznaczona numerem 70460 – jako polska więźniarka. Moja praprababcia Franciszka 12 stycznia 1944r. została skierowana do komory gazowej, a następnie zagazowana. Jej imię i nazwisko widnieje na tablicy w Muzeum Auschwitz – Birkenau 3 w Oświęcimiu. Tam więzień przestawał być człowiekiem, stawał się numerem, odbierano mu tożsamość. Jadwiga z więzienia Montelupich trafiła do obozu w Płaszowie, skąd uciekła. W psychice ludzi, którzy przeżyli obóz, został ślad bolesnych wspomnień. Jadwiga opowiadała, jak w obozie była bita, poniżana, gwałcona i musiała stać nago na apelu, na mrozie. Jerzy po ucieczce ze dworu dostał się do Armii Krajowej i czynnie działał. Moim zdaniem rodzina Szydłowskich do końca życia zachowała swoją godność. Moi przodkowie wymagali od siebie zbyt wiele – nie mogli zbawić świata zdominowanego przez tych, którzy głosili ideę wymordowania milionów ludzi, tylko ze względu na pochodzenie. Tego, że trzeba pomagać, nauczyli się w domu rodzinnym i pomagania uczyli dzieci. Nie da się przecenić działań rodziny Szydłowskich jako oręża w walce o serca i umysły całej Ojczyzny – ale o życie kilkudziesięciu istnień żydowskich - tak. Oni nie byli „posłusznymi wykonawcami rozkazów”. Prapradziadkowie „hartowali patriotycznego ducha”. Dostrzegali, że w drodze do niepodległości stać ich było na pomoc potrzebującym. Wiedzieli, że jedyną sprawą, której są winni, jest lojalność i wierność ludziom i suwerennej Polsce. Są „żywą legendą ludzi”, którzy odważyli się „zmierzyć siły na zamiary”. Byli prawdziwymi bohaterami dającymi świadectwo, które wynikało z ludzkiego obowiązku i ich godności jako rodziny, ale nade wszystko jako Polaków. To oni potrafili „znaleźć drogę wyjścia ze ślepych zaułków, przytłoczonych emocjami i wydarzeniami”. Jestem z nich dumny, bo dzięki ich postawie należą do ludzi, którzy „zdali

egzamin z człowieczeństwa” i bezinteresownej miłości do drugiego człowieka. Nikt o nich nie słyszał, oprócz jeszcze żyjących świadków tamtych wydarzeń, ale obowiązkiem potomków jest, aby prawda i bohaterstwo było docenione. Bo „przeszłość – to dziś tylko cokolwiek dalej” (Cyprian Kamil Norwid). Nie mogę dopuścić, by po moich przodkach, którzy oddali życie za bliźniego w walce o niepodległą Polskę został „złom żelazny, i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”. Ratując życie innych, złożyli w „ofierze własne”. Moi prapradziadkowie stanęli po stronie dobra, honoru i życia. Zrobili wszystko – więcej nie mogli. Chwała i cześć bohaterom! Moi przodkowie zostawili drogowskaz, którym chcę podążać, by godnie reprezentować rodzinę Szydłowskich. Jestem uczniem technikum, żyję w innych czasach, gdzie nie muszę przelewać krwi za ojczyznę, bo jest suwerenna i doceniana na arenie światowej. Ale moim obowiązkiem jest być dobrym człowiekiem i godnym obywatelem wolnej Polski, za którą oddali życie moi przodkowie. To potomkowie ludzi, których „cierpienie zmieniło bieg historii. Sadzę, że w obecnych czasach społeczność świata musi zrobić wszystko, aby nie dopuścić do kolejnej wojny, która może zatrzymać historię świata. Nadszedł zatem czas, by moja rodzina dała świadectwo pomocy potrzebującym. Otwieramy oczy, drzwi i serca naszym sąsiadom. 4 Pomagamy tak, jak to czynili nasi prapradziadkowie. Ich duch jest pośród nas, bo mimo, iż zginęli z rąk okupanta, to wciąż żyją w nas - we współczesnym pokoleniu Szydłowskich, którzy wiedzą, że na pierwszym miejscu jest być dobrym człowiekiem. Ich życiowe decyzje traktuję jako przesłanie nadziei, która jest nieodzowna w dzisiejszym świecie pełnym wyzwań, kryzysów i trudności. Musimy wciąż dążyć do doskonałości moralnej, do nieustannego doskonalenia siebie oraz do zaangażowania w budowie społeczeństwa i świata. Poszukujemy prawdy i dokonujemy wyborów opartych na wartościach duchowych, moralnych, troski o innych ludzi i wspólnym dobru. Młodzi ludzie są w stanie wpływać na budowę lepszego społeczeństwa i świata, gdyż są twórcami przyszłości i mają potencjał do zmiany na lepsze. Prawdziwa miłość jest bezinteresowna, szanująca godność drugiego człowieka i gotowa do poświęcenia dla dobra innych. „Boże coś Polskę ... skrusz naszych wrogów zamiary szkodliwe”( Aloizy Feliński). Musimy pamiętać, że pokój i bezpieczeństwo to najcenniejsze skarby społeczności międzynarodowej. Bez względu na napotkane trudności i różnice trzeba się zjednoczyć, by przywrócić sprawiedliwy i demokratyczny porządek świata. By w obronie istnień ludzkich nie stracić swojego życia tak jak moi prapradziadkowie: Franciszka i Edward Szydłowscy. Czy jest to realne? Chęci i nadzieja jest.

## Mój Dziadek – bohater z czasów wojny i życia na wsi

**Michał Lichwała**

Mój dziadek urodził się w roku 1916, w okresie historycznym, który przyniósł wiele zmian i trudności na świecie. Jego życie było pełne wyzwań i przeżyć, które wpłynęły na kształtowanie jego charakteru i życiowej filozofii. Ten esejski portret opisuje życie mojego dziadka, który walczył w armii Andersa w czasie II wojny światowej, został przesiedlony na północ Polski, i stał się utalentowanym rolnikiem i “złotą rączką”.

Dziadek urodził się w czasach, gdy Polska była pod zaborami, a świat zmagał się z okropnościami I wojny światowej. To właśnie ta burzliwa historia wpłynęła na kształtowanie jego charakteru. Był młodym człowiekiem, gdy wybuchła II wojna światowa, i bez wahania wstąpił do armii gen. Władysława Andersa. Jako żołnierz tej jednostki przeszedł szlak bojowy przez Bliski Wschód i Włochy, walcząc w bitwach, które zapisują się w historii Polski.

Po zakończeniu wojny Dziadek, jak wielu innych polskich żołnierzy, znalazł się na emigracji. Ostatecznie osiedlił się w północnej Polsce, gdzie wraz z Babcią dostał gospodarstwo rolne w malowniczym Chudaczewie. To był moment, w którym zaczęła się kolejna, równie trudna, ale pełna nadziei i wyzwań, część jego życia.

Dziadek zawsze był osobą pracowitą i zdolną. Odziedziczył tę cechę po swoich rodzicach, którzy również byli rolnikami. Z czasem stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie rolnictwa. Miał pasiekę, gdzie produkował pyszny miód, a jego miód był znany w całej okolicy. Uprawiał również warzywa, które zaopatrywały nie tylko naszą rodzinę, ale także lokalnych mieszkańców w świeże i zdrowe produkty. Hodował krowy i świnie, dbając o swoje zwierzęta z oddaniem i starannością.

Jednak to, co naprawdę wyróżniało mojego dziadka, to jego umiejętność naprawiania rzeczy. Był “złotą rączką” nie tylko dla naszej rodziny, ale także dla sąsiadów i przyjaciół. Potrafił naprawić prawie wszystko – od drobnych napraw domowych po bardziej skomplikowane maszyny rolnicze. Jego warsztat był miejscem, gdzie zawsze można było liczyć na pomoc i fachową radę.

Co więcej, Dziadek był nie tylko utalentowanym rzemieślnikiem, ale także człowiekiem o wielkim sercu. Wspierał lokalne organizacje charytatywne i zawsze podnosił się z gotowością do pomocy innym, gdy była taka potrzeba. Był przykładem skromności, uczciwości i oddania swojej rodzinie.

Dziadek zawsze opowiadał nam historie z czasów wojny i emigracji, dzieląc się swoimi doświadczeniami i mądrością życiową. Jego opowieści nauczyły mnie wiele o sile charakteru, wytrwałości i znaczeniu pracy. Był prawdziwym bohaterem, zarówno na polu bitwy, jak i na polu upraw rolnych.

Niestety, Dziadek odszedł od nas wiele lat temu, ale jego dziedzictwo i wartości, które nam przekazał, pozostają w naszych sercach. Jego historia jest przykładem życia pełnego wyzwań i trudności, ale także pełnego miłości, pracy i oddania. Dziadek był i zawsze będzie ważną postacią w moim życiu, i jestem dumny, że mogłem poznać jego historię i dziedzictwo.

## Stąd jestem

Arkadiusz Stosur

Wróciłem wreszcie z Ukrainy na Święta Bożego Narodzenia do własnego domu na południu Polski. Do innego świata. Świata ciszy, spokoju i porządku. Tu było całkiem inaczej. Rodzina przygotowywała się do obchodów Święta Radości i Miłości. Tu nie było wystrzałów, ciemności, głodu, przerażenia i strachu

Kiedys było więcej śniegu – powiedział Dziadek. – Białego, lepkiego i delikatnego – dodał sentymentalnie ze wzruszeniem. Przygotowywał herbatę z suszonych owoców. W blaszanym kubku pływały owoce dzikiej róży, kawałki jabłka, aronii i porzeczek. Pachniało aromatem leśnych jagód. Zrobiło się słonecznie, choć za oknem było mroźnie. Ptaki siedziały wystraszone na parapetach chybotliwych gałęziach nagich brzoź i topoli. Dziadek wspominał dzieciństwo, mrużył oczy jak kot, unosił rękę i dyrygował. W myślach śpiewał kołędy. Był szczęśliwy. Śnieg widać było aż po horyzont.

Pasją Dziadka były ryby. Uważał je za święte stworzenia. Wieczorami szkicował ich głowy. Odtwarzał strukturę łusek, jak leśnego runa. Każdy szczegół był ważny. Godzina za godziną nanosił na kruchy papier kreski, które układały się w szkice, te w obrazki i obrazy. Uwielbiał wpatrywać się w każdy szczegół, kreślił szeroko ołówkiem jak pędzlem koliste ruchu. Jakby odpedzał muchy. Wtedy był najprawdziwszym artystą. Wtedy zmieniał się w wielkiego maga.

Cała rodzina pochylała się na rysunkami. Dzieci piszcząły z uciechy. Dorośli mruzcili z zachwytu. Świeciły się im oczy. Niewiele w tym roku było powodów do radości. A te ryby miały przynieść szczęście. Nawet martwe i papierowe. Trudno mieć osobisty stosunek do ryb i kochać je bezgranicznie, tak mówią. Są przecież tak bardzo inne, różne od nas samych i naszych przyzwyczajęń, emocji, myśli, dążeń i ambicji. Tak mówią. Może i nam jest trudno wyobrazić sobie, że jest się rybą. Ale czasem miałem wrażenie, że Dziadek przemienia się w dużego karpia albo suma. I wolno, dostojnie płynie środkiem jeziora, jak jego król. „Nie pyszcz nie pyszcz nie pyszczaj” często powiadał Dziadek do karpi pływających w wannie przed świętami. Wybierał jednego z ich i wpuszczał do jeziora z powrotem.

Bo przecież łowił je dzień wcześniej na srebrne wędzidło inkrustowane bursztynami świecącymi w słońcu. Nie przypominał on wielkich potworów morskich w opowieści o stworzeniu świata. Miał ponad metr długości, ważył niecałe pół kilograma kg. Ciało miało piękne, lekkie, wydłużone i wyciągnięte ponad miarę, wrzecionowate, otwór gębowy dolny, mięsisty zaopatrzone w dwie delikatne pary wąsików, łuski cykloidalne, duże, mocno osadzone w skórze. Płetwa grzbietowa była bardzo długa i falowała jak żagiel. Grzbiet miał ciemny, zielonkawobrazowy, boki jaśniejsze, pełne, ciemnooliwkowe ze złotym połyskiem, brzuch żółtawy, złocisty. Płetwy nieparzyste szarawoniebieskie, parzyste czerwonawe. Potem Dziadek siadał przy brzegach wanny i rysował. Karp już na zawsze znajdował się na rycinach i szkicach Dziadka. Każdy rysunek Dziadka był inny. Ryby wyglądały jak żywe. Mieliśmy wrażenie, że on sam, choć

niemłody, niekiedy zmęczony zmienia się w żywą rybę o niespożytej energii. Gdy znikał za drzwiami to wyglądało jakby wypływał na jezioro szerokimi ruchami bioder, nóg i rąk. Poruszał się powoli, dostojnie. Próbował dostosować się do nowego środowiska. Czy tego chciał, czy nie.

Na początku śmiesznie się poruszał, aż widoczne stały się płetwy, łuski zarastały całe ciało Dziadka. Poruszał pyszczkiem, stroszył się, zmienia kierunki, nabierał i wypuszczał powietrze. Puszczając bańki znikał w zielonym bezmiarze roślin wodnych. Wtedy wiedzieliśmy, że wszyscy pochodzimy od ryb. Ale w Wigilię przypłynął karp i zapytał – Dzień dobry, jakie są Twoje marzenia, wybierz jedno z nich i może ponegocjujemy jego spełnienie. Pamiętaj jednak, że musisz pogodzić się z dziećmi. Dziadek westchnął i odpowiedział po krótkim namyśle: – Moim marzeniem jest zostanie pustelnikiem. Cały majątek zostawiam wam, byście się nim dzielili z innymi. A zwłaszcza dbali o zwierzęta. Chcę byście leczyli za darmo chore zwierzęta w klinice świętego Franciszka. Czasem Was odwiedzę i pobłogosławię. Chcę bardzo zniknąć na zawsze... I nie wracać do tego świata... on już nie jest mój... Po chwili za oknem zajaśniała pierwsza gwiazda, świeciła jasnym pełnym światłem.

Ten rok był trudny: tata chorował, mama źle się czuła, straciła po wakacjach pracę, zmarła babcia. A dziadek oddalał się od nas. Dlatego ważne było wspólne spędzenie Świąt, popatrzenie sobie w oczy. Połamanie się opłatkiem i wspólne spróbowanie potraw wigilijnych. Wtedy wspólnota daje poczucie bezpieczeństwa, ciepła, można odetchnąć i odpocząć. Dziadek mówi, że najważniejsza jest tradycja. Jej nie może zabraknąć. Bo w niej mieszkamy jak w domu. Dzieci ubrały pięknie zieloną choinkę, która stała się złota i czerwona.. W całym domu unosi się już ten niepowtarzalny słodko-gorzki zapach świąt Bożego Narodzenia.

Trzeba teraz przyrządzić ostatnie potrawy, zrobić małe zakupy, zapakować prezenty, ubrać się odświętnie. Wigilia to dzień najpiękniejszy, a przecież wszyscy czekamy na wieczór. Karp już nic nie mówi. Jest potrawa. Będzie w nas. Tak jak opłatek, barszcz i pierogi. I wreszcie nadeszły Święta. Pałą się świece, płaczą ludzie, szczęśliwe są zwierzęta, choinka świeci kolorowo, pachnie świerkiem i jodłą...

Patrzyłem w lekki i jasny płomień świecy, śpiewałem kolędy, ale myślami byłem gdzie indziej... w ciemnym lesie, płynąłem rzeką i bałem się, czy dożyję poranka, czy znów otworze oczy i zobaczą wysokie drzewa, czy usłyszę śpiew ptaków, który budzi do życia...

## Kwietny ogród Zosi

Elżbieta Skoczylas

Moja Mama bardzo lubiła kwiaty. Wszystkie, bez wyjątku.

Mama była oazą dobra, spokoju i uczynności. Bardzo kochała nas – swoje dzieci Ele i Benia oraz oczywiście swojego męża Czesława. Była osobą niezwykle pobożną. Po tym co przeszła w życiu zawsze wszystko zawierzała Bogu.

Moja mama – Zofia Bazylewicz z domu Korolewicz była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, jedną z dwóch córek Józefa i Anny (z domu Bul). Urodziła się 17 września 1937r. w Dąbrowie - powiat Łuck, woj. Wołyń, gdzie mieszkała wraz z rodzicami.

W lutym 1940r. wraz z całą swoją rodziną została zesłana na Sybir, gdzie osiedlili się w barakach w lesie, w miejscowości Chołm (woj. Wołogda). Rodzice i starsze rodzeństwo Zosi – Józia, Piotr, Broniek, Franek i Janek pracowali w lesie przy wycince drzew. Praca ta była bardzo ciężka i niebezpieczna, a wynagrodzenie za nią tak małe, że nie wystarczało na wyżywienie. To były niezwykle ciężkie czasy zarówno dla dorosłych, jak i dzieci, do których przecież zaliczała się Zosia. Podczas pracy w lesie siostra Mamy - Józia została przygnieciona przez drzewo. Moja babcia leczyła ją sama. Moja Mama również często chorowała. W wieku trzech lat stwierdzono u niej artretyzm. Babcia Ania leczyła ją różnymi domowymi sposobami. Robiła okłady z liści kapusty, ciepłych nasion i ile się dało wystawiała ją na słońko.

W 1942r. w czerwcu cała rodzina mojej Mamy została przetransportowana do miejscowości Kamczuga w obrębie tego samego województwa. Mieszkali tam około roku. Siostra Mamy Józia po wypadku nie pracowała już w lesie. Zaczęła szyć. Babcia Ania również zarabiała szyjąc dla „bogatyń”. Nie mając co zrobić w tym czasie z małą Zosią często zabierała ją ze sobą. Babcia Ania była bardzo dobrą krawcową, więc nikt z klientów nie protestował przeciw obecności małego dziecka. Zdarzała się nawet, że klienci darowali Zosi coś do jedzenia, nieraz nawet owoce. Babcia Ania z pozostałych po szyciu małych skrawków materiału szyła małej Zosi szmaciane lalki i ubranka dla nich. Laleczki tak podobały się innym dzieciom, że czasami mała Zosia musiała je oddać córkom „bogatyń”. Babcia Ania mówiła: „Zosiu uszyjemy ładniejsze” i Zosia oddawała swoje lalki. Zdarzało się, że w zamian dostawały za lalki trochę cukru, mąki lub jajek. Lepsze jedzenie poprawiło stan zdrowia małej Zosi.

Następnym etapem zesłania była miejscowość Krasnoje (pow. Tarnoga, woj. Wołogda). Babcia Ania nadal chodziła do „bogatyń” szyć i wszędzie zabiera ze sobą Zosię. W tym czasie bracia Zosi – Piotr i Jan wstępują do I Dywizji Kościuszkowskiej, a ojciec Józef zostaje wysłany na roboty wojskowe.

Kolejnym etapem tułaczki było przewiezienia we wrześniu 1944r. rodziny do Sowchozu im. „Frunżego” w rejonie Domaniowska, woj. Odessa. W Sowchozie do pracy w stolarni poszli dwaj niepełnoletni chłopcy - Broniek i Franek, zaś mama i siostra Zosi - Józia zarabiają nadal na jedzenie szyciem.

Z Sowchozu w wagonach bydłych wywieziono moja babcie Anię, mamę Zosię, oraz Józię, Franka i Bronka do Polski. Po długiej i męczącej podróży dotarli do Góry Śląskiej (ówczesne woj. wrocławskie). W lutym 1946r. zostali osiedleni w Górze Śląskiej i oczekiwali na powrót reszty rodziny. W maju powrócił z frontu brat mamy – Piotr. Przeszedł pieszo cały szlak od Lenino do Berlina. Latem z robót wojskowych wrócił ojciec małej Zosi – Józef. Wszyscy czekali jeszcze na powrót z frontu brata Jana. Niestety dotarła do nich wiadomość, że zginął on pod Lenino.

We wrześniu 1946r. moja Mama Zofia rozpoczęła naukę w szkole podstawowej w Górze, gdzie ukończyła siedem klas. Potem uczyła się jeszcze w szkole zawodowej, której niestety nie ukończyła. W tym czasie pracowała już w gospodarstwie rodziców.

Zosia zawsze była ulubienicą swoich braci, jako najmłodsza zawsze dostawała od nich słodycze, ale również „kuksańce” - jak mówiła.

W 1955r. moja Mama podjęła pracę w PSS Społem w Górze jako ekspedientka w sklepie spożywczym. Pamiętam jak opowiadała o manku, które zrobiła w tych delikatesach jej koleżanka. Mama była wzorem uczciwości, ale niestety kierownik kazał spłacać dług wszystkim ekspedientkom, które wtedy pracowały. Mama płaciła solidarnie, choć wiedziała że nie ukradła ani grosza. Nie użalała się. Prawda szybko wyszła jednak na jaw. Koleżanka z pracy po przeprowadzonym „śledztwie” przyznała się do wszystkich nadużyć. Mama została oczyszczona z zarzutów, a dodatkowo przeproszona w obecności całego zarządu przez kierownika PSS. W 1960r. Mama zostaje zatrudniona w spółdzielni Inwalidów „Jedność” jako kierownik sklepu w pasmanterii. Tam też poznaje mojego Tatę Czesława, który namiętnie kupuje guziki. Moja Mama spotykała się z Tatą obok stawku, który znajdował się w połowie drogi od ich domów i opowiadali, że „tam koło stawku jest taki dołek, gdzie Tato czekał na Mamę” – bo tak długo się „stroił” – zawsze dopytywaliśmy gdzie jest ten dołek i śmiechu była co nie miara.

W 1961r. moja Mama wyszła za mąż. Wkrótce urodziła dwoje dzieci: córkę Elżbietę swoje „złotko pozłacane” i syna Bernarda, który w wieku 6 miesięcy zachorował na koklusz. Opieka nad dziećmi przerwała jej pracę zawodową. Wielka wiara w Boga i jej samozaparcie nieprzespane noce, spacerowanie po gazowni i iglastym lesie przyczyniły się do wyzdrowienia Bernarda – chociaż lekarze patrzyli na to sceptycznie.

Bardzo kochała nas - swoje dzieci, poświęcała nam każdą chwilę, ale nadal bardzo bała się o mojego brata, bo w wieku 3 lat nadal nie mówił. Bardzo to przeżywała i oczywiście wszystkie modlitwy odmawiała z prośbą o dar mowy. Pewnego razu stał się cud. Mały Benio siedząc u swoich dziadków w domu, w wózku wypowiedział swoje pierwsze słowo – klon. Powiedział to patrząc na kwiatek, który stał na parapecie, Mama chwyciła go na ręce zaczęła płakać ze szczęścia, skakać i wołać „cud stał się cud”. Później zawsze mówiła, że to cud boży. W 1969r. moi rodzice kupują gospodarstwo rolne, wspólnie robią remont domu i obejścia. Oczkiem w głowie mojej Mamy jest ogród kwietny z wieloma krzewami róż, dużymi polaciami obsadzonymi konwaliami, cyniami, niezapominajkami oraz niezliczoną ilością różnokolorowych tulipanów. Praca na gospodarstwie jest ciężka, ale Mama jest zawsze pogodna. Siłę jej dawała wiara w Boga. Jej powiedzenie „niedzielna praca w g... się obraca” zawsze nas śmieszyło, ale Mama w niedzielę zawsze uczęszczała do kościoła na mszę św. i udzielała się w zgromadzeniach kościelnych.

Jej wielką miłością były też wnuki, których się doczekała. Piątka maluchów (Monika, Mateusz, Kasia, Radek i Aleksandra), którym poświęcała każdą wolną chwilę. Organizowała im ogniska, przygotowywała im ulubione smakołyki.



W 1991r. w sierpniu ze względu na zły stan zdrowia przechodzi na rentę inwalidzką. Nadal pielęgnuje swój ukochany ogród, uczestniczy w życiu kościelnym i poświęca swój czas rodzinie. Moja ukochana Mama zmarła po ciężkiej chorobie w styczniu 1998 roku. Trzy miesiące jej cierpienia, które znosiła z godnością i pokorą, były dla mnie i brata ogromnie trudnym przeżyciem, ale nauczyło nas jak można pokazać godność i siłę w obliczu śmierci.

Mama przez całe życie dawała nam wzór jak można być pięknym człowiekiem. Pomimo tego, że nie miała nawet średniego wykształcenia cechowała ją niezwykłą mądrość życiowa i inteligencja. Czasami jej jedno spojrzenie, gest było dla nas czymś więcej niż wiele słów. Jej życiowym mottem były słowa kierowane często do nas - dzieci – „żyjcie tak, żebyście nie musieli nikogo przeproszać”. Kierujemy się z bratem tymi słowami do dzisiaj.

Taka była moja Kochana Mama Zofia. Bardzo za Tobą tęsknię!

102.

# Stąd jestem

Jakub Buczek

—

## Jesteśmy ledwie wspomnieniem, westchnieniem milczących – o dziadku Stefanie Pabijanku, który przetaił ścieżki wrażliwości

Jakub Pabijanek

Oddychałem ciężko, ale miarowo, z otwartego okna wiał przeraźliwy chłód, a ja przykryty po samą szyję czułem, jak marznę i cały się trząsam. Właśnie co zszedłem ze szczytu do schroniska, gdzie nie czekało na mnie nic, prócz starego rozprutego materaca, nieczyszczonego od niepamiętnych czasów. Dostałem pokój z nieszczelnym oknem i przepaloną żarówką, która z początku mrugała rytmicznie, by po chwili całkowicie zgasnąć i spowić malutkie pomieszczenie w całkowitym mroku. Samotny, zmęczony, otulony kołdrą, leżałem, uprzednio wzięwszy zimny prysznic w łazience, która równie dobrze mogłaby służyć za schron, albo miejsce do produkcji nielegalnego alkoholu. Do zakamarków mojego umysłu zapukało wspomnienie przeszłości, bardzo odległej, bo znałem je tylko z opowieści. O swoim dziadku słyszałem różne historie – te pochlebne, chwające jego zasługi i te mniej pochlebne, obnażające jego nałogi, zachowanie, niewłaściwe decyzje. Nie znając dziadka, nie doświadczywszy namacalnie w żaden sposób jego zachowania, próbowałem odnosić się do nich wszystkich z pewną rezerwą. Mój dziadek przyszedł na świat, kiedy ten spowił chaos i zniszczenie. Urodził się w pamiętnym dla Polaków 1939 roku w niewielkiej mazowieckiej wsi – Uniszki Cegielnia, wzdłuż której przechodził front wschodni II wojny światowej. Te kilka lat niepewności i lęku odznaczyło się piętnem na jego późniejszym życiu. W moim domu o wojnie mówiło się raczej niechętnie, nikt kto ją przeżył nie chciał jej za bardzo wspominać. Rzadko mówiono o bliskich poległych, a wspomnienia bliskich przodków były rozmyte, jakby wydarzenia tamtych dni działały się za mgłą albo były przedłużającym się koszmarem. Wojna się skończyła, a zaraz po niej wzięto się za odbudowę kraju zasypanego przez zgliszcza. Mój dziadek miał wtedy zaledwie kilka lat. Na jego oczach dokonywała się wielka zmiana, transformacja, odrodzenie. Pierwsze lata uzyskanej wolności, to stale towarzyszący głód i bieda, które były jak najlepsze przyjaciółki idące zawsze w parze. Kraj odkopywano z ruin mimo przeciwności, jednak niektórych ludzi pochłaniał marazm. Emocjonalnie wypaleni przesiadywali całe dnie na ławkach, w nielicznych barach, pod domami, będąc ciężarem dla swoich rodzin. Trawieni przez własne nałogi wypatrywali czegoś wiadomego tylko sobie. Milczący, zamknięci w sobie, omiatali pustym wzrokiem wszystko dookoła, nie wierząc, że może ich spotkać coś dobrego. Wiarę w nowy, lepszy świat zostawili następnym pokoleniom, bo ich wojna całkowicie pozbawiła złudzeń.

Pod stopami mieli grunt, w którym się zapadali. Nad ich głowami wisiały ciemne chmury, z których lada chwila miało lunąć. W dłoni dzierżyli ciężkie oręża i szli, przeznaczeni do walki

o wolność. Zmęczeni w sposób, który ciężko było opisać, wybrańcy losu urodzeni w złym czasie, o złej porze. Zawsze lubiłem romantyzować wizerunek żołnierza z II wojny światowej. Kto wiedział kim oni byli naprawdę, skoro sami siebie nie rozpoznawali w obliczu wojny. Na górze wspomnień dopadła mnie nieuleczalna choroba, tęsknota, za latami, w których nie dane było mi się urodzić. Nie za wojną, zesłaną przez los, ale czarnobiałą, biedną Polską ze zdjęć, Polską, która po raz wtóry rodziła się na nowo. Z tego co mi opowiadano, dziadek z zawodu był ślusarzem i taka profesja widniała również w jego książeczce wojskowej. W wieku 20 lat wstąpił do technicznej szkoły wojsk lotniczych w Zamościu, rozpoczynając tam kurs mechanika lotniczego. Ukończył go po dwóch latach, zapisując na swoim życiowym koncie kolejny zawód. Słyszałem nie raz z ust członków rodziny, że „Stefcio to był złota rączka”. Rzeczywiście był zaradny i pracowity, potwierdzają to dwa domy wybudowane przez niego w miejscowości, w której osiedlił się po powrocie z wojska – Mławie. Z tym miastem był już związany do końca swoich dni. Założył rodzinę, wychował dwie córki, ot obrał zwyczajną, standardową życiową drogę. Tak mógł pomyśleć ktoś z zewnątrz, kto nie był w żaden sposób spokrewniony z dziadkiem. Dla mnie, jego potomka, wychowywanego z początku przez same kobiety, dziadek był ikoną, nieskazitelnym wzorem do naśladowania. Przez pewien czas nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogło być inaczej. Pierwszy wzór mężczyzny, którego młodemu chłopakowi bardzo brakowało. Stefan stronił od alkoholu, ale miał w życiu jeden nałóg, który sobie szczególnie upodobał. Papierosy były jego nieodłącznym atrybutem. Na wielu fotografiach, które zachowały się z jego życia widać, jak trzyma w dłoni tłącą się jeszcze fajkę. Podobno palił od młodych lat, zachłannie, jedną, dwie paczki dziennie, jednego papierosa za drugim. Nie zdążył spalić jednego, już odpalał drugiego. Nie pytałem się rodziny z czego to mogło wynikać. Kiedy usłyszałem to po raz pierwszy, takie zachowanie wydało mi się niepokojące. Może było coś w jego życiu, czego się bał, czemu nie mógł sprostać, przed czym próbował uciec, a papierosy zapewniały mu spokój i odprężenie. Może to wojna wywarła na nim taki wpływ, myślałem nie raz. Dziadek pochodził z pokolenia, które uczucia chowało w sobie, nie okazywało słabości, nie żaliło się. Nagromadzone w nim emocje musiały w końcu znaleźć ujście i ulatywały z dymem papierosa. Był wrażliwy, może nawet za bardzo, a nieraz ta cecha była ciężkim brzemieniem, krzyżem nie do uniesienia. Pod ciężarem tego krzyża palił do końca swoich dni, dopóki miał siłę, nawet na kilka dni przed śmiercią, bo potem już nie mógł, nie był w stanie, przygnieciony przez nałóg odszedł w młodym wieku pięćdziesięciu sześciu lat i tylko Bóg wie, jeśli jest czy w końcu znalazł spokój.

Miewałem nieraz takie sny, w których czułem się obserwatorem życia, jakbym nie istniał a był tylko czymś wspomnieniem, goszczącym pośród tłumu żywych istot, które z mojej perspektywy zachowywały się bardzo dziwnie. Próbowałem przeniknąć ich ludzką duszę, poznać ją, ale nie widziałem zbyt wiele. Docierały do mnie ciche szepty przodków, że to wszystko po nic, że życia nie da się zaplanować, a uczuć wymazać. Gdzie ta miłość co kiedyś, pytałem sam siebie we śnie. Przenosiłem się wtedy na werandę pod dom i siadając na krześle patrzyłem w niebo. Gdzie ta miłość co kiedyś, kierowałem to pytanie wyżej, do gwiazd. Na werandzie pozbywałem się złych i dobrych emocji, a półprzymknięte, wilgotne oczy skrywały ciche pragnienie samoakceptacji. Chłopcy tacy jak ja płakali, płakali rzewnie, ale krótko, jakby czuli, że ten płacz da im chwilowe ukojenie. Ich uczucia były nieprzeniknione, a w życiu nigdy nie zaznali prawdziwej miłości. Wtedy leżąc na łóżku w schronisku, miałem dylemat czy nie zacząć jak dziadek wyrzucać z siebie uczuć z dymem papierosa.

## W kapeluszu pogodnych myśli

Magdalena Grzywa

Sluchając opowieści o swoim pradziadku, z każdą kolejną historią z jego życia dochodziłam do wniosku, że był on niezwykłym człowiekiem. Przeżycie wojny i niewoli niemieckiej wymagało od niego ogromnej siły woli i wytrwałości. Musiał stawić czoła trudnym warunkom, głodowi, prześladowaniom i wielu innym wyzwaniom. Mimo trudnych chwil i zagrożenia życia, niósł pomoc innym, bezwarunkowo i z otwartym sercem. Czy jego przeżycia a potem opowieści miały wpływ na późniejsze pokolenia w naszej rodzinie? Bez wątpienia tak. Stał się ikoną nadziei i wytrwałości dla swoich dzieci i wnucząt. Był człowiekiem idącym przez życie w kapeluszu pogodnych myśli, zawsze je niósł ze sobą i rozdawał innym. Być może dlatego, że poznał naprawdę mroczną stronę okupacji i chciał wszystkim uświadomić, że nie istnieje nic bardziej straszliwego od wojny. Zastanawia mnie jednak pewna myśl, czy to rzeczywiście wojna, niewola i wszystkie inne wydarzenia z nią związane, ukształtowały postawę pradziadka? A może były one tylko rodzajem lustra, w którym można było dostrzec prawdziwe oblicze tego człowieka. Nie wiem jeszcze, czy analizując jego życie i opisując je w tej pracy uda mi się odpowiedzieć na to trudne pytanie.

### DOM RODZINNY

Władysław Topka urodził się w niewielkiej wsi Rajbrot położonej niedaleko Bochni. Wraz z rodzicami Katarzyną i Błażem oraz dziewczynką swojego rodzeństwa, mieszkał w małym, drewnianym domu, pokrytym strzechą, w którym znajdowały się izba, stajnia i strych. Niewiarygodnie jak niewiele miejsca miała tak liczna rodzina. Główna izba była obszerna, wyposażona w piec kaflowy, kredens kuchenny, stół, ławy oraz dwa duże łóżka z siennikiem pokryte stosem pierzyn i poduszek. Na ścianach wisiały wyhaftowane przez mamę pradziadka lniane płótna, ozdabiały one całe pomieszczenie i nadawały mu uroczysty charakter. W czasach przedwojennych obrazy były rzadkością, dlatego gospodynie wieszały na ścianach ręcznie wykonane ornamenty, święte ikony lub pejzaże. Rodzina pradziadka była bardzo pobożna. Dorośli na co dzień trudnili się tkactwem i rolą. Na środku izby stały krosna, służące do tkania lnu. Pradziadek, mając zaledwie trzy lata, związał utkany len, dlatego często miał poranione palce. W tych czasach dzieci były zwykle zaangażowane w prace już od najmłodszych lat. W okresie letnim dziadek, mając dwanaście lat, pracował w polu razem z rodzicami i rodzeństwem, przez co zdarzało mu się opuszczać szkołę. Zwykle uczestniczył w zajęciach tylko w okresie zimowym, gdy prace w polu były mniej intensywne. To przykre, że będąc w moim wieku nie miał możliwości rozwijania swoich pasji i zamiłowań.

### WOJNA I OKUPACJA

Mając dwadzieścia jeden lat Władysław Topka pełnił służbę wojskową w Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii, w 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich pod dowództwem pułkownika

Juliana Filipowicza. Jednostka ta stacjonowała w mieście Równe w obwodzie rówieńskim (obecna Ukraina). Tam też zastała go wojna. Największa bitwa w jakiej brał udział miała miejsce pod Mokrą 1 września 1939 roku, gdzie wojsko polskie poniosło klęskę. Podczas starcia z Niemcami 21 pułk kawalerii utracił 85% swoich żołnierzy. Wtedy to Władysław został ranny w głowę na skutek wybuchu pocisku artyleryjskiego i całkowicie stracił słuch w lewym uchu. Opowiadał, że była to najbardziej przytłaczająca i smutna chwila w jego życiu, gdyż cały jego oddział musiał się poddać i złożyć broń. Oddanie się w niewole jest zawsze sytuacją niezwykle trudną i przerażającą. Zdejmując mundury i symbole wojska polskiego wszyscy żołnierze z jego zastępu wraz z dowódcą płakali. Był to dla niego krytyczny moment.

Jako jeńiec pradziadek zaznał ze strony hitlerowców nieludzkiego traktowania, był głodzony, wyrzucany z baraku bez ubrania na śnieg w zimie, a także bity. Niemcy poprowadzili go wraz z innymi wojskowymi do obozu jenieckiego pod Częstochową. I wtedy zapisała mu się w pamięci taka scena, w której podczas długiego i wycieńczającego marszu pewien jeńiec podniósł z ziemi zgniłe jabłko. Kiedy zobaczył to żołnierz niemiecki, zaczął się nad nim znęcać. Bił go pałką tak długo, aż go zabił. Władysław chciał początkowo wstawić się za swoim współtowarzyszem, ale wtedy ktoś z pozostałych więźniów uświadomił mu, że może stracić życie. Opowiadał, że to wydarzenie śniło mu się bardzo często po nocach, a najgorsza w tym była niemoc i bezsilność jaką wtedy czuł.

## OBÓZ JENIECKI

Okres obozu jenieckiego pod Częstochową nie zapisał się dobrze w pamięci pradziadka. Cierpiał tam straszliwy głód. Pewnego razu, po kryjomu, udało mu się zakraść do niedaleko położonego gospodarstwa i tam na gnojowisku znalazł stary, spleśniały chleb. Kiedy wrócił do obozu, rozpałił ognisko i zaczął gotować zgnięły bochen. Systematycznie wylewał brudną wodę z garnka dolewając czystej. Niestety nie zdołał zjeść przygotowanego posiłku, gdyż inni więźniowie dotkliwie go pobili i odebrali mu chlebową papkę. Kiedy cierpisz tak dotkliwy głód, zapominasz o przyzwoitości, powtarzał opowiadając o tym zdarzeniu.

## PRZYMUSOWA PRACA W NIEMCZECH

Z obozu jenieckiego młody Władysław został wywieziony w 1940 roku w głąb Niemiec do miasta Emern, gdzie rozpoczął przymusową pracę na roli u Bauera o nazwisku Schroucke. Z opowieści można wywnioskować, że nie zaznał tam złego traktowania. Było mu wiadomo, że prowadzący to gospodarstwo Niemcy, mocno nie zgadzali się z okrucieństwem panującym w tych czasach. Pradziadek był budzony przez gospodynię Schroucke w środku nocy i w konspiracji bił świnie dla robotników w niewoli. Gdyby gestapo się dowiedziało, że gospodyni żywi więźniów mięsem, spotkała by ją za to surowa kara.

W Emern Władysław poznał bardzo bogatą i arystokratyczną rodzinę z Rosji, która nigdy nie trudniła się rolnictwem. To właśnie tutaj dziadek zasłynął z dobrego serca, bo starał się im pomagać jak mógł wykonując pracę w polu za kilkoro ludzi jednocześnie. Sadząc ziemniaki pilnował, by były sadzone równomiernie w rzędzie. Gdyby bowiem rośliny odpowiednio nie wyrosły, odpowiedzialni za to ludzie ponieśli by surową karę. Wszystko co było dla kogoś zbyt ciężkie i nie do udźwignięcia pradziadek starał się brać na swoje barki, tak by uchronić swoich współtowarzyszy przed biciem. Ale historia o rosyjskiej arystokratycznej rodzinie, to również historia miłosna. Młody Władysław zakochał się bowiem w dwudziestoletniej Rosjance Ninie i był dla niej wsparciem przez cały okres niewoli. Prawdopodobnie zarówno Nina jak i on mieli plany na wspólną przyszłość. Po wojnie jednak rodzina z Rosji postanowiła wyjechać

do Kanady. Nie chcieli wracać do swojego kraju, pragnęli rozpocząć nowe życie i zapomnieć o strasznych wydarzeniach. Pradziadek długo się wtedy wahał czy nie wyjechać razem ze swoją ukochaną, jednak tęsknota za Polską i swoją rodziną okazała się silniejsza, dlatego w roku 1946 powrócił do domu.

## WSPOMNIENIA

Każde wspomnienie o moim pradziadku, który po wojnie założył rodzinę i miał dwójkę dzieci, jest wspomnieniem bardzo pozytywnym. Ten, kto go pamięta, często mówi, że nie był skory do kłótni, nigdy nie podniósł głosu, zawsze był uśmiechnięty i otwarty dla innych. Do końca swojego życia miał zamiłowanie do roli. Mieszkał w Jaworznie pracował i z zamiłowaniem pielęgnował przydomowy ogród. Jego relacje o wojnie i późniejszej niewoli to nie tylko zbiór zdarzeń, to również symbol jego bohaterstwa. Symbol tego, że Polacy od zarania dziejów stają do walki o swoją wolność. I zawsze, niezależnie od okoliczności, trzeba mieć nadzieję na lepsze jutro. Myślę, że zdolność do patrzenia na świat przez okulary nadziei, pradziadek wyniósł z domu i miało to także związek z jego gorliwą wiarą w Boga. Jego opowieści pozwoliły nam odkryć, kim naprawdę był Władysław Topka, a był dobrym i odważnym człowiekiem

## Stąd jestem

Natalia Kasprzyk

Przełączam kolejne kanały w poszukiwaniu czegoś, co choć trochę mnie zainteresuje. Podczas surfowania po kolorowych klatkach, trafiam na wiadomości. Przede mną nagle siedzi kobieta w zielonej, jak liść płaczącej wierzby, marynarce. Zaczyna mówić. Wojna na Ukrainie trwa już 550 dni. Gdy wyrzuca te ciężkie jak działo słowa, w tle ukazują się obrazy kolejnych zbombardowane miasta. Ciężko uwierzyć, że te stopy pyłu i gruzu były kiedyś czymś domem.

Wyłączam kablówkę. Na myśl przychodzą mi słowa z mojej ukochanej książki- Dżumy Alberta Camusa. Kiedy wybucha wojna, ludzie powiadają: „To nie potrwa długo, to zbyt głupie”. I oczywiście, wojna jest zbyt głupia, ale to nie przeszkadza jej trwać. Głupota upiera się zawsze, zauważono by to, gdyby człowiek nie myślał stale o sobie.

Wojna mnie przeraża do szpiku kości. Przeraża mnie niczym dentysta dorosłego. To bez znaczenia- wojna nie powinna istnieć, zwłaszcza gdy człowiek człowiekowi staje się wrogiem, a to wszystko najczęściej przez ludzką chciwość i egoizm. Wojna jednak to nie tylko bitwy i strzelaniny, ale przede wszystkim odczłowieczenie. Wojna jest mało dyskretnym złodziejem. Kradnie rodzinę, dom, poczucie bezpieczeństwa i świat, który znaleźmy chwilę wcześniej. Zanim rozległy się pierwsze strzały i z formy człowieka wypłynęła czerwona materia zwana również krwią. Nie sądziłam jednak, że kiedyś opowieści mojej babci, będę mogła oglądać na kawałku świecącego prostokąta.

Babcia Jasia- to od niej po raz pierwszy usłyszałam, czym jest wojna. Dla mnie jednak było to pojęcie abstrakcyjne, jako pięciolatka raczej zamartwiałam się jak pomieszczę w łóżeczku wszystkie kolorowe pluszaki niż tym, co przeżyli moi przodkowie. Na szczęście Jasia to typ sentymentalistki, która lubi opowiadać wiele razy o swych przeżyciach, więc od wielu lat opowiada mi swoją historię życia, z której ciągle dowiaduję się nowych, często druzgocących faktów. Jej życie zaczęło się 17 grudnia 1939 roku na terenie ówczesnej Białorusi – w trakcie II wojny światowej. Rodzinna sielanka nie trwała jednak zbyt długo, ponieważ już w 1940 roku, zostali zesłani całą rodziną na Syberię, wbrew ich woli. Podróż odbyli w wagonach bydłowych, upchnięci brutalnie niczym zwierzęta hodowlane na ubój. W pewnym sensie tak było. Życie na Syberii w tamtym okresie ciężko nazwać życiem. To było walka o przetrwanie.

Takim oto sposobem Jasia spędziła wczesne dzieciństwo wraz ze swoimi rodzicami, Adelą i Wincentem, i czwórka, a później niestety już tylko trójka, swego rodzeństwa na zupełnie innym kontynencie. Przez te nieludzkie warunki, które dotknęły rodziny Korzeniowskich, odszedł On. Najmłodszy potomek, młodszy brat Jasi- Tadeusza. Zmarł najprawdopodobniej z głodu, jako niemowlę. Dopadło ich prawdziwa i brutalna selekcja naturalna.

Ich domem była zwykła, zdobiona turkusowym soplami, ziemianka. Bez prądu czy bieżącej wody. Babcia wspomina również często noce, gdzie spała wtulona w swoje rodzeństwo – na piecu do pieczenia chleba. Nadal nie potrafie wyobrazić sobie po tylu latach tego abstrakcyjnego obrazu, który tak często przytacza.



Sześćoletni obóz przetrwania, z którym zmierzyła się rodzina Korzeniowskich dobiegł końca w 1946 roku. Ponownie jechali w wagonach bydłowych, tym razem w drugą stronę. Jednak nie pytano ich o bilet, rodzaj klasy czy kierunek. Chociaż tak naprawdę nie liczyło gdzie trafiać, chcieli po prostu uciec jak najdalej. Takim oto sposobem moi pradziadkowie docierają do Lwówka Śląskiego, a następnie do Wojciechowa, pobliskiej, malutkiej wioski. Nie mieszkali jednak tam za długo, niestabilne, powojenne konstrukcje rozpadały jak domki z kart. Po kolejnych tułaczkach w końcu osiedlili się w Maciejowcu, w malutkim, drewnianym domku dróżnika, w którym mieszkało aż 9 osób.

Jasia po powrocie do Polski zaczęła chodzić do szkoły, którą pokochała. Mniej kochała fakt, że do szkoły musiała przebyć pieszo prawie 5 kilometrów i to tylko w jedną stronę. W mroźną, srogą zimę czy w upalne, burzliwe lato. Jasia ciągle chodziła. Wstyd się przyznać, ale na samą myśl, bolą mnie już nogi. Ona jednak wiedziała po co tyle drepta po polnych ścieżkach. Po paru latach edukacji w szkole podstawowej zamarzyła o karierze chemiczki, mając świetne oceny i wielkie ambicje wysłała podanie do szkoły chemicznej we Wrocławiu, gdzie się oczywiście dostała. Była na tyle dobrą uczennicą, że dostawała nawet stypendium o wartości 25 złotych, co dzisiaj brzmi dość absurdalnie. Babcia wspomina, że przejazd tramwajem w tamtych czasach kosztował grosze, dosłownie. Liczba ta z pewnością była mniejsza niż 50.

Niestety po roku uczęszczania do wymarzonej szkoły stała się tragedia. Adela, mama Jasi, ciężko zachorowała, zabrakło rąk do pracy w gospodarstwie domowym. Babcia zostaje zabrana przez swojego ojca do domu, aby zajmować się vaccae. Zwykłymi krowami. Jednego dnia uczysz się o budowie kwasu mlekowego, a kolejnego dnia brudzisz sobie w nim ręce. Za każdym razem, gdy Jasia dociera w swoich opowieściach do tego fragmentu, jej głos zaczyna lekko drżeć.

Nie miją długi okres czasu, a Jasia wybrała nowe życie, z daleka od wsi. Od tego momentu, Jasia odpowiada na moje pytania zdawkowo. Mówi skrótowo, bez większych szczegółów. W jej mniemaniu nie jest to, z jakiegoś nieznanego mi powodu, ważne ani ciekawe. Pobieźnie opowiada o tym jak poznała dziadka Ryszarda niedługo po rozpoczęciu pracy w Gryfowie Śląskim. Dwójka zakochanych młodzieńców bierze ślub i na świat przychodzi trójka ich dzieci, w tym moja mama. Na moje pytanie, jak zmienił się Gryfów od tamtych czasów odpowiada, że niewiele. Żartobliwie mówi, że nadal w drogach są te same, głębokie jak stawy dziury, a ilość konstrukcji budowlanych pozostała niezmienna. Jasia nie rozmyśla zbyt długo o miejscu jej aktualnego zamieszkania, w sumie jest jej obojętne czy jest to miasteczko na południowym zachodzie czy północnym wschodzie. Cieszy się po prostu, że żyje w wolnym kraju.

Nachodzi mnie w tym momencie refleksja, która przeszzywa moje serce niczym włócznia Achillesa. Jestem dzisiaj tutaj między innymi dzięki temu, że moja babcia walczyła. Nie w takim sensie, jak zazwyczaj myślimy o walce. Ona walczyła z przeciwnościami losu, od praktycznie pierwszych dni życia. Walczyła z syberyjskim zimmem, grzejąc się na skrawku pieca. Walczyła o siebie, spędzając godziny nad książkami, codziennie zmierzając do szkoły w trudnych warunkach. Gdy los pokrzyżował jej plany o karierze chemiczki walczyła by zacząć nowe życie i pozostawić za sobą bolesną przeszłość. Walczyła, i nadal walczy, o Polskę, chodząc na każde możliwe wybory, stawiając ważne krzyżyki.

Jestem dzisiaj tutaj i mogę dumnie się nazwać Polką, bo moi przodkowie o to walczyli. Bo o to właśnie Jasia walczyła. Jestem z kraju przesiąkniętego podziałami i traumami kolonialnymi, gdzie zaglądamy wścibsko naszym sąsiadom do śmietników. Kłócimy się o politykę i kandydatów wysyłanych przez nasz kraj na Eurowizję. Ale często nie dostrzegamy, co nas sprowadziło do takiego stanu, do stanu gdzie to są nasze codzienne problemy. Jestem wdzięczna, że mogę nadal pogawędzić w każdą niedzielę z moją babcią o jej życiu, budowie kwasu mlekowego i jak to było za jej czasów.

Jestem obywatelką wolnej Polski, o której marzyła moja babcia w 1945 roku. Stąd jestem.

## Prapradziadek stryjeczny – czyli właściwie kto?

Stanisław Ogłódek

Nie znalazłem dokładnego określenia na brata ojca mojego dziadka. Znalazłem za to słowo na brata dziadka: dziadek stryjeczny lub prastryj. Pozwoliłem więc sobie na pewne słowotwórstwo i, aby uprościć całą sprawę, brata mojego pradziadka zamierzam nazywać praprastryjem lub pradziadkiem stryjecznym.

Bo to właśnie taka relacja rodzinna łączy mnie z Janem Ogłódkiem – nagradzanym architektem, powstańcem śląskim i działaczem konspiracyjnym w czasie II WŚ.

### JAN OGŁÓDEK

Muszę przyznać, że ta nić geologiczna jest dosyć odległa: co prawda dzielimy to samo nazwisko i tę samą ziemię, ale do czasu dogłębnego zbadania jego historii nie odczuwałem specjalnej więzi, bo wszystko, co dawne, rozmywa się i zatracza. To “rozwodnienie” Jana Ogłódka w mojej krwi, jeśli mogę tak powiedzieć, jest dla mnie przykre, ponieważ багаż rodzinnych historii nie jest w stanie odtworzyć jego biografii w całości, przez co zapewne dojdzie do dalszej utraty pamięci o tym członku rodziny. Dlatego cieszę się, że mogłem dowiedzieć się o nim więcej – z archiwów, tych materialnych (zdjęć, dokumentów) i tych niematerialnych (opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie).

Jan Ogłódek urodził się 21 października 1889 w Czeladzi jako syn Hipolita i Marianny (z domu Dziuk). Jego (tj. również moi) przodkowie brali udział w powstaniu styczniowym i zajmowali się stolarstwem: świadczyć o tym może sama etymologia nazwiska. Korzeni nazwiska “Ogłódek” można się doszukiwać w nazwie owada – ogłodka (rodzaj kornika). Klaruje się więc proste skojarzenie z obróbką drewna. Jan – chociaż stolarzem nie został – nadal trzymał się rzemieślniczej tradycji i swoją karierę upatryzył w budownictwie. Egzamin dojrzałości zdał w Państwowej Szkole Budownictwa w Poznaniu w 1925, a w 1930 ukończył studia na Wydziale Architektonicznym krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Współpracował i był uczniem arch. Adolfa Szyszko-Bohusza: mój pradziad stryjeczny brał udział w pracach konserwatorskich Zamku Wawelskiego (ta myśl nadal towarzyszy mi w czasie wycieczek do Zamku Królewskiego) oraz w budowie Krypty Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jako architekt był wielokrotnie nagradzany, m.in. w czasie prac nad Gmachem Województwa w Toruniu. Zaprojektował stojący do dnia dzisiejszego Pawilon Okocimski w Krakowie.

Niestety, nie zachowało się wiele informacji dotyczących działalności Jana w powstaniach śląskich. Jego uczestnictwo jest jednak niepodważalne: został zweryfikowany i pełnił rolę prezesa Związku Powstańców Śląskich w Krakowie. Powodów jego walki może być wiele. Rodzinna, patriotyczna przeszłość? (Ojciec Hipolita, dziadek Jana, brał udział w powstaniu styczniowym). Poczucie zobowiązania?

Jan Oglódek był również człowiekiem światowym – przed Wielką Wojną Czeladź znajdowała się na pograniczu rosyjsko-pruskim, dlatego Jan miał kontakt zarówno z kulturą germańską, jak i kulturą rosyjską – wykształtowało to u niego otwartość i niewątpliwie miało wpływ na jego dalszą pracę twórczą.

Duch patriotyzmu nie opuścił go także w czasie wojny – mój pradziadek stryjeczny nie mógł pozostać obojętny w obliczu wielkiej tragedii, jaką była II WŚ. Dołączył do krakowskiego Stronnictwa Demokratycznego i udostępnił mieszkanie na ulicy Madalińskiego pod drukarnię podziemnego “Dziennika Polskiego”. Mojemu pradziadkowi stryjecznemu towarzyszył wtedy jego młodszy brat Czesław Oglódek (wówczas student architektury, urodzony w 1917). Obaj zostali aresztowani w nocy 17 stycznia 1941. Zdarzenie to szerzej opisuje książka “Za murami Monte” (Wanda Kurkiewiczowa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968, s. 49-50). Czesław i Jan mieli zignorować ostrzeżenia o poronnych aresztowaniach i w porę nie znaleźć ukrycia. Bracia byli torturowani przez Gestapo w więzieniu na Montelupich, a następnie wywiezieni do obozu koncentracyjnego Auschwitz w Oświęcimiu. Przed śmiercią rodzeństwo osadzono na “Bloku Śmierci”, czyli bloku nr. 11 (w Muzeum nadal wiszą ich zdjęcia). Jan i Czesław byli ofiarami pierwszej egzekucji na owianej złą sławą “Ścianie straceń” 11 listopada 1941. Niemcy próbowali sfalszować datę ich śmierci, w akt zgonu wpisując “10 listopada 1941”. W tym samym akcie odnotowano: “rozstrzelany z powodu oporu przeciw władzy państwowej”.

### **MAGNANIMITAS (być może nadużycie)**

Natrafiłem ostatnio na zamieszczony w Internecie wykład prof. Tomasza Panfila zatytułowany “Dlaczego przestaliśmy być mocarstwem?” odnoszący się oczywiście do naszych, polskich realiów. Wykład był – w głównej mierze – analizą decyzji polskich (tudzież zagranicznych) władców i próbą ujawnienia naszych “imperialnych” perspektyw. Mnie zainteresowało jednak jedno określenie: “magnanimitas”. Z łacińskiego, jak tłumaczy prof. Panfil, “wielkość ducha” (w opozycji do doczesnego tłumaczenia “wielkoduszność”). Ja rozumiem to określenie także jako “dalekowzroczność”, dbałość o dobra duchowe, nie tylko te materialne. Uważam, że taki – choć zapewne dopuszczam się stwierdzenia na wyrost – był mój pradziadek stryjeczny, Jan Oglódek. Pełny cnót obywatelskich patriota, uczestnik powstania śląskiego, architekt, działacz konspiracyjny. Czy gdyby nie ta dalekowzroczność to czy wzięłby udział w powstaniu śląskim, sam pochodząc z leżącej na terenie Zagłębia Czeladzi, terytorialnie nie objętej przedmiotem tego sporu? Czy mógł pozostać bierny wobec wojennej rzeczywistości? A może to właśnie ta dalekowzroczność i postawienie Ojczyzny ponad wspomniane dobra materialne sprawiła, że pogodził obywatelski obowiązek obrony z obywatelskim obowiązkiem pracy dla kraju?

### **APOLOGIA PISZĄCEGO**

Ja, piszący o dziejach blisko sto lat starszych ode mnie, będący kolejnym pokoleniem, które nosi nazwisko Oglódek, czuję, że nie wypełniłem swojego zadania na szóstkę. Pozostałem wiele nieścisłości – wiele nieścisłości pozostawiły także archiwa. Wypadałoby bardziej rozwinąć ich (to znaczy Jana i zwłaszcza jego brata, Czesława) historię. Pamięć jednak zanika, zetraca się wśród gnijącego papieru dokumentów czy zdjęć, płonie w pożarach, ginie za wiekami trumien. Nie jestem w stanie odtworzyć tej historii w nawet jednej trzeciej. Zabrakło tu wzmianki o jego życiu prywatnym, żonie – Lili – oraz zmarłym w wieku kilkunastu lat synku. Początki XX wieku były czasem zawirowań, czasem upadków i wzlotów. Czasem Wielkiej Wojny, czasem powstań. W przedostatnim akapicie mojej pracy chciałbym opisać to, co mnie

w praprastryju inspiruje. A inspiruje mnie to, że pomimo trudnej sytuacji materialnej zdołał utrzymać rodzinę godząc studia i pracę zawodową. To, że zdecydował się studiować pomimo śmierci swojego ojca na gripę hiszpankę, żywiciela rodziny, Hipolita – Jan miał odziedziczyć warsztat jako najstarszy z rodzeństwa, jednak rodzinny interes przejął 17-letni wówczas Ludwik (brat Jana a mój pradziadek), aby Jan mógł kontynuować naukę. Inspiruje mnie i rozpiera dumą to, że Jan Ogłódek współpracował z jednym z największych architektów tamtego okresu – Adolfem Szyszko-Bohuszem, że zaprojektował stojący do dzisiaj Pawilon Okocimski, a jednocześnie udzielał się społecznie, będąc prezesem Związku Powstańców Śląskich w Krakowie i biorąc udział w działaniach skierowanych przeciwko okupującym Polskę Niemcom.

W pracach tego pokroju powinno się unikać osobistych dygresji. Jest mi jednakowoż ciężko trzymać sztywnego kanonu i zasad historiografii, gdy piszę o najbliższych, noszących te samo nazwisko co ja przodkach. Moim celem nie było otoczenie Jana Ogłódka jakąś apoteozą, bynajmniej. Uważam, że rzeczywiście, oddalona o parę pokoleń wstecz rodzina, zwłaszcza ta, która inspiruje, staje się symbolicznym panteonem bohaterów rodzinnej mitologii, znanym z obiadów z dziadkami (gdy rozmowa nagle zmienia bieg na korzenie i genealogię) prawie tak, jakbyśmy wyjęli ich z baśni, ale należy utworzyć pewien dystans historyczny. Nie miałem – co jasne – możliwości poznać mojego praprastryja. Znam go z fotografii, z przekazów. W dużej mierze esej ten poświęciłem antycypacji. Nie jestem w stanie jednoznacznie ocenić jego działań. Tego, czy gdyby nie podjął się działań patriotycznych, nie przeżyłby dłużej i nie wypełnił plombami luki historii sięgającej głębszych korzeni rodziny. Nie rozpiera mnie dumą to, że ma własną stronę na Wikipedii, że jest wymieniany w opracowaniach dotyczących polskich architektów. Jestem dumny z tego, że Jan Ogłódek to mój przodek, brat mojego pradziadka, że działał w konspiracji, że był lojalny, pracowity, twórczy. Bo wydaje mi się, że taki właśnie był mój prapradziadek stryjeczny – inż. arch. Jan Ogłódek.

# Mój pradziad – Franciszek Pawlik

## Wojciech Świerad

Trzeba zacząć od tego, że niestety nie było mi dane poznać mojego pradziadka. Wrócił do domu Ojca w 2004 roku (ja urodziłem się początkiem 2006 r.). Pomimo tego dosyć dobrze poznałem jego osobę. Jako mały chłopiec odkryłem swoją fascynację historią, dlatego chętnie słuchałem opowieści mojej babci na temat przeszłości, najbardziej zaintrygowały mnie te o jej tacie.

Franciszek Pawlik – mój pradziadek - przyszedł na świat w roku Pańskim 1915 w Siedlcach k. Nowego Sącza. Niestety nie wiem za dużo, z czasów jego młodzieńczych lat. Pewny natomiast jestem tego, że jako dwudziestoparolatek służył w Wojsku II Rzeczypospolitej Polskiej. Będąc żołnierzem 1 Pułku Strzelców Podhalańskich, w 1938 r. brał udział w przyłączeniu Zaolzia do Polski. Wspominał, że razem z kolegami często chodził do kościoła pw. Św. Kazimierza. II Wojna Światowa zastała go w Nowym Sączu. Wraz z trzema kolegami obsługiwał karabin maszynowy na sądeckim rynku. Jego zadaniem było strzelanie do wchodzących do miasta Niemców. Niestety przez przewagę wroga, jego dowódca zarządził odwrót. Wycofali się w stronę Stróż, następnie Grybowa, Krosna i Sanu. Ponieważ woda w Sanie była wtedy wysoka, wpadł na pomysł aby powiązać snopki ze słomy, na których ją przepłyną. Swoją szlak bojowy zakończył na Ukrainie, gdzie zabito jego dowódcę. Kiedy wraz z resztą żołnierzy zrozumieli, że trafiają do sowieckiej niewoli, razem z przyjacielem Maćkiem zakopali broń, aby nie trafiła w ręce wroga (nie raz wspominał mojej babci i jej bratu, że gdyby zaszedł dziś na te tereny, to bez problemu odnalazłby to co zakopali). Po poddaniu się Armii Czerwonej, mój pradziadek trafił do obozu jenieckiego. Na przełomie października i listopada wraz z Maćkiem został przeniesiony do następnego obozu, zarządzanego przez Niemców (ponieważ był zwykłym żołnierzem, zamieszkałym na terenach zagrabionych przez III Rzeszę).

Franciszek oraz jego towarzysz broni postanowili uciec z obozu, wykorzystując szpary między drutami. Aby nie natrafić na Niemców, pradziadek zaproponował, iż tylko w nocy będą wracać. Od jakiegoś chłopca zdobyli stare ubrania. Szli tak dobre kilka dni bez jedzenia, maszerując w nocy, w dzień zaś odpoczywając. Kiedy wreszcie dotarli do Grybowa, ich drogi się rozeszły. Obaj poszli w swe rodzinne strony. W Korzennej Franciszka zatrzymał niemiecki patrol. Był przerażony ale postanowił zachować zimną krew, przecież nie po to tyle przeszedł, aby na ostatniej prostej Niemcy znów go zniewolili. Ktoś znający język niemiecki, wytłumaczył żołnierzom, że pradziadek wraca z cywilnego obozu w co Niemcy uwierzyli i puścili go w dalszą drogę. Wyruszył z samego rana, jednak był tak wycieńczony, że do swojego rodzinnego domu doszedł dopiero pod wieczór ( trasa jaką miał do pokonania to około 6 km). Kiedy usiadł na schodach przed wejściem, nikt go nie poznał, ponieważ tak zmizerniał przez te parę miesięcy. Na pytania rodziców i braci skąd jest, on żartował, iż pochodzi z Ujanowic. Dopiero Jego siostra Tekla wychodząc z domu, rzuciła mu się na szyję i krzyknęła z radości „To przecież nasz Franek!”. Specjalnie dla niego Tekla ugotowała 5 jajek, jednak Franciszek po tej wędrówce

był tak wygłodzony, że po zjedzeniu połowy jednego, nie mógł przełknąć nic więcej. Kiedy doszedł do siebie, znowu nie mógł czuć się bezpiecznie. W tamtym czasie hitlerowcy wywozili młodych, samotnych chłopaków na roboty do Niemiec. Jedynym rozwiązaniem było zawarcie małżeństwa, co nastąpiło w roku 1942. Poślubił Wiktorię Wisieńkę z Trzycierza, lecz nawet w dniu ślubu czuł się nieswojo, ponieważ kilku chłopów z Siedlec powiedziało mu, że wejdą do kościoła i mu „łeb ukręca”. Wspominał, że dla własnego bezpieczeństwa podczas ceremonii miał nóż pod garniturem. Wraz z Wiktorią zamieszkał na jej gospodarce w Trzycierzu. Pracował w grybowski tartaku gdzie karczowano drzewo na potrzeby Hitlerowców. Praca była bardzo ciężka, więc aby trochę spowolnić wydobycie drewna dla okupanta, Franciszek zniszczył 2 wozy. Bez nich nie mieli jak wywozić drzewa z lasu. Niestety kolejny wóz jaki załatwił nadzorujący go Niemiec, był na tyle wytrzymały, że nie udało mu się go zniszczyć.

Po wojnie zajął się rodziną oraz własnym gospodarstwem. Franciszek z Wiktorią doczekał się siódemki dzieci z czego trójce zmarło. Przeżyła: Maria (1944), Wiktoria (1949) - moja babcia, Tadeusz (1954) oraz Grażyna (1959). Pradziadek był bardzo wesołym, pracowitym i pobożnym człowiekiem. Moja babcia z dziecięcych lat pamięta, że tata zawsze był dla nich dobry i poświęcał im tyle uwagi na ile tylko mógł sobie pozwolić. Za PRL-u pracował m. in. przy budowie drogi biegnącej przez Trzycierz do Nowego Sącza, natomiast jego głównym zajęciem była praca na roli. Wstawał wcześniej rano i zaprzęgał krowy do wozu. Na ziemi batem robił Znak Krzyża, następnie się przeżegnał i dopiero jechał w pole gdzie wypasał krowy i pracował. W latach 90 jego syn Tadeusz doznał wypadku na motocyklu i był leczony w szpitalu w Zakopanem. Pewnego dnia Franciszek przyszedł go odwiedzić. Zaskoczony Tadek pyta się ojca jak tu trafił, na co mu odpowiada „Przez chwilę służyłem tutaj przed wojną”. Od czasu jego służby minęło ponad 50 lat, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że miał świetną pamięć i orientację w terenie. Dlatego jestem pewny, że gdyby zaszedł na obecne ziemie ukraińskie, odnalazłby zakopany arsenał. 15 grudnia 2004 r. Pan powołał Franciszka do siebie.

Podsumowując Franciszek Pawlik był bardzo pobożnym oraz odważnym człowiekiem. Pomimo bycia zwykłym chłopem, kochał swoją Ojczyznę z całego serca i był gotów oddać za nią życie. Mimo różnych przeciwności, udało mu się przetrwać i wychować czwórkę wspianiałych ludzi. W moich oczach jest to wzór do naśladowania.

# Stąd jestem

**Emil Frankowski**

Kilkanaście kilometrów od miejsca mojego zamieszkania znajduje się cmentarz, na którym spoczywają moi krewni od strony Ojca. Przyjeżdżamy tam od święta, chociaż odległość nie jest, jak na dzisiejsze czasy i możliwości, duża. Nie pamiętam mojej pierwszej wizyty na tym cmentarzu, ale być może był to pogrzeb mojej Babci. Miałem wtedy kilka lat. Potem przez jakiś czas przyjeżdżaliśmy tam, mniej więcej, dwa razy w miesiącu. Lubiłem te podróże, bo były to podróże rowerowe, a ja, jako młody, zapalony cyklista mogłem wyszaleć się w dłuższej trasie. Z czasem, gdy wieńców i kwiatów na grobie robiło się mniej, zacząłem zauważać, że w tym grobie spoczywa nie tylko moja, niedawno zmarła, Babcia, ale też i inni noszący to samo nazwisko co ja. Nie byłem rezolutnym dzieckiem, więc nie pytałem, ale z rozmów Rodziców wywnioskowałem, że razem z Babcią spoczywa mój Dziadek, którego nigdy nie miałem okazji poznać. To były dwie osoby, czyli dwie tablice. Tajemnicą pozostawały jeszcze dwie, które widniały po drugiej stronie szerokiego pomnika. Szczególnie jedna z nich przykuwała moją uwagę. Z dwóch powodów: pierwszym było to samo imię i nazwisko jak mojego Taty, a drugim dodatkowe napisy, niewidniejące na żadnej innej tablicy „grób symb.” i „rozstrzelany w W-wie”. Długo biłem się z myślami i swoją małaletnią nieśmiałością, aby zapytać Rodziców, co oznaczają owe napisy i czemu na tablicy jest imię i nazwisko mojego Taty. Gdy już zebrałem się na odwagę, usłyszałem, że to jest grób symboliczny rozstrzelanego w Warszawie brata mojego Dziadka. I na tym skończyła się lekcja historii. Przynajmniej na wtedy, potem jeszcze przy różnych okazjach dowiadywałem się przypadkowo innych rzeczy.

Brat mojego Dziadka, Tadeusz, po którym, jak już wspomniałem, imię odziedziczył mój Ojciec, zginął w czasie Powstania Warszawskiego. Na symbolicznym grobie widnieje napis: rozstrzelany w Warszawie. I na tym moja wiedza się kończy. Nie wiem, gdzie został rozstrzelany ani kiedy dokładnie, nie wiem jak. Nigdy nie usłyszałem bohaterskich opowieści na ten temat. Nigdy nie usłyszałem żadnych opowieści, bo nigdy nie zapytałem. Jest to pewna zadra na mojej tożsamości - niezajomość życiorysu człowieka, w którym płynęła moja krew, a który zginął młodo w czasie jednego z najtragiczniejszych wydarzeń w nowożytnej historii Polski. Czy zginął śmiercią bohaterską ratując innych od zagłady? Czy zginął w wymianie ognia z nieprzyjacielem? A może Jego śmierć nie miała w sobie nic ze szlachetności? Może zginął przypadkowo trafiony podczas nieuważnego spaceru? Albo, pijany, bawiąc się granatem, eksplodował go sobie w twarz? Jestem pewny, że, niezależnie od prawdziwego powodu jego śmierci, wpłynął on na życie moje i mojej rodziny. Jego Brat, a mój Dziadek, ochrzcił Jego imieniem swojego jedyne go syna, a tego nie robi się ot tak, po prostu, w imię więzów rodzinnych, które zaciera czas. Tym więzom i niesłyszanej przeze mnie historii Tadeusza czas nie dał rady i w dwanaście lat po wojnie, Jego imię odrodziło się w moim Ojcu.

Źródeł tożsamości można szukać w przodkach, których dobrze znamy, których historie opowiada się na każdym większym spotkaniu rodzinnym. Można z dumą patrzeć na ich portrety czy zdjęcia, na zabytkową broń na ścianach, na blizny poniesione w czasie trudów życia i czuć zobowiązanie wobec nich, wobec świata, by pokazać, że te blizny nie poszły na marne, że ta broń nie wypalała w imię sarmackich rozrywek, a twarz na portrecie kształtowała się w harcie ducha i ogniu walki o przyszłe pokolenia. Ale jest też druga droga. Droga, którą staram się podążać, a którą odkryłem niejako z przymusu, właśnie z uwagi na nieznajomość życiorysu mojego Prastryja, jak nazywano z dawną pokrewieństwo, łączące mnie z Tadeuszem, bratem mojego Dziadka. Jest to droga świadomości zastępowalności pokoleń, tego, że nie trzeba patrzeć na naszych przodków jak na wybitne pojedyncze jednostki, ale można traktować Ich jako całe pokolenie, jako grupę, która w imię wyższych wartości i tradycji przekazywanych we krwi, szła do przodu mimo potknięć jednostek. Ich wartości i tradycje przetrwały jako wartości i tradycje całego pokolenia. Ich nie napędzała myśl o własnym triumfie, o legendach wysławiających ich imię. Nie chcieli stać samotnie na piedestale, ich los miał się stać losem całego pokolenia. Byli świadomi, że większą szansę na przeżycie w pamięci mają jako grupa osób walczących pod tym samym sztandarem i z jednym hymnem na ustach.

Zatem jak wyglądała droga do odkrycia tożsamości pokolenia mojego Prastryja, Tadeusza? Odbywałem ją hasłowo. Początkiem było rozszyfrowanie zwrotu „rozstrzelany w Warszawie”.

W tamtych czasach nie korzystano tak powszechnie z Internetu, ale mieliśmy inne sposoby na zdobycie wiedzy. Szukałem w słownikach i encyklopediach, jakichś starych książkach, które mieliśmy w domu i po nitce do kłębka doszedłem do II wojny światowej, do Armii Krajowej, wreszcie do Powstania Warszawskiego. Czytałem książki, artykuły, oglądałem filmy i z czasem zacząłem dostrzegać podczas rodzinnych spotkań skrawki historii wojennych opowiadanych przez moją Babcie czy innych, którzy te opowieści tylko słyszeli. Z kawałków mozaiki zaczął wykuwać się wyraźny obraz pokolenia do którego należał Tadeusz. Z czasem doszło czytanie poezji, gdzie idee przybierały bardziej metaforyczny charakter i działały na dziecięcą wyobraźnię. Zagłębiałem się w te tragiczne czasy w których człowieczeństwo zostało wystawione na próbę, a każdy krok mógł oznaczać śmierć. „Diamenty powstają pod ciśnieniem”, „Trudne czasy tworzą silnych ludzi” – te i podobne cytaty mogą załatywać wytartym frazesem, ale wytarte frazesy to nic innego jak prawda powtarzana wielokrotnie przez wielu ludzi. A skoro tak, to znaczy, że można na tych wyrażeniach polegać. Są sprawdzone w boju.

Takich jak mój Prastryj było wielu, niezliczona wręcz ilość poległych i leżących w anonimowych grobach czy zbiorowych mogiłach. Pamięć o ich życiorysach uleciała wraz z ostatnim tchnieniem, ale pamięć o ich wartościach, patriotycznej postawie trwa i trwać będzie dopóki groby takich jak Tadeusz pobudzają młode umysły do poszukiwań.



## Stąd jestem

Aleksandra Walczak

Był pewien jesienny dzień, pogoda nie zachęcała do spacerów, więc ja, wówczas uczennica 8 klasy usiadłam na babcinej kanapie popijając gorącą herbatę.

Od zawsze byłam osobą, uwielbiającą nutkę tajemnicy, dlatego nie posiadałam się z radości widząc, jak babcia wyciąga pudełko pełne różnościami. Podała mi je i pozwoliła delikatnie wyjąć zawartość. Wówczas moim błyszczącym ciekawskim oczom ukazało się coś, co wyglądało jak kawałek brązowego podniszczonego papieru. Wyjęłam ten kawałek i zaczęłam się mu dokładnie przyglądać. Zobaczyłam mężczyznę stojącego dumnie w mundurze. Spytałam babci kim jest ów mężczyzna, jednak ta zmarszczyła brwi i po chwili namysłu stwierdziła, że nie ma pojęcia. Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana.

Poczułam wówczas coś, co trudno mi opisać, coś w rodzaju przenikającej mnie ciekawości. Nutka tajemnicy sprawiła, że dreszcze przeszły całe moje ciało. Odwróciłam zdjęcie z nadzieją, że znajdę tam cokolwiek co pozwoli mi złapać trop. Na odwrócenie widniało kilka zdań, pisanych pięknym kaligraficznym pismem, pieczętka i podpis, którego nie byliśmy w stanie odczytać przez to, że akurat w tym miejscu zdjęcie było mocno zniszczone.

Ten młody chłopak pisał o tym, że się boi, czuł powiew śmierci na karku, zęgnął się z rodziną i pozdrowiał ją, pytał się co u nich słychać.

Mimo strachu zapewniał, że trzyma się całkiem nieźle.

Na pieczętce było wpisane miasto Lissa ( po przetłumaczeniu z języka niemieckiego Leszno). Zdenerwowało mnie to, dlaczego los chciał żeby akurat podpis znalazł się w tej bardziej zniszczonej części. Postanowiłam zignorować ten fakt i stwierdziłam, że się nie poddam, że znajdę o nim cokolwiek, choćbym miała szukać całe swoje życie.

Za pozwoleniem babci schowałam zdjęcie do brązowego albumu, żeby nic mu się nie stało ponieważ ustaliłyśmy i obiecałyśmy sobie, że wspólnie dotrzemy do tego, kto to jest i jaka jest jego historia.

Parę tygodni później mama przyszła mnie obudzić. Nie było to dla mnie nic szczególnego ponieważ od najmłodszych lat wstawanie należało do moich słabych stron.

Jednak tym razem wyraz twarzy mamy był całkowicie inny niż zazwyczaj, była cała biała i miała oczy spuchnięte od łez. Powiedziała, że babcia zmarła wczesnym rankiem.

Najpierw był pogrzeb, po pogrzebie uroczysty obiad dla najbliższych członków rodziny. Tam zjawiała się mama babci- Alicja, czterdziestoletnia kobieta. Wówczas w mojej głowie urodził się pewien pomysł. Pokażę prababci zdjęcie, może ona będzie coś wiedziała – pomyślałam. Robiąc slalom między zaproszonymi krewnymi przedostałam się do prababci. Bardzo nie chciałam jej przeszkadzać w tym trudnym dla niej czasie, jednak zaczęłyśmy rozmawiać, wspominać, a po chwili rozmowy niewytrzymałam z ciekawości i wyciągnęłam z wnętrza mojej czarnej torebki zdjęcie, które miało rozwikłać rodzinną tajemnicę.

Prababcia zobaczywszy je, wyciągnęła ręce w jego kierunku i wyszeptała tylko tata... roniąc przy tym kilka łez. Było mi jej żal, nie chciałam na raz przywoływać tylu bolesnych dla niej wspomnień, z drugiej strony nie zrobiłam tego tylko dla siebie, robiłam to też dla mojej babci i jej córki. Ten dzień okazał się dla mnie niezwykle smutny, lecz dziurę w moim sercu po stracie babci starało się wypełnić szczęście z owocnych poszukiwań. Wiedziałam, że byłaby ze mnie bardzo dumna. Oczami wyobraźni widziałam, jak razem się cieszymy.

Wreszcie był jakiś postęp. Od prababci dowiedziałam się, że ojciec mojej prababki miał na imię Antoni. Zaczęłam być na dobrej drodze, poznałam już jego imię, nazwisko i to skąd pochodził. Antoni Szymura, z Polskich Olędrow lub Wrotkowa te informacje dźwięczały mi w głowie i nie chciały z niej uciec, powtarzałam je jak mantrę. Mijały dni, a ja bezskutecznie wpisywałam te frazy w internet, licząc na to, że znajdę choćby wzmiankę o jego osobie. Zaczęłam zakładać konta na forach genealogicznych i dodawałam posty z nadzieją, że ktoś na nie odpowie. Pewnego dnia, tuż przed świętami Bożego Narodzenia odezwał się do mnie starszy mężczyzna, napisał, że ma skany z archiwum i podał mi dokładnie datę urodzenia "mojego" Antoniego. Byłam w szoku, ten człowiek akurat miał to czego tak długo szukałam. Bez wątplenia był to najlepszy prezent świąteczny. Dalsze poszukiwania szły dość mozolnie lecz starałam się brnąć w to dalej, wszystko byle tylko nie stawać w miejscu.

To nie był łatwy czas dla naszej rodziny, niedługo po śmierci babci pożegnaliśmy prababcie, odeszła cicho - kolejna osoba, która mogła mi pomóc. Załamało mnie to, poczułam, że już nigdy nie odkryję prawdy. Przeszłam kryzys poszukiwawczy, byłam bliska poddania się. Parę tygodni później po stanie zawieszenia i nostalgii, w którym tkwiłam, mamie udało się uzyskać adres kobiety, która była przyrodną siostrą mojej prababci. Ciocia Klara, bo tak prosiła by się do niej zwracać okazała się prawdziwą kopalnią wiedzy.

Tutaj tak naprawdę zaczyna się historia Antoniego. Antoni Szymura urodził się 7 czerwca o godzinie 9 rano 1894 roku w Polskich Olędрах w średniozamożnym gospodarstwie. Jego stan majątkowy potwierdzał artykuł z międzywojennej gazety. Widniała w nim tabelka, w której były dowody, że dorosły już Antoni wpłacał datki, pomagał ofiarom powodzi. Był ludzki dla ludzi, co jest coraz rzadsze w dzisiejszej rzeczywistości.

Za to go podziwiam. Sam nie miał zbyt wiele, a mimo wszystko starał się wspomóc tych, którzy najbardziej tego potrzebowali. Jest to cecha widoczna w mojej rodzinie do teraz. U nas pomaganie stało się swojego rodzaju tradycją, pomagał pradziadek, dziadek i wujek, pomagał każdy, gdzie i kiedy mógł. Uważam to za coś naprawdę szlachetnego i jestem dumna z moich przodków, z tego, że mogę o nich pamiętać i nieść dalej w świat dobroć, którą oni nieśli. Antoni jako młody chłopak dołączył do oddziału pruskiej kawalerii.

W dalszym ciągu poszukuję w jakim oddziale walczył. O tym rozdziale jego życia nie wiem nic, oprócz tego, że faktycznie był w wojsku w tym czasie i wysłał ów zdjęcie, które to potwierdza. Wojna się skończyła, a Antoni wrócił do swojego domu rodzinnego. Tam jako dwudziestoczterolatek ożenił się z Antoniną Jaśniak. Był człowiekiem stanowczym, budzącym respekt, przynajmniej tak opisywała go Klara, która знаła go tylko z opowiadań. Szymura doczekał się dwójki dzieci. Nie miał ani szczęścia, ani tyle czasu, by móc się nimi nacieszyć. Ciężko zachorował, a mimo to nie przestawał pracować.

Pracował wręcz dwa razy tyle, w trosce o dobro rodziny. Pewnego razu spotkał się z sąsiadem, który dopiero co wrócił z Francji z robót w kopalniach. Nie był z początku w stanie wypowiedzieć słów, które musiały wówczas paść. Nic dziwnego, w końcu, jak trudne musiało być to, żeby powiedzieć swojemu koledze o tym, by zajął się jego rodziną, kiedy jego już nie będzie.

Michał obiecał, że ten może na niego liczyć i kiedy nadejdzie pora zjawi się najszybciej jak będzie mógł. Gdy Antoni wrócił do domu, zastał swoją żonę płaczącą. Antonina dobrze wiedziała o czym jej mąż rozmawiał z Michałem, miała żal do losu o to, że tak okrutnie ich doświadcza.

Bardzo się bała, zaczynała już za nim tęsknić mimo, że wciąż miała go blisko siebie. Antoni uspokajał żonę mówił, że czuje się całkiem dobrze, że nie cierpi, jednak, gdy tylko opuścił mury domu, czuł ciekący po czole pot, męczył się szybciej niż starzec po przejściu kawałka drogi. Wiedział, że nie ma już odwrotu. Był słoneczny dzień, kiedy wyszedł na łąkę. Zrobiło mu się gorąco, chciał schronić się w cieniu drzew, ale nie zdążył do nich dotrzeć. Padł martwy na ziemi, o którą walczył kilka lat wcześniej. To wielka tragedia kiedy umiera człowiek, szczególnie młody człowiek, ojciec, którego znalazła jego malutka, kilkuletnia córeczka Alicja, ta sama, która później została moją prababcia.

Ciocia Klara kończyła opowieść dopijając resztkę kawy, klasyczną czarną, jej ulubioną. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę na różne tematy, po czym pożegnaliśmy się i udaliśmy w drogę powrotną do domu.

Czy uważam sprawę Antoniego za rozwiązaną?

Nie, wciąż czuję niedosyt, mam poczucie, że jestem zachłanna, bo pragnę znaleźć więcej i więcej.

Minęło parę lat. Dorosłam. Wspomiane zdjęcie cały czas zajmuje honorowe miejsce w moim albumie, strzegę go jak relikwii. Brzmi to dość dziwnie, ale mam poczucie, że w pewnym sensie się do niego przywiązałam. Do niego i do tej sprawy, do adrenaliny związanej z poszukiwaniem. Gdyby coś się z nim stało, straciłabym część siebie i ostatnią rzecz, łączącą mnie z babcią.

Znajomość swoich korzeni pomaga poznać siebie, tłumaczy pewne zachowania, których się dopuszczamy i to jakimi ludźmi jesteśmy.

Ja i Antoni, czyli mój prapradziadek mamy wiele wspólnego. Odkąd pamiętam interesowałam się jeździectwem i militariami, należę do LOK-u, a gdybym tylko mogła wstąpiłabym do któregoś z oddziałów kawalerii. Wydaje się to niewiarygodne, a jednak to fakt. My i nasi przodkowie jesteśmy związani niewidzialną nicią przeszłości z teraźniejszością. Dlatego właśnie, tak bardzo ważne jest poznanie swoich korzeni. To nie tylko podróż przez historię, ale także podróż w głąb siebie.

## Korzenie, które łączą

Anna Wróbel

Nieraz słyszymy, że prawdziwa siła drzemie w historii naszych przodków, w tych niezwykłych opowieściach, które tkwią głęboko w sercu każdej rodziny. Dla mojej rodziny, tej historii pełnej emocji, trudności, a przede wszystkim niezłomności, jest Oświęcim – miasto, które stało się symbolem największego ludobójstwa w historii ludzkości.

Nasze korzenie sięgają Oświęcimia. To miejsce, które dla wielu jest tylko symbolem tragedii, dla nas stanowi oś życia rodowego. Jednak ta historia nie jest tylko o miejscu, ale o jednym z moich przodków – pradziadku, mieszkańcu Oświęcimia, który stał się więźniem obozu koncentracyjnego Auschwitz. Jego doświadczenie w tamtych piekielnych murach przyniosło wiele bólu w sercu każdego członka naszej rodziny. Jednak to doświadczenie nie rozdzieliło nas, ale stało się mostem, który łączy nas wszystkich - połączeniem przeszłości z teraźniejszością i przyszłością.

Zanim rodzinna legenda o pradziadku stała się znana i rozumiała dla wszystkich, historia ta przez długi czas była jedynie szeptem w cieniu rodzinnego drzewa genealogicznego. Część rodziny wydawała się znać fragmenty tej opowieści, ale pełnego obrazu nie miał nikt. Aż do pewnego dnia.

Wszystko zaczęło się, wiele lat przed moim narodzinami, kiedy mój tata jako uczeń, podjął decyzję o stworzeniu drzewa genealogicznego naszej rodziny jako projektu szkolnego. W trakcie swoich poszukiwań natrafił na starą rodową skrzynię na strychu prababci. Wśród starych fotografii, listów i innych pamiątek znalazł małą, spróchniałą kopertę bez nadawcy z jednym słowem napisanym na przedniej stronie: "Pamięci". W środku znajdowała się czarno-biała fotografia młodego mężczyzny, którym okazał się nasz pradziadek.

Po znalezieniu starej koperty z fotografią pradziadka przez tatę wszystko nabrało innego wymiaru. Podszedł z tym zdjęciem do prababci Anieli, która przez chwilę patrzyła na to w milczeniu, a jej oczy nabrały wilgotnego połysku. Na jej twarzy malowały się różne emocje – wspomnienia, które przez lata były tłumione, teraz powróciły z pełną siłą. "Skąd masz to zdjęcie?" - zapytała z drżącym głosem. Po krótkim wyjaśnieniu taty, prababcia usiadła na starej kanapie, wskazując obok siebie miejsce dla chłopca. Wiedział, że czeka go coś wyjątkowego.

Prababcia Aniela opowiedziała, że przez wiele lat starała się chronić rodzinę przed ciężarem tej bolesnej historii. Nie chciała, by młodsze pokolenia rosły w cieniu tak ciężkiego dziedzictwa. Jednak teraz czuła, że nadszedł czas, by podzielić się tym, co wiedziała. Opowiadała o młodości pradziadka, o tym, jak został aresztowany i przewieziony do obozu w Oświęcimiu. Mówiła o trudach i cierpieniu, które musiał znosić, ale też o drobnych gestach dobroci i solidarności, które dawały nadzieję w tym piekle. Wspominała o sekretnych listach, które pradziadek przemyślał przez więźniów i które czasem docierały do rodziny. Każdy z tych listów był jak promyk światła w otaczającej ciemności.

Wspomnienia prababci Anieli były pełne emocji. Były momenty, gdy jej głos łamał się od wzruszenia, a łzy spływały po jej twarzy. Jednak przez całą opowieść w jej słowach czuło się także ogromną dumę i miłość do pradziadka oraz wdzięczność za to, że mimo wszystko udało się przetrwać.

Kiedy opowieść dobiegła końca, tata mocno objął prababcię. Oboje czuli, że ten moment na zawsze zbliżył ich do siebie. Od tamtej pory historia pradziadka stała się ważnym elementem rodzinnego dziedzictwa, przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Z każdym pokoleniem, historię pradziadka przekazujemy dalej. Te opowieści stały się esencją naszego bytu, fundamentem, na którym budujemy nasze życie. Dzięki nim zrozumieliśmy, że najważniejsza jest rodzina, a silne więzi, które nas łączą, są owocem doświadczeń naszych przodków. Wzrastając w cieniu tej opowieści, uczymy się być wdzięczni za życie w lepszych czasach, ale nigdy nie zapominając o tych, którzy przetrwali najgorsze.

Dzięki tej historii zrozumieliśmy, jak ważne są rodzinne więzi. W momencie kryzysu to rodzina jest naszym oparciem, źródłem wsparcia i miłości. Nasze więzi stały się mocniejsze, bardziej autentyczne, a poczucie przynależności do tej historii, tej społeczności, stało się fundamentem naszej tożsamości.

Dlaczego to ważne dla młodych Polaków? Poszukiwanie źródeł swojej tożsamości, zgłębianie genealogii i pochodzenia to nie tylko pasjonująca podróż w przeszłość. To sposób na zrozumienie, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. W świecie, który stał się globalną wioską, gdzie wartości i tradycje są coraz bardziej zatarte, korzenie stają się naszym przewodnikiem, kompasem wskazującym drogę.

Zrozumienie, jak ważne jest dziedzictwo, tradycja i wartości przekazywane z pokolenia na pokolenie, jest kluczem do budowania silnej postawy obywatelskiej i narodowej. Niech historia mojego pradziadka, jego walka i determinacja, będą dla Was przypomnieniem o tym, jak ważne jest, byśmy nigdy nie zapomnieli o tych, którzy przeszli przed nami, i o wartościach, które są fundamentem naszego narodu.

Zgłębiajcie swoje korzenie, poznajcie historie Waszych rodzin. Niech będą one fundamentem, na którym będziecie budować swoją przyszłość, bo to właśnie w przeszłości tkwi klucz do zrozumienia terażniejszości i kształtowania przyszłości. Poszukujcie, uczcie się i przekazujcie dalej - bo prawdziwa siła tkwi w pamięci i tradycji, które są dziedzictwem nas wszystkich.

111.

# Stąd jestem

Tymoteusz Gordon



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stąd jestem

Monika Hancyk

Moja Prababcia, rocznik 1920, zmarła w wieku 91 lat. Ukończyła 4 klasy szkoły powszechnej i w życiu nie przeczytała żadnej książki o wychowywaniu dzieci. Ani o prowadzeniu domu. Nie wiem, czy w ogóle przeczytała jakąkolwiek książkę – wolała gazety.

Jako współczesna matka mam takich lektur na koncie kilkanaście. Każda obiecywała mi, że wystarczy wprowadzić w życie kilka prostych reguł, by moje dzieci były najszczęśliwsze na świecie, a dom zamienił się w oazę spokoju, w którym niemowlęta, koty i filodendrony żyją w perfekcyjnej symbiozie. Dodam, że owe reguły były zazwyczaj wyluszczone na kilkuset stronach gęstego, psychologicznego tekstu wzbogaconego słuszną dawką mądrości w stylu Paulo Coelho.

Wszystkie te poradniki dostarczyły mi mnóstwa wyrzutów sumienia, a jednocześnie skutkowały niejasnym uczuciem z gatunku *déjà vu*. Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że autorzy wspomnianych książek nie odkryli Ameryki lansując tezy typu „wspólne jedzenie posiłków łączy”, czy „już przedszkolaki powinny mieć swoje obowiązki domowe”. No przecież Prababcia tak właśnie mnie wychowała, a wcześniej moją mamę i moją babcie, i było to równie oczywiste jak rosół z makaronem na niedzielny obiad i ryba w piątek.

Ważną, jeśli nie najważniejszą, lekcją z dzieciństwa była dbałość o porządek. Babcia hołdowała zasadzie, że w domu nie musi być bogato, za to niezmiernie istotne jest, by było w nim czysto. Zupełnie nieświadomie wpoila nam zasadę, że im mniej chaosu wokół nas, tym więcej spokoju w nas samych. Często przywoływała historyjkę obrazkową, którą znalazła w jednym z czasopism dla dzieci, pewnie w jakimś „Misiu” czy innym „Płomyczku”. Na pierwszym rysunku w pomieszczeniu panował bałagan i ta ilustracja była ciemna, ponura. Na drugim zaś, ten sam pokój był uporządkowany. Rysunek był jasny, pogodny, a za oknem świeciło słońce. Ten mocno dosłowny, by nie rzec „łopatologiczny”, przekaz utkwił mi w pamięci bardziej niż sedno wszystkich przywołanych już wcześniej poradników.

Co znamienne, w myśl nauk Prababci, dbałości o porządek ma niewiele wspólnego z czyszczeniem fug szczoteczką do zębów i przeganianiem dzieci ścierką za każde wtargnięcie do domu w brudnych butach. Co to, to nie. W idei wpajanej przez babcie, chodziło bardziej o prawidłowość: spadło ci – podnieś, nakruszyłeś – pozamiataj, zabrałeś – odłóż w to samo miejsce.

Genialnie proste. Nie mniej ważne było porządkowanie samego siebie, w tym nazywanie rzeczy po imieniu. Kłamstwo było kłamstwem, a nie przemilczeniem prawdy. Przyznanie się do winy nie było słabością, tylko aktem odwagi. Wybaczanie, wyciąganie ręki na zgodę – trudne, ale dawało bezcenny spokój. Te ważne lekcje, których mogłabym wymienić mnóstwo, dotyczyły praktycznie każdej sfery życia – od relacji sąsiedzkich, przez związki, aż po ekonomię.

I w tym burzliwym świecie są prawdziwą opoką, która pozwala się nie bać. To taki fundament, bardzo głęboko zakorzeniony, który sprawia, że wiem, co jest właściwe. I żadne

zmieniające się trendy nie są w stanie zwiścić mnie z kursu, na który moja antenatka naprowadziła mnie wiele lat temu. Zasady, które wpojono mi w dzieciństwie można porównać do wskazówki w kompasie – czasami ulega lekkim zachwianiom, ale w końcu zawsze wskazuje dobrą drogę. Dzięki Babci lubię mieć porządek w tzw. papierach i porządek w mieszkaniu. Porządku ucze moje dzieci, co nie jest łatwe, bo skoro „inni” nie sprzątają, chociażby po swoich pupilach, to „dlaczego my musimy”? Niestety, często dostrzegam, że niektórym to przeszkadza, wręcz drażni. „Och, bo ty taka porządna jesteś” – zdarza mi się słyszeć, gdy idę opłacić miejsce postojowe na obrzeżach miasta („Daj spokój, tu nigdy nie sprawdzają!”), albo gdy mówię, że muszę kupić papier do ksero, bo w domu mi się skończył („Ale po co kupujesz? Weź z pracy, tutaj jest go mnóstwo!”).

Podaję przykłady rzeczy małych, banalnych, nieistotnych. Czyżby?

Im jestem starsza i im więcej widzę chaosu dookoła, tym bardziej doceniam mądrość mojej niewykształconej, a jednak arcymądrej życiowo Prababci. Myślę, że wielu z nas spotkało, albo nadal spotyka na swojej drodze takich ludzi, ale zamiast ich posłuchać, woli postawić stempel: „Zasady sprzed wojny, do kosza z nimi!”. Nie, no jasne, że lepiej zaufać jakiemś młodocianemu „coachowi”, który poucza tysiące swoich „followersów” na Instagramie. Wszak to takienowoczesne...

Od jakiegoś czasu, zamiast ulegać tym złudnym receptom na szybkie i łatwe szczęście, toczę w myślach rozmowy z prababcią. Zastanawiam się, co ona zrobiłaby będąc w mojej sytuacji. Jaką radę podsunęła? Zaleciłaby walczyć, czy może odpuścić? Przejmować się, czy zapomnieć? Bardzo brakuje mi jej powiedzeń typu „Ranek jest mądrzejszy od wieczora”, „Lepiej jeść małą łyżką, a stałe” albo, mojego ulubionego, czyli „Sen to najlepszy lekarz”.

Moja Prababcia miała pięcioro rodzeństwa – cztery siostry i jednego brata. Od najmłodszych lat ciężko pracowała – w domu, w polu, a także w majątku emerytowanego generała Wojska Polskiego, który znajdował się w jej rodzinnej wsi. Zawsze powtarzała, że „praca to rzecz święta” i sama była tego najlepszym przykładem. Stała się czymś zajęta. Nawet oglądając telewizję, zawsze miała w ręce jakąś robótkę (pięknie haftowała i tworzyła cuda za pomocą szydelka). Wyszła za mąż młodo, wcześniej owdowiała. Miała jedną córkę, z którą mieszkała do końca swoich dni. Wraz z nią, z zięciem, wnukami i prawnukami stworzyła najwspanialszy dom wielopokoleniowy jaki można sobie wyobrazić i w jakim miałam szczęście się wychowywać. Świetnie gotowała – zdrowo, sezonowo i pełnowartościowo. Lubiała podśpiewywać i rozwiązywać krzyżówki. Przez lata miała jedną jedyną skórzaną torbę na zakupy i uprawiała takie „zero waste”, o którym współczesnym ekologom się nie śniło. Chętnie chodziła w odwiedziny do krewnych i znajomych, i równie chętnie przyjmowała gości. Zawsze na stole przykrytym obrusem, zawsze na porcelanie.

O wiele rzeczy nie zdążyłam jej zapytać. Mogę tylko ocalić te strzępy historii, które dane mi było usłyszeć. Jedną z nich jest opowieść o materiale na suknię ślubną, który utknął na początku wojny w zakładzie krawieckim. Właścicielkami zakładu były żydówki, które wywieziono do getta.

Jest to krótka opowieść o rozpaczach, o złych znakach, o odwadze, i o litościwym Niemcu, który zakład otworzył i pozwolił zabrać bezcenną belę kremowej tkaniny. Są jeszcze historie o dobrej Pani Generałowej, która uczyła wiejskie dzieci modlitw i malowała piękne obrazy. I te o niezliczonych ciociach, wujkach, ślubach, pogrzebach i chrzcinach osób, których nie sposób już dziś zidentyfikować. Z odmętów pamięci wylaniają się czasami migawki wspomnień – imię jakiegoś psa, ilość soli, której należy użyć do kiszenia ogórków, miejsce służące niegdyś



za plac targowy... Odpryski zwykłego życia, które tkwią we mnie niczym kawałki zwierciadła w sercu andersenowskiej Gerdy. Niby ich dużo, ale jednocześnie – boleśnie mało.

Moją najmłodszą córkę urodziłam w 2020 roku. Równy (prawie co do dnia!) sto lat po tym jak w małej wielkopolskiej wsi przyszła na świat moja Prababcia. Wtedy, bardziej niż kiedykolwiek, poczułam się częścią nieustannej sztafety pokoleń. Gdzieś obok toczy się koło „wielkiej” historii, a ognisko w naszej rodzinie nigdy nie wygasa. Pozostaje mi nadzieja, że jakieś okruchy z istnienia Prababci przedostaną się także w kolejne dziesięciolecia, a może nawet w kolejne wieki.

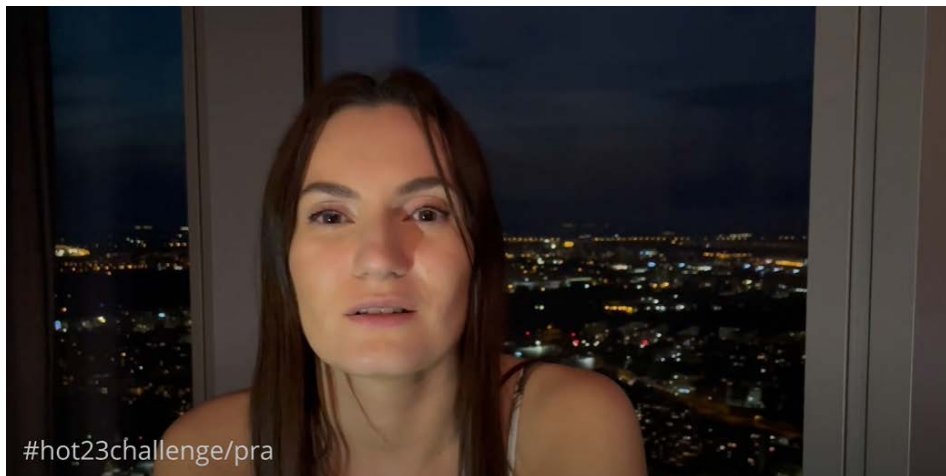
Kochałam ją bardzo.

Moja prababcia Aniela Błaszyk (z domu Gołębiowska) ur. 1920 – zm. 201

113.

# Stąd jestem

Marcin Boroń



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

# Repatriant Marian Kamieniak

Dominik Staniucha

Marian był dwudziestopięcioletkiem wracającym ze swoją rodziną do ojczyzny, po latach tułaczki i wysiedlenia. Jako przewodniczący grupy repatriantów zdążył właśnie wysiąść z pociągu wracającego z Francji do Polski. Powodem jego wyjścia z wagonu była konieczność załatwienia spraw organizacyjnych i logistycznych. W tym samym czasie do pociągu zawitał fotoreporter jednej z ludowych gazet, który miał uwiecznić grupę powracających i zrelacjonować ten fakt, jako duży sukces władzy ludowej. A był to rok 1955. Dwa lata po śmierci Stalina, w czasie tzw. odwilży, takie powroty z kapitalistycznego zachodu stały się możliwe. Miało to dla Polski Ludowej wymiar stricte propagandowy i populistyczny. Koniec końców Maniek w czasie wizyty reportera był nieobecny. Nie załapał się też na pamiątkowe zdjęcie dokumentujące ten fakt.

Mój dziadek Marian Kamieniak urodził się w 1930 r. we wsi Dąbrowa, w powiecie wieluńskim. Do wybuchu wojny mieszkał we wsi Biała Pajęczńska w małym gospodarstwie. Żył spokojnym, wiejskim życiem, z rodzicami i z licznym rodzeństwem. Miał dwie siostry i czterech braci. W 1940 roku zaczęły się zorganizowane przez Niemców przesiedlenia. Julek i Stasiek, dwóch jego starszych braci zostało wywiezionych do Rzeszy. Reszta rodziny była lokowana w kolejnych gospodarstwach, z przeznaczeniem do pracy przymusowej. Odbywało się to jeszcze na terytorium Polski. Pracowali oni na rzecz gospodarzy niemieckich, którzy przejęli polskie gospodarstwa.

W styczniu 1943 roku okupant zdecydował o kolejnej zmianie dyslokacji rodziny Kamieniaków. Tym razem w trwającej wojennej zawierusze rzucił ich poza granicę kraju. Transportem kolejowym trafili do Francji. Ich podróż odbyła się poprzez dwa obozy przejściowe: najpierw w Poznaniu, a potem we francuskiej miejscowości Netz. Punktem docelowym ich podróży była miejscowość Le Chesne, położona w departamencie Ardenów. Tam docelowo Kamieniakowie pracowali dla niemieckiego bauera. Dziadek Marian w swoich wspomnieniach określał go “niemieckim obszarnikiem ziemskim i wielkim dyktatorem”, nie bez przyczyny.

Praca przy uprawie roli i wypasie owiec, była bowiem ciężka i musieli ją wykonywać wszyscy, z dziećmi i osobami starszymi włącznie. Maniek był dodatkowo oddelegowany do sprzątania dworu. Warunki socjalne nie przedstawiały się kolorowo. Duża rodzina została wciśnięta do małego baraku. Taki sam los dzieliło około siedemdziesiąt polskich rodzin.

Podobnie jak inne dzieci przesiedleńców wykorzystywane w pracach przymusowych nastoletni Marian nie chodził do szkoły. Zrywał się za to wściekle rano do obrządku bydła, potem w pocie czoła rył rękami we francuskiej ziemi i wypasał zwierzęta hodowlane. Cały czas był pod nadzorem, pod niemieckim pręgierzem. Jego dzień kończył się późnym wieczorem. Los nie był dla niego, jak i innych dzieci w ogóle wyrozumiały w tym względzie. Definitywnie nie był. Pozbawił ich dzieciństwa, jak i szansy zdobycia wykształcenia. Prawo do nauki, jako jeden z niezmywalnych praw człowieka zaczęło obowiązywać dużo później.

Po pokonaniu Niemców przez aliantów i wyswobodzeniu Francji, Kamieniakowie byli przerzuceni przez władze francuskie w rejon Pas de Calais. Tam przez rok pracowali również na roli. Na własną rękę przenieśli się do zagłębia górniczego, do miasta Lens. Tam dziadek pracował w kopalni. Zawodem górnika parął się do końca swojego pobytu we Francji. Profesja górnika jest ówczasie uważana, za jedną z najcięższych. Trudno więc sobie wyobrazić jak ciężką i niebezpieczną była w połowie ubiegłego wieku. Do końca życia dziadek posiadał opilki węgla pod skórą na kolanach. Mimo wszystko we Francji, po wojnie żyło im się dobrze. Zaczęli gromadzić mały majątek, zakres posiadanych przedmiotów zwiększał się z dnia na dzień. Chyba z tęsknoty za ojczyzną postanowili jednak wrócić do Polski.

W tym miejscu należy uzmysłowić sobie, jaki wymiar wizerunkowy dla komunistycznego ustroju miała cała ta historia. W interpretacji „czerwonego” dziennika nastąpił powrót grupy repatriantów z zgnięłego zachodu do socjalistycznej ojczyzny. Otóż było zupełnie odwrotnie, bowiem w rzeczywistości nastąpił powrót dużej grupy osób, z kraju demokracji i kwitującego kapitalizmu, do państwa o narzuconym z góry socjalizmie i kielkującym reżimie radzieckich aparatczyków.

Postawa repatriantów, z jednej strony to powrót do umiłowanej ojczyzny, z drugiej zaś mogłaby być uznana za zgoła szaleńczą. Szczególnie przez tych, którzy bezpośrednio po wojnie zaznali w pełnej krasie “przyjaźni” wojska radzieckiego. Tych represjonowanych w czasie reżimu stalinowskiego przez komunistyczną władzę i wysyłanych do miejsc odosobnienia. Podobnie, jak tych prześladowanych za walkę na wojnie, po alianckiej stronie. Mogłoby się to wydawać dziwne, również tym, co wtenczas doznali w kraju niesamowitej biedy. Repatrianci opuszczali kapitalistyczny, rozwinięty kraj, który szybko podniósł się po wojnie, a zmierzali do państwa satelickiego Związku Radzieckiego. Wędrowali w samo serce ustroju komunistycznego w Europie Środkowej.

Ja, już w czasie, gdy tą historię poznałem, uznałem ją za przejaw niewiarygodnego patriotyzmu i umiłowania ojczyzny. Zawsze byłem też, wdzięczny dziadkowi za jego powrót z deportacji. Mógł przecież założyć rodzinę we Francji, dać nowe życie jakimś innym ludziom, przedłużając tym samym pokolenie za granicą.

Pamiętam opowieści dziadka, te z przedwojnia i te z wojny. Dar do snucia opowieści miał niemały. W palecie wszelakich historii, poza wspomnieniami były liczne historie o duchach i bajki. Słuchałem je jako dziecko z zapartym tchem.

Dziadek po powrocie do kraju, zamieszkał w Karsznicach, koło Zduńskiej Woli. Jako, że było to miejsce z rozwiniętym węzłem kolejowym, to właśnie na kolei znalazł pracę. Swoją żonę poznał w pociągu. Ślub z Marysią wzięli w 1956 roku. Mieli dwoje dzieci, a później czworo wnucząt. Jednym z nich jestem ja. Dziadek zmarł w 2014 roku, w wieku 84 lat. Pokonały go powikłania po infekcji i chorobie płuc.

Bardzo go kocham.

## Stąd jestem

Klaudia Bartel

*Dobroć to tylko gesty  
które nie prowadzą do wielkich zwycięstw  
Milczy o nich legenda  
To gesty dnia powszedniego  
o ileż bardziej heroiczne  
od wszelkiego bohaterstwa*

(Christian Bobin, La Vie passante)

Czerwiec roku 1976. Promienie naturalnego światła o zróżnicowanym przekroju skupienia, wybiórczo uzupełniające przestrzenie obrazu pospolitego domu Polski Ludowej, rozszczepiają ciągłość trzonu karafki refleksami i przez opalizujący bibelot wyhamowują swój bieg na oku znużonego ciężkością temperatury dziecka. Dla młodego, spostrzegawczego wzroku uzupełnionego o wolną od przyjętych form leksykalnych interpretację pasma miękkiego światła przecinające zakurzone powietrze, jawią się jako zjawisko transcendentne, dialog eteru ze sprawami niższej wagi, choć doświadczane jeszcze bez kontekstu a priori, a dostępnym człowiekowi bagażem zmysłowym, będącym u szczytu możliwości – zdaje się – tylko w okresie przed freudowską amnezją dziecięcą. Technicolor wdzięcząc się swą nowoczesnością w oprawie lakierowanej ramy nawołuje „Hy, погоди!” (Nu, pogodi!), wtórując zdynamiczowaną jaskrawością pościg wilka za zającem. Idylliczny obraz nasycy młoda rączka sięgająca spod drewnianej ławy za lakową szkatułkę, była bezosobowość pchłego targu, która służy za ochronę cennych czekoladowych pomadek, sięganych teraz spod stołu ledwie proporcjonalnie długą rączką, w frywolnej imitacji alpinisty, chcącego osiąść szczyt szlakiem innym, powiedzielibyśmy –kompetytywnym - w stosunku do zamysłu laika. Wprawny chwyt po otrzymanej gratyfikacji sięga również goleni siedzącej obok matki, której sztywność ciała oraz zawieszony w przestrzeni wzrok, w opozycji do absorbującego otoczenie młodego umysłu wyraża kunderowską lekkość bytu. Cierpką oraz pozbawioną tego istotnie wiążącego z poczuciem celowości w życiu pozytywnego balastu, którym dla matki jest pełne rodzicielstwo i przeznaczona mu rola, będąca trzonem egzystencji wielu kobiet w czasach autorytarnej dominacji oraz ideologicznej konsekracji roli pracy per se, ze szczególnym uwzględnieniem jej użyteczności na rzecz wielkiej Mateczki Rossiji. Matka, utraciwszy część swojego rodzicielstwa, nie potrafi zwrócić go ku oczom wznoszonym teraz przez jedyne dziecko, którego wzrok wyraża kompilację wolnych myśli oraz emocji, nie mających ukierunkowanego biegu, a niepohamowanie pragnących spełnienia w matczynym uścisku, który jednak nie nadchodzi. Niezgoda na stan rzeczy, jakim jest śmierć brata dziewczynki, powoduje gniew oraz emocjonalny stupor, którego macierzą jest głęboki smutek, a ten z kolei, zamykając człowieka w granicach własnego bytowania, powoduje oziębłość

oraz odrzucenie. Gwałtowny gest ręką wymusza upadek dziecka na dywan, pozostawiając je samo pośród zrobionej przez nie wcześniej inkrustacji wykonanej z koralików, według szablonu przewidzianego przez – być może – arabskiego projektanta nabytku. Za ruchem zdezorganizowanych koralów, w gwałtownym nurcie rozgoryczenia płyną łzy, wypełniając koryto runa barwionej wiskozy.

\* \* \*

Wazon z barwionego szkła opiewają płatki uschniętego bukietu goździków oraz opadająca na jego krawędziach wilgotność szczytowania pracy maszyn. Wzdłuż parapetu monotonnym cyklem przechadza się mężczyzna, odmierzając miarowym echem czas pozostały do końca zmiany krokami na betonowej posadzce; rozpraszający pływające w przestrzeni znużenie tępy dźwięk alarmu przerywa zamiar przeniesienia przez kobietę pakunku porcelanowych talerzy, które w geście pośpiechu inna pracownica trąca nerwowo nogą, dzieląc tym samym presję wyjścia między pozostałych na hali ludzi. Minawszy okno portierni twarz kobiety konfrontuje słońce, będące zaledwie refleksem światła na matowej powierzchni chmur, uszczegóławiając surowość sowieckiej myśli architektonicznej. Powłóczytym krokiem skraca dystans dzielący ją od wyczerkiwanego odpoczynku, mija nijakie witryny sklepowe oraz usługowe, czując dopełnianie ich pospolitości własnym wizerunkiem obywatela produktywnego, nie mającego jednak poczucia adekwatności względem utopijnych ideałów, jakie mają otaczać go zewsząd. Przerzucając na ramię wątpliwie wypełnioną reglamentowanym chlebem oraz musztardą torbę, od progu kobieta wita swoje dziecko, odwracając od jego pieszczot dyskretnie wzrok w celu określenia obecności ojca w domu; rezultat okazuje się być milczeniem względem daremnych oczekiwań. Porywczy gniew zamiera w palcach, który choć chce uciec przed sprawiedliwością samokontroli, zostaje oddalony do biernego zasobu niewyrażonych emocji, rosnąc jak guz u podstaw etycznego kontinuum istoty człowieka. Latorośl śpi u progu piersi swojej matki, w której choć dogorywa witalność oraz nadzieja, mobilizuje dłoń do otarcia bezwładnemu teraz potomkowi kurzu z doświadczonej zabawą brwi. Palec przesuwający po delikatnej dolinie łez, z rozpalonej żalem matczynej powieki przyjmuje ciche łkanie kobiety, której jedynym manifestem wolności pośród bolesnej opresji rzeczywistości jest samotność; izolacja w przestrzeni odseparowanej od właściwej, ożywionej części uczuciowości ludzkiej, pośród niczego, a wokół wszystkiego. Dziewczynka, zaaferowana teraz niespokojnym drzemaniem pośród ścian kojca, nie słyszy emocjonalnej, lecz niemal niedostrzegalnej maligny swojej piastunki, elegii mimowolnego szłochu z zamkniętej w przedramionach głowy.

\* \* \*

Cień zawarty w rysach mojej matki nadaje szlachetności ledwie sugestywnemu uśmiechowi, jaki pojawia się na jej twarzy przy badaniu zdrowia storczyka oraz studiowaniu jego faktury. Oszczędność mimiki godna japońskich formacji teatralnych komunikuje spokój manifestowany cichą kontemplacją wymowną dla uważnego odbiorcy; wyzwolenie żalu dziecka w twórczym akcie pojednania ze światem, przez trywialną troskę o roślinę jest rezyduum, które konstituuje moje pokolenie; kierując wzrok na błogosławieństwo istnienia z łaski trafu oraz prostotę, którą reprezentuje, otwiera wieczność oraz pokorną naukę bycia małym. Mądrość rozgoryczenia dziecka zna tylko czas.

## Niebo piękniejsze jest odkąd jesteś tam – w hołdzie mojemu dziadkowi

Kazimiera Kinga Sitarz

Nie dane mi było go poznać. Urodziłam się zbyt późno. Może nosiłby mnie na rękach i wraz z babcią kołysał do snu? Może pilnował, jak raczkuję, gdy mama gotowała obiad? Wreszcie, może opowiadałby mi o wojnie? Tego nie wiem i nigdy się nie dowiem. Teraz jedyne, co mogę dla niego zrobić to zapalić znicz, pomodlić się i sprawić, by był dumny ze swojej najmłodszej wnuczki. I chciałabym, aby za sprawą tego eseju stał się znany, bo zasłużył na to.

Mój dziadzio Józef urodził się 20 marca 1920 roku we wsi Hedwiżyn na Lubelszczyźnie jako trzecie dziecko Julii i Stanisława Sitarzów. Rozkochał w sobie rodziców oraz podbił też serca swojego rodzeństwa: Stasia i Nastki. Rok przed narodzinami Józia, jego ojciec, a mój pradziadek, wrócił z frontu I wojny światowej. Krótko cieszył się nowonarodzonym synem, bo po kilku miesiącach został zwerbowany do armii i wyjechał walczyć w wojnie polsko-bolszewickiej.

Mijały lata, a Józio rósł. Już każdy we wsi znał chłopaczka z czarną jak smoła czupryną oraz zielonymi oczami. W 1928 roku rozpoczął naukę, która nie trwała długo. Skończył tylko 4 klasy, bo rodziców nie było stać na dalszą edukację syna, a poza tym ktoś musiał im też pomóc w polu. Dziadzio miał sporo obowiązków musiał paść krowy czy rżnąć siewkę.

Pod koniec lat 30-tych Józef był już dorosłym chłopakiem. Dni upływały mu na pracy w polu i gospodarstwie. Pomagał także bratu Stanisławowi w prowadzeniu sklepu i cieszył się z jego ożenku. W letnie wieczory widywał się z kolegami i koleżankami. Sielankę młodości przerwała śmierć rodziców. Obydwoje zmarli na astmę niedługo przed tym, jak wraz z 1 września 1939 roku rozpętało się wojenne piekło. Stres i napięcie stały się codziennością i sprawiły, że zaczął palić papierosy, co jednak rzucił po kilku miesiącach.

Mimo wojny, Józef często odwiedzał Nastkę, która po ślubie zamieszkała z mężem w Terespolu. Niespodziewanie podczas wizyt u siostry, coraz częściej rozmawiał z jej sąsiadką – nastoletnią Władzią, młodszą od niego o siedem lat. Władzia była wysoką blondynką o niebieskich oczach. Mimo różnicy wieku zakochali się w sobie, a Józef, kiedy tylko mógł wsiadał na rower, bądź pieszo szedł z Hedwiżyna do Tereszpola, by zobaczyć się z Władzią. Pracował także w kamieniołomie.

Niemcy obserwując Józefa i jego kolegów podczas pracy stwierdzili, iż to bezcenni pracownicy i przydaliby się w Rzeszy. Któregoś dnia, kiedy przyszedł do pracy, został wraz z kolegami siłą wciągnięty do pociągu. Był przerażony i czuł bezradność. Podróż się dłużyła. Wysiedli za Krosnem, bo Niemcy chcieli ich jeszcze przeliczyć. Stali w dwuszeregu, podczas gdy okupanci wdali się w dyskusję. Józef wiedział, że może już nigdy nie ujrzeć ukochanej i nie wrócić do Polski. Postanowił zaryzykować. Powiedział kolegom, że albo teraz uciekną,

albo nigdy. Był koniec czerwca, zboża w polu były na tyle wysokie i gęste, że można było się tam skryć. Znajomi jeszcze się wahali, ale ostatecznie wykorzystując nieuwagę Niemców uciekli. Okupanci próbowali ich szukać, jednak na próżno. Nim się zorientowali, ci byli już w lesie.

Uciekinierzy spostrzegli się, że powstał problem. Trzeba było przejść przez San, a nie potrafili pływać. Zauważyli młodą dziewczynę, zbierającą jagody. Nieznajoma na widok grupki młodych mężczyzn zaczęła głośno krzyczeć i wołać o pomoc. Ci szybko ją uspokoili że nie zamierzają jej skrzywdzić, a potrzebują jej pomocy i opowiedzieli o swoim kłopotcie.

Ta obiecała, że wieczorem przyjdzie jej matka i coś im poradzi. Faktycznie, kobieta przyszła i powiedziała, że muszą iść cały czas w najplytszej części rzeki i patrzeć prosto na drzewo, a także dała im jedzenie. Powrót do domu był męczący i pełen strachu. Bali się, że trafią na Niemców. Mimo wszystko udało się, ale pod koniec jeden z kolegów nie miał sił iść, więc Józef niósł go na rękach. Po latach powie, że zawdzięcza Józefowi życie.

Wojna wreszcie się skończyła, a Józef i Władzia 20 lutego 1946 roku wzięli ślub. Dziewięć miesięcy po weselu na świat przyszedł ich pierwszy syn – Józio. W 1948 roku radowali się kolejnym synem, Jankiem, a w 1950 Tadzkiem. W 1947 przeżyli tragedię, bo Józio zmarł. Ich serca pękły też, gdy stracili rocznego Tadzka, który dostał za dużą dawkę zastrzyku podczas choroby. Zdecydowali się jeszcze na pięcioro dzieci, marzyli o córce, ale Bóg obdarował ich sami synami. Ostatni z nich, Stanisław, pojawił się na świecie, kiedy Józef miał 48 lat. Był dumny i szczęśliwy mając tak wspaniałe dzieci. Chodził na wywiadówki, ale nie wywierał presji na synach, by mieli wysokie stopnie. Nie bardzo wtrącał się też w ich decyzje, powtarzając tylko, że:

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Uwielbiał pieczone przez żonę tysie i inne dania, które przygotowywała. Prócz pracy w polu, pomagał budować kościoł i chronić przed UB kościelne dobra. Pod koniec lat 40 siłą wcielono go do MO. Nie wykonał rozkazu odebrania samotnej i ubogiej matce krowy, bardzo jej współczuł i wiedział, jak potrzebne jest jej to zwierzę. Zrezygnował z pracy w milicji i wrócił do kamieniołomów oraz gospodarstwa. Krótko po chrzcie ostatniego syna, do domu Józefa przyszli sąsiedzi, którzy działali w komunistycznej partii i namawiali go, by poparł pomysł usunięcia z parafii księdza proboszcza.

– Ja go tutaj nie przywoziłem i nie będę stąd wywozić – odpowiedział stanowczo.

Lata minęły. Dzieci dorosły, a Józef i Władzia doczekali się 9 wnucząt. Według mojej siostry stryjecznej Ani, był cudownym dziadkiem. Sadzał ją na koniu Gniadym i prowadził przez całe podwórko. Pozwalał jej nawet na to, by skakała po łóżku oraz uczył różnych prac polowych i zawsze chwalił Anię, że świetnie jej idzie. Był zawsze uśmiechnięty i w ogóle nie siwiał. Nadszedł 1988 rok i dziadek coraz gorzej się czuł. Diagnoza była druzgocąca. Rak żołądka, zaawansowany. A miał tylko 68 lat... Jeszcze z dumą spojrzął na świadectwo najmłodszego syna i powtarzał mu, żeby nie martwił się o gospodarkę, tylko się uczył. Mimo walki i wsparcia najbliższych, odszedł 23 sierpnia 1988 roku. 21 lat później, 7 marca 2009 roku przyszedł po żonę i zaprowadził ją do nieba, skąd z dumą spoglądają na swoje dzieci, wnuki i prawnuki.

Mój dziadzio stanowi dla mnie ogromną inspirację. Jest przykładem siły, pracowitości, odwagi oraz oddania rodzinie. Robi na mnie wrażenie jego zapał do ciężkiej, fizycznej pracy. Nigdy nie narzekał na długie żniwa, a ja mam problem z tym, żeby z chęcią pomóc rodzicom przy zrzućaniu zboża czy wyrwaniu chwastów. Wtedy przypominam sobie jego i babci przykład i wiem, że mam dużo lżej niż oni w młodości. Zawsze będę go podziwiał za to, że



postanowił uciec Niemcom i w upał przejść tyle kilometrów, by wrócić do domu. Tym odważnym czynem ukazał mi, że z każdej, nawet najbardziej beznadziejnej, sytuacji jest jakieś wyjście i wszystko zawsze kończy się dobrze. Jeżeli kiedykolwiek będę miała syna, nazwę go na cześć dziadka – Józef.

## Stąd jestem

### Kinga Kucharczyk

Od około trzynastego roku życia zaczęłam się na poważnie zajmować genealogią mojej rodziny. A jest to nie lada wyzwanie, ponieważ moja rodzina jest ogromna. Mój pradziadek Jan miał dziesięcioro pociech, co jest sporą liczbą. Więc sama myśl o zajęciu się genealogią tej rodziny sprawiała większość ludzi w niesmak. Pomimo to ja postanowiłam się tego podjąć i mi się to bardzo spodobało. Stało się to moją pasją, powołaniem. Pamiętam, gdy w czwartej klasie szkoły podstawowej kazali nam zrobić drzewo genealogiczne. Moja wiedza w tamtym czasie opierała się jedynie na najbliższej rodzinie, więc po wiedzę udałam się wprost do moich rodziców. Ostatecznie zrobiłam do moich pradziadków, pomijając całe wujostwo i kuzynostwo. Gdy to skromne drzewko skończyłam, nie spodziewałam się, że brakuje tam aż tylu osób. Kilka lat później na jednym z co sobotnich spotkań moi rodzice oraz wujostwo rozmawiali o jakiejś „cioci z Łodzi”. Byłam bardzo zaskoczona, dowiadując się, że mamy jakąkolwiek rodzinę w Łodzi, ponieważ przeważnie rodzina Kucharczyków mieszka w powiecie Pułtuskim lub w jego okolicy. Dowiedziałam się wtedy, że ta ciotka, o której była rozmowa, nie żyje i w Łodzi pozostał jej mąż oraz córka. Postanowiłam więc zgłębić jej temat, dowiedzieć się więcej o jej życiu.

Walentyna Kucharczyk urodziła się 28 listopada 1929 roku w Wólce Lubielskiej. Była córką Jana Kucharczyka bogatego rolnika oraz Marianny Kucharczyk z domu Słoniewskiej, która była z rodziny szlacheckiej. Wtedy Walentyna miała 5 starszego rodzeństwa: Karola, Apolonię, Lucjana, Henryka oraz najstarszego Mieczysława. Był jeszcze jeden chłopiec, który miał na imię Marian, lecz zmarł w bardzo młodym wieku. Historia tych imion także jest ciekawa, najprawdopodobniej dostawali oni takie nietypowe imiona, ponieważ ich rodzice mieli najpopularniejsze imiona w tamtejszym czasie. Kolejne dzieci się rodziły, a Jan wziął kredyt, za który wybudował piękny drewniany dom z rzeźbionymi oknami.

Mieszkali na Wólce pewien czas aż do 1938 roku, gdy Jan zbankrutował przez denominację, mówiło się wtedy „sprzedasz krowę, kupisz kurę”. Więc Jan sprzedał cały swój dobytek i wyprowadził się do wsi Kozłówka. Tam wszyscy mieszkali, gdy Walentyna miała iść do piątej klasy, wtedy wybuchła II wojna światowa, w czasie jej trwania Niemcy stworzyli sobie w ich domu szpital polowy, gdy przechodził tamtędy front, wtedy cała rodzina uciekła stąd na kilka dni. Do szkoły wróciła dopiero po 1945 roku, wtedy już nie miała jednego z braci – Mieczysława. Zmarł on przez wybuch, gdy był partyzantem. Po wojnie trzeba było szybko nadrobić klasy, a Walentyna była w tym znakomita szybko je nadrabiała i to ze znakomitymi ocenami. To nie przeszło uwadze Gminy Gzy, która ze względu na jej wyniki w nauce uznała, że taki umysł w wiejskiej szkole marnuje swój potencjał. Więc jako jedyną w całej historii gminy wysłali ją do większego miasta, by się tam uczyła. Tam skończyła położnictwo, lecz to nie jedyne co się w tamtym momencie działo, wtedy także poznała miłość swego życia, którą był Wiesław

Witczak. Był on podpułkownikiem w wojsku. Właśnie z tym mężczyzną Walentyna wzięła ślub w kwietniu 1957 r. w swojej parafii.

*(Na zdjęciu znajduje się Wiesław Witczak wraz z żoną Karola czyli brata Walentyny)*

Ślub odbywał się w tajemnicy przed władzami, ponieważ wtedy wojskowi mieli zakaz mieć cokolwiek wspólnego z kościołem. Jak się okazało, nie dane było im uniknąć problemów z tym związanych, jakaś osoba doniosła, że mieli ślub kościelny, przez co Witczak miał małe problemy w pracy. Po tym wydarzeniu mieszkali w różnych miejscach, w zależności gdzie jej mąż był przydzielony. W międzyczasie urodziła im się także córka – Halina.

Walentyna szczególnie lubiła piosenkę Ireny Santor „Powrócisz tu”. Wtedy za tęskniła za domem. Pragnęła wrócić do centralnej polski, dlatego namówiła swojego męża, by postarał się o przeniesienie, udało im się i zamieszkali w Łodzi gdzie zostali już na zawsze. Ciotka była wspaniałą gospodynią, zawsze był dwudaniowy obiad oraz deser, jej córka nigdy nie miała kupowanego swetra, ponieważ sama go zrobiła na drutach. Była nie tylko wspaniałą matką, ale także położną. Mianowicie była przełożoną położnych, gdy miała na godziny nocne, zamiast spać, to robiła na drutach, trzymając czujność jakby którejś z kobiet działo się coś niepokojącego. Tak jak wspomniałam, była przełożoną, więc musiała mieć twardą rękę. Umiała zwrócić komuś uwagę, tak by ktoś zrozumiał oraz nie czułby się urażony. Gdy po ślubie jeździła po Polsce, zmieniając szpitale, w których pracuje położne z Pułtusza, z którymi spory czas pracowała, czuły do niej ogromny respekt i szacunek. Czuły nawet dumę, gdy mogły odbierać poród kogoś z rodziny swojej byłej przełożonej.

Ostatecznie Walentyna Witczak zmarła w 2003 roku przez problemy zdrowotne, jej córka Halina na nagrobku postanowiła jej dać drzewo wierzby, ponieważ jej matka kochała te drzewa, ponieważ kojarzyły się jej z rodzinnymi kurpiami. Mimo urodzenia się w rodzinie, która właśnie zbankrutowała, mimo że jej życie przez bankructwo i wojna zmieniło się o 180 stopni, w edukowała się i żyła na wysokim poziomie będąc jednocześnie wspaniałą osobą. Mimo wszystkich trudności losu poradziła sobie, jest to po prostu czysty przykład, że ciężka praca daje owoc.

## Stąd jestem

Marcin Antczak

Nie uważam się za wielkiego fana Black Sabbath, ale piosenki “Heaven and Hell” mógłbym słuchać na okrągło – i to nie tylko ze względu na posępną melodię, która idealnie współgra z uniwersalną przestrogą przed kuszeniem przez diabła. Przede wszystkim bowiem ów utwór – niczym Proustowska magdalenka – przychodzi mi na myśl pewną historię rodzinną. Związana jest ona z postacią księdza Józefa Świątczaka, proboszcza parafii parafii w Niesułkowie, Szczawinie, Białej koło Zgierza, Bedoniu i Łaznowie – a prywatnie młodszego brata mojego pradziadka Antoniego.

Siłą rzeczy piosenki Sabbathów ksiądz Świątczak nie miał okazji usłyszeć – zmarł bowiem w roku 1963, a więc kilkanaście lat przed jej nagraniem. Ale być może zrozumiałby coś z jej tekstu, jako że pierwsze dwa lata po wojnie służył jako „kapelan w armii angielskiej” (wedle notatki UB), czyli najpewniej Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Być może więc pojał choćby podstawy języka Szekspira... i Dio.

Być może też właśnie wówczas, wiodąc życie dipisa, stanął przed najważniejszym dylematem w swoim życiu. Za sobą miał cztery lata spędzone w Dachau, gdzie między innymi poddano go cholecystektomii, czyli zabiegowi usunięcia pęcherzyka żółciowego. Za tym pozornie niewinnym określeniem prawdopodobnie kryły się eksperymenty pseudomedyczne – operacji bowiem dokonał „lekarz” w mundurze SS, doktor Helmut Müllmerstadt. Dokładnej roli tego ostatniego co prawda nigdy nie wyjaśniono, ponieważ nie postawiono go przed sądem – pozostaje jednak faktem, że po wojnie ksiądz Józef często uskarżał się na problemy ze zdrowiem, przez które nie dożył nawet sześćdziesięciu lat.

Mając więc doświadczenia z totalitaryzmem brunatnym, kapłan ów niekoniecznie kwapił się do powrotu prosto w szpony totalitaryzmu czerwonego – a tymczasem łódzka kuria biskupia przysyłała już ponaglenia, grożąc mu odebraniem parafii w Szczawinie. Mając więc do wyboru własną wolność albo solidarność z owczarnią w trudnych chwilach, ksiądz Józef ostatecznie zdecydował się przyjechać do Polski, być może wspomniawszy swojego idola, biskupa Wincentego Tymienieckiego. Ten bowiem zawsze starał się ulżyć wiernym – czy to organizując kuchnie dla ubogich w czasie Wielkiej Wojny, czy też budując tanie domy dla robotników (choć ten ostatni pomysł akurat nie wypalił).

Miałem okazję rozmawiać przez telefon ze starszymi parafianami ze Szczawina. Okres po powrocie duszpasterza (1947-1951) jawi się w ich relacjach – a także literaturze poświęconej lokalnej historii – wręcz jako czteroletni miesiąc miodowy: odnowienie kościoła po dewastacji przez Niemców, zabieranie ministrantów na wakacje nad Bałtyk, katechezy, na które przychodzili nawet okoliczni ewangelicy (tylko ilu ich mogło po wojnie zostać?), wreszcie – budowa świetlicy parafialnej, czyli tak zwanego Domu Ludowego. W tym ostatnim odbywały się choćby bale sylwestrowe, na których pierwszy taniec prowadził... sam proboszcz.

Ale istniała również druga strona medalu – kto wie, czy nie będąca ceną za możliwość powrotu do Polski. Właśnie bowiem w tych latach Józef Świątczak zaangażował się w ruch „księży patriotów” – kapłanów czynnie popierających system stalinowski. Między innymi nawoływał z ambony do udziału w Narodowym Plebiscycie Pokoju, czyli akcji zbierania podpisów pod apelem o wyrzeczenie się wojny w relacjach między mocarstwami. Sam zresztą wszedł w skład Gminnego Komitetu Obrońców Pokoju.

Zaangażowanie w propagandową szopkę było jednak tylko wierzchołkiem góry lodowej. Najprawdopodobniej bowiem pieniądze na zabawę w wielkiego budowniczego (w czym notabene znów było widać naśladownictwo biskupa Tymienieckiego) pochodziły nie tylko ze składek parafian, ale i od... bezpieki. Jakkolwiek wszakże teczka TW „Józefa” (bo taki – trzeba przyznać, niezbyt oryginalny – pseudonim przybrał bohater tekstu) została zniszczona w 1973 roku, to jednak w raportach powiatowego UB w Brzezinach zachowały się dwie wzmianki na jego temat. W pierwszej z nich ksiądz Świątczak udzielił opinii na temat nastrojów kleru po dekreście papieża Piusa XII z lipca 1949 roku. Akt ów bowiem ekskomunikował katolików należących do partii komunistycznych lub je popierających – rozmówcy księdza byli natomiast ostrożni w wyrażaniu równie jednoznacznego potępienia.

Z kolei wedle drugiej wzmianki o podjęciu przez kapłana współpracy z bezpieką miały zdecydować czynniki materialne – i tym razem mogło chodzić o coś więcej niż tylko standardową retorykę resortu. Już przed wojną bowiem, bawiąc na probostwie w Niesułkowie (1932-1938), ksiądz Józef popadł w konflikt z silną w tamtych stronach społecznością mariawicką. Chociaż oficjalne wspomnienie pośmiertne – opublikowane w „Roczniku Diecezjalnym Łódzkim” – nazywało tę placówkę „trudną, misyjną”, to można się zastanawiać, czy dla kapłana, którego rodzeństwo cioteczne zasililo szeregi „heretyków”, różnice religijne mogły rzeczywiście odgrywać aż tak dużą rolę. Wyjaśnienia więc być może należałoby szukać w anonimie skierowanym do łódzkiej kurii oraz nieco sensacyjnym – a być może i przesadzonym – artykule w czasopiśmie „Wolnomyśliciel Polski”. W obu bowiem pojawia się motyw wysokich – jak na chłopską kieszeń – stawek za udzielanie katolickich sakramentów. Co więcej, według relacji „Wolnomyśliciele...” konflikt o miejsce pochówku zmarłego mariawity – którego syn chciał pochować zgodnie z jego wyznaniem, a wbrew rzekomej woli jego żony-katoliczki (i księdza Świątczaka, któremu w ten sposób przeszło koło nosa 50 złotych) – zakończył się strzelaniną z użyciem rewolweru. Na szczęście nikt wówczas nie zginął – lecz zarazem i krewki kapłan-rewolwerowiec uniknął jakiegokolwiek odpowiedzialności.

O finanse zresztą ksiądz Józef potrafił się awanturować również ze swoją rodziną. Siostrzenicę Mariannę Łuczak – która wysyłała mu do Dachau paczki, równocześnie zajmując się za darmo plebanią w Szczawinie – wyrzucił z krzykiem i wyzwiskami, kiedy tylko upomniała się o zaległe pieniądze. Później jeszcze wdał się z nią w spór o dobytek pozostawiony przez kobietę we wspomnianej wsi – doszło przy tym nawet do interwencji kurii łódzkiej.

A jednak z drugiej strony księdza Świątczaka było stać na hojne gesty. Ojciec mi opowiadał, że kiedy przyjeżdżał z rodzicami do Łaznowa na odpust, wuj wyciągał z szuflady całe garści monet, które dawał jemu oraz mojemu chrzestnemu – wówczas kilkuletnim chłopcom – a ci kupowali za to do woli lodów i waty cukrowej. Przy tej opowieści moja matka sarknęła, że „jak to tak, z tacy?!” – a ja, odkrywszy sekret księdza, zastanawiałem się, czy aby na pewno te pieniądze pochodziły od parafian.

Hojność ta nie dotyczyła jednak wyłącznie najmłodszego pokolenia. Kiedy bowiem pod koniec życia księdzu Józefowi wreszcie przyznano odszkodowanie za pobyt w kaciecie,

przekazał je w większości mojemu pradziadkowi, dzięki czemu ten ostatni kupił niewielki dom w Kuluszkach. Co więcej, na wieść, że pradziadek owdowiał, młodszy brat, który – jak już wspomniano – chyba nie gardził przyjemnościami doczesnymi, postanowił... wyswatać go ze swoją gospodynią. Małżeństwo to chyba okazało się dość zgodne – trwało bowiem ponad trzy dekady, aż do śmierci Antoniego w 1988 roku.

Jednakże i sprawy damsko-męskie miały w przypadku księdza swoją ciemną stronę. Już w Niesułkowie pojawiły się pogłoski, jakoby ostentacyjnie paradował przez wieś z miejscową nauczycielką – w Bedoniu natomiast (1951-1956) jeden z parafian niedwuznacznie sugerował, że biorąc jego żonę na „wywczasy”, proboszcz ewidentnie łamał nie tylko dziewiąte, ale i szóste przykazanie Boże. Zresztą z tej drugiej placówki ksiądz Świątczak został odwołany w dość niejasnych okolicznościach – ostatnie miesiące pozostawał bowiem zawieszony w obowiązkach duszpasterskich, a Prokuratura Powiatowa w Łodzi prowadziła przeciwko niemu śledztwo dotyczące przestępstw seksualnych, które zresztą ostatecznie umorzono. Czyżby pomogły znajomości w bezpieczeństwie?

Kręte więc były drogi życiowe Józefa Świątczaka – można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że zdecydowanie bliżej mu było do bohaterów filmu Kler niż do księdza Jerzego Popiełuszki czy kardynała Wyszyńskiego. A przecież z podania o przyjęcie do łódzkiego seminarium duchownego wylania się obraz człowieka, który najwyraźniej miał szersze horyzonty myślowe niż jego chłopscy przodkowie, skoro pragnienie służby Bogu poparł retorycznym pytaniem: „Na co się człowiek na tym świecie tak mozoli?” Było już także wspomniane o fascynacji postacią biskupa Tymienieckiego – warto jednak dodać, że pasterz diecezji łódzkiej najwyraźniej również widział w młodym kapłanie potencjał, jako że na pierwsze probostwo ksiądz Józef został oddelegowany jeszcze przed trzydziestką.

Szukając przeto momentu, w którym grzech załgał się w duszy czy umyśle bohatera tego eseju, z czasem rozwinięszy się niczym robak w jabłku, trudno oprzeć się cytować z piosenki Black Sabbath: „Im bardziej zbliżysz się do sedna, tym szybciej przekonasz się, że śnisz”. Słowa te nie tylko zdają się sugerować wyjaśnienie (często wątpliwych) życiowych wyborów Józefa Świątczaka – odzwierciedlają również odczucia, które towarzyszyły odkrywaniu przeze mnie kolejnych warstw jego biografii. Ta ostatnia zaś stanowi niejako Jungowski cień naszej narodowej psyche, „pedagogiki dumy” i „wstawania z kolan”. Lubimy bowiem grzać się w blasku bohaterstwa powstańców warszawskich czy Żołnierzy Wyklętych, nawet jeśli w rodzinie nikogo takiego nie mieliśmy. Ale kto z nas przyzna się do pokrewieństwa ze szmalcownikiem, ubekiem czy sprzedajnym księdzem? Któż uzna takowych za część polskiej historii na równi z „bohaterami”, którym na przemian wznosimy i burzymy pomniki?

Może to już nie Polacy? Cóż, w takim razie pozostaje tylko przypomnieć o jednym z podstawowych praw psychologii: to, co spychamy w podświadomość, może się na nas zemścić w najmniej odpowiednim momencie.

Właśnie dlatego staram się nie zapominać, czyja krew płynie w moich żyłach.

# Giuseppe Ferdinando Stefanelli

## Skąd jestem – moje korzenie

Nazywam się Giuseppe Ferdinando Stefanelli – dla rodziców, dziadków i bliskich (no i oczywiście dla moich kolegów i Pań Profesorek ze Szkoły Polskiej w Rzymie) – po prostu Józio.

Jestem Polakiem i Włochem. A skąd to moje podwójne obywatelstwo?

Moja mama jest Polką – a teraz także Włoszką – bo poślubiła mojego tatę Giovanniego Stefanello. Historia znajomości moich rodziców jest bardzo romantyczna – poznali się w Holandii w 1999 w sierpniu. Moja mama była na stypendium naukowym w Middelburgu – gdzie znajduje się Roosevelt Institute – ponieważ pisała pracę magisterską o Teodorze Rooseveltzie, a tata przyjechał kupić konie do swojej stajni. Poznali się w pubie – mama była ze znajomymi studentami a tata wszedł do środka bo mu się pić zachciało. Zobaczył mamę, pozostawił jej drinka i łamanym angielskim zagadnął – i od tamtej pory nauczył się super mówić po angielsku (moja mama jest nauczycielką języka angielskiego), mama przeprowadziła się do Włoch, ja się urodziłem i nigdy nie zapominałem o moich polskich korzeniach – a przede wszystkim o moich dziadkach - babci Zycie Bilińskiej i dziadku Józefie Bilińskim – dziadka niestety już nie ma, ale ja nigdy o nim nie zapomnę.

Moja babcia – Zyta Bilińska urodziła się w Kobylicu- małej miejscowości niedaleko Krakowa 2 marca 1939 roku. Jest córką tak zwanego w tamtych czasach „kułaka” Jakuba Haloty i zubożałej szlachcianki Krystyny Gumulińskiej.

Mój pradziadek dlaczego nazywany był „kułakiem”? Dlatego że przed wojną był w Ameryce i dorobił się dużo pieniędzy za które kupił wielkie jak na tamte czasy gospodarstwo. Oprócz uprawy zbóż zajmował się też hodowlą koni.

Moja babcia pamięta czasy wojenne, gdzie dziadkowie nie mieli czym dzieci wyżywić i momenty kiedy przychodzili żołnierze niemieccy a później „rosyjscy wyswobodziciele” z prośbą o jedzenie. Babcia zawsze wspomina że Niemcy widząc małe dzieci (babcia miała 5 rodzeństwa) zawsze coś dla dzieci zostawiali a Ruski zabierały wszystko (nawet ostatniego konia) i krzyczeli „budiet strilat” jak słyszeli płaczące dzieci. Na szczęście klacz – Siwa – wróciła się do dziadka bo ruscy się upili bimbrem dziadka i z niej spadli.

Po wojnie babcia za wszelką cenę chciała zostać nauczycielką i starała się o przyjęcie do liceum nauczycielskiego do Bochni. Niestety przyjąć jej nie chcieli bo była córką „kułaka” i w tamtych czasach Staliniowskich nie było to miłe widziane. Na szczęście zawsze wspomina bardzo miło nauczyciela muzyki który jak usłyszał jaki miała piękny głos tak nalegał na jej przyjęcie do szkoły że dyrektor się zgodził. I dzięki temu skończyła szkołę nauczycielską i dostała przydział do pracy do Jedliny Zdroju - tam na jednym z dancingów poznała mojego dziadka Józefa Bilińskiego. Dziadek Józek urodził się w Sosnowie (dzisiejszej Ukrainie – przed wojną to była Polska a po wojnie ZSRR, i tak miał dziadek napisane w dowodzie osobistym do roku 1989), i w 1945 roku cudem uniknął śmierci z rąk banderowców (dobrzy znajomi

uprzedzili jego rodziców żeby uciekali i w nocy z jedną walizką i z braćmi i rodzicami udało im się wsiąść do pociągu który jechał do Polski). Ojciec dziadka pochodził z Biliń Wielkiej i razem z innymi 200 rodzinami Bilińskich miał prawo do herbu Sas. Po wojnie nie miało to żadnego znaczenia – i lepiej było o tym nie mówić w komunistycznej Polsce. Dziadek Józek dostał się do akademii wojskowej (mógł tylko tam iść - bo rodzice nic nie mieli), skończył ją i zaczął służbę w wojsku polskim. Jak się poznał z babcią postanowili się pobrać. Na ich ślubie 25 grudnia 1961 roku było tylko 5 osób. Odbył on się o godzinie 5 rano w malutkim kościółku – dziadkowi nie wolno było chodzić do kościoła. W latach 60- tych moja babcia i mój dziadek skończyli zaocznie studnia z psychologii - dziadek w tamtych czasach był jednym z niewielu oficerów z ukończonymi wyższymi studiami, ale ponieważ zostało doniesione że babcia chodziła z dziećmi do kościoła, w 1981 roku jego przełożony mu powiedział że nigdy generałem nie zostanie. Na szczęście mógł wystąpić z wojska w stopniu podpułkownika, w rezerwie otrzymał tytuł pułkownika - ale to dopiero w 2000 roku ...

Babcia i dziadek przeżyli razem 66 lat. W latach stanu wojennego babcia uczyła historii w Technikum Kolejowym w Nowym Sączu i wiele razy mi opowiadała jak to jeden z uczniów zapytał ją o Zbrodnię Katyńską. W tamtych czasach było oficjalnie wiadomo że za śmierć Polskich Obywateli odpowiedzialni byli Niemcy. Babcia doskonale wiedziała że odpowiedzialni byli Rosjanie ale nie mogła oficjalnie tego powiedzieć – więc sprytnie odpowiedziała – „skoro mnie o to pytasz to na pewno znasz odpowiedź. „Takie to były czasy – gdzie wolność słowa była nie do pomyslenia. Nie wolno było podróżować do krajów Europy Zachodniej – więc babcia z dziadkiem swoim dużym fiatem objechali wszystkie państwa bloku wschodniego. Na szczęście - jak to mówi babcia niewola sowiecka się skończyła w 1989 roku i nikt już jej nie mógł zabronić zwiedzania świata. Babcia zawsze powtarza że jest tak bardzo „ciekawa świata”. Myślę że ja tę ciekawość odziedziczyłem po niej. Moja babcia ma teraz 84 lata i zwiedziła 79 krajów – nawet w Australii i na Hawajach była. Podziwiam ją za to i za jej odwagę i odwagę mojego dziadka w tych trudnych czasach w których przyszło im żyć. Nigdy nie zdradzili swoich ideałów. Uważam że mam wielkie szczęście w tym że mogę żyć bez ograniczeń i bardzo bym chciał aby wszyscy ludzie na całym świecie mogli żyć jako wolni.



120.

# Stąd jestem

Mariusz Wirski



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

# Stąd jestem

## Jagoda Andrzejewska

Dla urzędników pani Szczypkowska, lecz dla mnie babcia Grażynka, to barwna postać, która swoim uśmiechem i energią zaraża wszystkich wokół siebie, od zawsze, a dokładniej od 26 czerwca 1952 roku, kiedy posłała pierwszy uśmiech w stronę świata. Córka Heleny i Idziego, siostra Heleny i Stanisławy, a kilka lat później także Elżbiety, urodzona w Oleśnicy, przy ulicy Tołstoja. Cóż za zrządzenie losu, że z czytaniem nigdy nie było jej później po drodze. Zanim jednak litery zaczęły składać się w słowa trwało jeszcze błogie dzieciństwo, a z niego jak potokiem, płynęły wspomnienia. Tym najpiękniejszym był dzień, w którym tata babci przyniósł do domu radio. Ach, co to była za radość i przerażenie, żeby tylko nie popsuć cennego urządzenia. Pomimo pięknych chwil, pojawiały się też te nieco mniej przyjemne, lecz równie pamiętliwe. Jedną z nich był test determinacji w okresie świątecznym. Jadalne ozdoby choinkowe były przeznaczone dla grzecznych dzieci tj. dla tych, które zjadły zupe. Najbardziej osławioną i przyprawiającą o dreszcze nawet dorosłych- czerninę. Babcia podjęła wyzwanie, które niestety ją pokonało, ale za trud i chęci znalazło się dla niej kilka cukierków. Gdy po świętach bożonarodzeniowych i wielkanocnych nie było już śladu, a lato zagościło już na dobre, nadchodził czas wakacyjnych wyjazdów do ciotki Heli- sielskich dni spędzanych na pasieniu krów, jedzeniu owoców z przydomowego ogrodu i chleba w wielkiego pieca. Był to niezapomniany czas, który jednak nie mógł trwać wiecznie.

Kiedy okres wczesnego dzieciństwa zaczął dobiegać końca, nadeszła pora na wybór szkoły średniej. Babcia nie poszła w ślady rodziców pracujących na kolei, lecz wybrała przyszłościowy (jak się wtedy wydawało) kierunek- rolnictwo, ponieważ "PGR-y" były synonimem stabilnego i dobrego dochodu. Nastąpił czas częściowej rozłąki z rodziną i szkoły z internatem w Bierutowie. A więc młodość, a wraz z nią nutka zabawy. Jako że taniec i śpiew nie znają pory roku, dyskoteki odbywały się także w zimie, co wcale nie zniechęcało młodych dziewcząt do kompletowania odpowiednich strojów, składających się ze zdobnych bluzek i krótkich spódniczek, które jak się okazywało w połączeniu ze srogim mrozem i zaspami śniegu barwiły nogi na purpurowo. Babci to jednak nieszczególnie przeszkadzało, bo najbardziej liczyła się dobra zabawa. Równie wesoło było na Węgrzech, podczas praktyk rolniczych w okolicach Segedynu, zwanym przez Polaków Szeged. Pomiędzy zrywaniem jabłek i gruszek udawało znaleźć się chwile na wypadki do okolicznych miast. Wystarczyło „złapać stopa” oraz narysować drogę i krzyżyk na kartce, aby pokazać, gdzie chciałoby się jechać i w którą stronę skrócić na skrzyżowaniu. Gdy brakowało wyjazdów, rozrywki dostarczał okoliczny sklepik i węgierskie przysmaki, cukierki, ciastka, a w końcu papierosy. Tym sposobem minął miesiąc i należało wrócić do szkolnej rzeczywistości. Niedługo później babcia ukończyła technikum, poznała dziadka i przeprowadziła się do Ostrzeszowa, małej miejscowości na południu Wielkopolski. Dni w nowym miejscu owocowały przełomowymi wydarzeniami, narodzinami dwóch córek

Anny i Beaty, czy też budową domu. W tle ówczesna terażniejszość grała jednak pierwsze skrzypce w wielu aspektach życia codziennego, nierzadko fałszując i przyprawiając słuchaczy o zawroty głowy. Babcia zawsze starała się szukać pozytywów w życiu, co nie zmienia faktu, że w PRL-u, okresie wiecznych kolejek, ciągłego braku, niepewności i niestabilności nie było to proste. Młodość, choć zadowolająca, nie obfitowała w zagraniczne wojaże, częste spotkania z przyjaciółmi, czy spontaniczne wyjazdy. Przy przeprowadzkach kontakty ze znajomymi się urywały, a kolejne etapy życia wiązały się ze sporymi zmianami. Jedną z tych poważniejszych był zawał, który przydarzył się w 2003 roku, co poskutkowało rentą. Rok później, w 2004 babcia została babcią, ponieważ urodziłam się ja. Od tamtej pory wszystko zaczęło iść w coraz lepszym kierunku. W 2006 roku babcia została studentką. Studentką Uniwersytetu Trzeciego Wieku, gdzie od 17 lat uczy się jak czerpać z życia garściami. Od tamtej pory znowu czuje wiatr w żaglach i aktywnie spędza każdą chwilę, podróżuje, szydełkuje, tworzy rękodzieło, spotyka się ze znajomymi, śpiewa, a na rowerze pokonuje trasy dłuższe niż niejeden młodzieniec. Ma dar do robienia czegoś z niczego, zaszyje każdą dziurę, naprawi każdy but i piecze każde ciasto, a także swoje słynne rogaliki z marmoladą, które opływają lukrem. A kiedy zabraknie cukru pudru to...nie szkodzi, bo wystarczy zmielić trochę cukru w wiekowym, ale nadal działającym młynku do kawy. To właśnie jest moja babcia, babcia Grażynka. Jej życie to nie historia o wielkich osiągnięciach czy dorobku artystycznym. To historia o tym jak cieszyć się (nie)zwykłym życiem, całościowo, a nie fragmentarycznie. W świecie gdzie ścigamy się po więcej, potrzeba nam mniej, wystarczy odrobina codzienności i wdzięczności, by móc odkryć piękno naszego istnienia.

## Kobieta uniesie wszystko

Julia Grzelak

Czy kobieta jest w stanie poradzić sobie ze wszystkimi niedogodnościami życia? Od wieków jesteście uważane za płęć słabszą, zbyt emocjonalną, nadmiernie wrażliwą. Jednak według mnie te cechy wyłącznie dodają kobietom charakteru. Potrafimy stawiać dobro innych ponad naszym. Opiekujemy się słabszymi, odstawiamy swoje problemy na bok tylko po to, żeby pomóc drugiemu człowiekowi. Kobieta nie wypomni komuś tego ile dla niego poświęciła. Sama nigdy nie będzie domagać się rekompensaty. Potrafimy cierpieć w milczeniu, ból który odczuwamy kryjemy za słodkimi słówkami jakich celem jest uszczęśliwienie innych. Jednak gdy mamy zmierzyć się z jakimś dużym problem, który początkowo wydaje się nie do rozwiązania, zbieramy całą swoją siłę i walczymy tak długo, dopóki nie postawimy na swoim. Spotykamy się z wieloma obraźliwymi komentarzami lub opiniami, które bazują wyłącznie na stereotypach, bądź pochodzą z ogólnych poglądów na temat naszej płci. Pomimo wszystkich obelg, pomimo krzywd jakich doznałyśmy, pomimo ogromu trudności z jakimi na co dzień się spotykamy, nadal niesiemy ludziom pomoc z uśmiechem na twarzy, licząc że kiedyś zostanie to docenione.

Ciężko jest mi zrozumieć dlaczego kobiety tak często odrzucają własne szczęście wyłącznie ze względu na innych. Podporządkują się wielu niedogodności, aby zapewnić swoim bliskim wszystko co najlepsze. W mojej rodziny taką właśnie kobietą była moja prababcia Apolonia, której dobroć serca zadziwia mnie do dzisiaj. Swoje najmłodsze lata spędziła pomagając rodzicom w gospodarstwie, które nawet nie należało do nich. Pracowali w posiadłości bogatego człowieka, wynagrodzenie jakie otrzymywali ledwo starczało im na życie. Czas jednak płynął, a wraz z nim nadchodziło wiele zmian. Cała rodzina Poli przeniosła się do Rogowa, małej wioski gdzie znaleźli dla siebie kawałek ziemi. Radość z posiadania własnego gospodarstwa nie znała granic, każdy z chęcią pracował i pomagał przy codziennych obowiązkach. Wtedy także w życiu mojej prababci pojawił się mężczyzna – Stanisław. Odważemnił miłość, jeszcze wtedy młodej dziewczyny i chciał z nią spędzić resztę życia. Niestety nie mieszkał w tej samej wsi, odwiedzał ją jedynie w okresie letnim. Ich uczucia z każdym spotkaniem umacniały się, Staś pragnął ręki Poli. Dziewczyna jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że będzie musiała rozstać się ze swoją rodziną. Obiecała chłopakowi, że gdy tylko osiedli się gdzieś w okolicy wyjdzie za niego. Ich plany pokrzyżował wybuch II Wojny Światowej. Stanisław był synem oficera, dostał list wzywający go na front. Pola była załamana tym faktem, ale ukochany obiecał jej, że gdy tylko to szaleństwo się zakończy powróci. Było to ich ostatnie spotkanie.

Z początkiem wybuchu wojny moja prababcia, rozpoczęła służbę u księży na plebani, na Starym Rynku w Bydgoszczy. Duchowni traktowali ją dobrze, a czas upływał jej głównie na wypełnianiu codziennych obowiązków. Jednak wojna przybierała na sile i Pola stała się świadkiem

wielu okropnych rzeczy. Opowiadała, że wielokrotnie słyszała krzyki ludzi rozstrzeliwanych na Starym Rynku. Kościół starał się pomagać poszkodowanym, lecz nie zawsze było to możliwe. Księża za niesienie pomocy zostali aresztowani a moja prababcia dostała się w niemiecką niewolę. Trafiała do domu zamieszkanego przez dwie siostry – Irmę oraz Fridę. Pierwsza z nich traktowała ją dobrze, w żaden sposób nie poniżała mojej prababci. Natomiast druga z sióstr wręcz nią gardziła. Bez powodu obrzucała ją wyzwiskami, a czasem nawet potrafiła opluć. Apolonia znosiła to wszystko w milczeniu, zależało jej wyłącznie na tym aby utrzymać się przy życiu. Ponadto czuła ogromną pustkę i smutek, ponieważ cały czas nie wiedziała jaki los spotkał jej rodzinę. Zastanawiała się czy w ogóle ich jeszcze kiedyś zobaczy. Wykonywała wszystkie rozkazy pań domu, sprzątała, prała, gotowała. Jej życie stało się monotonne, straciła nadzieję na lepsze jutro. Jednak pewnego dnia gdy wybierała się po sprawunki, zobaczyła jak jeden z Niemców wyrzuca na bruk wychudzonego mężczyznę. Wyglądał strasznie, ledwo trzymał się na nogach, jego twarz oraz inne części ciała były pokryte licznymi sinikami. Przestraszona poszła dalej wypełniać swoje obowiązki, lecz obraz zdruzgotanego człowieka wymalował jej się w pamięci. Gdy nadeszła noc, Pola wymknęła się z domu. Przemknęła przez wioskę nie zauważona, trafiła do domu mężczyzny, którego wcześniej zaobserwowała na ulicy. Przeskoczyła przez płot, jej oczom ukazała się postać siedzącą w głębi zaniedbanego podwórza. Zbliżyła się do niej, wtedy właśnie po raz pierwszy ujrzła go z bliska. Opatrzyła jego rany i nakarmiła. Tak właśnie poznała drugą miłość swojego życia – Mariana.

Kilka razy w tygodniu spotykali się potajemnie, prababcia przynosiła swojemu ukochanemu wszystko czego potrzebował. W tym leki, które były niezbędne do utrzymania go przy życiu, ponieważ chorował na zapalenie płuc. Nabawił się go podczas pracy w kopalni, choroba sprawiała mu problemy przez resztę życia. Z ich związku narodził się syn o imieniu Wojtuś, niestety zmarł w wieku trzech lat. Apolonia obwiniła się za jego śmierć, jednak wina nie leżała po jej stronie. Warunki w jakich żyli były zbyt ciężkie dla małego dziecka. Tragedia ta mocno wstrząsnęła prababcią, jednak dalszy bieg wydarzeń na nowo wzbudził w niej nadzieję. Powoli wojna zaczęła odchodzić w zapomnienie, a Polska odzyskiwała swoje tereny, Pola wraz z mężem zamieszkali u jej brata w Łącznicy, a następnie przeprowadzili się do Izdebn. Pomimo tego co ją spotkało, nie przestała marzyć o założeniu rodziny. To właśnie w Izdebnie urodziła trzech synów, których znakomicie wychowała. Pomagali jej w prowadzeniu gospodarstwa, natomiast pradziadek ze względu na swoją chorobę nie był w stanie wykonywać wielu czynności. Chłopcy po kilku latach zaczęli uczęszczać do szkoły, przez co mieli coraz mniej czasu dla matki. Pola była silną kobietą, jednak samodzielne utrzymywanie domu oraz praca na roli, sprawiały jej wiele trudności. Gdy tylko dowiedziała się, że jej rodzice nadal żyją i mieszkają w Rogowie, zapragnęła wrócić do rodzinnej wsi i tak właśnie się stało.

Urodziła się tam dziewczynka Barbara, moja babcia, od której właśnie tak dokładnie i ze wszystkimi szczegółami poznałam historię mojej prababci. Niezwykle silnej i opiekuńczej kobiety, która stawiała czoło wszystkim przeciwnością losu.

Myślę, że wydarzenia z życia głównej bohaterki moich rozważań pokazują jak wiele kobieta może udźwignąć. Niezależnie od sytuacji, w której sama się znajduje, zawsze pomoże człowiekowi w potrzebie. Ponadto, jeśli obdarzy kogoś uczuciem, zostanie z nim do końca. Będzie starała się zapewnić tej osobie jak najlepsze warunki, nieważne jak wielki byłyby tego koszt. W mojej opinii, każda kobieta zasługuje na szacunek, o który w żaden sposób nie powinna się prosić. Kobieta jest organizmem ultrasdoskonałym. Potrafi się regenerować po ekstremalnie ciężkich doświadczeniach. Przetrwą wszystko. – właśnie w taki sposób kobietę opisała polska piosenkarka Kasia Nosowska, z której słowami się w pełni zgadzam.

# Stąd jestem

**Katarzyna Korzeniowska**

Nie znaliśmy się; on nigdy nie pomyślał nawet o możliwości mojego istnienia; mi nigdy nie było dane posłuchać jego głosu. Poznałam go takiego, jakiego “opowiedzieli” mi go inni oraz zatrzymanego w kadrach fotografii z tamtych dni. Nie pisali o nim w podręcznikach, ani w lokalnych gazetach. Dla jednych był całym światem, a dla świata jednym z wielu. Dla mnie jest tylko minionym wspomnieniem, którego odbicie znalazłam właśnie teraz.

Zawsze uważałam, że składamy się z sumy doświadczeń i szczypty historii ludzi, którzy nas stworzyli. Mój brat powiedziałby, że składamy się wyłącznie z pierwiastków.

Geną nawet szybem naftowym nie wydobędziesz, w przeciwieństwie do ropy!

Bóbrka – mała miejscowość na Podkarpaciu, ale nie ta w środku Bieszczad, lecz ta, która w samym sercu lasów kipiała czarnym złotem. Ta, po której ziemi w latach osiemdziesiątych XIX wieku spacerował Ignacy Łukasiewicz, a w kuźni pracował kowal Andrzej Łacki, mój pra-pra dziadek. Do dzisiaj babcia Stasia mieszka w Bóbrce, na skraju lasu, który skrywa Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza. Dla niej to tylko skansen. Dla Łukasiewicza prężnie działająca kopalnia ropy naftowej. Dla Andrzeja była tam jego kuźnia i miejsce codziennej pracy. Dla mojego brata jest to ciekawe muzeum, które lubi odwiedzać ze względu na zainteresowania. Dla mojej kuzynki wyjątkowe miejsce, ponieważ w zabytkowym szybie naftowym wzięła ślub i odbyło się wesele. Od 169 lat jedno miejsce, a dla 5 pokoleń znaczy zupełnie coś innego.

Andrzej Łacki był kowalem w kuźni pierwszej na świecie kopalni, w której wydobywano ropę naftową. Dodatkowo miał okazję osobiście poznać i pracować u boku jej założyciela – Ignacego Łukasiewicza. Dzięki zachowanemu wyposażeniu kuźni, narzędziom i szybom naftowym możemy zobaczyć co tworzył na codzień. Nie trudno się domyślić, że była to trudna praca wymagająca wysiłku fizycznego i dużej siły. Patrząc na niektóre okazy z tamtych czasów można odnieść wrażenie, że metalowe elementy w rękach kowali stawały się miękkie niczym dzisiaj plastelina. Widziałam w życiu tylko jedną, prawdziwą kuźnię. I wtedy kiedy ją zwiedzałam jako dziecko, nie wiedziałam, że jestem w jego kuźni. Dotykając kowadła, nie zdawałam sobie sprawy, że mój pra-pra dziadek właśnie na nim pracował. Ale już wtedy wyobrażałam sobie, że to sam Hefajstos rozpałał ten potężny ogień i formował metal. Moją dziecięcą wyobraźnię rozpałał mityczny ogień, pewnie ten sam, dzięki któremu działała cała kuźnia i Andrzej miał pracę. Blisko domu, stabilną, na ówczesne czasy – nowoczesną. Patrząc na działalność Łukasiewicza i wprowadzenie ubezpieczenia społecznego w kopalni, Andrzej miał zapewnionych więcej świadczeń zdrowotnych, emerytalnych i ubezpieczeniowych niż nie jeden z jego pra-pra wnuków dzisiaj. Zastanawiam się czy Łacki wiedział jakie ma szczęście i w jak innowacyjnym zakładzie dane było mu pracować? Jak każdy z mieszkańców wsi bardzo doceniał Ignacego, ale czy zdawał sobie sprawę, że pracuje z geniuszem, który rozświetlił

mroki i wynalazł lampę naftową? Czy rozumiał cały proces stosowania destylacji frakcyjnej, pozbawienia ropy lekkich frakcji, oddzielenia węglowodorów ciężkich, a następnie rafinowania stężonym roztworem kwasu siarkowego i otrzymania nafty? Nieśmiało zakładam, że nie. Ale dokładnie i wnikliwie ten proces zna jego pra-pra wnuk Łukasz, który dzisiaj jest doktorantem na wydziale chemii i z niezwykłą ciekawością zagłębia się w świat chemicznych reakcji.

Dzisiaj nie wiadomo czy Andrzej Łacki był bohaterem w swoim domu, bo w tamtych czasach nie było tych zielonych sklepów i ludzie nawet nie wiedzieli, że mogą nimi być bez peleryn. Zbyt wiele pokoleń nas dzieli, by ktoś zdążył mi o nim rzetelnie opowiedzieć. Nie miał facebooka, ani nawet pamiętnika więc nie wiadomo co pisał i myślał. On był świadkiem historii rozwoju przemysłu, jak ja jestem świadkiem rozwoju AI. Czy łączy nas identyczny brak świadomości zmian, których częścią ja jestem, a on wtedy był? Czy to możliwe, że zawsze jesteśmy w samym środku zmian, które dopiero zobaczą i ocenią pokolenia po nas? Dzisiaj patrzę z zachwytem w stronę Andrzeja i jego czasów, bo działa się wtedy rewolucja przemysłowa. Czy za jakiś czas moje pra-pra wnuki spojrzą z przerażeniem/zachwytem\* (niepotrzebne skreślić) na rozwój sztucznej inteligencji?

Dawno temu w szkole dzieci opowiadały o swoich przodkach, którzy dzielnie brali udział w II wojnie światowej. Patrząc na kalendarz, Andrzej żył w tych czasach, ale nic mi nie wiadomo, żeby miał okazję bohatersko walczyć. Być może właśnie tej części jego historii nie znam. Ale patrząc dzisiaj tuż za naszą polską granicę, wojna staje się codziennością i ludzie żyjący w jej trakcie, stają się bohaterami poprzez samo przetrwanie, a nie walkę. Mam wrażenie, że raz na kilkadziesiąt lat zdarzają się czasy, w których bohaterami stają się ci, którzy przetrwają trudną i żmudną codzienność.

Andrzej Łacki jest dla mnie legendą. Bez wątplenia jest postacią historyczną; żył, pracował, jest na zdjęciach - istniał naprawdę. Ale jego historia wyblakła, jest niekompletna, zwykła, codzienna i bliżej jej do leśnej legendy niż mitu. Nie mogę go w żaden sposób gloryfikować i przypisywać bohaterstwa. Zachwyty w moim wzroku skupia się na codzienności, której doświadczył, a w której otarł się o geniusza. Coś co wypełniło jego życie, przeniknęło przez kilka pokoleń i odbiło się w naszej XXI wiecznej historii.

A co jeżeli Mendel zapomniał o dziedziczeniu historii? Cechy łatwo zobaczyć, policzyć i opisać. Trudniej znaleźć gen, który ukryty przez pokolenia, wraca w kolejnym, by zauważalnie odcisnąć swoje piętno i powtórzyć minioną już historię...

Bo powtórzyło się miejsce; dla Andrzeja jako kuźnia, dla nas miejsce ślubnej uroczystości. Bo powtarza się chemia, która zmieniła świat Łukasiewicza, a dziś towarzyszy w laboratorium mojemu bratu Łukaszowi.

Bo powtarza się codzienność, w której żyjemy, a nie widzimy zmian, które właśnie się zaczęły.

Bo można być bohaterem, nie walcząc z codziennością.

Pamiętam ze szkoły pisanie wypracowań na temat autorytetów, gdzie kilkuletnie dzieci chciały być jak papież Jan Paweł II, Józef Piłsudski czy Adam Małysz. Zawsze wydawało mi się, że to rodzice pomagali im pisać te opowieści. Bo nie znałam osobiście żadnego z nich. Dziś podobnie piszę o człowieku, którego nie znałam. Ale jakoś łatwiej zbliżyć mi się do niego, niż do Piłsudskiego. Dopiero w dorosłości dotarło do mnie, że z podziwem można spojrzeć na zwykłego człowieka i jego zwyczajne życie. Dopiero teraz doceniam, że wierność własnym przekonaniom, zmagania z przeciwnościami losu i nieustanna walka z codziennością – to powinny być kategorie, w których przyznaje się medale.

Spotykamy się tylko 1 listopada, więc już niedługo ponownie go odwiedzę. Postawię na grobie znicz, którego blask przypomni ten płomień lampy naftowej. Spędzę ten dzień na skaju lasu, który do dziś skrywa jego kuźnię. Pewnie porozmawiam z babcią, kuzynką i bratem, którzy tego dnia będą wspominać wszystkich naszych krewnych, których już z nami nie ma. I jak co roku; przekonam się, że lubię tam wracać – do naftowej Bóbrki i szklanego Krosna, w którym się urodziłam. Dzisiaj bombardowani masą powiadomień, wiadomości i komunikatów, nie doceniamy ciszy. Tej w której na pewno odpoczywali wszyscy nasi przodkowie i którzy ją przetrwali. Albo na zawsze w niej odeszli.



## Quo Vadis?

### Viyaleta Krupen

Kim jestem i dokąd idę? Takie pytania zapewne wcześniej czy później zadaje sobie każdy człowiek. Najczęściej wychowanie rodzinne i nasi przodkowie wpływają na nas. Jednak my również w pewnym momencie dokonujemy własnego wyboru, czy upodobnić się do nich czy nie. Źródłem mojej inspiracji jest dziadek po stronie matki którego nigdy na oczy nie wiedziałam, bo zmarł w 2005 r. dwa lata przed moim urodzeniem. Urodziłam się na Białorusi w Mińsku i kiedy miałam trzy lata zaczęłam uczyć się języka polskiego. Wtedy jeszcze nie miałam świadomości, jaką rolę to będzie odgrywać w mojej przyszłości.

Swój skarb duchowy odnalazłam w domu babci, gdy miałam dziesięć lat. W dużej szafie, wśród książek i starych serwisów porcelanowych, leżał album ze zdjęciami wszystkich moich przodków i ze starymi gazetami, ostrożnie wycinanymi nożyczkami. Niektóre z nich były napisane w języku polskim. Byłam bardzo zdziwiona, ponieważ większość dotyczyła mojego dziadka – Romana Radziewicza. Tam również znajdował się napisany przez niego dziennik. Urodził się w Witebsku w 1926 r. w polskiej rodzinie szlacheckiej. Mając jedenaście lat, został sierotą, bo jego rodziców rozstrzelano w Katyniu pod Smoleńskiem jako „polskich szpiegów i wrogów ludu” we wrześniu 1937 r. Od tego momentu opiekowali się im i jego bratem dziadkowie i rodzona ciotka. Taki los spotkał wiele polskich rodzin na terenach byłego ZSRR, które mordowano jedynie z powodu innej kultury i odmiennej tożsamości. W swoim dzienniku dziadek napisał: „My, którzy zostaliśmy przy życiu, jesteśmy podobni do liści jesiennych zrzuconych z drzewa i porwanych przez wiatr w obcy nam świat. W głębinach naszych zakodowana jest pamięć o drzewie rosnącym na Ojczyźnie, tęsknotą i miłością do niego. Z tą pamięcią odejdziemy na wieczną wartę”.

Ojczyzna mojego dziadka była Polska, więc i ja mam polskie korzenia. Tutaj w Warszawie urodziła się matka mojego dziadka Karolina Kasparowicz w 1901 r. Jej rodzice – Jan Kasparowicz i Bronisława z rodu Dębskich — mieli piętrową kamienicę przy ulicy Nowolipie. Podczas I wojny światowej cała rodzina wyjechała na wschód kraju pod Witebsk, ale w tym czasie los spotkał ich z rewolucją 1917 r., po której już nie mogli wrócić do domu. W 1925 r. moja prababcia Karolina wyszła za mąż za Stefana Radziewicza, który pochodził z Połocka i też miał polskie pochodzenie. W domu dzieci wychowywano w tradycji i kulturze ojczystej oraz rozmawiano po polsku. Dziadka Romana ochrzczono w kościele św. Antoniego w Witebsku, chociaż w tych czasach to nie było zbyt prosto. Z powodu braku ojca chrzestnego ksiądz proboszcz chciał odmówić chrztu dziecka. Wówczas matka chrzestna poprosiła pierwszego spotkanego na ulicy mężczyznę zostać chrzestnym i ten jej nie odmówił. Po kilku latach siwy ksiądz staruszek ochrzcił również jego brata, chociaż wówczas ryzykował już własnym życiem. Chrzestnymi rodzicami małego zostali mój czteroletni dziadek i jego sześćioletnia kuzynka. To były trudne czasy, jednak moja prababcia nie zrażała się tym. Była odważną kobietą, co

można dostrzec w momencie, gdy stanowczo odmówiła zawieszenia portretów władców sowieckich, mówiąc: „Skoro nie wolno mieć na ścianie obrazów świętych, to tych też nie będzie”.

Mój pradziadek dokładał starań w wychowaniu synów na prawdziwych mężczyzn, odpornych na niewygodę życia. Uczył ich, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach i pokonywać strach. Właśnie to najbardziej przydało się w życiu dziadkowi. Podczas II wojny światowej mając 16 lat został wywieziony przez Niemców na prace przymusowe. Po drodze jednak uciekł razem z 19 chłopcami w podobnym wieku. Grupę młodych ludzi przewożono w wagonach towarowych było do Rydzy. W czasie jazdy, część drewnianej podłogi wagonu została rozebrana i chłopcy czekali na możliwość ucieczki. Na przystanku, w okolicach Pskowa, od małego chłopca dowiedzieli się, że niedaleko w lesie są partyzanci. Kiedy pociąg ruszył i już trochę odjechał od przystanku, chłopaki zaczęli wyskakiwać na tory, przylegając do ziemi.

Kolejne kilka lat Roman przebywał w szeregach partyzantki, ale po skończeniu 18 lat otrzymał nakaz dołączenia do wojska Armii Czerwonej. Wówczas przełożeni z partyzanckiej brygady imienia „Margo” wręczyli mu list, rekomendując go na szkolenia na oficera. Jednak po wypełnieniu ankiety, w Armii Czerwonej dowiedziano się, że jest synem tzw. „wrogów ludu”. Został on zaliczony do strzelców i, jak sam później mówił, przemierzył całą Łotwę, czołgając na brzuchu. W tym czasie był dwukrotnie ranny. Jego ostatnia walka miała miejsce na Kurskiej kosie, kiedy po raz trzeci został ciężko ranny w nogę. Z polu bitwy wywieźli go psy, zaprzęgnięte do wózka. Potem w szpitalu przeżył 8 operacji, jednak na całe życie kulał na jedną nogę. Po wojnie dziadek wrócił do Witebska. Nikt z najbliższych krewnych nie przeżył oprócz ciotki Marty, jej matki i córki. W tym czasie bardzo niebezpiecznie było rozmawiać po polsku. Stało się to możliwe dopiero pod koniec lat 60. XX w. Roman czytał polskie książki i słuchał po cichu radio, by nie zapominać mowy ojczystej. Kiedy urodziła się moja matka, dziadek uczuł ją polskiego, przekazując jej tradycje i kulturę kraju.

Ta historia rodzinna została ślad w mojej duszy, gdy ją poznałam. Poczulałam wtedy, że Polska jest również moim krajem. Od tego czasu zaczęłam interesować się polską kulturą i historią, bo doznałam obowiązku wobec moich przodków, którzy zachowali swoją tożsamość, pomimo trudnego losu i różnych przeciwności życiowych. Wtedy zrozumiałam, gdzie mam podążać. Najważniejsze co odziedziczyłam po mamie i dziadku, to język polski i zdolności plastyczne. Tak się stało, że już drugi rok uczę się i mieszkam w Warszawie. Moje liceum plastyczne znajduje się obok ulicy Nowolipie i gdy idę do niego, codziennie obserwuję kościół św. Augustyna. To mój kościół rodzinny, bo w nim zostali ochrzczeni wszyscy moi krewni, moja prababcia Karolina, i nawet moja matka. W tej okolicy znajdują się moje korzenie, stąd pochodzę i dlatego czuję się tutaj jak w domu. Mam nadzieję, że już tak zostanie.

## Stąd jestem

**Paulina Płatkowska**

Na imię mi Teresa. Przyszłam na świat w 1922. Lubię wspominać, że byłam oczkiem w głowie taty, jako jedyna córka. Ja – i trzech braci: Klemens, Marceli i Urban. Bliźnięt, które szybko zmarły na szkarlatynę, nie liczę, bo ich nie poznałam.

Mieliśmy wspaniały dom. Mama Zofia zajmowała się nami i pomaganiem biednym. Tato Urban pracował jako urzędnik w magistracie. Nosił się szykownie: starannie przystrzyżona bródka, okulary na łańcuszku, fular. Mama też była elegancką kobietą. Dbała o to, byśmy jedli zdrowo i chodzili czysto ubrani.

Rodziców łączyła piękna i straszna historia miłosna. Tata za młodu został przymusowo wcielony do carskiego wojska i spędził tam dziesięć długich lat. A mama czekała. Czekala... czekała... Wchodziła w lata, jak to się mówiło. Co mogła czuć? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, pewnie wszystko. Od nadziei po rozpacz i z powrotem; przetykane poczuciem, że czeka bez sensu.

Wszyscy powinniśmy byli nosić piękne nazwisko „Wolscy”. Ale raz tato trafił do carskiego więzienia. Jego wyrok był bardzo srogi, choć nigdy się nie dowiedziałam za co. Złą przeszłość należało przemilczać, nie jątrzyć. Tato siedział wówczas w celi z innym skazańcem, z łagodniejszym wyrokiem. I ten człek umarł. Tato pomodlił się za niego, po czym... przywłaszczył sobie tożsamość nieszczęśnika. Nazywał się on Ciemienga.

Gdy tato w końcu wrócił i pojął mamę za żonę (Co czuła? Pewnie skakała z radości w tych swoich długich kieckach!), cała nasza rodzina dostała to nazwisko. Nie brzmi ono zbyt ładnie, kojarzy się z ciemieniem kogoś – a przecież to nie my byliśmy ciemieżką, wręcz odwrotnie! „Teresa Ciemienga” wydawało mi się niedorzecznie poważne. Dlatego odkąd tylko nauczyłam się kaligrafii, zawsze, ale to zawsze podpisywałam się „Renia Ciemiężanka”. Ładniej, prawda? Leciutko. Jak moja podskakująca na wietrze grzywka.

Zawsze... do czasu, gdy pojawił się Henryk. Szczupły, czarnowłosy, czarnooki skrzypek z pobliskiej wsi. Coś mnie do niego po równo ciągnęło i odpychało. Czułam się – nie śmiejecie się, kiedyś to było ważne – lepiej urodzona i obawiałam się mezaliansu. Heniek był bardzo zdolny i bardzo we mnie zakochany, do tego przystojny i zaradny – nie miał jednak takich manier jak my. W jego rodzinie było dokładnie odwrotnie niż w mojej: to on był jedynym synem pośród córek: Janiny, Gieni i Hani. Pobraliśmy się mimo ostrożnego sceptycyzmu moich rodziców. I mimo wojny. Wojna w miłości nic a nic przeszkadza, choćby bardzo chciała.

Nasze miasteczko pod Łodzią pozostawało dość spokojne, może przez brak kolei, przemysłu. Mieszkali tu Polacy, Żydzi, Niemcy i Rosjanie. Trudno nam było przyjąć, że nagle należymy do narodów w stanie wojny... Staraliśmy się żyć jak dotąd. Mój mąż pracował w sklepie u Niemca. Obaj wydawali się zmieszani sytuacją, ale nie dali się poróżnić. W małych społecznościach wiadomo, kto jest przyzwoitym człowiekiem, a kto nie, bez względu na narodowość, partię, wyznanie czy inne etykiety.

W listopadzie 1942 urodziła się nasza pierwsza córka. Z jej imieniem były mecyje! Chcieliśmy jej dać „Jadwiga”, by wraz z imieniem zstąpiła na nią twardość, potrzebna w tamtych czasach. Ale Niemcy się nie zgodzili. Germańskie imię należy do Germanów. „Klara” także nie przeszła. Koniec końców dostała cztery imiona, a i tak wszyscyśmy wołali na nią „Lalusia”, bo była śliczna jak lalka. Przewisko nadal się jej trzyma, choć Lalusia ma już 81 lat i sama jest nestorką.

Nasza druga córka nazywa się Grażyna Róża. Wyszła potem za Kazia, który w PRL-u robił karierę w wojsku. Pochowaliśmy go parę lat temu na Powązkach, w wszelkimi honorami, w stopniu pułkownika. A Grazia mieszka w chatce na Mazurach, trochę zdziczała, a zarazem wciąż zdumiewająco elegancka. Jak dzika róża, którą ma w imieniu.

Powojenne lata płynęły nam dość spokojnie. Zamieszkaliśmy w mieszkaniu z balkonem. Byliśmy oszczędni, a do tego ja zaradna: umiałam szyć, gotować zupę z niczego, dziergać, wielokrotnie przerabiać jedno z drugiego, a z tych dwóch jeszcze trzecie i czwarte. A Heniek po prostu był utalentowany. Pracował w banku, nocami się uczył, bo zamarzyły mu się studia ekonomiczne. Skończył je z wyróżnieniem, proponowano mu zostanie na uczelni. Ale nie chciał. Wierzył, że bank to pewniejsza posada. Został zresztą później jego dyrektorem. Najbardziej był dumny z tego, że przeprowadził pracowników przez wielki postępek: zamianę liczydeł na kalkulatory! Przepadali za nim – jego opanowaniem, sprawiedliwością, wyważeniem. Po prostu dobrem.

Mnie ciągle czegoś w życiu brakowało. Nosiałam w sobie wiele nieutulonego żalu, jak to się mówi o żalobie. We mnie też tkwiła jakaś żalność. Aby łatwiej było ją znieść, zamieniałam ją w gniew. Gniew przeżywa się prościej niż smutek. To niestety sprawiło, że zyskałam miano rodzinnej megiey, która na wszystko wydyma usta, znacząco milczy, trochę pomiata swoim złotym mężem. Nikt nie zadał sobie trudu pomyśleć, jak to jest być żoną kogoś przewspaniałego. Nawet na drzwiach do naszego mieszkania wisiała kryształowa (!), rzezana tabliczka z napisem MGR H. Piotrowski. Prezent od starszego zięcia. O mnie ani słowa.

Doczekaliśmy się czworga wnucząt. Najmłodsza z nich, Paulina, chowała się u nas. Czytała z mojej twarzy nastroje; patrzyła, jak chodzę wzburzona albo pogrążona w myślach; już nie wiadomo, która myśl była czyja, moja czy jej. Nasiąkała moim gustem, moim smutko-gniewem, rozrywkami starszej pani: szaradami, krzyżówkami, powieściami w odcinkach. Uczyla ją pisać prawą ręką, by nie była „śmają”. Myślałam, że chronię ją przed pośmiewiskiem. Nie zauważyłam, że ludziom w wielu kwestiach właśnie zaczynało się robić wszystko jedno. Denerwowała mnie wolność rozumiana jako swoboda obyczajów. Moje niezłomne przekonania były jak solidny płot, mogłam się za nimi chować.

Gdybym żyła, rok temu skończyłabym setkę – ale pewnie miałabym się już marnie. Tu, gdzie jestem, nie ma wojen ani smutko-gniewu. Czasem jest mi dane popatrzeć na córki, na wnuki albo pogłaskać po głowach śpiące prawnuczęta. Wszyscy oni są moim spełnionym snem.

# Mój Dziadek elektryk: przez życie z pasją

Michał Murgrabia

W mojej rodzinie zawsze istniała pewna tajemnica, która przyciągała moją uwagę. Ta tajemnica to historia mojego dziadka – elektryka. To opowieść o człowieku, który nie tylko rozświetlił nasze miasto swoją pracą, ale także rozjaśnił nasze serca swoją niezwykłą pasją i oddaniem.

Dziadek urodził się w małej wiejskiej rodzinie, gdzie elektryczność była czymś nowym i niezwykłym. Od najmłodszych lat fascynował go ten magiczny świat prądu. Wbrew wszystkim trudnościom, które napotykał na swojej drodze, postanowił zostać elektrykiem. Miał ogromną determinację. Sam siebie nauczył wszystkiego, co potrzebne do wykonywania tego zawodu.

Pierwszym krokiem na tej niezwykłej drodze było pracowanie przy remoncie lokalnej mleczarni. Dla niego to był nie tylko dzień pełen emocji, ale też punkt zwrotny w jego życiu. Mógłbym usłyszeć go opowiadającego o tym dniu setki razy. To wtedy zrozumiał, że jego praca może naprawdę wpłynąć na życie innych ludzi. To był początek jego drogi, którą chciał iść.

Z biegiem czasu dziadek stał się rozpoznawalną postacią w naszym regionie. Dzięki swoim umiejętnościom i zaangażowaniu, został dyrektorem lokalnego zakładu. Ale to nie stanowisko było najważniejsze. Jego najważniejszym osiągnięciem było to, że zawsze był tam, gdzie go potrzebowano. Pomagał ludziom, nie tylko w sprawach elektrycznych, ale też w życiu codziennym. Był mentorem dla wielu młodych ludzi, którzy chcieli podążać jego śladem.

Jednak to, co sprawiało, że mój dziadek był naprawdę niezwykły, to jego opowieści o czasach, gdy komunizm trzymał Polskę w swoich szponach. Opowiadał mi, jak jako dyrektor zakładu, miał okazję uczestniczyć w zagranicznych delegacjach. To były czasy, gdy wyjazd za granicę był nie tylko rzadki, ale też niezwykle trudny do uzyskania. Dziadek opowiadał o spotkaniach z innymi specjalistami z różnych krajów, o wymianie doświadczeń i wiedzy. Byłem zafascynowany tym, jakie wrażenie robiły na nim te wyjazdy, które dla nas dzisiaj są tak dostępne.

Dziadek opisywał mi spotkania z ludźmi z Zachodu, którzy mieli dostęp do nowoczesnych technologii i innowacji. To dla niego była ogromna inspiracja i motywacja do dalszej pracy. Przywoził ze sobą nowe pomysły, które starał się wdrażać w naszym regionie. Był prawdziwym pionierem, który przyczynił się do modernizacji naszej małej społeczności.

Jego opowieści o pracy przy wysokim napięciu, awariach i naprawach były zawsze fascynujące. Ale to, co sprawiało, że jego opowieści były wyjątkowe, to sposób, w jaki opowiadał o nich. Miał w sobie tę niezwykłą pasję do swojej pracy, która przenosiła się na wszystkich wokół niego. Praca nie była dla niego tylko obowiązkiem, ale też sposobem na spełnianie swoich pasji.

Mój dziadek jest człowiekiem o wielkim sercu. Jego cierpliwość, życzliwość i gotowość do pomocy sprawiły, że jest ukochaną postacią nie tylko dla naszej rodziny, ale także dla całego miasta. Jest kimś, kto zawsze podaje pomocną dłoń, niezależnie od okoliczności.

Jego historia uczy mnie, że pasja i poświęcenie mogą naprawdę zmieniać świat. To historia o człowieku, który zaczynał od zera i zdołał osiągnąć wiele, nie tylko w dziedzinie zawodowej, ale także jako człowiek. To historia, która przypomina mi, że niezależnie od tego, jakie trudności napotykamy na swojej drodze, zawsze możemy osiągnąć wielkie rzeczy, jeśli tylko uwierzymy w siebie i nie przestaniemy walczyć.

Dziadek pozostawia po sobie nie tylko dziedzictwo zawodowe, ale także dziedzictwo wartości. To jego przykład inspiruje mnie każdego dnia, przypominając, że to, co robimy dla innych i jakie wartości kultuwujemy, są równie ważne, co nasze osiągnięcia zawodowe. Jego historia jest dla mnie źródłem inspiracji i motywacją, by dążyć do bycia lepszym człowiekiem każdego dnia.

Jego opowieści o pracy i podróżach zagranicznych były jak okno na świat, które otwierało przed nami perspektywy, o których wcześniej mogliśmy tylko marzyć.

Gdy opowiada o swoich doświadczeniach na międzynarodowych spotkaniach, widzę w jego oczach iskrę wiedzy i inspiracji. To właśnie dzięki tym wyjazdom, nasza mała społeczność zyskiwała dostęp do wielu inspiracji. Jego determinacja i otwartość na zmiany sprawiły, że nasz region zaczął rozwijać się szybciej niż wiele innych miejsc w Polsce.

Jednak to nie tylko jego osiągnięcia zawodowe były imponujące. To także jego postawa wobec ludzi i okoliczności była godna podziwu. W czasach, gdy wiele osób zamykało się na innych i dbało tylko o swoje interesy, dziadek zawsze starał się pomagać. Niezależnie od tego, czy ktoś potrzebował fachowej porady elektryka czy po prostu wsparcia w trudnych chwilach, zawsze można było na niego liczyć.

Dziadek to dla mnie nie tylko bohater rodzinny, ale także wzór do naśladowania. Jego historia przypomina mi, że pasja i praca mogą naprawdę zmieniać świat, nawet w najtrudniejszych czasach. To także historia o wartościach, takich jak empatia, życzliwość i gotowość do pomocy innym, które są równie istotne, jak sukces zawodowy.

Dziś, kiedy patrzę na jego życiową drogę, widzę, że to nie tylko historia jednego człowieka, ale także historia naszego regionu i naszej wspólnoty. To historia o tym, jak jedna osoba może wpłynąć na losy wielu innych. Dziadek jest dla mnie inspiracją, by dążyć do bycia lepszym człowiekiem i wносить pozytywny wkład w społeczność, tak jak to robił on przez całe swoje życie.

W jego opowieściach, zarówno o pracy przy elektryczności, jak i o podróżach zagranicznych, tkwiły nie tylko fachowe informacje, ale także mądrość życiowa. Pokazał mi, że niezależnie od tego, jakie wyzwania stawia przed nami życie, warto być ciekawym świata, gotowym do nauki, i zawsze starać się pomagać innym. To jest prawdziwa wartość dziedzictwa, które pozostawia nam dziadek elektryk, i jestem dumny, że mogę kontynuować jego dziedzictwo każdego dnia.

## Stąd jestem, a oznacza to przede wszystkim 3 rzeczy

Joanna Mączka

Jestem dziółcha ze Ślōnska, ale przez wiele lat, wcale nie chciałam nią być. Cały ten mój śląski pierwiastek starałam się ukryć, zakopać gdzieś głęboko i odciąć się od niego raz na zawsze. Czułam wstyd – bo nie dość, że jestem ze wsi, to jeszcze godom inakszyj. Jest coś okropnie przewrotnego w tym, że młody człowiek desperacko próbuje uciec od swojego pochodzenia, a potem, po latach, w prawdziwej już dorosłości, niczym syn marnotrawny wraca do domu. Wraca w poszukiwaniu sensu, który to pochodzenie przynosi. I ja też wróciłam. Szukając mojej tożsamości, szukając odpowiedzi, szukając samej siebie. Ale w tych poszukiwaniach już nikt nie mógł mi pomóc, bo w międzyczasie po kolei, jakby się umówili wcześniej, umarli wszyscy moi przodkowie. Tak – mam 34 lata, i najstarszym członkiem mojej rodziny jest mój starszy brat. I choć każda z tych śmierci była inna i każda na swój sposób bolała najmocniej na świecie, tej jednej nie mogę wybaczyć najmocniej. No bo jak mogła umrzeć ta jedna osoba, która zarzekała się na wszystko, że choćby nie wiem co, dożyje mojego ślubu? A jednak, franca, poszła w stronę światła. Nie tańczyła na moim ślubie. Nie ostrzegła mojego męża, jaką to cholerę bierze za żonę. Nie poznała mojego synka. Dzięki niej jestem na tym świecie. Dzięki temu, jaka była, ze skrawków wspomnień odkrywam teraz siebie i swoją tożsamość. Mieszkam w Polsce, jestem ze Śląska. Stąd jestem, ale co to naprawdę znaczy? Moja babcia nauczyła mnie, że oznacza to przede wszystkim 3 rzeczy: odwagę, determinację i życie najmocniej, jak się potrafi.

### ODWAGA

Jednym z najbardziej znaczących wydarzeń w życiu mojej babci była II wojna światowa. Nie tylko przerwała jej naukę w szkole, zabrała ojca do wojska (na szczęście wrócił po latach), ale przede wszystkim – przerwała jej całe dzieciństwo. Zbłąkana kula trafiła w głowę jej matkę – moją prababcię Gertrudę. Ciężko ranna prababka dochodziła do siebie, gdy zapadła decyzja o ewakuacji całej wsi. Babcia miała wtedy tylko 10 lat – powiedziała mi po latach, że właśnie wtedy przestała być dzieckiem. Pamiętała ten moment bardzo wyraźnie – nawet po wielu latach, potrafiła przywołać tę scenę bez żadnego problemu. Z matką na noszach, taszczoną przez dobrych sąsiadów, z 6-letnim bratem, który kurczowo trzymał ją za rękę, postanowiła, że zrobi co w jej mocy, żeby przeżyli. Zrobiła coś najtrudniejszego na świecie – wzięła całkowitą odpowiedzialność za siebie i swojego brata. Tamta 10-letnia dziewczynka przeszła, trzymając brata za rękę, kilka kilometrów. Zamieszkała u kompletnych obcych, którzy udzielili jej schronienia. Żebrała o jedzenie, opiekowała się mamą i przetrwała. Zawsze, kiedy stoję przed decyzją, która wymaga ode mnie odwagi, myślę sobie o tej 10-letniej dziewczynce, którą

była. Patrzę na delikatne kreski żył na moich przedramionach i wyobrażam sobie wtedy, że płynie w nas ta sama krew. Powtarzam sobie wtedy, że to nasze pokrewieństwo oznacza, że i ja mam dostęp do takiej mocy. Że ona podarowała mi to przez sam fakt naszego wspólnego pochodzenia. I właśnie dlatego mogę być odważna i wziąć pełną odpowiedzialność.

## DETERMINACJA

Babcia Krysia od zawsze była najbardziej wyjątkową osobą, jaką znałam na tym świecie. Urodziła się 14 marca 1935 roku w małej wsi na Śląsku. Gdy miała 7 lat, poznała miłość swojego życia – mojego dziadka. Pokochała go od pierwszego wejrzenia i postanowiła z pełnym przekonaniem, że ten właśnie człowiek będzie jej mężem. Dziadek Eryk nie wiedział wtedy, że jeśli moja babcia coś sobie postanowiła – to tak musiało być. I tak faktycznie było, ale wiele lat później. Kiedy o tym myślę, to właśnie ta jej dzika determinacja przyciągała mnie do niej najbardziej. Z jednej strony, wkurzała mnie nią ogromnie – bo gdy chciała, żebym coś dla niej zrobiła, musiało to być TERAZ, JUŻ, W TEJ CHWILI. Każda minuta zwłoki odbierana była personalnie, osobiście, niczym szpilka wbita z rozmysłem w odsłonięty fragment jej wyperfumowanego ciała. Ale z drugiej – o rany! Jak ja bardzo chciałam taka być. Mieć w sobie taki upór, który nie pozwala odpuścić, który pcha do przodu, taranem, nawet gdy świat mówi: „stop, to nie dla Ciebie”. Miała ten upór w sobie od najmłodszych lat, przez całe życie. Gdy wybrała sobie męża na wieki wieków, amen. Gdy z uśmiechem pokonywała codziennie ponad 3 km do szkoły, mimo że jej własna matka próbowała ją od tego odwieść, bo bardziej przydałaby się w domu. Gdy mając 16 lat szukała pracy, i ponieważ nikt nie chciał jej przyjąć – nakłamała, że jest starsza, żeby przyjęli ją jako salową w szpitalu psychiatrycznym. Gdy dawała z siebie w tej pracy wszystko i szybko awansowała. Gdy własnymi rękami pomogła zbudować nasz dom – kładąc cegła po cegle, pod czujnym okiem swojego ojca, murarza. Gdy uparła się, że pošle moją mamę na studia, choć nikt w naszej rodzinie wcześniej nie miał takiego wykształcenia. Gdy dbała o gospodarstwo i jednocześnie zarządzała magazynami PGR. Gdy po śmierci dziadka, bez żadnej pomocy specjalistów, podniosła się z depresji. Gdy podjęła decyzję, że nie chce być alkoholizką i przestała pić z dnia na dzień. Gdy w wieku 60 lat wspinała się po drzewach i ganiała mnie i mojego brata do całkowitej utraty tuhu (naszego, nie jej). Gdy mając lat 70, przeszła na własnych nogach 7 km, bo nie mogliśmy jej zawieźć do koleżanki. Gdy umarła moja mama, a ona, pogrążona w najgłębszym mroku żałoby, ugotowała nam świąteczną moczku, bo wiedziała, że to jest dla nas smak świąt. Gdy przez dwa lata walczyła z chorobą, która miała ją zabić w kilka miesięcy. Co ja bym dzisiaj nie dała, żeby móc wykonać choć jeden z jej rozkazów – TERAZ, JUŻ, W TEJ CHWILI. Ale już nie mogę, więc zamiast tego postanawiam, że będę tak uparta jak ona. A przecież, gdy sobie coś postanowię – musi tak być.

## ŻYĆ NAJMOCNIEJ, JAK SIĘ POTRAFI

Kiedy byłam na studiach, znajomi organizowali wyjazd kamperem po Bałkanach. Bardzo chciałam pojechać, ale niestety – w tamtym czasie moje finanse nie były w najlepszej kondycji. Zwierzyłam się wtedy babci Krysi podczas naszej cotygodniowej, sobotniej kawy. Parzucha z dwóch kopiastych łyżeczek babcinego tajemnego miksu kawowego (spoiler alert: jedna czwarta Jacobs Krönung i do końca puszki Mocca fix Gold, dokładnie wymieszaj i gotowe), zabelana kopiastą łyżeczką Cremony. Babcia wyszła wtedy na chwilę do drugiego pokoju, po czym wróciła do mnie z wypchaną kopertą: „Wiysz, miałach Ci to dać na wiano, ale jak



nie pojedziesz, to i tak żodnej zyniaczki nie bydzie. Jedź i pożyj trocha”. Dała mi pieniądze, które odkładała na mój posag, bo czuła, że jeśli nie pojedę, szanse na moje zamażpójście będą marne. I znowu miała rację – z wyjazdu wróciłam ze swoim pierwszym poważnym chłopakiem. Słyszę to jej: „Jedź i pożyj trocha” – za każdym razem, gdy waham się przed przygodą. Gdy mam coś zrobić, ale wymaga to ode mnie skoku wiary, większego wydatku lub po prostu – decyzji pod prąd. Tak, jak mnie uczyła, próbuję żyć, najmocniej jak umiem – tańczyć do utraty tchu, śpiewać z moim synkiem na cały plac zabaw, trochę niestosownie dotykać mojego męża w kolejce w Lidlu i jeździć, próbować, nie tracić w oczach blasku.

Noszę w sobie te wszystkie opowieści, mam je częściowo spisane na kartkach starych pamiętników, ale kiedy teraz miałam je spisać w spójną historię, wszędzie pełno dziur – jak w zapomnianej serwetce, którą wyciągasz po kilku latach tylko po to, by odkryć, że dorwały się do niej mole. Brakuje mi odpowiedzi, ale nie mam już kogo o nie dopytać. Tak, jak nie mam już kogo poprosić o przepis na ślizzki i moczke, zapytać o to, jak i kiedy mam podciąć te róże w ogródku, wypytać o losy moich pradziadków, nie mam z kim wypić kawy-parzuchy zabiłanej Cremoną, obejrzeć i komentować z podeksycytowaniem kolejnego odcinka tureckiej telenoweli, nie mam już na kogo ponarzekać „bo zaś trza jechać na kerchōw myć groby” i kogo podziwiać za to, że w wieku 80+ nadal świetnie prezentuje się sukience w krwistej czerwień. Tak bardzo chciałabym się o niej dowiedzieć jeszcze więcej. Poznać ją jeszcze lepiej. Zapytać o to wszystko, czego nie zdążyła mi powiedzieć. Moja babcia umarła 27 czerwca 2017 roku na raka żołądka. Do ostatnich dni kręciła sobie włosy na wałkach, robiła sobie makijaż, odmawiała przyjmowania leków, które mogłyby jej odebrać świadomość i roztawiała mnie po kątach. Nie wiedziałam, że drugi człowiek może wnikać w nas tak bardzo, że gdy śmierć się po tą osobę upomni i wydrze ją życiu, w sercu zostaje dziura, której nie da się już zbliżnić. Okazuje się, że z dziurą w sercu można żyć, ale już zawsze-zawsze będzie nam trochę gorzej na tym świecie.

# Historia jednej a tak wielu rodzin zarazem

Marta Kudrycka

Babcia, Babunia, Babuleńka, Baba... - z tak wielu istniejących synonimów, tych właśnie określeń używałam zwracając się do osoby, która wychowała mnie na człowieka, jakim teraz jestem. Należycie, tak jak podkreślają to nasze węzły krwi nazywać powinnam ją Ciocia Ela, gdyż była siostrą mojego dziadka Stanisława. Na przekór tego jej rola i uczestnictwo w moim życiu było na tyle duże, iż "Babcia" przylgnęło do niej jak jej własne imię. Toteż na wstępie wszystkie synonimy napisałam przeto z dużej litery. Tym samym kierować się będę podczas pisania tej historii, bo przecież nazwy gwiazd zapisuje się z wielkiej litery.

Babcia miała i ma ogromny wpływ na ukształtowanie się moich wartości, zatem zaczęłam się zastanawiać, kto oraz w jaki sposób przyczynił się do „powstania” tak istotnej i ważnej dla mnie osoby. Rodzina Maćkowiaków, moi przodkowie, to o nich postanowiłam dzisiaj napisać, bo to ich krew, krąży teraz w moich żyłach. Historia, którą chce wam przedstawić, ma swój początek 18 września 1900 r., kiedy to w małej miejscowości Czeluszczyń, w powiecie Gostyńskim na świat przyszedł Stanisław Maćkowiak, będący ojcem mojej Babuni. Tam spędził lata swojej młodości i rósł na człowieka, jakim to miał się stać. Ślady dokumentacji przenoszą nas później do Gogolewa, gdzie postawił swoje pierwsze kroki w zawodzie nauczycielskim i poznał Elżbietę Wojciechowską, która okazała się miłością jego życia. Niedługo po ich poznaniu nazwisko Wojciechowska zamieniło się na Maćkowiak, a dokładniej, stało się to 21 września 1926 roku. Jako nowożeńcy zdecydowali przenieść się do Wycisłowa, gdzie Stanisław zaczął pracować jako kierownik w szkole czteroklasowej, ucząc tym samym trzecią i czwartą klasę. Stanowisko takie było niegdyś bardzo poważane, a przy tym łączyło się z licznymi wyjazdami szkoleniowymi. Zamieszkując w Wycisłowie był upoważniony również do nauki obronności kraju, jak opowiadała Babcia, raz w tygodniu przychodziła pod jego dom grupa o nazwie "strzelcy" i wspólnie ćwiczyli z drewnianymi karabinami.

Wraz z 20 lipca 1927 r. do tej pory dwuosobowa rodzina powiększyła się o jednego chłopca - Zdzisława Maćkowiaka. Od tego momentu kolejno na świecie pojawili się Piotr (1928-2019), Stanisław (1929-2013), Eulalia – moja Babcia Ela (1931), Zbigniew (1932-1965), Barbara (1933-2022), a najpóźniej i w zupełnie innych okolicznościach, Donata (1942-2016). Okres przedwojenny choć pracowity, niósł za sobą jedynie troski codziennego życia. Zmartwienia i pocieszenia, z którymi każda rodzina spotyka się na swój sposób, bez względu na czas w jakim żyli. Wraz z wybuchem II wojny światowej 1 września 1939 r. przyszły nieuniknione zmiany.

8-ego grudnia 1939 r. rodzina Maćkowiaków dostała jedynie godzinę na opuszczenie swojego domu, całego posiadanego dobytku, wspomnień...Mogąc zabrać tylko tyle ile ich ręce zdołały unieść. Zostali wpakowani do wozów i wywiezieni do klasztoru w Gostyniu Wielkopolskim. Po prznocowaniu tam, zapakowano ich do wagonów bydłowych i wywieziono tym razem do Zglinny koło Rawy Mazowieckiej. Babcia opowiadając mi o tej podróży, wspomina ciasnotę, duchotę oraz dłużący się czas przeprawy, bez możliwości wyjścia. W Zglinnej musieli

mieszkać w jednym pokoju, bez toalety, gdzie niemal całą powierzchnię zajmowały łóżka. Pomieszkivali w 14 osób - cała ich rodzina z dziadkiem, oraz małżeństwo z dwójką dzieci o nazwisku Gała. Spędzili tam całą zimę, aż do wiosny, kiedy to Stanisław dostał posadę nauczyciela czteroklasówki w Kaleniu. Zamieszkali wtedy w domku o niewielkim metrażu, składającego się z kuchni oraz pokoju, gdzie stały łóżka i koza do ogrzewania. Mieszkali tu przeze całą okupację. Ze wspomnień przekazanych przez Babcie Elę, zimą ogacano dom mchem, a mimo to woda w kuchni zamarzała, a rodzeństwo musiało spać wtulone w siebie. W tym czasie starsi bracia Babci pracowali u gospodarzy, pasąc krowy czy pomagając na roli w zamian za płody rolne. Ich matka trudziła się robieniem swetrów dla ludzi, a na wiosnę również szła pracować u gospodarzy. Ze wspomnień Babcia wyraźnie pamięta, jak jedli czarny chleb posmarowany marmoladą z buraków. Stanisław Maćkowiak, pomimo nauczania w szkole, pomagał również sołtysowi z dokumentacją, gdyż dobrze znał język niemiecki. Wieczorami natomiast prowadził tajne nauczanie, jako iż Kaleń znajdował się wówczas na terenie Generalnej Guberni i język polski był zakazany.

Moja Babcia, mając zaledwie jedenaście lat, zajmowała się opieką swojej najmłodszej siostry, którą to zanosila jedynie w pory karmienia do matki, na pole. W międzyczasie gotowała dla wszystkich, prała pieluchy i przynosiła wodę ze studni oddalonej o kilkadziesiąt metrów. Sama teraz nie wie, jak tego dokonała, a ja nie do końca wiem, jakie emocje mi towarzyszą, gdy myślę o tym jak radziła sobie będąc tak małym dzieckiem.

Koniec wojny wiązał się z powrotem całej rodziny Maćkowiaków do Wycisłowa. Wracali w przepelnionych wagonach, w ciasnocie i gwarze, jednak ze świadomością, iż ziemię zostały wyzwolone. Zastali ograbiony dom. Wydając się już im obcym, udali się na zachód. Zatrzymali się w Rapinie, gdzie Stanisław Maćkowiak na nowo zaczął prowadzić czteroklasówkę, dzięki czemu dostał mieszkanie w szkole. Udzielał się też społecznie jak tylko mógł. Rodzeństwo Maćkowiaków wówczas się rozjechało w poszukiwaniu nauki i lepszych warunków. Część z nich jednak została w Rapinie i pracowała przy karczowaniu i odgruzowywaniu terenu dla szkoły. Później gimnazjalistów, a w tym między innymi moją Babcie zawożono również samochodami do Strzelc Krajeńskich, gdzie oczyszczali i przebierali cegły, które wysyłano na odbudowę stolicy. Dzięki tej pracy otrzymywali paczki żywnościowe z UNRRY.

We wrześniu 1949 r. roku Stanisława przeniesiono do Bobrowka, gdzie do stycznia 1951 r. był kierownikiem szkoły siedmioklasowej. Tuż po Wielkanocy tego samego roku, jedno ze znajdujących się w Drezdenku liceów zostało pozbawione dyrektora. Zapytacie się jak to się stało? Otóż dyrektor został wywieziony na taczkach przez uczniów. Tym samym na zastępstwie obsadzony został Stanisław Maćkowiak. Od września 1951 do ok. 1970 r. pracował w inspektoracie w Strzelcach Krajeńskich. Tuż przed emeryturą pracował jeszcze w szkole w Kosinie do czerwca, a 13 października 1971 r. zmarł. Za swoją działalność na rzecz kraju otrzymał wiele odznaczeń, w tym medal 10-lecia Polski Ludowej, Srebrny Krzyż Zasług, Order Odrodzenia Polski czy Srebrną Odznakę Odbudowy Warszawy.

Zacząłam tą historię od jego narodzin, stosownym więc powinno być jej zakończenie w dniu jego śmierci. Dodam jednak jeszcze na koniec, że mimo trudnych warunków rodzina ta, a szczególnie rodzeństwo, byli ze sobą bardzo zżyci. Wszystkie dzieci otrzymały należyte wykształcenie, a bliskie stosunki między sobą, utrzymywali do ostatnich chwil swojego życia.

Każdy z członków tej rodziny, mojej rodziny, zasługuje na odrębną opowieść, a osobą, która jeszcze ją pisze, jest moja Babcia. Za nią stoję ja oraz następne pokolenia, które dalej spisują i będą spisywać naszą historię.

## Stąd jestem

Faustyna Zając

Skąd jestem? Zarówno moje korzenie jak i moje serce tkwią we wsi położonej w Beskidzie Niskim, zewsząd czule otulonej zielonymi wzgórzami. Piękne i malownicze miejsce na końcu świata. Pochodzą stąd moi rodzice, dziadkowie, pradziadkowie i pewnie jeszcze długo by wymieniać. Ale gdyby nie mały przekręt przed laty, nigdy nie dane byłoby mi chodzić wśród tych leśnych ścieżek i oglądać chwytających za serce wschodów i zachodów słońca na Przymiarkach, z których niektórym wybrańcom udało się nawet dostrzec oddalone o niemal 200 kilometrów Tatry. Ba! Pewnie nigdy bym się nie urodziła. Chcę Wam opowiedzieć historię niezwyklej kobiety, tak silnej i mądrej, że nie dała się złamać przez kolejne i kolejne życiowe tragedie. Jest moją inspiracją, a jej życie materiałem na wspaniałą powieść. Pragnę choć trochę ukazać Wam jej hart ducha i serce pełne dobroci, którym dzieliła się z każdym napotkanym człowiekiem. Moja opowieść zaczyna się gdzieś około roku 1930. Łatwo sobie wyobrazić jak wyglądała wtedy polska wieś. Wielodzietne rodziny, mnóstwo pracy w polu. Tym nieszczęśnikom, którym Bóg poskąpił daru rodzicielstwa, ciężko było związać koniec z końcem, wszak pozbawieni byli wielu rąk do pracy. Choć ciężko nam to sobie teraz wyobrazić, dzieci były siłą roboczą. Tak więc wielka była rozpacz, gdy po kilku latach małżeństwa Jan i Helena nie mogli doczekać się upragnionego maleństwa. Podobnie zresztą jak brat Heleny – Kazimierz z żoną Teresą. Rodzeństwo, czyli Helena i Kazimierz byli prawdopodobnie bezpłodni. Dzisiaj szybko postawiono by diagnozę i pewnie nawet specjaliści pomogli by im doczekać się dziecka. Niestety wtedy nie było takich możliwości. Zapewne po wielu dyskusjach i podobno nawet za zgodą księdza, Jan zbliżył się do swojej szwagierki Teresy, dając tak upragnione nowe życia. Teresa urodziła dwoje dzieci – chłopca i dziewczynkę, którymi oba małżeństwa miały się podzielić. Brzmi to brutalnie i takie właśnie było. Nie wiem dokładnie, ile lat miała dziewczynka o imieniu Łucja, gdy rodzice oddali ją Janowi, czyli biologicznemu ojcu, ale wiem, że była wystarczająco duża, by być świadomą, że rodzice ją oddają. Tą dziewczynką była moja babcia. Dziś ma 89 lat i wciąż pamięta jaki żal wtedy czuła. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co musiała przeżywać. Wiodła normalne życie obok kochającego braciszka, gdy nagle po prostu ją oddano, jak rzecz. Opowiadała nam, jak uciekała z całym swoim dobytkiem, czyli niewielkim tobołkiem do swojego domu, do brata, do mamy, a oni odsyłali ją z powrotem. Po kilku nieudanych próbach musiała pogodzić się z nową sytuacją, bezsilna i zraniona żyć dalej. Wkrótce przysłała II Wojna Światowa. Babcia chętnie opowiadała nam różne historie z tego trudnego czasu. Najbardziej zapadła mi w pamięci ta, w której ta mała, dzielna dziewczynka pokonywała strach i narażała swoje życie. W tutejszych lasach ukrywali się partyzanci. Jej zlecono, by zanosila im jedzenie. Uznano, że dziecko nie będzie wzbudzać podejrzeń. Gdy stacjonujący niemieccy żołnierze pytali, dokąd idzie, kazano jej odpowiadać, że na maliny. Ja chyba umarłabym ze strachu. Ona jednak zносиła to wytrwale. W trudnej,

wojennej rzeczywistości nie brakowało także miłych chwil. Z uśmiechem na twarzy wspomina najlepsze kanapki z konserwą, jakie jadła w życiu. Bawiła się z innymi dziećmi, podczas gdy nadjechał ruski czołg. Gromada dzieciaków w pierwszym odruchu chciała uciec, ale żołnierze okazali się mili, zaprosili ich na czołg, wszystko pokazali i zrobili głodnym dzieciom furę kanapek. A jeden z żołnierzy z rozrzewnieniem patrzył na Łucję i mówił, że taką samą córeczkę zostawił w domu, gdzieś daleko stąd. Wojna jest okrutna. Dla każdego. Niszczy rodziny i rozbudza lęk w sercu. Potem przyszła szkoła. Łucja okazała się być bardzo zdolna i ambitna. Dostawała wysokie stopnie i miała wielkie pragnienie – iść dalej się kształcić, do miasta. Do dziś pamięta na pamięć wiele wierszy, których nauczyła się w tamtym czasie, chociaż zapomina imiona swoich dzieci i to ile ma lat. Jednak i tym razem musiała zmierzyć się z gorzkim rozczarowaniem. Rodzice nie zgodzili się, by dalej się uczyła. Nawet dyrektor szkoły prosił ich, żeby pozwolili jej kontynuować edukację. Nie ulegli. To były ciężkie czasy, wiedzieli, że bez dodatkowej pary rąk będzie im bardzo trudno, tym bardziej że Jan na wojnie stracił nogę. Tak więc mała Łucja musiała pogodzić się z tym, że całe życie poświęci pracy. I tak wiodła swoje życie. Stała się kobietą. Wyszła za mąż. Nigdy nie poznałam dziadka. Zmarł wiele lat przed moimi narodzinami. Bardzo cierpiał z powodu raka. Wiem jednak, że był człowiekiem porywczym i skłonny do alkoholu. Babcia nie miała lekkiego życia przy nim, ale trwała przy jego boku, czule opiekując się nim w chorobie. Doczekali się w sumie ośmiorga dzieci. Dwie córki ciężko zachorowały. Babcia szła na bosą przez zasy z córeczką na rękach, by zanieść ją do szpitala. Nie miała już sił, ale nadal szła niesiona nadzieją. Drugą córkę zostawiła w domu. Obydwie zmarły. Jedna na jej rękach, a druga w domu. Wyobrażam sobie babcie w przeraźliwie zimną noc, gdy przemarznięta do cna, zorientowała się, że jej małeństwo nie żyje. Widzę wyraźnie, jak z okrzykiem rozpaczony rzuca się na ziemię, jak gaśnie w niej ostatni promyk nadziei, jak ze wszystkich sił próbuje dostrzec, choć najmniejszą oznakę, choć źdźbło życia na zimnych już zwłokach jej małego aniołka. I tak życie nie oszczędzało jej ani trochę. Musiała jednak żyć dalej, miała przecież dla kogo. Mimo wszystko była kobietą pełną wiary w Boga, nawet w najciemniejszych chwilach nie przestała mu ufać. Jej miłość spotęgowała się i wciąż miała jej wystarczająco dużo dla kolejnych dzieci. Urodziła jeszcze czterech synów i dwie córki. Jeden z synów wyjechał do wojska. Na służbie doznał wypadku, wypadł z wysokiego piętra. Przeżył śmierć kliniczną. To był cud, że mógł żyć dalej. Babcia jeździła pociągami do szpitali w całej Polsce. Czule opiekowała się nim, karmiła go, gdy nie był w stanie sam tego zrobić. Do końca życia utykał na nogę i był w lekkim stopniu upośledzony. Był jeszcze jeden syn. Miał rodzinę, dzieci i depresję. Popęłnił samobójstwo. Kolejne pęknięcie na sercu matki. Ból i nieustannie wybrzmiewające pytanie, na które nie da się znaleźć odpowiedzi – dlaczego? Z trzecim synem, który nigdy się nie ożenił, babcia także miała wiele kłopotów, głównie dlatego, że nie stronił od butelki. Zmarł niespodziewanie. Z ośmiorga, które urodziła, zostało jej troje. To sprzeczne z naturą, by matka pochowała dzieci. Została sama w domu, w którym niegdyś tętniło życie. Jego mury są przesiąknięte historią, tyle ludzi się tu urodziło, tylu zmarło. Ściany tego domu widziały wiele. W tym domu konał mój dziadek, to tu stawiała pierwsze kroki moja mama. Babcia doczekała się czternaściorga wnuków i dwudziestu trzech prawnuków. Całe swoje życie ciężko pracowała. Opowiadała nam, że wstawała nieraz o trzeciej w nocy, by zdążyć mężowi ulepić pierogi, by zjadł przed kolejnym dniem ciężkiej pracy. Poświęciła swoje życie służbie innym. Nie dawała sobie chwili wytchnienia. Przez pracę odnajdywała sens. Hodowała bydło i uprawiała hektary ziemi. Pamiętam ją zawsze jako energiczną, zapracowaną kobietę. Wszystko musiała wiedzieć i wszędzie było jej pełno.

Dzieliła się z nami swoim sercem. Opiekowała się mną, gdy nie chodziłam jeszcze do szkoły, a rodzice pracowali. Wspomnienia z tego czasu starannie pielęgnuję. U babci było bardzo nudno, nie było zabawek, ani telewizora. Uczyłam się czytać i pisać ze starej babcinej gazety, poprawiając długopisem tekst. Śpiewaliśmy razem piosenki i recytowaliśmy wiersze. Co rano plotła mi dwa warkocze, które związywała kawałkiem dętki. Uczyła mnie modlitw i opowiadała o Bogu. Chodziłam z nią pracować w polu. Gdy wracałyśmy, robiła mi kanapki z masłem i ogórkiem prosto z babcinej grządki — mój przysmak. Jej jajecznicza na śmietanie była sławna wśród wszystkich w naszej rodzinie. Gdy patrzę na jej pomarszczoną twarz, na maleńkie zapadnięte oczy i przygarbioną postać widzę symbol siły i poświęcenia. Historia jej życia oraz jej postawa inspirowały mnie do bycia lepszym człowiekiem. Babcia jest moim wzorem, a dzięki jej opowieściom, wiem, skąd jestem. Wszystkie imiona zostały zmienione, by zachować prywatność osób, o których mowa w tekście.

## Stąd jestem!

Anna Zys

Każdy z nas ma swoją historię. I swoich przodków, tych bliższych i tych dalszych. O ile wiemy, skąd pochodzą nasi rodzice, w historii ich przodków raczej się nie wgłębiamy. A to błąd. Kryją one bowiem w sobie nie tylko wiele tajemnic, zagadek czy ciekawostek ale i mówią o życiu zwykłych ludzi. A może i niezwykłych?

Pochodzę z wielkopolskiej rodziny o tradycjach patriotycznych, gdzie historia przodków zawsze odgrywała duże znaczenie. Nie sposób opowiedzieć o wszystkich. Ja chciałabym podzielić się historią mojej babci Seweryny, dla której życie nie napisało łatwego scenariusza...

Seweryna Szczepańska (z domu Andrzejewska) urodziła się dnia 23 grudnia 1909 roku w Krobi, w powiecie gostyńskim. Ochrzczona została trzy dni później. Jej rodzicami byli Jan i Helena z Hałkiewiczów Andrzejewscy.

Dzięki temu, że przez całe życie wszystko skrupulatnie zapisywała, zbierała wszelkie wycinki z gazet, dużo opowiadała i też słuchała innych (co udzieliło się też mojej mamie Marii), wiemy dokładnie jak potoczyły się jej losy...

Jej matka Helena urodziła się w 1883 roku w Krobi. Była córką Benedykta i Marianny z Sobierajskich Hałkiewiczów. Ojciec Jan urodził się w 1878 roku w miejscowości Potarzyca w powiecie gostyńskim. Był mistrzem krawieckim, dodatkowo uprawiał 5 ha ziemi i hodował zwierzęta. Był uczestnikiem I wojny światowej. Mieszkali w Krobi przy ulicy Mickiewicza 1.

Seweryna od siódmego roku życia uczyła się w szkole powszechnej w Krobi, najpierw do czwartej klasy w języku niemieckim, potem od piątej, w polskim.

Nie miała łatwego dzieciństwa. Gdy miała zaledwie 12 lat, zmarła jej matka Helena. Osierociła nie tylko ją, ale i czworo jej rodzeństwa: Władysława, Kazimierza, Mariana i malutką Jadwigę, która miała wtedy niespełny rok. Za zgodą ojca, Seweryna w 1922 roku, a więc mając 13 lat, wyjechała do Poznania w zamiarze pójścia do szkoły wydziałowej. Trafiła tam pod opiekę siostry jej matki, Walentyny Kujawiak i jej męża Apolinarego Kujawiaka. Byli oni bezdzietnym małżeństwem. Po śmierci Walentyny, Apolinary poprosił Sewerynę o rękę, ale ona nie zgodziła się i stamtąd uciekła.

Ojciec Seweryny Jan, ożenił się po raz drugi, z Elżbietą Przybył i z tego małżeństwa narodziło się czworo rodzeństwa: Leokadia (Lodzka), Romana, Czesław, Henryk, (Henio był później harcerzem i żołnierzem niezłomnym... ale to już inna historia) i najmłodszy Alojzy (Aloś).

Po śmierci drugiej żony, ojciec Seweryny ożenił się po raz trzeci - z wdową Joanną Polaszek, która miała syna Janka. Nie mieli wspólnych dzieci. Jan razem z trzema żonami został pochowany w jednym grobie na cmentarzu w Krobi....

W 1942 roku Seweryna ukończyła Szkołę Podstawową, a następnie uczęszczała do Seminarium Nauczycielskiego w Poznaniu. Dokładnie 16 kwietnia 1929 roku otrzymała

świadectwo dojrzałości. W okresie od 1 maja do 30 września 1929 roku pełniła rolę przewodnika wycieczek na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Pierwszą placówką szkolną, w której podjęła pracę jako nauczycielka była szkoła w Skokach, następnie pracowała w Mieścisku i w Podlesiu Kościelnym w powiecie wągrowieckim. To tu poznała swojego przyszłego męża, kierownika szkoły, Klemensa Szczepańskiego, z którym to ślub wzięła 13 sierpnia 1934 roku. Odtąd ich drogi, zarówno rodzinne jak i zawodowe na zawsze się krzyżują. Jeszcze nie wiedzą, co ich spotka...

Na swoją prośbę Seweryna i Klemens zostali skierowani do szkoły w Gieczu, gdzie Klemens objął funkcję kierownika szkoły z dniem 10 września 1938 roku. Była to szkoła „I stopnia dwuklasowa o dwóch nauczycielach”. Pracowali tam aż do wybuchu II wojny światowej w dniu 1 września 1939 roku.

Mąż Seweryny Klemens pochodził z rodziny o patriotycznych korzeniach. Jego ojciec Wincenty Szczepański, oraz jego dwaj wujowie Piotr Szczepański i Jan Borkowski, byli powstańcami wielkopolskimi i nie obca im była walka o polskość. Klemens ukończył Szkołę Podchorążych i uzyskał tytuł podporucznika rezerwy.

Gdy wybuchła II wojna światowa, Klemens został zmobilizowany i wyruszył na wojnę. Cudem uniknął śmierci już na jej początku. Seweryna pozostała w domu z małymi dziećmi, czteroletnim Miłoszem i dwuletnim Wojtkiem. Pomagała jej siostra Jadwiga.

W 1940 roku rodzina Szczepańskich została wysiedlona przez Niemców z Giecza na Nekiellek. Seweryna pracowała tam jako robotnica rolna. Ważyła 35 kg i nie mogła unieść nawet worka z ziemniakami... Klemens pracował jako robotnik drogowy.

Podczas okupacji Seweryna razem z mężem byli zaangażowani w działalność ruchu oporu. Klemens wstąpił w szeregi Armii Krajowej. Pomimo wielkiego niebezpieczeństwa, Seweryna włączyła się także w działalność konspiracyjną. Była łączniczką, przносиła ulotki, gazetki, wiadomości z Gułtów, gdzie działała tajna radiostacja. Sama mówiła tak o tym okresie: „Od 1 lipca 1941 roku pracowałam w Ruchu Oporu, do którego należał mój mąż. Z pobudek patriotycznych przносиłam ulotki, informacje, dostarczałam baterie do tajnej radiostacji. Przekazywałam wiadomości tym osobom, które były mi przez męża wskazane. W domu policja niemiecka robiła rewizje pod pozorem szukania książek Towarzystwa Czytelni Ludowej. Jednakowoż pomimo tego działalności nie zaprzestałam”.

W maju 1944 roku Klemens zostaje aresztowany za działalność konspiracyjną. Zabrano go na przesłuchania do Poznania. Gdy Seweryna się o tym dowiedziała, udała się do Poznania na Gestapo. Tam spotkała się ze swoim bratem Władkiem. Weszła do środka po informacje o mężu, a Władkowi kazała czekać na zewnątrz. Gdyby nie wyszła, a więc została aresztowana, Władek miał wrócić do domu, gdzie została ich siostra Jadwiga z małym Miłoszem i Wojtkiem i się nimi zaopiekować.

Klemens zostaje uznany za więźnia politycznego i trafia do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, do podobozu Loibl-Pass. To tam w nieludzkich warunkach więźniowie pracowali w kamieniołomach kopiąc tunele w Alpach...

W czasie okupacji babci trzy razy udało uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Za pierwszym razem, w 1943 roku zawrócono ich, bo Jadwiga się rozchorowała. Za drugim razem pomógł jej znajomy nauczyciel, który pracował w Arbeitsamt w Środzie Wielkopolskiej. Po słowach „Cholera, kto was tu przysłał?”, kazał mi wracać do domu. Gdy otrzymała trzecie wezwanie, udała się do sołtysa Nekiellki, Kosmowskiego, który za tym wszystkim stał. Donosiciel i współpracownik Niemców. Powiedziała: „Panie Kosmowski, ja



mogę jechać, ale dzieci przyprowadzę do pana. I niech pan pamięta, że wojna się jeszcze nie skończyła i mąż może wrócić”. Po tym dał jej spokój.

Klemensa wciąż nie było, chociaż utrzymywali pisemny kontakt. Klemens trafił z obozu Loibl-Pass do Włoch i wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Stamtąd dotarł do trzech obozów przesiedleńczych w Anglii. Do Polski wrócił w 1947 roku.

Zanim jednak powrócił, Seweryna w 1945 roku została upoważniona do zorganizowania i prowadzenia Szkoły Podstawowej w Nekli i Gieczu. Pracowała długich 37 lat (do 1972 roku) lat jako nauczycielka, głównie języka polskiego.

Życie jej nie oszczędzało. W 1964 roku Klemens, schorowany po pobycie na wojnie i w obozach koncentracyjnych, umiera. Seweryna pozostaje z trójką dzieci. Najmłodsza Marysia, moja mama, miała zaledwie 13 lat...

Dla Klemensa i Seweryny szkoła była wszystkim. Klemens po powrocie z wojny został kierownikiem szkoły w Nekli. Po wojnie obydwójce aktywnie zajmowali się pracą społeczną i działalnością kulturową. Wieczorami po skończonych lekcjach, prowadzili w Nekli kursy dla analfabetów i kursy Oświaty Dorosłych. Seweryna prowadziła też przez wiele lat zespoły taneczne, które zdobywały szereg nagród na szczeblu powiatowym i wojewódzkim, a także zespoły recytatorskie i bibliotekę szkolną. Nawet gdy przeszła na emeryturę, często przychodziła do swej ukochanej szkoły i opowiadała: o wojnie, o swoim mężu...

W 1984 roku zostały nadane jej uprawnienia kombatanckie. Za swoją wieloletnią działalność pedagogiczną otrzymała wiele odznaczeń i orderów.

Po śmierci Klemensa pozostała w swoim domu. Pamiętam te wszystkie wakacje...

Przepiękny ogródek z równo wydzielonymi ścieżkami i sad z agrestem, papierówkami, czarnymi i czerwonymi porzeczkami... Gotować i piec nie lubiła. Ale za to pięknie wyszywała. Dla wszystkich swoich dzieci i wnuków przygotowała całe paczki pewne obrusów, serwetek, poduszek wyszywanych precyzyjnie we wszystkich kolorach. Moje leżą schowane w szafie i czekają tylko na szczególne okazje...

Odeszła 30 lat po Klemensie, dokładnie 19 października 1994 roku, mając 85 lat.

We wspomnieniach często przywołuję widok babci lekko przygarbionej, wolno spacerującej z rękami zaplecionymi z tyłu z torbą na zakupy w żółto-brązową kratę. Pamiętam kartkę napisaną przez nią i pozostawianą na ganku, gdy przyjeżdżaliśmy do jej domu: „Jestem na cmentarzu”. Tak, znów poszła do Klemensa. Wspomnień pozostało mnóstwo i nie sposób ich tu wszystkich opisać...

Pomimo iż miała dużą rodzinę, troje dzieci i dziesięcioro wnuków, to dom rodzinny położony paraset metrów od tak bliskiej jej sercu szkoły, zapisała właśnie mnie. Zawsze mówiła, że Ania to będzie w szkole uczyć... Życie trochę zweryfikowało plany babci. A może warto wyciągnąć z szuflady dyplom z Uniwersytetu i zapisać się na studia podyplomowe dla nauczycieli? Kto wie, zobaczymy, co życie przyniesie... Bo w każdym z nas jest chyba coś z naszych przodków. Dzieci Seweryny i Klemensa też zostały nauczycielami...

Tymczasem niech historia Seweryny niesie się w świat. I niech zakończeniem tej opowieści będą słowa nastoletniej Sewki we własnoręcznie napisanym życiorysie, zachowanym w pamiątkach rodzinnych: „Mając zamiłowanie do dzieci, obrałam sobie zawód nauczycielstwa, któremu całkiem chcę się poświęcić”.

Wnuczka Ania

## Judym i Siłaczką w jednym Stanisław Witold Ziarkiewicz (1915-1987)

**Antonina Sebesta**

Podobno mężczyzna powinien mieć syna, wybudować dom, posadzić drzewo. Tatus miał tylko mnie, w dodatku jestem adoptowana. Mieszkanie przydzielono mi z kwaterunku, wybudował jednak szkołę a później warsztaty, internat, stację diagnostyki pojazdów, przyczynił się do budowy szpitala i wielu obiektów w naszej okolicy. A drzewa kochał, zwłaszcza podgórskie lasy bo jego chorym płucom lżej się w nich oddychało.

Rodzice Anna i Stanisław Witold Ziarkiewicz podzielili się ze mną miłością czyli tym czego nie była w stanie odebrać im wojna. Utracili małą ojczyznę, ukochane miasta, góry i rzekę gdzie spędzali wakacje, domy a także pozycję towarzyską. Przede wszystkim jednak krewnych, przyjaciół, kolegów, no i zdrowie,

Losy mojej adopcyjnej rodziny to wręcz modelowy, materiał na serial filmowy.

Codziennosc obu okupacji strach, głód, represje, wywózki i egzekucje, splata się z momentami symbolicznymi dla Polaków.

18 września 1939 roku brat cioteczny taty Władysław Midowicz udaje się na emigrację opuszczając obserwatorium na Pop Iwanie w Czarnohorze którym kierował. Był to najwyższy położony budynek w Polsce, duma II RP.

Szwagier Taty - pilot myśliwski Władysław Jan Nowak z 10 na 11 maja 1941 roku w czasie lotu bojowego nad Londynem na samolocie Hurricane dokonuje pierwszego (nocnego i potwierdzonego) polskiego zestrzelenia samolotu niemieckiego Heinkel 111.

Wracamy jednak do tatusia, w kampanii wrześniowej pełnił funkcję z-cy dowódcy plutonu CKM w 49 Pułku Piechoty. Jednostka zajęła stanowisko obronne nad Jasłem, walcząc wycofała się w kierunku Przemyśla, a potem Lwowa, gdzie została rozbita. Tatus dostał się do niewoli ale po dwóch dniach udało mu się z niej uciec, wrócił do Stanisławowa. Wiele lat po śmierci taty w monografii: „Konspiracja Lwowska 1939-1944” napisanej przez Grzegorza Mazura i Jerzego Węgińskiego na stronie 245 przeczytałam:

Komendę Inspektoratu Stanisławów (krypt. „Afryka”) objął podobno w listopadzie 1943 Stanisław Witold Ziarkiewicz, poprzednio pełniący obowiązki komendanta samodzielnego obwodu Stanisławów – miasto (krypt. „Europa”).

Był wówczas dwudziestoosmioletnim byłym nauczycielem gimnazjum kupieckiego, absolwentem Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie. Podjął się tego zadania z poczuciem obowiązku. Hitlerowcy rozstrzelali mu młodszą siostrę Danutę Nowak (żonę wspomnianego lotnika Władysława). Karolina Lanckorońska w swoich „Wspomnieniach

wojennych” pisze o jej aresztowaniu, jako żona oficera za swój obowiązek uważała prace w RGO czyli dostarczanie więźniom paczek. Teścia – germanistę Ignacego Stampera, który podzielił los kolegów profesorów gimnazjalnych, gdyż nie chciał podpisać volklisty. Razem z dziadkiem zginęli między innymi jego najlepszy przyjaciel Witold Dąbrowski, a także Stanisław Telichowski za którego syna po wojnie wyszła ciocia Krystyna Stamperówna. Ojciec Adam Ziarkiewicz lekarz weterynarii – kapitan rezerwy wywieziony do Starobielska nie dawał znaku życia, ostatnią kartkę wysłał w lutym 1940 roku. Ciotce urzędnicze pocztowej odrąbano piersi siekierą, w wyniku czego zmarła.

Informacja o tak odpowiedzialnej funkcji była dla mnie zaskoczeniem. Ojciec nigdy się nie ujawnił. W oficjalnym życiorysie pisał, iż do więzienia i obozu dostał się za udział w tajnym nauczaniu.

Wiedziałam, że to jest bajka dla władzy, z ramienia AK prowadził sklepik położony naprzeciwko bramy gestapo aby obserwować ten budynek, pod podłogą była ukryta broń. O akcjach nie opowiadał, raz tylko kiedy wlekleśmy się za starą ciężarówką wiozącą kapustę wyrwało mu się w takiej kapuście wywieźliśmy tych wyprowadzonych z getta. Poznałam też panie, które jako młode dziewczyny uratował przed wywózką na roboty do Niemiec. 23 maja 1944 roku został aresztowany przez gestapo. Udało mu się zjeść pieczątkę, przebywał krótko w więzieniu w Stanisławowie a następnie we Lwowie skąd wywieziono go do obozu Gross-Rosen, komando Landeshut.

W grypsie z 4 VII 1944 adresowanym do mamusi napisał:

Dusieńko najdroższa. Wczoraj to znaczy 3 lipca byłem przesłuchiwany i podpisałem protokół. Co ze mną będzie nie wiem. Na wszelki wypadek piszę do Ciebie tych parę słów. Gdy dostaniesz list, to będzie to znaczyło, że zostałem wywieziony do obozu. (...). Wracajcie z Mamą do domu i módlcie się by Pan Bóg pozwolił mi wrócić do Ciebie... Twój na zawsze Tolek.

W obozie ci, którzy poszli do kamieniołomów (tam kierowano inteligencję i tych, którzy podawali, że są pracownikami umysłowymi) żyli maksimum 6 tygodni, zwykle umierali wcześniej, bardzo często rzucali się z urwiska. Tacie udało się ukryć wykształcenie podał się za pomocnika ślusarza, dlatego wylądował w fabryce łożysk kulkowych. Więźniowie sobie pomagali, niezależnie od narodowości i wyznawanej wiary. W Święta Bożego Narodzenia Niemcy puszczali z głośników i śpiewali „Cichą noc” robiło to przejmujące wrażenie, ten moment był najtrudniejszy dla zachowania wiary. Racje żywności były głodowe, „zupa” tzw. wodzianka z brukwi, szczęście miał ten kto znalazł w niej kawałek ziemniaka. Porcja gliniastego czarnego chleba, kawa zbożowa na wodzie, w niedzielę rarytas łyżka mielonego surowego mięsa końskiego, które często cuchnęło. Jak szli do fabryki okoliczna ludność bardzo agresywnie się wobec nich zachowywała, wymyślano im od polskich świni i polskich bandytów, obrzucano kamieniami. Tata przeżył w obozie czerwonce i nabawił się gruźlicy.

Po wkroczeniu Rosjan do obozu lekarz z Czerwonego Krzyża dawał mu miesiąc życia... Pluł krwią, gorączkował, miał ogromną niedowagę.

Pojawił się w Myślenicach prosto ze szpitala, w którym podleczone mu gruźlicę. Tu doczekał przyjazdu żony Anny, teściowej Józefy Stamper i szwagierki Krystyny.

Oprócz skierowania do pracy, numeru obozowego 6742, i metalowego krzyżyka nie miał nic, odzież i inne niezbędne przedmioty otrzymał od dobrych ludzi.

Nie ma ludzi niezastąpionych są niepowtarzalni napisano na tablicy, która zawisła na korytarzu wybudowanej jego staraniem szkoły, dyrektorował jej trzydzieści dwa lata. W tym czasie ze Szkołki Przysposobienia Spółdzielczego przekształciła się w duży Zespół Szkół

Techniczno-Ekonomicznych. Za swój obowiązek uważał zapewnienie zarówno uczniom jak i pracownikom bezpieczeństwa. Kiedy ogłoszono tzw. amnestię, której właściwym celem było zadanie ostatecznego ciosu organizacjom podziemnym, wystarał się aby uczniowie mogli składać broń anonimowo bez oświadczeń w specjalnym pomieszczeniu szkoły, wkrótce był tam mały arsenał.

Gruźlica znowu zaatakowała. Nowe leki spowodowały jednak zaleczenie choroby, co graniczyło z cudem. Wtedy to rodzice zdecydowali się adoptować niemowlę czyli mnie. Po październikowej odwilży tatuś został posłem.

Placówka stanowiła arkę dla niewygodnych ideologicznie nauczycieli. Języków uczyła była hrabina Helena Konopka a później żołnierz wyklęty Stefan Ralski. W zespole znaleźli się syn przedwojennego rektora AGH, żołnierz AK, więziona, za przynależność do nielegalnego harcerstwa Teresa Pindela (Święch).

Jeżeli ktoś nie pasował „pokój nauczycielski” po prostu go izolował.

Grono konsekwentnie odrzucało propozycję nazwania szkoły imieniem Klementa Gottwalda, Hanki Sawickiej czy Janka Krasickiego, otrzymała imię Mikołaja Reja umotywowane faktem, iż tam gdzie stoi, był dwór Spytka Jordana. Gościł w nim ojciec literatury polskiej, i według legendy tu właśnie ukończył „Żywot człowieka poczciwego”. Tatuś nigdy nie bał się bronić swoich nauczycieli.

– Chcecie abym za posłanie dziecka do pierwszej komunii zwalniał najlepszą matematyczkę w województwie - pytał.

– Odejdziemy razem, ja jako biegły księgowy zarobię znacznie więcej, zresztą mogę być taksówkarzem.

Uważał, że należy postępować tak jak po Powstaniu Styczniowym, czyli skupić się na edukacji gdyż ona zawsze jest najważniejsza. Był bardzo konsekwentny w swojej pracy „u podstaw”. Przyszłą profesor chemii Uniwersytetu Warszawskiego Teresę Kasprzycką-Guttman (tytuł nadany 28 lutego 1995 roku) dosłownie wykradł z domu na wsi w 1953 roku i wsadził do warszawskiego pociągu aby mogła studiować wymarzoną chemię, organizując jej pomoc materialną.

Nasz dom zawsze był otwarty dla wszystkich, którzy potrzebowali porady czy pomocy. Przed kilku laty w szpitalu, staruszka zapytała mnie gdzie mieszkam, kiedy jej wytłumaczyłam, powiedziała

– Tam na piętrze mieszkał mój dyrektor – zaraz dodała smutno

– Co to był za człowiek, teraz już takich nie ma.

## Stąd jestem

**Kinga Piątkowska**

Czym jest siła? Siłą jest fizyczność, wytrzymałość, gotowość do boju. Siłą jest miłość, poświęcenie drugiej osobie i wspólnocie dwóch dusz połączonych w jedną. Siłą jest postawa, pokazanie innym na co nas stać, co możemy osiągnąć, pomimo przeciwności losu. Siłą jest rodzina, my i nasi bliscy. Wychowanie dobrego syna, dbanie o żonę. Siłą jest Czesław Piątkowski.

Urodzony dziesiątego lipca 1954 w Czarnej Białostockiej, małej miejscowości na Podlasiu w rodzinie z niższych sfer.

Niesamowicie ważnym momentem w jego życiu było poznanie jego przyszłej żony – Haliny z domu Białous. Wzięli ślub i wprowadzili się do małego domku na kolonii wsi Jałówka. Było to małe gospodarstwo Białousów z drewnianym, pamiętającym wojnę domem i kilkoma budynkami gospodarczymi. Prowadzenie takiego gospodarstwa nie należało do łatwych, szczególnie dla młodego małżeństwa w trudnych czasach ścisłego PRL-u. Kolejne miesiące były coraz cięższe, zwierzęta chlewne oraz budowa nie przynosiły tyle pieniędzy aby utrzymać dwójkę dorosłych oraz dwie pociechy.

Czesław musiał wyjechać. Niemcy, Rosja, Wielka Brytania. Te kraje przewijały się razem z ojczyzną w życiorysie dziadka. To czas pobytu w Wielkiej Brytanii był najjaskrawszym w jego życiu. W przerwie od kolejnych projektów budowlanych podejmował się kelnerstwa, sprzątanania czy nawet boksu. Momentem, który z pewnością odmienił jego los było poznanie Johna Zylińskiego – polaka na emigracji. Był to mężczyzna w kwiecie wieku z dużym marzeniem – odbudowaniem przedwojennego pałacyku jego rodziny, ale w Londynie. Dziadek uchodził za porządnego robotnika, z zapałem oraz fachem w rękę. Dostał więc posadę przy stawianiu przyszłego White House of London. Niedługo później dołączył do niego syn – Krzysiek z żoną, Agnieszką oraz dzieckiem – Kingą, która stała się oczkiem w głowie Cześka. W zamian za pomoc w budowie oraz wykończeniu dworku rodzina Piątkowskich mogła zamieszkiwać jego teren.

Czesław był niesamowicie rodzinnym człowiekiem, dlatego obowiązkowym elementem soboty był grill z rodziną. Podczas jednego z takich wydarzeń dziadek rozkojarzył się. Miałam wtedy 4, może 5 lat. Zamiast wody (aby przygasić płomień muskające mięso) wlał do grilla podpałkę, jednocześnie oblewając się ją. Na szczęście nic poważnego się nie stało, kończynę udało się uratować, lecz do końca życia była zdeformowana. Bardziej niż bliźniami szpecącymi jego nogę przejmował się odrazą do świeczek swojej wnuczki.

Gdy dworek ukończono, nie było już miejsca dla dwóch budowlanców oraz matki z dzieckiem. Wtedy pojawiła się myśl o powrocie do Polski. Agnieszka poinformowała wszystkich o drugim cudzie w drodze, Krzysztof kupił działkę w podbiałostockim Wasilkowie rozpoczął budowę domu. Jednak gdzie do tej pory się podziac? Ostoją okazała się kolonia Jałówka. Dni spędzone na wsi były słodkim czasem dzieciństwa – bieganie po polach, zabawa z wnukami sąsiadów, rozmowy z babcią i wieczorne oglądanie telewizji z dziadkiem.

W końcu dom w Wasilkowie stanął w pełnej okazałości. Na świat przyszedł mały Kubuś. Czesław i Halina zostali ponownie sami w swym domu. Ani ja, ani dziadek nie byliśmy zadowoleni, iż nasz wspólny czas został ograniczony do weekendów oraz krótkiego czasu, który spędzał u nas po pracy. Jednak na tych spotkaniach każdy korzystał z tego co miał. Pewnego dnia podczas takiego zgromadzenia kazał mi przynieść mu szklankę wody. Pobiegłam do kuchni, chcąc ugasić jego pragnienie, wiedziałam, że jest zmęczony po pracy. Jakie było moje zdziwienie, gdy zamiast wypić płyn postawił naczynie na podłogę. W wieku prawie 60 lat stanął na głowie i wypił duszkiem całą zawartość szklanki. Dziadek wywarł wtedy niesamowite wrażenie.

Oczywiście, to, co dobre nie trwa wiecznie. Słodka iluzja pękła w 2015 roku. Pierwsza diagnozę dostała babcia – rak płuc. Niedługo później wyrok dotknął również Czeška, nowotwór zaatakował jego krtań. Choroba postępowała dość szybko, dziadek przestał dać radę pracować przez przerzuty na nogi. W końcu nie dał rady nawet chodzić, jeździł na wózku i zamieszkał w Wasilkowie, u Piątkowskich. Znikał w oczach, bardzo schudł i czuł się słaby. Krzysztof robił wszystko, aby było mu choć trochę lepiej – wyjazdy do lekarzy, innowacyjne terapie z Niemiec, modlitwa – nic nie zadziałało. Czesława męczyła też rozłąka z również chorą żoną, ona mieszkała w Białymstoku, u swojej córki.

Gdy choroba postępowała i wiedział, że jego dni są policzone wołał wnuczkę tylko po to, aby móc wziąć ją za rękę i popatrzeć w jej oczy. Pierwszego sierpnia był tragicznym dniem, żona Czesława odeszła. Rak niedługo wcześniej objął jej mózg doprowadzając do jego śmierci. Czesiek, ani reszta rodziny nie przyjęła tego dobrze. Pogrzeb odbył się w Jałowie, w domu małżeństwa. Była to typowo wiejska uroczystość – trzydniowe wystawienie ciała, różańce, obiad i czuwanie przy zmarłym. Dziadek spędzał przy trumnie babci cały czas, czuwał całą noc, gdy goście się rozeszli, a rodzina poszła spać. Po pogrzebie jego wyniki poprawiły się, choroba odpuściła i czuł się znacznie lepiej. Przyszła jesień, rozpoczął się rok szkolny, wnuki poszły do szkoły. W połowie września Czesław poczuł się nieco gorzej, została wezwana karetka. Gdy medycy wywozili go z domu, wziął za rękę Agnieszkę, spojrzął w jej oczy i powiedział „Czeška już nie ma”. Te mrozące krew w żyłach słowa odbiły się echem dzień później – 15 września 2015 roku. Dziadek zmarł w szpitalu w godzinach wczesnoporannych. Rak odebrał go kochającej rodzinie, wnuczce wpatrzonyj w ideał dziadka.

Czesław był silny. Jego siłą były ręce wyrobione pracą. Jego siłą była noga pokryta bliznami. Jego siłą był ciepły uśmiech posyłany w stronę rodziny. Jego siłą była zaradność. Jego siłą była pomoc niesiona sąsiadom i bliskim. Jego siłą była żona. Jego siłą były dzieci opiekujące się nim, gdy on już nie mógł nimi. To Czesław Piątkowski był i nadal jest moją siłą. To on pokazuje mi, jak powinnam żyć, jakim być człowiekiem, aby się starać pomimo wad. Dzięki niemu wiem, nie tylko skąd jestem, ale dokąd dążę.

## Z ojca na syna

Marek Strzała

Nasi przodkowie po mieczu przynajmniej od XIV w. związani byli z niegdysiejszym Polskim Śląskiem, czyli tą niewielką jego częścią, która weszła w skład Rzeczypospolitej jako Księstwa Zatorskie i Oświęcimskie, należąc przed zaborami do Ziemi Krakowskiej w postaci Powiatu Śląskiego. Stąd wyruszali na wojenne wyprawy oraz na sejmiki w Krakowie i na sejmy koronne oraz na królewskie elekcje. Kilku dobitniej od innych zapisało się w dziejach. Taki Piotr Strzała – burgrabia krakowski 1571-88, najdłużej żyjący sygnatariusz Unii Lubelskiej, sędzia ziemski przez 40 lat, podwojewodzi krakowski, wybierany osiemnastokrotnie (!) posłem na sejmy – jako mówca sejmowy stał się głównym ideologiem odnowicielskiego anty-magnackiego ruchu egzekucyjnego i jednym z jego przywódców wraz z Janem Zamoyskim. Mikołaj Strzała w roli pełnomocnego administratora południowych rubieży Księstwa, z ramienia księcia Jana II, założył i został po 1405 r. pierwszym właścicielem m.in. miasta Sucha (Sucha Beskidzka od 1965). Jan Strzała był podstarościm krakowskim, a jego syn Michał starostą tyszowieckim i krajczym Zygmunta Augusta. Hieronim Strzała wyprawiał się w przebraniu do okupowanej przez Turków Palestyny, żeby w 1599 r. przywieźć Mikołajowi Zebrzydowskiemu plany jerozolimskich miejsc świętych oraz gipsowe modele Kaplicy Ukrzyżowania i Kaplicy Grobu Chrystusa, wykorzystane przy budowie prześwietnego sanktuarium Kalwarii Zebrzydowskiej.

Mój tata miał jednak za wzór własnego ojca. Dziadek jako ledwie kilkunastolatek znalazł się w mundurze austriackim w załodze jednego z fortów Twierdzy Kraków. Po przejściu miasta z rąk zaborców w ostatnich tygodniach I Wojny Światowej trafił „z marszu” do formującego się Wojska Polskiego. Potem uczestniczył w odsieczy Lwowa oraz w kolejnych fazach wojny z bolszewicką Rosją, za udział w której już jako niemalże stulatek otrzymał awans oficerski z rąk prezydenta Wąłęsy. Natomiast w okresie międzywojennym dziadek znany był w rodzinnym Oświęcimiu głównie z działalności w PPS, co niekoniecznie przysparzało mu samych przyjaciół. Dość powiedzieć, że zwykle nosił przy sobie pistolet, z czym zresztą niespecjalnie się krył, i mój tata wspominał, że jako dzieciak pękał z tego powodu z dumy. Równocześnie dziadek był człowiekiem przykładowie religijnym i nawet jeszcze po dziewięćdziesiątce codziennie chodził pieszo kilka kilometrów na poranną mszę, jeśli zdrowie pozwalało.

Po wybuchu wojny Niemcy włączyli Ziemię Oświęcimską do Trzeciej Rzeszy i wysiedlili z Oświęcimia i okolic większość miejscowych Polaków, w tym moją rodzinę. Naziści postanowili uczynić Auschwitz wzorcowym miastem germańskim, choć na szczęście zdążyli zrealizować tylko niewielką część kompletnej przebudowy w duchu swojej modelowo „teutońskiej” urbanistyki i architektury. W wieku zaledwie 16 lat mój tata został wywieziony na przymusowe roboty w głąb Niemiec (moja mama miała 14 lat, kiedy skierowano ją do pracy przymusowej w gospodarstwie „bauera”, czyli niemieckiego kolonisty). O ile mnie pamięć nie myli, ojciec trafił aż do Hamburga, a potem został z kolegami przetransportowany na Górny Śląsk, gdzie

został go koniec wojny. Przeżycia okupacyjne musiały zostawić silną traumę, bo nie lubił wspominać tamtego czasu. Raz tylko, kiedy wyjeżdżałem na stypendium Akademii Europejskiej w Berlinie Zachodnim, poprosił żeby mu przywieźć chleb świętojański, którego zakosztował raz jeden w czasie wojny właśnie w Hamburgu.

Moi rodzice znali się z lat szkolnych. Kiedy się pobierali w 1946, na ślubie zabrakło ojca panny młodej. Mój mateczny dziadek walczył w 1 pułku piechoty Pierwszej Brygady Legionów. Latem 1915 został ciężko ranny, gdy rosyjski bagnet o centymetry ominął aortę. Dziadek zdążył wydobrzeć, żeby wziąć udział w Bitwie Warszawskiej. Po demobilizacji pracował jako sztygar w kopalniach w Brzeszczach i Libiążu. W latach trzydziestych został szefem powiatowego Związku Legionistów Polskich w Chrzanowie. Podczas II wojny działał w strukturach Państwa Podziemnego i pod jej koniec został wyznaczony do pełnienia po wyzwoleniu obowiązków starosty w powiecie chrzanowskim. Skończyło się to w 1945 aresztowaniem przez NKWD i wywiezieniem do obozu pracy w Zagłębiu Donieckim. Wrócił po wielu latach wymierzony, schorowany i w łachmanach, ale wrócił.

Mój tata kochał aktywny wypoczynek, zwłaszcza górskie wędrówki, zimą narciarskie. Nic dziwnego, że po powojennej tułaczce „za chlebem” po Polsce – m.in. przyłożył rękę do odbudowy stoczni w Gdańsku, budowy kombinatu w Nowej Hucie i rafinerii w Płocku – pasowało mu zamieszkanie w Bielsku-Białej, a konkretnie w południowej Białej, parę przystanków miejskim autobusem od beskidzkich szlaków. Dotychczasowe życie skończyło się jednak nagle wiosną 1970 upadkiem z wysokiego rusztowania przy remoncie zbiornika w czechowickiej rafinerii. Złamanie kręgosłupa oznaczało wielomiesięczny pobyt w szpitalu i długą rehabilitację. Potem tata mógł na szczęście chodzić, choć odtąd zawsze już przyszło mu nosić gorset ortopedyczny. O powrocie do pracy nie było mowy. Na szczęście po blisko dwóch latach biedy i procesowania się, tacie przyznano w końcu odszkodowanie i jaką taką rentę wypadkową. Rodzice zamienili się rolami. Mama zaczęła pracować na akord i nieźle zarabiać. Ojciec gotował, sprzątał i zajmował się dziećmi. Gotowanie stało się wręcz jego pasją, jakkolwiek nam, domownikom, jego co bardziej ekstrawaganckie kulinarne eksperymenty nie zawsze przypadły do smaku. Zamiast na długie górskie wędrówki tata zabierał nas w beskidzkie lasy na spacerzy połączone z grzybobraniem, zbieraniem dzikich malin, borówek, orzechów lasowych. To wystarczyło do zarażenia górskim bakcylem, co wkrótce zaprowadziło mnie na tatrzańskie szlaki, po latach nałogowo przemierzane potem z moimi synami.

W naszym domu panował kult wykształcenia. Rodzice nie pozostawiali żadnych wątpliwości, że ja i moi bracia mamy ukończyć studia, choćby nie wiem co. A skoro nowa sytuacja życiowa na to pozwoliła, tata też postanowił uzupełnić edukację przerwana okupacyjnymi przejściami. Ja chwalebnie zaliczałem kolejne lata studiów dziennikarskich Uniwersytetu Jagiellońskiego, a on klasy technikum dla pracujących. Zdał maturę i zamierzał podjąć studia zaoczne w bielskiej filii Politechniki Łódzkiej. Wtedy wybuchła Solidarność. Bez ukończonych jeszcze studiów, od początku 1980 r. pracowałem na etacie w tygodniku „Student” jako publicysta i p.o. kierownika działu społecznego (miałem też na koncie liczne artykuły m.in. w „Życiu Literackim”, „Kulturze” i „Polityce”). We wrześniu wróciłem z Finlandii i od razu przystąpiłem do organizowania koła NSZZ w naszej redakcji, do którego zapisali się wszyscy pracownicy poza jednym, a mnie wybrano przewodniczącym. Mój tata tymczasem zaczął tworzyć struktury związkowe w bielskim „Społem”, gdzie miał liczne dobre kontakty jako zdeklarowany spółdzielca, a w 1981 zadomowił się w siedzibie władz solidarnościowego Regionu Podbeskidzie, zostając bliskim współpracownikiem przewodniczącego Patrycjusza Kosmowskiego.



Noc z 12 na 13 grudnia 1981 r. spędzaliśmy z żoną i bratem w bielskim mieszkaniu rodziców. Ojciec wracał z Patrykiem Kosmowskim pociągiem z Gdańska, gdzie uczestniczyli w posiedzeniu Komisji Krajowej (mój tata w roli obserwatora). Po północy do naszego domu wtargnęli esbecy i milicjanci. Przyszli „internować” ojca, ale go nie zastali, skończyło się na pobieżnym przeszukaniu. Tata i Patryk dowiedzieli się o stanie wojennym dopiero na bielskiej ulicy, gdy rankiem szli ze stacji kolejowej do biura Regionu. Ukrywali się razem kilka tygodni w różnych zaprzyjaźnionych domach. Poza wszystkim innym tata chorował poważnie na serce, więc uznał, że nie powinien być ciężarem dla najbardziej poszukiwanego działacza na Podbeskidziu i musi sam zadbać o siebie. Ostatecznie ojciec – poszukiwany listem gończym jako solidarnościowy wywrotowiec – znalazł schronienie w domu siostry i szwagra na przedmieściach Oświęcimia, kilka kilometrów od byłego nazistowskiego obozu KL Birkenau.

Na początku grudnia 1981 otrzymałem nagrodę dyrekcji wydawnictwa prasowego za wybitne wyniki w pracy, a w styczniu 1982 tzw. „komisja weryfikacyjna” pozbawiła mnie zatrudnienia, dołączając zakaz pracy w prasie, radio i telewizji. Praktycznie natychmiast zacząłem publikować w różnych podziemnych periodykach solidarnościowych, co trwało do 1988, i w sumie podpisywałem teksty kilkunastoma chyba pseudonimami oprócz inicjałów, a pod koniec również własnym nazwiskiem. Prasa katolicka ukazywała się legalnie, więc z czasem zostałem autorem m.in. „Tygodnika Powszechnego”, „Gościa Niedzielnego”, a także „Znaku” i innych miesięczników. Mój tata mnie jednak przelicytował i zaczął publikować własny periodyk. Mimo podejmowania rozmaitych prób, nie miał dostępu do poligrafii. To go jednak nie mogło zrazić. Z pomocą mojej mamy przepisywał swój biuletyn wielokrotnie w kilku przebitkowych kopiach na maszynie do pisania. Potem osobiście kolportował go potajemnie w Bielsku-Białej. W Krakowie na jego prośbę robiłem to ja. Oczywiście, mimo całego poświęcenia rodziców, z konieczności nakład był każdorazowo więcej niż skromny – w najlepszym razie paręset egzemplarzy.

Mój tata nie doczekał wolnej Polski. Zmarł we śnie w 1988, a jego pogrzeb stał się małą patriotyczną manifestacją dla kilkuset uczestników. Ojciec odszedł nie całkiem niespodziewanie, skoro od dawna miał schorowane serce. Liczył się z kolejnym zawałem, więc mama wiedziała, jak chciałby być pochowany. Prosił o najwyższy grób, usypany z ojczyściej ziemi, z białym brzozywym krzyżem i skromną blaszaną tabliczką. W takiej też prostej mogile spoczął: jakby żołnierskiej, jakby partyzanckiej. Mama posadziła pnącą różę, która wkrótce otuliła czerwonymi kwiatami biel brzozywych bierwion krzyża.

## Stąd jestem

**Tomasz Dembowski**

*„Stara ziemia nowe drzewa zrodzi  
Gdy ta życiodajnej wody do swych korzeni dostarczy”*

To co w ziemi często nie widziane. Lecz w korzeniach tkwi cała historia. Tak jak w historii naszego pochodzenia. Kto wie jak żyli pierwsi z naszych rodów lecz w kodzie genetycznym tkwi szczegół na tle całej historii. Bowiem w kartach historii nie wszystko jest jasne przez to że wielu chciało by żeby została ona zdeptana I zapomniana lecz Ci z zapalem odnajdą swą prawdziwą historię przykładem tego jest walka mojej Mamy która od wielu lat tworzy drzewo genealogiczne które sięga już początku 17 wieku.

Me korzenie sięgają wołyńskiej ziemi która została nadana wieki temu mojemu Przodkowi za zasługi w sejmie Wielkim. Po upływie 3 wieków mój dziadek jako mały chłopiec w czasie rzezi uciekał w raz z rodziną kilka wiosek dalej ma babka rodziła się u ukraińca w szopie który dał schronie kilku rodziną chroniąc korzenie sąsiednich drzew przed własnym potomstwem.

Wędrowali długo zanim siebie odnaleźli. Wędrowali I widzieli do czego człowiek potrafi się posunąć. Lecz szli dalej by odnaleźć kawałek ziemi. Ziemi która stanie się domem. I wierzyli że jeszcze kiedyś uda im się zobaczyć resztę rodziny. Żyli I wierzyli. Bo wiara to jedyne co trzymało ich przy życiu. Wędrując po ziemi która krwią już przesiąkła dawno zanim się narodzili... lecz ich korzenie smaku krwi już doznały jak smak owoców z drzew.

Lecz nie złamało ich to bo wędrowali dalej. Chociaż z dnia na dzień co raz mniej wody do korzeni dostarczali bo nie było jej nigdzie więc zmuszeni byli wędrować o głodzie. Lecz szli dalej z całymi rodzinami. Trzymali się mocno. Wierzyli we szczęście. I w pokój na świecie. Żyjąc w czasie pogardy do życia. Bo jak inaczej nazwać wojnę na świecie. Gdy głowy rodziny wywozili na roboty do innego kraju zdala od rodziny. Wszyscy wierzyli że kiedyś jeszcze uda im się spotkać. Zjeść obiad przy rodzinnym gronie. Gdzie na zewnątrz wiałby sobie swobodnie wiatr przy zachodzącym słońcu gdzie złoty blask odbijałby się od pól gdzie życiodajne łany unosiłyby się wysoko ku niebu.

Genetyka korzeni stworzyła grunt który stał się życiem. Od małego byłem ciekaw świata. I długodystansowych podróży nie znając jeszcze historii swoich przodków dla tego podróżuje I staram się zrozumieć ludzi czemu ludzie z którymi żyło się całe wieki nagle wbijają Ci nóż w plecy. Przykładem tego jest historia dziadka Mirosława Hermaszewskiego. Cytując jego słowa „A co wy gadacie że takie rzeczy się dzieją wokół przecież tyle lat razem żyliśmy I nic złego im nie zrobiliśmy”. Kika dni później skończył wykrwawiony na ziemi od ran klutych pozostawionych w plecach. Lecz nie wszyscy byli źli gdy młodzi nas mordowali wielu starszych ratowało nas tylko gdzie jak i kiedy należy zadać odpowiednie pytanie. Dlaczego? Czy ktoś jest w stanie mi na to odpowiedzieć?. Zadając te pytanie zemsty nie szukam. Tylko odpowiedzi I zrozumienia.

## Stąd jestem

### Seweryn Pauch

Jak poznałem „Starego Franka”? W czasach, gdy moja babcia – Barbara – posiadała jeszcze doskonałą pamięć, dowiadywałem się od niej strzępów faktów i anegdot z odległych czasów. Znając jej tendencję do koloryzowania, trudno było z tych opowieści wyłuskać prawdziwe informacje i odsiać je od konfabulacji. Za przykład niech posłuży poniższa sytuacja. Potrafiła opowiadać, jaką dokładnie sukienkę nosiła w szkole w 1939 r., ale nie pamiętała gdzie schowała wczoraj klucze od mieszkania. Szybko pojąłem dlaczego tak się działo – otóż Barbara, urodzona w 1929 r., w czasie II wojny światowej przeżywała własne dzieciństwo w traumatycznych okolicznościach, a szczegóły musiały być dla niej ważne.

Powyższą opowiastkę o sukience usłyszałem w 2003 r. Wtedy też babcia wspomniała, niejako na marginesie tej historyjki, iż „wuj Franek pisał do „Pielgrzyma”. Jaki Franek? – myślałem. Do jakiego „Pielgrzyma”? – to kolejna zagadka.

W taki oto sposób rozpoczęła się moja fascynacja Franciszkiem Nierzwickim, znanym onegdaj na Pomorzu jako „Stary Franek”.

Tragedie, które spadły na Polaków w XX wieku, siłą rzeczy, doprowadziły do wykreowania tysięcy inspirujących postaci, znanych bohaterów, czy dopiero odkrywanych – cichych herosów. Można nawet odnieść wrażenie, że XIX – wieczna walka Polaków o samostanowienie i jej uczestnicy stanęli gdzieś z dala, na boczniczy historii. Czy tak stało się z Franciszkiem Nierzwickim?

W naszej rodzinie pseudonim „Stary Franek” 20 lat temu niewiele komukolwiek mówił. Oczywiście wyjątkiem była Barbara. Wynikało to wszak z dystansu czasowego, jaki dzielił okres jego życia od wspólnej nam wszystkim teraźniejszości. Franciszek (1821-1904) był bratem Piotra Nierzwickiego, zaś ten ostatni to dziadek mojej babci Barbary. Córka Piotra, a bratanica Franka, jednocześnie mama Barbary, a moja prababcia to Monika Nierzwicka. Właśnie dzięki opowieściom Moniki, Barbara przekazała mi strzępek informacji o Franku. Całe jego życie przypadło na okres zaborów, a Franek mieszkając na Pomorzu, był poddany władców pruskich, a potem niemieckich. Wuj Franciszek spędził swój żywot we wsi Więckowy na pograniczu kociewsko - kaszubskim. Gdybym chciał określić jego pochodzenie społeczne, rzekłbym – chłopskie. Był to, jak mawia się tutaj na Kociewiu – gbur. Znaczy to tyle, co zamożny chłop, bez – dzisiejszych – negatywnych konotacji.

Franciszek Nierzwicki, jako syn chłopca Mateusza, a także osoba pozbawiona zaplecza finansowego i kontaktów, nie miał szans na zdobycie dobrego wykształcenia. Ukończył więc kilka klas miejscowej szkoły elementarnej i jak sam podkreślał wielokrotnie w pisanych przez siebie tekstach, był samoukiem. Cechowała go dogłębna religijność chrześcijańska.

W okresie powstania styczniowego zwerbował do niego 18 chłopów ze swojej okolicy. Prywatnie był ojcem piętnaściorga dzieci, z których tylko jedno przeżyło ojca. Paradoksalnie

był to ociemniały syn – Ferdynand. Już te kilka zdań powoduje, iż Franka nie można zasufladkować, wszakże oba te fakty to niebanalne „osiągnięcia”.

Jako rolnik rozumiał potrzeby zmian takich jak inwestycje i nowoczesne metody stosowane w gospodarstwie. W gazetach rolniczych, jak efemeryczny pelpliński „Rolnik” czy „Gospodarz”, pytał o kwestię bielienia domów – robić to czy też nie; innym razem dopytywał redakcję o zakładanie żywoptłów. Interesowały go więc najnowsze trendy, mające racjonalne uzasadnienie. Z drugiej strony całe życie tkwił w świecie legend, jakie usłyszał od swoich przodków. Był przekonany o wpływających na los człowieka niewidzialnych siłach, czemu dał wyraz, przekazując wiele opowieści do pracy „Kaszuby i Kociewie” autorstwa Józefa Łęgowskiego lub poruszając problem kołtuna w jednym ze swoich tekstów.

Był jednakże „Stary Franek” w ogromnej mierze dzieckiem stanu chłopskiego, z którego się wywodził. Chrześcianka opowiadała jemu o zmorze, która ją dusiła, jak zaś przyznał sam Nierzwicki: „Teraz jeszcze, co mi powiada moja chrześciance, ta mi niechce wierzyć, aby to był sen, bo powiada, że ona przecie nie spała (...)”.

Tym, co szczególnie fascynuje mnie w jego biografii jest fakt, iż bardzo dużo publikował. Choć były to wyłącznie korespondencje przesyłane do różnych gazet, to ich ilość i zasięg budzi mój największy podziw. Kilkadziesiąt tekstów napisał do „Pielgrzymy”, publikował w „Rolniku”, „Gazecie Gdańskiej”, „Gazecie Toruńskiej”, „Nadwiślaninie” czy „Gospodarzu”. Jak na niewykształconego chłopca, mieszkającego we wsi położonej gdzieś z dala od dużych ośrodków miejskich, to naprawdę niebywałe osiągnięcie.

Cechowała go ciekawość, taka zwykła ludzka, aby zobaczyć to czego dotąd nie widział. Mając ponad 60 lat - w 1885 r. - udał się z pielgrzymką do Welehradu, zaś mając 72 lata odwiedził Padwę, Loreto i Rzym. Z drugiej strony, kierowała nim chyba też potrzeba religijna, duchowa. Jak na owe czasy, dla człowieka z gminu, nie było to przedsięwzięcie łatwe. Wzbudziło zaś do tego stopnia zainteresowanie, iż nawet lokalna prasa relacjonowała, gdzie jest aktualnie „Stary Franek”.

Po śmierci księgozbiór Franciszka Nierzwickiego, wraz z licznymi rocznikami czasopism, przejął ks. Alfons Mańkowski. Na strychu chałupy „więckowskiego księdza” – jak czasem określano brata mego prapradziadka – znajdowały się czasopisma. Co można było znaleźć w jego bibliotece, wszak uchodził za osobę odczytaną i bibliofila? Skądinąd wiadomo, iż zbierał czasopisma. Gdy w 1899 r. władze pruskie przeprowadziły pod jego nieobecność rewizję biblioteki domowej, nie znalazły książek, których treść by je zaniepokoiła, ale „znaczny zbiór książek do modlitwy i rozmyślenia jako też do nauki”. Wróćmy jednak do czasopism. Wspomniany ks. A. Mańkowski, który za zgodą rodziny spożytkował owe materiały, wyliczył dużą ilość starych roczników wielu pism, które tam odnalazł, np.: „Nadwiślanina” z Chełmna za lata 1855-65, „Przyjaciela Ludu” (1860-72), „Pielgrzymy” (1869-1902), „Gońca Wielkopolskiego” (1878-1895), „Gazetę Toruńską” (1882-1886), „Gazetę Gdańską” (1891-1898), pelplińskiego „Rolnika” (1869-1870), „Gospodarza” (1871-1877) i wiele innych.

Jaki więc obraz przebija się z powyższego wątku? Miał on wielką żylkę bibliofilską, ale jak mniemam, owe wszystkie czasopisma wcześniej przeczytał. Powszechnie znany był fakt, iż Franek i jego brat Piotr, w pewnym okresie byli jedynymi osobami we wsi potrafiącymi płynnie czytać. Z tego powodu ludzie tłumnie przychodzili w niedzielę pod dom Starego Franka, aby posłuchać najnowszych wieści z prasy.

Miał wuj Nierzwicki swoje charakterystyczne powiedzenia. Nadzwyczaj często używał zwrotu: „bo ja moim chłopskim rozumem pojąć tego nie mogę”. Mawiał to wtedy, gdy jakaś kwestia nie była zgodna z jego pojmowaniem świata.

Gdy folklorysta, etnograf, historyk, czy po prostu ktoś zainteresowany zwyczajami i tradycjami ludu pomorskiego, ściślej zaś Kociewiaków, szuka stosownych informacji, nierzadko sięga po wydaną w 1892 r. książkę autorstwa Józefa Łęgowskiego. Dziełko to zatytułowane „Kaszuby i Kociewie”, opublikowane zostało pod pseudonimem Dr Nadmorski, a rozmówcy autora także występują pod pseudonimami. Wśród nich najwięcej informacji przekazał autorowi Fr. N. z W. Pod tymi inicjałami skrywał się Franciszek Nierzwicki z Więcków.

Ważne jest to, że Nierzwicki podkreślając czasem niepiśmienność mieszkańców swojej rodzinnej wsi – Więcków – spisał lub przekazał podawane przez nich opowieści. Gdyby nie on, z pewnością przepadłyby w niebyt. Pewien fragment, w którym Franek pisał o wierzeniach miejscowej ludności, pozwolił mi dowiedzieć się naprawdę dużo o własnych przodkach. Pisząc o wspomnianej zmurze, wspominał: „A w końcu opowiem, co się przytrafiło mojemu bratu, gdy był już żonaty, on z żoną spał w jednej izbie, a nieboszczka matka nasza w drugiej, on jeszcze nie spał, aż tu naraz matka zacznie głośno jęczyć, tak on zaraz bieży do matki, wołając, co wam jest? – A tak okrutnie mnie coś przywaleło, żem się ruszyć nie mogła. Ledwie mu to matka powiedziała, aż tam w drugiej izbie jęczy żona, poszedł natychmiast obudzić żonę, ledwie ona mu powiedziała, jak to było, to już znowu matka jęczy, i tak się powtarzało z jakie sześć razy, a to tak prędko, że musiał się spieszyć od jednej do drugiej, aby im niedać za długo jęczyć.” Dzięki tobie wuju za to wspomnienie. Toż moja własna prapraprababka wierzyła w zmurę!

W innym miejscu dowiedziałem się – dzięki wujowi – iż jego babka (a więc moja poczwórna prababka) wypasała bydło swego ojca niedaleko jeziora Czartówko: „Moja babusia powiadała, że kiedy jeszcze będąc dziewczęciem pasła przy tej górze bydło swego ojca, to często na tej górze bywała, więc powiadała, że tam rosły takie zioła, jak to dawniej panowie miewali w swoich sadach, a na środku to była taka dziura, to chłopcy powiązali nieraz uzdy do pospołu i wpuszczali kamień, ale nigdy gruntu nie dosięgli”.

Cóż, przewrotność losu sprawia, iż nie wiem, jak miała na imię moja odległa przodkini, ale za to jestem w stanie opowiedzieć co robiła i jakie towarzyszyły jej opowieści. I tak cofnąłem się do XVIII w.

Mamy do czynienia z postacią nietuzinkową. Franciszek Nierzwicki wszystko zawdzięczał sobie i własnej, ciężkiej pracy. Onieśmiela mnie jego wszechstronność. Był doskonałym mówcą, dzięki czemu posiadał umiejętność zjednywania sobie ludzi spoza kręgu mieszkańców własnej wsi i klasy społecznej, np. ziemianina Hiacynta Jackowskiego z Jabłowa. Jego czytanie w dziełach polskich romantyków, pracowitość, działalność – wg dzisiejszych standardów – non profit, żyłka bibliofilska, korespondencje w licznych czasopismach, ukazują postać godną szacunku.

Trudno mi wyobrazić sobie, jaki „Stary Franek” był w rzeczywistości. Wierzę jednak, że ujrzałbym człowieka renesansu.

# PÓKI MY ŻYJEMY

## Pamięci Henryki Kubajek (1928-2017)

Ilona Misztal

„Nie ma nic za darmo. Chcesz żyć – płuć” z trudem szeptała ciotka Rysia. Była wiosna 2015 roku, miała 86 lat i leżała z ciężkim zapaleniem płuc na oddziale pulmonologii szpitala w Zielonej Górze. Przez uszkodzone struny głosowe mogła posługiwać się wyłącznie szeptem.

Jedyną siostrę mojego ojca widywałam rzadko. Do Zielonej Góry, gdzie mieszkała z mężem i matką, trzeba było tłuc się pociągiem prawie 500 kilometrów. W dodatku moi rodzice mieli ze sobą na pieńku, a mama miała na pieńku również z teściową. Przez to wszystko w ciągu całego mojego dzieciństwa, tylko dwa, może trzy razy pojechałam do Zielonej Góry. W tym jeden raz z ojcem.

Było fajnie. Jeszcze zanim wsiedliśmy do pociągu okazało się, że ojciec ma wyraźną ochotę wynagradzać mi finansowo swoje ojcowskie niedociągnięcia, a ja byłam gotowa skwapliwie z tego korzystać.

Dla mnie, siedmiolatki z małego miasteczka w Polsce B, Zielona Góra była wielką metropolią. Zielonogórskie mieszkanie też wydawało mi się o niebo elegantsze niż nasze zabałaganione dwa pokoje w starej kamienicy, z wejściem przez kuchnię. Do tej kuchni ciągle ktoś wpadał i wypadał, rozmaite ciotki i sąsiadki przylatywały po to czy tamto, za każdym powitaniem i pożegnaniem chwytając mnie w objęcia mocno woniejące tym, co akurat miały w garach. A Zielona Góra pachniała Zachodem.

Babcia Maria sprawiła na mnie wrażenie dość ekscentrycznej osoby. Koło siedemdziesiątki, uznawszy, że dość się już nachodziła, postanowiła dalsze lata życia spędzić w łóżku. Od tamtej pory prawie nie wstawała, i - rozsiewając wokół siebie intensywny zapach Fitolizyny – spędzała czas wyszywając makatki i wojując ze swoim zięciem. Była dla mnie krzepiącym przykładem, że jeżeli się czegoś naprawdę chce, to trzeba to robić.

Trochę mi było szkoda lysego jak kolano wujka Mietka. Pięknie zaciągał, chociaż w inny niż babcia sposób: ona pochodziła z Turki w powiecie stanisławowskim, on był rodowitym „Wilniukiem”. W młodości bił Niemca w szeregach Armii Ludowej, a po wojnie pracował w milicji, na jakimś mętnym „stanowisku technicznym”. Z teje milicji został pod koniec lat sześćdziesiątych wyrzucony na emeryturę za ślub kościelny z ciotką i od tamtej pory wiódł beztróski żywot męża swojej żony. Wypuszczał się na grzybobrania i ryby, miał akwarium, zabawiał się metaloplastyką i doskonale gotował. Nie miałam pojęcia, dlaczego babcia nie znosi miłego wujka Mietka prawie tak mocno jak komunizmu.

Codziennie słowne przepychanki między nimi były dla mnie i ojca źródłem nieustannej, choć skrzętnie ukrywanej wesołości. Już od śniadania czekałam, co znowu wytrzasną – ta dwójka odgrywała w zielonogórskim domu role komediowe. Inaczej sprawy się miały z ciotką. Ciotka budziła mój podziw.

W tamtych kolorowych latach siedemdziesiątych była korpulentną kobietą o papuzim profilu, niewysoką, zawsze starannie ubraną i uczesaną. Pod wpływem odjechanej mody epoki zdarzało jej się wcisnąć bujne kształty w jakieś ukwiecone spodnium, ogólnie jednak preferowała styl ponadczasowy i elegancki. Solidny wizerunek sugerował, że para się poważnym i nudnym zajęciem i rzeczywiście tak było: pracowała jako główna księgowa. Wyszła za mąż w kwiecie staropanieństwa, po czterdziestce, rozczarowując tym posunięciem matkę, która stwierdziła, że ona sama „mając posiadłość” nawet by o zamążpójściu nie myślała. Była jedyną bezdzietną kobietą, jaką wtedy znałam, chodziła do kosmetyczki, dużo czytała i zabierała mnie do zielonogórskiej palmiarni. Zwracając się do mnie, używała wołacza i potrafiła kogoś żrugać w ogromnie kulturalny sposób.

Jednak w 2015, w szpitalu, nie wyglądała jak przedwojenna paniusia. Przypominała raczej zdezorientowanego ptaszka zamotanego w gniazdo z pościeli. Była ostatnią żyjącą przedstawicielką rodziny ojca, wątlym ogniwem łączącym moje pokolenie z Turką i Samborem, ostatnią, która przechowywała w pamięci skomplikowane koligacje i anegdotyczne opowieści o charakternych przodkach. Bez niej nie wiedziałam, kto z Czyżewiczów, roześlony na syna – emigranta, który w Kanadzie zmienił nazwisko, listy do przeniewierczego potomka zaczynał zawsze od: „Ty łotrze Adamsonie!”. Nie byłam w stanie przypomnieć sobie imienia ukochanego brata babci Marii, wysadzonego na froncie I wojny światowej tak dokładnie, że nie został po nim choćby strzępek odzieży. I nie pamiętałam szczegółów historii o niekonwencjonalnej krewnej – nauczycielce, która poślubiła młodszego o dziesięć lat inżyniera. Zdaje się, że związek był udany, tylko kiedy „wizytowali”, zwykła była oznajmiać, iż „przywiozła gówniarza”.

Chciałam, żeby się uspokoiła. Chciałam, żeby uwierzyła w darmowe prezenty od losu. Między nią a moim ojcem (nazywała go „Jerzykiem”) była niewielka różnica wieku, rok bez dwóch dni. Kochali się, ale ich relacje było skomplikowane. Rzadkie spotkania traktowali jak okazję do naporzania się w intelektualnym ringu: jedno drugiemu próbowało udowodnić ignorancję.

Ojciec trochę pokpiwał z jej przyziemnego zajęcia i pewnej ostrożności w życiu i poglądach. Nie rozumiał jak można dzień w dzień zajmować się przychodami i rozchodami. On kochał matematykę. I fraktale. Za pomocą komputerowej magii, która miała coś wspólnego z matematycznymi równaniami, rozmnażał te mandelbrotowskie cuderka na ekranie. Matematykę (i fraktale) postrzegał jako coś w rodzaju „opisania świata” – mnie przypominały misterna, egzotyczna roślinność wijąca się skomplikowanymi esami floresami po ramach secesyjnych luster.

Podejrzewam, że ciotka nie miała pojęcia o fraktalach. A na pewno nie przyszłoby jej do głowy myśleć o nich w kontekście losów ich rodziny: małego fraktala wojennych losów wielu polskich rodzin z Kresów.

Mój dziadek, Stanisław August, policjant, 17 września 1939 roku przedarł się na Węgry. Internowany w Obidzie, został tam pochowany po tym jak w 1943 roku zmarł na serce. Rodzinna anegdota głosi, że zgon nastąpił w trakcie gry w pokera, ale chyba nie należy jej wierzyć. Czy przegrana w karty rzeczywiście mogła nim wstrząsnąć bardziej niż nieliczne, pokreślone przez sowiecką cenzurę listy Jerzyka z zesłania w Kazachstanie, w których syn skarżył się na głód i zimno?

Wszystkie te listy przepadły, jak i cały skromny dobytek dziadka, który posiadał na Węgrzech. Zachowały się natomiast listy wysyłane przez Stanisława Augusta do żony i dzieci przebywających w kołchozie Krasnyj Oktiabr. „Listy” to zresztą za dużo powiedziane: ot, kartki rozmiarów pocztówki, bez koperty. Tyle zostało po Stanisławie: kilka niewyraźnych

zdjęć i te czarne od cenzorskich interwencji, zapisane kaligraficznym pismem karteluszeki. Kiedy po śmierci ciotki porządkowaliśmy jej mieszkanie, znalazłam publikację Uniwersytetu Zielonogórskiego z 2012 roku, zatytułowaną: „Matki Sybiraczki, losy i pamięć”. To opracowanie stricte naukowe, które na podstawie relacji świadków i uczestników tamtych wydarzeń buduje obraz losów polskich kobiet i dzieci zesłanych w głąb ZSRS podczas II wojny światowej. Skromną książeczkę otworzyłam bez szczególnych emocji, przerzucałam strony czytając na chybił trafił relacje, jakich mogłam się spodziewać: o ciężkich warunkach, głodzie, chorobach i umieraniu.

I nagle jakieś jedno słowo, jeden obraz otworzyły śluzy międzypokoleniowej pamięci i widziałam już nie opisywaną przy pomocy liczb i historycznych faktów masową wywózkę, ale drewniany domek w Turce i bandę „kałmuków” w środku kwietniowej nocy walących karabinami w drzwi. I „kpiatok” - wrzątek wydawany w pociągu, który wiozł Marię, Jerzyka i Rysię w nieznaną. Rudolfa, dwulatka krzyczącego o nocniczek, ponieważ bał się załatwić do dziury w podłodze wagonu. I jak Jerzyk i Rysia razem płakali, kiedy on zjadł swoją i jej kromkę chleba, zapłatę za dzień pracy obojga. Tyfus i pobyt w radzieckim szpitalu, który Jerzykowi wydał się istnym rajem: trzy posiłki dziennie i prawdziwe łóżko, co prawda dzielone z innym chorym, ale czyste. To ich przeżycia, ich wspomnienia, ale - osiadłe w mieliznach pamięci genetycznej – do dziś wpływają na kształt moich lęków.

Marii się poszczęśliło. Wrócili - chodzące trupy w zawieszonych strojach uszytych z UNNR-owskich koców, dzieciom z niedożywienia chwiałały się wszystkie zęby, Rysia przestała rosnąć – ale żywi i w komplecie. Tyle tylko, że już nie do domu.

W Zielonej Górze, dokąd ich (znowu) przesiedlono, szukali kamienicy z porządną bramą, żeby nie dali jej rady wyważyć pijani Rusczy żołdaci. W akcie „łaskawości” ludowa ojczyzna przydzieliła im mieszkanie komunalne, do którego dokwaterowano wojskowego natychmiast po wyjeździe Jerzyka na studia.

Zyli biednie: Maria nie mogła utrzymać się w żadnej pracy, a po przedwojennych policjantach, „sługusach sanacji”, renta się nie należała. Rysia i Jerzyk świetnie się uczyli – niestety, bo matka musiała wybrać, które z nich pójdzie na studia. Nauczyciel z przyspieszonych kursów licealnych radził wysłać syna, a „dziewczynę szybko wydać za mąż”. Rysia z bijącym sercem podsłuchiwała pod drzwiami jak ktoś rozstrzyga o jej przyszłości. Postanowiła, że da sobie radę.

W kwestionariuszu na studia, w rubryce „zawód ojca”, Jerzyk wpisał „urzędnik państwowy”.

Rysia po maturze poszła do pracy. Utrzymywała matkę i brata. Doksztalała się i awansowała. Długo nie wychodziła za mąż. Nie miała dzieci. Latami wysyłała pocztą swojemu Jerzykowi starannie zapakowane ciasta domowej roboty.

Przetrwała koniec świata. Żyła jak mogła najlepiej. I pamiętała.

Wtedy, w szpitalu, udało mi się ją uspokoić. Z szufladki stolika nocnego wyciągnęłam legitymację kombatancką – Jeżeli ktoś zażąda od cioci zapłaty, proszę mu to pokazać – powiedziałam – i powiedzieć, że wszystko jest już zapłacone.

Rysia umarła w listopadzie 2017 roku. W grudniu urodziły się Hania i Wiktoria, dwie z szczęściu (jak dotąd) praprawnuczek Stanisława Augusta.

Na obidzkim cmentarzu, na jego grobie umieściliśmy napis: „Tutaj zostałeś, w nas przetrwałeś”.



137.

# Stąd jestem

Weronika Mizera

-

138.

## Stąd jestem

Oliwia Nagalska



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Czego dobrocią nie zarobisz, tego złością nie wskórasz

Julia Wolny

Mój dziadek jest najważniejszą osobą w moim życiu. Był dla mnie zawsze. Gdy przyjeżdżałam do niego podczas dyżurów mojej mamy, często dzielił się ze mną swoimi historiami. Historiami, często przykrymi jak i podnoszącymi na sercu. Jest on moim wzorem i uważam, że o jego dobroci i honorowości powinno dowiedzieć się więcej osób.

Jerzy Wolny, urodzony w 1939 roku 7 lipca, w jakże strasznym obliczu wojny. Wychowywał się wraz z trzema siostrami. To one uczyły go mówić, czytać i pisać, gdy kraj walczył o niepodległość. Żył on na wsi, jednak widok żołnierzy go nie ominął. Zdarzały się sytuacje gdy dawał im kromkę chleba by móc postrzelać z broni. Wkrótce poszedł on do podstawówki. Mieściła się ona na wsi. Poziom edukacji nie był wysoki, jednak dziadek na świadectwie miał same piątki.

Gdy nadszedł czas zmiany szkoły, przeprowadził się do liceum, tym razem w mieście. Czekало go tam brutalne zderzenie z rzeczywistością. Wyśmiewano go na lekcjach języka polskiego z powodu jego gwary. Okazało się również, że podstawówka nie przygotowała go odpowiednio do dalszej edukacji. Poziom tych dwóch szkół znacznie się od siebie różnił. Wówczas piątki zaczęły się zmieniać w czwórki by ostatecznie otrzymać świadectwo z dwójkami. Oprócz nękania ze strony uczniów, borykał się również z nauczycielami. Szczególnie z kobietą uczącą rosyjskiego. Sposób w który traktowała mojego dziadka, odbiegał od tego z innymi uczniami. Po dwóch latach stwierdził, iż nie może on żyć w ciągłej obawie o jutro. Zdecydował się na zmianę szkoły co wkrótce okazało się być najlepszą decyzją.

Poznał on nowych kolegów, którzy prędko okazali się najlepszymi przyjaciółmi. Uczyły go osoby, które potrafiły szanować uczniów. Zrozumiał wtedy, że do dobrej nauki nie potrzeba rygorystycznych zasad czy wręcz przemocy psychicznej. W ten sposób z „najgłupszego” ucznia, stał się jednym z najlepszych w liceum.

Skończył szkołę i zdecydował się na pójście na politechnikę, wybierając kierunek chemiczny. Szło mu świetnie. Uwielbiał chemie i dobrze sobie radził. Jednak wszystko co dobre szybko się kończy. Zachorował na szkarlatynę. Trafił do szpitala gdzie zwalczył chorobę. Wychodząc musiał wsiąść do autobusu, jednak okazało się że brakuje mu 20 groszy na bilet. Mój dziadek będąc osobą bardzo wstydliwą, nie miał odwagi prosić nikogo o tak drobną sumę. Wracał więc wycieńczony chorobą pięć kilometrów do domu. Powrót na studia okazał się być ciężki. Nic nie rozumiał. Zdecydował się więc na zmianę kierunku, co zmieniło zmieniło jego życie o 180 stopni.

Został nauczycielem fizyki. Kochał tę dziedzinę jeszcze bardziej niż chemie. Został nauczycielem w liceum. Stwierdził, że nie dopuści aby inni uczniowie przeżywali to samo co

on w szkole średniej. Pasją do fizyki zaraził swoich podopiecznych. Jednak pensja nauczyciela często nie wystarczała. Musiał pracować na dwa etaty, łapać się prac dorywczych i udzielać korepetycji.

Zdecydował się pójść na kurs przygotowawczy do roli opiekuna na obozach harcerskich. Gdzie poznał piękną i inteligentną Zofię. Pisali do siebie listy, które wkrótce zmieniły się w spotkania a następnie w oświadczyły. Wzięli ślub i mieli dwójkę dzieci – Agatę i Tomka. Jednak duża rodzina niesie za sobą większe koszty. I tak mój dziadek odkrył w sobie pasję. Było nią pisanie. Pisał artykuły naukowe, które odnosiły sukcesy i publikowane były w gazetach. Stworzył książki z pomocami naukowymi i zadaniami z fizyki. Jednak w przypadku jednej z nich okazał się być problem, a mowa tutaj o książce “440 testów z fizyki dla uczniów szkół średnich”.

Natrafił on na wydawcę z początku charyzmatycznego i życzliwego, który zaoferował dziadkowi tysiąc złotych za jego dzieło. Oferta była zabawna, jednak zmartwiony brakiem chętnych zaakceptował ją. Tuż przed podpisaniem umowy dostał drugą propozycję. Znacznie lepszą. Mowa była o 40 tys. złotych. Jednak przed opowiedzeniem dalszej historii jest fakt o którym muszę wspomnieć.

Mój dziadek jest osobą na domiar inteligentną. Wiedział, że powinien zaakceptować drugą propozycję. Jednak, nie potrafił on walczyć o swe dobro. Od dzieciństwa był skromny i niepewny siebie. Wychowany został w poczuciu, iż słowa należy dotrzymywać, niezależnie od danej sytuacji. Jego altruizm był nie do opisania. Przez te wszystkie cechy stał się osobą, którą łatwo można wykorzystać. Jednak nie przeszkadzało mu to. Liczył, że jego dobroć zostanie kiedyś wynagrodzona. Zatem zaakceptował gorszą ofertę. Książka została wydana i cieszyła się powodzeniem głównie u nauczycieli. Niestety nie jest już dostępna w sprzedaży.

Jednak przyszedł moment gdzie jego starania zostały docenione. Warszawa 14 października rozdzianie Krzyżów Kawalerskich. Pod koniec swej kariery został wybrany spośród 8 tys kandydatów na najlepszego nauczyciela z województwa Bielskiego. Wielkie uznanie dostał za swoje artykuły i książki, te które wcześniej zdecydował się tak tanio sprzedać.

Dzisiaj żyje w Babicach, wraz z moją babcią Zosią. Mają małą działkę gdzie sadzą kwiaty i warzywa. Miejsce gdzie mogą odpocząć. Chodzą na ryby, spacerują. Spotykają się z rodziną. Wiodą spokojne życie w niedużym miasteczku i są szczęśliwi.

Coś co wyróżnia mojego dziadka to jego dobroć. Cecha na którą niewiele ludzi jest w stanie się zdobyć. Cecha która niby każdy posiada i którą każdy się chwali, jednak gdy przestaje być opłacalna nagle jest zapomniana. Jednak ciężko się temu dziwić, gdyż każdy ma jakieś priorytety. Jakiś cel do którego dąży latami. Dla niektórych jest to bogactwo, dla innych rodzina, jednak dosyć rzadko słyszy się od ludzi, że chcą być po prostu dobrym człowiekiem. Myślę, że wiele osób oślepią pogoń za sukcesem. Chęć zarabiania dużej ilości pieniędzy i nie zwracając uwagi na skutki swych działań. Nie patrząc na osoby, które zranili, bo pod koniec dnia stwierdzą, iż wszystko da się załatwić pieniędzmi. Pisze to aby ludzie wiedzieli, że do szczęścia nie potrzeba wielkiego domu czy wyścigowych aut. Jeśli jest się po prostu dobrym, wszystko się samo ułoży. Oczywiście, będą zdarzały się wzloty i upadki, jednak gdy twoja wnuczka zadzwoni do ciebie z prośbą o opowiedzeniu jej o swoim życiu, zrozumiesz, że nie masz sobie nic do zarzucenia. Bo byłeś dobrym człowiekiem.

## Nas by nie było...

**Agnieszka Szpilarewicz-Skrzypska**

My, potomkowie naszych przodków, żyjący w przyszłości tych, którzy doświadczyli wojennej traumy...

Gdyby nie ta potworna karta w historii: wojna, selekcje, czystki, strach, pragnienie życia, zbieg zdarzeń czy przeznaczenie, nie byłoby mojego taty, siostry, mnie, naszych dzieci. Nie byłoby nas, a dziadek nie poznałby babci, bo jak, po co? Skoro Maria z Białegostoku – żona i matka, a Stanisław z Łyśca spod Stanisławowa – mąż, ojciec? No i tak trwam w bycie, a ze mną te wszystkie tajemnice, niedopowiedzenia międzypokoleniowe, wzrastanie będąc nieświadomą powagi wspomnień, częściowego pochodzenia, historii rodziny. Szansa przeminęła, już za późno...

Zawsze czułam dużą więź z moim dziadkiem. Miałam 19 lat, gdy odszedł na wieczny i – miejmy nadzieję – spokojny spoczynek. Do końca lubiłam się do niego przytulać. Siadałam obok, kładłam głowę na jego ramieniu, mimo że gilgotały mnie jego długie do ramion włosy. Czasami przyglądałam się dziadka twarzy, zwłaszcza z profilu. Przypominał mi zadumanego Indianina. Czuję dotyk jego potężnych dłoni, do których przymierzałam swoje, gładkie i filigranowe. Cieszyłam się, że przy wnuczkach mięknie mu głos, a oczy i usta się uśmiechają. Lubiałam słuchać jego śpiewu, zdecydowanego, mocnego męskiego głosu. Czułam jego miłość i wiedziałam, że lubi z nami, swoją rodziną, spędzać czas. Myślałam, że będzie żyć wiecznie, pozna mojego męża i dzieci. Jakże byłam jeszcze naiwna, tak marząc na jawie. Przecież urodził się w 1908 roku, a ja 70 lat później...

Dziadek bardzo mało opowiadał o przeszłości. Śmiałam się i powtarzałam, że kiedyś napiszemy książkę o jego życiu, ale tak naprawdę nie pamiętam nic, oprócz szczątkowych fragmentów, pojedynczych słów, powtarzanych z charakterystycznym dla miejsca pochodzenia akcentem: sabaka, UPA, częste używanie litery „P” w miejscu „I”, i tak dalej. Wpuszczałam wszystko jednym uchem, a drugim ulatywało. Może dlatego, że temat był szybko zmieniamy na terazniejszy, nikomu nie wadzący?

Od taty zawsze słyszałam, że nie wie zbyt wiele, bo dziadek od razu się denerwował, gdy o cokolwiek go pytał. Nie chciał wracać do przykrych wspomnień. Faktycznie, nie raz widziałam dziadkowe pochmurne oczy i twarz przesiąkniętą bólem, złością, żalem czy strachem. Nie wystarczyło mu odwagi, by się skonfrontować z przeszłością. Kiedy „odpływał” w nieznane, „zawieszał się” między rzeczywistością a wspomnieniami, popadając w zadumę, melancholie lub traumę, wówczas obiecywałam mu, że kiedyś tam pojedę i zobaczę tę bogatą krainę, żyzną ziemię, wspaniałe okolice i najpiękniejsze pejzaże na świecie. Obiecałam również, że zostawię po ślubie nazwisko rodowe.

Nie ma dziadka fizycznie między nami od 26 lat, myślę jednak o nim prawie codziennie. Czuję się zawieszona pomiędzy przeszłością bliskiego memu sercu przodka oraz złożoną obietnicą, a teraźniejszością. Jestem duszą odległą od tamtych wydarzeń, a jednak istotą

przepelnioną dziwnymi, nie dającymi się wytłumaczyć emocjami, intuicyjnie odczuwającą swoją powinność. Czemu akurat ja, a nikt inny z rodziny? Nie wiedząc zupełnie, jak przygotować się do takiej podróży – nie tylko geograficznej, lecz także emocjonalnej, w głąb samej siebie – słuchając zniechęcających słów: „zostaw to, nie draż, tam jest niebezpiecznie”, wycofuję się w stan niemocy i nic nie robienia w kierunku realizacji tego co nieuniknione.

Podobno uciekał tak, jak stał, bo inaczej zostałby ofiarą „etnicznej czystki”, a nas by nie było... Podobno miał dzieci; na pewno miał żonę Ukrainkę, a z moją babcią, wdową, żył bez ślubu. Babcia straciła męża i synka w trakcie wojny, a z dziadkiem poznali się już po niej. Tata urodził się w 1949 roku. Babcia i dziadek wychowywali wspólnie czterech synów, ale tylko mój tata był potomkiem dziadka. Co z dziećmi z Ukrainy, co z żoną Ukrainką? Nie wiemy, trwamy „bez wiedzy o przeszłości”.

W 1995 roku pojechałam z dziadkiem do Gliwic, do Kościoła św. Trójcy. W świątyni znajduje się obraz Matki Bożej Łysieckiej. Z dworca kolejowego kierowaliśmy się w stronę kościoła, ale troszkę zboczyliśmy z trasy i zabłądziliśmy. Widziałam napięcie na dziadka twarzy, prawie się do mnie nie odzywał – dlatego tak się ucieszyłam, gdy na horyzoncie wyłonił się kościół, cel naszej wyprawy. Przed świątynią, jak i wewnątrz, znajdowały się grupki przyjezdnych, podekscytowanych starszych osób. Nie wiem, dlaczego, ale pamiętam samych mężczyzn. Pomodliliśmy się, dziadek był bardzo wzruszony i chciał jak najszybciej opuścić świątynię. Myślałam, że poczekamy do rozpoczęcia uroczystości na zewnątrz.

Przed kościołem zaczęła nas grupka starszków. Panowie zaczęli wypytywać dziadka, którym jest Szpilarewiczem. Wspominali domy, płoty, uliczki. Dziadek był coraz bardziej poruszony i zdawało mi się, że zaniepokojony. Kiedy zgromadzeni doszli do porozumienia, kto jest kim, który od stolarza, piekarza czy kowala, opowiadając jakieś anegdoty ze wspólnej młodości, wypowiadając imię dziadka w zdrobnieniu, tenże właśnie Staszek postanowił, że wracamy na dworzec... Nic nie dały namowy obcych-znajomych, przekonywanie, aby poczekał na mszę, dalsze rozmowy, bo przecież po to tu przyjechał...

Mój kochany dziadziuś, chłop jak dąb, z orlim nosem, twarzą zadumanego Indianina, stojący na korytarzu w pociągu całą drogę z Gdańska do Częstochowy (z braku miejsca, które zwolniło się dopiero w Częstochowie), nieskarżący się na zmęczenie, pracujący do końca życia w swoim warsztacie stolarskim, poddał się... Może uciekał? Nie wiem. Nigdy go o to nie zapytałam, bo bałam się odpowiedzi lub jej braku.

Lubiłam z nim rozmawiać, a na spisanie wspomnień naiwnie myślałam, że zawsze będzie czas... Tymczasem Stanisław któregoś pięknego czerwcowego dnia, gdy go odwiedziłam, dostał przy mnie wylewu. Z normalnie witającego się z wnuczką dziadka, po paru minutach stał się zupełnie bezradnym mężczyzną. Wypowiadał słowa dla mnie niezrozumiałe, w języku ukraińskim. Mózg cofnął się w czasoprzestrzeni i zapomniał języka polskiego. W pierwszej chwili pomyślałam, że się wygłupia, ale gdy zrozumiałam, że coś jest nie tak, że być może już nigdy nie porozmawiamy, wiedziałam że straciłam swoją szansę na poznanie przeszłości i prawdy. Dziadziuś próbował nam coś jeszcze powiedzieć, będąc w szpitalu i patrząc nam prosto w oczy. Ruszał niemo ustami, a jego rodzina go nie rozumiała. Odszedł 2 lipca 1997 roku w wieku 89 lat, 10 lat po babci, przeżywszy dwie Wojny Światowe, zabierając swoje – i jednocześnie nasze, choć nam obce – tajemnice do grobu.

## Gumy w blistrze

Karolina Skrzypka

Gdy w szkole proszono nas o napisanie albo opowiedzenie czegoś o którymś z członków naszej rodziny, zawsze wybierałam babcię – głównie dlatego, że nie żyła, a ja wyhodowałam w sobie głębokie przywiązanie do niej, choć tak naprawdę nie zdążyłyśmy się do końca poznać, bo odeszła, gdy miałam zaledwie 8 lat. Słowo „odeszła” może sugerować, że pewnego dnia po prostu spakowała się w jedną z tych swoich dużych, brązowych torebek z szeleszczącej imitacji skóry i wyszła, opuszczając mnie, moich rodziców i dziadka i idąc, gdzie ją nogi poniosą. Prawda zaś rysuje się całkowicie inaczej – babcia umarła w szpitalu na Zaspie, w jednym z wielu pokoi, na jednym z wielu łóżek. W tym samym szpitalu, w którym ja wydałam swój pierwszy oddech, ona oddała swój ostatni.

Odwiedzałam ją tam podobno wielokrotnie, choć ja z tych wizyt pamiętam tylko szerokie korytarze i porozrzucane gdzieś wózek inwalidzkie. Mama zwykła mówić, że to dobrze, że nie pamiętam babci z jej ostatnich chwil, gdy była już słaba i smutna. Wyjątkowo cieszyło ją to, że chociaż w moich wspomnieniach babcia pozostawała żywa i kolorowa.

Jednym z moich pierwszych wspomnień z babcią było chodzenie z nią na zakupy spożywcze, bo zawsze kupowała mi rzeczy, które rodzice za każdym razem wyraźnie zabraniali jej kupować; były to w większości słodczyce, ale raz na jakiś czas trafiały się także i moje ukochane gumy do żucia, te w kształcie kulek, sprzedawane w blistrze. Kupowałyśmy je w sklepiku na rogu, tam, gdzie znajduje się teraz jakiś inny sklepik – ale to już nie jest nasz sklepik i już tam nie bywam.

Babcia zawsze mówiła rodzicom, że ona to jest po to, żeby mnie rozpieszczać, a nie żeby słuchać ich zrzędzenia.

Prawda jest taka, że była sercem naszej rodziny, a przynajmniej tej połowy od strony mojego taty, co stało się bardzo wyraźne po jej śmierci. Wujek dosyć szybko przestał dzwonić i nie kojarzę, żebyśmy spędzili razem jeszcze jakiejkolwiek święta. Parę lat później dziadek dowiedział się od kogoś przypadkowo, że wujek i ciocia się rozwiedli. Do dziś nie jestem w stanie zrozumieć, jak można tak całkowicie odciąć się od swojego własnego ojca i brata, bez żadnego konkretnego powodu. Myślę, że gdyby babcia żyła, to by na to nie pozwoliła.

Razem z moją kuzynką miałyśmy u babci całą skrzynię zabawek. Na co dzień skrzynia miała swoje miejsce w szafie, ale gdy przychodziła któraś z nas (a zazwyczaj pojawiałyśmy się w tym samym czasie), to od razu zostawała wywleczona na zewnątrz, a jej zawartość rozniesiona po całym pokoju. Moją ulubioną zabawką było zdecydowanie różowe auto Barbie, w którym to sadzałyśmy nasze lalki i udawałyśmy, że jeżdżą po mieście i słuchają muzyki tak głośno, że słychać ją na całym świecie. Pamiętam, że raz bawiłyśmy się w mniejszym pokoju właśnie tym autem (kuzynka chciała, żeby to Barbie prowadziła, ale ja uparcie wciskałam na przednie siedzenie jedną z lalek Bratz), gdy mój tata zawołał nas do salonu, gdzie przy stole siedzieli wszyscy

dorośli. Babcia była wtedy w trakcie kolejnej chemioterapii, co skutkowało tym, że nie miała na głowie żadnych włosów, ale tamtego dnia ubrała nową perukę, ładną podobną do jej naturalnej fryzury. Kiedy stanęliśmy w progu pomieszczenia, mojej kuzynce aż zaświeciły się oczy, po czym wykrzyknęła: „Wow, babcia, tak szybko urosły ci włosy?!”.

Tata powiedział mi i mojemu bratu o śmierci babci w naszym wspólnym pokoju, tuż po obiedzie. Bardzo płakałam, ale nie pamiętam, co dokładnie czułam. Jako ośmiolatka odczuwałam już masę różnych emocji, ale miałam ogromny problem z nazywaniem ich. Nie lubiłam płakać, bo płkanie przychodziło mi z ogromną łatwością, co ludzie z zasady uznawali za słabość, a ja nie chciałam być słaba – wtedy jednak pozwoliłam sobie na ten upust emocji w postaci łez lejących się z kącików moich oczu. Nie pamiętam reakcji mojego brata, ale jestem pewna, że tata płakał razem ze mną.

Na pogrzeb nie poszłam. Podobno dla mojego własnego dobra.

Gdy dotarło do mnie, że już nigdy więcej nie porozmawiam z babcią o niczym, bo babci zwyczajnie już nie ma (a przynajmniej nie w formie fizycznej), zaczęłam rozpaczliwie chwytac się wszystkiego, co mogłam, by zatrzymać ją choć przez chwilę tu, na dole, co w moim wypadku polegało na wypytywaniu o nią dziadka i tatę. W ten sposób dowiedziałam się, że babcia przez sporą część życia była smutna, ale potem pojawiliśmy się my, i smutek trochę się zmniejszył. Czasem zastanawiam się, czy odziedziczyłam swój smutek właśnie po niej i czy to oznacza, że gdzieś w sobie mam też ukrytą odziedziczoną po niej odwagę.

Paląc pierwszego papierosa w życiu, myślałam o babci. Każdy wiedział, że babcia pali, w rodzinie uwielbiano o tym mówić – szczególnie, gdy po pierwszej chemii nie przestała i wszyscy byli na nią za to bardzo źli. Mimo to nie pamiętam, aby kiedykolwiek paliła bezpośrednio przy mnie; ze mną chodziła na słoneczne spacerki i jadła słodkie lody na patyku. W moich wspomnieniach z babcią nie ma dymu, a mimo to, widząc go tamtego wieczoru, pomyślałam właśnie o niej.

Zdaję sobie sprawę z tego, że mój obraz babci nie jest pełnym obrazem jej osoby – dostałam ją w końcu na dosyć krótko i ta wersja, którą mam w głowie, to wersja babci zakochanej w swojej małej wnusi i robiącej wszystko, by ta lubiła spędzać z nią. Nigdy się nie dowiem, czy polubiłaby w ogóle tą mnie, którą się stałam na przestrzeni lat. Co powiedziałyby na moje tatuaże? Co by sądziła o moich poglądach? Czy głosowałybyśmy na te same osoby w wyborach? Czy robiłaby mi wegetariańskie obiady, czy kazała „przestać wymyślać”?

W mojej głowie babcia jest odważna, zabawna, niezależna i głośno mówi, co myśli. Gdy odwiedzam ją na cmentarzu, zawsze zwierzam się z tego, co się aktualnie dzieje w moim życiu i liczę na to, że ona gdzieś tam słucha i się uśmiecha. W końcu opowiadam jej o tym, że aspiruję, by być jak ona.

Mam nadzieję, że tam, gdzie babcia teraz jest, ma ona swój własny sklepik na rogu i wieczny zapas gum do żucia w blistrze.



# Tadeusz Himowski – starszy brat mojego dziadka

Daria Wilczyńska-Zięba

„Kto nie słucha ojca i matki, słucha psiej skóry” – takie słowa zamieścił w swym liście do rodziny dwudziestojednoletni Tadeusz wiedząc, że już nigdy nie wróci do domu.

## **POLSKA**

Tadeusz Himowski urodził się 6 sierpnia 1921 roku w Łazach w otoczeniu pięknej, jurajskiej przyrody. Jego rodzice, czyli moi pradziadkowie, to Józef Himowski urodzony w Kromołowie w 1896 roku i Anna Kruszyńska, rocznik 1903, urodzona w Małoszycach. Zaledwie siedemnastoletnia Anna i siedem lat starszy Józef pobrali się w październiku 1920 roku. Na zdjęciu ślubnym Józef z prababką Anną wydają się być tacy szczęśliwi. Nie wiedzą jeszcze, że przyjdzie im się szybko rozstać, a dalsze życie rodziny będzie obfitować w tragiczne wydarzenia.

Krótko po ślubie w 1924 roku wyemigrowała do Francji wraz z mężem i pierworodnym synem Waleria, siostra Józefa. Z przekazów rodzinnych wiem, że on sam również starał się o pozwolenie na wyjazd. Przeszkodą przy podjęciu fizycznej pracy za granicą stał się dla urzędu emigracyjnego w Mysłowicach... żyłak znaleziony na nodze mojego pradziadka. Gdyby Józef dostał pozwolenie na wyjazd, ich historia rodzinna, historia mojego dziadka, jego brata Tadeusza, o którym tu mowa, czy wreszcie moja własna potoczyłyby się zupełnie inaczej. Nie dowiemy się już, czy lepiej, czy też gorzej.

Pozostając w Polsce, Józef z Anną doczekali się dwóch synów. W 1921 roku urodził się Tadeusz, a w 1923 Kazimierz - mój dziadek. Obydwaj urodzili się w Łazach. Nie wiem, w którym roku dokładnie Józef z rodziną przeniósł się do Sosnowca, by podjąć tutaj pracę. Wydaje się, że rodzina Himowskich mieszkała w Zagórzcu, dzielnicy Sosnowca, mniej więcej od początku lat trzydziestych. Zachowały się szkolne zdjęcia mojego dziadka z roku 1933, które to potwierdzają. Po trwającym osiemnaście lat małżeństwie pradziadek Józef umiera w 1938 roku mając jedynie 42 lata. Był mroźny styczeń, a powodem śmierci była podobno przeziębiona, powikłana grypa. Fakt zgonu odnotowano w miesięczniku informacyjnym „Wiadomości Parafialne” (2 luty 1938, Zagórze). Od tego momentu moja prababka Anna będzie wiodła trudne życie młodej trzydziestopięcioletniej wdowy z dwoma dorastającymi synami. Nie wie jeszcze, że za pięć lat los po raz drugi okrutnie ją doświadczy.

Tymczasem zbliża się wojna. Pradziadek Józef jej nie doczekał, ale jego synowie jak najbardziej. Są młodzi i nie chcą się bezradnie przyglądać temu, co dzieje się w naszym kraju z winy okupanta. W rodzinie zaistniał ponoć spór o to, czy Tadeusz ma wyjechać do Niemiec. Podobno z tego powodu jego matka Anna pokłóciła się na zawsze z bratem swojego zmarłego męża Leonem. Rodzinne właśnie nie powstrzymały Tadeusza przed taką decyzją. Choć może nie była to jego własna decyzja i Tadeusz został z Polski wywieziony.

Z dokumentów niemieckich Archiwum Miejskiego w Norymberdze wynika jedynie, że od 14 września 1940 Tadeusz przebywa już w Niemczech...

## NIEMCY

Ten list był w domu odkąd pamiętam. Przejęłam go jak cenną relikwię, odkąd zaczęłam interesować się genealogią mojej rodziny w roku 2008. Mając niewiele informacji wynikających z tego listu i kilka zdjęć postanowiłam w możliwie kompletny sposób zrekonstruować wojenne dzieje Tadeusza. Pamiętam, że gdy byłam w szkole podstawowej, dziadek opowiadał mi, że jego brat został powieszony przez Niemców. To nie była prawda, jak się później okazało. Tadeusz został ścięty na gilotynie w monachijskim więzieniu. Jak do tego doszło?

Losy Tadeusza pozostały na zawsze związane z dwoma niemieckimi miastami: Norymbergą i Monachium. Norymberga to miejsce zamieszkania i pobyt w obozie dla Polaków przy ulicy Finkenbrunn 32. Ponadto jakieś zawirowania zdrowotne, praca w fabryce Siemens-Schuckert-Werke AG jako strugacz lub operator tokarki i w końcu krótki pobyt w więzieniu policyjnym w sierpniu 1942 roku. W obozie i w pracy Tadeusz przebywa z innymi Polakami. Z dokumentów wynika, że jest sabotażystą w wadliwy sposób montującym części niemieckiego uzbrojenia. I jest obserwowany... Czy przeczuwa, co może go spotkać w wyniku jego działań? Jest młody, idealistyczny i zdolny do poświęceń.

Z listu wiemy, że szpiegują go polscy koledzy i wydają w końcu na śmierć. Być może obiecano im dodatkową kartkę na chleb. Tak czy inaczej w imię najbardziej pierwotnych instynktów nie mają skrupułów, aby tak postąpić. Wyrokiem Sądu Specjalnego w Norymberdze z dnia 01.03.1943 r. Tadeusz zostaje skazany na karę śmierci. Po wydaniu wyroku, od 17 marca do 25 czerwca brat jego dziadka przebywa w więzieniu penitencjarnym Stadelheim w Monachium, aż do swojego tragicznego końca.

Tę misterną układankę faktów i skrawków zdarzeń udało mi się ustalić dawno temu, gdy niemieckie Archiwum w Arolsen dysponowało jedynie tradycyjnymi metodami korespondencji i przesyłania dokumentów. Pamiętam, że płynęły mi łzy, gdy otrzymałam kopertę formatu A4 z dokumentami z Niemiec. Dzięki skrupulatnym, niemieckim zapiskom dowiedziałam się, że Tadeusz został stracony 25 czerwca 1943 roku o godzinie 18.13. Cóż za precyzja w datowaniu! Mój dziadek, brat Tadeusza, nie żył już od 1988 roku, podobnie jak ich mama, a tak bardzo chciałabym móc im wtedy pokazać te dokumenty. Oglądaliśmy je razem z moim mężem, moją mamą i bratem – nazwisko Tadeusza na dwudziestu stronach, wśród innych osób wielu narodowości, którzy podzielili jego los.

Po odmownej decyzji odnośnie ułaskawienia, 25 czerwca 1943 roku, wczesnym, być może ciepłym wieczorem gładkie ostrze monachijskiej gilotyny zakończyło marzenia mojego przodka o wolnej Polsce. To znaczy, on tego nie doczekał, nie dane mu było również być mężem i ojcem. Ale wypełnił swoją młodzieńczą, idealistyczną misję. Zrobił, co uważał za słuszne. Podobnie jak troje członków antyfaszystowskiej organizacji Biała Róża. Rodzeństwo Hans i Sophie Scholl oraz ich kolega Christoph Probst potępili zbrodnie na Żydach i Polakach. Zostali osądzeni w pokazowym procesie i skazani na śmierć. Ścięto ich na tej samej gilotynie w więzieniu Stadelheim, cztery miesiące wcześniej.

Młodość, pragnienie równości i wolności – to połączyło polską i niemiecką, antyfaszystowską młodzież. Są też pewne różnice absolutnie niezależne od nich. Rodzeństwo Scholl posiada miejsce pochówku na Cmentarzu w Perlacher Forst. Są tam również pochowani Polacy, między innymi dziewięćdziesięciu trzech straconych w monachijskim więzieniu. Tadeusz nie

ma tam grobu, ponieważ zdecydowano, że jego młode, zdrowe, wysokie ciało będzie idealnym materiałem do badań anatomicznych. Jeszcze nie wybrałam się do Niemiec, ale gdybym chciała zapalić gdzieś znicz, to oprócz więzienia Stadelheim, powinnam się udać do Instytutu Anatomicznego w Erlangen. Tam właśnie trafił Tadeusz po swojej śmierci. To jeden z uniwersyteckich ośrodków, z którym monachijskie więzienie miało podpisaną umowę o przekazywaniu zwłok osób w nim straconych. Co ciekawe, zgodnie z niemieckim „Ordnung” instytut przyjmujący ciała do badań musiał mieć wyposażenie sali sekcyjnej zgodne z zapotrzebowaniem więzienia wysyłającego ciała. Porządek ponad wszystko.

Tadeusz bardzo kochał swoją matkę. W liście zamieścił takie słowa skierowane do swojego brata: „Kaziku! Ty nie zasmucaj serca, każde słowo Mamusi niech będzie dla Ciebie rozkazem wojskowym, usłuchnij brata. „Kto nie słucha ojca i matki, słucha psiej skóry”. Ty nie zapomnij, przyrzeknij przed obrazem Naj. Marii Panny to o co Cię Twój brat w ostatnich słowach swych gorąco błaga i prosi, nie opuść Mamusi do starszego wieku, pracuj i zastąp osłode i bądź jedyną pociechą dla naszej pełnej słodczy Lekarcki i troskliwej Opiekunki.” Mój dziadek wypełnił sumiennie ostatnią wolę swojego brata. Pielęgnował moją prababkę w chorobie przez osiem miesięcy, nie wiedząc, że sam jest już śmiertelnie chory. Obydwoje zmarli w 1988 roku.

Postać Tadeusza, którego nie dane mi było poznać, wywarła na mnie spore wrażenie. Tak młody wiek i tak straszny koniec bardzo działają na moją wyobraźnię. Staralam się domknąć jego historię i wypełnić ją faktami, które udało mi się ustalić. Myślę, że dziadek Kazimierz byłby dumny z rezultatu moich poszukiwań.

Ostatnio jeszcze jedna rzecz jest dla mnie zastanawiająca. Poznając psychogenealogię i teorię podświadomych przekazów transgeneracyjnych dotarło do mnie, dlaczego tak bardzo nie lubię i boję się wszelkich ostrzy. Wierzę, że to strach mojego przodka zapisany w nieświadomy sposób również w moim ciele. Z kolei brat i bratanek Tadeusza zmarli na choroby nowotworowe zlokalizowane w okolicy gardła i krtani. Psychogenealogia mówi w takim przypadku o lojalności rodowej. „Będę taki jak Ty”. Tak jak Ty stracę w końcu życiodajny oddech...

Tadeuszu, mam nadzieję, że uszanowałam Twoją pamięć w odpowiedni sposób. Ostatnim etapem będzie zapalenie światła pamięci w Niemczech. Mam nadzieję, że już wkrótce.

# Kobieta wartości: opowieść o mojej Prababci Jadwidze

Aleksandra Rylska

Wielkie historie nie zawsze pisane są w książkach, czasem są one ukryte w rodzinnych opowieściach i pamięciach. Jedną z takich historii, którą chciałabym opowiedzieć, to historia mojej prababci, Jadwigi. To opowieść o kobiecie, która przetrwała wiele burz i trudności, a jednocześnie była świadkiem wielkich zmian w Polsce w XX wieku.

Jadwiga urodziła się na początku XX wieku w małej wsi na wschód od Krakowa. Była córką chłopskich rolników, i od najmłodszych lat uczyła się, jak ciężka praca na roli kształtuje charakter i uczy pokory wobec przyrody. Jej dzieciństwo upłynęło w cieniu tradycji i zwyczajów wiejskiego życia.

Jadwiga była jednym z wielu dzieci i jako najstarsza córka, często pomagała rodzicom w pracach polowych. Mimo trudności i ubóstwa, zawsze marzyła o nauce i zdobyciu wykształcenia. W tamtych czasach, szczególnie dla dziewcząt pochodzących ze wsi, edukacja była rzadkością, ale Jadwiga nie poddawała się.

W wieku kilkunastu lat postanowiła opuścić rodzinne gospodarstwo i wyjechać do Krakowa, aby kontynuować naukę. To była decyzja odważna i niezwykle trudna, ponieważ oznaczała rozstanie z rodziną na długi czas. Jednak Jadwiga była zdeterminowana i gotowała się na trudności.

W Krakowie, zaczęła uczęszczać do szkoły i pracować dorywczo, aby utrzymać się i opłacić naukę. Były to lata ciężkiej pracy i samodzielności, ale też lata poznawania nowego świata i kształtowania swojej tożsamości.

W międzyczasie, historia Polski toczyła się dalej. Jadwiga była świadkiem wydarzeń takich jak I wojna światowa, odzyskanie niepodległości i okres międzywojenny. To był czas, gdy pojawiały się trudności, ale także nadzieje i optymizm. Jadwiga angażowała się w działalność społeczną i patriotyczną, wspierając ideę niepodległego państwa polskiego.

W czasie II wojny światowej, Jadwiga znalazła się w okupowanym Krakowie. Był to czas ciemny i niebezpieczny, ale mimo zagrożenia, nadal wykazywała odwagę i troszczyła się o innych. Pomagała ukrywać Żydów i działaczy podziemia, narażając swoje życie.

Po wojnie, Jadwiga kontynuowała swoją pracę społeczną i edukacyjną. Była nauczycielką, która wpłynęła na życie wielu młodych ludzi, inspirując ich do nauki i rozwoju. Jej praca była równocześnie kontynuacją dziedzictwa rodzinnego i realizacją marzeń z dzieciństwa.

Jadwiga to dla mnie symbol siły, wytrwałości i poświęcenia. Jej historia uczy mnie, że wartości takie jak praca, nauka, patriotyzm i troska o innych są fundamentami naszej tożsamości narodowej i obywatelskiej. To także przypomnienie, że każdy z nas może mieć wpływ na losy swojego kraju, niezależnie od trudności, które napotyamy.

Jadwiga była kobietą wyjątkową, która przetrwała wiele burz i trudności, ale nigdy nie straciła wiary w lepszą przyszłość. To jej dziedzictwo stanowi dla mnie inspirację do kontynuowania tradycji rodzinnych i pielęgnowania wartości, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Jej historia jest częścią mojej historii, a jej duch wciąż żyje w naszych sercach.

Dlatego też zachęcam młodych ludzi do poszukiwania źródeł swojej tożsamości i genealogii. W naszych korzeniach tkwi siła i inspiracja, które mogą kształtować naszą postawę obywatelską i patriotyczną. To poprzez poznawanie historii swoich przodków możemy lepiej zrozumieć, skąd pochodzimy i jakie wartości są dla nas ważne.

Historia Jadwigi jest historią naszej tożsamości narodowej i obywatelskiej. To opowieść o kobiecie, która mimo trudności i przeciwności losu, wierzyła w ideały niepodległej Polski i poświęciła się ich realizacji. Jej dziedzictwo jest naszą dumą i motywacją do działania na rzecz dobra wspólnego.

# Karol Fogel

## Jakub Głyda

Ukończył w roku 1937 Wyższą Szkołę Handlową w Poznaniu z wykładowym jęz. niemieckim, który z racji dawnych koligacji rodzinnych i nazwiska był mu dobrze znany. Jako absolwent wyższej uczelni zgodnie z wówczas obowiązującym jeszcze sprzed I wojny światowej prawem, oprócz dyplomu nauk handlowych otrzymał 1szy stopień oficerski - Ppr. (podporucznika) Wojska Polskiego. Później będzie on należeć do wywiadu ZWZ-AK otrzymawszy ps. „Sosna”, legitymacja członkowska nr. 58798. Poślubił piękną absolwentkę Gimnazjum im. Zofji Pętkowskiej i Wiktorji Macińskiej w Łodzi. Posiadał patent żeglarski i często wypływał jachtem przez Bałtyk, nawet do Szwecji.

Zaczął pracę w Gdyńskim banku handlowym, w tym mieście wynajmował również 5 pokojowe mieszkanie, nagle rozpetęła się II wojna światowa. Kiedy doszło do wybuchu wojny – został powołany do służby, pojechał do Warszawy a prababcia przyjechała z kuzynem na motorze do Łodzi. Trójmiasto było szczególnym celem ataków ze względu na Gdańsk i Gdynię – ten przyczółek dzielnie bronił się najdłużej. Pradziadek został skierowany na front wschodni, skąd niedługo potem 17 września kraj zaatakowało ZSRR, gdzie niedługo później została przełamana obrona wojsk II RP. Powrócił on na znalezionym rowerze do domu na ul. Ołowianą do Łodzi, by niedługo potem dotrzeć do teściowej Apolonii w Zgierzu i zacząć działalność konspiracyjną. To właśnie Ppr. „Sosna” za wczasu ostrzega swego przyjaciela Leona Zacherta, że Niemcy planują w jego zakładach bawełny uruchomić produkcję sprzętu lotniczego. Szybki demontaż wielu maszyn produkcyjnych, zerwanie zakładowych elektryfikacji i ukrycie cennych części maszyn chwilowo pokrzyżowało Niemcom szyki. Mało znaną historią jest późniejsze powstanie w pobliskim Ozorkowie wojskowej filii znacjonalizowanego „Junkers Motorenbau und Junkers Flugzeugwerk” zarządzanego w całości przez Niemców. Część załogi zajętych zakładów Schlösserowskiej bawełny wysłano na szkolenie do Wrocławia, gdzie znajdowała się centrala firmy „Junkers”. Z racji tego, że miał niemieckie nazwisko, znalazł niemiecki był on używany do wtopienia się między szeregi Niemców w taki sposób, aby wydobyć i posiadać jak najwięcej informacji o agresorze dla Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej. Mniej więcej w 1942 został zdekonspirowany, nie wiadomo było w jakim stopniu został namierzony, rozpoczął się wyścig z czasem celem niedopuszczenia do złapania przez Gestapo cenionego za swą skuteczność doświadczonego wojskowego. Z dowództwa Armii Łódź w ekspresowym tempie zapadły wytyczne, aby nadać nową tożsamość dla niego oraz całej rodziny.

Decyzją naczelnego dowództwa było wysłanie go wraz z rodziną do miejscowości Oświęcim. O obozie zagłady wówczas nie wiadano, jednak w miejscu docelowym już na samej stacji kolejowej Niemcy wzmocnili kontrolę, oddział wermachtu prowadzący wtedy rutynową inspekcję nakazał się zatrzymać oczekując wprost wylegitymowania. W mieście był

on nauczycielem w szkole podstawowej, do końca wojny sumiennie edukował on dzieci skupiając się na nauczaniu i przekazywaniu języka ojczystego. Z czasem jego młody syn lubił chodzić do szkoły, ponieważ miał okazję zobaczyć Tatę w roli nauczyciela, po wojnie poszedł od razu do 2 klasy. Gdy dobiegł kres hitlerowskiej okupacji powrócił wraz z żoną i synem do Łodzi. Pradziadek po wojnie chcąc podjąć się pracy zarobkowej ze względu na swą działalność w AK nie mógł otrzymać zatrudnienia, ponieważ tuż po wojnie w nowym ustroju komunistycznym wykształcone osoby nazywano kapelusiarzami, gdy władzę sprawowali głównie zwykli robotnicy. Nie da się nie wspomnieć o wielokrotnych wezwaniach na przesłuchania, żeby ujawnił nazwiska swoich kolegów również będących w szeregach nierozpracowanej komórki AK. Opór doprowadził do nacisku ze strony komunistów, brzmiać jednoznacznie:

– Masz tylko jednego syna i my ci go załatwimy.

Moją prababcia a jego żonę, kiedy się o tym dowiedziała zmartwiło to i wywołało uszczerbek na zdrowiu, ponieważ ich syn a mój dziadek Ryszard Fogel dostał wtedy wezwanie do podobnych jednostek pływających o których krążyła opinia, że się z nich nie powraca.

Najpierw chodził i załatwiał w około 3 knajpach sprawy biurowe jako buchalter (ob. księgowy). Prababci nie w smak były kolacje do których otrzymywał setkę wódki, kosztem wynagrodzenia. Dopiero później zaczął pracować w meblach, gdzie był dyrektorem. Wówczas władze komunistyczne PZPR dały mu warunek:

– P. Fogel musi się Pan zapisać do partii.

Mój pradziadek odparł, że nie zapisze się on już do żadnej partii, już wcześniej się zapisał i co miał zrobić dla kraju już wówczas poczynił. Zdjęto go przez to ze stanowiska dyrektora i pracował w tzw. „Zjednoczeniu gumowym” przy ul. Gdańskiej i Kopernika w Łodzi co wspomina moja ostatnia żyjąca babcia Halina. W tychże zakładach „Stomil” był natomiast zastępcą kierownika.

Czuję, że powinienem być zły na siebie, ponieważ mój dziadek odszedł w okresie kiedy przyjmowałem sakrament komunii świętej i zabierając do grobu historię o swym Batalionie Wojsk Inżynieryjnych nie opowiedział mi o swoim ojcu. To jedyna osoba, którą poznałem za swojego życia nie wykonując pewnej mądrej czynności. Zawsze staram „pożegnać się” z bliskimi prosząc o rozmowę podczas ulubionej formy spędzania czasu, reportażu lub chociaż przybliżenia ich historii czy ciekawych wydarzeń z ich życia zamiast zdjęć. Obiecałem sobie, że przywracając pamięć o Pradziadku Podporuczniku wykonam opisywany gest / czyn w stosunku do Dziadka Majora. Mam marzenie, aby w dzień święta Wojska Polskiego symbolicznie odtworzyć ówczesnie nieobecny aspekt w dniu pogrzebu wojskowego. Po latach zobaczyłem, że piękną tradycję oddania salwy honorowej przyznawanej od stopnia wyższego oficera pominięto w przypadku mojego dziadka. Sprzed laty zmieniło się bowiem prawo wymuszając ubieganie się o zgodę przez rodzinę o taki rodzaj pożegnania. Nie wiem jak mam to zrobić, dlatego choć to bardzo osobiste piszę o tym w niniejszym tekście pozostając bezradnym, smutnym i bezsilnym.

## Stąd jestem

Alicja Sobczuk

Siedzimy przy stole w kuchni i obieramy razem ziemniaki. W tle leci audycja Radia Maryja.

– Dorotko, zacięłam się- babcia patrzy na mnie zaskoczonym wzrokiem, a z jej palca zaczyna sączyć krew. Przyglądamy się mu obie w zamyśleniu. Dopiero po chwili trafia do mnie, że muszę poszukać plastra.

Nie poprawiam babci, że tak w zasadzie nazywam się Alicja. Wstaję i otwieram po kolei półki. Część z nich jest popsuta i muszę uważać, by nie wyrwać ich przypadkowo jeszcze mocniej z zawiasów. Niektóre się nie zamykają i by zapobiec ich ciągłemu otwieraniu, połączone są ze sobą linkami, bądź gumkami recepturkami. Mówiliśmy babci wielokrotnie, by je wymieniała. Moi rodzice zaoferowali się nawet zapłacić za naprawę. Odpowiada wtedy, że i tak za niedługo umrze i byśmy się nie przejmowali. Znajduję wreszcie ukryte w jednej z szuflad plastry i nożyczki. Ucinam odpowiednio duży kawałek i kieruję się z nim do babci, by okleić jej palec.

Patrzy na mnie zagubiona i kojarzy mi się z małą przestraszoną dziewczynką. Posłusznie siedzi i się nie rusza, gdy bawię się w pielęgniarkę.

– Dziękuję kochanie – wydaje mi się być taka mała. Całuję ją w czoło i biorę do ręki jej dłoń. Przejeżdżam palcami po jej pomarszczonej, suchej skórze. Zaczynam rozumieć, o co chodzi w określeniu „pergaminowa skóra”. Mam wrażenie, że całe jej ciało pokrywa teraz delikatny papier, który łatwo może się rozerwać, jeśli nie będzie wystarczająco ostrożna. Nie umiem zrozumieć demencji. Czuję się jakby moja babcia funkcjonowała obecnie na przemian w dwóch stanach. Jednym jest mała dziewczynka, którą stale zaskakuje ten świat i potrzebuje opiekuna. Drugi znam lepiej, nieustraszona kobieta o lwim sercu i bystrych oczach. Wraca do niego, gdy widzi, że jest mi potrzebna. To ona łapie mnie wtedy za rękę i pociesza, gdy mój 20-letni świat doświadcza kryzysu. Obecnie uczę się rozmawiać z jej pierwszym stanem. Opowiada mi w nim dużo o swojej mamie, mojej prababci, której nigdy nie poznałam. Byłyśmy wczoraj na targu, by kupić różowe forsycje, takie same, jak w jej domu rodzinnym. Wyobrażam sobie moją babcie jako małą dziewczynkę bawiącą się wśród kwiatów w ogrodzie. Opowiadała mi, że mieli w domu skrzynie z książkami, których nie chcieli inni ludzie i je zbierała. Wybierała później jedną z nich, brała do ogrodu i próbowała czytać. Myślę, że dlatego patrzyła później na świat tymi swoimi mądrymi, byстрыmi oczami. Była najstarsza z siódemki rodzeństwa i zawsze musiała się kimś opiekować. Czytając wykradła dla siebie trochę zaginionego między obowiązkami czasu. W wieku 8 lat jej ulubioną książką był „Pan Tadeusz”, ponieważ opowiadał o polskiej wsi, którą tak bardzo kochała. Żyjąc później w mieście wielokrotnie mówiła, jak tęskni za domem rodzinnym, ale z powodów finansowych nie może do niego wrócić.



Teraz ma blisko bloku działkę, na której spędza całe dnie. Pieczołowicie wrywa chwasty oraz podlewa owoce, które na niej hoduje. W żadnym innym miejscu nie widziałam nigdy tak dużych borówek, jak na jej krzaczkach. Jest dumna, gdy przyjeżdżamy i zjadamy je ze smakiem. Obserwuje nas wtedy z lekko uniesionymi kącikami ust i pakuje nam później wszystkie swoje uprawy do pudełek byśmy zabrali je do domu. Wyjeżdżając od niej, nasze bagaże zawsze przybierają na wadze przynajmniej kilka kilogramów. Nauczyłam się, by odwiedzając babcię mieć zawsze walizkę do połowy pustą. Pamiętam więc, jak dziwnie mi było, gdy po raz pierwszy przyjechałam do babci ze słoikami z obiadami przyrządzonymi przez moją mamę. Babcia spojrzała na mnie z urazą, gdy rozpakowałam je przed nią na stole i powiedziała, że ich przecież nie potrzebuje. Wiedziałam jednak, jak dużą ulgę sprawiło jej to, że przez kilka dni nie musi martwić się stanem przy kuchence, aby ugotować obiad.

Historia, która najbardziej ukazuje charakter mojej babci jest związana z tym, jak wracałam od przyjaciela, a mój pociąg przejeżdżał przez jej miasteczko. Nie miałam czasu zatrzymać się u niej na dłużej, więc nawet jej tego nie wspominałam. Moja mama powiedziała jej o tym przypadkowo przez telefon. Babcia sprawdziła wtedy w internecie rozkład jazdy pociągu i zadzwoniła do mnie 10 minut przed jego planowanym przyjazdem, że stoi na stacji z walizką czereśni. Powiedziałam jej, w którym wagonie siedzę, by akcja przejęcie czereśni przebiegła sprawnie. Ustawiłam się przy jednym końcu wagonu, a koleżanka jadąca ze mną przy drugim. Wychylałyśmy się przez drzwi i nigdzie nie umiałyśmy jej dostrzec. Skonsternowany konduktor zapytał nas wtedy o co nam chodzi. Opowiedziałam i błagałam, by pociąg zaczekał, chociaż chwilę z odjazdem. Zobaczyliśmy wtedy, jak moja 77-letnia babcia wybiega z tunelu. Poszła na zły peron. Była wtedy po operacji biodra i w jednej ręce miała kule, a w drugiej walizkę z czereśniami. Konduktor był na tyle miły, że sam wybiegł do niej, by przejąć walizkę i mi ją podać. Babcia oparła się wtedy na swojej jednej kuli i zaczęła machać do mnie z promiennym uśmiechem. Chciałam ją wtedy upomnieć, że powinna zostać w mieszkaniu i dać nodze odpocząć, zamiast iść ponad kilometr na stację kolejową. Nie umiałam jednak wypowiedzieć nic innego, niż „dziękuję”, gdy zadzwoniłam do niej później z pociągu. Następnie jadłam te czereśnie z największym szacunkiem i czcią.

Moja babcia oczywiście nie jest idealna. Popełniła też w życiu wiele błędów, o których zawsze dziwnie mi słuchać. Nie umiem ułożyć sobie w głowie, że ktoś, kto jest największym źródłem miłości w moim życiu mógł kogoś kiedyś skrzywdzić. Wiem, że mam tendencję do idealizowania jej osoby, ale chcę wierzyć, że w świecie istnieje prawdziwe dobro, które zawsze z nią utożsamiałam. Chociaż tak w zasadzie to trochę lubię te jej potknięcia, pokazujące mi, że mogę być równocześnie dobrą osobą i pełnym wad człowiekiem. Jestem dumna, że mam w sobie geny równie niesamowitej kobiety.

# Pierwszy rozdział historii pod tytułem Rodzina

Natalia Łuczyńska

.To one złością tunele w gęstej mgle zapomnienia. To one natrafiają na kamienie i odłamki szkła, które ranią zadziwiającą obojętnością. To wreszcie one utrzymują w pionie drzewo, dając mu życie. Korzenie. Wszyscy je mamy i wszyscy nimi jesteśmy. Z każdym dniem stajemy się coraz starszą, powoli obumierającą częścią większej całości, której jeszcze nie znamy. W pracy tej chciałabym skupić się na ludziach, którzy są moim początkiem, na tych, którzy napisali pierwszy rozdział naszej historii pod tytułem Rodzina. To oni codziennie uczą mnie, jak żyć, są przecież w drobnych gestach, uściskach i wzruszeniach. Przygotowali grunt, na którym dziś wzrastam, przejmując ich życiową dewizę, by żyć nie dla siebie, lecz dla innych. Bagaż doświadczeń, trudów i wyrzeczeń, wypełniony jednak po brzegi wiarą oraz nadzieją stanowi uosobienie ich wojennej historii. Historii pokazującej, czym jest prawdziwa miłość i odpowiedzialność za drugiego człowieka.

Majków Duży to ich miejsce na ziemi. Ukochana wieś, w której rozwój każdego dnia wkładali całe swe serca. A szczególnie ona. Kobieta silna, odważna, pełna wiary. Wiary umacniającej innych i wyciągającej pomocną dłoń do wszystkich potrzebujących. Moja prababcia Władysława Dryżek. W czasie okupacji hitlerowskiej mieszkała wraz ze swoją rodziną – mężem Franciszkiem, dwunastoletnim synem Waldemarem i zaledwie dwumiesięcznym synem Wiktoorem – w niewielkim, drewnianym domu w Majkowie Dużym. To tu przyszła na świat, tu dorastała i wychowywała się, by później z wdzięcznością spełniać się w roli żony i matki. Małżeństwo zawarte przez moich pradziadków w 1930 roku jest dla mnie dziś wzorem prawdziwej miłości, szacunku i zrozumienia. Udowadnia, że pomimo trudności kreślonych przez życie zawsze warto być dla siebie i nie zapominać o sobie.

W rodzinnej wsi mych bliskich wojna dość szybko odcisnęła swoje piętno. Mordy, bombardowania, rabunki czy kontrole stały się tu codziennością. Podobnie jednak codziennością była ogromna woła walki wśród mieszkańców, która szczególnie uczy pokory. Prababcia jeszcze przed wojną żywo działająca społecznie, starała się nie dopuścić, by cokolwiek zburzyło jej pasję. Organizowała więc kursy oświatowe, prowadziła lokalny teatrzyk. W czasie wojny, nie zważając na niebezpieczeństwa i przeszkody, angażowała się w działalność konspiracyjną. Mając wielkie wsparcie męża i najbliższych starała się pomóc każdemu, ofiarowując część siebie. W jej domu nauczano dzieci w zakresie szkoły podstawowej, a niewielka kryjówka w stodole dała schronienie niejednemu.

Początek lata, uroczystość świętych apostołów Piotra i Pawła to początek nowej rzeczywistości dla mieszkańców Majkowa Dużego. Rzeczywistości szarej i mętnej, z ledwie dostrzegalnymi przeblyskami nadziei. Czwartek, 29 czerwca 1944 roku był bowiem dniem

wysiedlenia. Wówczas życie moich przodków stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Prababcia w jednym z późniejszych wywiadów wspomniała: „Wieś mieli zniszczyć, za to, że była banditen”. O godzinie piątej rano całą wieś otoczyły silnie uzbrojone oddziały wojska niemieckiego, które nakazały ludziom natychmiast udać się pod młyn mego prapradziadka, wcześniej zabierając z domu tylko tyle rzeczy, ile zdoła udźwignąć osoba. Przerazenie, lęk, ale też i racjonalne myślenie musiały walczyć z czasem, którego przecież było tak niewiele. Pradziadek Franek nakazał najbliższym przywdziać ciepłe ubrania, gdyż nie wiedział, co ich czeka. Sam ubrał długie, zimowe palto, oficerki oraz zabrał ze sobą pieniądze. Prababcia Władzia zdołała jeszcze chwycić ze stołu krzyż. Ukryła go pod plecami leżącego w wózku syna Wiktora. Jak wiele my wszyscy zawdzięczamy temu krzyżowi i bożej opiece miało się okazać już niedługo później...

Decyzją władz niemieckich starszych członków rodzin wywieziono wozami na tereny lasów sulejowskich, zaś pozostałych załadowano na samochody i przewieziono do byłego getta piotrkowskiego. Po kilku dniach spędzonych w tych wyjątkowo trudnych warunkach w sercach moich pradiadków było tylko jedno pragnienie – uratować dzieci. Dzięki informacjom zgromadzonym przez należąca do rodziny łączniczkę Danutę, udało się ustalić czas pełnienia warty przez niemieckiego żołnierza gotowego przyjąć łapówkę. Najmłodszą z pociech był mój dziadek Wiktor, zaledwie dwumiesięczne dziecko potrzebujące przecież rodzinnego ciepła i matczynej czułości. Prababcia, próbując ratować mu życie, oddała go przez bramę Danucie. Z kolei przez poluzowaną w wychodku deskę, pradziadek wypchnął syna Waldemara. Łzy, ból rozłąki, świadomość, że być może to ostatnie spojrzenie na ukochaną twarz mieszały się z wdzięcznością za szansę ocalenia drugiego człowieka. Dla prababci Władzi, matki całkowicie oddanej dzieciom, moment rozstania był szczególnie trudny. Pojawiła się więc w jej sercu wielka pustka, dziura, której nie zdołała załatać żadne słowa pociechy czy otuchy. Do oczu nieprzerwanie napływały łzy, wydzierając z wnętrza krzyk bólu i tęsknoty. Niemiecki żołnierz w przypływie litości wypchnął prababcię przez bramę i kazał jej uciekać, ile sił w nogach. Wiedziała już, że odzyskała synów, musiała jednak zostawić męża...

Na terenie dawnego getta pradziadek wraz z innymi zatrzymanymi spędził trzy dni. Później ludzi zapędzono na stację towarową. To właśnie ta wędrówka była bożym darem, który dał pradiadkowi szansę ucieczki. Cała kolumna wysiedleńców, pędzona przez agresywnych Niemców, szła bowiem wąską drogą, gdzie na poboczu stała zaprzężona furmanka z węglem. Żołnierze z naładowanymi karabinami, którzy przez cały czas szli obok aresztowanych, na krótką chwilę musieli ich opuścić, aby ominąć wóz. Właśnie tą krótką chwilę, ten moment wykorzystał pradziadek Franek. W mgnieniu oka podał swój tobołek współtowarzyszowi i schylił się, by odpiąć orczyk u konia. Potem z wprawą zaczął go ponownie przypinać, czym nie wzbudził podejrzania Niemców. Gdy cała kolumna już przeszła, przerażony wskoczył na wóz, przejął lejce od nie mniej wystraszonego furmana i ruszył. Przybrał maskę spokoju i opanowania, lecz w głowie słyszał tylko huk wystrzałów z karabinów maszynowych. Dotarł jednak bezpiecznie na obrzeża miasta, gdzie opuścił wóz i dalej udał się w pieszą podróż w rodzinne strony. Czyn, którego się dopuścił jest dowodem ogromnej odwagi, odwagi stanowiącej najlepszy opis całego jego życia.

Pradziadek postanowił iść przez pola, gdzie pozorną ochronę dawały mu wysokie łąny zbóż. Nie uszedł jednak daleko, gdy usłyszał szczekanie psów i warkot motorów. Wiedział, co to oznacza. Pościg. Zaczął biec, szybciej, jeszcze szybciej, ile tylko miał sił, a mimo to odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Niemcy byli już niedaleko. Pradziadka ogarnęła bezradność,

przecież był już tak blisko, tyle przeszedł, tyle doświadczył i nagle koniec? Nie widząc już żadnej szansy przeżycia, z poczucia własnej niemocy padł na kolana i zaczął się modlić. Wówczas czarne chmury spowiły niebo, spadła jedna kropla, potem kolejna i jeszcze następna, rozpętała się ulewa tak potężna, że psy myśliwskie od razu zgubiły trop. Niemieccy żołnierze widząc to, postanowili się wycofać. Deszcz natomiast był tak silny, że aż w zbożu potworzyły się kałuże. Pradziadek Franek, wyczerpany gonitwą i całym sercem wdzięczny Bogu za obronę, padł krzyżem w jedną z nich i leżał tak jeszcze przez długi czas. Gdy nabrał sił, pełen otuchy i nadziei, udał się dalej do leśniczówki, w której przebywali lokalni partyzanci. Otrzymał od nich wskazówki, jak dotrzeć w rodzinne strony. Od tej pory postanowił iść już tylko nocą. Podróż zajęła mu trzy dni, aż wreszcie ujrzał tak dobrze znane mu tereny. Swe kroki skierował do domu w Gomulinie, w którym się wychował. To tam spotkał się z matką Katarzyną i bratem Mikołajem.

Potem pradziadek pojechał wozem do Longinówki po żonę i dzieci przebywające po ucieczce z getta pod opieką krewnego. Powrót ukochanego ojca i męża to mieszanka tak wielu pięknych emocji. To moment wielkiej radości, wzruszenia i spływających po policzkach łez szczęścia. Teraz mogli już wspólnie udać się do Gomulina, do rodzinnego domu pradziadka Franka. Mieszkali tam kilka miesięcy, zanim wrócili na swoje. Przetrwali ten trudny czas, przetrwali dzięki ogromnej wierze, nadziei i miłości.

W styczniu 1945 roku, po kilkumiesięcznym ukrywaniu się, moja rodzina wraz z pozostałymi mieszkańcami wsi, którym udało się przeżyć mogła wrócić do Majkowa Dużego. Prababcia mówiła: „A na swoje wiatr i radość człowieka na skrzydłach niosą, bo wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. I chociaż wszystko trzeba było zaczynać od początku, chociaż ciężko było, to jednak nic nie mogło człowieka powstrzymać od pracy. Dla siebie, dla innych...”.

Niedługo po powrocie w ukochane strony moja prababcia zorganizowała tu Koło Gospodyń Wiejskich. Cały czas myślała bardziej o innych niż o sobie samej. Chciała pomóc szczególnie kobietom, zadbać o nie. Urządziła więc kurs kosmetyczny, zakupiła magiel, powołała punkt pomocy gospodarczej. Jednak przede wszystkim z jej inicjatywy wybudowano w Majkowie Dużym dom ludowy. Wspominała, że było to jej największym marzeniem, marzeniem, które dało jej szansę własnego rozwoju artystycznego. To ona założyła we wsi teatr, układała scenariusze, szyła kostiumy, a często udawała się także z mieszkańcami-aktorami do pobliskich miejscowości, by wystawiać swe sztuki. Artyści zbierali nie tylko oklaski, ale także nagrody i wyróżnienia. W późniejszych latach ta kobieta, mój wielki autorytet i inspiracja do działania każdego dnia, urządziła jeszcze liczne wycieczki do różnych zakątków Polski, chcąc pokazać ludziom piękno naszego kraju.

Dzieje mojej rodziny, wielokrotnie opowiadane mi przez dziadka Wiktora, za każdym razem utwierdzają mnie w przekonaniu, że moi przodkowie napisali najpiękniejszy rozdział naszej wspólnej historii. Przekazali wartości i idee, którymi powinniśmy się w życiu kierować zawsze, nie bacząc na kłody rzucane pod nogi przez los czy przez innych. To oni pokazali nam, jak żyć, by być dobrymi ludźmi. I za to jestem im wdzięczna

147.

## Roman Batyra – historia rodziny

Amelia Kędziora



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stąd jestem

Lena Futyma

W tej pracy chciałabym przedstawić historię życia mojej prababci. Uważam, że jest to niezwykle wzruszająca i inspirująca opowieść.

Moja prababcia nazywała się Genowefa Futyma, z domu Kusiak. Miała cudownych rodziców i trzech starszych braci. Urodziła się w marcu 1929 roku, na Roztoczu w Józefowie, gdzie spędziła większość życia. Część miasteczka, w której mieszkała była niegdyś wsią i nazywała się Pardysówka.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa prababcia miała zaledwie dziesięć lat. Dla tak małej dziewczynki straszne wydarzenia tamtych czasów były ogromnie traumatyczne.

Tereny Roztocza i Zamojszczyzny, na których mieszkała, wykształciły w tamtym okresie bardzo dobrze zorganizowaną i skuteczną partyzantkę. Niedaleko Pardysówki przebiegała wtedy niezwykle ważna dla Niemców trasa kolejowa, którą dostarczano na front potrzebny sprzęt.

Dokładnie 27 marca 1943 roku oddział partyzantów wykoleił pociąg niemiecki na wspomnianej trasie, a na zemstę wroga nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia okupanci przystąpili do pacyfikacji całej wsi. Ludzie byli przerażeni. Większość uciekała do pobliskiego miasta, jednak niektórzy postanowili schować się w domach. W tej kryzysowej sytuacji prababcia Gienia i jej mama odłączyły się od reszty rodziny i podobnie jak większość mieszkańców uciekły z Pardysówki. Natomiast ojciec prababci wraz z jej braćmi ukryli się w piwnicy ich rodzinnego domu.

Niestety pacyfikacja skończyła się spalaniem całej wsi, a mój prapradziadek wraz z synami zginęli w płomieniach. Tego dnia oprócz nich zginęły jeszcze trzy osoby. Innych mieszkańców, których udało się Niemcom złapać, wywieziono do obozów koncentracyjnych. Mimo tragedii tego dnia, wielu ludzi, którzy zdecydowali się na ucieczkę przeżyło, a wśród nich moja prababcia i jej matka.

Życie po stracie bliskich i całego dobytku nie było dla nich łatwe. Pierwsze kilka nocy po powrocie do zmasakrowanej wsi spędziły praktycznie bez dachu nad głową. Żyły wtedy w malutkiej konstrukcji na wzór domku, postawionym przy pomocy innych ocalałych, z kilku znalezionych desek. W takich warunkach było bardzo ciężko funkcjonować. Szczęśliwie dość szybko udało im się przenieść do rodziny mojej praprababci, która mieszkała poza zniszczonym terenem.

Zostały tam na kilka lat. W międzyczasie wojna się zakończyła, a prababcia poznała swojego męża, pradziadka Juliana. Wkrótce urodziło się ich pierwsze dziecko – ojciec mojego taty, dziadek Józef. Otrzymał on imię po jednym z tragicznie zmarłych braci prababci. W kolejnych latach pradziadek rozpoczął budowę domu dla siebie i swojej rodziny. Co ciekawe dom miał stać w Pardysówce, gdzie moja prababcia spędziła dzieciństwo. Po zakończonych pracach pradziadkowie razem z synem wprowadzili się do nowego miejsca, gdzie zaczęli własne, szczęśliwe życie, a na świat przyszła jeszcze trójka dzieci.

Prababcia została we wspomnianym domu, przy ul. 29 marca już do końca życia. Warto powiedzieć, że w 1993 roku, a więc w pięćdziesiątą rocznicę pacyfikacji Pardysówki wzniesiono pomnik na cześć ofiar tamtego strasznego dnia. Stał on dokładnie naprzeciw domu prababci i codziennie widziała go z okna.

Moja prababcia zmarła zaledwie cztery lata temu, w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Pomimo wszystkich trudnych wydarzeń w swoim życiu była wspaniałą, silną i dzielną kobietą. Wychowała czwórkę mądrych synów, z których wszyscy mieli na tyle determinacji by zostać lekarzami. Dzięki wartościom, jakie przekazała im i swoim wnukom, wszyscy mają teraz własne rodziny i osiągają sukcesy zawodowe. Mimo, że nie poznałam jej zbyt dobrze, jest dla mnie wzorem i wielką inspiracją. Cieszę się, że taka osoba już na zawsze będzie częścią mojej rodziny.

## Stąd jestem – Lublin – Jerzy Janiszewski

Joanna Janiszewska

Miałam prawie 11 lat kiedy zmarł mój ukochany wujek Jurek, czyli Jerzy Janiszewski – dziennikarz muzyczny, prezenter radiowy, odkrywca i „dobry duch” Budki Suflera, największy kolekcjoner płyt winylowych, a przede wszystkim wspaniały człowiek.

Odkąd pamiętam, wujek zawsze był obecny w moim życiu. Mimo dużej różnicy wieku pomiędzy nim a moim tatą, łączyła ich bardzo silna więź. Jurek był częstym gościem w naszym domu a ja byłam świadkiem ciekawych i burzliwych dyskusji oraz opowieści dotyczących nie tylko życia Jurka, ale całej naszej rodziny.

Wydawać by się mogło, że losy mojej rodziny związane są silnie z miastem Przemyśl. To właśnie tam 17 września 1944 roku urodził się najstarszy brat mojego taty: **Jerzy Andrzej Janiszewski**. Roman jego dziadek, a mój pradziadek przed wojną był kolejno wicestarostą miasta Lubaczów i Przemyśl. Jak się później okazało – sprawowanie tej funkcji przez pradziadka wpłynęło na dalsze losy naszej rodziny.

Roman miał trzech synów: Jana, Edwarda i Wiktora. Edward – należał do słynnej jednostki złożonej z pilotów znad Wisły. Brał udział w bitwie o Anglię. Zasiadał za sterami m.in. Dywizjonu 302 walczącym z Luftwaffe w czasie II wojny światowej. Po wojnie na stałe osiadł w Anglii. Wiktor – wybitny historyk, który z Armią Andersa przeszedł cały szlak bojowy i po wojnie wyjechał do Kanady, gdzie przez wiele lat był Prezydentem Polonii Kanadyjskiej. No i mój dziadek Jan – doskonały polonista i świetny fotograf.

Dziadek będący członkiem Armii Krajowej był wychowany w wartościach przedwojennej Polski. Nie był lubiany przez nowe władze. Komuniści wielokrotnie namawiali go na współpracę i na przystąpienie do partii. Jego odmowy spowodowały, iż dziadek Jan wraz z babcią Janiną zostali zmuszeni do opuszczenia Przemyśla w celu poszukiwania pracy i lepszego życia dla swych dzieci. Niestety, dziadek świetny polonista nie mógł znaleźć pracy w swoim zawodzie. Jeździli po Polsce w poszukiwaniu pracy, mieszkali m.in. w Węgorzewie, Kołobrzegu, Mrągowie i Kętrzynie. Po wieloletniej tułaczce, z czwórką dzieci postanowili wrócić do Przemyśla i zamieszkali w małym domu z ogrodem odziedziczonym po babci. Niestety dziadek nie wrócił do pracy w zawodzie nauczyciela, dlatego też otworzył zakład fotograficzny „Foto – Sztuka” by móc utrzymać rodzinę, a po godzinach uczył dzieci języka polskiego.

Mimo trudnych warunków finansowych całej rodziny, najstarszy syn – Jerzy postanowił zdawać egzaminy na studia. Jego chęci i zapał do studiowania szybko ostudzili nauczyciele. Nie chcieli dopuścić go do matury, ponieważ Jerzy miał bardzo duże zaległości w nauce, do czego przyczyniły się częste przeprowadzki. Ta niechęć nauczycieli pozytywnie wpłynęła na Jerzego, który był bardzo ambitny i uparty. Zamknął się na strychu, gdzie przygotowywał się



do matury, którą ku zdziwieniu wszystkich zdał celująco. Ten sukces wpłynął na niego bardzo motywująco, co zaowocowało tym, iż Jurek został studentem na wydziale geodezji i kartografii na UMCS w Lublinie. Lublin stał się dla Jerzego nową nadzieją, miłością, przeznaczeniem i przyszłością.

Młodemu Jurkowi było ciężko. Nie mógł liczyć na wsparcie finansowe rodziców. Musiał radzić sobie sam. Wraz z kolegą zamieszkał w obskurnym mieszkaniu blisko uczelni, bez łazienki i toalety. Już na początku studiów bardzo zaangażował się w pracę w Akademickim Radiu Centrum i zaczął żyć muzyką i radiem. Radio było dla niego ważniejsze niż studia. Zamiast kartografem został dziennikarzem muzycznym.

Życie Jerzego nabrało ogromnego tempa. W 1967 roku wygrał konkurs i wyjechał w studencką podróż do Birmingham w Wielkiej Brytanii. Zapoznał się tam z angielską bohemą muzyczną i z pracą w londyńskim studiu „Abbey Road”. Poznał tam Jimiego Hendrixa, zespół The Beatles i Procol Harum. W 1969 roku był uczestnikiem słynnego festiwalu w Woodstock. Słyszał na własne uszy: Janis Joplin, Jimiego Hendrixa, Santanę, The Who i wiele innych zespołów.

Dziś mogę powiedzieć, że mu zazdroszczę. O The Beatles wiedział wszystko. Poniekąd to dzięki niemu sięgnęłam po nagrania artystów, na których on się wychował i wychował swoich słuchaczy i fanów.

Młody Janiszewski „Janisz” wrócił do Lublina. Jego kariera dziennikarska nabrała tempa. Prowadził audycje w: Radio Lublin, II Programie Polskiego Radia i Radiowej Trójce. Jego głos jest wszędzie, wszyscy go znają i chcą by dla nich pracował. Ówcześni muzycy – chcą by na antenie puszczał ich piosenki. Różnymi i tylko sobie wiadomymi sposobami zdobywał płyty nie do zdobycia.

Na swojej drodze spotyka młody, rozwijający i dobrze zapowiadający się zespół „Budka Suflera” z Krzysztofem Cugowskim na czele. Z inicjatywy Jurka w 1974 r. Suflerzy nagrali cover hitu Billa Withersa – Ain’t No Sunshine, a piosenka pt. Sen o dolinie weszła na pierwsze miejsca radiowych list przebojów. Od tego momentu Budka zaczęła występować w całym kraju. Ich kariera nabrała błyskawicznego tempa, a o Jurku zaczęto mówić: „dobry duch Budki Suflera”. Jednak w pewnym momencie drogi Jerzego i Budki rozeszły się.

W latach 80 i 90 tych Jerzy zostaje „celebrytą”. Słynna na całą Lubelszczyznę „Barachołka” jest wspominana po dziś dzień przez wielu słuchaczy. Te pięciogodzinne maratony Jurek prowadził wspólnie z Anną Kaczkowską. Własnoręcznie wykonane przez fanów figurki Jezuchy i Kaczuchy do dziś znajdują się wśród rodzinnych pamiątek. Myślę, że dziś żaden dziennikarz muzyczny nie podjąłby się takiego zadania: prowadzenie audycji z muzyką disco polo.

Ostatnie audycje radiowe wujka Jerzego były przygotowywane przez niego samodzielnie. Nie potrzebował do pomocy dźwiękowców, montażystów, wydawców, czy scenarzystów. Jurek robił wszystko sam. Sam obsługiwał stół mikserski, a scenariusz miał zawsze napisany własnoręcznie, drukowanymi literami, niebieskim piórem i kartce formatu A4.

W 2003 r. został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, w 2014 w Lublinie otrzymał oficjalne podziękowania za całokształt działalności radiowej i za ponad 40-letnią współpracę z Radiem Lublin i z Budką Suflera.

Pamiętam, że każde spotkanie z wujkiem wiązało się z opowieściami o Budce. Jerzy żył Budką, jej koncertami i utworami. Często wracał do czasów, gdy podróżował z Budką. Opowiadał jak wyglądały koncerty na festiwalach w Sopocie, czy Opolu. Wszyscy byli gwiazdami. W latach 80-tych, na łamach gazety „Kurier Lubelski” Jurek opisał historię zespołu od

początku jego istnienia. Minęło tyle lat, ale gdy czytam te artykuły podziwiam jego kunszt pisarski. Wiedza jaką posiadał Jerzy mogłaby być podstawą do napisania dwóch książek. Pierwsza – dotyczyłaby historii muzyki na świecie, druga – poświęcona byłaby Budce Suflera. Z tego co wspominają rodzice, wujek miał przygotowaną do druku tą drugą. Niestety – życie napisało inny scenariusz.

Jurek przez wiele lat zmagał się z problemami zdrowotnymi. Zmarł nagle. Serce się zatrzymało 16 listopada 2019 roku.

Wydawałoby się, że losy mojej rodziny są silnie związane z Przemyślem i ziemią przemyską. Jednak wujek Jurek osiadł na stałe w Lublinie. Tu studiował, założył rodzinę, pracował i pokochał to miasto jak swój rodzinny Przemyśl. Wszyscy go pamiętają jako osobę bardzo szczerą. Dosadnie mówił to co myśli. Nie potrafił „trzymać języka za zębami”. O sobie i o innych mówił „burak lubelski”.

Był wulkanem energii. Potrafił zarażać swoją pasją. Pomagał wszystkim w potrzebie. Uwielbiał ludzi i zwierzęta, szczególnie swoje ukochane jamniki.

Był wyjątkowym człowiekiem, pasjonatem radia i muzyki. Jego rola w promowaniu artystów jest nieoceniona. Miał powalającą wiedzę. Wielu z nas pokazał i nauczył słuchać muzyki. Jego opowieści, ciepły i charyzmatyczny głos pozostanie ze mną na zawsze.

Wujek Jurek zmarł 4 lata temu. Do dnia dzisiejszego, gdy spotykam kogoś nowego, np. lekarzy, nauczycieli pada takie pytanie: czy Jerzy Janiszewski to twoja rodzina? Gdy potwierdzę, że to brat rodzony mojego taty słyszę odpowiedź: „pamiętam go, grał na mojej studniówce; Budka Suflera; słuchałam Radiowej Trójki, Beatlemani, Radia Lublin, Barachołki... To bardzo miłe.

Wujku Jurku – mój nauczycielu muzyki – za wszystko dziękuję.

Jako nauczyciel j. polskiego przesyłam prace konkursową mojej uczennicy Joanny Janiszewskiej

## Stąd jestem

Barbara Gładosz

Na to jacy jesteśmy wpływa wiele czynników. Dużo możemy usłyszeć i dowiedzieć się od dziadków. Często naśladujemy zachowania rodziców, słuchamy ich rad na temat dobrego zachowania, stosujemy się do norm panujących na danym terenie, dlatego uważam, że pochodzenie, postawa przodków, ich doświadczenia życiowe, mają wpływ na postawy i wybory poszczególnych osób, a wychowanie i przekaz rodzinny, są kluczowe dla budowy wspólnoty narodowej. Odpowiedź na to kim jesteśmy, znajduje się w dużej mierze w przeszłości naszych rodzin i ich bagażu doświadczeń.

Znaczący wpływ ma region, z którego pochodzimy. Moja babcia urodziła się na Śląsku w 1956 roku. Posługuje się własną gwara, językiem, który na tych terenach jest bardzo charakterystyczny, ponieważ ludzie mieszkający tam deklarują odrębność narodową od Polski, Czech oraz Niemiec. Często trudno się domyślić, o czym mówi. Nie trudno zauważyć wyróżniające się ubrania ludowe, w których chodzi. Stroje śląskie są chyba najbardziej kolorowymi strojami, jakie widziałam. Dwa lata po osiągnięciu pełnoletności wyleciała do Wielkiej Brytanii na studia, a po ich ukończeniu mieszkała tam jeszcze przez 5 lat. Był to przełomowy moment, gdyż nikt nigdy dotąd w mojej rodzinie nie przeprowadzał się za granicę. Wszyscy byli sceptycznie do takich wyjazdów nastawieni i mimo marzeń o życiu w innym kraju z przyzwyczajenia zostawali w Polsce, bo tu mieli najbliższych. Od razu dostrzegła różnice między Polską, a Wielką Brytanią. W każdej narodowości istnieje inne prawo, przez co innych zasad życia w społeczeństwie będą przestrzegać i uczyć się małe dzieci z różnych krajów. Inaczej zareagowaliby w danej sytuacji Polacy, a inaczej np. wspomniani Brytyjczycy. Mimo że dla nas pewne sytuacje są niedopuszczalne, dla innych nie będą niczym zaskakującym.

Moja babcia z zawodu została lekarzem. Przez dłuższą część swojego życia nie wiedziała czym chce się zajmować, ale ze względu na rodziców zajmujących się medycyną, ona również wybrała ten kierunek. Sami jej ten zawód proponowali i doradzali. Przekonywał ją fakt, że mieli własny gabinet, w którym chciała kontynuować rodzinną tradycję, a także mogła pomagać w leczeniu chorych. Z dostaniem się do dobrego liceum na profil biol-chem nie miała problemu, zawsze dobrze się uczyła. Ostatecznie jest bardzo zadowolona z wyboru.

Nie tak dawno od jej narodzin na świecie panował niepokój i wojna, dlatego była bardzo przywiązana do Polski. Rodzice dużo opowiadali o historii naszego kraju, sami doświadczyli konfliktu zbrojnego. Polacy byli traktowani nieludzko. Zmuszano ich do pracy, zakazywano posługiwania się językiem polskim, poddawano germanizacji, odbierano całe majątki, wysyłano do obozów koncentracyjnych, a to jedne z przykładów tortur. Miała więc ogromny szacunek do państwa, dbała o jego dobro, jak tylko mogła. Została patriotką. Zza granicy wróciła właśnie ze względu na tęsknotę za ojczyzną i bliskimi. Jest do niej bardzo przywiązana. Czuje, że to tu się wychowała i tu chce spędzić resztę swojego życia, to jej miejsce na Ziemi.

Jak sama opowiada, czuje się szczęśliwa i spełniona. Od najmłodszych lat była uczona, jak być dobrym człowiekiem. Rodzice przekazywali jej najważniejsze wartości takie jak miłość, zaufanie. Zawsze mogła na nich liczyć. Nie każdy mógł jednak tego doświadczyć, a jeśli za dziecka nie otrzymywaliśmy wystarczająco dużo uwagi, będziemy jej szukać u nowopoznanych osób. Sami też własnym pociechom nie damy bliskości, gdyż ciężko zagwarantować coś, o czym tak naprawdę nie mamy pojęcia. Przez to wiele ludzi jest bardzo nieszczęśliwych. Co najgorsze, współcześnie jest to bardzo zauważalny problem. Ten, kto nie miał wszystkiego czego zapragnie, później bardziej docenia to, co ma. Za dziecka moją babcie nie było na wszystko stać. Nie miała każdej zachcianki, którą sobie zażyczyła. Dziś, kiedy dorobiła się swojego nadal cieszy się z najmniejszych rzeczy i to jest piękne.

Duże znaczenie ma środowisko, którym się otaczamy. Nasi znajomi, osoby uczęszczające do tej samej szkoły. Na osiedlu, na którym zamieszkiwała moja babcia dużo dzieci w jej wieku zaczęło pić alkohol i sięgać po inne używki. Jako jedyna nie była tym zainteresowana i należała do zupełnie innego świata. Uwielbiała grę na pianinie i siatkówkę, której ja sama teraz jestem fanką. Przez to nie odczuwała potrzeby sięgania po tego typu substancje. Spowodowało to, że niektórzy rówieśnicy wyśmiewali się z niej, bo przecież była „inna” od reszty. Skutkiem było zamknięcie się w sobie, lekkie podupadnięcie na duchu i brak wiary we własne możliwości, ale na szczęście to szybko minęło. Dziś jest dumna, że nie zmieniła się dla innych, bo niektórzy nie radzą sobie z brakiem akceptacji i ukrywają to co w sobie trzymają, kim tak naprawdę są.

Podsumowując, pochodzenie, postawa przodków, ich doświadczenia życiowe, mają wpływ na postawy i wybory poszczególnych osób, a wychowanie i przekaz rodzinny, są kluczowe dla budowy wspólnoty narodowej. Dają one nam wskazówki, jak dotrzeć na właściwą drogę. Mimo wszystko ostatecznie o naszym charakterze, podejściu do życia decydujemy sami. Nasza przyszłość zależy tylko od nas. To my jesteśmy panami własnego losu.

# Moja prababcia

## Maja Skibicka

Nigdy bym nie pomyślała, że kiedyś może jej mi zabraknąć. Przeżyła bardzo dużo: pandemię, wojnę, jednak nigdy nie zapomniała żeby spełniać marzenia i robić to, co kocha. Była osobą, do której zawsze można było się odezwać, zapytać o radę, czy przytulić. Zawsze wiedziałam, że mogę z nią porozmawiać. Moja pra babcia była najwspanialszą osobą na świecie. Kochała i dbała o wszystkich, czasami bardziej niż siebie. Nigdy niczego mi nie brakowało. Zaczynając od dżemów, ciasteczek czy herbatki, aż po zabawki. Niestety dwa miesiące temu zmarła. Jednak zawsze kiedy o niej myślę przypominają mi się słowa z książki Harry Potter „Ci których kochamy, nigdy nas nie opuszczają”.

Uwielbiałam do niej przyjeżdżać i spędzać z nią czas. Pomimo, że nie spędzałam z nią za dużo czasu, kochałam ją jak nikogo innego. Była osobą, której trudno było nie kochać.

Moja pra babcia Aleksandra Jęczeń wychowywała się w trudnych czasach, ponieważ kiedy miała 10 lat rozpoczęła się wojna. Od samego początku kochała pomagać ludziom. Wolny czas uwielbiała spędzać ze swoim bratem. Pomimo zakończenia wojny czasy były dalej trudne, jednak wiedziała, że dobro powraca, i pomimo, że nie wiedziała co się stanie w przyszłości to dawała innym swoją miłość. Mieszkała w biednej rodzinie, w której często jedli tylko to co sami posadzili, dlatego niestety nie chodziła do szkoły. Czytać i pisać nauczyła się sama w domu. Kilka lat później poznała swojego pierwszego męża – Jana. Po kilku latach znajomości pobrali się i wspólnie mieli syna Henryka. Jednak ich małżeństwo nie trwało długo i się rozwięli. Kilka lat później poślubiła nowego chłopaka – Stanisława. Staś miał już 3 córki, które przyjęła z otwartymi rękami. Pokochała je tak jak rodzone córki. Była dla nich jak prawdziwa mama która niestety zmarła wcześniej z powodu choroby.

Od samego początku widziała że bycie dobrym dla innych jest najlepszym co można robić. Nigdy nikomu nie odmawiała pomocy jeżeli jej ktoś potrzebował. Nie chciała za to żadnej zapłaty, ponieważ wiedziała, że kiedy ona jej będzie potrzebowała może liczyć na to, że ją otrzyma.

Nie osiągnęła nigdy nic specjalnego jak Maria Skłodowska-Curie, czy Wisława Szymborska, jednak według mnie jest przykładem tego, że jeżeli jest się dla kogoś dobry, kiedyś to do niego powróci. Przez całe życie wierzyła, że wszystko jest możliwe. Pomimo wszystkich przeciwności jakie ją napotkały w życiu, takich jak wojna, czy śmierć ojca, nigdy się nie poddawała i wierzyła, że kiedyś nadejdą dobre czasy. Jest przykładem tego, że po burzy wychodzi słońce.

Jej dwie córki wyszły za mąż i urodziły każda po trójkę dzieci. W swoim życiu doczekała się 8 wnuków oraz 16 prawnuków. Uwielbiała spędzać czas ze wszystkimi z nich. Zawsze przychodziło się do niej z uśmiechem na ustach, dbała, żeby nikomu nie było źle, dawała ciasteczka, czy herbatkę. U siebie na półce miała zdjęcia każdej z rodzin. Do ostatniej chwili miała na twarzy uśmiech, pomimo, że sił już brakowało.

Bardzo długo „trzymała się” dobrze. Jeździła na działkę, wychodziła do kościoła, chodziła na zakupy, czy do lekarza, jednak kilka lat temu jej stan się pogorszył. Przestała wychodzić na zewnątrz (z wyjątkiem wizyt do lekarza, na które też trudno było ją wyciągnąć), ruszała się tylko po domu. Zmarła 2 miesiące temu, w wieku 95 lat.

Jestem naprawdę wdzięczna, że mogłam poznać i pokochać tak wspaniałą, silną i dobrą osobę. Pomimo, że zmarła na zawsze pozostanie w moim sercu. Myślę, że wiele osób, które ją kochały i kochają nigdy jej nie zapomną.

Jako nauczyciel j. polskiego przesyłam prace konkursową mojej uczennicy Mai Skibickiej

# Jan Szornel: wojownik i filantropista XVII Wieku

## Kamil Szornel

Jan Szornel, znany ze swojej długiej i zasłużonej służby wojskowej oraz działalności filantropijnej, był postacią niezwykle istotną w XVII-wiecznej historii Polski. Pochodzący z rodziny niezbyt wpływowej szlachty, wyróżnił się męstwem na polu bitwy oraz hojnością wobec swojej społeczności. Jego życie i dokonania pozostawiły trwałe ślady w historii Lubelskiego, Ruskiego i Żmudzkiego województwa.

Jan Szornel urodził się w 1536 roku jako syn Jerzego Szornela. W młodości podjął decyzję, która miała znaczący wpływ na jego życie i losy rodziny - postanowił służyć ojczyźnie orężem. Od 1550 roku aż do 1605 roku uczestniczył w wielu ekspedycjach wojennych, osiągając rangi rotmistrza i podpułkownika wojsk koronnych. Jego zaangażowanie w walki pod rozkazami hetmanów Jana Zamoyskiego i Karola Chodkiewicza przyniosło mu zasłużoną sławę wśród szlachty. Działając na polu bitwy, Jan Szornel nie tylko bronił granic Rzeczypospolitej, ale także zdobył szacunek swoich towarzyszy broni.

Życie rodzinne Jana Szornela również odgrywało ważną rolę w jego historii. Ożenił się z Zofią Wołczkówną, córką Mikołaja Wołczka, podstolego chełmskiego. Wziął w posagu dobra Radawiec w Lubelskiem, ale później zamienił je na Popkowice. To Popkowice stały się miejscem, które przyniosło mu trwałą pamięć i wpisało go w historię religijną regionu.

Jednym z istotnych wydarzeń było przejście świątyni w Popkowicach. Jan Szornel wykupił ją około roku 1617 od protestantów, zmieniając tym samym sytuację wyznaniową w tym regionie. Jego hojność nie ograniczała się jedynie do zakupu kościoła – 19 marca 1625 roku hojnie uposażył tę świątynię i nadał jej wezwanie Świętej Anny. Kościół ten stał się miejscem kultu i zgromadzeń religijnych, a w jego wnętrzu znajdowały się cenne relikwie, takie jak wizerunek Ukrzyżowania Zbawiciela oraz obraz Świętej Anny z baldachimem. Działania te wpłynęły na rozwój życia religijnego w regionie i utrwaliły pamięć o Janie Szornelu jako dobroczyńcy.

Umowa zawarta 4 września 1628 roku między Janem Szornelem a księdzem Szymonem Nestorowiczem, zapisana w aktach Konsystorza Lubelskiego, potwierdza jego hojność wobec kościoła w Popkowicach. Jan Szornel zobowiązał się płacić roczny czynsz oraz dostarczać jarzyny i zboże na cele kościoła. Te działania nie tylko przyczyniły się do utrzymania i rozwoju ducha religijnego, ale także wpłynęły na poprawę bytu materialnego duchowieństwa.

Warto również podkreślić, że Jan Szornel nie ograniczał swojej działalności do Popkowic. W roku 1625 nadał proboszczowi popkowickiemu pewną ilość zboża oraz prawo połowu ryb. Dodatkowo, zatwierdził uposażenie parafii w Kielcach, gdzie siedzibę mieli biskupi krakowscy, zobowiązując się do dostarczania pensji zbożowej proboszczowi i jego następcom. Te działania ukazują jego troskę o rozwój i wsparcie dla różnych społeczności w regionie.

Jan Szornel był postacią wyjątkową, łączącą w sobie męstwo w służbie wojskowej oraz

głęboką wiarę i hojność wobec społeczności lokalnych. Jego wkład w rozwój i utrzymanie życia religijnego oraz wsparcie dla kościoła w Popkowicach pozostają trwałym dziedzictwem. Jego historia jest przykładem, jak jedna osoba może mieć wpływ na kształtowanie historii lokalnej i duchowej społeczności. Jan Szornel zasługuje na pamięć jako bohater i filantrop XVII wieku, który swoim życiem i działaniami pozostawił niezatarty ślad w historii Polski.



# Mój krewny, który stał się dla mnie inspiracją

**Karolina Piasecka**

Kiedy pomyślę o starszych pokoleniach w mojej rodzinie, w głowie pojawia się obraz mojego dziadka. W wielkim skrócie był on osobą skromną, trochę nieśmiałą i czasem niezdecydowaną, ale dla mnie odznaczał się wielkim hartem ducha, niespożytą energią i ogromną wrażliwością. Według mnie to te jego cechy zadecydowały właśnie, że chcę o moim dziadku napisać.

Urodził się on w połowie lat trzydziestych XX wieku; dokładna data urodzenia to 10 marca 1934 roku. Kiedy wybuchła II wojna światowa, miał skończone pięć lat. Jego mama, a moja prababcia Zofia, nadała mu imię Zdzisław. Dzieciństwo spędził na wsi. Była to niewielka osada, która dziś nosi nazwę Spiczyn i jest położona około trzydziestu minut od Lublina.

tamtym czasach panował głód. Zdobycie jedzenia często graniczyło z cudem. Jednym z głównych źródeł pożywienia, było to, co dawała ludziom natura np. jagody z lasu, warzywa z pola lub ryby z rzeki. Zdzisław opowiadał mi, że często zajmował się wędkarstwem i bywało tak, że złowiona ryba zastępowała mu obiad lub kolację.

Skupię się teraz przez chwilę na wyglądzie mojego dziadka. Był drobnej budowy ciała. Posiadał niezwykle urodziwe, piwne oczy oraz proste, ciemne jak smoła włosy. Cechował się dość wysokim wzrostem. Częsty problem stanowiły dla niego zbyt krótkie spodnie czy koszule. Myślę, że odziedziczyłam po nim śniadą cerę oraz smukłą sylwetkę.

Jego dzieciństwo nie było łatwe. Wychowywał się bez ojca, przez co jego mama, biorąc na siebie obowiązki obojga rodziców, czasem nie potrafiła i nie była w stanie utrzymać go przy sobie. Zdzisław całymi dniami, pomimo wojny, bawił się ze swoimi kolegami z sąsiedztwa. Opowiadał mi kiedyś, że jeździł z przyjaciółmi na różne wsie, a następnie robili dla siebie bunkry. Wykopywali w ziemi ogromne dziury, żeby się w nich chować. Zbierali siano i słomę, aby w nocy było im ciepło. Stanowiło to dla nich rozrywkę, ale jednocześnie schronienie. Niekiedy, zabawy wymyślane przez dziadka i jego rówieśników, były bardzo niebezpieczne. Pamiętam, jak z przerażeniem słuchałam jego opowieści o tym, jak ukryty w rowie przyglądał się przemarszom niemieckich żołnierzy. W pamięci bardzo wyraźnie utkwiły mu potężne, skórzane buty, które stanowiły charakterystyczny element niemieckich mundurów.

Wojna rozbiła małemu Zdzisiowi dzieciństwo. Nie mógł, jak dzieci w czasach pokoju, bawić się, chodzić spokojnie po lasach czy łąkach, ponieważ wszędzie czyhało niebezpieczeństwo. Dziadek, chcąc sobie zrekompensować czas pozbawiony swobody i bez troski, skupił swoją uwagę i poświęcił czas na uprawianie różnorodnych sportów. Latem pokonywał bardzo długie dystanse rowerem oraz biegał. Zimą zaś, zjeżdżał z górki oraz wzniesień na własnoręcznie zrobionych nartach. Paskami przymocowywał swoje buty do drewnianych desek. Taka konstrukcja nie była zbyt stabilna i groziła doznaniem kontuzji, ale szczęśliwie mój dziadek

nigdy nie złamał sobie żadnej kończyny. Potrafił używać młotka i gwoździ, więc nie było dla niego trudnością, żeby stworzyć wiele użytecznych i praktycznych rzeczy. Ślizgał się na lodzie oraz skakał po krach, gdy rozpoczynało się przedwiośnie. Pamiętam, jak zastanawiałam się, wsłuchując się w opowieści Zdzisława, skąd wzięły się kry na rzecce. Teraz to zjawisko zupełnie obce. Dziadek wyjaśnił mi, że kiedyś panowały tak srogie zimy, że rzeki od grudnia do lutego skute były grubym lodem, który topniał dopiero wczesną wiosną.

Dla dziadka niezmiernie istotnym aspektem w życiu była wiara w Boga. Przestrzegał on przykazań, chodził do kościoła, modlił się każdego dnia oraz obdarzał szacunkiem swoją mamę Zofię i babcię Władysławę, które były mu najbliższe. Pomagał im w różnych pracach w gospodarstwie i na polu. Wydarzenie religijne, które utkwiło mi w pamięci, a usłyszałam je od dziadka, dotyczyło cudu w katedrze lubelskiej, gdy na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej wierni mieli zobaczyć łzy. Miało to miejsce 3 lipca 1949 roku. Zdzisław był już nastolatkiem, miał 15 lat. Szedł ze swoją mamą z rodzinnej wsi do Lublina cały dzień, co świadczy o jego pokorze i wytrwałości. Myślę też, że był ogromnie ciekawy tego zdarzenia i chciał, jak wielu innych ludzi, uczestniczyć w nim.

Kolejną wartością w życiu mojego dziadka była praca. Pasjonowały go różne zawody. Sądzę, iż był on niezwykle inteligentnym człowiekiem, więc poradziłby sobie nawet w najtrudniejszym momencie życia. Wśród zawodów, które mogę tu wymienić, znalazłyby się takie, jak: pszczelarz, stolarz, rolnik czy ogrodnik. Każdą ze swoich prac wykonywał sumiennie, cierpliwie i z zaangażowaniem.

Następną wartością, ogromnie istotną w życiu dziadka, były wnuki, czyli ja i moje rodzeństwo. Zdzisław poświęcał nam bardzo dużo swojego czasu i uwagi. Często opowiadał różne wydarzenia ze swojego życia. Niektóre z nich były niesamowicie śmieszne, inne wruszały nas do łez. Dziadek dbał o to, żebyśmy znali historie naszych przodków. Mówił, że w ten sposób młode pokolenia uczą się odpowiedzialności i szacunku do tradycji. Przeglądał z nami albumy ze zdjęciami i pokazywał, kto na nich się znajduje. Opowiadał również przygody, które przeżył z moją mamą, czyli jego córką. Dzięki nim łatwiej mi było wyobrazić sobie ją jako małą dziewczynkę.

Mój dziadek odszedł 29 maja 2022 roku. Przeżył 88 lat. Pozostawił za sobą niezatarte wspomnienia, swoje ulubione powiedzonka oraz pamiątki, które moja mama zachowała dla przyszłych pokoleń w naszej rodzinie. Przywołanie i opisanie osoby Zdzisława sprawiło mi dużo radości i satysfakcji. Mimo, że dzieliła nas bardzo duża różnica wieku, to jestem pewna, że udało mi się stworzyć z dziadkiem mocną i opartą na przyjazni relację. Myślę o jego osobie z miłością i dumą. Już dziś wyobrażam sobie, że kiedyś opowiem moim dzieciom, jaki był mój dziadek Zdzisław. Postaram się też pielęgnować wartości i przestrzegać zasad, których nauczył mnie mój dziadek

# Nieugięty

**Daniel Hermanowicz**

Miałem dziewięć lat kiedy dowiedziałem się, że mój Dziadek nie do końca ma na imię Jan. Na tabliczce, którą przybito do krzyża opartego o jego trumnę, przeczytałem szokujące dla mnie pięć liter: „Józef”.

Nie poznałem za życia mojego Dziadka, chociaż spędzałem z nim mnóstwo czasu. Szczerze powiedziawszy wiele wyraźnych wspomnień mojego wczesnego dzieciństwa jakoś się z nim wiąże. Zapach stodoły pełnej siana. Piekące plecy po zbieraniu truskawek na polu. Nauka rąbania drwa. Jazda kombajnem. Nawet zapłakani rodzice wracający w nocy ze szpitala, w którym leżał po wylewie.

Tyle tylko, że to był mój kochany Dziadek Jaś. Dobrotliwy, uśmiechnięty, z kresowym zacięciem, którym tak specyficznie zmiękczał „r”. O Józefie Janie Hermanowiczu dowiedziałem się później. Głównie od jego syna, a mojego taty. Trochę od babci. Bardzo dużo od stryja. Nigdy nie rozmawiałem z Dziadkiem o wojnie, Syberii, ucieczce, PRL-u... Trudno się dziwić.

Tego typu tematyka nieszczęśliwie nadawała się na bajki na dobranoc.

A przecież było tyle do powiedzenia!

Do wojska polskiego w 1939 roku zaciągnąć się nie mógł, pomimo skończonych dziewiętnastu lat, bo chociaż zawsze był Polakiem, nie zawsze był polskim obywatelem. Po tym jak Piłsudski fortelem anektował Wilno w kwietniu 1919 roku – nie uderzył na Litwę. Wskutek tego rodzinne ziemie Hermanowiczów skończyły po litewskiej stronie Wileńszczyzny. Jan Hermanowicz był więc obywatelem Republiki Litwy, gdy Armia Czerwona wkraczała na tereny Rzeczypospolitej Polskiej w ramach „wyzwoleńczego pochodu”, jak radziecka propaganda nazywała ten zwykły napad dokonany siedemnastego września. Bez wypowiedzenia wojny. Bez ostrzeżenia. Bez skrupułów.

Taka specjalna operacja wojskowa. Niestety brzmi dziwnie znajomo także dzisiaj. Czasami zastanawiam się, co Dziadek i cała Polonia na Litwie myśleli po zajęciu Wilna. Rodzina Hermanowiczów miała radio i była dobrze poinformowana. Wiedzieli, że nie tylko cała Rzeczpospolita ugięła się pod nazistowskim obcasem. Także ta najważniejsza mała ojczyzna, ich ukochana Wileńszczyzna wraz z Ostrą Bramą, zupełnie nagle została „wyzwolona” przez radzieckich żołnierzy.

Jak to jest pod sowieckim zarządem Dziadek przekonał się już w czerwcu 1940 roku, kiedy to w myśl paktu Ribbentrop-Mołotow terytorium Litwy przypadło w łupie ZSRR. Co ciekawe czas tej pierwszej okupacji wspominał dość pozytywnie. Udało mu się wykręcić od służby wojskowej pracą na roli, a większość problemów z Armią Czerwoną dało się załatwić taktownie wręczoną butelką czystej, o co najmniej 40% skuteczności argumentacji. Wiadomo, że po takim trunku każdy nieco przymykał oczy. Wszak mocny alkohol lubi pójść w zatoki. Jednak ten jakże kapitalistyczny rytm życia pod komunistyczną okupacją nie trwał długo. Już

rok później przez Wileńszczyznę przetoczyła się operacja „Barbarossa”. Z niemieckimi nadzorcami nie poszło już tak łatwo. Pod koniec 1941 roku Dziadek Jaś został siłą wciśnięty w (teoretycznie) litewski mundur i wcielony do służby wartowniczej na usługach Wehrmachtu. Przez dwa lata Dziadek nie widział zbytnio wyjścia ze swojej sytuacji. Radia wciąż były dozwolone, więc wieści z wojny były dostępne i... dość defetystyczne. Stał więc na warcie, dusząc bunt w sercu.

W końcu jednak gruchnęła sensacyjna wiadomość. Nie dość, że po zwycięstwie na łuku kurskim Armia Czerwona przeszła do kontrofensywy, to Królestwo Włoch skapitulowało, Mussolini uciekł do III Rzeszy, a Alianci lądowali w Kalabrii i Kampanii.

Nareszcie! Po czterech latach wojny państwa Osi były w odwrocie! Musiało to oznaczać rychły koniec wojny, prawda? Niepodobna, żeby to się jeszcze ze dwa lata ciągnęło... Prawda?! Dziadek myślał, że do Bożego Narodzenia będzie rozejm. Serce przeważało nad rozumem. Zdezzerterował. Wrzucił karabin i mundur do jeziora, po czym ukrył się w okolicznych lasach. Poszukiwali go nie tylko za zbiegostwo, ale także za zabójstwo niemieckiego oficera. Ile w tym było prawdy – nigdy nie potwierdził. Na pewno nikt go dobrowolnie ze służby nie zwolnił.

Planował przetrwać w dziczy jedynie jesień. Niestety brutalne realia życia wpełchnęły się podkutymi buciorami w jego wyobrażenia o końcu wojny. W litewskich borach musiał zimować dwukrotnie. Do domu wrócił dopiero gdy usłyszał, że Sowici wrócili na Wileńszczyznę, a poszukujący go żandarmi Wehrmachtu uciekli na zachód. Po poprzednich doświadczeniach spodziewał się, że 40% wystarczy, żeby mieć 100% spokoju. Niestety, tym razem Sowici mieli inne plany. Nie potrzebowali znanych buntowników, którzy nie potrafili ugiąć karku. Nie tacy ludzie byli potrzebni do budowania świetlanej, komunistycznej przyszłości Stalina.

Dziadek był całkowicie nieakceptowalny politycznie. Parę dni po tym jak wrócił z ukrycia został aresztowany przez NKWD. Pomimo początkowego wyroku śmierci za zbrodnie przeciwko porządkowi socjalistycznemu i kułactwo (sic!), w jakiś sposób udało się od niego odwołać i zamienić śmierć na wygnanie.

Zdążył się przeżegnać, pożegnać i obiecać swojej mamie, że wróci. Zabrali go tak jak stał. Na zesłaniu spędził ponad jedenaście lat. Najpierw harował w kopalniach gdzieś na Uralu, ale uciekł i przeszedł pół drogi powrotnej na Litwę. NKWD capnęło go pod Moskwą. Tym razem dostał wyrok do zamkniętego gułagu gdzieś pod Irkuckiem. Tam zaimponował tężyzną fizyczną, więc boksował jako gladiator, wystawiany w zakładach sportowych przez naczelników więzień. Walczył, bo dzięki temu nie głodował. W końcu został wyznaczony znachorem. Słów „budziesz wraczem” bali się wszyscy osadzeni, bo oznaczały śmierć z ręki innych więźniów. To medyk decydował, kto jest zdalny do pracy, a było to zajęcie skrajnie niewdzięczne. Oczywiście Dziadek przeżył. W zмовie ze strażnikami zrobił z siebie przynętę na wylapanie morderców. Przyplacił zdrowiem, ale fortel się udał. Dzięki temu skrócono mu wyrok. Oficjalnie? Za dobre sprawowanie.

Co prawda wyszedł ze strzeżonego gułagu, ale ciągle był zesłańcem z zakazem podróży. Dziadek szukał jednak sposobu na wyrwanie się z Syberii. Zatrudnił się w roli tragarza do ekspedycji naukowo-geologicznych. Poza tachaniem sprzętu ponownie zajmował się służbą wartowniczą. Twierdził, że walczył z tygrysem syberyjskim i polował na niedźwiedzie. Tygrysy i niedźwiedzie! A to wesoła część jego historii...

Z geologami zawędrował aż do Obwodu Amurskiego, a być może nawet Kraju Chabrowskiego, nad wybrzeże Morza Ochockiego. To poblizko granicy z Chinami. Jakies sześć tysięcy kilometrów w linii prostej od domu. Plus minus tysiąc... Zasłużył się. W każdym razie

zwrócił na siebie uwagę lokalnych dygnitarzy, a co ważniejsze – także córki jednego z nich. Jej afekt dał mu nadzieję na ucieczkę z zesłania w inny sposób. Legalny.

Ożenił się w celu uzyskania radzieckiego obywatelstwa, po czym namówił rozkochaną żonę do podróży w jego rodzinne strony. Na Litwę! Kiedy wrócił na Wileńszczyznę nie zastał swojej rodziny. W wyniku tzw. układów republikańskich jeszcze w 1944 zaczęto ekspatriację Polaków z ich ojcowizn na terytorium PRL-u. Litewscy przyjaciele rodziny powiedzieli mu gdzie musi szukać krewnych. W Ornece, w województwie olsztyńskim. W Polsce!

Dziadek był już wtedy pełnoprawnym obywatelem ZSRR. Po prostu dostał paszport i wjechał do PRL-u pociągiem. Kiedy pojawił się w na Warmii został przywitany jak duch. Rodzina już dawno go oplakała i nikt nie wierzył, że żyje. Tymczasem on... wrócił! Przecież obiecał mamie.

Nowe życie rozpoczął roczną batalią sądową o rozwód. Nikt dziś nie wie, czy jego pierwsza żona świadomie pomogła mu uciec, ani nawet jak miała na imię. Wiadomo, że nie broniła się zbytnio w sądzie, a Dziadek ciepło ją wspominał. Tak czy inaczej w końcu poznał moją babcie Idalię, przejął gospodarstwo po ojcu i przestał uciekać. Poza pracą na roli prowadził na boku dość intratny biznes transportowy, do którego używał własnoręcznie przerobionej przyczepki. Taką platformą na bazie wozu drabiniastego woził po mieście cięższe towary dla mleczarni, spółdzielni rolnych, czy po prostu ludzi, którzy tego potrzebowali. Prywaciarzem oficjalnie nie był. Tylko że w PRL-u oficjalnie mało kto nim był.

Jako byłemu zesłańcowi Służba Bezpieczeństwa lubiła patrzeć mu na ręce, zwłaszcza że zawsze miał w Ornece reputację człowieka, którego lepiej nie denerwować. Tylko że wtedy miał już dosyć przygód. Założył rodzinę, uspokoił strudzone ciało, zakorzenił serce... Z systemem już nie walczył. Wolał wrócić do starego sposobu radzenia sobie z komunistami. Na szczęście w PRL-u 40% wystarczało, żeby mieć może nie 100%, ale wystarczająco dużo spokoju. Mój Dziadek jest anegdotycznym dowodem na istnienie stereotypowego Polaka. Upartego, cwane, butnego do granic warcholstwa... o zimnym umyśle, ale gorącym sercu.

Józef Jan Hermanowicz, syn Mikołaja urodził się 28 marca 1920 roku, a żywota dokonał niecałe 79 lat później. Przeżył sowiecką okupację, litewskie rządy kolaborujące z nazistami, zimowanie po lasach, kopalnie Uralu, ucieczkę przez pół Rosji, ponowne wygnanie aż za Bajkał, więzienne bójki, ekspedycję po syberyjskiej dziczy, walkę z tygrysem, fortelowe małżeństwo i inwigilację SB. Po drodze udało mu się zachować trzeźwość umysłu i wychować dwóch synów na ludzi pracowitych, uczciwych i po prostu dobrych.

Jego nieustępliwość nie przestaje budzić we mnie podziwu, graniczącego z bezbrzeżnym zdumieniem. Przegrał dopiero ze swoim wiekiem, no ale jak słusznie zauważył Shakespeare:

*„Starość jest śmiercią, przysłowie powiada,  
Powolna, ciężka i jak ołów blada.”*

Również 28 marca, ale 2020 roku, urodził się Mikołaj Hermanowicz, syn Daniela Jana Hermanowicza. Dokładnie w setną rocznicę urodzin jego pradziadka. Anioł stróż mojego synka ma z pewnością nieugiętego pomocnika. Modłę się, aby życie Mikołaja nie było naznaczone krwią, potem i łzami tak, jak jego przodka. Zrobię wszystko, aby do tego nie dopuścić. Jeżeli jednak ten szalony świat znowu spadnie w przepaść wojny i nienawiści, to wierzę, że da sobie radę. Wszak niezależnie od tego co go spotka i gdzie – jest Hermanowiczem. Jest Polakiem.

Zawsze odnajdzie drogę do domu.

## Wiktor Andrzej Jędrzejec (1961-2019)

agatte80

Wiktor Andrzej Jędrzejec (1961-2019) – grafik i pedagog, profesor sztuk plastycznych, profesor zwyczajny, prorektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Szczęśliwe to chwile, kiedy znowu mogę powrócić w niczym niezatarty świat mojego dzieciństwa ... Są takie spotkania, które niczym pieczęć pozostawia trwały ślad w naszych dziecięcych duszach. Podobno artystą się jest albo artystą się bywa. Myślę, że nic bardziej mylnego. Artystą bowiem trzeba się najpierw... urodzić. Wujek Witek przyszedł na świat 8 lipca 1961 roku w Przeworsku. Już wówczas zapewne moja mama, zaś jego siostra Ewa, jako prawie 7-letnia dziewczynka, z wielką radością i ułasknieniem witała w ich rodzinnym domu swego jedyne go kochanego braciszka, później jej największego przyjaciela – Witusia. Oto syn Mariana i Ireny, który odziedziczył swój talent do sztuk plastycznych po swoim Ojcu, a moim dziadku, kończy Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu, a następnie w latach 1981-1986 studiuje na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie. Dyplom uzyskuje w pracowni prof. Macieja Urbańca. Następnie został asystentem w Pracowni Kompleksowego Projektowania Reklamy prof. Tadeusza Jodłowskiego, zaś w latach 1995–1999 był zatrudniony na stanowisku adiunkta w Pracowni Projektowania Plakatu prof. Waldemara Świerzego. W latach 2002–2005 Wujek był prodziekanem Wydziału Grafiki ASP w Warszawie zaś w latach 2005–2009 i 2016–2019 prorektorem tej uczelni. W latach 2009–2016 mój Wujek był w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego dyrektorem Departamentu Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej. Był grafikiem w wielu wydawnictwach jak też w czasopismach, m.in. w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

Wspominam bardzo często te już nieco odległe czasy, kiedy będąc dzieckiem, spędzałam wakacje w Warszawie ... Zawsze był to wspaniały czas wypełniony po brzegi muzyką Chopina, wycieczkami samochodem razem z wujkiem, dobrą lekturą taniej książki z księgarenki wydawnictwa PIW i tym zapachem z kuchni orientalnych restauracji unoszącym się wysoko, wysoko, jeszcze wyżej niż balkon w kamienicy gdzie mieszkał wujek, przy ulicy Foksal ... Wujek często mawiał do mojej babci Ireny o swoich trzech marzeniach: „mamo, zobaczysz, że kiedyś przyjadę do ciebie do Przeworska pięknym, nowym samochodem, kupię dom i zasadzę drzewo”. I wszystkie te marzenia spełnił. Wszystkie oprócz jeszcze jednego: nie zdążył już się doczekać upragnionych wnuków. Z perspektywy minionego czasu zostają nam jedynie ... wspomnienia. Dobrze, że to one scalają i są jeszcze w stanie złożyć nas w jakąś spójną całość. W całość po tym całym dramatycznym zawirowaniu, jakie zawsze niesie ze sobą ... śmierć. Tylko wobec niej, tylko wobec śmierci jesteśmy w stanie zmienić całkowicie albo siebie, albo tą otaczającą nas zewsząd, już głuchą i niemą ... rzeczywistość. Podobnie jak pisał poeta ksiądz Twardowski: “Kiedy wydaje się, że wszystko się skończyło, wtedy dopiero wszystko się zaczyna”. Ostatnia, ale jakże wymowna w swym głębokim znaczeniu wystawa wujka ... Dnia 4 lipca 2019 roku wujek

w jakże symboliczny sposób, oddaje już niestety ostatni gest, ostatni ukłon w stronę sztuki, która go kiedyś powołała, a której on odpowiedział z miłością. Warszawska wystawa "Niech grają" to osobiste, intymne i bardzo ludzkie pożegnanie. I nie wiemy, czy to był dźwięk rysunku, czy też rysunek wypełniony dźwiękiem ... ? Gdziekolwiek jest teraz wujek Wiktor, tam z pewnością mu grają ...

Jaką rzeczywistość kreował wokół siebie ten niezwykle człowiek ? Jaki był ? Jaki pozostanie na zawsze dla nas ... ? Był zdecydowanie ... artystą. Takim artystą, którym się trzeba wpierv narodzić ... Taki artysta zarówno czerpie od innych ludzi najgłębsze swoje inspiracje, ale i pozwala, aby to właśnie oni, zabierali mu resztki wszelkich złudzeń o idealnej formie tego świata. Bowiem rzeczywistość bywa nieugięta, jakby uparcie dążyła do samozagłady istoty swego piękna i idealnej, krystalicznej formy. Wujek kochał ludzi, uwielbiał z nimi rozmawiać, był świetnym słuchaczem. W wolnym czasie lubił pracę w ogrodzie, zwykłe, codzienne prace domowe jak i chorał gregoriański. To, co pamiętam, to co najistotniejsze: bardzo kochał swoją żonę Grażynę oraz dzieci: Annę i Macieja, był osobą niezwykle pozytywnie postrzeganą przez innych, był to człowiek z błękitną poświatą wokół siebie. Nie był konfliktowy. Miał taką wrodzoną zdolność natychmiastowego łagodzenia wszelakich konfliktów. Dla mnie pozostanie na zawsze po prostu: dobrym wujkiem, a dla innych z pewnością: najlepszym mężem, wspaniałym ojcem i bratem, nieodżałowanym przyjacielem, wybitnym artystą ... W 2014 roku pamiętam jak dziś, odbyła się wyjątkowa uroczystość w naszej przeworskiej Galerii "Magnez". Wspaniała wystawa, inspirowana twórczością pokolenia Jędrzejców i nie tylko. Mój dziadek, Marian Jędrzejec zapoczątkował te nasze rodzinne tradycje plastyczne, stając się ich osobliwym prekursorem. Wujek Witek rozwija w wybitnym stopniu potencjał zamiłowania do sztuk pięknych, zaś jego dzieci: Maciej i Anna to już żywa kontynuacja tej naszej rodzinnej tradycji.

Jest na półce w mojej szafie, głęboko ukryta książka ... Piękna, fioletowa okładka projektu wujka zaś autorstwa – Barbary Wachowicz – dobrej znajomej wujka Wiktora oraz ta słynna dedykacja: "Z okazji urodzin zrealizowania wszystkich marzeń życzy wujek Witek. Agatko! Życzymy Ci byś mogła robić to co lubisz i żeby Ci za to dobrze płacili !!!" I jeszcze ten bodajże jeden z najważniejszych fragmentów jego wypowiedzi – "Sąsiedzi – szkic – intymny autoportret", najmocniej wyrażający Jego postrzeganie sztuki jak i rzeczywistości, w której dane mu było żyć. Wujek pisał: "kiedy oglądałam albumy mistrzów renesansu lub baroku, podziwiam w nich niemal wszystko, ale największą fascynację wzbudza we mnie zatrzymanie w czasie, rodzaj porzucenia, niezakończenia pracy. [...] Taka sytuacja zawieszenia, niedopowiedzenia jest bardzo bliska naszej współczesnej kulturze. Jako odbiorcy kultury XXI wieku nie oczekujemy gotowych rozwiązań, nie chcemy też, aby dostarczano nam puentę na talerzu, jesteśmy gotowi szukać jej sami"

Życie zatacza bezlitosne kręgi ... Jeden krąg jakby wypływa z drugiego, przenikają się one wzajemnie i uzupełniają ... Czyżby świat zapomniał o śmierci ... ? A jeśli nawet, to śmierć nie zapomina o nas ... Wujek Wiktor odszedł od nas 20 lipca 2019 roku w Warszawie w wieku 58 lat. Zmarł po ciężkiej chorobie. -4- 25 lipca 2019 roku został pochowany w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. I ten przejmujący napis na jego grobie: "Gdyby nie wiara-serce by pękło" ... Jakaś mętna od moich obfitych łez migawka z pogrzebu wujka: mnóstwo ludzi w Kościele, przepiękna oprawa muzyczno-wokalna i coś jeszcze ... Nigdy nie widziałam na żadnym pogrzebie, żeby dokładnie od wejścia do ołtarza ułożono autentyczny kobierzec z wieńców i kwiatów ... Wtedy też się dowiedziałam, że wujek był wybitnym grafikiem. Jak żył to był przecież moim wujkiem, takim, na którego przyjazd czekało się zawsze z wielkim

podnieceniem i radością w sercu. To był-dobry wujek ... Wspominam zawsze z sentymentem nasze wielkie przygotowania domu na jego przyjazd. Niemalże generalne porządki, kuchnia na pełnych obrotach i ... oczekiwanie na samochód z warszawską rejestracją na rogu ulicy naszego osiedla. Potem to jego słynne, dźwięczne i tak radosne: dzień dobry, dzień dobry! Piękne, zawsze gustowne prezenty i rozmowy w kuchni po świt. Do tej pory mam w czarnej komodzie te cenne płyty, książki, kartki . Pamięć pozostaje kiedy śmierć zabiera ... Wydaje mi się, jakby po śmierci wujka Warszawa opustoszała. Jakby to miasto, w którym spędził prawie całe swoje piękne życie, utraciło swój wyraz, wymowę i sens. Warszawa to jakby już nie to samo miejsce ... Jeden człowiek wnosi tak wiele i zarazem jego brak tak wiele nam zabiera z tego życia, z tego świata ... Wujek Witek pozostaje w mej pamięci jako: człowiek ... Filozof grecki-Diogenes z Synopy rzekł: "szukam człowieka" ... Mogę śmiało powiedzieć, że mój wujek był w pełni człowiekiem ... Człowiek artysta, człowiek na wskroś ludzki, człowiek, którego odejścia nie da się do końca wytłumaczyć, ani też w pełni zrozumieć ... Bowiern uczą nas, że idee są wieczne ... Dobro, prawda i piękno w jednej osobie, w jednym człowieku. Pewnie tylko, poeta ksiądz Twardowski wyrazi najlepiej to, co już tylko przeczuwalne a pozostaje ciągle w obrębie naszych ludzkich domysłów: "Można odejść na zawsze, by stałe być blisko" ...



# Antoni Mącik

## Miłosz Mącik

Opowieść o moim pradziadku Antonim Mąciku jest opowieścią pośrednią. Nie dane mi było poznać Go pomimo jego długiego życia – urodzony w 1907 r. przeżył 92 lata. Jego pamięć żyje jednak w mojej rodzinie do dzisiaj głównie za sprawą mojego Taty, który pod koniec życia Antoniego odbywał z nim długie rozmowy i poznał nie tylko historię jego życia, ale również wiele przygód i czasem niezwykłych wydarzeń z jego życia. Pamięć Pradziadka przypomina również jego dom, który widzę z okna swojego pokoju, ponieważ mieszkamy na miejscu będącym własnością naszej rodziny od dokładnie stu lat, od będącej wynikiem pożaru w 1922 r. wsi Zemborzycze komasacji jej gruntów i podziale na kolonie – nasza nazywana jest wsią szóstą.

Historię pradziadka Antoniego warto rozpocząć właśnie w tym okresie. Będąc pólserotą (jego ojciec Ignacy zmarł w 1913 r.), dorastający Antoś rozpoczyna naukę w szkole zawodowej w Lublinie (w naszym domu po dziś dzień wisi zabytkowe tableau absolwentów tej szkoły) i uzyskuje zawód ślusarza narzędziowego.

W latach trzydziestych pracuje w Państwowej Fabryce Amunicji w Skarżysku-Kamiennej. W okresie Wielkiego Kryzysu zredukowany jak wielu pracowników powraca w rodzinne strony. Wezwany ponownie do pracy w pierwszej grupie po poprawie koniunktury. Z okresu bezpośrednio przed 1939 r. pochodzą opowieści dotyczące prób – niestety zakończonych po niekontrolowanym wybuchu z ofiarami – z bronią/bombą, którą dzisiaj nazwalibyśmy termobaryczną lub paliwową – która wysysała powietrze z miejsca wybuchu. Niestety trudno w źródłach potwierdzić tę opowieść.

Po wybuchu II wojny światowej, we wrześniu 1939 r. Pradziadek ewakuuje się wraz z żoną i dwójką małych dzieci, są jednym z ostatnich pojazdów przed wysadzeniem mostu na Wiśle w Kamieniu. Pozostawiając ich w rodzinnych Zemborzycach, sam udając się w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie fabryka amunicji miała wznowić produkcję. Szczęśliwie wraca po 17 września w rodzinne strony i dość szybko angażuje się w pracę konspiracyjną, później zostaje żołnierzem AK.

Nigdy nie zdradza nikomu swojego pseudonimu – nawet po 50 latach, a akcje oddziału w którym walczy mocno dają się odczuć okupantowi. Mój ojciec opowiadał mi o wizytach z pradziadkiem przy pomniku, zbiorowej mogile mieszkańców wsi Radawiec, zamordowanych w odwecie działań partyzantów, mogile kilku przyjaciół Antoniego.

W jednej z akcji partyzanckich doszło do pomyłki – zamiast z Niemcami mogło dojść do potyczki z sowieckimi komandosami zrzuconymi na spadochronach i ukrywającymi się w pobliżu. Pomimo wstrzymania działań i zapobieżeniu rozlewowi krwi, „uczynni ludzie” przyczynią się później do bezpodstawnych oskarżeń w tej kwestii.

Wyzwolenie przynosi aresztowanie przez władze sowieckie – jesień 1944 r. Pradziadek spędza w więzieniu na lubelskim Zamku, w wyniku donosu w związku z działalnością w AK.

Na szczęście rodzinie udaje się wykupić Antoniego – wszechobecna korupcja bywa w wymiarze indywidualnym pewnego rodzaju szczęściem.

Niestety działalność konspiracyjna z okresu okupacji w nowej rzeczywistości politycznej praktycznie uniemożliwia znalezienie pracy. Antoni i podobni jemu znajdują jednak pomocną dłoń w spółdzielczości pracy. W takiej spółdzielni Antoni poznaje słynnego pilota z pionierskich czasów lotnictwa – Pawła Zołotowa, będącego w podobnej jak on sytuacji – usuniętego z lotnictwa, również sportowego. W połowie lat 50-tych uczestniczy w budowie przez Pawła Zołotowa repliki samolotu Farman IV z 1913, na którym słynny pilot uczył się przed laty pilotażu i wykonywał jedne z pierwszych lotów nad Warszawą. Kopia niestety z braku odpowiedniego silnika nie może latać, a Paweł Zołotow kołuje jedynie na aeroklubowym lotnisku w Radawcu. Jest rok 1956. Kilka lat temu, będąc z rodzicami w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie miałem okazję podziwiać ten niepozorny na zdjęciach, ale budzący ciekawość, samolot na ekspozycji.

Po przejściu na emeryturę Pradziadek konstruuje wiele ciekawych urządzeń i narzędzi ułatwiających pracę we własnym gospodarstwie rolnym. Część z nich dalej jest w użytku lub została odtworzona w kolejnych egzemplarzach.

Tak jak nie znamy i nie poznamy już prawdopodobnie pseudonimu partyzanckiego Antoniego, tak też nikt raczej nie znajdzie poszukiwanego od 3 pokoleń jego małego pistoletu. Broń z AK została zdana władzom ludowym w 1944 r., ale legendy rodzinne skłaniają do – jak sądzę – bezowocnych poszukiwań.

Tata opowiadał mi również historię z lata roku 1989. Wtedy pojawił się na naszej posesji przychodząc od pól, starszy człowiek z lornetką na szyi, który zapytał o Pradziadka Antoniego. Był to kolega z partyzantki, który na fali zmian politycznych ujawnił się i według opowieści chciał zorganizować zemstę po latach na człowieku, co do którego przypuszczał, że ich obu zadenuncjował Sowiетom w 1944 r. Pradziadek, człowiek niezwykle prawy i uczciwy, odwiódł go od tych zamiarów.

Historia życia i czyny Pradziadka Antoniego, w tym jego podejście do życia, w którym zawsze starał się znajdować pozytyw i służyć Ojczyźnie, są częścią naszej rodzinnej historii, historii naszej małej ojczyzny. Mój Ojciec nie tylko przeszedł zaawansowane „szkolenie partyzanckie” i pewnego typu „szkołę przetrwania” u swojego Dziadka (które to umiejętności częściowo i ja nabyłem), ale usłyszał i zapamiętał wiele opowieści, historii i dylematów moralnych trudnych czasów, które Pradziadek komentował słowami, które znamy z ust prof. Władysława Bartoszewskiego: „Warto być przyzwoitym”. To motto – niezależnie od sytuacji – przyświeca naszej rodzinie, w której główną wartością jest nie poddawanie się koniunkturalizmom, ale przyzwoite, moralne i prawe życie, tak by nie mieć sobie nic do zarzucenia. Etos robotnika państwowego II Rzeczypospolitej w bardziej nowoczesnym wydaniu.

157.

# Bogusia

Tomasz Jędrzejewski

—

## Kazimiera Gourmelin, z domu Olech

Magdalena Mróz-Dybowska

Historia, którą dzisiaj chce opowiedzieć, rozpoczyna się wiosną, roku pańskiego 1942. Zarządca małej, biednej wsi na Rzeszowszczyźnie (obecnie podkarpackie) ma obowiązek wyznaczyć grupę ludzi do przymusowej pracy w Niemczech. W grupie skazanych znajdują się dwie siostry – dziewiętnastoletnia Wanda i szesnastoletnia Kazimiera. Ich ojciec walczy na froncie, matka sama utrzymuje szóstkę dzieci i nie ma tej jednej rzeczy, o którą zawsze chodzi i którą można by wszystko załatwić – pieniędzy. Siostry zostają rozdzielone i siłą zaciągnięte do wagonów. Pociąg rusza, Polska zostaje w tyle. Przed dziewczętami - nieznane. Kazimiera trafia do małej miejscowości pod francuską granicą i... Jest mile zaskoczona. Pracuje ciężko, ale ma swój kąt i codziennie ciepły posiłek, na co nie mogła liczyć w ubogim, rodzinnym domu. Poznaje dwudziestoletniego, przystojnego Francuza o imieniu Dominique, który pracuje w pobliskim dworze. Młodzi zakochują się w sobie i spędzają razem wolne od pracy chwile. Tak mijają prawie trzy lata, mamy rok 1945, lato. Dominique jest zrozpaczony. Ukochana musi wracać do Polski, ale daje ukochanemu swój adres, obiecuje pisać list i mocno ściska go na pożegnanie, ocierając wielkie jak grochy łzy. W ojczyźnie okazuje się, że Kazia nie powróciła sama. Jest owoc ich miłości. Listownie wybierają imię dla dziecka i kilka miesięcy później, w Żyrakowie, rodzi się Zygmunt.

Wiosna roku pańskiego 1946. Wiadomości przychodzą z opóźnieniem. Komuniści nie patrzą na zakochanych łaskawym okiem. Dominique chce przyjechać po narzeczoną i zabrać ją do siebie, do Francji. Oczywiście nie otrzymuje na to zgody. Cenzura zatrzymuje listy, kontakt jest coraz bardziej utrudniany. Zdesperowany chłopak postanawia porzucić swój rodzinny dom i zamieszkać w Polsce. Władze nie wyrażają zgody również na to. Żadne z nich nie może pokonać granic, które ich dzielą. Dwudziestoletnia Kazia nie ma lekkiego życia będąc samotną matką w powojennej Polsce. W roku 1947 umiera ojciec Olech, który nigdy nie doszedł do zdrowia po powrocie z frontu. Kobiety zostają całkiem same. Jednak trzy lata starań skutkują zdobyciem wszystkich potrzebnych dokumentów. Dominique przyjeżdża i widzi swojego syna, Zygmunta, po raz pierwszy, gdy maluch ma już dwa i pół roku. Młody mężczyzna wraca z dzieckiem i narzeczoną do Francji, gdzie młodzi biorą ślub.

Polska roku 1972 – FJN wygrywa wybory (99,5% głosów), otwierają granicę między PRL i NRD, a do produkcji wchodzi nowy fiat 126p. Z tego też roku pochodzi ostatni list od Kazimieri, jaki przeszedł przez cenzurę i dotarł do rodziny w Żyrakowie. Kilka fotografii i listy – tyle zostało rodzeństwu po wesolej Kazi.

Rok 1989 przynosi nowe początki i nowe nadzieje. Matka i siostry próbują odszukać Kazimierę z pomocą różnych organizacji, między innymi przez Czerwony Krzyż, jednak bez rezultatów. Dziewczyna z Żyrakowa przepadła, jak kamień w wodę. Rok później matka umiera, nie wiedząc, co stało się z jej kochaną córką. Siostry kontynuują poszukiwania. Bez skutku. Wrzesień 2016 roku.

Urząd Gminy w Żyrakowie zostaje zaskoczony zagraniczną przesyłką. Od początku pismo sprawia trudności, gdyż jest napisane w języku francuskim. Z pomocą tłumacza udaje się odszyfrować list i okazuje się, że niejaki Sigismond Gourmelin prosi o informacje na temat rodziny o nazwisku Olech. Urzędnicy patrzą po sobie zdziwieni. Historia tego nazwiska kończy się na roku 1990. Przypadek sprawia, że trafiają na ślad najmłodszej z Olechówien – Heleny. Niestety, kobieta zmarła niespełna rok temu, w grudniu 2015 roku. Kontaktują się więc z jej synem, który wyraża zgodę na przekazanie swoich danych. Mijają dwa tygodnie. Do Stanisława dzwoni telefon, a w słuchawce pada pierwsze “Bonjour...”

7.10.2016 godzina 12:00

Zygmunt, jego żona Monique i tłumaczka Marzena zjawiają się punktualnie. Zwiedzają miejsce urodzenia Zygmunta i kościół w Straszcęcinie, w którym został ochrzczony. Na spotkaniu z kuzynami mężczyzna pokazuje powojenne dokumenty matki – Kazimiery, które pozwoliły jej wyjechać z kraju, oraz listy, które dostawała od rodziny. Ogląda pamiątki po swoich zmarłych dziadkach, ciotkach i wujkach, którzy nie dożyli jego powrotu do ojczyzny. Gość chłonie wszystko, pragnie zapamiętać każdy szczegół tej niezwyklej wizyty. Rodzina z Żyrakowa w końcu dowiaduje się, co stało się z ich ciotką. Dlaczego nigdy nie wróciła do Polski i jak trudne życia miała na emigracji, kiedy jej mąż został politycznym więźniem, dlatego nigdy nie nauczyła swoich dzieci języka polskiego, bojąc się konsekwencji...

Wydaje jej się, że takie historie zdarzają się tylko w hollywoodzkich filmach i tylko na dużym ekranie ludzie spotykają się po 50 latach i padają sobie w ramiona jak bracia. Opisana przeze mnie historia, ilekroć do niej wracam, niezmiernie mnie wzrusza. Łzy smutku towarzyszą mi zawsze na początku, kiedy pomyślę o młodej dziewczynie opuszczającej rodzinny dom, a później zmuszonej zostawić ukochanego i powrócić do powojennej, polskiej rzeczywistości. Uśmiecham się jednak zawsze na myśl o pogodnym Zygmuncie i Monice, którzy napełnili nas wszystkich radością i wiarą w to, że cuda się zdarzają..., że czasem, nawet po pół wieku, można trafić na ślad swego pochodzenia i poznać swoją tożsamość. Zresztą, nasza wspólna historia nie kończy się w 2016 roku. Zygmunt i Monique odwiedzili nas później raz jeszcze i wtedy poznali znacznie więcej polskiej kultury. Teraz dzwoniemy do siebie w święta, wysyłamy kartki i zdjęcia, a (znajomy już) kurier co roku przywozi pod choinkę paczkę ciasteczek, prosto z Bordeaux.

Helena, najmłodsza siostra Kazimiery, a moja babcia, zmarła niespełna rok przed przyjazdem Zygmunta. Nie było jej dane zobaczyć siostrzeńca i dowiedzieć się czegoś o losie utraconej siostry, o której często mi opowiadała.

Wiedziałam zawsze, że niesamowite historie kryją się pod imionami moich przodków. Jako dziecko uwielbiałam słuchać opowieści z dawnych czasów, jak to prababcia ukrywała Żydów, albo jak to pradziadek sprzedał cały majątek, by ratować chorą żonę. Już będąc dorosłą poznałam również te trudne, wstydlive i tragiczne – mniej chętnie przywoływane, ale równie ważne opowieści. Opowieść o Kazimierze, to tylko jedna z takich historii – najbliższa mojemu sercu, bo byłam świadkiem jej szczęśliwego zakończenia. Nie trzeba się wcale nazywać Piłsudski, żeby mieć w rodzie bohaterów walczących za ojczyznę, albo Heloizę, która pokonuje wszelkie trudności i bariery w imię miłości. Wystarczy tylko posłuchać rodziców i dziadków, odkurzyć stary album, by odkryć jak nieprawdopodobne wiedli życie. Każda taka historia opowiadana żyje dalej, pozwala budować naszą tożsamość i zrozumieć – skąd i kim jesteśmy.

Odkrywanie własnej historii to przywilej, na który my dziś – najedzeni i bezpieczni – możemy sobie pozwolić.

## Stąd jestem

Kamilla Gryszel

W mojej rodzinie nie mówi się o wielu rzeczach, a to milczenie wypełnione jest trudnymi doświadczeniami. Dzieciństwo mojej Mamy, jest uosobieniem ciszy dzwoniącej w uszach, niedopowiedzianymi zdaniem, wstydliwą przeszłością i samotnością. Wiele razy próbowałam tą przeszłość zrozumieć, ale była dla mnie niezdołowanym zamkiem i przez całe swoje życie, nauczyłam się kolekcjonować strzępy zasłyszanych informacji... „zginęła w płomieniach”, „ktoś musiał się nią zająć”, „zapil się z tęsknoty”, „była piękna, ale miała w sobie mrok”. Czy uda mi się z tych przekazów złożyć wiarygodną opowieść? Nie znalazłam w historii drugiej osoby, która miała tak trudne dzieciństwo jak moja Matka. Czy ja, jej pierworodna córka, mogłam wyjść z tej układanki bez szwanku? Ale zacznijmy od początku.

Jest grudzień 1967 roku, Święta Bożego Narodzenia, przychodzi na świat człowiek – dziewczynka. Jest oczkiem w głowie ojca... niestety do czasu. Dwa lata później ujawnia się niechciany lokator, potwór który rósł przez jakiś czas w ukryciu, próbując dać znać o sobie nagłymi migrenami - mówili na niego rak. I tak dziewczynka w wieku 3 lat nie miała już Taty, lecz mimo młodego wieku, ciągle pamiętała sukienkę, w którą była ubrana na jego pogrzebie.

W domu Mama nie umiała poradzić sobie z nagłą dziurą w sercu, którego fragment zabrał mąż odchodząc na tamten świat. Zniknęła kilka tygodni później. Dziewczynka musiała zostawić swój pokój, swoje zabawki, a w jej domu zamieszkała inna rodzina. Ona wyjechała na wieś.

Przez kolejne 3 lata swojego życia mieszkała u Dziadków, a jej życie wypełnione było spokojem i snem, bo bardzo dużo wtedy spała. Babcia pachniała makiem, każdego dnia przygotowywała mleko z makowych główek albo ze słomy makowej, które podawała dziewczynce wieczorem albo wcześniej. Miała, wtedy kolorowe sny - o Tacie który lata na skrzydlatych koniach i Mamie, która zabiera ją na pole czerwonych maków. Niestety w życiu dziewczynki nic nie trwało wiecznie.

Pewnego dnia życie na wsi skończyło się, nie było makowego mleka, wróciła z Babcia do miasta – ale tylko z Babcia. Zaczęła chodzić do szkoły, ale jej opiekunice nie służyło życie w mieście. Bardzo dużo się zamartwiała: o męża który sam został na gospodarstwie i lubił sobie wypić, o starszą córkę, która w końcu odnalazła się w więzieniu, o młodszą córkę która wyszła za niebieskiego ptaka i o samą Dziewczynką która niedługo znowu zostanie sama. Babcia nie dała rady się dłużej martwić, w małym mieszkaniu czuła się jak uwięziona w klatce, w końcu dołączyła do Taty Dziewczynki. Dziadek przyjechał wtedy się nią zająć, ale za bardzo tęsknił za Babcia, płakał, pił, chrapał i spał. Po 8 tygodniach się nie obudził i dołączył do Taty i Babcia.

Jak możecie się domyślić w tej historii pojawi się zaraz „zła macocha”, która zwykle występuje w baśniach. Nie była to jednak stereotypowa Macocha, a Ciocia, ale miała pewną cechę, która łączy ją z macochami z bajek – nie chciała być mamą Dziewczynki.

Dziewczynka miała drugiego Dziadka, który bardzo chciał się nią zająć – tylko nie mógł, ze względu na wiek i stan zdrowia sąd odmówił mu opieki. Drugi Dziadek obiecał, że będzie przysyłał pieniądze na utrzymanie Dziewczynki i zabierał ją na wakacje. Ciocia nie miała łatwo, niedawno straciła rodziców, jej siostra była w więzieniu, a jej mąż miał wyjątkowy „dar” – nie umiał utrzymać pracy, a w PRLu to była prawdziwa sztuka. Siostra pisała z więzienia, błagając by się nią zajęła. Ciocia wiedziała, że pieniądze od Drugiego Dziadka, pomogą jej i dwóm małym córeczkom. W końcu Dziewczynka zamieszkała w nimi, w małym dwupokojowym mieszkaniu: trójka dzieci i dwoje dorosłych.... przepraszam jedna dorosła, bo niebieski ptak wyfrunął z gniazda i nigdy do niego nie wrócił, sąd przypieczętował to wyrokiem rozwodowym.

Myśle, że Ciocia zapoczątkowała tak popularne dzisiaj przyjęcia rozwodowe, impreza była bardziej okazała niż skromny obiad po ich cywilnym ślubie. Dziewczynka w jej domu nie czuła się kochana i każdego dnia kolekcjonowała złość, której nie mogła wyrazić.

Mijały dni, aż jej Mama wyszła z więzienia, Dziewczynka miała wtedy 13 lat, słyszała obietnice, że niedługo zamieszkają razem. Mama starała się o prawo do opieki nad nią, nawet ponownie wyszła z mąż, żeby móc to osiągnąć, przyszykowała jej pokój i mówiła, że pójdzie do liceum, do dużego miasta i zamieszka z nimi. Podczas ich spotkań z Dziewczynki wylewała się skumulowana złość, uważała że gdyby Mama nie zniknęła po śmierci Taty, nigdy nie doszłoby do uwiezienia jej w domu Cioci. Przestała wierzyć w bajki, a tym bardziej w obietnice Mamy.

Miała racje, bo niedługo potem Mama zniknęła w dźwiękach trzaskającego ognia i udała się w to samo smutne miejsce co Tata, Babcia i Pierwszy Dziadek. Dziewczynka wiedziała, że jest zdana na Ciocię i musi wytrzymać, bo nie miał kto się nią zająć, gdyby ona też postanowiła umrzeć. Dziewczynka już wie, że niektórzy ludzie po prostu decydują się na śmierć. Zaciskała zęby, uczyła się pilnie, żeby tylko wyjechać na studia, jak najdalej...i odniosła sukces.

Tam poznała Jego - on miał kochającą rodzinę, w jego domu nikt nie nazywał jej sierotą. Nikt nie złościł się kiedy mówili o ślubie, a gdy pod jej sercem rosło nowe życie wszyscy się cieszyli. Tylko w domu u Cioci słyszała, że to błąd. Nigdy nie usłyszała przeprosin. Jak na to życie rosnące pod jej sercem wypłynęła jej przeszłość? Mogę Wam to opisać. Dorastając, widziałam silną kobietę, która potrafiła sobie poradzić ze wszystkim. Kobietę, która nigdy nie bała się, że zostanie sama. Kobietę, która nigdy nie pozwoliła, aby inni traktowali ją gorzej z powodu jej płci, wieku czy pochodzenia. Kobietę, która była sobą, nie hybrydą składającą się z dwóch połówek pomarańczy, czy równie inna skomplikowaną metaforą. Do dzisiaj jest sobą, czerpiącą z doświadczeń jej przodków – są dla niej drogowskazem, głównie tego jak NIE postępować. I ja zrobię to samo, będę popełniać swoje błędy, a nie te poprzednich pokoleń.

160.

## II MIEJSCE

# Stąd jestem!

Jan Boned Zys

Na imię mam Janek i mam 12 lat. Urodziłem się w Polsce, ale od zawsze mieszkam za granicą. Teraz mieszkam w Hiszpanii. Uczę się tutaj w szkole hiszpańskiej i w Szkole Polskiej przy Ambasadzie RP w Madrycie. Wcześniej przez kilka lat mieszkałem w Niemczech. Moja rodzina jest trochę mieszana, bo moja mama Ania jest Polką, a tata Jorge Hiszpanem. Mam też dwóch braci.

Bardzo lubię moją rodzinę w Polsce i jak tylko mogę to ich odwiedzam. Moi dziadkowie, Marysia i Bolek mieszkają w Środzie Wielkopolskiej niedaleko Poznania. Ich przodkowie pochodzili z Wielkopolski. Bardzo lubię słuchać opowiadań o nich. Najbardziej zaciekawiła mnie historia Klemensa Szczepańskiego, nauczyciela i żołnierza Armii Krajowej.

Klemens to tata mojej babci Marysi, dziadek mojej mamy Ani i mój pradziadek. Jego historia jest bardzo ciekawa. A było to tak...

Klemens urodził się w 1907 roku w Kłecku. Jego mamą była Leokadia, a tatą Wincenty, powstaniec wielkopolski z Kompanii Kłeckowskiej. Był z zawodu nauczycielem. Ożenił się z nauczycielką Seweryną Andrzejewską i zamieszkali w szkole w Gieczu, wiosce pomiędzy Środą Wielkopolską a Neklą. Klemens został tam kierownikiem szkoły, a Seweryna pracowała też jako nauczycielka. Pradziadek bardzo lubił to miejsce, bo było ciekawie położone, na takich jakby górkach. Były tam też stawy, a on lubił łowić ryby. Zawsze mówił, że to miejsce jest tajemnicze. No i miał w sumie rację, bo potem odkryto tu Gród Pierwszych Piastów.

Klemens ukończył też Szkołę Podchorążych i uzyskał stopień podporucznika rezerwy. Gdy wybuchła II wojna światowa, poszedł na wojnę. Zabrał tylko zegarek od swojego taty i medaliki od swojej mamy. Seweryna została w Gieczu z małymi dziećmi – Miłozsem i Wojtkiem.

Jego oddział walczył z Niemcami i Sowiecami. We wrześniu 1939 roku został wzięty do niewoli przez Rosjan w okolicach Hrubieszowa. Sowieci kazali im oddać broni i powiedzieli, że będą mogli wracać do domu. Ale to okazało się kłamstwem. Szli, jak wytłumaczyła mi babcia, trójkami, na Wschód na pewną śmierć. Na szczęście Klemensowi udało się uciec. Jego kolega przy rewizji nie oddał granatu. Klemens powiedział mu, że ma go schować, bo może się przydać. No i się przydał... Pewnej nocy, gdy była duża mgła, a Sowieci zasnęli przy ognisku, obydwaj uciekli. Gonili ich Sowieci z psami, ale rzucili granat i na szczęście ich nie złapali..... Po wojnie pradziadek dowiedział się, że jego oddział dotarł na Wschód, a koledzy zostali zabici. Ich nazwiska odnalazł potem na Liście Katyńskiej...

Droga do domu była bardzo długa, trudna i niebezpieczna. Musieli iść nocami. Na szczęście po drodze pomagali im dobrzy ludzie. Babcia powiedziała mi, że trafili do wsi



Garbatka, gdzie mieszkał szewc. Wraz z żoną dali im pyszną zupę naworke. Pamiętał jej smak do końca życia. W domu szewca zostawili mundury i przebrali się za robotników. Podczas ucieczki pradziadek trzy razy uniknął aresztowania. Klemens miał ciemną twarz i włosy i z wyglądu przypominał Żyda. Babcia mi powiedziała, że w naszych żyłach płynie też trochę włoskiej krwi, bo babcia Klemensa (mama jego mamy Leokadii) Salomea Figetti pochodziła z Włoch i była na dworze hrabiny Żółtowskiej herbu Ogończyk w dworze w Nekli. Może dlatego miał taki inny wygląd. Uciekł Niemcom na moście, na rynku i w pociągu. Wtedy to jakaś Niemka w czasie kontroli powiedziała Niemcom, że jest jej synem.

W końcu, po wielu ciężkich tygodniach, w październiku, wrócił do Giecza. Rzucił piaskiem w szybę domu. Seweryna bardzo się przestraszyła, bo myślała, że to Niemcy. Gdy jednak ulubiony pies Klemensa, Lord, zaczął szczeekać i machać ogonem, to już wiedziała, że to nikt obcy. Klemens nie mógł jednak zostać w domu, bo było bardzo niebezpiecznie. Niemcy aresztowali inteligencję i dlatego musiał ukrywać się w wiatraku niedaleko Giecza w Dzierżnicy. Wrócił do domu dopiero gdy zrobiło się bezpiecznie.

Klemens choć był nauczycielem, musiał pracować jako robotnik drogowy, bo tak kazali mu Niemcy. Układał bruk. Dostał pracę u Niemca Reimera, który był dobry i pomagał Polakom. Jego żona Zofia była Polką. Pradziadek narażając życie, potajemnie nauczał polskie dzieci języka polskiego, matematyki i historii. Razem z prababcią działali w podziemiu. Chowali w domu polskie książki, ulotki i pomagali wielu Polakom.

Klemens działał w konspiracji pod pseudonimem Bruk I. W 1942 roku wstąpił do Armii Krajowej. Był dowódcą plutonu i podlegało mu 60 żołnierzy. Żołnierzom AK było jednak ciężko, bo brakowało im broni. Pomógł im polski rząd w Londynie. We wrześniu 1943 roku, czyli dokładnie 80 lat temu, w lesie w Janowie koło Środy Wielkopolskiej, dokonano zrzutu broni. Była to tajna akcja pod nazwą „Riposta”. Klemens brał w niej udział i był dowódcą jednej z grup. Pradziadek był zdenerwowany przed akcją. Mówił prababci, że noc jest za jasna i że akcja może się nie udać. Polacy mieli latarkami pokazywać samolotowi miejsce do zrzutu. Nocą nadleciał ogromny samolot HALIFAX Nr S-172 z brytyjską załogą. Była jasna noc i samolot długo krążył, aż w końcu spadły spadochrony ze skrzyniami z bronią. Polacy schowali je w lesie i poszli do domów. Jednak Niemcy dowiedzieli się o akcji, znaleźli brón i aresztowali 200 żołnierzy AK. W lesie w Janowie, postawiono pamiątkową kapliczkę. Odwiedziłem to miejsce z babcią. Kapliczka stoi obok pola, na które zrzuciono broń. Są też ustawione tablice z informacjami o zrzucie. Okoliczni mieszkańcy pamiętają o tym wydarzeniu bo zginęło tam wielu ich krewnych.

Klemens też został aresztowany. Babcia mówi, że ktoś na niego doniósł. Zabrano go do Poznania na Gestapo, a potem wysłano do obozu w Żabikowie – Poggenburg. Stamtąd napisał prababci kartkę pocztową po niemiecku, bo po polsku było zakazane. Kartkę tę ma moja babcia. Przeczytałem ją sobie i przetłumaczyłem, bo znam niemiecki. Pradziadek poprosił o mydło i pastę do zębów i wszystkich pozdrowił.

W Żabikowie był 7 tygodni. Dostał numer 77236 i uznano, że jest więźniem politycznym. Wszystko mu zabrali, udało mu się schować tylko medaliki. Był przesłuchiwany przez urzędnika niemieckiego. Kiedy zapytał o jego zawód, Klemens powiedział „Ich bin Lehrer” – „Ja jestem nauczycielem”. Urzędnik na to „Ich auch” - „Ja też”. Chwilę się zastanowił i wysłał go do Austrii, do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, do podobozu Loibl-Pass. Mówiono, że ten obóz nie jest taki straszny jak inne. Pracował tam w kamieniołomach w Alpach i z innymi więźniami musiał kopać tunel z Austrii do Jugosławii. W obozie Klemens był bardzo chory.

Niemcy powiedzieli, że jak nie wyzdrowieje, to go zabiją. Myśleli, że to tyfus. Na szczęście pomógł mu jeden z więźniów, czeski lekarz i Klemens wyzdrowiał. Z obozu napisał list do Seweryny, który do tej pory ma moja babcia. Udało się go odnowić w specjalnym zakładzie i można go odczytać. Ale to dziwne uczucie, bo miałem w rękach prawdziwy list z obozu koncentracyjnego z 1944 roku...

W maju 1945 roku powoli kończyła się wojna. Niemcy zaczęli likwidować obóz. Kazali więźniom iść piechotą 400 km do obozu Mauthausen. W czasie tego marszu partyzanci z Jugosławii zaatakowali Niemców i uwolnili więźniów. Niektórzy z nich dołączyli do partyzantów a inni, tak jak Klemens poszli na południe. Po drodze spotkali żołnierzy amerykańskich, którzy jechali wyzwolić obóz. Oni kazali iść więźniom dalej. W ten sposób Klemens dotarł do Włoch i wstąpił do 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych generała Andersa. Był w 13 Kompanii Warsztatowej koło Ankony.

W 1946 roku trafił do Anglii, gdzie był w obozach przesiedleńczych, a w 1947 roku wrócił statkiem do Polski. Przyplłynął do Gdańska. Przywiózł medaliki od mamy, które ukrywał całą wojnę. A zegarek udało mu się odebrać po wojnie z depozytu (prababcia Seweryna znalazła ogłoszenie w gazecie, że oddają rzeczy zabrane więźniom).

Po wojnie pradiadek został kierownikiem szkoły podstawowej w Nekli na wiele lat. Uczyła tam też Seweryna. Obydwoje zrobili bardzo dużo dla mieszkańców Nekli. Prowadzili świetlicę, chór, zespół tańca i bibliotekę. Babcia Marysia powiedziała mi, że jej tata grał na skrzypcach, lubił śpiewać i że kupował dla niej cukierki.

Po wojnie i po pobycie w obozach Klemens bardzo chorował. Umarł w 1964 roku. Miał tylko 57 lat. Seweryna dalej pracowała w szkole i zmarła 30 lat później. Ich dzieci Miłosz, Wojtek i Marysia też zostali nauczycielami.

Pradziadkowie są pochowani na cmentarzu w Nekli. Na grobie jest tabliczka "Tu spoczywa żołnierz AK". Mieszkańcy Nekli pamiętają o Klemensie. Ulicę, przy której znajduje się nowa szkoła, nazwali jego imieniem.

Kiedy jestem w Polsce jeżdżę też do Nekli na wakacje do dawnego domu pradiadków. Za domem jest park. Przechodzimy przez niego i idziemy na cmentarz zapalić lampki na ich grobie. Gdy jadę ze Środy do Nekli po drodze widzę miejsca związane z pradiadkami: szkołę w Gieczu, wiatrak, w którym ukrywał się Klemens, szkołę w Nekli.

Babcia Marysia opowiedziała mi tę ciekawą ale i smutną historię. Zobaczyłem też wszystkie pamiątki, które mają już kilkadziesiąt lat - zdjęcia, listy, numer z obozu, dokumenty, medaliki, zegarek, mundur. Wiele informacji znalazłem też w internecie. Z mamą poszukaliśmy wiele dokumentów w Archiwum Arolsen w Niemczech. Pomimo tego, że mieszkam tak daleko od Polski, to jestem dumny z tego, że mam takich przodków. Była to dla mnie niezwykła podróż do przeszłości. Teraz wiem, skąd jestem.

Janek

161.

## III MIEJSCE (Ex aequo)

# Stąd jestem!

Carlos Boned Zys



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stąd jestem

Natalia Ziemichód

Kiedy myślimy o definicji przeszłości przychodzi nam na myśl „czasy, które już minęły” jednakże - przeszłość to także ludzie, który ja tworzą oraz zostają w naszych wspomnieniach, to oni ukazywali nam drogę, która należy się kierować, to oni nauczyli nas wielu potrzebnych do życia umiejętności, to dzięki nim żyjemy.

Części z nich, pomimo trudnych czasów w jakich żyli, głównie w okresie dwóch wojen światowych, udawało się założyć rodzinę i dożyć podeszłego wieku, mój pradziadek ze strony ojca - Paweł przyszedł na świat w 1905 roku, na jego oczach rodziła się historia między innymi: zatonięcie słynnego Titanica, obie wojny światowe odzyskanie przez Polskę niepodległości, narodziny nowych technologii (radio, telewizja) czasy ciężkiego PRL-u oraz powstanie NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”. Pradziadek nie brał czynnego udziału w akcjach wojennych, lecz pracował w zasobach rezerw narodowych, w jego gospodarstwie, w którym mieszkał stacjonowali niemieccy żołnierze, zaś po drugiej wojnie żołnierze radzieccy - ze względu na wydajność gospodarstwa oraz lokalizację, zmarł 2004 roku, pięć miesięcy przed swoimi setnymi urodzinami, jednocześnie zostawiając po sobie medal od Ministerstwa Obrony Narodowej „za zasługi w obronności kraju”.

Część niestety nie miała tak spokojnej oraz łatwej rzeczywistości, jednakże poczucie obowiązku względem ojczyzny było dominujące przed podjęciem decyzji o założeniu rodziny, mój pradziadek od strony matki - Bronisław urodził się w 1915 roku na zachodzie kraju w pobliżu czeskiej granicy, kiedy wybuchła druga wojna miał 24 lata z poczucia obowiązku względem ojczyzny zdecydował się wstąpić do wojska polskiego, aktywnie walczył na froncie, jako weteran wojenny nigdy nie uczestniczył w organizowanych przez szkoły spotkań z kombatanami, traumatyczne przeżycia czasów wojennych odcisnęły na jego psychice bolesne piętno, z którym nie umiał się dzielić z innymi.

W moim odczuciu, obie postawy są na równi w gestii ważności, pierwsza pozwoliła na rozwój rodu dzięki czemu jestem w stanie przekazać tę historię dalej, druga zaś przyczyniła się do tego, iż nasza ojczyzna w obecnych czasach jest wolna od różnych agresorów, który hamowali jej rozkwit. Ważne jest to, żeby pamiętać o własnych przodkach, aby historia o nich nie została zapomniana.

## **Major Marian Bernaciak „Orlik” – bohater ziemi ryckiej**

**Nikodem Bernaciak**

O majorze Marianie Bernaciaku „Orliku” po raz pierwszy usłyszałem na początku 2008 r. Na popularnym wówczas, a dzisiaj już nieistniejącym portalu internetowym nasza-klasa.pl napisał do mnie osobiście jego bratanek, zachęcając do zainteresowania się życiorysem Żołnierza Niezłomnego, który nosił to samo nazwisko, co ja. W czerwcu zaprosił naszą rodzinę do miasta Ryki na uroczystości z okazji 62. rocznicy śmierci „Orlika”. Szybko okazało się, że łączy nas nie tylko nazwisko. Najstarsi członkowie rodziny uświadomili mi, że mój pradziadek Stanisław Bernaciak urodził się w 1897 r. we wsi Przykwa – zaledwie 4 kilometry na północ od wsi Zalesie, gdzie 20 lat później urodził się Marian. Jego ojciec Michał – skromny rymarz, ale też radny gminy Ryki – pochodził z pobliskiej wsi Czernic, która podobnie jak Przykwa należy do parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Kłoczewie. Dzięki tamtejszym księgom metrykalnym udało się potwierdzić, że obie linie rodu Bernaciaków sięgają swoimi korzeniami co najmniej końca XVIII w. – jego najstarszym znanym przodkiem był Bartłomiej Bernaciak (zm. 1829), syn Łukasza, a moim – Tadeusz Bernaciak (zm. 1831), syn Kazimierza. Nasze odkrycia genealogiczne szybko zaowocowały zjazdem rodziny Bernaciaków w 2014 r., na którym zjawili się przedstawiciele obu linii w liczbie około 100 osób z całej Polski.

Życiorys Mariana Bernaciaka najpełniej opisał Mirosław Sulej w 600-stronicowej biografii wydanej w 2015 r. Urodził się w Zalesiu 6 marca 1917 r. Jego brat Lucjan wspominał, że w domu Bernaciaków „szczególną rolę wychowawczą sprawował ojciec, dbając o taktowne zachowanie się na zewnątrz oraz przestrzeganie zasad religijnych”. Ukończywszy szkołę powszechną w Rykach, Marian w latach 1932-1937 uczęszczał do renomowanego Gimnazjum Państwowego im. księcia Adama Czartoryskiego w Puławach. W latach 1937-1938 odbywał naukę w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii nr 2 w Zambrowie. Po kilkumiesięcznej służbie w 2. Pułku Artylerii Ciężkiej Ziemi Chełmskiej im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Chełmie, 24 września 1938 r. jako 21-latek został przeniesiony do rezerwy w randze plutonowego podchorążego. Z dala od wojska udało mu się spędzić zaledwie niecały rok, pracując jako urzędnik kontraktowy w Urzędzie Pocztowym w Sobolewie.

We wrześniu 1939 r., wzięwszy udział w wojnie obronnej jako podporucznik, uciekł z sowieckiego transportu jeńców na wschód, wyłamując deski z podłogi wagonu. Do 20 listopada 1943 r. mieszkał w Rykach – na pozór prowadząc życie cywila, prowadzącego księgarnię i drukarnię, lecz w konspiracji pełniąc jako „Dymek” funkcję jednego z najważniejszych dowódców tamtejszej Armii Krajowej. Po zadenuncjowaniu, już jako „Orlik”, opuścił Ryki, by skupić się odtąd na bezpośredniej walce zbrojnej. Przez wiele miesięcy wraz z podległymi mu żołnierzami chronił okoliczną ludność przed Niemcami, granatową policją, komunistami

oraz pospolitymi bandytami. 3 maja 1944 r. w środku lasu dla jego oddziałów w środku lasu urządzono obchody podwójnego święta – Najświętszej Maryi Panny Królowej Korony Polskiej oraz Konstytucji 1791 r., z uroczystą Mszą świętą. Uroczystość „wywarła na ludności ogromne wrażenie, po raz pierwszy, po trudnej, ciężkiej niewoli – ludność mogła zobaczyć maszerujące polskie leśne oddziały”.

26 lipca 1944 r., gdy Niemcy opuścili tę część Polski, „Orlik” na krótko zajął Ryki, co zostało udokumentowane jego słynnym zdjęciem na koniu i do dziś regularnie odtwarzane jest przez miejscowe grupy rekonstrukcyjne. We wrześniu 1944 r., po nieudanej próbie marszu na pomoc walczącej Warszawie, objął funkcję dowódcy wszystkich oddziałów na terenie Inspektoratu Puławskiego AK, a wiosną 1945 r. – AK-WiN. Jak sam podkreślił w swej odezwie do narodu: „Zaraz w pierwszych dniach przyszło rozczarowanie. System policyjny nowego okupanta zagroził mnie i wielu innym drogę”. W tym roku miały zatem miejsce najbardziej spektakularne akcje „Orlika” – uwolnienie 107 więźniów z gmachu Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Państwa w Puławach 24 kwietnia i zwycięstwo nad komunistycznymi oddziałami UB, KBW i NKWD w bitwie w Lesie Stockim 24 maja. Latem 1945 r. podjął decyzję o dyslokacji zgrupowania i przejściu do walki dywersyjnej, którą kontynuował przez kolejny rok, aż do śmierci.

„Orlik” zginął 24 czerwca 1946 r., w przeddzień sfałszowanego „referendum ludowego”, zdradzony przez sołtysa wsi Piotrowek, gdzie zatrzymał się, by podkuć konia. Został tam schwytany w zasadzkę milicyjno-wojskową i postrzelony, co uniemożliwiło mu skuteczną ucieczkę. Wciąż nie znamy pewnych okoliczności jego śmierci. Jeszcze w 2018 r. Michał Bernaciak twierdził: „Pojawiają się dwie wersje tego wydarzenia – jedni twierdzą, że stryj zginął, a drudzy, że sam się zabił”. Co najmniej dwie osoby – milicjant i żołnierz – twierdziły, że dobiły go osobiście. Miejsca pochówku Mariana Bernaciaka nie znamy aż do dnia dzisiejszego. Jego groby na warszawskim Bródnie oraz w Rykach są jedynie symboliczne. W 2020 r. w miejscu śmierci „Orlika” odsłonięto nowy krzyż, zawierający wezwanie: „Cześć i Chwała Bohaterom, którzy oddali swe życie w nierównym boju z sowieckim najeźdźcą o Polskę Niepodległą i Chrześcijańską”.

Rodzice „Orlika” doczekali śmierci własnego syna. W 2017 r. miałem okazję rozmawiać z majorem (obecnie podpułkownikiem) Stefanem Pastewką, który w 1946 r. siedział w jednej celi z Michałem Bernaciakiem i był świadkiem wezwania go do zidentyfikowania ciała Mariana. Twierdził, że po powrocie do celi był on już innym człowiekiem – wciąż silnym na ciele, lecz osłabionym na duchu. Wkrótce zwolniony, zmarł w 1953 r. Matka „Orlika”, Marianna, zmarła dopiero w 1983 r. Elżbieta Wojciechowska wspomina, że uczęszczała na lekcje religii, które odbywały się w jej domu. „Była uosobieniem dobroci i religijności. Mimo tych cierpień, jakich doznała ona i jej rodzina, nie było w niej śladu zgorzknienia czy pretensji, że los ją tak doświadczył. Przeciwnie – często powtarzała, że «taka widać była wola Boża»”.

Równoległe do naszego rodzinnego zainteresowania „Orlikiem” rosła skala jego upamiętnienia w społeczeństwie polskim. 1 marca 2010 r., w 59. rocznicę wykonania wyroku śmierci na siedmiu członkach IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Prezydent RP Lech Kaczyński przedstawił w Sejmie swój ostatni projekt ustawy – o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, uchwalony i podpisany w kolejnym roku przez jego następcę, Bronisława Komorowskiego. W 2011 r., na fali rozpoczynającej się wówczas swoistej mody na „Wyklętych”, Marian Bernaciak został bohaterem drugiego tomu komiksów z serii „Wilcze tropy”. W 2017 r. został sportretowany przez Piotra Zarembę w powieści pt.

„Zgliszcza. Opowieści pojałtańskie”, a w 2019 r. stał się jednym z protagonistów powieści Krzysztofa Gołucha pt. „Czerwona zemsta”. W 2016 r. podobizna „Orlika” została wydrukowana nawet na koszulce wydawanej uczestnikom corocznego biegu „Tropem Wilczym” upamiętniającego „Wyklętych”, który od tamtej pory ukończyłem w niej już 6 razy. 24 czerwca 2018 r., w 72. rocznicę śmierci „Orlika”, miało miejsce uroczyste otwarcie poświęconej mu Izby Pamięci w siedzibie Miejsko-Gminnego Centrum Kultury w Rykach. Uroczystość tę, w której również miałem okazję wziąć udział, zaszczyliła swą obecnością Wanda Piotrowska – siostra „Orlika”, wówczas 87-letnia, która kilka tygodni wcześniej odebrała z rąk Szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jana Józefa Kasprzyka Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari w 73. rocznicę formalnego nadania go jej bratu przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Szef UdSKiOR zwrócił wtedy uwagę na stan niekonsekwentnej postawy wobec orderu Virtuti Militari, którą formalnie zdają się wciąż przejawiać władze państwa polskiego.

28 czerwca 2021 r. rodzinną miejscowość „Orlika”, Zalesie, odwiedził z okazji 75-lecia jego śmierci Prezydent RP Andrzej Duda. Zapytałem go wtedy, kiedy ordery Virtuti Militari zostaną odebrane pięciu uczestnikom komunistycznej obławy na Mariana Bernaciaka. To pytanie niestety wciąż nie doczekało się odpowiedzi. Rządzący Polską komuniści całymi dekadami usiłowali usunąć z przestrzeni publicznej wszelkie wolne od ich cenzury wspomnienia o „Orliku”. Przez długie lata najbardziej poczytną pozycją literacką poświęconą „Orlikowi” pozostawała propagandowa książeczka Zenona Strzeżnińskiego pt. „«Orlik» zostawia ślad” wydana w 1980 r. przez PRL-owskie Ministerstwo Obrony Narodowej w serii „Żółty Tygrys”, gdzie w sierniowym stylu przedstawiono Mariana Bernaciaka jako reakcyjnego bandytę. Doprowadzono do sytuacji, w której przez kilkadziesiąt lat nawet samo wspomnienie go w rozmowie prywatnej budziło niepokój. Ostatnich kilkanaście lat wydaje się zbyt krótkim okresem na ponowne osvajanie społeczeństwa z prawdą o nim. Odebranie orderów jego oprawcom stanowiłoby zatem zasłużone, symboliczne rozliczenie się obecnych władz państwa polskiego z błędami formalnych poprzedników.

Pamięć o Marianie Bernaciaku jest wciąż żywa wśród członków jego rodziny i mieszkańców ziemi, z której pochodził. Jest naszym bohaterem jako „człowiek z ludu”, który, otrzymawszy od Rodziny i Ojczyzny nie majątek czy przywileje, ale solidne wychowanie w duchu chrześcijańskim i patriotycznym, w pełni odwzięczył się im, przekuwając te wzorce w czyn, nawet za cenę utraty własnego życia. Przykład „Orlika” wciąż inspirowa młodych ludzi, w tym członków rodziny i mieszkańców ziemi ryckiej, ku gotowości do bezinteresownego poświęcenia doraźnych wygod i osobistych korzyści dla dobra wspólnego, niezależnie od warstwy społecznej, wieku i doświadczenia posiadanego w momencie próby. Sam mam w tym momencie 29 lat – tyle samo, co „Orlik” w chwili swojej śmierci. Zetknąwszy się z jego życiorysem i dziedzictwem tak wiele razy w ciągu ostatnich kilkunastu lat, nie sposób nie zdawać sobie sprawy z tego, jak wiele nasze pokolenie zawdzięcza rówieśnikom sprzed dekad, którzy oddali swą młodość w ofierze na rzecz Ojczyzny.

# Stąd jestem

Aneta Wiczorek

Bery i bojki ludzie ło słonozkach łosprowajom, godki z szuflodki i cygaństwa niekiery ukodajom. A jo jest dziołcha we Piekarach Ślonskich chowano, łod małego bajtła godkom ślonskom futrowano. I bezto terozki łod siebie sama, napisa wom ło starzyku Jozku co zech chciała...

Starzyk Jozek (do kamratów Zeflik) to był gryfny karlus z Pickor. Łod małego bajtła mjyszkoł z bratym i familijom przy grubie kaj jego łojciec fedruwoł. Zawsze godoł jak to jego mamulka dobrze warzyła. A to chlyb pijkła i żymyły i po szychie łojca dowala na wjecerzo wodzionka i krupnioki ze świniobicio, a to sztrykowała. A to przykodała wonglym do kachloka, co by cug był. A to na niydziela pijkła zista i kulała kloski. Do casu jak chned śmjyrć po niya przysza... A i łojca mjoł fest robotnego. Bo dowoł pozor na wszystko i bakoł niy ino na grubie, ale i jak każdy bamber na polu! Bo familijo miała bamberstwo.

Godaliy u niego w doma sztyjc po ślonsku, bo starka ze starzikiem tak ich naucyli. We szkole tys Zeflik z chopcami klachoł po ślonsku, ale to zawodzalo rechtorce i kozoła godać ino cysto po polsku. Bajtle jak to bajtle - culi sie jak gorole, ale cza było przymknońć łoko i tyła, bo żodyn niy był pieron i w gowie mu niy baje były. Jeno sztyjc cosik Zeflikowi szteruwało w gorolski godce... Bo łon był Ślonzok z cysty krwi, a niy krojcowany. Aż go morzisko chytało i do haźła lotoł jak musioł po polsku godać... I tak minyło pora lot, naucyl sie rozto-majtych rzeczy i jak jus był srogi w 1939 roku wybuchła wojna. Zawsze godoł, że niy boł sie beboków bo pamintyło o łojcowiźnie i ino łobrozek szczynśliwy familijy jaki mioł w gowie, dowoł mu siyła by żyć i łazić przed sia! Bezto jak przyszoł z wojny zacył budować chałupa i jak erbnył bamberstwo po łojcu łostoł bambrym. Niy było we wsi żodnego co by go niy szanuwoł. Starzyk Jozek był fest akuratny i niy robjył żodnego za błozna. Kozdo frelka za nim paczała, a kozdy pachoł chioł być taki jak łon! "Boże pomogej!" godali mu ludziska we wsi jak na polu widzieli go mocić. Dziwuwali sie tys skond łon mo tyła ty siyły, bo wyjncy niż łozym godzin robjył a szłapa mjół przeszczelono po wojnie. A Jozek ło dziołchach niy myśłoł, bo ino godoło, że żyniacka to darymny futer! Bo boł sie i woloł być som... Aż roz, drugi poszed na wesele bo i był wodzirejym co godoł wice i tam poznoł gryfno rajculka Zofija. Łod poczontku wjedzioł, że to ta jedyno bo widzioł, że frelka mo łolyj w gowie! I potem jak łaził na zolyty coroz barziji ji pszoł. I wzion se jom za baba. Kozdymu sie jego lipsta fest podobala bezto ani sie niy łobejrzoł, a jus był wysztigluwany na farze i mu ujek rychtowoł binder na wesele. A potym mjeli jedynego synecka - mojego opa Antka. Durś pomału rychtowali chałupa, starzyk Jozek dowoł z siebie jak nojwjyncy! Starka Zofija sztyjc warzyła łobiady, rychtowała kołocz ze skórcizom i posypkom, przewzuszt, szałot bo to podstawa kustu i robjyla inksze rzeczy, a i łon sztyjc coś robjył. Niy kurził i niy pioł, z życio mioł wyjncyj bo ino godoł, że chcioł tak jak jego łojciec - mieć familijo co by a nia ślypia wlepić,



ale sie boł. I dostał skrzydeł, zmiynił sie niy do poznanio jak trefył Zofija. Bo łona niy ło lontach myślała, niy o łobykaniu sie ino ło robocie, ale była przy tym wicno. I pokazała mu, że idzie byż uraduwanyim koźdego dnia. Zowdy uśmichniynty starzyk Jozek, kiero miol moc roztomajtych talyntów dostowoł tys gyszynki i roztomajte nagrody za bambra i za wojoka! A na stare lata łod roboty pokrzywiony, chicoł Antkowi pokozac co i jak, ale Antek sie jesse niy imoł, choć koźdymu godoł: “U nos w doma, opa i wyrfel mały, durch mo pychol fest uraduwany”. I to była prowda. Bo to sztajger z gruby w ancugu przyszol po porada, to zaś przykula a sie jakoś klachula, a to somsiad soroń świdraty cos chcioł požycac. A i z gorolami byli kamraty, bo Jozek niy paczoł na pochodzynie ino na to wto jakie mo serce. W doma zawsze mieli maszкеты co tak dobrze smakuwały, że koźdy na byzuchu aż szczewiki sebuwoł! I choć casym psińco z tego ło stało, Jozek raduwoł sie bo chałupa była pełno ludzi.

A nojważniejsze maszкеты przeca to niy były apluzyny czy tomaty abo szekulada, ale łoni, bo barży przepadzitym niż na maszкеты idzie być na cyjeś dobre serce! Koźdy umjy sie to wyforszteluwać. A za chałupom Jozek w łogyn by skocył, tak ji pszoł. Ucył Antka tradycji i durch ło sprawjoł z Zofijom po ślonsku co by synecek niy był ciućmok i cegoś sie naucył i by mu sie godka ślonsko poprawjyła. Ale ło opie Antku to jus inno ło powieść przeca. Prowda?

Dzisiej, w tym świecie co stałe nom godają jak żyć, a to co godajom ino do hasioka idzie bele kaj wrazić, pocuła zech że Ślonsk to richtig moja łojcowizna i zech jest rada, zech hanyska. Pora lot tymu farosz wydoł ksionzka ło Dombrowce - dzielnicy Piekor i tam znodłach zdjyncie kaj starzyk Jozek i bambry ze wsi stojom razem. I piśe ło niym. Mom pamiontka do końca zycio. Bo cas leci, goniymy za piniondzym, zminio nom sie casym jynzyk, zwyki ale zymnia jest durch ta sama i nasze grzychy tys. Łazymy po prochach naszych starzyków by drapko spolić sie w blasku krótkiogo zycia co lichu blinduje. Niy ma beblanio! I tak wszystko, cało historia tocy sie kołym...

Idzie se ciepać, wadzić i szamotać, ale tako ło powiastka ło moji gryfnyj familiji i starzyku Jozefie umjy koźdego karlusa i koźdo frelka łomotać! Do koźdego to bydzie cosik inkszego, niy ańfachowego ale tyn wto chce poznać starzka Jozka niy znojdzie nikaj naprowdy nie lepszego! Niy byda sie asić, ale polecem Wom Kamraty z cołkiygo serca. Bydziecie mieć kupa uciechy i może wzruszynio...

PS. Pracę konkursową napisałam w gwarze śląskiej, z racji tego, że jestem od dziecka mieszkanką Piekar Śląskich (konkretnie dzielnicy Dąbrówka Wielka), a dialekt śląski jest częścią mojej tożsamości. Nie wstydzę się ani swojego pochodzenia, ani tego, że w moim rodzinnym domu “godomy”. Jestem tak jak moi bliscy - Ślonsok i nie wyrzekam się tego. W pradziadku Józku (ur. 1903 roku) - rolniku, ujęły mnie nie tylko gościnność, wierność tradycji i ówczesnym wartościom, ale i dyscyplina idąca w parze z determinacją. I to, że mimo przeżycia wojny (i odniesionych w walce ran nogi), utraty najbliższych, ciężkiej pracy (zarówno na gospodarstwie jak i przy budowie) i przeciwnościom losu, do końca wierzył w to, że ludzie są dobrzy. I miał w sobie prostą radość zycia. Tylko tyle, AŻ tyle. Mój ukochany dom, wybudowany jego rękami i archiwalne fotografie zarówno ze wspomnianej książki jak i rodzinnego albumu natchnęły mnie do uczynienia go bohaterem mojej opowieści.

## Babcia Irka – kobieta, która kształtowała moją rodzinę

Anna Ryżek

Moja babcia Irka zawsze była typową, dobrą babcią. Kiedy byłam małą, zawsze mnie rano odprowadzała do przedszkola. Gdy trochę podrosłam, zostawała ze mną na placu zabaw po lekcjach w podstawówce, abym mogła bawić się z przyjaciółkami. Nawet kiedy byłam już w liceum i babcia niestety traciła pełną sprawność ruchową, nadal codziennie rano wstawała, aby przygotować mi śniadanie, a po powrocie z szkoły częstowała mnie pysznym obiadem.

To była osoba, która nauczyła mnie przygotowywać chruściki, pączki i inne słodkości, pomagała mi tworzyć ludki z kasztanów jesienią oraz opowiadała fascynujące historie ze swojego życia, które do dziś uwielbiam słuchać.

W bieżącym roku moja babcia obchodziła 90. urodziny. Nietrudno więc policzyć, że kiedy wybuchła II Wojna Światowa miała zaledwie 6 lat. Na świecie był już jej młodszy o 5 lat brat. Jej ojciec musiał wtedy wyjechać na front, a matka musiała podjąć pracę, co spowodowało, że na niej spadł obowiązek opieki nad bratem. Mimo młodego wieku, dzielnie sobie radziła i opiekowała się również innymi dziećmi na podwórku. Jej dzieciństwo nie należało do spokojnych – kilkakrotnie musiała się przeprowadzać ze względu na bombardowania. Mieszkała wtedy między innymi na poznańskim

Chwaliszewie i Jeżycach. Niedawno dzięki Facebookowi udało jej się na znaleźć stare zdjęcia Poznania, na których pokazywała mi, które okno należało do jej mieszkania oraz opisywała okolicę.

Niektóre kamienice stoją do dziś, a babcia zawsze się cieszy, kiedy pokazuje jej aktualne zdjęcia tych miejsc. Babcia bardzo pragnęła się uczyć, ale wszystkie szkoły prowadzone były po niemiecku. Poszła ona więc po podstawówki w wieku 7 lat, ale przez nieporozumienia trafiła od razu do 2 klasy, ponieważ bez problemu rozwiązywała równania matematyczne. Zawsze uczyła się sumiennie, a w technikum, gdzie przygotowywała się do zostania księgową, uzyskiwała najlepsze wyniki w nauce w całej szkole.

Gdyby nie fakt, że nie była propartyjna oraz to, że jej ojciec prowadził prywatny warsztat samochodowy, otrzymałaby świadectwo najlepszej uczennicy i mogłaby iść na studia. Na szczęście spełniła swoje marzenie w wieku 30 lat, kiedy to zapisała się na studia ekonomiczne dla pracujących.

Ukończyła je z wyróżnieniem, pomimo urodzenia dwójki dzieci w trakcie studiów.

Obecnie moja babcia jest, jak ją żartobliwie nazywa moja mama, seniorką rodu. Zna wszystkich członków naszej rodziny, dlatego postanowiła ona napisać kroniki naszej rodziny. Moim ulubionym fragmentem jest opis zabytkowego drewnianego wiatraka w Mierzewie, na

którym babcia bawiła się z kuzynami w dzieciństwie. Obecnie wiatrak stoi w skansenie, gdzie dbają o niego i przeprowadzają niezbędne renowacje. Dzięki temu miałam okazję zobaczyć go osobiście kilka lat temu.

Babcia zawsze była dla mnie ogromną inspiracją. Ta serdeczna kobieta zawsze poświęcała się, aby pomóc innym, nie oczekując niczego w zamian. Być może to właśnie z jej względu czuję potrzebę pomagania innym i dlatego angażuję się w różne formy wolontariatu. Być może również dzięki postawie mojej babci, która mi pomagała w nauce, zawsze kończyłam klasę ze świadectwem z paskiem, a później zdobyłam wysokie wyniki na maturze i dostałam się na wymarzone studia.

Prawdopodobnie jeszcze wiele lat minie, zanim zrozumiem pełny wpływ mojej babci na moje życie, ale jedno jest pewne - moja rodzina bez niej nie byłaby taka sama.

166

# Moje korzenie

Aleksandra Czajkowska



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

### III MIEJSCE (Ex aequo)

## Józef Bazan – mój pradziadek

Konrad Zaleski

Od dziecka byłem karmiony różnymi rodzinnymi historiami. Jako niczym nie wyróżniające się od innych dziecko nie przejawiałem dużego zainteresowania historiami rodzinnymi. Był jednak pewien wyjątek w postaci losów życia mojego pradziadka – Józefa Bazana. Wśród sąsiadów i znajomych rodziny pradziadek był osobą szanowaną z nienaganną postawą. Miało to jeszcze początek w okresie międzywojennym, kiedy dziadek jako „złota rączka” pomagał wielu ludziom. W domu natomiast pradziadek był dobrym i wymagającym ojcem. Był też człowiekiem z zasadami, bowiem kiedy do naszych drzwi po wojnie przyszli komunistyczni komisarze Pradziadek odmówił członkostwa w partii, które dałoby wówczas polepszenie stopy życiowej rodziny. Pradziadek ponadto znacząco rozbudował gospodarkę, która w chwili jego śmierci była jedną z najlepiej prosperujących w gminie. Dzisiaj jest już ponad pół wieku od czasów śmierci pradziadka, mimo to każdy na wsi pamięta kim był Józef Bazan.

Józef Bazan, mój pradziadek oficjalnie urodził się 15 lutego 1897 r. w małej wsi Nowosiółce Koropieckiej, dawnym zaścianku położonym w powiecie buczackim ówczesnych Austro-Węgier. Ojcem pradziadka był Grzegorz Bazan, chłop wyznania greckokatolickiego, a matką Józefa Biernacka herbu Sas, zubożała szlachcianka wywodząca się ze szlachty zagrodowej o wołoskim pochodzeniu. Trzy dni po urodzeniu pradziadek został ochrzczony w Kościele pw. Św. Mikołaja w Koropcu nad Dniestrem przez miejscowego proboszcza.

Życie mieszkańców Nowosiółki Koropieckiej, w tym Józefa Bazana przewróciło się do góry nogami, kiedy w 1914 r. wybuchła wojna między zaborcami trzymającymi Polaków od ponad wieku w żelaznym uścisku niewoli. Tak wybuch wojny wspominał w swoich pamiętnikach kuzyn żony Józefa Bazana, Piotr Hładkiewicz: „W niedzielę 1-go sierpnia 1914 r. cała wioska wyszła na tło gminną by tam pożegnać swoich synów, ojców, mężów i bliskich na długie lata a może na zawsze. Pogodny dzień, ale słońce w tym dniu świeciło jakoś inaczej. Jakiś smutek zaciążył razem z dzisiejszym porankiem, jakby zapowiedź nieszczęść i łez dla tych co dzisiaj się żegnają. Każdy jeszcze żyje nadzieją, a może to potrwa niedługo. Przecież Serbia to małe państewko. Nie przypuszczali, że to początek wielkiego konfliktu światowego, że pociągnie szereg państw, że rozpocznie się wielka tragedia światowa.”. Wówczas pradziadek nie był powołany do wojska, gdyż wtedy jeszcze najmłodszym rocznikiem poborowym był 1892 r., jednak już 24 maja 1915 r. na front został powołany rocznik 1897 r. Wtedy zapewne Józef Bazan trafił do 95. Galicyjskiego Pułku Piechoty. Według informacji zapisanych w austriackiej Verlustliste nr 552, gdzie pradziadek został wymieniony wśród rannych można się dowiedzieć, że był żołnierzem tzw. pospolitego ruszenia oraz obsługiwał ciężkie karabiny maszynowe. W opublikowanej 11 kwietnia 1917 r. Verlustliste pojawia się informacja o Józefie

Bazanie z Nowosiółki Koropieckiej. Był on wówczas ranny w wyniku działań wojennych. Co ciekawe, w tym spisie jako data urodzin pradiadka został podany 1896 r. Czyżby Józef chciał iść na wojnę i dlatego się postarzył? Czy był to tylko błąd urzędnika sporządzającego ten spis? Prawdą jest jednak to, że to nie jest pierwszy raz kiedy pradiadek miał zmienianą datę urodzenia.

Inną ciekawą pamiątką z czasów I wojny światowej jest zdjęcie pradiadka z tego okresu. Na zdjęciu tym pradiadek nosił mundur M. 1915, stopniem Józefa był Gefreiter czyli nasz odpowiednik starszego szeregowego. Na piersi Józefa dosyć wyeksponowany jest Krzyż Wojskowy Karola, czyli austriackie odznaczenie nadawane od 13 grudnia 1916 r. za wzięcie udziału w walkach oraz spędzeniu na froncie pół roku. Warty zwrócenia uwagi jest również sznur na szyi, który przypomina typowy dla rewolweru Rast & Gasser oraz odznaka kołnierзова kragenabzeichen. Mając te informacje można dojść do wniosku, że zdjęcie zostało wykonane w 1917 r. Według wspomnień córki Józefa Bazana, Bronisławy Paszkiewicz: „Po tym, jak Tato został ranny w 1917 r. został przeniesiony na front rosyjski do Lwowa. Kiedy wybuchła wojna polsko-ukraińska uczestniczył w obronie Lwowa”. Ciekawą rodzinną historią z tego czasu jest ta mówiąca o tym, że pradiadek podczas pobytu w jednym ze szpitali we Lwowie modlił się ciągle do wiszącego nad nim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Według zeznań pradiadka Matka Boska go wysłuchała i wyzdrowiał akurat 1 listopada 1918 r., kiedy od razu chwycił za karabin i bronił polskość Lwowa. Finał tej historii jest taki, że po zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją pradiadek wrócił do tego szpitala i wydobył ten obraz, który do dzisiaj jest w naszej rodzinie. Nie są znane dalsze losy pradiadka w konflikcie z ukraińską Zachodnioukraińską Republiką Ludową.

Dalszy udział pradiadka w wojnie z bolszewicką Rosją jest właściwie jedną wielką legendą. Według opowieści rodzinnych w sierpniu 1920 r. pradiadek trafił pod Warszawę, gdzie obsługiwał karabin maszynowy. Podczas jednej z potyczek pradiadek został otoczony przez czerwonoarmistów i wówczas postrzelony w bok i nogę padł nieprzytomny. Został wtedy okradziony z dokumentów przez czerwonoarmistę. Po jakimś czasie jednak prowadzona przez Polaków kontrofensywa odbiła pozycje, gdzie leżał nieprzytomny pradiadek. Trafił on wówczas do szpitala polowego. W dalszej kolejności czerwonoarmista, który okradł pradiadka z dokumentów miał być złapany w niewolę, podczas przesłuchania miał przekazać, że dokumenty jakie ma są po zabitych Polakach. Wtedy do Nowosiółki miał wyruszyć list z informacją o śmierci pradiadka. Józef Bazan jednak szybciej doszedł do siebie i wrócił do domu. Jako niefortunna pamiątka do końca życia towarzyszyło pradiadkowi to, że kulał na lewą nogę. Po powrocie z wojny pradiadek wrócił na swoje gospodarstwo, gdzie czekał na niego jego ojciec, Grzegorz. Tam niedługo potem pradiadek wziął ślub z Joanną Piotrowską herbu Junosza, córką ułana armii A-W oraz wnuczką wieloletniego wójta Nowosiółki Koropieckiej. Z tego związku urodziło się 5 dzieci, w tym mój dziadek.

Tak lata międzywojenne w Nowosiółce Koropieckiej wspomina córka Józefa Bazana, Bronisława Paszkiewicz: „Rodzice bardzo ciężko pracowali. Tato, jak jesienią wszystko zebrał z pola, wtedy zimą robił podkłady na kolei. Zresztą tato miał złotą rączkę do ciesielki i potrafił wszystko zrobić. Kiedyś zrobił nam piękny wózek, do którego zaprzęgliśmy kozła i chcieliśmy zjechać z górki. Skończyło się na tym, że wypadliśmy z wózka, a uciekający kozioł roztrzaskał wózek. Tato głównie uprawiał tytoń i suszył go potem. Za suszony tytoń dostawał sadzonki drzew owocowych, z których posadził piękny sad. Jego podstawą były jabłonie. Oczywiście były także czereśnie, wiśnie, śliwki, ale to jabłka były najpiękniejsze i było ich najwięcej.”

Od dnia 1 lipca 1925 r. pradiadek został awansowany na Podporucznika Rezerwy Wojska

Polskiego, co zostało odnotowane w Roczniku Oficerskim Rezerwy wydanym w 1934 r. Co ciekawe jako rocznik urodzenia dziadka wpisano 23 lutego 1898 r.

Po raz drugi sielanka się skończyła 1 września 1939 r. Czasy te były wspomniane w rodzinie z dużym żalem. Pradziadek mimo iż nie był objęty poborem (pradziadek był z 1897 r. a najstarszy rocznik poborowy do 1899 r.) to jako oficer rezerwy został powołany do wojska. 18 września o poranku do Nowosiółki wkroczyła Armia Czerwona. W styczniu 1940 r. pradziadek w końcu przybył do domu. Cały był brudny, zarośnięty i chodził w łachmanach. Z jego opowieści można było się dowiedzieć, że pradziadek walczył w lasach pod Lwowem, ale zanim zdążyli się wycofać do Lwowa miasto upadło. Wówczas żołnierze zostali zdemobilizowani i otrzymali ostatni rozkaz nakazujący im wracać do domów.

Życie w trakcie wojny w czysto polskiej Nowosiółce było niebezpieczne. Z jednej strony represje władz okupacyjnych, a z drugiej antypolskie akcje partyzantów OUN-UPA. Apogeum akcji antypolskiej miało miejsce w 1945 r., kiedy to w nocy z 12/13 lutego banderowcy zaatakowali oddalone o 3 kilometry od Nowosiółki - Puźniki. Tej nocy w Puźnikach zginęło ok. 100 osób. Natomiast postawę pradziadka tamtej nocy tak wspominał jeden z żołnierzy polskiej samoobrony – Zygmunt Szafrąński: „W oddziale byłem też ja oraz moi koledzy. Mielśmy po 16, 17 lat. Oddziałem dowodził Józef Bazan (...). Siedzieliśmy na skraju wsi i po dwóch chodziliśmy na wartę. Gdy coś się działo, wtedy we wsi rozbrzmiewał gong, to była łuska artyleryjska powieszona na słupie. W nocy 13 lutego o drugiej w nocy poszedłem na wartę z młodszym ode mnie o kilka lat Jankiem Hędzłem. (...) I w tym samym momencie patrzymy się, a nad Puźnikami unosi się ogromna ognista łuna. Nasz oddział poszedł na drogę w stronę Puźnik i czekał. (...) W dali było widać, że ktoś zbliżał się z Puźnik. Józef Bazan zaczął krzyczeć, żeby nie strzelać, bo to mogą być uciekinierzy!”. Rzeczywiście, byli to uciekinierzy z Puźnik.

W następnych dniach pradziadek opuścił Nowosiółkę na zawsze. Do czasu swojego transportu na zachód pomagał wyjeżdżającym, w tym głównie osobom starszym i schorowanym na dworcu w Pyszkowcach, skąd jesienią pradziadek z rodziną wyjechał do Krzeszyc na zachodzie Polski. Tam też pradziadek zajął gospodarstwo rolne we wsi Zaszczytowo. W pierwszym roku na nowych ziemiach Józef miał nadzieję na powrót do Nowosiółki. Po kilku latach zrozumiał, że jest to niemożliwe.

Pradziadek zmarł we wrześniu 1968 r. Na nagrobku jako datę urodzin wpisano 24 lutego 1897 r. Więc po raz kolejny, tym razem ostatni przekreślono tę datę.

Pradziadek był niewątpliwie silnym mężczyzną na ciężkie czasy. Potrafił zadbać o rodzinę, ale przy tym wypełniał obowiązek wobec miejscowej zbiorowości i Państwa. Jego postawa była zaiste gorliwie patriotyczna i godna naśladowania. Głęboko liczę, że obecne czasy pokoju będą trwałe jak najdłużej, ale jeżeli nastąpiłyby czasy ciężkie, to chciałbym prezentować taką postawę jak mój pradziadek.

# Babcia Agnieszka

Hanna Wasiak

Wychowałam się w wiosce Osina na Lubelszczyźnie. Mój PESEL zaczyna się od cyferek: 56, a młodość przypadła na lata 70.-te i 80.-te ubiegłego wieku. W tej małej wiosce mieszkałam do lat 90-tych. Moja Babcia Agnieszka (mama mojej mamy) była krawcową – jedyną i najlepszą na wsi. Nie znała pojęć: downcykling, recykling, upcykling. Przenicować, przerobić, przeszyc, podszyć, załatać, zacerować – to zwroty, które słyszałam w naszym domu. Babcia dla rodziny i sąsiadów szyła i ciągle coś przerabiała, łątała i cerowała – po prostu nadawała rzeczom kolejne życie.

Takie wymyślanie przeróbek, przymierzanie, fastrygowanie to też był spokojny czas na rozmowy i rodzinne opowieści o dawnych zwyczajach, ubiorach, strojach, materiałach, o szyciu i cerowaniu, przerabianiu ubrań po starszym rodzeństwie. Krawiectwo Babci to także łączenie różnych materiałów – trochę zbyt długich spodni taty czy dziadka, wełnianego swetra pradziadka Antoniego (który cudem ocalał przed molami), trochę z zapaski prababci Agaty, sukienki mamy, apaszki ciotki Zośki - z tego można było wyczarować lalkę szmaciankę i stroje dla niej lub uroczego misia trociniaka w pasiastym kubraczku.

Ze skrawków moi bracia robili ‘zośki’ – kawałek ołowiu owijali szmatkami. Podczas zabawy nogami podrzucali ‘zośkę’ i ważne było, aby ona nie spadła na ziemię. Inną ‘zośkę’ robiliśmy z kuzynkami ze skarpet, pończoch lub rajstop. Do skarpety trzeba było wsypać groch, kaszę, ryż, fasolę lub to, co było pod ręką, byle by nie za twarde. Ziarenka sypałyśmy bezpośrednio do skarpetki i wiązały lub zaszywały, a potem taka ‘zośka’ służyła nam do dziewczęcych zabaw.

To nasze rodzinne i sąsiedzkie przerabianie odzieży i materiałów nie wynikało z wzniosłej filozofii, czy biedy, ale było czymś zwyczajnym i naturalnym.

Babcia krawiectwem najczęściej zajmowała się w długie zimowe wieczory – przy lampie naftowej – gdy nie było prądu, lub podczas jesiennych deszczowych dni. To od niej nauczyłam się obsługiwać maszynę SINGER i ręcznie podszywać, cerować fastrygować, nicować, robić na drutach i szydełku. Babcia znała wszelkie tajemnice kroju i szycia. Gdy przywoziłam do domu zakupione w Lublinie czasopisma: KOBIEȚĘ I ŹYCIE, Przyjaciółkę, Wykroje i Wzory – Babcia z łatwością potrafiła dostosować modele do moich gabarytów i do posiadanego materiału i koloru nici. Dzięki temu zawsze nosiłam to, co było na topie - spodnie – dzwony, bistorowe żakieciki z baskinką, sukienki i spódnice z kontrafałdami i szczypankami, bluzki z kołnierzykami baby. Materiały można było kupić w wiejskim sklepie pani Wąsikowej w Kłodnicy lub podczas wyprawy do Lublina. Kiedyś wybrałam się z koleżanką do Warszawy – do wielkiego świata mody. Zakupiłyśmy w Domach Centrum z kolekcji znanych polskich projektantów dzianinowe podkoszulki, a na Bazarze Różyckiego bistorowe golfy. Markowa dzianina – po kilku dniach używania – nadawała się do ścierania kurzu lub mycia podłogi.



Wówczas nie wiedziałam, że to był downcykling. Wtedy też nauczyłam się farbować tetrowe pieluchy i bandaże elastyczny w herbacianej esencji. Szyłyśmy z Babcią z takich materiałów cudowne kloszowe i bananowe spódnice. Przebywanie w mieszkaniu Babci i szycie to był piękny rytuał w wiejskiej codzienności. Naoliwienie maszyny do szycia, przygotowanie stołu, rozłożenie materiału, rysowanie wzoru, cięcie ostrymi nożycami, fastrygowanie, mierzenie, szycie i znów mierzenie. Nadal pamiętam ciepłe dłonie Babci na moich ramionach, gdy podcinała pod pachą lub powiększała dekolt. A potem parada w nowym lub przerobionym ubraniu – do szkoły, do kościoła, na wiejską zabawę. A jaka to była radość, gdy koleżanki i sąsiadki podziwiałały moje kreacje.

Te zwyczaje to taki znacznik kulturowy mojego pokolenia z drugiej połowy dwudziestego wieku. To ciekawe opowieści o ludziach i o rzeczach z minionej epoki. Przerabianie ubrań było w naszym środowisku, w naszej naturze; to było oczywiste, że tak należy robić, że to jest dobre.

Stare koszule płócienne i flanelowe używało się jako onuce zamiast skarpet - do gospodarskich gumofilców. Gdy przetaił się kołnierzyk i mankiety – resztę cięło się na prostokąty i to były onuce. Guziki oczywiście były odzyskiwane i nadal służyły do innych ubrań. Robiliśmy też dywaniki z kolorowych pończoch i rajstop. Cięło się je na paseczki, związało na gałeczkę, a potem na drutach lub szydełkiem można było wyczarować piękny okrągły dywanik do pokoju.

Takie szycie i przerabianie to okazja do spotkań, wymiany doświadczeń, wzajemnej pomocy, wymiany zbędnych materiałów i doskonała okazja do rozmów i plotkowania. Poza tym posiadanie własnoręcznie wykonanych lub przeniecowanych ubrań przyczyniało się do poczucia własnej wewnętrznej wartości, stanowiącej o szacunku zarówno do samej siebie, jak i do ludzkości i do planety Ziemia.

Podczas ostatniej zimy – w długie wieczory – robiłam wełniane skarpety i rękawiczki mitenki – świetne do korzystania z telefonu i liczenia pieniędzy. Wykorzystałam na to nową włóczkę, wełnę z owiec lub z alpaka, a także prułam szaliki i rozciągnięte swetry zakupione w ciucholandach.

Wiosną tego roku szyję z resztek materiałów i robię z wełny na drutach kamizelki. Trzeba na nie mało materiału a mają taki wdzięk, że uszyte z czegokolwiek stają się od razu ozdobnym i jednocześnie pożytecznym dodatkiem w zasadzie do wszystkiego. Dziadek Stefan zawsze nosił kamizelki wykonane przez Babcię.

Na lato pozostają przy swoich upodobaniach – uniwersalne kwieciste sukienki, bawełniane kamizelki, szerokie spódnice z dodatkiem dopasowanych bluzek lub wąskie spódnice i kolorowe zwiewne bluzki, dżinsowe spódnice ozdobione metkami wyprutymi z markowych ubrań, jasne spodnie z czarną tuniką, czerwonymi koralami i krótką dżinsową kamizelką, wzorzyste swetry. Do tego adidas, japonki lub tenisówki, sandały i oczywiście kolorowe torebki.

Ja – kobieta 60+ nauczona przez Babcię Agnieszkę szacunku do posiadanych rzeczy skrupulatnie wykorzystuję to, co posiadam.

## Zwykła Niezwykła

Maja Aksamska

Być człowiekiem dobrym aniżeli się oczekuje, toteż być więźniem naiwnej empatii, ale czy i to nie popłaca? Jakimż byłby świat pełen bohaterów, ludzi z wielkiego serca miłosiernych? Lepszym? A może jedynie wymagowanym. Otworzywszy perspektywę nieco szerszej, gotów bylibyśmy świadczyć, iż świat taki nas zastał, a dokładnie zastał ich: przodków naszych – pradziadów i prababki, ludzi doświadczonych krzywdą, odwagą, tęsknotą, a i wdzięcznością. Niegdyś, kiedy świat szalał w płomieniach wrogości, oni nie żalowali filantropii, praktykowali ją niemalże codziennie, a kiedy przyszło mierzyć się im z konsekwencjami, nie bali się bohatersko za nią umierać.

Nie podważając godnych swych triumfów autorytetów, śmiem twierdzić, iż chwałą honorujemy szczególnie tych, których homeryczny wykwit sprzyja jedynie ogółowi. Zakrywamy jednak oczy na pochwałę zwykłych ludzi, małych w swych działaniu, lecz ambitnych w efekcie czynów. Reguła „Gutta cavat lapidem” – kropla draży skałę, przypomina nam, że to te starania uznane za uległe przynoszą dumne pokłosia. Prawdziwi bohaterzy nie marginalizowali tej sentencji, jak powiedział Ronald Reagan „Nie możemy pomóc wszystkim, ale każdy może pomóc komuś”.

Jedną z chlubnych bohaterów była moja prababka. Kobieta zwykle niezwykła, która swą odwagą uratowała nie jedno, a cztery życia.

Marianna Zadka urodzona 1918 roku w Kuźnicy Grabowskiej, w ówczesnym województwie łódzkim od najmłodszych lat pracowała w majątku Karola Oxnera. Razem z matką zajmowały się jego gospodarstwem hodowlanym, zaś ojciec jej był stangretem pana majątku. Pewnej zimy, niedługo przed wojną, bogacz darował mu sukno, by ten mógł uszyć płaszcz, a następnie odziać się nim podczas srogich mrozów. Nie było mu jednak dane zaczerpnąć łaski bowiem zmarł na ciężkie zapalenie płuc, toteż materiał utracił swą funkcję, zapodziawszy się w czeluściach rodzinnej szafy.

### 17 września 1939 rok

Podróż do stolicy w tamtym czasie uznać byłoby można za misję samobójczą, lecz świadoma ryzyka prababka Marysia jedzie pociągiem do Warszawy z pełnymi jedzenia koszami, w celu zaopatrzenia mieszkającą tam żony zmarłego już Karola Oxnera oraz rodzinę ich córki Ireny Oxner – Falskiej, żony znakomitego pedagoga Mariana Falskiego. Będąc w Warszawie, widzi pałacy się już zegar Zamku Królewskiego. Prawdziwe widmo wojny nawiedza ją wprawdzie dopiero po powrocie do domu.

Świadomi nadejścia Niemców Polacy ograbiają majątek Kuźnicy ze wszelkich luksusów, zabierając wszystek dóbr materialnych w prywatne posiadanie. Precedens ten nasuwa nam pytanie o ludzką chciwość, czy też może troskę o dobytek narodu? Ależ horrendalne byłoby

domniemać, jaką inną wartością aniżeli miłością mogliby się kierować. Pozwolę sobie jednak zdefiniować zrodzony w następstwie skandalu jako szubrawą zazdrość bowiem na niemieckim posterunku zgłosili się oburzeni defraudacją mieszkańcy. Policyjne przeszukanie doprowadziło do odnalezienia w prababcinym domu darowanego przez Oxnera sukna, wszak babka musiała stawić się na zeznania. Na posterunku, w kolejce przed nią zostali dotkliwie pobici dwaj mężczyźni, toteż panika babuśki spęczniała. Po łagodnym przesłuchaniu, babuśka została odesłana do domu. Wychodząc z budynku, ujrzała plamy krwi, co było jednoznaczne z jej przypuszczeniami. Na ulicy tłumy ludzi, za nią dwóch uzbrojonych policjantów. To ta chwila zadecydowała o losach mojej rodziny.

„Oj Marysiu, całe szczęście” – mówią jej przyjaciele, kiedy prababka wychodząc z posterunku, przekracza próg bramy. Babci uwagę przykuwa jednak inna postać – obejmujący ją Wojtuś – zakochany w niej policjant. Niemiec o kaszubskich korzeniach, który z początkiem wojny został oddelegowany na tamtejszy posterunek. Nie chcąc zostać zauważonym przez innych policjantów, pociąga babcię za murek i zapłakany okazuje jej troskę.

– „Nie płacz Wojtuś, strzelana śmierć to śmierć bohaterska” odpowiada Wojtusowi, wzbudzając swymi dumnymi słowami mój absolutny szacunek do jej osoby.

Ów epizod śmiem określić cudem, tak resztę ocalałych żyć zawdzięczamy jej altruistycznej inteligencji.

Przed wojną prababka związała się z Leonem Owczarkiem – mym pradziadkiem. Jak piękna musiała być ich miłość, że kiedy dziadziś wyjechał służyć w wojsku, rozłąka nie pograżyła jej w tęsknocie, a wyłącznie uzmysłowiła ją w uczuciu.

Wojna trwała. Prababka Marysia, pewnego dnia, została poproszona o schron dla polskiego uciekiniera z obozu. Ani chwili nie wahała się mu usłużyć, zadbawszy o najlepszy komfort, jaki mogła darować przybyszowi. W dzień kolejny solidnie go zaopatrzyła i odprawiła w drogę ku odnalezieniu rodziny. Wiele lat po wojnie na spotkaniu Koła Gospodyń Wiejskich w Kuźnicy zjawia się żona uratowanego mężczyzny i na kolanach dziękuje babuśce za ocalenie mu życia.

Podobna sytuacja miała miejsce niedługo później.

Dnia pewnego, prababka doi krowy w oborze, w której zjawia się sowiecki spadochroniarz. Od dni paru błąkał się po okolicy, nie umiejąc poprawnie wyznaczyć drogi na wschód. Babcia nie odmawia mu pomocy. Słyszając nadjeżdżającą policję konną, każe się mu schować i zamilknąć. Wchodzi do domu i szczyptę swego małego synka tak, by ten zaczął jazgotliwie płakać. Niemcy rozgaszczają się w domu prababki, próbując przeprowadzić dociekliwy wywiad. Niezainteresowana współpracą tłumaczy, że musi zająć się nielitościwym dzieckiem. Nie zdając sobie sprawy, po raz drugi zostaje uhonorowana mianem bohaterki.

Spyt prababki nie zawodzi. Po raz ostatni ratuje życie ukochanemu, jak i sobie.

W podróży do rodziny, powóz dziadków zatrzymuje straż konna. Panowie chcą przeprowadzić kontrolę, jak nakazują im przepisy. Dziadkowie wiedzą, z jakimi konsekwencjami wiąże się nielegalny przewóz mięsa, które ku chwili może zostać zdemaskowane. Babcia wykorzystując fakt, że jest w zaawansowanej ciąży, zaczyna się wiercić i jęczeć – udając poród. Tym to sposobem dziadkowie zostają pognani w dalszą drogę. Bezpieczni i wolni.

Pełen podziwi i duma rozpierają nas potomków, ponieważ w naszym świecie szlachetne wartości istnieją symbolicznie. Nasze pokolenia definiuje daremny byt, bezradność, w które niezachwianie wierzymy. Obludny świat nie skłania do empatii, nikt nas jej też nie uczy, jak zatem mamy umieć kochać? Poszukiwanie swoich korzeni, odkrywanie autorytetów wśród

przodków nie tylko wzmacnia hołd ich pamięci, ale ożywia poczucie własnej wartości, możliwości i współczucia. Toteż dbać musimy o historię, bo tylko ona nie raczy podważać miłosiernej natury człowieka, a gdybyśmy śmiali o niej zapomnieć skazalibyśmy człowieczeństwu zgubę.

Babciu, dziękuję, że potrafiłaś być niezwykła.

# Historia jednej a tak wielu rodzin zarazem

Marta Kudrycka

Babcia, Babunia, Babuleńka, Baba... – z tak wielu istniejących synonimów, tych właśnie określeń używałam zwracając się do osoby, która wychowała mnie na człowieka, jakim teraz jestem. Należyście, tak jak podkreślają to nasze węzły krwi nazywać powinnam ją Ciocia Ela, gdyż była siostrą mojego dziadka Stanisława. Na przekór tego jej rola i uczestnictwo w moim życiu było na tyle duże, iż “Babcia” przyłgnęło do niej jak jej własne imię. Toteż na wstępie wszystkie synonimy napisałam przeto z dużej litery. Tym samym kierować się będę podczas pisania tej historii, bo przecież nazwy gwiazd zapisuje się z wielkiej litery.

Babcia miała i ma ogromny wpływ na ukształtowanie się moich wartości, zatem zaczęłam się zastanawiać, kto oraz w jaki sposób przyczynił się do „powstania” tak istotnej i ważnej dla mnie osoby. Rodzina Maćkowiaków, moi przodkowie, to o nich postanowiłam dzisiaj napisać, bo to ich krew, krąży teraz w moich żyłach. Historia, którą chce wam przedstawić, ma swój początek 18 września 1900 r., kiedy to w małej miejscowości Czeluszczyń, w powiecie Gostyńskim na świat przyszedł Stanisław Maćkowiak, będący ojcem mojej Babuni. Tam spędził lata swojej młodości i rósł na człowieka, jakim to miał się stać. Ślady dokumentacji przenoszą nas później do Gogolewa, gdzie postawił swoje pierwsze kroki w zawodzie nauczycielskim i poznał Elżbietę Wojciechowską, która okazała się miłością jego życia. Niedługo po ich poznaniu nazwisko Wojciechowska zamieniło się na Maćkowiak, a dokładniej, stało się to 21 września 1926 roku. Jako nowożeńcy zdecydowali przenieść się do Wycisłowa, gdzie Stanisław zaczął pracować jako kierownik w szkole czteroklasowej, ucząc tym samym trzecią i czwartą klasę. Stanowisko takie było niegdyś bardzo poważane, a przy tym łączyło się z licznymi wyjazdami szkoleniowymi. Zamieszkując w Wycisłowie był upoważniony również do nauki obronności kraju, jak opowiadała Babcia, raz w tygodniu przychodziła pod jego dom grupa o nazwie “strzelcy” i wspólnie ćwiczyli z drewnianymi karabinami.

Wraz z 20 lipca 1927 r. do tej pory dwuosobowa rodzina powiększyła się o jednego chłopca – Zdzisława Maćkowiaka. Od tego momentu kolejno na świecie pojawili się Piotr (1928-2019), Stanisław (1929-2013), Eulalia – moja Babcia Ela (1931), Zbigniew (1932-1965), Barbara (1933-2022), a najpóźniej i w zupełnie innych okolicznościach, Donata (1942-2016). Okres przedwojenny choć pracowity, niósł za sobą jedynie troski codziennego życia. Zmartwienia i pocieszenia, z którymi każda rodzina spotyka się na swój sposób, bez względu na czas w jakim żyli. Wraz z wybuchem II wojny światowej 1 września 1939 r. przyszły nieuniknione zmiany.

8-ego grudnia 1939 r. rodzina Maćkowiaków dostała jedynie godzinę na opuszczenie swojego domu, całego posiadanego dobytku, wspomnień...Mogąc zabrać tylko tyle ile ich ręce zdołały unieść. Zostali wpakowani do wozów i wywiezieni do klasztoru w Gostyniu Wielkopolskim. Po przenocowaniu tam, zapakowano ich do wagonów bydłowych i wywieziono tym

razem do Zglinny koło Rawy Mazowieckiej. Babcia opowiadając mi o tej podróży, wspomina ciasnotę, duchotę oraz dłużący się czas przeprawy, bez możliwości wyjścia. W Zglinnej musieli mieszkać w jednym pokoju, bez toalety, gdzie niemal całą powierzchnię zajmowały łóżka. Pomieszkiwali w 14 osób - cała ich rodzina z dziadkiem, oraz małżeństwo z dwójką dzieci o nazwisku Gała. Spędzili tam całą zimę, aż do wiosny, kiedy to Stanisław dostał posadę nauczyciela czteroklasówki w Kaleniu. Zamieszkali wtedy w domku o niewielkim metrażu, składającego się z kuchni oraz pokoju, gdzie stały łóżka i koza do ogrzewania. Mieszkali tu przez całą okupację. Ze wspomnień przekazanych przez Babcię Elę, zimą ogacano dom mchem, a mimo to woda w kuchni zamarała, a rodzeństwo musiało spać wtulone w siebie. W tym czasie starsi bracia Babci pracowali u gospodarzy, pasąc krowy czy pomagając na roli w zamian za płody rolne. Ich matka trudziła się robieniem swetrów dla ludzi, a na wiosnę również szła pracować u gospodarzy. Ze wspomnień Babcia wyraźnie pamięta, jak jedli czarny chleb posmarowany marmoladą z buraków. Stanisław Maćkowiak, pomimo nauczania w szkole, pomagał również sołtysowi z dokumentacją, gdyż dobrze znał język niemiecki. Wieczorami natomiast prowadził tajne nauczanie, jako iż Kaleń znajdował się wówczas na terenie Generalnej Guberni.

Moja Babcia, mając zaledwie jedenaście lat, zajmowała się opieką swojej najmłodszej siostry, którą to zanosila jedynie w pory karmienia do matki, na pole. W międzyczasie gotowała dla wszystkich, prała pieluchy i przynosiła wodę ze studni oddalonej o kilkadziesiąt metrów. Sama teraz nie wie, jak tego dokonała, a ja nie do końca wiem, jakie emocje mi towarzyszą, gdy myślę o tym jak radziła sobie będąc tak małym dzieckiem.

Koniec wojny wiązał się z powrotem całej rodziny Maćkowiaków do Wycisłowa. Wracali w przepelniony wagonach, w ciasnocie i gwarze, jednak ze świadomością, iż ziemi zostały wyzwolone. Zastali ograbiony dom. Wydając się już im obcym, udali się na zachód. Zatrzymali się w Rapinie, gdzie Stanisław Maćkowiak na nowo zaczął prowadzić czteroklasówkę, dzięki czemu dostał mieszkanie w szkole. Udzielał się też społecznie jak tylko mógł. Rodzeństwo Maćkowiaków wówczas się rozjechało w poszukiwaniu nauki i lepszych warunków. Część z nich jednak została w Rapinie i pracowała przy karczowaniu i odgruzowywaniu terenu dla szkoły. Później gimnazjalistów, a w tym między innymi moją Babcię zawożono również samochodami do Strzelc Krajeńskich, gdzie oczyszczali i przebierali cegły, które wysyłano na odbudowę stolicy. Dzięki tej pracy otrzymywali paczki żywnościowe z UNRRY.

We wrześniu 1949 r. roku Stanisława przeniesiono do Bobrowka, gdzie do stycznia 1951 r. był kierownikiem szkoły siedmioklasowej. Tuż po Wielkanocy tego samego roku, jedno ze znajdujących się w Drezdenku liceów zostało pozbawione dyrektora. Zapytacie się jak to się stało? Otóż dyrektor został wywieziony na taczkach przez uczniów. Tym samym na zastępstwie obsadzony został Stanisław Maćkowiak. Od września 1951 do ok. 1970 r. pracował w inspektoracie w Strzelcach Krajeńskich. Tuż przed emeryturą pracował jeszcze w szkole w Kosinie do czerwca, a 13 października 1971 r. zmarł. Za swoją działalność na rzecz kraju otrzymał wiele odznaczeń, w tym medal 10-lecia Polski Ludowej, Srebrny Krzyż Zasług, Order Odrodzenia Polski czy Srebrną Odznakę Odbudowy Warszawy.

Zacząłam tą historię od jego narodzin, stosownym więc powinno być jej zakończenie w dniu jego śmierci. Dodam jednak jeszcze na koniec, że mimo trudnych warunków rodzina ta, a szczególnie rodzeństwo, byli ze sobą bardzo zżyci. Wszystkie dzieci otrzymały należyte wykształcenie, a bliskie stosunki między sobą, utrzymywali do ostatnich chwil swojego życia.

Każdy z członków tej rodziny, mojej rodziny, zasługuje na odrębną opowieść, a osobą, która jeszcze ją pisze, jest moja Babcia. Za nią stoje ja oraz następne pokolenia, które dalej spisują i będą spisywać naszą historię.

## Stąd jestem

Monika Zań

Wielkość człowieka można mierzyć na wiele sposobów. Zazwyczaj lubimy patrzeć na ludzi przez pryzmat ich bohaterskich czynów, które zostają odnotowane na kartach historii, a za ich sprawą losy świata obierają całkiem nowy kierunek. Jednak o wielkości można mówić również wtedy, gdy pomimo tragicznej historii życia ktoś nie ustaje w staraniach, nie traci wiary i nie przestaje kochać ludzi wokół siebie.

Józef Gospodarczyk był prostym chłopem z powiatu radomskiego, którego po I wojnie światowej, razem z młodą żoną i rocznym synkiem przesiedlono z rodzinnych Wojsławic do podlaskiej miejscowości Elżbiecin. Szansę, aby pójść „na swoje” otrzymały też inne rodziny; w roku 1923 nadbużańska okolica powitała dziesięciu radomskich chłopów. Niestety, było to powitanie tak dalekie od pojęcia tradycyjnej, polskiej gościnności... Od chwili przesiedlenia życie Józefa i jego towarzyszy miało dźwigać na sobie brzemień nieurodzajnej ziemi, wrogo nastawionych sąsiadów, a w kolejnych latach – rosnącego zadłużenia.

Jest to historia, którą mogłam poznać wyłącznie dzięki skrupulatności mojego pradziadka Józefa: zbierana przez niego dokumentacja przetrwała prawie sto lat na strychu rodzinnego domu. Dziś nie mieszkamy już w elżbiecińskim gospodarstwie; tamto miejsce porosło chwastami i młodym lasem, a z budynku został tylko fragment ceglanych fundamentów. Resztki tego miejsca, w którym żyła kiedyś ośmioosobowa rodzina sprawiają wrażenie, jakby dawniej zbudowane ono było głównie ze starań i dobrej woli gospodarza. I tak w pewnym sensie było... Ale od początku.

Elżbiecin to dziś mała miejscowość składająca się z kilkunastu gospodarstw przekazywanych z ojca na syna. Asfalt zaczyna się dopiero na drodze dojazdowej do pobliskiej miejscowości, Kodnia, gdzie również znajdują się najbliższe punkty usługowe, takie jak sklep, apteka, czy kościół. W ciągu ostatnich stu lat niewiele się tam zmieniło: już w 1923 roku była to skromna wioseczka złożona z upadających gospodarstw oraz ziemi 5 i 6 klasy. Mimo to wśród lokalsów zapanowało wielkie oburzenie, gdy „ich ziemia z dziada pradziada” została oddana przybyszom z innej części Polski. Szybko rozpoczęło się wybijanie szyb w oknach, wyzywanie i wytykanie palcami, a radomskie dzieci co jakiś czas wracały ze szkoły pobite przez rówieśników. W jednym z listów Józefa zachował się wiele mówiący cytat: “gdzie wy cholery Mazury tu przyszły na nasze ziemie”.

Być może właśnie dzięki tej wspólnej łacie intruzów, pomiędzy dziesięcioma elżbiecińskimi rodzinami rozkwitły przyjaźń i poczucie solidarności. O ciepłych i bliskich stosunkach świadczą pozostawione dokumenty: wspólne zamówienie na 12 sztuk kos o łącznej wartości 116 zł, podpisany przez dziesięciu mężczyzn protest w sprawie nałożonych opłat, czy zwołanie w 1934 roku lokalnego posiedzenia Stronnictwa Ludowego, w którym przewodniczącym został Hipolit Koziół, a sekretarzem – Józef Gospodarczyk.

W trakcie dwudziestolecia międzywojennego jednym z głównych przeciwników Józefa okazała się światowa gospodarka. Słynny krach na nowojorskiej giełdzie zrujnował kruchy wciąż porządek II RP i na początku 1930 roku wprowadzono nowe ceny z tytułu prowadzenia gospodarstwa. Zdecydowano, że cena za jeden hektar ziemi wynosić będzie 1500 zł. Jak podają źródła, 1500 zł było w tamtym czasie szacowanym zarobkiem robotnika za rok pracy – a była to kwota, która w przypadku Józefa musiała być pomnożona przez 11 hektarów jego ubożego, zajętego w większości przez budynki gospodarstwa. Dlatego wkrótce wysłane zostało pismo do Okręgowego Urzędu Ziemskiego, które zawierało opis niekorzystnego położenia rodziny Gospodarczyków, a także prośbę o przeliczenie ceny za ziemię według cen z 1923 roku i rozłożenie jej na raty.

“Nieuwzględnienie powyższej mojej prośby – pisał Józef – doprowadzi mnie do kompletnej ruiny, zmusi mnie do porzucenia parceli i pracy na ziemi, co mnie postawi w położeniu gorszym niż przed otrzymaniem powyższej parceli.”

Jednak był to dopiero początek trudnej walki z biurokracją. Kolejna wiadomość mówiła już o kwocie 27 827 zł 22 gr, dając na jej spłatę zaledwie pięć miesięcy. Urząd w końcu „przychylił się” do prośby ubożego rolnika, wyznaczając roczną ratę w wysokości 612 zł i 68 gr. Jak duży był to wydatek świadczyć może dokument, w którym Józef prosi o zmniejszenie tej kwoty do maksymalnie 40 zł na rok.

Przeglądanie starych dokumentów daje mi przerażający obraz lat 30. XX wieku, które były dla mojego pradziadka okresem rozpaczliwej walki o godność i dobrobyt rodziny. Składały się na to niekończące się długi, nienawiść ze strony mieszkańców Kodnia, trudna uprawa wyjałowionej ziemi, a w końcu śmierć dwóch córeczek – z których jedna chorowała na dyfteryt, a druga wylała na siebie garnek wrzątku. Wydawać by się mogło, że już nic gorszego nie może się wydarzyć... Tymczasem 1933 rok ostatecznie pogrzebał nadzieje na lepsze życie, w tym próby sprzedaży gospodarstwa i powrotu na rodzinne Mazowsze: dom Józefa i jego rodziny spłonął w pożarze.

Z dzisiejszego punktu widzenia trudno wyobrazić sobie człowieka, który przeszedłby tak wiele w życiu – dodając do tego jeszcze traumy II wojny światowej – i nie załamał się. Tymczasem Józef został zapamiętany w mojej rodzinie jako człowiek pogodny, uśmiechnięty i pracowity. Do ostatnich dni interesował się rolnictwem i polityką, prenumerując razem z przyjaciółmi z Mazowsza kilka magazynów. Dom odbudował własnymi rękami, a materiały zdobył, rozbierając starą oborę wykupioną za pieniądze z odszkodowania. Na nieurodzajnym polu założył sad. Straszne przeżycia nie zdołały go złamać, a on sam nigdy nie wyrzekł się wyznawanych wartości, do końca życia podkreślając swoją miłość do rodziny, Boga i ojczyzny. To świadectwo siły, wytrwałości i pokory jest faktycznym i najważniejszym testamentem, jaki zostawił po sobie Józef.

Siła, wytrwałość i pokora to dziś z kolei mój dług. Wielki ponad miarę, przygniatający dług, który chcę przyjąć, aby do końca życia spłacać go światu... Tak, jak mój niezwykley Przodek.



## Stąd jestem

Aleksandra Zlotkowska

Powinnością młodych pokoleń, a zarazem nieodzowną częścią dojrzwania, jest hołubienie pamięci o przodkach. Fascynacja kulturą, konwenansami oraz życiem naszych poprzedników. Naszych antenatów. Młodzi ludzie - z tendencją do nieustającej gonitwy za wzorem do naśladowania, za pewną znakomitością, za jakimś asem atutowym w filozofii życia – prędzej lub później dokonują analizy własnych korzeni. Czy jestem choć w połowie tak waleczny jak mężczyzna z fotografii? Czy kobieta na zdjęciu wzgardziłaby mną, pełną werwy liberałką? A może byłaby dumna, że jej krew i kość przyczyniły się, choćby minimalnie, do rozwoju ludzkości? Podobne i innej maści pytania zadają sobie oddając się rozważaniom na temat swojego dziadka, Henryka Zlotkowskiego, któremu to poświęcam swoją pracę.

Niektórzy twierdzą, że dukt naszego życia zostaje nam przydzielony już przy urodzeniu – boski trawers, szpaler wydarzeń zapisany w gwiazdach, i od tej predestynacji nie możemy się uwolnić. Nie wierzę w to, ale wyobrażam sobie swojego dziadka, pięcioletniego chłopca nasłuchującego kakofonii syren, nieświadomego. Umarł Stalin. Czy tego typu wydarzenia naznaczają dziecięcy umysł, czy jest on już odgórnie naznaczony przez fatum Wszechświata? A może konkretne sytuacje, przypadkowe zjawiska, którymi Bóg obrzuca nas, jak gdyby ciskał garścią kości na planszę do gry, jedynie uruchamiają w naszej głowie pewne mechanizmy, prą z całą mocą w maszynę stworzenia? Myślę, że nie. Według mnie z tamtego dnia mój dziadek wyniósł mało, o ile w ogóle cokolwiek, co stanowi rodzaj pociechy, kiedy rozpamiętuje jego dalsze losy. Waleczny młody człowiek, dzielny kadet, serce na dłoni. Był z niego wielki patriota, choć obawiam się, że nie zdołał tchnąć lojalistycznego ducha w serca swoich dzieci. Obawiam się także, że kiedy wciąż żył, mało go to interesowało. Tymczasem odbywając służbę w wojsku stanął przed sądem. Pobicie; delikwent strącił mu z głowy czapkę z orzełkiem. Nie zamierzam zagłębiać się tutaj w szczegóły tamtych wydarzeń, przyznam jednak, że bezsprzecznie był to okres, w którym trakt życia mojego dziadka rysował się przed nim jaśniejszy niż szlak z gwiazd.

Każdy z nas mógłby powiedzieć, że przeżył druzgocące dzieciństwo. Człowiek uwielbia usprawiedliwiać życiowe niepowodzenia tragiczną przeszłością, nawet jeśli druzgocące wydarzenia nijak się mają z jego blamażem. To, jak sądzę, przejaw swoistego samolubstwa, choć i mnie zdarza się utyskiwać nad wydarzeniami sprzed dekady. Wszyscy mamy swój osobisty sofizmat. Sofizmatem mojego dziadka był roczny pobyt w komunistycznym więzieniu, gdzie znalazł się z powodu uporu i autonomii, która, jak przypuszczam, cechowała go już od najmłodszych lat. Mądry człowiek stwierdziłby, że mój dziadek nigdy tak naprawdę nie wyszedł z więzienia. Utknął tam, pogrzebany na zawsze w gruzach radzieckiej rzeczywistości, złamany, zmaltretowany. Wielka miłość, a także ludzka empatia każą mi współczuć, natomiast inna część mnie kona powoli ze złości, oplakując potencjał zniszczonego człowieka. A był

to człowiek utalentowany, człowiek słowa i wielkiej literatury, piszący wiersze i inteligentny. I jakie to rozgoryczenie i jaka żalność, powierzyć los codzienności i uzależnieniu, w tak małym i zapomnianym mieście, bez perspektyw, przetrwonić tak cudowne możliwości, tłumacząc się wydarzeniem, do którego doszło tak wiele lat wcześniej. Nie mogę oceniać jego bólu, nie zdołam już nigdy wnikać w jego emocje, okaleczenia i deformacje. Nawet za jego życia byłoby to arealne. Wolno mi jednak przysiąść, zatrzymać się i zastanowić: ile dobrego przekazałby światu ten człowiek, gdyby uprzednio wybaczył ludzkości wyrządzone mu krzywdy?

Gatunek ludzki cechuje naśladownictwo. Powielamy konduktę naszych bliskich, nie ma więc nic szokującego w tym, jakim człowiekiem był mój dziadek, a także jakim jest dziś mój ojciec. Modłę się gorąco, by to nie stanowiło także mojej spuścizny, mimo, że wszyscy przede mną zadusili się oparami własnego uzależnienia. Nie chcę stać się dziadkiem, jego siostrą lub którymś z jego dwóch braci. Nie chcę zmarnować życia i zostawić za sobą tyle szkód. Oni już umarli, porzucili to miejsce, zmienili formę, a żywi muszą dalej dźwigać ich jarzmo. Powtarzano mi – by, jak mi się wydaje, w choć minimalnym stopniu naprawić szkody, które pozostawiła za sobą choroba mojej rodziny - że wraz z moimi narodzinami dziadek cudownie ozdrowiał z ciężkiego alkoholizmu. I podziwiam go za to, admiruję siłę, jaką go to kosztowało. Myślę, że coś zesłało mnie tu jako specjalne remedium. Nie jestem przypadkiem, ani przypadkiem nie jest przenikliwa więź, jaka naszą dwójkę łączyła. Trudno jest sympatyzować się z osobą tak zrujnowaną i oszpeconą życiem w cudzych opowieściach; widmo tamtego człowieka mającego gdzieś w antraktach mojego dzieciństwa i mojej nastoletności, gryzie mnie i mną szarpie. Ale ja nie znałam ów człowieka. Gdy zyskałam świadomość, on już nie istniał. Na każde wspomnienie zbitych talerzy i nocnych awantur ja mogę odpowiedzieć bajką na dobranoc, wspólną zabawą lalkami i porannymi spacerami do piekarni. Mogę ujrzeć przed sobą czulego starszego pana oglądającego dziennik telewizyjny, inteligentnego mężczyznę w kraciastym swetrze czytającego gazetę. Mogę usłyszeć dźwięczny śmiech, słowo „żabciu” wymówione pieścizliwie w moją stronę. I będę nosić te wspomnienia pod sercem do końca swoich dni, pilnując, by się nie zatarły, by nigdy nie wyblakły, bo inaczej nieodwracalnie zamrze reminiscencja dziadka, którego poznałam i którego kochałam, który zostawił po sobie tyle nieopisanego dobrego.

Nasi przodkowie przemawiają do nas poprzez codzienność. Odnajdujemy ich w swoich gestach, rysach twarzy, w żyłach na nadgarstku. Słyszę dziadka w jego starych książkowych zbiorach i w jego wysłużonym miękkim fotelu. Widzę go, gdy patrzę na surowy zarys własnego nosa, a także gdy wyginam kciuk prawej dłoni. Nie potrafię – i nie chcę – ocenić bez uprzedzeń jego życia, nie zdołam również zniechęcić go za jego alkoholizm, gardzić nim za środowisko, w którym się wychował, za ludzi, od których się wywodził. Czy wolno nam tak krytycznie rozpatrywać wybory naszych przodków? Czy wolno osądzać życie mężczyzny z fotografii, dawno już nieobecnego? Czy wolno nam jednak także zapominać o złu - zamierzonym lub nie - którego się dopuścili? Czym będzie wówczas ich spuścizna, jeżeli nie uwznioślonym obrazkiem?

# Stąd jestem

Weronika Nawrocka

Myśląc o ich młodości, widzę oczami wyobraźni, jak siedzą zmęczone, starając się całą sobą zmieścić w cieniu wątłej wtedy lipy, znaczącej koniec pola. Ubrane są w warstwy przewiewnego materiału, tak brudne, że trudno jest mi do końca określić ich kolor. Ich twarze pozbawił wyrazu całodzienny wysiłek spowodowany pracą przy zbiorach przekraczającą siły nawet tych najbardziej wytrzymałych. Patrzą przed siebie, obserwują zachodzące słońce. Wiedzą, że czeka je jeszcze długi marsz do domu, przygotowanie kolacji i opieka nad dziećmi. A jutro wcale nie przyniesie ukojenia, będzie wyglądało dokładnie tak samo, będzie wypełnione pracą od świtu aż do zmierzchu, dopóki żniwa się nie skończą. Potem przyjdzie czas na wykopki i na przygotowywanie zapraw na całą zimą, potem pielęgnowanie wznastających plonów, aż w końcu znów nadejdą żniwa i wszystko to zacznie się od nowa. Mimo wszystko jednak – uśmiechają się do siebie obserwując barwy zdobiące niebo, są szczęśliwe; to jedyne życie, jakie znają, jedyne, jakie kiedykolwiek było im dane, jedyne, którego chciały. To moje babcie.

Kobiety urodzone na polskiej wsi w latach 40. i 50. dwudziestego wieku były zupełnie innymi kobietami niż te urodzone gdziekolwiek indziej. Żyły prawie dokładnie tak samo jak ich przodkinie sto lub dwieście lat wcześniej – mimo zniesienia pańszczyzny w ich życiach niewiele się zmieniło, praca wyglądała nadal tak samo, a skoro praca pozostała – co innego mogło kształtować ich codzienność, skoro skazane były na zajmowanie się tylko tym, polem, domem, dziećmi, ogrodem? Nie znały wiadomości ze świata, nie miały czasu na czytanie książek (tak absurdalny pomysł nikomu by nawet nie przyszedł do głowy!), nadal uważały się za „w czepku urodzone”, jeśli dane im było skończyć podstawówkę. Na polskiej wsi przez wiele lat panował zwyczaj kształcenia tylko najstarszego dziecka, podczas gdy najmłodszemu zostawiało się w spadku gospodarstwo. Jeśli jednak pierworodnym okazała się być dziewczynka, rodzice chętnie pomijali ją w jakiegokolwiek drodze do kształcenia i rozwijania samej siebie. Dla tych kobiet nie istniał nawet koncept feminizmu, a gdy już, zupełnie przypadkowo, usłyszały o nim wzmianki, pod czujnym okiem ojca i braci z oburzeniem reagowały na absurdalne plany zaburzenia porządku kształtującego rodzinę ustalonego przed wiekami. Mimo że był to czas, gdy w Stanach Zjednoczonych Betty Friedan pisała swoją „Mistykę kobiecości”, która pomogła tak wielu Amerykankom, polskie chłopki nadal zdzierały sobie skórę z dłoni, próbując sprać plamy z odzieży reszty domowników.

Moje babcie nie były odosobnionym przypadkiem. Tak funkcjonowały wszystkie ich sąsiadki, z którymi wspólnie wieczorami darły pierze. Tak funkcjonowały kobiety w każdej wsi, a im dalej na wschód Polski, tym było im trudniej się wyrwać. Tak też kazał ksiądz z ambony, a sprzeciwianie się księdzu budziło tak ogromny wewnętrzny lęk, że nikt nie traktował poważnie takiej możliwości, gdyż nie było to nawet „możliwością”; raczej efemerycznym konceptem, podejmowanym tylko przez osoby, które uważały za szaleńców.

Mijały lata, a świat z zawrotną prędkością pędził do przodu, nie pozwalając nawet polskiej wsi pozostać aż tak w tyle. Przełomowym okazało się podłączenie wsiom telewizji, później wzbogaconej przez Internet. Nieważnym okazało się nawet to, że treści oglądane na ekranie telewizora były mocno propagandowe. Były przede wszystkim wiadomościami ze świata nieograniczonego dwudziestoma domami zbudowanymi wzdłuż rozpadającej się drogi, jednym sklepem i małym kościołem. Dawały choć tę namiastkę dostrzegania czegoś innego, co niektórym wystarczyło, by próbowali szukać dalej, wiedzieć więcej i się rozwijać.

Kobiety, moje babcie, właśnie w takich okolicznościach dorastały, dojrzewały, brały śluby i rodziły dzieci i mimo towarzyszącego im natłoku obowiązków, nawet one dostrzegały zmiany w otaczającej je rzeczywistości. Początkowo nie wierzyły, że codzienność może się zmienić – ale im dalej zmiany postępowały, tym trudniejsze było ignorowanie ich krzyku o dopasowanie się i elastyczność poglądów. To właśnie one, moje babcie, w takich warunkach wychowywały synów i córki – a jednak pozostały na straży tradycyjnych wartości rodzinnych, w niezwykle zręczny sposób łącząc je z nowością i z wpływami z zewnątrz. Okazały się silnymi kobietami, silniejszymi, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, pokazując potomstwu świat jednocześnie takim, jakim same go znały i takim, jakim się stawał. Obie robiły to w zupełnie inny sposób, każda jednak miała rację obierając swój własny styl. Nigdy nie opuściły wsi, nie uległy presji wyjazdów do miasta i porzucania natury. Gotowały, i nadal gotują dla całej rodziny, która teraz powiększyła się o ich wnuki. Nie dają sobie wmówić wartości, do których nie są przekonane, jednak chętnie słuchają i rozmawiają, nadal próbując nadażyć i się dostosować.

Feminizm z definicji miał być próbą ustawienia kobiety i mężczyzny na równi, nie wywyższając ani jej, ani jego. Miał zaprowadzić ład i porządek, dać wszystkim równe prawa, na które żadnego wpływu nie będzie miała biologia. O to właśnie walczyły prawdziwie feministki, pierwsze i najważniejsze, takie jak Simone de Beauvoir i Betty Friedan; w ich założeniach nigdy nie było konceptu mówiącego o tym, że to kobieta ma stać ponad mężczyzną. Walczyły o równość, nie o dominację.

Współczesna kobieta postfeministyczna nie ma nic wspólnego z tymi wartościami. Coś najbardziej zbliżonego do utopijnej równości osiągnęły właśnie moje babcie, polskie chłopki, pozbawione dostępu do tekstów o których dyskutował cały świat. To one właśnie potrafiły pokazać swoją siłę, nie dając się porwać pędowi zmian, zamiast tego akceptując i dopasowując swoje otoczenie tak, by móc funkcjonować w zgodzie z rzeczywistością. To one potrafiły postawić na swoim, wymienić tarkę do ubrań na pralkę automatyczną, by było im wygodniej, głośno mówić o swoich potrzebach, ale nie tak, by przekrzyknąć potrzeby innych, tylko by żyć z nimi w zgodzie i równości. Nauczyły się tworzenia wyważonej równowagi w domu, by zapewnić jego ciepło wszystkim domownikom, nie tylko tym wybranym ze względu na płeć. To one w końcu potrafiły potomstwu tak przedstawić świat, by pokazać im, że mogą podejmować swoje własne decyzje, które nie będą determinowane ani ich pochodzeniem, ani żadnym innym czynnikiem, na które nie mają wpływu. Wiedziały, jak pokazać dzieciom, że jeśli chcą, mogą wyjechać; jeśli nie, zawsze znajdzie się dla nich dość miejsca, że mogą wybrać taką pracę, jaka będzie im najbardziej odpowiadała. To one teraz potrafią zaakceptować wybory wnuczek i wnuków nie oceniając ich na żadnym poziomie, zamiast tego rozumiejąc wpływy i zależności kształtujące społeczeństwa.

Moje babcie pozostały tymi kobietami, które obdarzone zostały zdolnością trzeźwego patrzenia na świat, czyli tym, czego brakuje kobiecie postfeministycznej, potrafiącej tylko krzyknąć. Zachowały najpiękniejsze idee aplikując równość do codzienności tak płynnie, że

wydawała się naturalna – czyli taka, jak powinna być. Nie pozwoliły wcześniej, i nigdy nie pozwolą, na omamienie się bzdurnymi sloganami, którymi szczycą się współczesne kobiety, obrażające swoim zachowaniem założenia oryginalnego, pięknego w swojej równości i prostocie, feminizmu. Przy tym wszystkim potrafiły też dbać o polskie tradycje, tworząc dom pełen miłości i zrozumienia, w którym nikt – obojętnie, czy był synem czy córką, wnukiem czy wnuczką – nie czuł się wykluczony.

# Stąd jestem

Patrycja Latocha

Jednym z moich ulubionych przedmiotów w szkole była historia. Oczywiście ta bardziej nowsza czyli tematyka drugiej wojny światowej. Zawsze lubiłam czytać książki o tamtych trudnych chwilach i nauka nie sprawiała mi problemów. Możliwe, że to z powodu przeżyć wojennych moich przodków, a konkretnie mojego pradziadka Teofila. Jak wielką wiarą i chęcią życia musiał wykazać się w swojej młodości podczas wojny. Niestety nie było nam dane poznać się, bo zmarł kilka lat przed moim narodzeniem, jednak łączy nas coś wyjątkowego. Dla mnie dzień 28 kwietnia jest datą narodzin, a dla niego to był dzień śmierci. Zawsze będąc na cmentarzu, jako dziecko cieszyłam się widząc, jak wtedy myślałam “swoją” datę.

Swojego pradziadka znam więc tylko z opowiadań mojej mamy, ale mogę wyobrazić sobie jak bardzo wiele musiał przeżyć w swoim życiu. Myślę, że tak trudne doświadczenia na zawsze zmieniły jego postrzeganie świata. Jedną z form działalności represyjnych okupanta były wywózki w głąb Rosji( okolice Uralu i Donbasu). Właśnie tego doświadczył mój pradziadek. Nie jest mi znana dokładna data wywózki na Ural, ale wydarzyło to się w naszej rodzinie. Całą historię znam tylko z rodzinnej opowieści, bo sam pradziadek Teofil nie mówił o tym zbyt dużo swoim bliskim. Domyślałam się, że musiało to być bardzo traumatyczne doświadczenie. Zostawił przecież w domu swoją żonę i czwórkę małych dzieci. Odtąd ona sama musiała troszczyć się o wyżywienie swoich synów. Tymczasem On miał w sobie wielką wolę przeżycia. Jak opowiadał jadł resztki ze śmietników, żywił się czym tylko dało się byle tylko zaspokoić swój głód. Miał w końcu dla kogo żyć. Często widział biegające szczury, wszędzie panował brud i bywało bardzo zimno. Jego stopy były odmrożone, bo w późniejszych latach (po powrocie do domu) często było mu zimno w nogi i rzadko zostawiał je odkryte. Jeszcze jedną cenną pamiątką z jego pobytu na zesłaniu są obrazki, które przesłał do swoich synów. Każdemu z nich wysłał mały obrazek religijny z dedykacją imienną. Mama dostała jeden w spadku od babci.

Na odwrocie tego obrazka jest Ave Marias Stella (Hymn ku czci Matki Bożej). Słowa tego hymnu stały się osobistą modlitwą mojego pradziadka podczas tak trudnego położenia. Czytając słowa tego hymnu, rozumiem dlaczego właśnie ta modlitwa. Szczególnie bliskie mu były słowa wersu „winnych wyzwól z więzów”. Nauczył się tego hymnu na pamięć i zapewne wielokrotnie powtarzał w ciągu dnia w kryzysowych chwilach. Nie załamał się, miał nadzieję na dzień w którym przyjdzie upragniona wolność. W końcu jego celem był powrót do domu. Jego wiara i modlitwy zostały wysłuchane. Moja prababcia twardo stąpała po ziemi, liczyła się z tym, że nigdy nie zobaczy już swojego męża. Nie miała czasu na rozpacz, bo musiała troszczyć się o synów i być silną. Jak wynika z opowieści rodzinnych była kobietą o mocnym charakterze i miała poważanie u wielu osób, te cechy bardzo pomogły jej podczas tej ciężkiej próby, która spadła na rodzinę. Pewnego dnia ktoś stanął w drzwiach po tak długim czasie rozłąki. Dla całej rodziny był to cud. Jak podaje źródło historyczne, nie wszyscy mężczyźni

wywiezieni na Ural wrócili do swoich stron rodzinnych. Mojemu pradziadkowi udało się uciec i odnaleźć drogę do domu. Nie opowiadał zbyt wiele na temat tego, jak udało mu się dotrzeć do domu. Zapewne starał robić się to ostrożnie i miał swojego “Anioła Stróża” podczas powrotu. Nie chciał żyć przeszłością i starał odbudować więzy rodzinne i być najlepszym ojcem dla swoich synów, a potem stał się wspaniałym dziadkiem pełnym ciepła i radości. Późniejsze jego lata życia były pełne spokoju i docenienia każdego dnia. Cieszył się względnie dobrym zdrowiem, poza stale towarzyszącymi mu zimnymi stopami. Miał dobrą i spokojną starość. Dane mu było przeżyć swoją żonę o kilka lat i cieszyć się ze szczęścia swoich synów i patrzeć na dorastające wnuki. Odchodził z tego świata wśród miłości swoich bliskich, po krótkiej chorobie, która sprawiła, że na ostatnie miesiące życia leżał w łóżku. Jestem dumna, że miałam takiego pradziadka.

Dla mnie jest bohaterem i przykładem do naśladowania. Postanowiłam więc opowiedzieć jego historię, żeby podziękować mu za odwagę i niezłomną wiarę.

# Osoby wytrwałe mogą osiągnąć wszystko

**Paulina Czarnynoga**

Zazwyczaj gdy przychodzi nam odpowiedzieć na niecodzienne, skłaniające do myślenia pytania, które najczęściej dają początek długim i ciekawym rozmowom, przykładowo - jakie jest nasze największe marzenie, najlepsze wspomnienie z dzieciństwa czy kim jest najciekawsza osoba jaką przyszło nam dotychczas spotkać na swej drodze, musimy zatrzymać się na moment, by zebrać myśli ponieważ stawiają one przed nami nie lada wyzwanie, aby wybrać tę jedną prawidłową odpowiedź. Jednak tym razem było inaczej, co już samo w sobie świadczy o wyjątkowości mojego wujka Alojzego. Nie potrzebowałam ani chwili zastanowienia, o której inspirującej osobie z mojej rodziny powinnam opowiedzieć. Co ciekawe, i tylko potwierdzające mój słuszny wybór, takiej samej odpowiedzi udzielili moi rodzice i starsza siostra.

Wuj Alojzy jest mężem ciotki Łucji, która z kolei jest siostrą mojego dziadka Janka. Choć na pierwszy rzut oka wygląda to na dalekie pokrewieństwo, to dzięki bliskiemu położeniu naszych domów oraz częstym odwiedzinom, mogę śmiało stwierdzić, że jesteśmy bliską rodziną. Moje rodzinne strony to spokojna, malownicza okolica z mnóstwem wielopokoleniowych, górniczych tradycji. Z opowieści wiem, że choć dzieli nas ponad pół wieku, to dzieciństwo w tych okolicach spędziliśmy podobnie – biegając beztrudnie po polach i lasach, grając w piłkę oraz bawiąc się z licznym kuzynostwem, którego w moim przypadku jest aż jedenaścioro. Mimo, iż miasto w którym obecnie studiuje i mieszkam jest spełnieniem moich nastoletnich marzeń, to wykorzystuję każdą okazję, by opowiedzieć moim znajomym lub innym, przypadkowym rozmówcom o tradycjach mojego regionu. Na skierowane w moją stronę pytanie skąd pochodzę odpowiadam z uśmiechem i dumą „jestem ślązaczką z krwi i kości”. To pytanie, jakby automatycznie idzie w parze z kolejnym, czy potrafię posługiwać się gwara śląską, a gdy nieskromnie odpowiadam twierdząco, zostaje poproszona o udzielną lekcję w postaci kilku śląskich zwrotów. Wtedy jako przykład podaję moje ulubione słowa czyli „szmaterlok”, „bajtlík” i „fliger” co kolejno oznacza motyla, portfel i samolot. Język to jeden z aspektów za którym najbardziej tęsknię, owa żywa śląska tradycja i gwara przeplatająca się w codziennym życiu. W najmłodszych latach jesteśmy najbardziej związani z tym co prezentują starsze pokolenia w naszym domu. Spędzamy czas z dziadkami, lub jak w moim przypadku także z wujkami, i nasiąkamy ich mądrościami. Miłość i dumę z mojego regionu, o której wspominam, zaszczerpił we mnie właśnie wuj Alojzy. Od zawsze fascynował się duchową kulturą Górnego Śląska. Udało mu się napisać kilka książek, za pomocą których stara się tego ducha ożywić. Cenie jego wiedzę i pragnienie, by jak najlepiej zrozumienie historię Śląska. Jego zdolność do odkrywania i zgłębiania informacji na temat różnych okresów, od wczesnego osadnictwa, poprzez złożoną historię polityczną, aż do dzisiejszych czasów, pokazuje pasję poznawania przeszłości. Wuj Alojzy swoim piórem utrwala historię polityczną, społeczną jak i kulturową. Jestem dumna, że na moim regale w studenckim pokoju,



między podręcznikami i stertą notatek, może stać jego książka.

Wuj nie raz wspominał, że próbuje pomóc przetrwać śląskiej pamięci, reanimuje ją, wskrzesza i stara się zarazić nią innych. Moja starsza siostra i ja jesteśmy tego idealnym przykładem. Karolina, która od najmłodszych lat miała talent do wystąpień recytatorskich, czuła się jak ryba w wodzie biorąc udział w regionalnych konkursów recytatorskich gwary śląskiej. Nasze albumy wypełnione są jej zdjęciami w tradycyjnym śląskim stroju czyli koszuli, kamizelce, kabatce, sukiennym okryciu wierzchnim, wianku i koralach. Ja natomiast odziedziczyłam inny talent wujka. Od zawsze miałam dryg do pisania i chwaliłam się, że kiedyś zostanę powieściopisarką i tak jak wujek wydam swoją własną książkę. Marzenie poniekąd udało się spełnić ponieważ mając dwanaście lat dałam upust moich artystycznym zapędom i napisałam opowiadanie wraz z własnoręcznymi ilustracjami. Do dziś pamiętam słowa mojej babci Marysi, która oglądając mój dyplom za pierwsze miejsce w konkursie literackim stwierdziła wesoło, że „rośnie nam drugi Alojzik w rodzinie”.

Wuj Alojz odegrał również bardzo ważną rolę w życiu mojego taty. Ma on bowiem nie tylko ogromną wiedzę ale i potrafi ją przekazać. Mój ojciec i jego bracia uczyli się górniczego fachu właśnie od niego, bo jak to dawniej bywało, ludzie podejmowali się kilku prac. W latach 1964-1973 był nauczycielem-wykładowcą w Szkole Górniczej Kopalni Węgla Kamiennego. To właśnie pasją, poczucie celu i wewnętrzna potrzeba pracy z młodymi sprawiła, że pokolenie mojego ojca z uśmiechem wspomina wujka przechadzającego się z kawą po korytarzach ich szkoły. Nauczanie zawodu to niejako nadzorowanie wujka w wejścia w dorosłość i stawiania na własne nogi. Jego oddanie, zapał i zaangażowanie sprawiło, że nauka stała się dla nich łatwiejsza i satysfakcjonująca, a zdobyta wiedza i umiejętności trwalsze. Istnieją zawody na świecie, które wymagają zamiłowania do ich wykonywania, dlatego uważam, że każdy w procesie swojej edukacji powinien spotkać nauczyciela, dla którego przyjemnością było przychodzenie na zajęcia oraz długie rozmowy, po godzinach lekcyjnych, ze swoimi uczniami.

To co najbardziej podziwiam w wujku to wytrwałość, bo osoby wytrwałe mogą osiągnąć wszystko. Największym pragnieniem i misją, którą udało mu się spełnić było odnalezienie grobu swojego ojca, który zginął na froncie wschodnim pod gąsienicami radzieckiego czołgu, we wsi Jamki na północ od Kirowogrodu, podczas wojny w 1944 roku. Był jedną z pierwszych osób, które w mojej okolicy odważyły się mówić o zbrodniach wojennych głośno. Cel jaki sobie postawił był z pobudek miłości, choć ledwo pamiętał jego twarz. Trud dzieciństwa jakim było wychowywanie się bez ojca napędził go również do spisania i podtrzymania historii innych poległych. Opublikował szereg artykułów o losach Górnoszlązaków przymusowo wcielonych do Wehrmachtu oraz górnikach poległych w podziemnych katastrofach. Jego twórczość ludzie traktowali jako rozprawę z bólem i żalem po utracie bliskich. Podkreślał, że Ci, którzy oddali swoje życie, zasługują na naszą wdzięczność i pamięć. Byli to zwykli ludzie, którzy wyrwani z codziennego życia, stanęli do walki, aby obronić nasze prawa, wolność i bezpieczeństwo. Pamięć o walczących jest ważna zarówno na szczeblu społecznym, jak i indywidualnym. Dla rodzin poległych, utrzymywanie pamięci o ich bliskich jest kluczowe dla ich żałoby i wyrażenia szacunku, a dla społeczeństwa możliwością uczenia się i refleksji. Historia, ta wielka narodowa i ta mała osobista, jest częścią każdego z nas, każdego człowieka. Jest dziedzina niezwykle ważną z wielu powodów, przede wszystkim kulturowych i tożsamościowych.

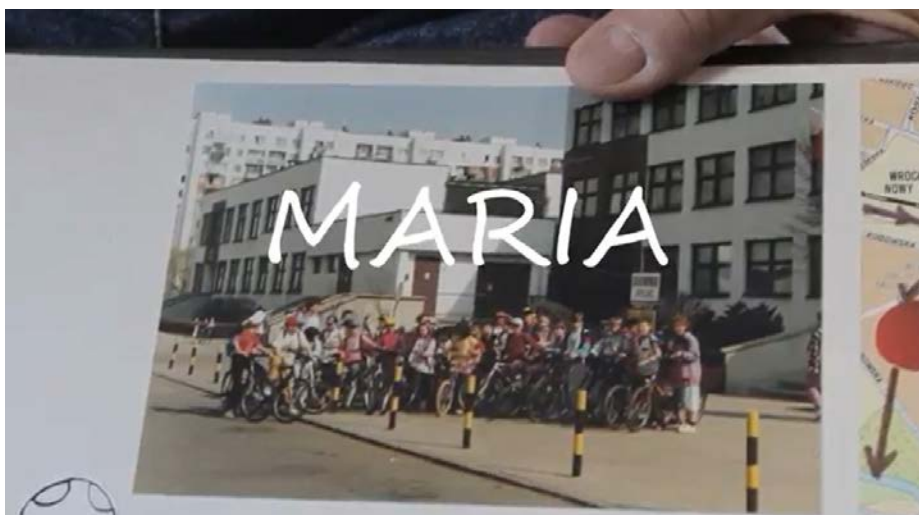
Wuj Alojzy to osoba inspirująca z dwóch powodów. Pierwszym jest odwaga, by zagłębiać się i poszukiwać prawdy historycznej oraz sprawiedliwości. Wszystkich nas od zawsze uwrażliwiał na głosy z przeszłości. Jego próby utrwalenia i rozjaśnienia zagmatwanej historii


górnego śląska, którego efektem są powstałe artykuły, książki i opowiadania, zostaną z nami na długo. Jestem mu wdzięczna, że pokazał mi jak cenna jest łączność z przeszłością i korzeniami, nawet gdy obecnie mieszkam kilkaset kilometrów od rodzinnych okolic. Historia daje bowiem poczucie osadzenia i umiejscowienia, które pozostaje w sercu człowieka i w tym kontekście pozwala kształtować teraźniejszość i przyszłość. Dzięki mojej rodzinie i przekazanej tradycji, 4 grudnia to dla mnie nie tylko końcówka długiego odliczania do mikołajkowych prezentów ale i Barbórka, czyli ważne górnicze święto podczas, którego wspominamy świętą Barbarę z Nikomedii, patronkę trudnej pracy i dobrej śmierci. W tym dniu dzwonię do mojego ojca, dziadka i wujków z życzeniami i podziękowaniami za ich ciężką pracę w kopalni. Drugi z powodów dlaczego dążę do naśladowania wujka ma charakter niejako czysto emocjonalny, ponieważ wujek posiada w sobie potężne pokłady empatii i ciepła, którymi zaraża wszystkich wokół. Pracowitość, wielostronne wykształcenie i determinacja, by odnaleźć grób ojca i uczcić jego pamięć oraz spisać tę historię pokazuje mi, że na pierwszym miejscu zawsze powinna być rodzina. Mam nadzieję, że również ja zawsze znajdę w sobie siłę, by do każdego postawionego przede mną wyzwania w życiu podchodzić z taką pasją i zaangażowaniem. Być może za kilkadziesiąt lat to ja stanę się bohaterką czyjegoś eseju.

176.

# Maria

Magdalena Zambrzycka



 [Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film](#)

# Stąd jestem

**Ewa Kozyra**

Od zawsze nosiłam w sobie ducha Chrzanowa. To miasto jest dla mnie czymś więcej niż tylko miejscem urodzenia. Jest to część mojej tożsamości, która kształtuje moje wartości, przekonania i podejście do życia. Być może nie jestem już mieszkańcem tego miasta, ale jego wpływ na moje życie jest trwały i głęboki.

Pierwszym aspektem, który sprawia, że Chrzanów jest dla mnie wyjątkowy, są moje korzenie. Urodziłam się tutaj i wychowałam się w cieniu majestatycznych kopalni węgla kamiennego. Moi rodzice, dziadkowie i pradziadkowie również pochodzą z Chrzanowa. To miasto jest więc miejscem, które jest zapisane w mojej rodzinnej historii. To tutaj rozpoczęło się nasze życie, to tutaj budowaliśmy swoje marzenia i to tutaj mieliśmy swoje początki.

Kiedy myślę o Chrzanowie, pierwszym skojarzeniem, które przychodzi mi do głowy, są górnicy. To oni stanowią istotną część społeczności chrzanowskiej i odgrywali ważną rolę w życiu mojej rodziny. Mój tata był górnikiem przez wiele lat. Codziennie wychodził na zmianę w czeladzi górniczej, gotów ryzykować własne życie, by dostarczyć energię potrzebną naszemu regionowi. Jego praca była trudna i niebezpieczna, ale zawsze wykonywana z godnością i zaangażowaniem. Dla mnie i mojej rodziny to on był bohaterem, którego poświęcenie i determinacja stanowiły wzór do naśladowania. Ale to nie tylko mój tata. Moje korzenie górnicze sięgają głębiej. Mój dziadek pracował w pierwszej fabryce lokomotyw w Polsce, znanej jako Fablok Chrzanów. To miejsce jest ikoną przemysłu w moim mieście i symbolizuje twardą pracę, innowacje i przedsiębiorczość, które są wpisane w historię Chrzanowa. Opowieści mojego dziadka o tym, jakie wyzwania i sukcesy towarzyszyły produkcji lokomotyw, zawsze były dla mnie źródłem inspiracji. To właśnie dzięki takim osobom Chrzanów stał się miejscem, które mogę z dumą nazywać swoim domem.

Chrzanów to także przeszłość, która kształtuje moje rozumienie tego, kim jestem. Historia mojego miasta jest pełna trudnych momentów, jak i triumfów. Wiele wydarzeń z przeszłości, takich jak walki o niepodległość Polski czy okres rozwoju przemysłu węglowego, wpłynęło na kształtowanie tożsamości Chrzanowa i jego mieszkańców. Te historie uczą mnie o sile ludzkiego ducha i determinacji w obliczu trudności.

Mimo że już nie mieszkam w Chrzanowie, zawsze będę z nim związana duchowo. To miasto kształtowało mnie i nadal wpływa na moje wartości. Wartość pracy, zaangażowanie społeczności lokalnej i duma z naszych korzeni to wartości, które wyniosłam z Chrzanowa. To miejsce nauczyło mnie szacunku dla historii, tradycji i dziedzictwa. Niezależnie od tego, gdzie obecnie mieszkam, zawsze będę dumna z mojego chrzanowskiego pochodzenia.

Chrzanów to nie tylko miejsce na mapie. To część mojej tożsamości, mojego dziedzictwa i moich wartości. Jestem wdzięczna za to, że urodziłam się w tym pięknym mieście, które przez lata kształtowało mnie jako osobę. Moje korzenie, sąsiedzi-górnicy, historia fabryki lokomotyw i wiele innych elementów Chrzanowa pozostają we mnie żywe. To miasto jest moim domem duchowym, które zawsze będzie miało szczególne miejsce w moim sercu.

178.

# Stąd jestem

Agnieszka Napiórkowsk



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

# Stąd jestem

Danyil Zhuravlov

## WPROWADZENIE

Historia naszej rodziny jest nieodłącznie związana z Ukrainą. Przodek mojej rodziny, którego życie przebiegało na tej ziemi, pozostawił trwały ślad w naszej historii. Chciałbym podzielić się historią mojej prababci i zrozumieć, jak jej życie kształtowało naszą rodzinę i wpłynęło na naszą tożsamość.

## POCZĄTKI

Moje korzenie ukraińskie sięgają wielu pokoleń wstecz. Mój przodek, której nazwisko wtedy było “Zagurska”, urodziła się w małej wiosce na zachód od Czerniowiec. Był to czas, gdy Ukraina była częścią Imperium Rosyjskiego, a ludność ukraińska starała się zachować swoją tożsamość narodową i kulturę pomimo represji ze strony władz.

## EDUKACJA I ŻYCIE MŁODOŚCI

Mója prababcia otrzymała wyższe wykształcenie w szkole zawodowej, i zaczęła pracować jako inżynier w jednej z fabryk w Zaporozżu. To były trudne czasy, pełne niedostatków, ale też pełne ciepła rodzinnego. Otrzymała od państwa ziemię z budynkiem, które po śmierci dostała już moja babcia.

## CZAS POGROMÓW I REWOLUCJI

Jako młoda kobieta, mója babcia była świadkiem trudnych wydarzeń historycznych. Początkowo zetknęła się z brutalnością i przemocą podczas pogromów antyukraińskich, które nawiedziły wieś. To doświadczenie pozostawiło w nim trwałe blizny emocjonalne i wzbudziło w nim dążenie do sprawiedliwości i równości.

Następnie nadszedł okres rewolucji w Rosji i Ukrainie. Moje przodki włączyli się w walkę o niepodległość Ukrainy. To były lata pełne walki i poświęceń, ale także okres budowania narodowej tożsamości.

## ŻYCIE RODZINNE

Po zakończeniu rewolucji i ogłoszeniu niepodległości Ukrainy w 1917 roku, moje przodki zaczęli budować nowe życie. Moja prababcia i pradziadek wzięli ślub i wraz z narodzeniem mojego dziadka rozpoczęli życie rodziny na wsi. Byli to trudni, ale szczęśliwi czasy, pełne miłości i troski o przyszłość swoich dzieci.

## **OKRES DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ**

Niestety, spokojne życie mojej rodziny zostało przerwane przez nadejście drugiej wojny światowej. Obszar, na którym żyli, stał się polem walki między nazistami a Armią Czerwoną. Mój dziadek, jako młody mężczyzna, został zmuszony do wcielenia się do radzieckiej armii i walczyć na froncie wschodnim. To było traumatyczne doświadczenie, które pozostawiło trwałe ślady na jego psychice.

## **POWOJENNE LATA**

Po zakończeniu wojny, Ukraina stała się częścią Związku Radzieckiego. Moja rodzina przeniosła swoje miejsce zamieszkania z Zaporozża do Czerniowic ale pod kontrolą sowieckiego reżimu. Były to lata represji i cenzury, ale także okres względnego spokoju. Moja rodzina starannie strzegła swojej ukraińskiej tożsamości, choć pod groźbą represji.

180.

# Stąd jestem!

Marcin Tyszkiewicz

—



# Stąd jestem

Wiktoria Wilińska

W dzisiejszych czasach młodzież posiada idoli, którzy są sławni na całym świecie, zbierają miliony polubień pod postami na Instagramie i dzielą się swoim luksusowym życiem na drugiej stronie świata. Jednakże wielu z nas nie zauważa tego, że inspirująca osoba może znajdować się tuż obok nas. Mogą być to członkowie naszych rodzin lub znajomi, którzy wyróżniają się poszczególnymi cechami charakteru. Według mnie motywująca postać musi być otwarta na nowe, nie bać się stawiać na swoim oraz mimo przeciwności losu nie poddawać się, mieć dużą motywację i samodyscyplinę. Człowiekiem, którego podziwiam i opiszę część jego życia w tej pracy jest moja babcia Nina, która aktualnie ma 70 lat.

Urodziła się ona w Związku Radzieckim w biednej rodzinie. Miała czworo rodzeństwa: starszego brata, siostrę bliźniaczkę, młodszą siostrę oraz brata. Kiedy była mała jej rodzice wyjechali do Kazachstanu w celach zarobkowych, jednak po kilku latach większość rodziny wróciła na Białoruś. Jej ojciec postanowił nie wracać do kraju, zostawiając przy tym swoją żonę i pięcioro dzieci. Nina zawsze pomagała swojej mamie, która dużo pracowała by utrzymać rodzinę. Codziennie sprzątała w domu, pielęła w ogródku, czasami nawet pasła krowy. Młodsze rodzeństwo zaprowadzała oraz odbierała z przedszkola, a gdy mama była jeszcze w pracy wraz z siostrą miały maluchów na oku. Pilnie się uczyła, ale znajdowała też czas na zabawę i spotkania z rówieśnikami na świeżym powietrzu. Zawsze była aktywna fizycznie, w szkole średniej grała w siatkówkę, koszykówkę i piłkę ręczną, dobrze też biegła na średnie dystanse. Jej dzieciństwo nie było najłatwiejsze, ale, jak opowiada, nie miała czasu na nudy i smutek. Zawsze znajdowało się coś do zrobienia, trzeba było komuś pomóc, o kogoś się zatroszczyć, kimś się zaopiekować... Teraz takie poczynania są rzadko spotykane szczególnie w miastach, dzieci zazwyczaj przychodzą ze szkoły i resztę dnia spędzają odrabiając lekcje i korzystając z telefonów komórkowych.

Po zakończeniu szkoły średniej babcia udała się na wyższą szkołę pielęgniarstwa. Po jej ukończeniu zaczęła pracować jako pielęgniarka dziecięca w przychodni rejonowej w małym miasteczku. Na obszarze, który jej podlegał miała około 100 małych dzieci, których musiała co jakiś czas odwiedzać w ich domach, albo zapraszać do przychodni na szczepienia lub bilans. Niektóre mieszkaly w okolicznych wsiach, gdzie trzeba było dojechać. Przychodnia dysponowała tylko jednym samochodem i karetką. Jeśli ktoś inny wyjechał na miejsce wypadku to trzeba było radzić sobie samemu z dojazdem do dzieci. Nieraz dojeżdżało się do małych pacjentów na rowerze, nie zwracając uwagi na pogodę. Jednak te drobne niedogodności nie ostudziły zapału babci do niesienia pomocy i czynienia dobra. Pewnego razu przydarzyła się jej pewna historia, o której mi opowiedziała i która pokazuje, że była zawsze skłonna i gotowa do pomocy. Pewnego dnia Nina została poproszona o zrobienie zastrzyków choremu dziecku z sąsiedztwa. Babcia zgodziła się. W domu znajdowała się cała rodzina - matka, ojciec i syn. Tata chłopca

jadł obiad po ciężkim dniu pracy, jednak niespodziewanie zadławił się kawałkiem mięsa. Zaczął się dusić i zrobił się siny. Jego żona próbowała mu pomóc, jednak nie wiedziała, co ma zrobić, więc zaczęła krzyczeć pomocy. Nina usłyszała odgłosy z innego pokoju i poszła sprawdzić, co się stało. Gdy zobaczyła umierającego mężczyznę, to zachowała zimną krew i od razu przystąpiła do udzielania mu pomocy. Chwyliła go z tyłu rękami poniżej klatki piersiowej, jedną rękę zacisnęła w pięść i uderzyła powyżej pępka w kierunku mostka. Poskutkowało, kawałek mięsa wyleciał z buzi jak z procy, a poszkodowany zaczął oddychać. Później ten człowiek był niezmiernie wdzięczny babci za uratowanie życia, a ten dzień uważał za swoje drugie urodziny. Jeśli pomoc nadeszłaby chwilę później to nie udałoby się go uratować. Takich sytuacji, gdzie moja babcia ratowała innych było wiele, lecz jeszcze tylko jedna zaszyła mi się w pamięci. Pewnego dnia Nina, pracując w oddziale dziecięcym przychodni, przyjęła do siebie dziewczynkę, która miała bardzo wysoką gorączkę, czekając na lekarza, który był zajęty innym pacjentem, dziecko dostało silnych drgawek. Babcia zauważając stan dziewczynki, bez zastanowienia wykonała zastrzyk, pomagający zastopować atak.

Nina w wieku 19 lat wyszła za mąż, a później urodziła dwie córki. Gdy moja mama skończyła szkołę, chciała wyjechać do Polski na studia. Babcia na początku nie zgadzała się na ten pomysł, wiedziała, że wyjazd do innego kraju jest niewyobrażalnie ciężkim wyzwaniem. Brak dobrej znajomości języka i wystarczającej wiedzy o życiu w innym kraju były dodatkowymi przeszkodami. Jednak mojej mamie udało się zrealizować swoje marzenie. Oczywiście babcia pomagała jej, wspierając ją finansowo i psychicznie. Gdy urodziła się moja siostra, a później ja, Nina przyjechała do nas, by pomóc opiekować się dziećmi. Na początku było jej ciężko, bo słabo rozumiała i mówiła po polsku. Po pewnym czasie zaczęła wszystko rozumieć co do niej się mówi i biegle mówić. Teraz chociaż już z nami nie mieszka, wróciła do Białorusi, to rozumie co do niej mówię i nadal mnie wspiera w różnych sytuacjach. Jest żywą kopalnią wiedzy i nadal służy przykładem i dobrym słowem.

Tak naprawdę babcia była osobą, z którą spędziłam większość mojego dzieciństwa. Zawsze była troskliwa i opiekuńcza, stawiała potrzeby innych ponad swoje. Nigdy nie skarżyła się na swój los, zawsze była i jest pogodną i uśmiechniętą osobą. Wiele razy powtarzała mi, że nigdy nie miała czasu na odpoczynek i jej całe życie było przepelnione pracą, ale niczego nie żałuje i ludziom trzeba pomagać, bo dobro powraca. Zawsze podchodziłam do tego z dystansem, jednak po zaznajomieniu się z historią jej życia, przestałam w to wątpić. Uważam, że moja babcia jest bardzo wspaniałą i oddaną osobą. Bardzo ją kocham i sądzę, że właśnie z takich ludzi jak ona należy brać przykład.

## Stąd jestem

**Michał Czerniga**

O ludziach wyniosłych mówię, że im jedynie herbu brakuje lub „widziałem tytuł szlachecki w promocji – nie chcesz?”, natomiast o hejterach – wątrobowce, ponieważ mówią zazwyczaj piszą co im leży na wątrobie. I choć nie ma to związku z pytaniem, chciałem abyśmy się trochę na początku poznali.

Skoro to nie początek, to właśnie teraz warto by się zastanowić jakim językiem napisać ten... za przeproszeniem „esej”. Może wyniosłym? Godnym honoru gracza scrabble – wszak nim jestem i uwielbiam archaizmy oraz ciekawe słowa... kwiat najtrudniejszych słów, zrozumiałych jedynie przez doktorów i to nie takich honoris causa jak Pan były prezydent znany z pisania „Dd” w swoich internetowych postach. A może napisać to coś jak najprostszym językiem? I to jeszcze wspomagając się dostępną w internecie stroną jasnopis. Tak, żeby nawet 4-latek bez problemu zrozumiał? Wstęp mamy już za sobą, herbu nie potrzebuje, a z wątrobą też wszystko w porządku.

Na tytułowe pytanie od niedawna znam odpowiedź. Zadałem je tacie w wieku 22 lat. „Kim jestem?”

Schylek XIX wieku, pradziadek ze strony taty - Edward był dyżurnym ruchu kolejowego, w tamtych czasach praca na prężnie rozwijającej się kolei była bardzo dobrą posadą. Z ciekawszych rzeczy to popełnił mezalians z dziewczyną pochodzenia szlacheckiego. Oczywiście sprawa musiała zostać uciszona, a kochankowie rozdzieleni – więcej nie wiem. Pora na dziadka ze strony taty – urodził się 1924 roku, był wojskowym w stopniu starszego kaprala, zmarł szybko w wieku 44 lat na guza mózgu, gdy mój tato miał 11 lat. To było trudne dzieciństwo, bo bez wsparcia ojca młodemu chłopakowi jest naprawdę ciężko. Psychologowie mawiają, że rodzice kształcą psychikę dziecka do 10 roku życia. Dla przykładu, jeśli do tego czasu rodzice dziecka nie „wychowają” stawiając pewne granice i moralne drogowskazy, po przekroczeniu wspomnianego wieku nie ma na to szans, szczególnie podczas młodzieńczego buntu nastolatka.

Dziadek jednak zdążył mojego tatę przez ten krótki czas dobrze ukształtować. Tata dostał po nim upartość w dążeniu do celu. Przed skończeniem 30 roku życia wybudował dom dla swojej rodziny. Małymi etapami po pracy udało się – oczywiście nieoceniona tutaj była pomoc szwagra – nie było wtedy betoniarek z pompą i gotowym betonem. Ręcznie trzeba było przerzucić niezliczone ilości piachu, żwiru i cementu do betoniarki i wywieźć taczkami na fundamenty oraz strop. Beton musiał być wylany jednego dnia – nieludzki wysiłek. Choć nikt nie wierzył, w pomyślność tego planu, oprócz rodziny. Ludzie w zakładzie pracy oczywiście początkowo się śmiali, póki nie udowodnił co potrafi – myślę, że trzeba im to wybaczyć, to byli prości ludzie po zawodówkach, a interesowała ich głównie wódka. Ja z taty jestem dumny.

Jeśli mowa o rodzinie, poszukiwaniu „źródła” to zmierzamy już w końcu we właściwym kierunku.

Z racji braku ojca, tym silniej odpowiedzi na pytania szukał mój tata – jeździł po archiwach, przeszukiwał kościelne kroniki. Nawet gdy byłem nastolatkiem zaprzęgnął do pracy internet. Nie rozumiałem wtedy jeszcze tego jak ważne i dla mnie będzie to pytanie.

– „Gdy dorosniesz, to sam mnie zapytasz o korzenie” (Tak było) – zapytany o sens odpowiedział mi tata. Jako подросток posłusznie przeszukiwałem internet, nawet wtedy trochę tacie pomogłem, bo znalazłem jakąś rodzinę z drugiego końca Polski i kontakt.

Ze strony taty, udało się jedynie zebrać informacje, które zgromadził mój ojciec, że ród pochodzi z Bułgarii i byli pasterzami. Dlaczego przybyli do Polski? – nie wiemy.

Co roku tradycją taty jest oglądanie filmu „Pan Wołodyjowski” oraz „Potop”. I każdego roku niezmiennie przy nich płacze. Za każdym razem wprawia mnie to w zdumienie i daje do myślenia. Jestem pewien, że gdyby nie daj Boże zaszła taka potrzeba szedłby do ataku w pierwszym rzędzie.

Kim jestem? Kim byli moim przodkowie? Skąd pochodzę?

Ze strony mojej mamy Ani sprawa jest prosta. Polska rodzina spod Lwowa, której głowa – prapradziadek Marcin był powszechnie szanowanym weterynarzem. W 1944 roku dostał cynk od Ukraińców, że jest na liście do wywózki na Sybir. Dzięki temu zdażył swoją żonę Apolonię wraz z dziećmi wywieźć w głąb Polski, zostawiając nowo wybudowany dom wraz większością majątku.

Dziadek Leon ze strony mamy pochodził z rodziny wielodzietnej i miał 5 braci i 3 siostry. Był pułkownikiem w Polsce Ludowej, choć może to dziś nie powód do szczególnej dumy. Nie był złym człowiekiem - dostrzegał ludzką naturę rzeczy w wykonywanych obowiązkach, nikogo też nie kazał rozstrzelać. Jego rodzice byli dumni z wykształcenia jakie zdobyły ich dzieci. Tylko dwie siostry nie miały wyższego wykształcenia. To jak na czasy powojenne i wiejskie pochodzenie sukces i duży wysiłek rodziców.

## KONIEC

Z mlekiem mamy wyssałem miłość do książek, słów (zamiłowanie do gry Scrabble) oraz umiejętność kreatywnego myślenia, po tacie natomiast upartość w dążeniu do celu i zamiłowanie do fotografii.

Proszę wybaczyć mi to błahe stwierdzenie na koniec. Często się mówi, że ludzie kiedyś byli honorowi, że dotrzymywali obietnic – być może był to efekt małych wiejskich czy blokowych społeczności, wspólnot rodem z Chłopów czy Alternatyw 4. Pilnowania się nawzajem. Każdy miał pewien przestrach przed samosądem, czy spotkaniem losu Jagny z Chłopów, przysłowiowego „wywiezienia na taczkach” ze społeczności w której się wychował.

Wywodząc się ze wsi, ale mieszkając w dużym mieście, mogę jedynie zaobserwować, że w mieście tych społeczności w zasadzie już nie ma, natomiast na wsi ta kultura podglądania, osądzania sąsiada jest jeszcze żywa.

Mam na myśli to, że ważne jest dla naszej tożsamości kim byli nasi przodkowie, ich zwyczaje, kultura, realia z jakimi musieli się mierzyć. Jak mawiał mój tata „Naród bez tradycji umiera”, ale istotne jest także jacy jesteśmy teraz. Przecież zasady bycia dobrym człowiekiem są zapisane w większości religii oraz kultur. Być może spoglądanie na losy naszych przodków to poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „Jak być dobrym człowiekiem i nie dać sobie wejść na głowę”. Jak przechytryć zło.

Ja pochodzę z Bieszczad, choć moi przodkowie z obu linii genetycznych wywodzili się – patrząc na obecny rozkład granic, spoza granic naszego kraju. Czuję się Polakiem, a wytłumaczenie „kim jestem?” zawdzięczam rodzicom, to oni narysowali mi czym jest świat, wyznaczyli moralne drogowskazy i postawili uniwersalne granice dobra i zła. Szczególne podziękowania należą się w tej kwestii mojej mamie, która już nie pamiętam w jakich okolicznościach sparafrazowała dla mnie słowa Alexis de Tocqueville „Wolność jednego człowieka kończy się tam gdzie zaczyna się krzywda drugiego człowieka”

Które do teraz są dla mnie drogowskazem, gdy zastanawiam się jak postąpić. Nie wiem, czy ten tekst się gdzieś pojawi publicznie, ale jeśli tak to bardzo jej jestem wdzięczny za to, że od małego sprytnie dbała bym czytał książki, ponieważ za poprawne streszczenie tego co przeczytałem dostawałem jajko niespodziankę – które uwielbiałem jak Forest Gump bombonierki, z racji skrywanych tajemnic :)

Jestem idealnym przykładem, że jesteśmy sumą osobistych historii naszych przodków – pośrednio, a bezpośrednio najbardziej sumą naszych rodziców i ich wychowania. Zachowań zmodyfikowanych o nasze własne błędy, doświadczenia oraz indywidualne predyspozycje.

## Historia dwóch kobiet walczących o przetrwanie swoich rodzin

### Pola Grzegorzewska

Zawsze słyszałam tylko o prababci Janinie, nazywanej przez nas Janią. Sama ją też poznałam, więc była dla mnie namacalnym źródłem historycznym. Wszyscy mówili o niej same pozytywy, a teraz kiedy już jej z nami nie ma, pamięć o niej wciąż jest żywa. Inaczej niż jak chodzi o prababcię Walentynę (nazywaną Wala). Nikt tak naprawdę dobrze jej nie znał. Ja nawet nie miałam szansy jej poznać, gdyż zmarła w 1990 roku. Prababcie pozornie były kompletnymi przeciwieństwami, jeśli jednak prześledzimy ich historię zobaczymy jak bardzo są one podobne.

Prababcia Wala urodziła się w 1916 r. we Wronkach. Miała troje rodzeństwa. Jej matka była zadeklarowaną Polką, choć w połowie była Niemką. Jeszcze przed wojną Wala poznała Antoniego, mojego pradziadka. Czy była to wielka romantyczna miłość? Niestety wątpię. Prababcia była zimną osobą, pragmatyczną. Myślę, że lubili się z pradziadkiem, nawzajem się dopełniali i tworzyli zespół. Dla niego przeprowadziła się do Warszawy. Jeszcze przed wojną urodził się im syn Andrzej. W czasie wojny prababcia zostaje sama w Warszawie, wraz z teściową i dzieckiem. Po powstaniu warszawskim została uwięziona w obozie przejściowym w Pruszkowie wraz ze swoją córeczką, która urodziła się niedługo wcześniej. Andrzej ukrywał się w tym czasie w ruinach warszawskich ze swoją babcią. Prababcia Wala przekupiła strażnika swoją obrączką ślubną i z córką na rękach ruszyła do Warszawy oddalonej o 17 km. Była niesamowicie zorganizowana i zdeterminowana. Walczyła w końcu o życie swoje i swojego dziecka. W czasie drogi musiała ukrywać się przed żołnierzami. Wreszcie udało jej się dojść do Warszawy i swojego drugiego dziecka. Antonii, który w tym czasie był więziony gdzieś w Niemczech, po wojnie odnalazł swoją rodzinę. Wali i Antoniemu po wojnie urodził się mój dziadek, a kilka lat później ich najmłodszy syn. Mieszkali przez wiele lat w jednym pokoju trzypokojowego mieszkania. Dopiero po latach uzyskali całe mieszkanie. Mój dziadek – przyszedł aktywny działacz na rzecz zniesienia komunizmu, był bardzo chorowity, więc zamieszkał z przyjaciółką prababci pod Warszawą. Prababcie bolało to bardziej niż wtedy to mogła przyznać. Całe życie, mimo wszystkich rozłąk czy to z rodzicami, czy to z mężem, czy z dzieckiem, była niesamowicie silna psychicznie, walczyła o lepsze życie dla siebie i swoich dzieci. Była chłodną i przedsiębiorczą osobą, bo taka musiała być, by przetrwać. Umarła w wieku 74 lat we śnie. Do końca życia trzymała się dobrze. Zawsze o siebie dbała. Nigdy nie przestała być pragmatyczna.

Prababcia Jania urodziła się w Stanisławowie. Miała tylko 13 lat, kiedy zaczęła się wojna. Jej ukochany poszedł walczyć na wojnę, tak samo jak jej starszy brat i ojciec. Prababcia została z chorą na raka matką i niepełnosprawną siostrą - Wandą. Matka w końcu umarła, a ich dom

przejęło wojsko. Siostry tułały się po znajomych. Wreszcie zostały zmuszone, aby wyjechać. Na stacji kolejowej spędziły wiele lodowatych nocy. Kiedy już w końcu znalazł się w pociągu, Wanda, zachorowała i zmarła na ramionach mojej prababci. Sama musiała przeżyć dalszą podróż. Znalazła się w Rzepinie, gdzie występowała na scenie, przez co stała się lokalną gwiazdą. Jeden z fanów zakochał się obsesyjnie w mojej prababci, przez co musiała znów uciekać. W czasie tułaczki, aby nie umrzeć z głodu, była zmuszona do jedzenia pokrzyw. Po okropnej wędrówce znalazła się u swojego wujka. Napisała stamtąd list, dzięki któremu wreszcie znalazł ją mój pradziadek. Wzięli ślub i zamieszkali w baraku w Katowicach, gdzie nie było toalety czy nawet porządných ścian. Tam dorastała moja babcia. Pradziadkowie nie mieli matury, ani skończonej szkoły. Wojna odebrała im młodość. Pradziadkowi udało się znaleźć pracę w zakładzie mięsnym, w którym przez następne lata pracował. Małżeństwo rodziców mojej babci jest dla mnie związkiem do którego chce dążyć. Nigdy nie przestali się wspierać i kochać. Miałam szczęście ich poznać i doświadczyć tego jak dobrymi są ludźmi. Dzięki nim wiem, że bycie dobrym nie oznacza bycie słabym, a śmierć najbliższych nie musi odbierać wiary i nadziei. Pradziadkowie walczyli dla siebie samych i dla siebie nawzajem. Choć ich przy sobie nie było w czasie wojny, to wspierali się miłością do siebie, wierząc, że to drugie nadal żyje i na nich czeka.

Losy prababci Jani i Wali złączą się dopiero w 1972, kiedy to moi dziadkowie wezmą ślub. Charaktery moich bohaterek różnią się bardzo, ale ich wola przetrwania, walka o najbliższych i determinacja zbliża ich do siebie. Podczas wojny było mnóstwo takich kobiet, które wrzucone w wir wojny były zmuszane do tułaczki, walki o przetrwanie ich i ich rodzin. Niezwykła determinacja moich prababć sprawiła, że dzisiaj ja żyję i mogę o nich pisać. Są dla mnie inspiracją i cieszę się z myśli, że ich częśćka jest we mnie. Liczę na to, że takie historie, choć pozornie małe, przetrwają szmat czasu i zostaną w naszych sercach na wieki.

## Stąd jestem

Izabela Kaszyńska

Gniezno, początek państwa polskiego. Pierwsza stolica Polski, położona na siedmiu wzgórzach. To tutaj wieki temu zagnieździła się moja rodzina. Niegdyś legendarny Lech założył w tychże okolicach gród. Moi protoplaści zakotwiczyli się tu i mieszkają od zawsze. Przy kaplicy świętego Jerzego pradziadek Jakub poznał prababcie Kasie. Kuba był już wtedy znanym w Gnieźnie biznesmenem. Zdun, budował piece kaflowe, jego firma przynosiła ogromne zyski. Dziś jego własność zniszczyliby pewnie eko-terrorysty. Zostałby oskarżony o dokładanie się do nadprodukcji dwutlenku węgla.

Na wzgórzach Lecha rozpoczęła się ich relacja. W tym tajemniczym i magicznym miejscu, które pierwotnie było kurhanem, kamiennym usypiskiem i obiektem kultu. Tu spotykały się lokalne czarownice, miłośnicy sabatów oraz inni wyznawcy demonów, by oddawać cześć słowiańskim bóstwom: Jessie, Marzannie i bogini zaświatów Nii. Z czasem chrześcijaństwo wymazało lokalne tradycje.

Wracając do postaci Kuby, był całkowicie omamiony i onieśmielony jej urodą. Podobno babka miała na niego wręcz opętający wpływ. Kompletnie omotany podążał za nią zahipnotyzowanym wzrokiem. Kompletnie zniewolony do samego końca swojego żywota.

Mój przodek był już wtedy wdowcem. Pierwsza żona Michalina odeszła w zaświaty, nie pozostawiając na tej ziemi żadnego potomka.

A dziadek miał marzenia prokreacyjne i dlatego uległ fertycznemu wpływowi zjawiskowej Katarzyny.

Był postacią absolutnie nietuzinkową, przetaczały się przez niego ogromne pokłady niespożytej energii. Mógł stanowić inspirację dla wielu ludzi. Odnosił sukcesy na każdym polu. Czego by nie dotknął, zmieniało się błyskawicznie w złoto. Jak mityczny Midas. Całe życie ciężko pracował i jako idealny pracodawca dawał zatrudnienie i chleb wielu polskim rodzinom.

Dziadek opowiadał, jak jego ojciec Jakub pomagał rannym w czasie pierwszej wojny światowej. Ratował polskich żołnierzy. “Przywracał” wręcz życie ciężko rannym. Razu pewnego chłopak prawie stracił kończyny, a jego życie było zagrożone. Jakub, szkolony w udzielaniu pierwszej pomocy, doprowadził do tego, iż żołnierz wrócił do zdrowia. Jego troska była prawdziwym darem dla wielu. Był podobno też członkiem jakiejś organizacji typu “Ochotnicza Służba Zdrowia” i aktywnym działaczem społecznym.

Stanowił również niewyczerpane źródło energii erotycznej. Razem z prababcie doczekali się piątki dzieci, z czego najważniejszym dla mnie jest mój dziadek Henryk. W ciągu tygodnia Jakub pracował, a Kasia zajmowała się pociechami. Natomiast w weekendy to Kuba zabierał swoje dzieci na karuzelę i na lody. Henryk często opowiadał jak jego ojciec pomagał mu w matematyce, podobno miał zdolności przewyższające kalkulator.



Mój przodek był, mówiąc językiem młodzieży, osobnikiem niezwykle “ciachowatym”. Kobiety mdlały wręcz na jego widok. Przyciągał uwagę, umiał wzbudzać zachwyt. Miał pięknie zarysowane kości policzkowe i słowiańskie, intrygujące, błękitne oczy.

Mój barwny protoplasta był też miłośnikiem mocnych trunków. Ponoć brał od czasu do czasu udział w alkoholowych ekscesach. Koniak, arak, krupnik, likier, wino, piwo, szampan. Kiedy w stanie nietrzeźwym zjawiał się w domowych progach, prababka tłukła go ścierą po gębie.

W mojej rodzinie od zawsze pielęgnowano zwyczaje podtrzymujące polską tradycję. Pamiętam jak z dziadkami chodziłam topić Marzannę. Babcia zbierała palmy wielkanocne i okładała nimi dziadka, wierząc, iż ten zabieg wygoni z niego złego ducha. Sama zjadała niekiedy “kotki” z takiej palemki. Zwyczaj ten przynosi ponoć obfitość i zdrowie.

Zatem kończąc, stąd właśnie pochodzę. Moje początki znajdują się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie początki Polski. Jesteśmy czystej krwi Polakami. Ja i moja rodzina. Nie muszę aż tak bardzo grzebać w korzeniach, aby poszukiwać tożsamości, bo wiem, że jestem Polką z dziada pradziada. Jestem rodowitą Gnieźnianką.

Zadaniem polskiego rządu jest dbanie o Polskę i Polaków, pilnowanie naszych interesów. Dlaczego trzeba być patriotą? Jeżeli ktoś sam siebie nie szanuje, bez względu na to czy jest to pojedyncza osoba, czy cały naród, to nikt inny go nie uszanuje. Taka jest natura ludzka, tak było jest i będzie zawsze na tym świecie.

# Walenty Walaszczyk, zwykły chłopak ze wsi

## Kacper Nurzyński

Odkąd tylko pamiętam, w rodzinnych opowieściach słyszałem o dokonaniach Walentego, o jego poświęceniu i osiągnięciach. Jako dziecko nie przywiązywałem do tego większej wagi, ot kolejna zwykła historia rodzinna. Z czasem jednak, gdy dorastałem, zaczynam rozumieć, dlaczego wspomnienie o nim trwa w naszej rodzinie po dziś dzień.

Choć mi jako osobie urodzonej w czasach wolnych od wojen czy głodu ciężko jest zrozumieć i wyobrazić sobie, co musiał przechodzić kuzyn mojej prababci (Heleny Walaszczyk), jak i co sam bym poczuł w takiej sytuacji, wiem jednak jedno, mało kto dzisiaj wykazał by się takim patriotyzmem i odwagą jak właśnie Walenty Walaszczyk.

Porucznik Walenty Walaszczyk urodził się 25 stycznia 1893 roku jako jedno z siedmiorga dzieci Wawrzyńca Walaszczyka i jego żony Katarzyny Walaszczyk z domu Kubit.

Spędził swoje dzieciństwo w małej, biednej wsi zwanej Głowienką, będącej pod zaborem austriackim (leży ona koło Krosna na dzisiejszym Podkarpaciu). Wieś ta podzielała losy ówczesnej Galicji przełomu XIX i XX wieku. Nękały ją fale głodu, epidemie cholery, straszna bieda i pogłębiające się przeludnienie wsi. Ciężka sytuacja popychała wiele młodych osób do emigracji zarobkowej, co było również sposobem na uniknięcie poboru do wojska austriackiego. Młody Walaszczyk nie był inny. W ślad za swoim rodzeństwem (Wojciechem, Janem, Franciszkiem i Heleną) w 1909 roku, nie znając nawet języka angielskiego, jako niespełna 16-letni chłopak postanowił wyruszyć do Stanów Zjednoczonych (które były najczęściej obieranym kierunkiem emigracji w tamtych czasach). Uciekał on przed poborem do armii austriackiej. Był to główny powód emigracji Walentego jak i jego braci.

Pierw Walaszczyk dostał się do Mysłowic, gdzie czekali przewodnicy, którzy przeprowadzali takich jak on przez zieloną granicę prosto do Niemiec. Następnie udał się do miasta Brema, skąd odbył kurs statkiem do Ellis Island (zwanej również bramą do raj), gdzie trafiali na kwarantannę wszyscy emigranci chcący dostać się do Stanów Zjednoczonych.

Po odbyciu kwarantanny otrzymał dokumenty i nareszcie dostał się do upragnionego USA. Osiedlił się on w Chicago, gdzie zdołał dzięki swoim wysiłkom i staraniom nauczyć się języka i zdobyć wykształcenie, a z czasem nawet został „amerykańskim urzędnikiem prywatnym”, co było ogromnym osiągnięciem (jest to szczególnie imponujące, gdyż był zaledwie młodym emigrantem pochodzącym z biednej wsi) i awansem społecznym, który zapewniał spokojne, dostatnie życie.

Jako patriota Walenty nigdy nie zapomniał, że był Polakiem. Brał on czynny udział w życiu polonii, z ogromnym zaangażowaniem śledził wydarzenia z frontu I wojny światowej oraz uczestniczył w szkoleniach paramilitarnych amerykańskich oddziałów polskiego sokoła, aż wreszcie w 1917 roku, usłyszawszy słowa Ignacego Paderewskiego „Do boju za wolność

ojczyzny”, podjął wraz z bratem Wojciechem trudną decyzję. Postanowili oni porzucić spokojne, dostatnie życie i ruszyć do Francji wraz z grupą Polaków, aby ratować ojczyznę.

17 lutego 1917 roku jako ochotnicy wstąpili do błękitnej armii generała Józefa Hallera. Po przeszkoleniu i walkach u boku armii francuskiej, w kwietniu 1919 roku spełnia się pragnienie Walentego, wyrusza on wraz z bratem walczyć o wolną Polskę. Praktycznie natychmiastowo po przyjeździe do Polski jego jednostka została wysłana na Wołyń do walki z bolszewikami. Walenty Walaszczyk, mający już na ten moment rangę porucznika, został dowódcą 1 kompanii 43 pułku piechoty strzelców kresowych. Pułk ten rozpoczął walki na kierunku żytomiersko kijowskim.

Podczas wypadu na wieś Iwanówkę 20 marca 1920 roku (są to okolice dzisiejszego Nowogrodu Wołyńskiego) ze swoją kompanią zaatakował dwukrotnie dwa pułki piechoty bolszewickiej, które to były wspomagane przez artylerię i tzw. „pancerkę”. Osobiście poprowadził pluton czołowy do ataku. Z zaskoczenia wpadli do miasta i przedarli się w stronę rzeki, po czym zajęli jedyny most, odcinając drogę ucieczki oraz tyły bolszewikom. Zostali jednak otoczeni i zmuszeni do ucieczki. Po nieudanej walce w ramach kontrataku wyruszył ponownie tym razem już z całą kompanią. Dzięki jego odwadze oraz umiejętnościom przywódczym udało im się osiągnąć ogromny sukces. Zdobyli oni 3 armaty, mnóstwo karabinów, sprzętu i jeńców.

Niestety już dzień później, bo 21 marca 1920 roku podczas przegrupowania porucznik Walenty Walaszczyk został śmiertelnie ranny pod ofensywą wspieranego przez posiłki wroga. Natomiast jego brat Wojciech, w ciężkim stanie został przewieziony do warszawskiego szpitala, gdzie spędził półtora roku, następnie został przeniesiony do Paryża, gdzie miał kontynuować swoje leczenie. Niestety w wyniku odniesionych ran zmarł w stolicy Francji i tam też został pochowany.

Walenty, który za życia został odznaczony krzyżem walecznych, dodatkowo na wniosek kapituły tymczasowej 23 sierpnia 1920 roku otrzymał pośmiertnie order *Virtuti Militari* V klasy.

Po śmierci syna matka Walentego otrzymała jego szablę wraz z odznaczeniami oraz dożywotnią rentę rodzicielską. Dziś jednak nie wiadomo co się stało z jego medalami (najpewniej przypadły w czasie 2 wojny światowej). Pozostała natomiast szabla, której los był znacznie ciekawszy. Przez wiele lat była ukrywana (w czasie okupacji oraz PRL posiadanie przedmiotów związanych z wojskiem polskim 2 RP było nielegalne) jako pamiątka i skarb rodzinny. Ostatecznie jednak w latach 70 ubiegłego wieku została ona przekazana na rzecz powstającej parafii w Głowience, czyli rodzinnej wsi Walentego (warto dodać, iż w tamtym czasie powstawanie kościołów było nielegalne i wiązało się to z ogromnym ryzykiem, i kosztami).

Tak zakończyło się życie Walentego. Jednak to co po sobie zostawił, czyli mnóstwo wspomnień i historii będzie trwać w mojej rodzinie jeszcze przez długie, długie lata. W historii mojej jest wiele osób o których krążą niesamowite historie, było wielu takich którzy oddali życie w imię Polski, tak więc dlaczego wybrałem właśnie Walentego? Odpowiedź jest zarazem prosta jak i skomplikowana. Z jednej strony Walenty żył w kompletnie innej rzeczywistości. Życie wymagało od ludzi znacznie więcej poświęceń i wyrzeczeń. Z drugiej zaś Historia Walentego zawsze była mi najbliższa. W opowieściach nigdy nikt go nie nazywał bohater czy też patriotą, był on opisywany jako zwykły chłopak, który nie wahał się przed podjęciem dobrej decyzji. Zawsze stawiał dobro ojczyzny i rodaków ponad swoim. W prawdzie mógł przecież zwyczajnie zostać w stanach zjednoczonych na dogodnej dobrze płatnej posadzie i wieść spokojne długie życie, jednak gdy tylko pojawiła się okazja na odzyskanie niepodległości bez wahania ruszył na ratunek ojczyźnie.

Uważam, że pomimo upływu ponad 100 lat od jego śmierci, dalej jest on żywą częścią naszej rodziny. Jego historia może posłużyć jako przykład wartości wpajanych w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Jednak w prawdzie czy byłbym w stanie postąpić tak jak on? Czy byłbym w stanie podjąć tak trudne decyzje? Czy byłbym w stanie zaryzykować tak wiele dla dobra ojczyzny i moich najbliższych? Tego nie wiem, ale będę się starał żyć według tych wartości.

# Śladami przodków

## Michał Konopka

Każdy z nas niesie w sobie dziedzictwo przodków. Nasze korzenie sięgają daleko wstecz, a każdy nasz krewny posiada swoją historię. Niestety nie zawsze jesteśmy świadomi tego, czego nasi przodkowie dokonali i często o nich zapominamy. Wielu z nich przeminęło, a my nawet nie wiemy jak mieli na imię, a ich życie pozostaje tajemnicą. Jednak wcale nasi przodkowie nie muszą być dla nas tajemnicą i zagadką, możemy się o nich dowiedzieć z opowieści, dokumentów genealogicznych, archiwów czy różnych baz danych. Wystarczy zacząć szukać i pytać. Możemy sprawić, że nasi przodkowie będą na nowo żywi. Jak mówił sam Albert Einstein: „Śmierć nie jest kresem naszego istnienia – żyjemy w naszych dzieciach i następnych pokoleniach. Albowiem oni to dalej my [...]”. Dzięki tym poszukiwaniom możemy dowiedzieć się także różnych ciekawych rzeczy na temat życia naszych krewnych, tak jak to było w moim przypadku. Dowiedziałem się, że brat mojego pradziadka był żołnierzem walczącym za nasz kraj. Nazywał się Kazimierz Konopka i jego historię będę miał zaszczyt zgłębić.

Kazimierz Konopka urodził się 22 lutego 1899 roku w Częstochowie. Uczęszczał do szkoły powszechnej znajdującej się w tym samym mieście. Szybko wstąpił do wojska, ponieważ najprawdopodobniej, co udało mi się ustalić analizując dokumenty, przed rokiem 1920 walczył na froncie ukraińskim o czym świadczy nadana mu Odznaka Pamiątkowa „Orlęta” Obrońcom Kresów Wschodnich. W 1920 roku w służbie w 8 Pułku Piechoty Legionów, Kazimierz walczył w wojnie polsko-sowieckiej. Trzy lata później zgłosił się do służby w personelu latającym, a w styczniu 1924 roku na podstawie wniesionych podań i ogólnych klasyfikacji został powołany do Szkoły Pilotów w Bydgoszczy. W ten sposób rozpoczęła się przygoda Kazimierza w lotnictwie, w ciągu następnych prawie dwóch lat ukończył szkolenie podstawowe w Bydgoszczy i został skierowany na dalsze szkolenie do Grudziądza, aby potem w lipcu 1925 roku zostać przydzielonym do 2 Pułku Lotniczego w Krakowie. Po wstąpieniu do pułku Kazimierz uzyskał tytuł i odznakę pilota.

Służba w lotnictwie Kazimierza nabierała rozpędu, już po roku otrzymał awans na stopień plutonowego, a po kolejnych dwóch latach otrzymał Międzynarodowy Dyplom Pilota-dyplom kategorii C. 21 września 1929 roku jego eskadra odbyła lot pokazowy przed delegacją lotników francuskich wizytujących 2 PL w Krakowie. Był to pokaz szybkiego startu całą dziewiątką, pokaz akrobacji grupowej i indywidualnej. Niestety w trakcie służby były także niebezpieczne sytuacje. 28 kwietnia 1930 roku podczas lotu treningowego jego samolot wpadł w korkociąg, z którego nie udało mu się go wyprowadzić. Kazimierz zdecydował się opuścić samolot ratując swoje życie przy pomocy spadochronu. Pilot brał udział w Centralnych Zawodach Strzeleckich Lotnictwa Myśliwskiego, mających miejsce 17 października 1932 roku, jako reprezentant 2 PL Kraków w drużynie złożonej z trzech osób. Dodatkowo w tym czasie posiadał już stopień sierżanta.

W 1935 został przeniesiony do 122 Eskadry Myśliwskiej 2 PL Kraków. Tego samego roku zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów został mu nadany Brązowy Krzyż Zasług. Przez kolejne dwa lata, bywał na różnych pokazach np. na koncentracji lotnictwa w Warszawie, podczas której po wylądowaniu pilot niefortunnie wjechał w samolot 131 Eskadry Myśliwskiej. W 1937 roku Kazimierz dołączył do Eskadry Treningowej 2 PL Kraków, gdzie był instruktorem prowadzącym szkolenia na eskadrze treningowej Antoniego Tomiczka. Rok przed wybuchem II Wojny Światowej Kazimierzowi udało się uzyskać kolejne odznaczenie, czyli Medal Niepodległości.

Niestety radość po uzyskaniu odznaczenia nie trwała długo, ponieważ już rok później wybuchła II Wojna Światowa. Rozpoczął się wtedy nowy rozdział w życiu Kazimierza, który mimo niebezpieczeństwa kontynuował służbę w wojsku. Podczas kampanii wrzesniowej był pilotem myśliwca Polskich Sił Lotniczych: PZL P 11.C z 1934 roku w eskadrze III/2 Dywizjonu Myśliwskiego 2 Pułku Lotniczego w Krakowie, niestety wraz z wieloma innymi żołnierzami i pilotami musiał wyjechać do Rumunii, by później przedostać się do Francji, a w 1940 roku dotarł do Wielkiej Brytanii, gdzie dołączył do RAF-u. Niestety nie mógł walczyć w bitwie o Anglię, ponieważ według bardzo restrykcyjnych przepisów brytyjskich miał już zbyt dużo lat by brać udział w bezpośrednich działaniach bojowych. Mimo, że nie walczył to przysłużył się szkoleniu pilotów brytyjskich oraz Polskiego dywizjonu RAF nr 308. W archiwach rodzinnych znalazłem wiele zdjęć z tego okresu, na których mój pradziadek stryjeczny widoczny jest z innymi pilotami na tle brytyjskich samolotów wojskowych z tamtych lat.

Po zakończeniu bitwy o Anglię został pilotem Polskiego Oddziału Transportowego w Afryce. Transportował samoloty bojowe z Takoradi, British Gold Coast na terenie obecnej Ghany, gdzie trafiały one z Wielkiej Brytanii drogą morską. Samoloty te były dalej transportowane na Bliski Wschód do Afryki Północnej. Było to bardzo ważne zadanie, ale zarazem trudne. Często zdarzały się awarie i przymusowe lądowania na skutek trudnych warunków atmosferycznych. Kilku polskich pilotów zginęło w trakcie wykonywania lotów. W 1944 został instruktorem pilotażu w składzie 25 Polish Elementary Flying Training School RAF Hucknall. Miał już wtedy stopień chorążego. Instruktorem tam był do końca wojny.

Dwa lata po zakończeniu zmagani wojennych Kazimierz powrócił do Polski i zamieszkał w Krakowie, gdzie nastąpiła jego demobilizacja. Tego samego roku uzyskał Medal Lotniczy. Niestety nie długo cieszył się końcem wojny, ponieważ zmarł 23 sierpnia 1953 roku w Krakowie. Odszedł jako zasłużony żołnierz. Miał wiele odznaczeń, oprócz wymienionych posiadał jeszcze Medal Polska Swojemu Obrońcy, Medal Dziesięciolecia Niepodległości, Odznakę Honorową za Rany (1 rana), Odznakę Pułkową 2 PL, odznakę za dwa lata służby na froncie (wojna polsko-bolszewicka) oraz brytyjski Medal Lotniczy i łotewski Medal Dziesiątej Roczniczy Wojny Niepodległościowej, który otrzymał w 1921 roku za wzorową służbę na linii demarkacyjnej z Rosją, chroniąc zgodnie z porozumieniem granicę łotewską. Prawie całe swoje życie poświęcił wojsku. Nie miał dzieci, jego najbliższą rodziną była jego żona Anna, brat i mój pradziadek Paweł (również żołnierz i uczestnik kampanii wrzesniowej) oraz drugi brat Henryk (zamordowany w obozie koncentracyjnym Auschwitz Birkenau w Oświęcimiu).

Na podstawie brata mojego pradziadka pokazałem ile można się dowiedzieć ciekawych rzeczy o swoich przodkach. Kazimierz nie miał dzieci, więc pamięć o nim mogłaby zaniknąć. Wystarczy pomyśleć ilu takich ludzi było, o których nie wiemy, że nawet istnieli. Przedstawione przeze mnie informacje to część historii Kazimierza. Szukając materiałów, czytając dokumenty,

przeoglądając zdjęcia, znalazłem również wiele innych ciekawostek. Jedną z nich jest np. informacja o brawurowym przelocie pod jednym z mostów w Krakowie. Ponadto dowiedziałem się, że samolot Polskich Sił Lotniczych myśliwiec PZL P 11.c z 1934 roku, na którym Kazimierz służył podczas kampanii wrześniowej znajduje się w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie i jest jedynym egzemplarzem tego samolotu, który zachował się z tamtych lat. W tymże Muzeum jest również wystawa o chorążym Kazimierzu Konopce – pilocie tego konkretnego egzemplarza samolotu. Dzięki poszukiwaniom informacji o moich przodkach dowiedziałem się także, że wszyscy moi krewni żyjący w tamtym okresie prowadzili działalność patriotyczną. Jestem z tego dumny, ale gdyby nie poszukiwania nie wiedziałbym o niczym. Pamięć to najwspanialszy prezent jaki możemy im teraz dać. Podobnie może być z nami za 80 lat, ponieważ jest to naturalny proces świata. Jak mówił Rafał Kosik „Przemijamy. Stare ustępuje miejsca nowemu, w ten sposób świat posuwa się naprzód. Ale pamiętajmy o tych, którzy odchodzą-ta pamięć daje im nieśmiertelność”. Sądzę, że raczej każdy z nas chciałby być zapamiętany, chciałby aby jego grób był odwiedzany przez jego rodzinę, więc uważam, że jeśli sami chcemy być zapamiętani to powinniśmy pamiętać o tych co żyli przed nami. Pamiętaniu o krewnych żyjących przed nami pomaga poszukiwanie o nich jak największej liczby informacji, które jesteśmy w stanie znaleźć.

# Jagódka

Wrzesław Mechło

Mieszkałam we wsi Kamienna Stara, w pobliżu Dąbrowy Białostockiej i pięknej rzeki Biebrzy. Spędzałam tutaj spokojne, beztrioskie dzieciństwo, jednak wkrótce wybuchła wojna. Miałam pięć lat kiedy ujrzałam ją na własne oczy. To był pogodny dzień. Mama pracowała w ogródku przy domu, a ja bawiłam się z rodzeństwem, gdy usłyszeliśmy dudniące wybuchy i warkot samolotu. Ciemny, dziwny kształt z narastającym hałasem zbliżał się do nas od strony słońca.

– Do ogródka! Szybko, chowajcie się! – krzyknęła mama tknięta złym przeczuciem.

– W kapustę czy w marchewkę?! – zawołałam przerażonym głosem, ale starszy brat już chwycił mnie za rękę i pociągnął za kopiec ziemniaków. W tym momencie usłyszałam chrapiwe, suche trzaski i ujrzałam rozlatujące się na wszystkie strony głowy kapusty. Zamknęłam oczy i zaniosłam się płaczem. Tymczasem samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach zniknął za pagórkami pola. Leżeliśmy na ziemi wtuleni w siebie czekając w napięciu na kolejny atak. Ale samolot już się nie pojawił. Mama przytuliła mnie mocno i otarła łzy. – Nie bój się Jagódko, – powiedziała czule – już odleciał i na pewno nie wróci. Chodźmy do domu.

Później zbieraliśmy posiekaną kapustę, a ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego do nas strzelał? Dlaczego chciał nas zabić?

Mijały miesiące. O wojnie słyszałam tylko w rozmowach dorosłych. Rodzice uprawiali rolę, ale nie zawsze jedzenia było pod dostatkiem. Nocami pojawiały się uzbrojone oddziały partyzantów szukających prowiantu. Każdy gospodarz musiał więc coś dać: zboże, ziemniaki, kurę czy poleć słoniny... Czasami partyzanci nocowali w naszej stodole.

Któregoś dnia oznajmiono we wsi straszną wieść. Hitlerowcy zemścili się za pomaganie partyzantom i... w nocy spacyfikowali pobliską wieś. Wymordowali wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci! Spalili wszystkie zabudowania. Podobno w jednym gospodarstwie przechowywano rannego partyzanta.

Wkrótce również u nas pojawili się Niemcy. Pamiętam jak gruby oficer wszedł na podwórze i pokazywał, które kury ojciec ma złapać i oddać żołnierzom. Tak straciliśmy prawie cały drób! Ten Niemiec kazał też spalić wszystkie książki, które były w naszej wsi. Płakałam, nie mogłam zrozumieć dlaczego nas okradano? Przecież mieliśmy tak mało.

W domu jedliśmy tylko mączną zalewajkę kluski i kartofle z wody. Brakowało mydła, nafty i terpentyny. Atakowały nas pluskwy, a wszy tępiłyśmy gęstym grzebieniem i wzajemnym iskaniem się. Mama dodawała do wody ziół, które podobno zmywały gnidy. Któregoś dnia zapytała czy może spalić moją drewnianą kołyskę, aby zagrzać wodę na kąpiel. Była to pięknie rzeźbiona jedyna pamiątka z wczesnego beztrioskiego dzieciństwa, w której spała moja skromna lalka z gałganów. Z żalem zgodziłam się i ze łzami patrzyłam jak siekiera taty zmienia ją w drewno na opał.



Rosjanie pojawili się raptem. Błyskawicznie zajęli wieś. Mieli spiczaste czapki z wielkimi czerwonymi gwiazdami. Mówili, że nas wyzwolili i prosili o coś do jedzenia. Mama ugościła ich czym mogła. Ponieważ mieszkaliśmy całą rodziną (rodzice i sześcioro rodzeństwa) w ładnie zdobionym największym domu wsi, a tato, jego ojciec i jego dziadek byli sołtysami, nazwano nas „kułakami” (bogaczami) i wyznaczono do zsyłki na Sybir. Mieliśmy być gotowi następnego dnia rano. Tato szykował najważniejsze rzeczy. Mama suszyła chleb oraz zboże i pakowała do worków, aby mieć zapas na daleką podróż w nieznane. Wszyscy byliśmy przygnębieni. Jednak nad ranem rozległy się strzały z karabinów! Do wsi wkroczyli Niemcy. Nie tylko my, ale też inni wyznaczeni na zsyłkę cieszyli się, że niemieccy żołnierze ocalili ich przed podróżą w głąb Rosji.

Na naszym podwórzu stało niemieckie działo przeciwlotnicze. I znowu strach, że pierwszy rosyjski samolot zaatakuje działo, a przy tym zniszczy nasz dom bombami, a my zginiemy. Bieda i ciągła obawa towarzyszyły nam całą wojnę.

Niemieccy żołnierze wysadzili most na rzeczce Kamienna (Kaługa) płynącej przez wieś. Przed południem na drodze pojawili się radzieccy żołnierze. Wieczorem Rosjanie urządzili nad rzeką ognisko i zaprosili mieszkańców wsi. Zagrała harmonia. Żołnierze natychmiast zaintonowali „Katuszę”, a wkrótce my – dzieci – śpiewaliśmy razem z nimi i tańczyliśmy w kółko. Wtedy pierwszy raz bawiłam się do późna w nocy. Rosjanie byli kilka dni. Kąpali się w rzece, prali i cerowali ubrania. A każdego wieczoru organizowali śpiewy przy ognisku. To u nich po raz pierwszy w życiu spróbowałam czekolady oraz obejrzałam ruchomy film z muzyką, na ekranie z prześcieradła w prowizorycznym kinie urządzonym nad rzeką. Później była wolność i wielka powojenna bieda. W ramach obowiązkowych kontyngentów produkcja rolników ze wsi szła za grosze dla robotników miast, którzy budowali socjalizm. Poszłam do szkoły podstawowej. Gdy wracałam z lekcji obok domu mojej chrzestnej, to ona często pukała w okno i zapraszał mnie na placki lub pierożki.

Byłam pilną i sumienną uczennicą, bardzo, ale to bardzo się starałam, dlatego stosunkowo szybko zamieniłam naszą niechlujną wiejską polsko - białoruską gwarę na język polski. To była ciężka praca. Dużo pisałam, nawet na korze brzozy, a atrament robiłam sobie z kopiowego ołówka albo soku z buraka! Byłam bardzo szczęśliwa, gdy dostałam od taty prawdziwy zeszyt, bo wcześniej pisałam na luźnych kartkach. W szkole było trochę książek. Lubiłam też rachunki. Siedem klas przerobiliśmy w cztery lata, Takie były czasy. Bracia pracowali na roli: orali, siali zboże z płachty, bronowali, młócili zboże cepami na podwórku, później wieźli do wiatraka, aby zemleć na mąkę. Handlowali też końmi. Ja z siostrami pomagałyśmy мамie w szykowaniu posiłków i sprzątaniu domu. Spaliśmy po dwoje na jednym łóżku. Ciepła kąpiel była zawsze w sobotę, a toaletę mieliśmy za stodołą. Kiedy powiedziałam tacie, że chcę się dalej uczyć, bardzo go to zdziwiło.

– Chcesz jechać do miasta? – zapytał. Tam ciężko się żyje wśród obcych, Tutaj dostaniesz trochę ziemi, wyjdiesz za mąż i będziesz żyła spokojnie, jak my.

Jednak uparłam się i poszłam do szkoły w mieście. To były Suwałki. Tato załatwił mi i opłacił miejsce przy rodzinie jakiegoś dalekiego wujka czy stryjka. Zimy były srogie, a oni oszczędzali opał, więc często bardzo marzłam. A trzeba było jeszcze odrabiać lekcje. Bywałam też głodna i bardzo skromnie odziana. Mimo to konsekwentnie zdobywałam wiedzę i umiejętności, coraz bardziej dostrzegając przepaść jaka dzieli naszą wieś od życia w mieście. Pomimo tych wszystkich problemów w 1953 roku ukończyłam z wyróżnieniem Technikum Gospodnie w Suwałkach. Zdałam maturę i... otrzymałam nakaz pracy w Szklarskiej Porębie

wraz z bezpłatnym biletem w jedną stronę. Płakałam rozstając się z rodzicami i rodzeństwem.

Nie miałam jeszcze 19 lat, gdy powierzono mi kierowanie ośrodkiem wczasowym „Belweder”, do którego należały cztery budynki na 150 miejsc łącznie! Pamiętam wielką inwentaryzację i likwidację poniemieckiego wyposażenia tych ośrodków. Nienawiść do Niemców była tak wielka, że wszystko co niemieckie szło do likwidacji. Wspaniałe drewniane szafy i zdobne komody oraz piękne obrazy likwidowano przez rozbijanie i uszkodzanie. W to miejsce wstawiono byle jakie, „nowoczesne” meble i marne reprodukcje różnych obrazów. W Szklarskiej Porębie wyszłam za męża i urodziłam syna Wrzesława. Ale nie służył nam górski klimat. Ponieważ oboje z mężem pracowaliśmy w Funduszu Wczasów Pracowniczych, udało się załatwić przeniesienie do FWP w Międzyzdrojach. Od 1958 roku byłam kierownikiem ośrodka „Minewra”, złożonego z pięciu budynków. Tutaj przyszedł na świat drugi syn Sław. W 1961 roku przeprowadziliśmy się do Świnoujścia i podjęłam tu pracę w uzdrowisku. Nasze służbowe mieszkanie mieściło się zwykle w ośrodku, którym kierowałam, więc byłam w pracy 24 godziny na dobę! Kuracjusze leczyli się przez cały rok, ale latem głównie partyjna elita z Warszawy i Śląska.

Na mieszkanie komunalne też czekałam dwa razy dłużej niż ci, co zapisali się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – kierującej Polską w owych czasach. Ja się nie zapisałam, bo partyjnym nie wolno było wierzyć w Boga!

Któregoś roku po pochodzie 1-Majowym nie dopilnowałam, aby zebrać flagi bowiem... opiekowałam się w domu chorymi dziećmi. Flagi poginęły. Wybuchła afera i zamierzano mnie obciążyć finansowo, a kwota była niebotyczna. Wtedy pomógł mi kucharz Franek. – Pani Jadziu – powiedział – ja wiem co zrobić! Na obchodach 1000-lecia bitwy pod Cedynią zginęło chyba z dwieście flag. Popili się i nie było komu ich zebrać, więc w protokole strat napisaliśmy, że flagi wyłopotwały się na silnym wietrze. I przeszło!

Tak zrobiłam i też przeszło!!! Ale ktoś partyjny upatrzył sobie pracę na moim stanowisku skoro postanowiono mnie przenieść do kierowania ośrodkiem „Henryk”, który popadał w ruinę. Zadzwoniłam do jedyne go znajomego dyrektora w Warszawie z prośbą o pomoc i otrzymałam posadę kierownika wielkiego ośrodka w... Kołobrzegu. Ponieważ synowie uczęszczali do szkół z internatami, zgodziłam się. Było to sanatorium „Kombatant”, które właśnie opuszczali budowlańcy. Zaczęło się urządzenie i wyposażanie obiektu, który miał zaplecze zabiegowe, kuchenne - gastronomiczne i hotelowe rozplanowane na jedenastu piętrach. Było co robić...

Przed emeryturą wróciłam do Świnoujścia i zarządzałam ośrodkiem Urzędu Wojewódzkiego. Moi synowie skończyli studia w Szczecinie. Założyli rodziny. Pobudowali domy. Dla nich Pomorze jest krainą beztroskiego dzieciństwa i wspaniałej młodości, a dla mnie krainą, której oddałam całe pracowite życie zawodowe. Jestem dumna z mojej małej ojczyzny dzieciństwa i zadowolona z pięknego Świnoujścia – miasta na wyspach, które wybrał dla mnie życiowy los.

# Wspomnienie Jana Mechło

## Wrzesław Mechło

Właśnie minęła rocznica śmierci Jana Mechło znakomitego krajoznawcy i nestora przewodników wycieczek Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego w Świnoujściu. Jego życiorys wypełniony jest aktywną działalnością społeczną. Urodzony w Wilnie 24.06.1928 roku, gdzie uczestniczył w tajnych kompletach gimnazjalnych oraz szkoleniu sanitariuszy Armii Krajowej, pierwszym powojennym transportem opuszcza rodzinne miasto (ścigany za udział w szkoleniu AK) i z rodzicami jedzie do Lublina. Tutaj jako student i członek Lubelskiego Hufca Morskiego oczyszcza z wojennych gruzów Lublin, Majdanek, Gdańsk i Warszawę. Uczestniczy również w przejmowaniu i ratowaniu sprzętu poniemieckich ośrodków żeglarskich na Mazurach: w Olsztynie – Kortowie, Łuczanych /Giżycku/ i Mikołajkach. Później mieszka w Łodzi. Po studiach w Częstochowie dostaje nakaz pracy w Szklarskiej Porębie. Tutaj 25.08.1955 r. wstępuje do Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego, w ramach którego organizuje liczne piesze wycieczki po górach oraz pierwsze spływy kajakowe oraz konkursy krajoznawcze. Wkrótce wraz z żoną Jadwigą i synem Wrzesławem przenosi się nad morze, gdzie na świat przychodzi jego drugi syn Sław. Mieszkając w Świnoujściu społecznie oprowadza grupy wycieczkowe oraz gromadzi regionalną dokumentację krajoznawczą. Już na przełomie lat 50-tych i 60-tych Jan Mechło opracowuje trasy wycieczek po regionie, którymi następnie prowadzi pierwsze wycieczki szkoleniowe, inspirowane słowiańską historią tych ziem. W tym czasie na kursie w Jastarni zdobywa uprawnienia instruktora jachtowego i następnie w Świnoujściu przez 10 lat prowadzi wraz z Jerzym Kerntofem kursy żeglarskie /teoria w ośrodku „Wisus” w Świnoujściu/, praktyka żeglowania na jachtach „Marzanna” i „Włóczęga”, a także regaty po Zalewie Szczecińskim i Zatoce Pomorskiej. Jako wymagający egzaminator zwany jest Szamanem Nawigacji. Wraz z kolegą Romanowskim z Wolina organizuje wycieczki kajakowe po Krajinie 44 Wysp delty Świny.

W 1964 roku współorganizuje Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe w Świnoujściu oraz prężne koło PTTK przy Przedsiębiorstwie Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Odra”. Fachowo oprowadza grupy po słynnym Muzeum Ryb Mrożonych. Aktywnie działa w klubie filmowym ‘Horyzont’ utrwalając wydarzenia i osiągnięcia miasta. Od powstania pełni funkcję skarbnika koła Polskiego Związku Wędkarskiego „Portowiec” w Świnoujściu, współpracując ze słynnym społecznikiem zwanym „prezesem prezesów” Rudolfem Horodyńskim. W 1968 r. wraz z dr Andrzejem Władysławem i Tadeuszem Żylińskim w ramach PTTK zakłada i prowadzi klub wodniacki „Trygław” w zorganizowany sposób proponując młodzieży uprawianie żeglarstwa i kajakarstwa turystycznego. Aktywnie współpracuje ze znanym „rozśpiewanym komandorem” Konradem Strycharczykiem. Od 1971 r. organizuje i prowadzi ogólnopolskie spływy kajakowe „Dookoła wyspy Wolin” z pierwszym w historii etapem morskim: Dziwnów – Świnoujście.

W tym czasie wraz z dr Józefem Plucińskim (dyrektorem muzeum w Świnoujściu) zakłada i przez wiele lat społecznie prowadzi prężne koło narciarskie PTTK organizując zimowe obozy w górach. W latach 1969-73 dokładnie poznaje i opracowuje krajoznawczo oraz historycznie przebieg podstawowych tras wycieczek ze Świnoujścia do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest świetnym znawcą religii i kultury Słowian Pomorza, przez przewodników zwanym Słowiańskim Wajdelotą. To od jego imienia odpowiednią uchwałą przewodnicy nazwali również małe jeziorko w Kołczewie jeziorem Jańskim. Przez wiele lat Jan Mechło jest prezesem Koła Przewodników PTTK w Świnoujściu, które w tym czasie staje się najlepszym w województwie szczecińskim, zdobywając liczne wyróżnienia za działalność i poziom szkolenia przewodników. Współpracuje ze znanymi krajoznawcami regionu: Czesławem Piskorskim, Wojciechem Lipniackim, Marianem Czernerem, Gwido Chmarzyńskim, Andrzejem Kaube, Edwardem Olszewskim i Janem Krzysztoniem, dostarczając im wielu informacji i ciekawostek z regionu, wykorzystywanych w publikacjach. Jest też aktywnie działającym prelegentem PTTK i Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w zakresie historii Pomorza oraz gospodarki morskiej. W latach 1970 – 81 dzięki pomocy prezesa Witolda Rusakiewicza organizuje i przez lata prowadzi Klub Krajoznawczy przy świnoujskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Słowianin”, w którym skupia młodzież zainteresowaną wędrówkami po naszym regionie. Organizuje oraz prowadzi nieprzeliczone wycieczki, rajdy i złazy. Przez szereg lat pracując w świnoujskim porcie społecznie organizuje liczne imprezy sobotnio – niedzielne w Wisielce i Karsiborze oraz krajoznawcze wycieczki po Polsce i krajach ościennych dla pracowników. Wciąż konsekwentnie i aktywnie wspiera go żona Jadwiga, długoletnia kierowniczka świnoujskich sanatoriów. Jest znakomitym gawędziarzem i wielkim patriotą, przez ponad 50 lat oprowadzającym krajoznawcze wycieczki. Za działalność na rzecz turystyki otrzymuje liczne wyróżnienia i odznaczenia. Zdobywa też trzykrotnie tytuł najlepszego przewodnika Pomorza i wzorowego opiekuna zabytków, instruktora krajoznawstwa oraz najwyższe stopnie odznak turystyki kwalifikowanej: TOK, GOK, GON, GOT i inne. Jan Mechło posiadał tytuły wykładowcy – specjalisty: Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajoznawczego oraz Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. W czasopiśmie „Przekrój” ukazał się artykuł, w którym dziennikarka napisała o nim z podziwem: „Do tej pory nie poznałam przewodnika o takiej erudycji i wiedzy krajoznawczej”. Jan Mechło jest współautorem książki „Wojenne tajemnice Pomorza” oraz współredaktorem przewodników pisanych przez jego syna Wrzesława, recenzentem wielu książek i opracowań dotyczących Pomorza. Za społeczną działalność na rzecz turystyki wśród licznych nagród otrzymał również: Złotą Honorową Odznakę PTTK oraz odznakę Gryfa Pomorskiego, medal Zasługi Pracy i srebrny Krzyż Zasługi.

Dnia 19 października 2009 roku poprowadził swoją ostatnią, najliczniejszą „wycieczkę” – kondukt żałobny liczący około 150 osób. Był znakomitym ojcem swoich dwóch synów: Wrzesława i Sława, człowiekiem pełnym pasji, społecznikiem niespożytej energii, niezrównanym mistrzem krajoznawczej gawędy, barwnej edukacyjnej wycieczki i...sudoku.

Wrzesław Mechło

## Mój inspirujący przodek

**Rozalii Kruk**

W wielu polskich rodzinach znajdzie się osoba, która jest godna naśladowania, której czyny są godne podziwu, której historia zapiera dech w piersiach i wywołuje łzy wzruszenia.

W mojej rodzinie nietrudno szukać takiej postaci. Jest nią mój nieżyjący już pradziadek Jan Kliczka. Jego historia jest z całą pewnością historią piękną, choć bardzo trudną, jednak uczy nas w jaki sposób mimo przeciwności losu można stać się inspiracją dla kolejnych pokoleń.

Jan Kliczka urodził się 25 grudnia 1922 r. we wsi Radawiec Duży pod Lublinem. Był siódmym, najmłodszym dzieckiem swoich rodziców. Ze względu na trudną sytuację rodzinną, w której było bardzo mało środków do życia, musiał po 3 klasach szkoły podstawowej zrezygnować z dalszej edukacji i pójść do pracy jako pracownik gospodarstwa rolnego.

Lata młodości mojego dziadka przypadły na bardzo trudny dla naszego państwa okres. Mianowicie był to czas wojny i okupacji niemieckiej, a następnie stalinizmu i komunizmu. W takich warunkach nie mógł tak, jak nasze pokolenie cieszyć się wolnością i bezpieczeństwem życia.

16 czerwca 1940 roku, jak określał on sam, dzięki swojej matce i opatrności Boskiej, uniknął śmierci. Tego dnia w jego wsi Niemcy przeprowadzili masakrę ludności cywilnej rozstrzelując co drugiego mężczyznę. Dziadek obudzony przez matkę w ostatnim momencie uciekł do Chodła, gdzie pełen strachu znalazł schronienie na noc. Opowiadał później, że hitlerowcy rozpetali tę rzeź za zabicie jednego z niemieckich żołnierzy, który nazywał się Wilhelm Bufal. Był to pierwszy raz, w którym otarł się o śmierć.

Spokój po wydarzeniach z czerwca nie trwał długo, gdyż w sierpniu 1940 roku znalazł się na liście osób wyznaczonych do wyjazdu na przymusowe prace w Niemczech. Z początku nie stawiał się na wezwanie, kiedy jednak w jego miejsce aresztowano jego ojca, również Jana, sam zgłosił się do więzienia. Wówczas to Niemcy wypuścili jego kochanego tatę, a następnie dziadek został aresztowany i wywieziony z kraju. Fabryka, do której go skierowano zajmowała się produkcją broni dla Wermachtu. W zakładzie tym przepracował prawie 5 lat i był tam przetrzymywany w nieludzkich warunkach. Ciężka praca fizyczna i głodowe racje żywności sprawiły, iż każdy dzień był prawdziwą walką o życie. Historie z tamtego miejsca pamiętał do końca swojego życia. Jedną z tych opowieści przekazał swoim wnukom. Wielokrotnie opowiadał jak pewnego dnia nie słysząc komendy niemieckiej, jeden z żołnierzy uderzył go kolbą karabinu w twarz, omal nie wybijając mu oka, z którym problemy miał już do końca życia.

W styczniu 1945 roku fabryka, w której pracował dziadek została zajęta przez Armię Czerwoną. Dzięki temu wszyscy pracownicy zostali wyzwoleni. Nie oznaczało to jednak szybkiego powrotu do domu. Wszyscy byli więźniowie zachorowali na tyfus. Wiele osób wycieńczonych niewolniczą pracą nie przeżyło tej choroby. Tutaj znowu udało się dziadkowi wyrwać z objęć śmierci.

Kilka miesięcy po wyzwoleniu, chorobie a następnie przebytej kwarantannie nastąpił długo oczekiwany powrót do domu, w którym nikt nie spodziewał się jego przybycia, gdyż jego rodzina myślała, że zmarł w trakcie wojny. Ten okres wykształcił w nim przede wszystkim umiejętność cieszenia się z życia i z nawet najmniejszych powodów, utrwalił w nim również to, że nie poddawał się do samego końca.

W lutym 1946 roku wziął ślub z 4 lata młodszą Feliksą pochodzącą również z Radawca. Znali się od dzieciństwa jak zresztą później sami określali chodzili ze sobą po wodę do tego samego źródła. Po powrocie dziadka z niewoli bracia Feliksy odradzali jej zamążpójście za tego mężczyznę, twierdząc, że po tak długim okresie przebywania w Niemczech niedługo po prostu umrze. Babcia jednak nie odrzuciła propozycji ślubu od dziadka stając się jego żoną. 12 grudnia 1946 roku urodziła się ich jedyna córka, a moja ukochana babcia Krystyna, z której była jego największym skarbem i powodem do dumy.

Po powrocie do domu dziadek, podjął się pracy jedynej jaką potrafił, czyli ciężkiej fizycznej pracy w transporcie kolejowym, gdzie przepracował 10 swojego życia. Była to praca w ciężkich warunkach i z daleka od domu, gdyż na piechotę szedł i wracał ze stacji do domu łącznie 2 godziny dziennie. Niestety po wspomnianych przeze mnie 10 latach w wieku 34 lat dostał pierwszego rozległego zawału serca. Jak sam twierdził, od śmierci dzieliły go chwile, a może nawet sekundy i gdyby nie trzeźwość umysłu jego żony mojej prababci, która położyła mu szpachlę śniegu na klatkę piersiową, prawdopodobnie umarłby już wtedy. Po tym wydarzeniu dostał zakaz pracy od lekarza, który stwierdził, że nie może więcej wykonywać ciężkich prac fizycznych. W opowieściach zaznaczał, że babcia nie pozwoliła mu podnieść siekiery przez pierwszy rok po tym zdarzeniu. Moja prababcia bardzo o niego dbała i nigdy nie powiedziała o nim złego słowa, a określała go mianem “mój Janek”.

W 1967 r. jego córka, a moja babcia wyszła za mąż za Zbysława Kruka z którym doczekała się 6 dzieci. Szczęście nie trwało jednak długo, gdyż 31 stycznia 1980 roku mój dziadek Zbyszek zginął tragicznie w wypadku. Była to kolejna próba w życiu dziadka Jana, gdyż wcielił się w rolę ojca dla osieroconych wnuków. Pomimo przebytych już w tym czasie dwóch zawałów serca nie bacząc na swoje zdrowie zaopiekował i pomagał wychować szóstkę swoich wnucząt. Nie przejmując się zakazami lekarzy wciąż wykonywał ciężkie prace polowe i prace w gospodarstwie.

Mimo wielu przeciwności losu cieszył się każdym dniem, lubił chodzić na spacer a jego mottem życiowym było “nie obrzydź sobie życia”. Miał chore, lecz ogromne serce otwarte na ludzi.

4 czerwca 2004 roku z powodu niewydolności krążeniowej zmarł spokojnie w szpitalu w Lublinie. Do samego końca pozostawał wdzięczny za każdy zastrzyk, który wykonała mu pani pielęgniarka.

Jego postać jest dla mnie i nie tylko dla mnie, bo także dla moich ciotek i wujków inspirująca, gdyż dziadek poświęcił całe swoje życie na rzecz drugiego człowieka. Nigdy nie narzekał i bardzo często się uśmiechał a jego największą wartością było to, że nigdy nie tracił nadziei i nigdy się nie poddawał oraz zawsze chętnie pomagał ludziom. Życie w wielu aspektach nigdy nie dało mu warunków spokojnego życia, a bolesne doświadczenia ze swojej młodości przekazywał swoim ukochanym wnuczkom. Miał anielską cierpliwość, a jak to określa mój tata, jego najbrzydszym słowem było “psia krew”.

Już na sam koniec dodam, że pradziadek Jan jest moim wzorem do naśladowania. Za kilkadziesiąt lat chciałabym, aby ktoś się o mnie wypowiadał w tak fantastyczny pełen miłości i ciepła sposób. W życiu chcę dążyć do cech, które były charakterystyczne dla mojego przodka. Jednego jestem pewna, że jest to historia nie powtarzalna i jedyna w swoim rodzaju a moim celem jest to, aby i moje dzieci znały i podziwiały jego jako mojego inspirującego przodka.

## Stąd jestem

Liliana Kapelko

*Motto*

**„Do kraju tego tęskno mi Panie”**

*Cyprian Kamil Norwid „Moja piosenka”*

Moja rodzina zarówno ze strony mojej mamy jak i mojego taty związana z dawnymi Kresami II Rzeczypospolitej. Do momentu wybuchu II wojny światowej część moich przodków zamieszkiwała tereny dzisiejszej Białorusi. Dziś chciałabym przybliżyć historię mojego pradziadka ze strony mamy Eugeniusza Naumowicza, który razem z rodzicami i braćmi mieszkał w Wołkowysku a także rodziny Kapelko ze strony taty.

Tata mojego pradziadka Gienka – Stefan Naumowicz był szewcem i prowadził swój warsztat szewski. Gdy w 1939 roku armia sowiecka wkroczyła do Polski natychmiast rozpoczęły się represje wobec ludności polskiej. Tata mojego pradziadka w wyniku działań wojennych trafił do niewoli niemieckiej gdzie po upływie dwóch lat udało mu się uciec i powrócić do domu. Wtedy już rozpoczęła się inwazja Niemiec na ZSRR więc Sowieci w tym czasie nie mogli go dosięgnąć. Jednak już w 1945 tuż po wyzwoleniu tata mojego pradziadka został aresztowany i skazany na ciężkie więzienie w Worskucie. Jest to część Rosji położona za kołem podbiegunowym, gdzie zima trwa osiem miesięcy. Po czteroletnim pobycie w tych nieludzkich warunkach tata mojego pradziadka Gienka powrócił do swojej rodziny w Wołkowysku.

Jak wynika z dokumentów w Polskim Związku Sybiraków, które są również dostępne na portalu sprawyspoleczne.pl a także relacji mojej prababci Jadwigi w nocy 1 kwietnia 1951 do drzwi moich przodków załomotało NKWD (to sowiecka formacja policyjna) i wrzaskiem zakomunikowano o tym, że cała rodzina będzie deportowana w głąb ZSRR. Gdzie dokładnie tego nie powiedziano. Mój pradziadek Gienek w chwili deportacji miał niecałe dwanaście lat a jego najmłodszy brat Michał rok. Z domu na dworzec kolejowy przetransportowano ich samochodami a tam załadowano do bydłych wagonów, jak wynika z dokumentów w jednym takim wagonie tłoczono po osiem rodzin.

Podróż w takich warunkach trwała prawie trzy tygodnie i 21 kwietnia mój pradziadek Gienek razem ze swoimi rodzicami i braćmi dojechali do Irkucka. Po podróży koleją załadowano ich na ciężarówkę w Irkucku i przewieziono do miejscowości Tajturka. Tam przy szwyderstwach ze strony wojska sowieckiego i NKWD zakwaterowano ich w wielkich garażach i zakomunikowano, że będą tam wszyscy mieszkać dopóki zesłańcy sami nie wybudują sobie baraków. Garaże były w złym stanie i polscy zesłańcy, żeby jakoś przetrwać musieli je uszczelniać czym tylko się dało np. przywiezioną z Polski pościelą czy poduszkami.

Pradziadek Gienek od początku musiał iść do pracy. Głównym jego obowiązkiem była praca przy spływie drewna a w zimie gdy spływ rzeką z powodu mrozów był niemożliwy

wszystkie inne zadania i prace zlecane przez dowództwo obozu. Z racji tych bardzo trudnych warunków dla tak młodego człowieka w wieku ok 15 lat mój pradziadek zdecydował się na ucieczkę. Jak wynika ze zgromadzonych dokumentów nie skonsultował swojej decyzji z nikim i nikogo o niej nie poinformował. Być może dlatego aby nie narażać innych członków swojej rodziny na niebezpieczeństwo. Ze względu na wysoką śmiertelność a także tragiczne wypadki przy ciężkiej pracy władze sprawujące nadzór nad polskimi zesłańcami przeszły nad zniknięciem pradziadka do porządku dziennego i ucieczka się udała. Pradziadek przedziera się na Białoruś gdzie znajduje schronienie u swojego stryja i dalszej rodziny. Tymczasem jego rodzice oraz bracia po odbyciu „kary” i wielu staraniach dostają zgodę na powrót do Polski. Jest 15 czerwca 1955 roku gdy stawiają swoje kroki w Białymstoku. Tam na miejscu dowiadują się, że ich syn i brat żyje i mieszka na Białorusi. Podejmują starania u władz PRL o zgodę na jego przyjazd. To się w końcu udaje i w Białymstoku znowu są razem.

Pradziadek Gienek ma wtedy szesnaście lat z czego ok sześć spędza na zesłaniu na Syberii i tułaczce poza Polską, do której dzięki swojej i swoich rodziców ogromnej determinacji oraz woli przeżycia w końcu powraca. Zapóźnienia w nauce trudno jest nadrobić, ale zdobywa zawód kierowcy i operatora dźwięgu. Podczas odbywania służby wojskowej jego przełożeni są pod wrażeniem jego sprawności i siły fizycznej. Kierują go na różne zawody i spartakiady wojskowe. W czasie jednej z nich w Dęblinie 31 maja 1961 roku w czasie ogólnopolskich zawodów zdobywa drugie miejsce w trójboju wojskowym jednostek specjalnych. Zdaniem jego taty, który interesuje się sportem w tamtych czasach był to ogromny wyczyn. Wojsko Polskie miało w swoich szeregach wielu wybitnych sportowców i zajęcie drugiego miejsca było osiągnięciem wybitnym. Dyplom za to osiągnięcie jest przechowywany w naszym domu niemal w randze „relikwii”.

W latach 80-tych pradziadek wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, aby poprawić sytuację materialną swojej rodziny. Niestety przeszłość syberyjska wyczerpała organizm i pradziadek podupada na zdrowiu. Postanawia wrócić do Polski, choć jest jeszcze stosunkowo młodym człowiekiem umiera na polskiej ziemi w 1996 roku.

Przodkowie mojego taty prowadzili nieduży sklep we wsi koło Mielnika nad Bugiem. Gdy w 1939 roku Sowietci wkroczyli do Polski rodzina mojego pradziadka została zaklasyfikowana jako „wrogowie ludu” a więc jako element niebezpieczny wobec sowieckiego najeźdźcy i była przeznaczona do zesłania na Syberię w pierwszej kolejności. Jeden z członków rodziny podjął tajne negocjacje z jednym żołnierzem sowieckich i on podsunął rodzinie rozwiązanie tego problemu. Otóż powiedział, że jeśli jedna osoba z rodziny zgłosi się „na ochotnika” dobrowolnie na takie przesiedlenie na Syberię reszta rodziny będzie bezpieczna. Przynajmniej na jakiś czas. Po trwającej całą noc rodzinnej naradzie wśród płaczu i łez ustalono, że ...zgłosi się najmłodszy syn Jan, który miał wtedy 20 lat i nie miał jeszcze rodziny. Niemniej jeśli porównywać losy Jana Kapelko i Eugeniusza Naumowicza to Jan miał dużo więcej szczęścia no i nie był już dzieckiem. Dostał przydział wyjazdu do kopalni w Kazachstanie koło Ałma Aty. Jednak nie był pędzony w środku nocy do bydlęcego wagonu a miał czas, żeby się spakować i przygotować. Pojechał do Kazachstanu normalnym pociągiem bez strażników i szyderstw oraz przekleństw sowieckich żołnierzy. Gdy dotarł na miejsce dostał pracę pisarza w kopalni, gdyż miał ładny charakter pisma a wtedy maszyn do pisania i komputerów jeszcze nie było i to była ważna umiejętność. Dodatkowo umiał porozumieć się w kilku językach co też było ważne, gdyż zesłańcami byli ludzie różnych narodowości – Sowietci nie oszczędzali nikogo. Jan Kapelko pracował na powierzchni, miał dostęp do urzędowych dokumentów



i co najważniejsze w tamtych złych latach dostęp do informacji. Gdy po napaści Niemiec na ZSRR władze sowieckie zgodziły się utworzenie Armii Polskiej był rok 1941. Misję tworzenia polskiego wojska powierzono wielkiemu polskiemu patriocie gen. Władysławowi Andersowi, również związanemu z polskimi Kresami. Jednak w tamtych niezwykle trudnych czasach do wielu polskich zesłańców w ZSRR ta wiadomość w ogóle nie dotarła. Często też dowództwo obozów, więzień albo miejsc zesłania celowo ukrywało przed Polakami tę informację, aby dalej korzystać z ich niewolniczej pracy. Bywały też przypadki niewyrażania zgody przez Sowietów na wyjazd Polaków do Armii gen. Andersa. To wszystko nie zatrzymało Jana Kapelko – będąc pisarzem w kopalni wypisał sobie i swoim dwóm kolegom dokumenty uprawniające do podróży i wyjazdu z obozu. Bez przeszkód dotarli na miejsce formowania się polskiego wojska. Mój przodek przeszedł szlak bojowy aż do bitwy pod Monte Casino. Tam w tej straszliwej bitwie w maju 1944 roku został ciężko ranny. Jak opisywał w swoich wspomnieniach w tamtej chwili w ogóle nie poczuł bólu tylko ciepło i senność. Obudził się już w szpitalu. Operował go polski lekarz wyznania mojżeszowego o nazwisku Kempke, który pochodził z miejscowości Sarnaki a więc niedaleko oddalonej od Mielnika. W szpitalu spędził około roku i zaprzyjaźnił się z innym polskim żołnierzem, który również był ciężko ranny. Gdy po wyjściu ze szpitala Jan zawierał związek małżeński kolega ze szpitala był świadkiem na jego ślubie a później Jan był świadkiem na ślubie kolegi. Złożyli sobie również przysięgę, że jeśli któryś z nich umrze przedwcześnie to ten który zostanie przy życiu będzie się opiekował rodziną tego, który odejdzie. Organizmy mieli przez odniesione na wojnie rany wyczerpane i nie można było wykluczyć powikłań a nawet śmierci. Jan Kapelko przeżył jeszcze wiele lat, ale jego kolega zmarł kilka lat później osierocając żonę i dziecko.

Po wojnie Jan został w Szkocji, gdyż po ewentualnym powrocie do Polski groziłoby mu realne niebezpieczeństwo. Nigdy nie zapomniał o swojej rodzinie w Polsce i w miarę swoich możliwości ją wspierał. Bardzo tęsknił do swego kraju i gdy tylko otrzymał brytyjskie obywatelstwo przyjechał po raz pierwszy do Polski. Było to konieczne ze względów wspomnianego właśnie bezpieczeństwa, aby uniknąć represji ze strony komunistów, którzy rządili wtedy w naszym kraju. Brał także czynny udział w życiu społeczności Polaków w Glasgow a także uroczystościach rocznicowych bitwy pod Monte Casino, które również odbywały się w konsulacie PRL w Glasgow. Gdy mój tata w latach 80-tych potrzebował specjalistycznego leku na postępującą wadę wzroku Jan sfinansował jego zakup w aptecce w Londynie. Rodziców mojego taty wtedy nie było stać na kupno leku w zachodniej Europie, gdyż koszt przewyższał ich miesięczną wypłatę. W Szkocji historia zatoczyła koło, gdyż zawodowo Jan Kapelko pracował jako pisarz a później sekretarz zarządu w kopalni węgla. Powody były takie same jak w kopalni w Kazachstanie – miał ładny charakter pisma.

Pod koniec życia Jan Kapelko, który był rodzonym bratem mojego pradziadka zachorował na demencję, ale zdołał jeszcze opowiedzieć o swojej ostatniej woli – aby jego prochy zostały przewiezione do Polski i rozsypane na ojczystej ziemi. Zmarł w lipcu 1998 roku i miał dwie uroczystości pogrzebowe jedną w Glasgow a drugą w Mielniku nad Bugiem. Jego wspomnienia spisał i opublikował w lokalnej gazecie jego bratanek Mikołaj Kapelko.

Za motto mojej pracy wybrałam fragment wiersza Cypriana Kamila Norwida „Moja piosenka” składającego się ze słów „do kraju tego tęskno mi Panie”. W przypadku obu przytoczonych przeze mnie bliskich mi postaci dominowało uczucie tęsknoty za krajem, za bliskimi, za wolnością. Obu udało się wrócić do kraju. Jednemu jeszcze za życia, drugiemu już po śmierci. Niemniej rodzina z Wielkiej Brytanii, choć to już trzecie pokolenie w dalszym

ciągu utożsamia się z Polską, kultywuje nasze polskie tradycje i pamięta o świętach niepodległościowych.

Wiersz Norwida doczekał się pięknej aranżacji muzycznej w wykonaniu wybitnego polskiego muzyka Czesława Niemena, który urodził się i wychował w Grodnie na obecnej Białorusi i również był bardzo związany z Kresami. Natomiast mój tata uwielbia słuchać tej piosenki w wykonaniu zespołu De Press i Andrzeja Dziubka przy tej okazji powtarza, że jesteśmy szczęściarzami, iż możemy mieszkać w wolnym kraju.

Liliana Kapelko

PS w swojej pracy korzystałam z dostępnych archiwów i dokumentów z Polskiego Związku Sybiraków, portalu [sprawyspoleczne.pl](http://sprawyspoleczne.pl), wspomnień opublikowanych przez Mikołaja Kapelko, relacji mojego dziadka Marka Zmiejko a także mojego taty Artura Kapelko.

# Stąd jestem

Michał Szyszło

Obecnie wiele się mówi na temat życia pojedynczych ludzi – niekoniecznie królów, czy wielkich dowódców, a o żołnierzach, robotnikach, czy rolnikach, których to jednak historie mogą inspirować obecne pokolenia. W tym esejku przedstawię historię mojego dziadka, Tadeusza Roga: jednego z pracowników zakładu PSL-Świdnik, uczestnika strajków i działacza Solidarności oraz przebieg wszystkich wydarzeń historycznych z tamtego okresu przedstawionych z jego perspektywy.

Tadeusz Róg urodził się w Świdniku w 1954 roku. W 1969 roku skończył szkołę podstawową, a w 1973 zdał maturę i rozpoczął pracę w zakładzie PZL-Świdnik. Były to czasy Gierka, czyli „dobrobytu zbudowanego na kredytach”. Zaczęto wprowadzać podwyżki płac, sklepy były lepiej zaopatrzone, pojawiły się artykuły produkowane na zachodzie. Dziadek opowiadał, jaka to radość była, kiedy na święta przyplynał statek z owocami cytrusowym.

Od połowy lat 70 sytuacja w kraju zaczęła się pogarszać. Brakowało nawet tak podstawowych artykułów jak ubrania, meble, czy jedzenie. W zakładach były czasem organizowane loterie na różne artykuły – jednakże nie jak obecnie, kiedy za kupony można sobie wziąć za darmo wybrane buty. Wtedy wygrywało się jedynie pozwolenia na kupno konkretnych butów bez możliwości wybrania nawet rozmiaru. Dziadkowi raz się udało wygrać buty, które okazały się potem za małe, acz na to nie można było nic poradzić, więc chodził w takich.

W lecie 1980 roku rozpoczęły się strajki. Dziadek opowiadał, że bezpośrednim powodem były wyższe ceny żywności – kiedy on i reszta robotników na pierwszej zmianie poszła do stołówki na przerwę okazało się, że kotlety mocno podrożały. Ten fakt przelał szalę zbierającej się od dawna goryczy. Robotnicy zaczęli się burzyć, dyskutowali o drogim posiłku, aż w końcu wyszło tak, że się zmówili i po zakończeniu przerwy nie wrócili do pracy.

Po rozmowach z nowoutworzonym komitetem protestacyjnym szefostwo próbowało naprawić napiętą sytuację powrotem poprzednich cen, lecz ludzie w tamtym momencie już nabrali odwagi do przeciwstawienia się władzy. Oprócz zakładu PZL-Świdnik zaczął protestować cały kraj. Władza zaczęła się coraz bardziej liberalizować. Otworzyły się też granice do krajów zachodnich.

Przemiany jednak nie przyniosły oczekiwanych skutków. Ludzie dalej byli niespokojni, a Solidarność rosła w siłę. Władza nie widząc innych form opanowania sytuacji wprowadziła z 12 na 13 Grudnia stan wojenny. Rano jednak po włączeniu telewizora, zamiast Teleranka dla dzieci, pojawił się generał Jaruzelski ogłaszający stan wojenny.

Dla ludzi stan wojenny to było coś nowego. Nigdy wcześniej nie było tak często chodzących policjantów i wojska, rewizji i godziny policyjnej. Z obawy przed aresztowaniami szli do kościoła lub zakładów pracy. W przypadku mojego dziadka po pójściu do zakładu rozpoczął razem z resztą robotników strajk okupacyjny. Od razu przyjechało wojsko i ZOMO z ogłoszeniem

przejęcia przez nie zakładu pracy. Protestujący robotnicy zabarykadowali się jednak w środku i czekali na rozwój wypadków. Wojsku nie zależało na bezpośredniej konfrontacji, więc długo zwlekało z użyciem siły. Jednakże trzeciej doby strajku, o 3 w nocy rozwalono ogrodzenia i przez wyłomy wlało się najpierw ZOMO, a potem wojsko. Użyto granatów z gazem łzawiącym i broni palnej. Wśród robotników rozniosła się jednak informacja, że żołnierze mają do dyspozycji tylko pustą amunicję. Ten mit obalił jeden z dowódców ciągnąc serię po ścianie budynku. Następnie ludzi zwartych w jednej grupie rozdzielono na mniejsze, które się kolejno poddawały, a nieposłusznych „pałowano”. Ludzie w większości się jednak nie bronili – zakazały tego komitety strajkowe w obawie przed ofiarami. O 5 rano robotnicy opuścili zakład.

Na drugi dzień zakład nie pracował. Ludzie nie mając co robić poszli do kościoła by się spytać o radę proboszcza. Mieli nadzieje, że stanie na ich czele i razem z nimi pójdzie odbić zakład. On jednak im wytłumaczył, że walka na tą chwilę skończona i nie ma sensu dalej się bić. Następnego dnia wrócili do pracy, tym razem pod kontrolą wojska.

Dziadek wspomina, że w czasie godziny policyjnej pracownicy drugiej zmiany musieli pokazywać specjalne pozwolenia na wracanie do domu późną godziną. W Świdniku mogła być nawet od 19:00, a wszystko dzięki tzw. „Świdnickim spacerom” – ludzie w celu protestu wychodzili na zewnątrz w czasie trwania dziennika telewizyjnego. Na sylwestra ludzie po cichu się przemýkali do swoich domów. Jednakże niektóre osoby trochę zbyt mocno się upiły w ten dzień i z jakiegoś powodu postanowiły, że wszyscy razem, w środku nocy, pójdą na plac konstytucji 3 maja i zaczną śpiewać pieśni patriotyczne. Skończyło się na rozgonieniu tłumu przez policję.

Władza widząc, że przemocą dalej nic nie ugra zaczęła się przygotowywać do ewentualnych pertraktacji. Pomimo częstego przedstawiania historii okrągłego stołu w dobrym świetle w podręcznikach szkolnych, dziadek wspomina ten okres bardzo źle – według niego najbardziej uszkodzone przez państwo warstwy społeczne zostały „wyrulowane” przez swoich przedstawicieli.

Dziadek również należał do Solidarności. Dołączył do niej w 1981 roku i nawet udało mu się dostać do jej lokalnego zarządu. Z początku miał dość wyidealizowany obraz tej organizacji – postrzegał ją jako gwaranta praw i dostatniego życia robotników. Zobaczył jednak po jakimś czasie zepsucie u jej szefostwa – m.in. lokalne związki zawodowe często ustalały z szefem zakładu obniżkę płac dla robotników, by potem móc ogłosić protest, przywrócić poprzednie płace i wyjść wśród pracowników na bohaterów.

Historia dziadka oczywiście trwa dalej – mógłbym jeszcze długo opowiadać o jego historii współczesnej. Jednak tu starałem się skupić na istotnych z historycznego punktu widzenia wydarzeniach przedstawionych z perspektywy zwykłego pracownika, ojca, Polaka. Wiele rodzin ma w swoich historiach momenty gdy były częścią większych istotnych państwowo zdarzeń. Ważne aby poznawać je i zachowywać w pamięci przyszłych pokoleń przez opowieści lub słowo pisane.

# Irenka

**Daria Modro**

Tory kończyły się w Ostródzie.

Chcieli jechać dalej, do Torunia, ale ciężki skład zatrzymał się na bocznej zwrotnicy. Znaleźli się na Ziemiach Odzyskanych. Był luty 1946 roku. W tym mieście mieszkali już ci, którzy wyjechali z Dukszt poprzednim transportem – rodzina, sąsiedzi, znajomi. Irenka cieszyła się, że tygodniowa podróż wagonem bydłącym już się skończyła. Znajdowało się w nim całe ich poprzednie życie. Młodsze dzieci spędziły podróż siedząc na szczycie ułożonych przemyślnie bambetli. Za szafą krył się niemiecki rower, który najstarszy z chłopców, Mietek, ukradł z transportu na wschodni front. Całą drogę bał się, że zostanie skonfiskowany na granicy.

W urzędzie dowiedzieli się, że zostaną zameldowani gdy tylko samodzielnie znajdą pusty lokal. Ojciec i szesnastoletni Mietek wędrowali po mieście, wyszukując opuszczone przez Niemców mieszkania, które jeszcze nie zostały zajęte przez repatriantów z Litwy i Białorusi oraz Polaków ze Śląska i okolic Warszawy. Wieść niesła, że znajdą tu bogactwa. Niestety, niedawno przeszli tędy Ruscy, niszcząc i dewastując wszystko na swojej drodze. Wybijali okna, łamali meble, rozpruwali pierzyny i poduchy w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Puchu i pierza w opuszczonych mieszkaniach było więcej niż śniegu na ulicach. Przez wybite okna wpadał ziąb, a roztrzaskane piece nie mogły dać ciepła. W okolicy grasowały przestępcze bandy. Rodzina Irenki zdecydowała się zatrzymać się w jednopokojowym mieszkaniu niemal naprzeciw Zakładów Kolejowych, w których obiecano pracę Ojcu.

Irenka dopiero niedawno zrozumiała, że może istnieć świat bez wojny. Kiedy jej starsze rodzeństwo cieszyło się że wojna się skończyła, dziewczynka nie mogła tego pojąć: „Nie będziemy już do piwnicy uciekać? Nie będzie bomb i samolotów? Jak to będzie?” – a tamci tylko się śmiali, że niemal „przedwojnia” nie pamięta. Ale jak miała pamiętać? Wojna wybuchła gdy miała mniej niż cztery lata. Z okresu pokoju pamiętała tylko urywki. Małego Żyda – towarzysza zabaw, wędrowki do sklepu i zabawy na łące. Potem były świsty bomb, warkot przelatujących samolotów i zapach piwnicy, w której się kryli. Miejsce to wypełniał lęk i płacz małego Franka, którego trzeba było wciąż bujać, bo cierpiał z uwagi na chorobę, którą Litwini nazywali „szrywul”. Jego głowę pokrywały pęcherze wypełnione ropą, które następnie zeszyły mu na oczy, a te zamieniły się w wielką ranę. Wszyscy byli pewni, że chłopiec straci wzrok, a jednak – gdy po długich miesiącach w końcu wyzdrowiał – okazało się że widzi, choć wzrok zawsze miał już słaby.

Irenka była prawie najmłodsza. Najpierw był Janek, który miał długie nogi i nosił młodsze rodzeństwo na barana. Potem Teresa, którą z lęku przed Ruskimi na jakiś czas zamurowano na strychu. Następnie Mietek, którego wszędzie było pełno. Potem Zośka i Maryśka, obydwie rumiane i ładne. W końcu Irenka, która przy siostrach czuła się nieciekawa i bezbarwna. Pamiętała jak kiedyś krewne z Miasta przybyły by zaproponować wzięcie jednej z dziewczynek

na wychowanie. Matka wskazała Irenkę, ale ciotki odrzekły, że wołały by ładniejsze dziecko. Ta zadra „brzydkiej” już nigdy nie opuściła jej serca. Młodszy od niej był tylko mały Franek, który odziedziczył imię po bracie, którego w niemowlęctwie zabrała odra.

Do Polski przyjechali wszyscy żyjący. Z końcem wojny Polska rozpoczęła starania by sprowadzić do kraju swoich obywateli. Ojciec był jednak w obozie pracy w Kałudze, do którego trafił gdy jego oddział AK został rozbrojony w lesie. Oficerowie trafili do Katynia, a prości szeregowi zostali zabrani do wyrębu lasu. Matka została sama. Nigdy nie bała się pracy. Prowadziła dom, opiekowała się inwentarzem, uprawiała warzywa w przydomowym ogrodzie i dorabiała, piorąc pościel dla bogatych Żydów. Nie była to łatwa sprawa. Najpierw trzeba było ją trzeć na wielkiej tarze, następnie płukać w jeziorze, maglować i prasować za pomocą żelazka na węgle. Matka była jednak pracowita, gospodarna i bystra. Przed ślubem pracowała nawet w Aptece jako pomoc farmaceuty. Ale teraz została sama, z rozdartym sercem. Przed laty jej matka uciekła z Litwy z dwojgiem małych dzieci, kryjąc się przed synami swego zmarłego męża, którzy chcieli z macochy zrobić swoją służącą. Schronienie otrzymali w dworku leżącym w pobliżu Dukszt. Tam Babka Rozalia pracowała, a że była oddana swoim Gospodarzom, znalazła tam Dom i mogła zapewnić podstawowe wykształcenie dla swojej córki Melanii, a jej brata Alfonsa nawet posłać gimnazjum. I teraz mieli porzucić Dukszty?

Władze litewskie zdecydowanie odradzały wyjazd: „Jedziecie do Niemców, a Niemcy was wyrzną” – mówili. To była droga w nieznaną. Nadal nie było też wiadomo co z Ojcem – czy żył? A może umarł? Czy wróci? Czy ich znajdzie, jeśli wyjadą? Rodzeństwo Irenki postawiło sprawę jasno: Matka może zostać, ale oni jada. Nie ufali Litwinom, pamiętając co stało się z Żydami. Na polecenie Niemców, zgromadzono wszystkich z miasta i okolic i poprowadzono przez Dukszty. Byli tam wszyscy, nawet starcy i dzieci. Strażników było niewiele, a Żydzi szli „do obozu” potulni jak owce. Na skraju lasu, w wąwozie, zostali rozstrzelani. Ich ciała zostały przysypane wapnem i ziemią. Mietek poszedł potem na zwiady. Odkrył, że w miejscu kaźni ziemia się trzęsła, jakby chciała pochłonąć także i żywych.

Nie mogli tu zostać. Chcieli do Ojczyzny, do Polski! Matka wyblagała aby dali jej więcej czasu. Wciąż miała nadzieję, że Ojciec wróci. Ciężko było opuścić Dom, ale ciężiej rodziną mogiłę na cmentarzu – w której spoczywał malutki Franio oraz najstarszy z rodzeństwa Janek, uszkodzony w wypadku podczas pracy. Kolej - ta sama, która miała zawieść ich do Polski, ta sama, która dawała pracę jeszcze na Litwie – odebrała Janka na zawsze. Irenka słyszała jak mówiono, że nie leczono go właściwie bo był Polakiem. Jednak może w rzeczywistości obrażenia klatki piersiowej były zbyt poważne. Janek żył jeszcze tydzień. Do ostatnich chwil wołał matkę.

W Ostródzie Irenka mogła iść do szkoły. Matka jednak nie puściła jej od razu jak reszty rodzeństwa. Irenka poszła do szkoły dopiero w 1947 roku gdy miała już dziewięć lat. Klasy były mieszane. Siedmioletnie dzieci siedziały obok dorosłych mężczyzn. Byli i Mazurzy i repatrianci, i Polacy ze Śląska, a także wielu przybyłych ze zburzonej Warszawy i jej okolic. Irenka chciała się uczyć. Szybko została przeniesiona do drugiej klasy. Cieszyła się, że nie musi już nosić ciężkich kanek z posiłkami z czerwonego krzyża. Matka, odkąd urodziła małego Andrzejka, mogła robić to sama.

Czas mijał. Ojciec pracował na kolei, obsługując suwnicę. Udało się otrzymać lepsze mieszkanie za ziemię zostawioną na Litwie. Decyzja o wyjeździe okazała się dobra. Ci, którzy pozostali w swoich majątkach, wkrótce zostali zesłani na Sybir – jak Karolukowie, właściciele młyna.

Czasem tęsknota za Wileńszczyzną stawała się trudna do udźwignięcia. Młoda Irenka poznała Józefa, który także pochodził z okolic Wilna, Nowo Świącian. Wkrótce doczekali się trzech córek.

Serce Ireny wypełnione było tamtą, dziecięcą niepewnością. Cień niedopasowania towarzyszył jej całe życie i uwierał tak bardzo, że niemal nie mogła się w nim rozgościć. Osiągnęła wiele, ale nigdy tego nie dostrzegała, jakby dalej pamiętała, że jej siostry były rumiane i ciemnowłose, a ona sama nijaka i bezbarwna.

Barwne natomiast były jej Opowieści. Gdy mała Irenka została babcia, zamiast bajek opowiadała swoim wnukom opowieści o odległej Wileńszczyźnie, skarbie zakopanym w sadzie, Teresie, która z nudów na strychu robiła na drutach skarpety, małym Franku, który skarżył się, że „dzieci nie bujają”. Uwielbialiśmy te o Wujku Mietku – najbardziej pomysłowym i odważnym spośród rodzeństwa: a to kradł rzeczy z pociągu wiozącego transport na front – i raz wyrzucił dwie różne narty - a to wybudował małą szopę w ogrodzie, obiecując siostrzom domek do zabawy lalkami, a potem się w nim zamknął i palił papierosy, a to zimą wpadł pod lód i prawie się utopił. Nic dziwnego, że kiedy Wujek Mietek odwiedzał siostrę, wdrapywaliśmy się mu na kolana i wpatrywaliśmy się w niego z uwielbieniem, próbując zrozumieć jak ten stary, jękający się człowiek mógł przeżyć tak niesamowite przygody.

Opowieści Babci pozwalały w siwej ciotce dostrzec piękną Zośkę, która miała ponoć warkocz o grubości przedramienia i rozkochiwała w sobie wszystkich chłopaków. Z bezzębnej staruszki wydobywały Prababcie Melanię, tę samą, która wraz z dziećmi przeszła przez pole rozdzielające dwie wrogie armie i która kazała dzieciom padać na ziemię ilekroć usłyszą świst. Wszyscy przeżyli i nikt nie został ranny, ale Babcia Irenka mówiła, że była to najdłuższa droga jej życia.

Gdy Irena pojechała na Wileńszczyznę, obeszła ledwie widoczne w trawie fundamenty dawnego domku i opowiadała – tu był pokój, w którym mieszkał lokator, a tu kuchnia, gdzie mieszkaliśmy my wszyscy. Młodsze dzieci spały na piecu. Stała w zadumie nad grobami braci, z których deszcz zmywał już dawno imiona. „Takie pęknięte to życie” – powiedziała – „Rozerwane jakby przez bombę”.

Kobiety z Wileńszczyzny są zrobione jakby ze stali. Matka małej Irenki przeżyła dziewięćdziesiąt cztery lata. I Irena żyje dalej, licząc sobie dopiero osiemdziesiąt siedem lat. Uprawia gimnastykę i codziennie szybkim krokiem przemierza ulice Ostródy.

Tu teraz są jej groby.

Irena dalej jest fundamentem swojej rodziny, nośnikiem wspomnień o tych, których już nie ma. Cieszy się z trzech córek, pięciorga wnuków i sześciorga prawnucząt. Powiedziałam jej dziś, że wkrótce może spodziewać się narodzin kolejnego. „To dobrze – rzekła – Dzieci to największy skarb. Jedyny, który warto ze sobą zabrać gdziekolwiek się jedzie”. „Nie Babciu – mówię – są jeszcze Opowieści”. Myślę o tych, które teraz snuję moim dzieciom. „Mamo – mówią – powiedz jeszcze raz o tym jak dziadka Józka kopnął koń i wstawili mu trzy zęby z przodu”.

Więc opowiadam. Chcę aby nigdy nie zapomnieli.

## Biegnij!

Mój dziadek Ryszard Szuba- partyzant (zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła” pod dowód. Roberta Satanowskiego) był człowiekiem wysportowanym. Mam teraz 14 lat, gdy on był zaledwie 4 lata ode mnie starszy, trafił do niemieckiego obozu pracy. W swoich wspomnieniach (spisywał je jako 70-latek) zawarł bardzo mądre słowa, o których chciałbym opowiedzieć: sport może uratować życie.

Spisywał je będąc tuż po wylewie. Mój dziadek a jego syn oraz inni członkowie rodziny bardzo dobrze zapamiętali, że schorowany, słaby i niedołężny siadał z niebieskim zeszytem i pisał. Moja mama wciąż wspominała, że jej ojciec wielokrotnie mówił o zagubionych wspomnieniach. Pradziadek zmarł w 1987, zeszytik był bezskutecznie szukany 36 lat. Kiedy odnalazł się wiosną 2023 roku, nie mogłem przejść obok tego obojętnie. Postanowiłem – przeczytać, spisać i zrozumieć jak najwięcej.

Pradziadek w swoim pamiętniku wspomina, że gdy miał 18 lat: “zaczęły się masowe aresztowania. Dużo naszych chłopców zostało rozstrzelanych lub wywiezionych do obozów koncentracyjnych, skąd przeważnie nie powrócili. W 1943 zabrano 25 rocznik<sup>1</sup> do przymusowego obozu pracy. W barakach zagrodzonych dookoła kolczastym drutem i dookoła stały posterunki żandarmów. Za byle wykroczenie, a często niewinnie, bito nas i głodzono. Wyżywienie było bardzo złe: zupa z brukwi lub pokrzyw, 300 gramów chleba, łyżka buraczanej marmolady, czarna zbożowa kawa. Wydano nam drewniaki bardzo ciężkie i drelichy do pracy.

Pracowaliśmy najczęściej po 12 godzin dziennie przy budowie linii kolejowej”. Okres okupacji hitlerowskiej na terenie gminy Hańsk (skąd pochodził), jak i w innych rejonach kraju, zapisał się w jej historii „czarną kartą”. Pochłonął wiele ofiar wśród ludności cywilnej. Utworzono dużo obozów zagłady, m.in. w Sobiborze, Krychowie, Osowie i Ujazdowie<sup>2</sup>. “Byłem bardzo słaby i wyczerpany” – wspomina dalej Ryszard – “nieustannie myślałem o jedzeniu, bo nas głodzili. Pewnego razu kolega zaproponował mi ucieczkę.” Wiedziałem dlaczego wybrał pradziadek- Ryszard był szybki i zwinny, dzięki temu, że od małego, codziennie biegał po lesie. Zrobił sobie też “siłownię” w stodole (mieszkał na wsi, a podnosił nawet wory z mąką, byleby pracowały mięśnie). “Biegliśmy bardzo, bardzo szybko, choć nie wiem do dziś skąd wygłodzony i spracowany miałem na to siłę”. Doskonale wiem, że gdyby Ryszard nie trenował wcześniej, nie dałby rady uciec i czekałaby go pewna śmierć. Gdy wrócił do swojej wioski, musiał się oczywiście ukrywać, więc wstąpił do partyzantki. Tam przeszedł przeszkolenie saperskie, walczył jako saper w lasach parczewsko-włodawskich, m. in. zajmował się wysadzaniem pociągów. Wzruszająco opisany jest we wspomnieniach moment powrotu „do cywila”, do domu rodzinnego:

<sup>1</sup> Rocznik pradziadka.

<sup>2</sup> Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945. Informator encyklopedyczny”, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1979.



”Do Lublina dojechało nas tylko trzech, przedział opustoszał, wreszcie dotarłem do stacji docelowej. Był silny mróz i zadymki śnieżne. Wstąpiłem do kuzynów po drodze, tam zjadłem obiad, chciałem wyruszyć w dalszą drogę, doradzali mi, żebym u nich zanocewał, ale nie chciałem. Postanowiłem ciągnąć do domu, droga była bardzo zawiana, liczyłem, że szosa będzie przejezdna, ale okazało się, że również była zawiana, tak, że trudno się było zorientować, gdzie jest szosa, ponieważ słupy telefoniczne w czasie wojny zostały zniszczone. Szedłem po prostu na azymut, czułem się bardzo zmęczony, a do domu było jeszcze daleko, chwilami chciałem usiąść na śniegu, ogarniała mnie senność, siłą woli przemogłem się i szedłem wciąż naprzód”. Wiś do której szedł to miejsce jego urodzenia- Górki (dziś powiat włodawski). Sprawdziłem odległość – to 64 km! Zawsze gdy przypomnę sobie ten fragment wspomnień, robi mi się wstyd za kolegów i koleżanki, którzy wciąż unikają wychowania fizycznego w szkole, “kombinują” ze zwolnieniami lekarskimi, a przecież sport zapewnia wytrzymałość i hart ducha na całe życie.

Stawianie sobie celów, pokonywanie własnych słabości i ograniczeń – oto do czego zainspirował mnie pradziadek. Wówczas, w tę śnieżną, zimową noc, żeby zmęczonym nie położyć się na śniegu i nie zasnąć (co groziło niechybną śmiercią), postanowił biec. „Biegłem przed siebie, żeby tylko nie usiąść na śniegu. W krzakach błyszczały oczy zwierząt leśnych, dla obrony przed wilkami złapałem jakąś gałąź i dalej biegłem. Gdy traciłem siły, robiłem skłony, przykucałem i patrzyłem wokół, to była przepiękna noc. Wreszcie po godzinie 24.00 dotarłem do domu, choć nogi miałem jak z waty, a w głowie mi szumiało. Domownicy nie spodziewali się mnie, ale bardzo się ucieszyli”-tak kończy tę opowieść mój przodek.

Dla mnie sport jest powietrzem, bez którego nie potrafię żyć. Podczas gdy koledzy i koleżanki całymi dniami grają na telefonach lub przesiadują w domach, przeglądając facebooka, ja biegam.

To dla mnie powietrze, które nie daje mi zwariować. Pozwala przeżyć w tych trudnych dla nastolatków czasach, gdy tak wielu popada w depresję albo ginie w wirtualnym świecie.

194.

# Stąd jestem

Zofia Lenart

—

# Stąd jestem

Julia Zmarzlik

Od dawna podejrzewałam, że moje siostry i ja zostałyśmy przeklęte staropanieństwem.

Czy stan ten wynikał z chłodnego usposobienia i jeszcze chłodniejszej szarości tęczówek, z nieuzasadnionej niczym freudowskim nieufności wobec mężczyzn, czy też ze smrodu kóz, który spowił naszą żeńską historię rodzinną i zacieśnił związki między tym, co było, a tym, co być nie powinno, nikt z krewnych nie mógł stwierdzić na pewno. Przekleństwo wydawało się więc powodem logicznym i zasadnym, jak widły i gnój.

Nie mogę pozbyć się tego smrodu. Dokądkolwiek idę, ciągnę za sobą chlew i koryto, kopyta i sierść. Wrócę więc do przeszłości, a ona splecie się i zatoczy wokół mojej głowy krąg, aż opadnie mi na szyję jak pętla.

Moje praciotki Jadwiga i Agata były tworem homogenicznym, połączone ze sobą jak bliźniaczki syjamskie nie głową lub biodrem, lecz życiem tak jednakowym i jednorodnym, że i tożsamość wykształciły jednakową i jednorodną, z tego też powodu opisuję je jako jedną postać, moją schizofreniczną główną bohaterkę. W sensie lingwistycznym moje praciotki były śląskim dyftongiem, nie żadną nosówką. Dwie litery przekształcone w jedną podciągniętą samogłoskę. Jadwiga była ciotkōm, nie ciotką. Agata była ciotkōm, nie ciotką. W sensie animalistycznym moje praciotki były kozą, urodzoną w latach 1907 i 1910 w polsko-niemiecko-śląskiej wsi Wrzoski (niem. Wreske), i odkąd wydobyły z siebie pierwsze desperackie krzyki, pisana była im kozia sierść i siostrzana samotność.

Widzę je, dwie anemiczne dziewczynki, jak umorusane układają patyki przy drodze. Chciałabym je przestrzec, chociaż jeszcze nie wiem przed czym. Ich nieszczęście nie będzie różniło się od nieszczęścia innych kobiet – podczas pierwszej wielkiej wojny zostanie im odebrany ojciec, będą cierpieć głód i ciężko pracować. Podczas drugiej wielkiej wojny nie zostaną im odebrani mężowie, ponieważ nigdy ich nie miały. Polska nazwa Wrzoski będzie zgrzytała nazistom w zębach jak ziarno piasku – wioska moich praciotek zostanie na dziewięć lat Heidefeldami. One nie ruszą się z miejsca, wtedy już jako dorosłe kobiety otoczone stadkiem kóz i zapachem ich sierści.

Opowieść o moich praciotkach to opowieść o wiejskiej kobiecie, wiotkiej brzózce targanej przez podmuchy wiatru to w jedną, to w drugą stronę – lecz nigdy nie przesadzanej. Bieg historii zdawał się ich nie dotyczyć – siostry mieszkały w swoim tradycyjnym śląskim jamniku i prowadziły swoje tradycyjne śląskie gospodarstwo, a Heidefelde zmieniło się znów w szeleszczące Wrzoski. Siostry dzieliły się obowiązkami: Agata dorabiała w sklepie, a Jadwiga z matczyną troską pielęgnowała stado kozłatek. Mężczyzna w tym układzie był zbędny, a nawet mógłby przeszkadzać.

Drodzy Państwo, pozwólcie, że sprostuję – to nie tak, że mężczyźni bali się ich koziego smrodu. Było kilku takich, co godziliby się i na dożywotnie przerzucanie łajna, i na dietę

opartą o kozie mleko, a nawet na kłopotliwą nierozłączność sióstr, która uniemożliwiałaby intymną prywatność małżeńską w dużym zakresie. Byli więc absztyfikanci – szczególnie zainteresowani atrakcyjną Agatą, ubraną zawsze po pańsku. Jadwiga wciąż dyskwalifikowała samą siebie staromodną mazelōnką, przez którą wydawała się starsza od swojej siostry co najmniej o pokolenie.

Jakie mogły być ambicje moich praciotek? Czy niewykształcona kobieta z polskoniemiecko-śląskiej wsi mogła marzyć o czymś sięgającym poza granice skromnego gospodarstwa? Czy też jednym realnym życzeniem wiejskiej kobiety był mąż – dobro, którego praciotki świadomie się wyrzekły? Którego teraz i my się wyrzekamy? Agata osiągnęła wiejski prestiż, który swoim blaskiem objął również jej siostrę – prowadziła sklep, obracała się wśród wiejskiej klienteli. Wychodziła z domu. Jadwiga doglądała gospodarstwa i rzadko pokazywała się na wsi. Żyły w skrajnej symbiozie, idealne ying i yang.

Pewnie się Państwo zastanawiają, co takiego zrobiły moje praciotki Jadwiga i Agata. Kiedy w końcu przejdę do orzeszka historii, bo jak na razie ślizgam się po szorstkiej skorupie. Otóż, nic. Nie zrobiły zupełnie nic, o czym Państwo chcielibyście przeczytać, czym mogłabym się pochwalić w opowiadaniach pisanych w podstawówce, co miałyby jakąkolwiek wartość dla Polski, czy Niemiec, czy nawet Śląska. Nic. Jadwiga i Agata nie zostały bohaterkami wojennymi. Nie sprzeciwiły się reżimom, nie nosiły na plecach apteczki z opatrunkami, nie angażowały się politycznie. Nie urządziły strajków, nie nosiły zupy strajkującym. Nie uczyły się w uniwersytecie, nie napisały przejmujących pamiętników. Nie były modnie uczesanymi dziewczętami z powstania i historia przykryje je grubą warstwą dziejowego mułu. Nie miały nawet konkretnej narodowości. Dwie umorusane dziewczynki na skraju drogi, jedno rozdwojone życie skazane na śmierć absolutną.

A jednak duchy tych dwóch zapomnianych dziewczynek dyktują mi kolejne litery. Przesyciły moje życie kozim zapachem, obojętnie jak daleko uciekałam od wsi moich praciotek, ciągnęłam za sobą chlew i koryto, kopyta i sierść. Każdej mojej relacji rósł kozii ogon. Od dawna podejrzewałam, że ja i moje siostry zostałyśmy przeklęte staropanieństwem. Być może i my zostaniemy przeklęte i przytrzaśnięte warstwą zaschniętego historycznego mułu, tak jak moje dziwne praciotki z tradycyjnego śląskiego jamnika, o których nikt nie będzie pamiętał, bo po co. Cztery umorusane dziewczynki na skraju drogi, jedno rozczworzone życie skazane na śmierć absolutną.

## Od Kresów do Stargardu

Alicja Arczewska

Kiedy sięgam pamięcią do najstarszych wspomnień dzieciństwa, widzę następujące obrazy: maleńki pokój, w nim ja i mała siostrzyczka Irka, w głębi brat Franek ... Mieszkaliśmy we wsi Wojsławice koło Sokala na Wołyniu. Nadszedł rok 1939. W domu niedostatek. Tato miał na imię Antoni, wyjechał do pracy w Austrii, bo tutaj pracy nie było, a gospodarstwa nie mieliśmy. Mama – Katarzyna - ciężko pracowała, żeby nas utrzymać, a ja musiałam pilnować rodzeństwa.

Latem wszyscy chodziliśmy do cici „na górkę”, zrywać z drzew dojrzałe wiśnie, za to ciocia się odwdzięczała i raz dziennie dostawaliśmy skromny posiłek, nasz jedyny. Krótco przed żniwami wraz z mamą wybieraliśmy się na pola, zrywać jeszcze zielone kłosa zbóż. Mama suszyła te kłosa w piecu. Po wysuszeniu młóciłyśmy je kijami i dokładnie zbieraliśmy ziarno. Razem z mamą szliśmy mleć to ziarno na kamiennych żarnach obracanych ręką. Mąkę przesiewaliśmy przez sito. Była różnej grubości. Z części mąki mama piekla „podpałki” – podplomyki, które były zielone, bo zielone, niedojrzałe było ziarno na mąkę. Z pozostałej, grubej mąki gotowała kaszę. Byliśmy głodni, więc to wszystko bardzo nam smakowało. Żytnia mąka razowa i chleb razowy na okrągło, na każdy posiłek. Takie było to życie.

W 1940 roku wrócił do domu tato. Było nieco lepiej, dostatniej. Chciałam chodzić do szkoły, chociaż miałam sześć lat. Rodzice nie pozwolili, bo raz w tygodniu trzeba dać nauczycielowi obiad, a na to nas nie bardzo stać. Na początku 1943 roku nadeszły ciężkie czasy. We wsi, gdzie stacjonowały niemieckie wojska, Ukraińcy stali się jacyś inni. Chodzili po domach i spisywali, jakiej narodowości są rodziny w nich mieszkające. W naszym domu każdego wieczora gromadziły się polskie rodziny, aby spędzić noc. Kobiety z dziećmi spały wewnątrz, a mężczyźni pilnowali na zewnątrz, aby bronić rodzin przed napadami ukraińskich bandytów.

Mieszkaliśmy na Wołyniu, w regionie, gdzie Ukraińcy zaczęli rzezie Polaków. I znowu nadeszły straszne wieści, że za dwa dni w nocy, ukraińskie bandy wpadną do miasta i będą robić porządek z Polakami. Ludzie bali się coraz bardziej. Tato na ogródku wykopał „wilczy dół” i skonstruował schron z jakiejś strasznie dużej beczki, napchał słomy i pościel. Tam przez kilka nocy spaliśmy my dzieci z matką i inne kobiety, a mężczyźni pilnowali nas na zmianę. Ukraińcy bez przerwy nam grozili, że nas wszystkich wymordują, wytną w pień. Wreszcie rodzice wraz z innymi uradzili, że lepiej zgłosić się do pracy w Niemczech, niż tak żyć w strachu o rodziny i ciągle się ukrywać. Zapadła decyzja, jedziemy w nieznaną.

Mama bez przerwy piecze chleby i suszy z nich suchary na drogę dla dzieci. Nazbierało się tego dwa worki, takie duże od zboża. A później jeszcze dwa. Z niepokojem myślimy, co będzie dalej, jaki los nam życie zgotuje. Ja już wiele rozumiem i wszystko to strasznie przeżywam. Boję się patrzeć w okno, żeby mnie ktoś nie zobaczył i nie zabił. U nas w domu wciąż pełno ludzi, ciągle narady, dyskusje i przygotowania na dalszą tułaczkę. Rodzice bardzo się o nas martwią.

Jedziemy cały dzień i noc, a rano już z tobołkami wysiadamy w jakimś mieście. Niemcy lokują nas na ławkach obok dworca i czekamy razem z tymi wszystkimi, którzy wysiedli z naszego pociągu. Niemcy przechodzą, oglądają nas i wybierają. Która rodzina im się spodoba, tą biorą. Najprędzej zostały wybrane te rodziny, gdzie było dużo osób do pracy. My zostaliśmy na końcu. Martwiliśmy się bardzo, czy nas ktoś weźmie. Wreszcie podszedł jakiśbauer. Popatrzył i... zabrał nas na stację. Odetchnęliśmy z ulgą. Wieczorem dojechalśmy do miasteczka Buchloe w Bawarii. Naszą całą rodzinę umieszczono w dużym gospodarstwie bauera Hartunga, w miejscowości Honcolgen, pod szwajcarską granicą. Gdy nasza bryczka wjechała na podwórko to oniemiałam, wydało mi się, że jestem w raju: podwórko oświetlone, czyste, wszędzie ład i porządek. A jeszcze czekała na nas kolacja. Gospodarze byli zdziwieni, że nie zjadamy wszystkiego. Po tak długiej i męczącej podróży byliśmy bardzo głodni, ale tato prosił, żebyśmy się nie objadali, bo gospodarze się przerażą, że tak dużo jemy.

W gospodarstwie były traktory na żelaznych kołach i konie, a nawet woły, które chodziły bardzo wolno, a także liczny inwentarz oraz ubojnia dla własnych potrzeb. Pana Hartunga nazywano Schuli-bauerem” czyli wzorowym gospodarzem. Rodzice codziennie, solidnie pracowali, bardzo się starali, bo byli wdzięcznibauerowi, że jest tak dobrze, spokojnie, mamy gdzie mieszkać i co jeść...

Wreszcie koniec wojny. Po okolicy jeżdżą wozy pancerne z Amerykanami. Tato dostał możliwość wyjazdu do Ameryki. Miał tam otrzymać pracę i nas ściągnąć do siebie. Jednak przez radio władze wzywały Polaków do Ojczyzny. Mama bardzo tęskniła i namówiła tatę, abyśmy wracali do Polski. Za granicą wszystko się skończyło. Przejęli nas żołnierze radzieccy, wciąż kontrolowali, rewidowali i zabierali, co im się podobało. Nawet mi zabrali buty z nóg. Okradali powracających do kraju, a kto nie chciał czegoś oddać, to go zabijali.

Jechaliśmy dwa tygodnie w przepelnionych, bydłych wagonach i towarowych na węgiel, byle jechać dalej, bo przecież był nas czwórka dzieci, które chciały jeść i spać.

Wreszcie Wojsławice i kolejne tygodnie niełatwego życia w ubóstwie, aż nadchodzi straszna wieść, że Ukraińcy znowu podpalają zagrody, gdzie mieszkają Polacy, mordują mężczyzn i rozpytują, czy w naszej wsi jest polskie wojsko. Znowu boimy się o nasz los. Co noc bandyci nawiedzają okolicę i podpalają domy, również w Wojsławicach. W nocy taty często nie ma w domu, ukrywa się w lesie z innymi Polakami. Mama wciąż czuwa, żeby zdążyć uciec z nami w razie pożaru. Narasta strach.

Wkrótce Państwowy Urząd Repatriacyjny w Hrubieszowie przystępuje do przesiedleńczej akcji „W” i dnia 21 lipca 1947 roku, z naszej gminy Chrobrów otrzymujemy kartę przesiedleńczą wraz z dokładnym wykazem, ile, czego można ze sobą zabrać i informacją, że za dwa dni mamy spakowani czekać na transport. Razem z nami z Wojsławic postanowiono przesiedlić pięć rodzin: Tymoniuków, Laszczuków, Józwiaków i innych Suberlaków, nie z naszej rodziny, bo w Wojsławicach to było popularne nazwisko. Razem, kilkoma furmankami jechaliśmy przez Chorobród do Waręża, skąd w ciemnych, bydłych wagonach, przez dwa tygodnie, podróżowaliśmy na „ziemie odzyskane” do Stargardu koło Szczecina. Tutaj skierowano nas do Starej Dąbrowy, gdzie tato został zatrudniony w gorzelnii jako palacz i mechanik obsługi aparatury, bo się na tym znał. Mama zajmowała się domem i czwórką dzieci oraz przydomowym gospodarstwem. Zgodnie z przepisami mogła trzymać najwyżej dwie krowy, parę świnek i drób. Było ciężko, ale pracy się nie bała, wieczorami sprzątała w folwarku Państwowych Nieruchomości Ziemskich, a na sezon brała do obróbki pięć hektarów buraków i my, dzieci, musieliśmy to wszystko pielnić razem z nią. Bardzo niewdzięczna, ciężka praca

w upale i kurzu. Czasami ciuchcią jechaliśmy do Stargardu, gdzie spotykaliśmy innych przesiedlonych z naszej okolicy. Chociaż żyliśmy skromnie, wszyscy mówili, że jest dobrze i nikt nie narzekał na swój los. Byli szczęśliwi, że przeżyli tą straszną wojnę. W 1951 roku doszły do nas wieści, że polską granicę z Bugu pod Sokalem przesunięto na zachód i Wojsławice znalazły się w Związku Radzieckim. Czyli i tak musielibyśmy opuścić rodzinne strony.

# Dziadek Stanisław: opowieść o niezłomnej duszy

**Wiktoria Krauze**

W moim życiu jest postać, która przez lata stanowiła nie tylko dla mnie, ale również dla wielu innych, źródło inspiracji i siły. To mój dziadek, Stanisław, człowiek o niezłomnym duchu i niezwyklej historii życia. W tym eseju pragnę podzielić się opowieścią o nim, która ukazuje, że nawet w najtrudniejszych okolicznościach można odnaleźć siłę i pokonać przeciwności losu.

Dziadek Stanisław urodził się w okresie międzywojennym w Polsce, w rodzinie chłopskiej. Jego dzieciństwo i młodość przypadły na trudne czasy, pełne niedostatku i ograniczeń. Jednak już w młodym wieku wykazywał niezwyklej pracowitość i chęć nauki, co pomogło mu zdobyć wykształcenie pomimo braku środków.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, Stanisław został wcielony do wojska, gdzie przeżył liczne trudności i straszliwe bitwy. Po zakończeniu wojny i wyzwoleniu obozu koncentracyjnego, znalazł się na terytorium Zachodnich Niemiec, gdzie jako uchodźca rozpoczął nowe życie. Był to dla niego okres wielkich wyzwań, ale również okazja do odnalezienia swojego powołania.

Stanisław rozpoczął pracę jako nauczyciel, pomagając dzieciom uchodźców w odbudowie swojego życia po traumie wojennej. Jego oddanie pracy pedagogicznej i troska o młodsze pokolenie stały się nieodłączną częścią jego życiowej misji. Pomimo wielu przeciwności i braku środków, zawsze znajdował czas na naukę, zachęcając innych do edukacji jako klucza do lepszego jutra.

Najważniejszym wyzwaniem, jakie Stanisław musiał stawić czoła, było pogodzenie się z własną chorobą - postępującym kalectwem. Mimo diagnozy i niepełnosprawności, nie zrezygnował z nauki i pracy. Działal społecznie, wspierając osoby niepełnosprawne i przyczyniając się do poprawy ich warunków życia.

Jego determinacja i niezłomny duch stały się inspiracją nie tylko dla rodziny, ale również dla całej społeczności. Stanisław pokazał, że trudności życiowe można pokonać, że edukacja i praca społeczna mogą przynieść pozytywne zmiany, a niepełnosprawność nie musi być przeszkodą w osiągnięciu celów.

Historia dziadka Stanisława, to opowieść o niezwyklej człowieku, który mimo trudności i choroby potrafił być źródłem inspiracji dla innych. Jego pozytywne podejście do życia, determinacja i chęć pomagania innym stanowią wzór do naśladowania. Jest to historia o sile ludzkiego ducha, która inspiruje do działania i przypomina, że każdy z nas może być źródłem pozytywnych zmian w życiu innych ludzi. Dzięki mojemu dziadkowi, świat staje się lepszym miejscem.



# Mój Przodek: śladem dziedzictwa i inspiracji

**Andrzej Szołtysik**

Wspomnienie mojego przodka jest dla mnie źródłem inspiracji i głębokiego szacunku. Przywilej poznania historii i dziedzictwa mojej rodziny pomaga mi zrozumieć, kim jestem i skąd pochodzę. Chciałbym podzielić się historią jednego z moich przodków, którym jest moja babcia, jako przykładem silnej i wpływowej postaci w moim życiu.

Moja babcia, Anna, urodziła się na początku XX wieku na polskiej wsi. Była dzieckiem trudnych czasów, gdy Polska była pod zaborami, a życie wiejskie było pełne wyzwań. Jej rodzina była biedna, ale bogata w wartości takie jak pracowitość, wspólnota i miłość do ojczyzny. To właśnie te wartości przekazywała mojej babci moja prababcia i pradziadek.

W wieku młodzieńczym, Anna zdecydowała się wziąć udział w ruchu oporu przeciwko okupantom. Była kurierką, przewożącą tajne dokumenty i wiadomości między różnymi grupami partyzanckimi. Ryzyko było ogromne, a niejednokrotnie musiała ukrywać się przed wrogiem. Jednak jej poświęcenie dla wolności i niepodległości były niezachwiane.

Po zakończeniu wojny Anna nie zapomniała o swoich korzeniach i zaangażowała się w odbudowę swojej wsi i społeczności. Wraz z mężem, który również był uczestnikiem ruchu oporu, pracowali ciężko, aby stworzyć lepsze życie dla swoich dzieci i wnuków. Przekazywali swoje doświadczenia i wartości młodszemu pokoleniu, ucząc ich, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli ma się wiarę i determinację.

Dziedzictwo mojej babci jest dla mnie nie tylko źródłem dumy, ale także inspiracją. Jej historia uczy mnie, że niezależnie od trudności, można osiągnąć wiele, gdy ma się w sercu miłość do rodziny, kraju i wierność wartościom. Jestem dumny z mojego dziedzictwa i staram się dążyć do tego, aby kontynuować te wartości w moim własnym życiu.

Babcia Anna zmarła wiele lat temu, ale jej duch i dziedzictwo nadal żyją we mnie i mojej rodzinie. Jej historia przypomina mi, że każdy z nas ma przodków, którzy wpłynęli na nasze życie i nasze wartości. To nasza odpowiedzialność, aby uczcić ich pamięć i kontynuować ich dziedzictwo.

Wnioskując, moja babcia Anna była nie tylko moim przodkiem, ale także źródłem inspiracji i dumy. Jej historia jest częścią mnie, a jej wartości kształtują moje codzienne wybory. Dzięki niej wiem, że niezależnie od tego, jak trudne mogą być czasy, wartość, wierności swoim korzeniom i wartościom nigdy nie przemija.

199.

# Być kobietą

Ramona Wiora



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Mój bohater – brat mamy

Sara Gibska

Mój wuj Grzegorz (rocznik 1958), starszy brat mojej mamy miał bardzo duży wpływ na moje wychowanie oraz na to kim jestem dzisiaj.

Wujek zmarł, gdy miałam cztery lata, ale pamięć o nim i moim ukochanym dziadku Stanisławie, który zmarł siedem lat przed moimi narodzinami wciąż była i jest nadal żywa w moim domu.

Od drugiego roku życia wychowywałam się bez ojca, gdyż ten po rozstaniu z mamą, na początku o moim i mojej siostry istnieniu przypominał sobie dwa razy do roku, a później w ogóle o zapomniał o swoich dzieciach. Można spokojnie powiedzieć, że wujek w jakimś sensie przejął na siebie rolę mojego ojca. Nawet po śmierci.

Chociaż zmarł, gdy byłam bardzo mała, to mam z nim bardzo wiele wspomnień. Możliwe, że było tak dlatego, że mama z wujkiem, niedługo przed jego śmiercią, codziennie się widywali, jakby chcieli narobić stracone lata, które były zatrute niezgodą między nimi.

Rodzice wujka i mamy urodzili się na wsi. W jednej gminie, ale w różnych wsiach. Między Piątkiem, a Łęczycą. Jednak jeszcze jako młode osoby przeprowadzili się do Łodzi.

Dziadziuś jako jedyny ze wsi mając pracę i rodzinę na utrzymaniu skończył studia. Z dobrym wynikiem. Możliwe, że to po nim wujek był niesamowitym geniuszem. Jednym z wielu tego dowodów, jest to, że w wieku siedemnastu lat, czyli w 1975 r. samodzielnie skonstruował zegar elektryczny.

Co sobota wujek Grzesiek wraz ze swoją rodziną przyjeżdżał do mamy na grilla, na działkę pracowniczą. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że sam skonstruował tego grilla, a właściwie 2w1 – grilla z wędzarnią. Było to w czasach, gdy takie rzeczy były tylko na zachodzie.

Na tych spotkaniach często wołałam siedzieć z dorosłymi niż z moją siostrą i jego dziećmi. Byłam najmłodsza z całej gromadki, moją siostrę i mnie dzieli aż siedem lat różnicy, a najmłodsze dziecko wujka, syn, jest ode mnie starszy o sześć lat. Z resztą, oni też nie chcieli się bawić z takim małym dzieckiem jakim byłam.

Przy stole śpiewali szanty i piosenki patriotyczne, których uwielbiałam słuchać, a które znali dzięki swoim rodzicom. Wujek lubił też słuchać Budki Suflera, a z jedną piosenką szczególnie mi się kojarzy. Z mamą również uwielbiali indiańskie rytmy.

Bardzo przeżyłam jego śmierć. Do dziś to pamiętam, ale mimo to mnie nie zostawił. Bardzo często m się śnił. Dawał różne rady. W ten sposób pomagał mamie mnie wychowywać.

Mama zawsze opowiadała mi o jego charakterze i nadal często to robi. Jednak dopiero gdy zaczęłam zgłębiać jego życiorys bardziej szczegółowo dowiedziałam się, jak bardzo był odważny.

W 1981 r. w Łodzi miał miejsce strajk studentów. Wziął w nich udział. Milicja go złapała i postąpiła z nim brutalnie. Gdy wrócił, po całej nocy bez wieści, między nosem, a górną

wargą miał dziurę, przez którą widać było zęby. Dodatkowo od milicji dostał zakaz wyjazdu za granicę na okres jednego roku. Nie zdradził się swoim rodzicom, którzy szukali go przez całą noc po wszystkich łódzkich komisariatach, z tego co robił. Nie zdradził się również młodszej siostrze – mojej mamie. Nie chciał ich martwić, ale chciał walczyć.

Chciał wolności. Nie chciał komunizmu, ale też uważał, że ludzie nie są gotowi na demokrację. Nie lubił tych dwóch doktryn politycznych.

Myślę, że nasienie patriotyzmu zostało mi zasiane przez piosenki patriotyczne, a później przez wiedzę o tym co robił i o jego charakterze zostałam pchnięta do okazywania na różne sposoby, postawy patriotycznej.

Wujek doskonale wiedział, że będę mołem książkowym. Chociaż zaczęłam lubić czytać długo po jego śmierci, ale on wiedział. Zostawił mi wszystkie swoje książki, które są dla mnie skarbem. Zdawał sobie sprawę, z tego, że będę z nich dobrze korzystać. Bardzo lubię gatunek fantasy i science – fiction, zupełnie jak on. Nie mógł tego przewidzieć, a jednak przewidział. Na dwóch kartonach, jego pismem było napisane „Dla Sary”. Mama mi je przyniosła, gdy zaczęłam pochłaniać książki. Miałam dziewięć lat, gdy zaczęłam uwielbiać czytać. To był jego prezent dla mnie, już po jego śmierci. Przewidział to, że będę mołem książkowym, gdy byłam mała, gdy nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Moja mama i babcia często mówią, że urodził się za kilkanaście lat za wcześnie. Wujek już w latach ‘80 XX w. był w stanie powiedzieć, że przyjdzie dzień, w którym będziemy płacić telefonem, a nie tylko rozmawiać. Zdawał sobie sprawę z tego, że w telefon będzie bezprzewodowy i będzie miał wbudowany aparat i kamerę.

To był bardzo mądry człowiek, który przewidział wiele rzeczy. Miał swoje wady, jak każdy, ale to jaki był dobry, zamazywało te negatywy.

Wujek był bardzo pomocny. Jeśli tylko mógł zawsze pomagał. Nie potrafił przejść obojętnie wobec cierpiącego człowieka. To była szkoła jego ojca, który potrafił nawet wyjść ze skóry, żeby tylko pomóc. Brat mamy, aż takiego poziomu pomocnej dłoni nie osiągnął, jak dziadziuś, ale starannie odebrał szkołę.

W szczególności pomagał mamie z wychowaniem jej córek, ale to nie tylko, mama mogła na niego liczyć, o każdej porze, dnia i nocy.

Pewnego razu poważnie się zatrulałam. Miałam wtedy dwa lata. Wujek zawiózł mnie i mamę do szpitala. Wspierał ją i był przy nas.

Pomagał też materialnie, ale dla mnie ważniejsza była pomoc niematerialna. Nie zmienia to jednak faktu, jak bardzo się cieszę, że zostawił mi swoje książki.

Wujek bardzo kochał całą czwórkę dzieci. Swoje i mojej mamy.

Nie pamiętam, żeby kupował mi zabawki. Możliwe, że tak było, ale tego nie pamiętam. Mam z nim wiele innych i cudownych wspomnień, których nikt mi nie odbierze, a które zawsze będą ze mną. Wiele rzeczy sprawia, że czuje jego obecność, przy mojej osobie np. lody rodzinne, które bardzo lubił. Rozpiera mnie duma, że mogę go nazwać członkiem rodziny, bratem mamy, ukochanym wujkiem, o którym nigdy nie zapomnę.

## Stąd jestem

Kinga Zemła

Prababka zmarła trzynaście lat przed moimi narodzinami. Będąc dzieckiem niewiele o niej wiedziałam. Babcia przywoływała jej postać w łzawych modlitwach, Mama wysnuwała z pamięci zamglone obrazy z własnego dzieciństwa. Na moją wyobraźnię szczególnie oddziaływały wspomnienia świetlistych poranków w jej kuchni, Prababki wyciągającej z pieca pachnące bochenki chleba dla wnuczek przecierających oczy z resztek snu. Była dla nas bardzo dobra, powtarzała Mama. Jednak w moim uproszczonym, dziecięcym rozumowaniu dobroć stanowiła inherentny atrybut wszystkich babć, nie rozpoznawałam w niej żadnego wyróżnika. Owszem, wychowaną na pieczywie z osiedlowego sklepu dziewczynkę fascynowały mięsiste chleby, które podobno nie czerstwiały nawet po tygodniu i wielki piec buchający gorącą ciemnością, ale już krzątająca się przy nim Prababka wydawała się cieniem pozbawionym nie tylko twarzy i ciała, ale także jakichkolwiek innych charakterystycznych przymiotów. Odkąd pamiętam marzyłam by zostać pisarką. Lecz chociaż wielu pisarzy zaczynało od kronik rodowych, wykorzystując naturalny potencjał narracyjny rodzinnych opowieści, mi zgłębianie historii przodków wydawało się kuszącą, ale jednak próżną przyjemnością, konstruowaniem jednostkowej tożsamości w oparciu o domkniętą przeszłość, a nie własne działania w czasie teraźniejszym. Dlatego przez wiele lat Maria Nowakowska, Prababka patrząca na mnie z jedynego, zupełnie niewystarczającego zdjęcia portretowego, była mi obca.

Zmieniło się to dopiero gdy natrafiłam na przepisany na maszynie rękopis jej autorstwa, zatytułowany „Historia mego życia”. Oczywiście teksty źródłowe o wyraźnie pamiętnikarskim charakterze należy odczytywać z ostrożnością – bardziej jako starannie skomponowany autoportret, który osoba pisząca chce po sobie zostawić innym, niż rzetelne zdanie relacji z minionych wydarzeń. Jednocześnie zapis taki jest niezwykle osobisty, nawet – a może szczególnie wtedy – gdy niedostatki pamięci czy wręcz chęć przedstawienia spraw w określonym ujęciu zniekształcają faktyczny przebieg zdarzeń. W końcu o ludziach świadczą nie tylko ich słowa, ale także wybierane formy i środki ekspresji, akcenty, na które kładą nacisk oraz to, co postanawiają przemilczeć. Dla mnie wspomnienia Prababki okazały się niespodziewaną możliwością poznania mojej przodkini, zwłaszcza, że zostały spisane na kilkudziesięciu stronach, w tekście dziesięciokrotnie dłuższym od tego eseju. Wyróżniają się jednak nie tylko jako pamiątka rodzinna, ale przede wszystkim jedno z rzadkich świadectw o losie, który często pozostaje niezauważony na kartach wielkiej historii: życiu ubogiej, niewykształconej chłopki i służącej, która nigdy nie chodziła do żadnej szkoły.

Prababka urodziła się w 1911 roku w Domosławicach, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Nowego Sącza. Pochodziła z biednej, chłopskiej rodziny, którą wojna, dewaluacja waluty, utrata skromnych oszczędności, epidemia czerwonki i śmierć ojca wpędziły w jeszcze głębszą nędzę. Jako czterolatka wypasała gęsi w zamian za chleb, a w wieku sześciu lat posłano ją na

służbę do zamożniejszego chłopskiego gospodarstwa, gdzie pracowała przy żarnach i oporządzała zwierzęta. Chronicznie niedożywiona i źle traktowana uciekła do rodzinnego domu, tam jednak nie starczało jedzenia, musiała więc przyjąć się do pracy u ciotki. Z tego okresu wspomina wyjątkowo srogą zimą, bieganie boso po śniegu (na pierwsze buty zarobiła dopiero w wieku dwunastu lat) i sikanie sobie po nogach, żeby się ogrzać. Wtedy też, z pomocą starszego kuzyna, nauczyła się czytać. „Jak przyszło lato, pasłam krowę, to mi było wesoło, bo brałam książki i śpiewałam różne pieśni, bo pasalam w lasach, co nic nie zobaczył, tylko jak pojrzał do góry, to zobaczył niebo.” – w tym fragmencie „Historii...” przyłapujemy ją na rzadkiej chwili wolności i beztróskiego marzycielstwa.

Opisując animal laborans, człowieka pracy, Hanna Arendt wskazuje na dwie podstawowe konieczności, które warunkują jego egzystencję: przetrwanie jednostki i podtrzymanie ciągłości gatunkowej. O ile naznaczone mozołem dzieciństwo mojej Prababki było ciągłą walką o własne przeżycie, to na jej młodości nieodzownie zacisnęła się ta druga pętla, ściśle związana z kobiecą kondycją. W wieku dwudziestu lat zatrudniła się jako służąca na plebanii. Zarabiała więcej, ale musiała, jak pisze, „urabiać się do wścieku” w zasadzie we wszystkie dni tygodnia, nie wyłączając niedziel. Tam poznała mojego Pradziadka, Wincentego Nowakowskiego, z którym wzięła ślub w 1933 roku. Kiedy zaszła w ciążę, Pradziadek, nie zważając na brak perspektyw zarobkowych, zdecydował, że przeniosą się na górę Piecową, gdzie otrzymał w spadku niewielkie pole. Zamieszkali w domu jego brata. Pradziadek nie mógł znaleźć stałej pracy, Prababka z kolei była coraz bardziej wyczerpana postępującą ciążą. Kiedy urodził się ich pierwszy syn, żyli w okropnej biedzie, która pogłębiła się gdy powódź zabrała plony z ich skromnego poletka. Zaciągając długi u sąsiadów, zaczęli budowę niewielkiej chatki, do której wprowadzili się po narodzinach drugiego syna, chociaż wciąż brakowało w niej okien, drzwi i podłóg. Przez kolejne dwa lata oboje najmowali się do rozmaitych prac, uprawiali swoje pole i opiekowali się dziećmi. Nie udało im się jednak niczego zaoszczędzić, ponieważ najpierw musieli spłacić swoje zobowiązania wobec sąsiadów. O narodzinach trzeciego syna Prababka napisała: „Ten Michaś to przyszedł na taką okropną biedę i nędzę, coraz to gorzy, ja już teraz nie dam rady nic zarobić”. W grudniu 1938 roku sytuacja zmusiła ich do opuszczenia ojcowizny Pradziadka i zatrudnienia się we wsi, na służbie u polsko-niemieckiej rodziny Ombachów. Pracowali ciężko, ale ich warunki bytowe w końcu się polepszyły, w dodatku gospodyni Ombachowa bardzo lubiła Prababkę i jej dzieci. Pomyślna sytuacja nie trwała jednak długo, bo wkrótce później rozpoczęła się wojna. Ogień artyleryjski rykoszetem podpalił strzechę w gospodarstwie Ombachów, którzy w wielkim pożarze stracili zwierzęta i znaczną część dobytku. W tym samym czasie Prababkę zaczęły męczyć silne bóle. Za wstawiennictwem gospodyni powszechnie uważanej za volksdeutchkę trafiła do szpitala, gdzie poddano ją dwóm operacjom: wycięcia wyrostka robaczkowego i usunięcia ciąży pozamacicznej. „[Lekarz] mył ręce i pytał mnie całego życia i potem, jak już był gotowy do operacji, to się znów spytał, czy chcę żyć, jak mam dość życie marne, a ja powiedziałam, że tak. Dla dzieci bym chciała żyć.” Między innymi to właśnie wspomnienie odsłania drugą stronę historii Prababki, która od najmłodszych lat przekuwała swoje cierpienia na nieprzejednaną wytrwałość i siłę, w późniejszych latach dodatkowo wzmocnianą instynktem matczynej miłości.

Niemcy rozpoczęli budowę tamy w Rożnowie. Zmuszali do niewolniczej pracy i wywłaszczali miejscową ludność, w tym także Ombachów. W 1941 roku Pradziadkowie uciekli z powrotem na Piecową, gdzie zastali zniszczoną chatkę. Zajęli się odbudową domu i uprawą pola. W międzyczasie urodziła się ich pierwsza córka. Przetrwali wojnę podejmując się różnych

ciężkich prac dorywczych. Dzieci chodziły do szkoły, ale pomagały w gospodarstwie i wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Wkrótce była ich już siódemka – trzy siostry i czterech bracia. W latach 50-tych najstarsi zaczęli wyjeżdżać do miast w poszukiwaniu pracy. Wysyłali Pradziadkom pieniądze, więc sytuacja rodziny trochę się ustabilizowała. Wciąż panowała bieda, ale nikt nie przymierał głodem, a niedługo później Pradziadek kupił ich pierwszą krowę. Na podstawie wspomnień Prababki oraz nielicznych relacji tych, którzy ją pamiętają, mogę się tylko domyślać jej prawdziwego charakteru. Bez wątpienia była kobietą hardą i zawzięcie starającą się o polepszenie losu swojej rodziny. Jednocześnie całe życie żałowała, że nigdy nie miała możliwości uczyć się w szkole. Wydaje się, że próbowała nadrobić braki w wykształceniu zdobywając praktyczną wiedzę w zakresie ziołolecznictwa i podstaw pielęgniarstwa. Wkrótce we wszystkich okolicznych wsiach znano ją z robienia zastrzyków, stawiania baniek, uśmierzania bólu zwierząt i ludzi. Zajmowała się tym do późnej starości, co pamiętają jej wnuczki, które regularnie spędzały u swojej babci letnie wakacje.

Wyobrażam ją sobie w niewielkim domku na górze Piecowej, siedzącą nad czystą kartką. Unosi wieczne pióro i namyśla się. Być może jej twarz przybiera zacięty wyraz, który znam z jedynego portretowego zdjęcia, a w którym odmalowuje się duch buntu i niezgody na to tak marne życie, które przypadło jej w udziale. Losy chłopki są z góry skazane na brak pamięci, na to, że w trzecim pokoleniu skurczą się do anegdutki o pieczeniu chleba. Stalówka opada, dociska tani papier, wędruje zawijasami, układa litery, słowa i zdania. Prababka pisze, a więc przekracza swoją chłopską kondycję i przełamuje związaną z nią dziejową ciszę. Nie przemija ulotna jak sen. Przeciwnie: po ponad pięćdziesięciu latach jej wspomnienia odczytywane są na nowo, stanowiąc źródło inspiracji i dumy.

Tymczasem obojętna wobec Prababki wielka historia wyznaczyła nie tylko ramy jej życia, ale i jego kres. Na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego – „Moskaliska wróca!” – Prababka dostała zawału serca, który znacznie nadwątlił jej siły. Trzy tygodnie później Pradziadek zastał ją piezącą chleby i gotującą niespodziewanie wielką ilość klusek na parze. Powiedziała mu, że „jak przyjadą, to będą miały co jeść”, ale nie wyjaśniła o kogo jej chodzi. Zmarła tej samej nocy w wieku siedemdziesięciu lat. Przeczynała nadchodzącą śmierć i zawczasu przygotowała posiłek dla gości własnej stypy.

Spisane wspomnienia i strzępki relacji żyjących składają się na wielogłos, który zaświadcza zarazem o życiu pełnym trudów, jak i żelaznej woli Marii Nowakowskiej. Poza nim jest milczenie, które daje się rozgościć mitom, zaprzęga wyobraźnię do uzupełnienia brakujących fragmentów. Siedzę więc tak jak ona, nad czystą kartką, pióro powoli opada. Stalówka dociska papier. Powstaje słowo, a za nim kolejne i następne – aż ułożą się w opowieść.

## Stąd jestem

Kinga Zemła

Prababka zmarła trzydzieści lat przed moimi narodzinami. Będąc dzieckiem niewiele o niej wiedziałam. Babcia przywoływała jej postać w łzawych modlitwach, Mama wysnuwała z pamięci zamglone obrazy z własnego dzieciństwa. Na moją wyobraźnię szczególnie oddziaływały wspomnienia świetlistych poranków w jej kuchni, Prababki wyciągającej z pieca pachnące bochenki chleba dla wnuczek przecierających oczy z resztek snu. Była dla nas bardzo dobra, powtarzała Mama. Jednak w moim uproszczonym, dziecięcym rozumowaniu dobroć stanowiła inherentny atrybut wszystkich babć, nie rozpoznawałam w niej żadnego wyróżnika. Owszem, wychowaną na pieczywie z osiedlowego sklepu dziewczynkę fascynowały mięsiste chleby, które podobno nie czerstwiały nawet po tygodniu i wielki piec buchający gorącą ciemnością, ale już krzątająca się przy nim Prababka wydawała się cieniem pozbawionym nie tylko twarzy i ciała, ale także jakichkolwiek innych charakterystycznych przymiotów. Odkąd pamiętam marzyłam by zostać pisarką. Lecz chociaż wielu pisarzy zaczynało od kronik rodowych, wykorzystując naturalny potencjał narracyjny rodzinnych opowieści, mi zgłębianie historii przodków wydawało się kuszącą, ale jednak próżną przyjemnością, konstruowaniem jednostkowej tożsamości w oparciu o domkniętą przeszłość, a nie własne działania w czasie teraźniejszym. Dlatego przez wiele lat Maria Nowakowska, Prababka patrząca na mnie z jedyne go, zupełnie niewystarczającego zdjęcia portretowego, była mi obca.

Zmieniło się to dopiero gdy natrafiłam na przepisany na maszynie rękopis jej autorstwa, zatytułowany „Historia mego życia”. Oczywiście teksty źródłowe o wyraźnie pamiętnikarskim charakterze należy odczytywać z ostrożnością – bardziej jako starannie skomponowany autoportret, który osoba pisząca chce po sobie zostawić innym, niż rzetelne zdanie relacji z minionych wydarzeń. Jednocześnie zapis taki jest niezwykle osobisty, nawet – a może szczególnie wtedy – gdy niedostatki pamięci czy wręcz chęć przedstawienia spraw w określonym ujęciu zniekształcają faktyczny przebieg zdarzeń. W końcu o ludziach świadczą nie tylko ich słowa, ale także wybierane formy i środki ekspresji, akcenty, na które kładą nacisk oraz to, co postanawiają przemilczeć. Dla mnie wspomnienia Prababki okazały się niespodziewaną możliwością poznania mojej przodkini, zwłaszcza, że zostały spisane na kilkudziesięciu stronach, w tekście dziesięciokrotnie dłuższym od tego eseju. Wyróżniają się jednak nie tylko jako pamiątka rodzinna, ale przede wszystkim jedno z rzadkich świadectw o losie, który często pozostaje niezauważony na kartach wielkiej historii: życia ubogiej, niewykształconej chłopki i służącej, która nigdy nie chodziła do żadnej szkoły.

Prababka urodziła się w 1911 roku w Domosławicach, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Nowego Sącza. Pochodziła z biednej, chłopskiej rodziny, którą wojna, dewaluacja waluty, utrata skromnych oszczędności, epidemia czerwonki i śmierć ojca wpędziły w jeszcze głębszą nędzę. Jako czterolatka wypasała gęsi w zamian za chleb, a w wieku sześciu lat posłano ją na



służbę do zamożniejszego chłopskiego gospodarstwa, gdzie pracowała przy żarnach i oporządzała zwierzęta. Chronicznie niedożywiona i źle traktowana uciekła do rodzinnego domu, tam jednak nie starczało jedzenia, musiała więc przyjąć się do pracy u ciotki. Z tego okresu wspomina wyjątkowo srogą zimę, bieganie boso po śniegu (na pierwsze buty zarobiła dopiero w wieku dwunastu lat) i sikanie sobie po nogach, żeby się ogrzać. Wtedy też, z pomocą starszego kuzyna, nauczyła się czytać. „Jak przyszło lato, pasłam krowę, to mi było wesoło, bo brałam książki i śpiewałam różne pieśni, bo pasalam w lasach, co nic nie zobaczył, tylko jak pojrzał do góry, to zobaczył niebo.” – w tym fragmencie „Historii...” przyłapujemy ją na rzadkiej chwili wolności i beztróskiego marzycielstwa.

Opisując animal laborans, człowieka pracy, Hanna Arendt wskazuje na dwie podstawowe konieczności, które warunkują jego egzystencję: przetrwanie jednostki i podtrzymanie ciągłości gatunkowej. O ile naznaczone mozołem dzieciństwo mojej Prababki było ciągłą walką o własne przeżycie, to na jej młodości nieodzownie zacisnęła się ta druga pętla, ściśle związana z kobiecą kondycją. W wieku dwudziestu lat zatrudniła się jako służąca na plebanii. Zarabiała więcej, ale musiała, jak pisze, „urabiać się do wścieku” w zasadzie we wszystkie dni tygodnia, nie wyłączając niedziel. Tam poznała mojego Pradziadka, Wincentego Nowakowskiego, z którym wzięła ślub w 1933 roku. Kiedy zaszła w ciążę, Pradziadek, nie zważając na brak perspektyw zarobkowych, zdecydował, że przeniosą się na górę Piecową, gdzie otrzymał w spadku niewielkie pole. Zamieszkali w domu jego brata. Pradziadek nie mógł znaleźć stałej pracy, Prababka z kolei była coraz bardziej wyczerpana postępującą ciążą. Kiedy urodził się ich pierwszy syn, żyli w okropnej biedzie, która pogłębiła się gdy powódź zabrała plony z ich skromnego poletka. Zaciągając długi u sąsiadów, zaczęli budowę niewielkiej chatki, do której wprowadzili się po narodzinach drugiego syna, chociaż wciąż brakowało w niej okien, drzwi i podłóg. Przez kolejne dwa lata oboje najmowali się do rozmaitych prac, uprawiali swoje pole i opiekowali się dziećmi. Nie udało im się jednak niczego zaoszczędzić, ponieważ najpierw musieli spłacić swoje zobowiązania wobec sąsiadów. O narodzinach trzeciego syna Prababka napisała: „Ten Michaś to przyszedł na taką okropną biedę i nędzę, coraz to gorzy, ja już teraz nie dam rady nic zarobić”. W grudniu 1938 roku sytuacja zmusiła ich do opuszczenia ojcowizny Pradziadka i zatrudnienia się we wsi, na służbie u polsko-niemieckiej rodziny Ombachów. Pracowali ciężko, ale ich warunki bytowe w końcu się polepszyły, w dodatku gospodyni Ombachowa bardzo lubiła Prababkę i jej dzieci. Pomyślna sytuacja nie trwała jednak długo, bo wkrótce później rozpoczęła się wojna. Ogień artyleryjski rykoszetem podpalił strzechę w gospodarstwie Ombachów, którzy w wielkim pożarze stracili zwierzęta i znaczną część dobytku. W tym samym czasie Prababkę zaczęły męczyć silne bóle. Za wstawiennictwem gospodyni powszechnie uważanej za volksdeutchkę trafiła do szpitala, gdzie poddano ją dwóm operacjom: wycięcia wyrostka robaczkowego i usunięcia ciąży pozamacicznej. „[Lekarz] mył ręce i pytał mnie całego życia i potem, jak już był gotowy do operacji, to się znowu spytał, czy chcę żyć, jak mam dość życie marne, a ja powiedziałam, że tak. Dla dzieci bym chciała żyć.” Między innymi to właśnie wspomnienie odsłania drugą stronę historii Prababki, która od najmłodszych lat przekuwała swoje cierpienia na nieprzejednaną wytrwałość i siłę, w późniejszych latach dodatkowo wzmocnianą instynktem matczynej miłości.

Niemcy rozpoczęli budowę tamy w Rożnowie. Zmuszali do niewolniczej pracy i wywłaszczali miejscową ludność, w tym także Ombachów. W 1941 roku Pradziadkowie uciekli z powrotem na Piecową, gdzie zastali zniszczoną chatkę. Zajęli się odbudową domu i uprawą pola. W międzyczasie urodziła się ich pierwsza córka. Przetrwali wojnę podejmując się różnych

ciężkich prac dorywczych. Dzieci chodziły do szkoły, ale pomagały w gospodarstwie i wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Wkrótce była ich już siódemka – trzy siostry i czterech bracia. W latach 50-tych najstarsi zaczęli wyjeżdżać do miast w poszukiwaniu pracy. Wysyłali Pradziadkom pieniądze, więc sytuacja rodziny trochę się ustabilizowała. Wciąż panowała bieda, ale nikt nie przymierał głodem, a niedługo później Pradziadek kupił ich pierwszą krowę. Na podstawie wspomnień Prababki oraz nielicznych relacji tych, którzy ją pamiętają, mogę się tylko domyślać jej prawdziwego charakteru. Bez wątpienia była kobietą hardą i zawzięcie starającą się o polepszenie losu swojej rodziny. Jednocześnie całe życie żałowała, że nigdy nie miała możliwości uczyć się w szkole. Wydaje się, że próbowała nadrobić braki w wykształceniu zdobywając praktyczną wiedzę w zakresie ziołolecznictwa i podstaw pielęgniarstwa. Wkrótce we wszystkich okolicznych wsiach znano ją z robienia zastrzyków, stawiania baniek, uśmierzania bólu zwierząt i ludzi. Zajmowała się tym do późnej starości, co pamiętają jej wnuczki, które regularnie spędzały u swojej babci letnie wakacje.

Wyobrażam ją sobie w niewielkim domku na górze Piecowej, siedzącą nad czystą kartką. Unosi wieczne pióro i namyśla się. Być może jej twarz przybiera zacięty wyraz, który znam z jedynego portretowego zdjęcia, a w którym odmalowuje się duch buntu i niezgody na to tak marne życie, które przypadło jej w udziale. Losy chłopki są z góry skazane na brak pamięci, na to, że w trzecim pokoleniu skurczą się do anegdutki o pieczeniu chleba. Stalówka opada, dociska tani papier, wędruje zawijasami, układa litery, słowa i zdania. Prababka pisze, a więc przekracza swoją chłopską kondycję i przełamuje związaną z nią dziejową ciszę. Nie przemija ulotna jak sen. Przeciwnie: po ponad pięćdziesięciu latach jej wspomnienia odczytywane są na nowo, stanowiąc źródło inspiracji i dumy.

Tymczasem obojętna wobec Prababki wielka historia wyznaczyła nie tylko ramy jej życia, ale i jego kres. Na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego – „Moskaliska wróć!” – Prababka dostała zawału serca, który znacznie nadwątlił jej siły. Trzy tygodnie później Pradziadek zastał ją piezącą chleby i gotującą niespodziewanie wielką ilość klusek na parze. Powiedziała mu, że „jak przyjadą, to będą miały co jeść”, ale nie wyjaśniła o kogo jej chodzi. Zmarła tej samej nocy w wieku siedemdziesięciu lat. Przeczynała nadchodzącą śmierć i zawczasu przygotowała posiłek dla gości własnej stypy.

Spisane wspomnienia i strzępki relacji żyjących składają się na wielogłos, który zaświadcza zarazem o życiu pełnym trudów, jak i żelaznej woli Marii Nowakowskiej. Poza nim jest milczenie, które daje się rozgościć mitom, zaprzęga wyobraźnię do uzupełnienia brakujących fragmentów. Siedzę więc tak jak ona, nad czystą kartką, pióro powoli opada. Stalówka dociska papier. Powstaje słowo, a za nim kolejne i następne – aż ułożą się w opowieść.

## Stąd jestem!

Joanna Pawelec

Bohater o którym będę pisać to mój pra pradziadek Klemens Gdaniec.

Urodzony 29 listopada 1882 roku w Jaroszewach. Właściciel oberży, małżonek Marii. Ojciec dwunastki dzieci.

Pra pradziadek był współzałożyciel Straży Ludowej w Jaroszewach – organizacji działającej w celu pomocy Polakom pod względem ekonomicznym, społecznym i narodowym. Z inicjatywy Klemensa założono w Jaroszewach Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Na zebranie założycielskie (4lutego 1919 roku) przybyły 102 osoby, uważam że to wielki sukces. W tak trudnych czasach ludzie próbowali urozmaicić sobie czas. Była ciężka praca, ale był też czas żeby podzielać społecznie, coś zorganizować itp.

To wszystko miało na celu spoić społeczność, Polaków. Jak pisze Wiesław Brzoskowski „Wielkim krzewicielem polskości był Klemens Gdaniec właściciel karczmy, zamordowany 25 października 1939 roku przez hitlerowców.”( „Z dziejów Pogódek, Jaroszew i Koźmina” ). Czytając te słowa przepęniała mnie duma.

Na przełomie XIX i XX wieku Jaroszewy były największą wsią w okolicach Skarszew. Zamieszkiwali ją Polacy jak i Niemcy.

Pod koniec 1919 roku pra pradziadek wykazał się nie lada odwagą. Uratował od aresztowania ks. Stanisława Zakrysia, który był jednym z głównych organizatorów wieców, na których protestowano przeciwko włączeniu do Niemiec Gdańska i Prus Zachodnich. W tym czasie w stodole i tajni proboszcza stacjonowało stu uzbrojonych Polaków. Pra pradziadek Klemens wiedząc o tym, udał się do oficera niemieckiego i zagroził, że może dojść do przelewu krwi jeżeli aresztują księdza. Ten widząc, że Gdaniec nie odpuści zrezygnował z pojmania duchownego.

Jak wiemy na mocy traktatu wersalskiego ziemie te zostały przyłączone do Polski. Radość była wielka, jednak tylko po Naszej stronie. Lokalni Niemcy zaczęli opuszczać wieś. Zostali nieliczni.

Z opowiadań starszyny wiem, że nie dochodziło do większych konfliktów z lokalnymi Niemcami, byli przecież sąsiadami. Jednak kiedy wybuchła II wojna światowa niemieccy sąsiedzi okazali się wrogami i zdrajcami. Miejscowi Niemcy sporządzili listę na której umieścili szczególnie niebezpiecznych Polaków, między innymi mojego pra pradziadka Klemensa. 25 października 1939 roku, 39 mężczyzn z Jaroszew „zaproszono” na zebranie do szkoły. Po około dwóch godzinach zostali wyprowadzeni ze szkoły w eskortowanej przez niemieckich żołnierzy kolumnie i odprowadzeni do mestwinowskiego lasu, gdzie zostali rozstrzelani. Męczeńska śmierć za bycie Polakiem patriotą. Pra pradziadek miał wtedy 59 lat.

30 kwietnia 1961 roku miała miejsce uroczystość odsłonięcia pomnika pomordowanych mieszkańców Jaroszew w mestwinowskim lesie. Widnieje tam nazwisko mojego przodka. Co roku w październiku z całą rodziną uczestniczymy w mszy polowej ku czci zamordowanych. Jestem dumna, że w mojej rodzinie mam takiego bohatera.

204.

## III MIEJSCE (Ex aequo)

# Ogród wspomnień mojej Babci, Dorothy Dantzer

Dorota Dąbrowska-Dantzer



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stąd jestem

Mikołaj Zygmunt

W pokoju mojej mamy, w pozłacanej ramce, wisi fotografia przedstawiająca dwie osoby. To młoda dziewczyna siedząca na krześle i mężczyzna stojący obok niej. Dziewczyna ma poważną, troszkę zatroskaną twarz ale jej oczy są bardzo łagodne. Ubrana jest w długą, ciemną suknię, na nogach ma eleganckie buty na obcasie. W dłoniach trzyma bukiet jasnych kwiatów. Długi sznur pereł zdobi jej postać. Mężczyzna jest niewiele od niej starszy. Ma na sobie jasny garnitur, białą koszulę i krawat. Skupionym wzrokiem spogląda w obiektyw aparatu. Dziewczyna z fotografii to moja pra-babcia Zofia, mężczyzna to jej starszy brat Stanisław.

Moja mama dostała tę fotografię od swojego brata, mojego wujka Marka. Kilka lat temu, po śmierci mojej babci. Wujek do fotografii dołączył swoje wspomnienia dotyczące babci Zofii i okolic, z których pochodziła. Mama oglądała kiedyś program w telewizji na temat poszukiwania swoich korzeni. Postanowiła poszukać naszych przodków. Na początek tych od strony mojego dziadka. Dowiedziała się, że kopalnią informacji na temat przodków są archiwa diecezjalne. Skontaktowała się z Archiwum Diecezjalnym w Tarnowie i po kilku tygodniach otrzymała wyniki kwerendy oraz wiele skanów stron ksiąg parafialnych. Niesamowicie było oglądać to, co ktoś napisał w XVIII czy XIX wieku. Co ciekawe, ku naszemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się, że imiona w naszej rodzinie powtarzają się. Jeden z moich pra-, pra-, pra... dziadków urodzony w 1825r. nosił to samo imię, co syn mojego wujka Marka. Dwoje moich pra-, pra-, pra... babć urodziło się dokładnie tego samego dnia i miesiąca co moja mama. Historia lubi się powtarzać.

Dzięki otrzymanym informacjom dowiedzieliśmy się, że pra-babcia Zosia urodziła się 17 stycznia 1909r. Była jednym z dziewięciorga dzieci Jana i Marianny. Pra-babcia urodziła się i całe życie spędziła we wsi o pięknej nazwie Kaźna Górna, w parafii Jastrzębia. Byłem tam w odwiedzinach u pewnej starszej ciotki, która mieszka w maleńkim, drewnianym domku, takim który można oglądać w skansenie. Dom mojej pra-babci Zosi wygląda bardzo podobnie. Są tam dwa pokoju, duża kuchnia i schowek na narzędzia, w którym dawniej chowane były zwierzęta. Do domu wchodzi się przez bardzo wysoki, drewniany próg. Przy domu jest pełen kwiatów ogródek. W tym domu wychował się mój dziadek Marian ze swoim bratem Stanisławem. Pra-babcia Zosia wyszła za mąż mając 28 lat. Jej mężem był Aleksander, który zmarł, kiedy mój dziadek miał zaledwie 7 lat. Wychowała dwóch synów sama. Z opowieści mojego wujka Marka wiem, że pra-babcia była bardzo wesołą, pogodną, samodzielną i dumną kobietą. Zajmowała się prowadzeniem domu, hodowała kury, kaczki, sadiła warzywa i dbała o własny sad. W aktach urodzenia i innych dokumentach z Archiwum Diecezjalnego widnieją też informacje o tym, czym zajmowali się nasi przodkowie. Widnieją tam zapisy "hortulani" czyli ogrodnicy. Wujek Marek opowiadał nam o wakacjach, które spędzał u pra-babci Zosi. O tym jak siadał z pra-babcią na progu domu i jak opowiadała mu różne ciekawe historie.

Pra-babcia, kiedy widziała lecącą srokę mówiła, że pewnie dostanie jakiś telegram. Była wesoła, lubiła tańczyć na potańcówkach we wsi i była też bardzo lubiana. Myła głowę w lodowatej wodzie ze studni i codziennie rano gotowała jajka na miękko. O pra-dziadku wiem niewiele. Mamy w domu tylko jedną jego fotografię. Mamy też jego jeden z listów, który napisał do pra-babci będąc w sanatorium. W tym liście napisał do pra-babci o tym, jak spędza tam czas. Napisał też, że bardzo tęskni za nią i za dziećmi. List jest długi. Napisany starannym pismem. Czytając go odniosłem wrażenie, że pra-dziadek bardzo kochał swoją rodzinę i nie mógł doczekać się powrotu do domu.

O Stanisławie, starszym bracie mojej pra-babci, nie udało nam się dowiedzieć zbyt wiele. Wiemy tylko, że walczył w czasie II Wojny Światowej.

Mój dziadek przyjechał do naszego miasta na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Przyjechał tutaj do pracy. Do swojej rodzinnej miejscowości jeździ regularnie i za każdym razem bardzo się wzrusza.

Wiem, że nie pochodzę tylko ze Śląska. Wiem, że moje korzenie są też w Małopolsce, gdzie żyła moja pra-babcia Zosia, która zaplatała swój długi warkocz i lubiła tańczyć.

## Stąd jestem

Julia Leszczyńska

O życiu mojej babci można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest one ciche albo nudne. Sabina Gułkowska, czyli jedyna babcia, którą poznałam, żyje już na tym świecie prawie 95 lat. To kawał czasu, przez który wiele może się wydarzyć i tak było. Przeżyła wojnę, stan wojenny, PRL oraz pracę w łódzkiej fabryce jak i na wsi. Jednak ja uważam, że jej najciekawsze lata dzieją się tak od może 20 lat i nie ma to nic wspólnego z moim urodzeniem. O wiele bardziej jest możliwe, że babcia, która nażyła się już na emeryturze miała dużą potrzebę robienia czegoś, umarł jej mąż i miała czas tylko dla siebie oraz po prostu nie dopuszczała do siebie myśli, że ma już tyle lat. Wiązało się to pewnie z jej witalnością i faktem, że długi czas nie potrzebowała żadnej pomocy.

Był jeden moment, który faktycznie pamiętam, że babcia potrzebowała pomocy. Było to może z 10 lat temu, kiedy to złamała stopę. Doszło do tego w Ogrodzie Botanicznym w Łodzi, kiedy to postanowiła skoczyć na kamień w stawie (tu trzeba wspomnieć, że miała na sobie coś w rodzaju kłapek). Moja szalona babcia nie zrobiłaby tego bez powodu, a było nim to, że chciała zobaczyć żabkę. Niestety wracając z kamienia niefortunnie upadła i złamała jedną kość w stopie. Kiedy ją wtedy odwiedzałam i mówiłam, że nie będzie jej tak łatwo wrócić do formy zupełnie mi nie wierzyła.

Sabinka z reguły żyje tym co dzieje się tu i teraz, czego dowodzi historia z żabką. Jest to jedna z niewielu osób, które nigdy nie przejmowały się swoim wiekiem. Dobrym przykładem jest to, że mając chyba 80 lat zapisała się na basen i na aerobik (dyby nie operacja, którą ostatnio musiała przejść chodziłaby na niego dalej). Właściwie od początku była najstarszą jego uczestniczką, a to co jest w tym niesamowite to fakt, że właśnie tam nauczyła się pływać. To prawda nie robi tego w sposób tak płynny jak małe dzieci, ale nie ma z tym większego problemu.

Babcia, chociaż w prawdziwym życiu rzadko zwracam się do niej w ten sposób, ma też zdolność do zjednywania sobie ludzi. No przynajmniej tych obcych, bo to, ile kłótni przeprowadziła ze mną czy z moim bratem jest nie do zliczenia. Ale wracając nie tylko do tej pory osoby z zajęć basenowych ją rozpoznają to, gdzie nie pójdzie dostaje bardzo dużo komplementów. Właściwie to nic dziwnego, ponieważ Sabina świetnie się trzyma i zupełnie nie wygląda na swój wiek, o czym śmiało przypominają jej lekarze i pielęgniarki.

Jednym z minusów jaki jest bycie w jej wieku to to, że wszystkie albo przynajmniej duża większość koleżanek poumierła i brakuje mojej babci towarzystwa. Ale żebyście złudnie nie myśleli wcale nie do tego by ktoś ją odwiedzał czy ona tą osobę. Tylko by wyjść z domu. Na spacer, do teatru czy gdzie ją nogi poniosą. Jednym z przypadków tego ostatniego zachowania była pewna Wielka Sobota, kiedy to babcia upiekła zakalca. Można by się zastanawiać co ma zakalec do wyjścia z domu, ale w tym przypadku był jego całym powodem. Otóż babcia

zaprzyjaźniła się mocna z jedną z koleżanek moich rodziców, która to uwielbia zakalce. Kiedy tata zawiózł Sabinę do cioci do te od słowa do słowa ustaliły, że babcia nigdy nie była w pubie. A ciocia jako rozrywkowa osoba postanowiła umożliwić to swojej koleżance. I szybko ustaliły, że zrobią sobie wycieczkę śladami wnuków i dziecka po ulicy Piotrkowskiej. Z tego co się potem dowiedziałam od rodziców chodziły od pubu do baru i na odwrót w każdym zamawiając jeden kieliszek wina. A ponieważ było to tuż przed świętami na z reguły zatłoczonej ulicy nie było za wielu ludzi.

Tu przechodzimy do mniej przyjemnej części tej historii, ponieważ babcia, wtedy nieposiadająca komórki, nie odbierała telefonu. Mijały godziny a od niej cisza, chociaż powinna już być w domu. Z ciocią było podobnie. Dopiero koło 23 odezwał się telefon i wydało się co babcia robiła. Niestety stresy, które przeżyliśmy dla babci nie są i nie na pewno nie były żadnym żartem.

Babcia, od kilku lat posiadająca telefon komórkowy wciąż potrafi wyjść bez niego i nie dać znaku, gdzie idzie. Co kończy się często odwiedzinami w jej domu, kiedy to przed oczami ma się najgorsze wizje. Jednak ona wtedy macha ręką i mówi: „a cóż miałyby mi się stać?” z czym ciężko dyskutować, bo nie dociera do niej, że martwimy się z każdym rokiem o nią bardziej i bardziej.

Jest to zdecydowanie jedna z bardziej inspirujących postaci w moim życiu, o której mogę opowiadać i opowiadać. Na przykład kiedyś poszła ze mną, moimi rodzicami i grupą naszych znajomych do teatru na komedię pod tytułem Kochankowo i okolice (to pierwowzór filmu Gotowi na wszystko. Eksterminator). Przez cały spektakl jest grana muzyka na żywo, jednak typowa dla dożynek. Ale pod koniec to się zmienia grupa muzyczna gra wtedy piosenkę death metalową. Kiedy spyaliśmy się babci jak jej się podobało, ponieważ jeden z moich braci jest fanem tego gatunku, stwierdziła, że bardzo fajne przynajmniej było dobrze słyszeć jak przystało na ten gatunek muzyki.

Inną teatralną historią było to jak poszła kiedyś z koleżanką do toalety i my patrzymy, a one wychodzą z toalety dla mężczyzn. Oczywiście nie omieszkałyśmy im o tym nie wspomnieć, ale one śmiało stwierdziły, że jak wchodziły była damska i zmieniła się w między czasie. Z moją babcią nigdy nie można się nudzić i chciałabym by moje życie też było dla kogoś taką inspiracją.



## Stąd jestem

Patrycja Tomala

Dzieci z mojej wioski są prawie wszystkie jakoś ze mną skoliigacone. Stożki, Koziczcy, ... lubię myśleć, że kiedyś dawno temu mieliśmy wspólnego przodka i teraz jesteśmy kuzynami i kuzynkami, czasami nawet nie wiedząc dokładnie w jaki sposób. To nie jest tak na prawdę moja wioska, ale wioska mojej Babci Marysi. Ona też zresztą już tam od lat nie mieszka. Wyprowadziła się dawno temu. Ale ciągle tam wracamy. W opowiadaniach, w wakacje, we wspomnieniach. Więc najbardziej to jest wioska mojej prababci Marii.

W wiosce mieszkał mały chłopiec. Miał 10 lat. Rezulotny wyraz twarzy i piegi. Chciał zostać strażakiem i lubił kiedy tata czytał mu wieczorem bajki. Tak jak ja.

– on też był stąd – powiedział mały chłopiec, spoglądając na pożółkłą fotografię. Patrzył mi prosto w oczy jakbym to ja był z kiedyś, a on z dzisiaj.

– idziemy na jagody! Spotykamy się przy złamanej jabłonce. – włożył fotografię do małego pudełka i nagle zrobiło się ciemno jakby ktoś zgasił świat-ło.

– Na jagody? – pomyślałem, jakie to dziwne. Jak tytuł książki Marii Konopnickiej, którą pamiętam ze szkoły. Niespecjalnie mi się podobała, ale miała ładne ilustracje Pani Zofii Fijałkowskiej.

Potem zrobiło się gwarno, ktoś wyjął z pudełka fotografię i włożył ją do kieszeni spodni. Znowu było się jasno i grupa dzieci głośno dyskutowała. Staszek, Franek, Anka, Wacek i Jadzka zaglądali do koszyków, opowiadając co kto miał schowane dnie; czystą bieliznę, chleb, ser, masło. Antek był dzisiaj kurierem albo jak żartowali inni - emisariuszem. Ale nie był to czas jagód. Było już za późno i za zimno. Kiedy oddychali widać było jak ich ciepłe oddechy rozpływały się w chłodnym wietrze. W lesie musi być zimno, za zimno dla jagód.

W lesie mieszkali mężczyźni z wioski, którzy należeli do Armii Krajowej i ukrywali się przed Niemcami. Pra wujek Janek, Alojzy i Jurek. Mama pamięta jak tata jej opowiadał, że nie mieszkali wszyscy razem, bo to było zbyt niebezpieczne. W prowizorycznych kryjówkach z gałęzi, pod skałkami, w pieczarach, ciągle w drodze, ktoś zawsze na warcie. Mieli nawet psa, wyuczonego, żeby nie szczekać. Znali las, byli z nim zżyci, przyzwyczajeni żeby uciekać. Wiedzieli, że ścinając drzewko od razu trzeba zasmarować pień. Opowiadali, planowali, jeden drugiego uczył, bo Jurek jeszcze na kompletach uczył się do matury. Zawsze w małych grupach. Tak lepiej, bezpieczniej. A i Niemcy bali się zapuszczać do lasu.

Tak jak dorośli i dzieci przezornie dzieliły się na dwójki i rozproszone szły zbierać zioła, grzyby, jagody... obojętnie co, byle dotrzeć do celu. Jak w bajkach o księciu, który musi pokonać po drodze czarownicę, smoka i zamkniętą bramę. Zostawiały i zabierały przesyłki zawsze z umówionych miejsc, nie bezpośrednio, bo lepiej było nie wiedzieć gdzie są. Bezpieczniej dla wszystkich

Sięgająca do kieszeni dłoń dziecka nieopatrznie wysunęła fotografię, która upadła na mech. Zrobiło się cicho. Było zimno i padał deszcz. Bałem się. Byłem sam. Bałem się, że ktoś na mnie nastąpi i mnie zadepcze, że zje mnie jakieś zwierzę, bałem się, że zostanę tu na zawsze i że wszyscy o mnie zapomną. Bałem się być sam. Bardzo chciałem, żeby ktoś przyszedł i był ze mną i żeby to był dobry człowiek. Polak. To czekanie było nie do zniesienia. Widziałem niebiesko szare niebo i korony drzew bez liści jak czarne szpony. Wszystko wydawało mi się złowrogie i przerażające. Może zasnąłem albo zemdlałem z tego strachu. Wtedy ktoś podniósł mnie z ziemi. Było już prawie całkiem ciemno. Znowu znalazłem się w czyjejs kieszeni. Nie było już dzieci tylko czterech dorosłych mężczyzn szło w stronę wioski i po drodze zabrało mnie ze sobą. Mówili po polsku.

– Nie jest źle, pomyślałem, nie miałem więcej marzeń...

– Antek pisał, że dzisiaj jest czysto, wykapiemy się, prześpimy i jutro wrócimy, powiedział jeden z mężczyzn

– Ile oni jeszcze będą na jagody chodzić na litość boską - odezwał się inny głos z takim smutkiem, że zrobiło się jeszcze ciemniej i jeszcze zimniej.

– Trzeba uważać, to może być cisza przed burzą - powiedział inny.

Potem już nikt nic nie mówił. Widziałem zarysy budynków. Widziałem las. Droga, kroki, czas.

– Pochwalony – powiedzieli cicho chórem, wchodząc do sieni.

– Siadajcie, zjedzcie, woda jest już gorąca – odpowiedział ciepły i jasny kobiecy głos. Czulem jak i mi powoli robi się coraz cieplej. Głosy kobiet i dzieci, zapach jedzenia. Było jak w domu. Normalnie. Małe okno pokoju, było czarne od nocy. Paliły się świece. Byliśmy na Krupciówce, w domu rodzinnym Babci Marysi. W roboczej kuchni. Mężczyźni zdjęli kurtki, usiedli i jedli gorącą zupę zagryzając grubo pokrojonym chlebem bez masła. Nie wiem dlaczego, ale po tym jak jedli wiedziałem, że byli głodni.

Znalazłem się wśród kurtek na stoliku. W izbie obok, przez otwarte drzwi widziałem pięć sienników leżących rzędem na klepisku.

A Józek gdzie? – zapytała kobieta z taką nadzieją w głosie, że wiedziałem, że był to dla niej ktoś ważny.

– Nie ... nie przyjdzie – wymamrotał jeden z mężczyzn nie podnosząc wzroku znad talerza. Oczy mojej prababci Marii zaszkliły się i znowu zapadła cisza. W powietrzu unosił się smutek.

Mężczyźni poszli się wykapać i przebrać. Było już bardzo późno.

Przewidywalne zostało przerwane waleniem do drzwi. Uderzenia pięścią w drewniane ciężkie deski. Niecierpiące zwłoki żądanie zabarwione pokrzykiwaniami.

– Niemcy – krzyknął ktoś szeptem.

W kuchni zrobiło się cicho i pusto. Zostało słabe światło i cisza. I krzyki dobijających się do drzwi.

Prababcia Maria... szła powoli w stronę drzwi z twarzą szarą i śmiertelnie poważną... wolniutko, bezszelestnie, jakby chciała odsunąć w czasie to, co i tak musi się wydarzyć. Każda jedna chwila wydawała się bezcenna. Otworzyła drzwi do połowy i podniosła głowę patrząc w oczy, bez strachu i odpowiedziała coś po niemiecku z polskim akcentem. Prababcia Maria знаła niemiecki, bo wcześniej, kiedy nie było przez chwilę Polski, Krupciówka należała do Cesarstwa Austro-węgierskiego i w szkole dzieci uczyły się języka niemieckiego.

Nagle jak w filmie, w drzwiach na przeciwko wejścia stanęła jęcząc wystraszająco donośnie, z mętłym spojrzeniem i rozpuszczonymi siwymi, okropnie rozczochranymi włosami, w białej

długiej do kostek koszuli nocnej, niczym duch z zaświatów, praprapra babcia Wiktoria. Pewny siebie, zabierający przestrzeń głos niemieckiego żołnierza umilkł i jakby dużo już mniejszy zapytał o coś, ale nie dosłyszałem o co. Moja prababcia powiedziała jak magiczne zaklęcie słowo „Tyfus”. Wystarczająco cicho, żeby rozkazujący i pewny siebie głos zmalął jeszcze bardziej i komentując pewnie wycofał się w głąb nocy.

Wszyscy zastygli w bezruchu, jakby czas zatrzymał się na chwilę. Oddychali powoli, jeszcze bez pewności, nie wierząc w to co się stało. Byłem bardzo dumny z mamy mojej prababci. Była najmniejsza w tym domu i bardzo dzielna. Jej mama przytuliła ją bez słowa i rozplakała się cicho. Właściwie to nie do końca się rozplakała, tylko same łzy spływały cienką stróżką po jej twarzy i upadały na ziemię.

Fotografia znowu wysunęła się z kieszeni kurtki i wpadła za szafkę. Jak z ukrycia widziałem wychodzących o świcie mężczyzn. I małą prababcię, jak z dorosłą tęsknotą patrzy w milczeniu przez okno. Jutro znowu pójdzie na jagody z koszykiem, w którym na dnie będą leżały czyste ubrania albo coś do jedzenia. I jutro i jutro i jutro ...

Dzisiaj świeci słońce. Jest wrzesień. Idę do szkoły. Pierwsza lekcja – język polski. Mój język.

208.

# Stąd jestem

Albert Piechowski



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

## Stąd jestem

**Marcin Antczak**

Nie uważam się za wielkiego fana Black Sabbath, ale piosenki “Heaven and Hell” mógłbym słuchać na okrągło – i to nie tylko ze względu na posępną melodię, która idealnie współgra z uniwersalną przestrogą przed kuszeniem przez diabła. Przede wszystkim bowiem ów utwór – niczym Proustowska magdalenka – przywodzi mi na myśl pewną historię rodzinną. Związana jest ona z postacią księdza Józefa Świątczaka, proboszcza parafii parafii w Niesułkowie, Szczawinie, Białej koło Zgierza, Bedoniu i Łaznowie – a prywatnie młodszego brata mojego pradziadka Antoniego.

Siłą rzeczy piosenki Sabbathów ksiądz Świątczak nie miał okazji usłyszeć – zmarł bowiem w roku 1963, a więc kilkanaście lat przed jej nagraniem. Ale być może zrozumiałby coś z jej tekstu, jako że pierwsze dwa lata po wojnie służył jako „kapelan w armii angielskiej” (wedle notatki UB), czyli najpewniej Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Być może więc pojał choćby podstawy języka Szekspira... i Dio.

Być może też właśnie wówczas, wiodąc życie dipisa, stanął przed najważniejszym dylematem w swoim życiu. Za sobą miał cztery lata spędzone w Dachau, gdzie między innymi poddano go cholecystektomii, czyli zabiegowi usunięcia pęcherzyka żółciowego. Za tym pozornie niewinnym określeniem prawdopodobnie kryły się eksperymenty pseudomedyczne – operacji bowiem dokonał „lekarz” w mundurze SS, doktor Helmut Müllmerstadt. Dokładnej roli tego ostatniego co prawda nigdy nie wyjaśniono, ponieważ nie postawiono go przed sądem – w tradycji rodzinnej zachował się jednak przekaz, że po wojnie ksiądz Józef często uskarżał się na problemy ze zdrowiem, przez które nie dożył nawet sześćdziesięciu lat.

Mając więc doświadczenia z totalitaryzmem brunatnym, kapłan ów niekoniecznie kwapił się do powrotu prosto w szpony totalitaryzmu czerwonego – a tymczasem łódzka kuria biskupia przysyłała już ponaglenia, grożąc mu odebraniem parafii w Szczawinie. Mając więc do wyboru własną wolność albo solidarność z owczarnią w trudnych chwilach, ksiądz Józef ostatecznie zdecydował się przyjechać do Polski, być może wspomniawszy swojego idola, biskupa Wincentego Tymienieckiego. Ten bowiem zawsze starał się ulżyć wiernym – czy to organizując kuchnie dla ubogich w czasie Wielkiej Wojny, czy też budując tanie domy dla robotników (choć ten ostatni pomysł akurat nie wypalił).

Miałem okazję rozmawiać przez telefon ze starszymi parafianami ze Szczawina. Okres po powrocie duszpasterza (1947-1951) jawi się w ich relacjach – a także w literaturze poświęconej lokalnej historii – wręcz jako czteroletni miesiąc miodowy: odnowienie kościoła po dewastacji przez Niemców, zabieranie ministrantów na wakacje nad Bałtyk, katechezy, na które przychodzili nawet okoliczni ewangelicy (tylko ilu ich mogło po wojnie zostać?), wreszcie – budowa świetlicy parafialnej, czyli tak zwanego Domu Ludowego. W tym ostatnim odbywały się choćby bale sylwestrowe, na których pierwszy taniec prowadził... sam proboszcz.

Ale istniała również druga strona medalu – kto wie, czy nie będąca ceną za możliwość powrotu do Polski. Właśnie bowiem w tych latach Józef Świąteczak zaangażował się w ruch „księży patriotów” – kapłanów czynnie popierających system stalinowski. Między innymi nawoływał z ambony do udziału w Narodowym Plebiscycie Pokoju, czyli akcji zbierania podpisów pod apelem o wyrzeczenie się wojny w relacjach między mocarstwami. Sam zresztą wszedł w skład Gminnego Komitetu Obrońców Pokoju.

Zaangażowanie w propagandową szopkę było jednak tylko wierzchołkiem góry lodowej. Najprawdopodobniej bowiem pieniądze na zabawę w wielkiego budowniczego (w czym notabene znów było widać naśladownictwo biskupa Tymienieckiego) pochodziły nie tylko ze składek parafian, ale i od... bezpieki. Jakkolwiek wszakże teczka TW „Józefa” (bo taki – trzeba przyznać, niezbyt oryginalny – pseudonim przybrał bohater tekstu) została zniszczona w 1973 roku, to jednak w raportach powiatowego UB w Brzezinach zachowały się dwie wzmianki na jego temat. W pierwszej z nich ksiądz Świąteczak udzielił na temat dekretu papieża Piusa XII z lipca 1949 roku, który ekskomunikował katolików należących do partii komunistycznych lub je popierających. Szczawiński proboszcz nazwał to posunięcie „fałszywym krokiem” watykańskiej dyplomacji, prowadzącym do niepotrzebnego zaostrzenia stosunków między Kościołem katolickim a krajami „demokracji ludowej”.

Z kolei wedle drugiej wzmianki o podjęciu przez kapłana współpracy z bezpieką miały zdecydować czynniki materialne – i tym razem mogło chodzić o coś więcej niż tylko standardową retorykę resortu. Już przed wojną bowiem, bawiąc na probostwie w Niesułkowie (1932-1938), ksiądz Józef popadł w konflikt z silną w tamtych stronach społecznością mariawicką. Choć oficjalne wspomnienie pośmiertne – opublikowane w „Roczniku Diecezjalnym Łódzkim” – nazywało tę placówkę „trudną, misyjną”, to można się zastanawiać, czy dla kapłana, którego rodzeństwo cioteczne zasiliło szeregi „heretyków”, różnice religijne mogły rzeczywiście odgrywać aż tak dużą rolę. Wyjaśnienia więc być może należałoby szukać w anonimie skierowanym do łódzkiej kurii oraz nieco sensacyjnym – a być może i przesadzonym – artykule w czasopiśmie „Wolnomyśliciel Polski”. W obu bowiem pojawia się motyw wysokich – jak na chłopską kieszeń – stawek za udzielanie katolickich sakramentów. Co więcej, według relacji „Wolnomyśliciela...” konflikt o miejsce pochówku pewnego mariawity – którego syn chciał pochować zgodnie z jego wyznaniem, a wbrew rzekomej woli jego żony-katoliczki (i księdza Świąteczaka, któremu w ten sposób przeszło koło nosa 50 złotych) – zakończył się strzelaniną z użyciem rewolweru. Na szczęście nikt wówczas nie zginął – lecz zarazem i krewki kapłan-rewolwerowiec uniknął jakiegokolwiek odpowiedzialności.

O finanse zresztą ksiądz Józef potrafił się awanturować również ze swoją rodziną. Siostrzenicę Mariannę Łuczak – która wysyłała mu do Dachau paczki, równocześnie zajmując się za darmo plebanią w Szczawinie – wyrzucił z krzykiem i wyzwiskami, kiedy tylko upomniała się o zaległe pieniądze. Później jeszcze wdał się z nią w spór o dobytek pozostawiony przez kobietę we wspomnianej wsi – doszło przy tym nawet do interwencji kurii łódzkiej.

A jednak z drugiej strony księdza Świąteczaka było stać na hojne gesty. Ojciec mi opowiadał, że kiedy przyjeżdżał z rodzicami do Łaznowa na odpust, wuj wyciągał z szuflady całe garści monet, które dawał jemu oraz mojemu chrzestnemu – wówczas kilkuletnim chłopcom – a ci kupowali za to do woli lodów i waty cukrowej. Przy tej opowieści moja matka sarknęła, że „jak to tak, z tacy?!” – a ja, odkrywszy sekret księdza, zastanawiałem się, czy aby na pewno te pieniądze pochodziły od parafian.

Hojność ta nie dotyczyła jednak wyłącznie najmłodszego pokolenia. Kiedy bowiem pod koniec życia księdzu Józefowi wreszcie przyznano odszkodowanie za pobyt w kaciecie, przekazał je w większości mojemu pradziadkowi, dzięki czemu ten ostatni kupił niewielki dom w Koluszkach. Co więcej, na wieść, że pradziadek owdowiał, młodszy brat, który – jak już wspomniano – chyba nie gardził przyjemnościami doczesnymi, postanowił... wyswatać go ze swoją gospodynią. Małżeństwo to chyba okazało się dość zgodne – trwało bowiem ponad trzy dekady, aż do śmierci Antoniego w 1988 roku.

Jednakże i sprawy damsko-męskie miały w przypadku księdza swoją ciemną stronę. Już w Niesułkowie pojawiły się pogłoski, jakoby ostentacyjnie paradował przez wieś z miejscową nauczycielką – w Bedoniu natomiast (1951-1956) jeden z parafian niedwuznacznie sugerował, że biorąc jego żonę na „wywczas”, proboszcz ewidentnie łamał nie tylko dziewiąte, ale i szóste przykazanie Boże. Zresztą z tej drugiej placówki ksiądz Świątczak został odwołany w dość niejasnych okolicznościach – ostatnie miesiące pozostawał bowiem zawieszony w obowiązkach duszpasterskich, a Prokuratura Powiatowa w Łodzi prowadziła przeciwko niemu śledztwo dotyczące przestępstw seksualnych, które zresztą ostatecznie umorzono. Czyżby pomogły znajomości w bezpieczeństwie?

Kręte więc były drogi życiowe Józefa Świątczaka – można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że zdecydowanie bliżej mu było do bohaterów filmu „Kler” niż do księdza Jerzego Popiełuszki czy kardynała Wyszyńskiego. A przecież z podania o przyjęcie do łódzkiego seminarium duchownego wyłania się obraz człowieka, który najwyraźniej miał szersze horyzonty myślowe niż jego chłopscy przodkowie, skoro pragnienie służby Bogu poparł retorycznym pytaniem: „Na co się człowiek na tym świecie tak mozoli?” Było już także wspomniane o fascynacji postacią biskupa Tymienieckiego – warto jednak dodać, że pasterz diecezji łódzkiej najwyraźniej również widział w młodym kapłanie potencjał, jako że na pierwsze probostwo ksiądz Józef został oddelegowany jeszcze przed trzydziestką.

Szukając przeto momentu, w którym grzech załgał się w duszy czy umyśle bohatera tego eseju, z czasem rozwinięszy się niczym robak w jabłku, trudno oprzeć się cytować z piosenki Black Sabbath: „Im bardziej zbliżysz się do sedna, tym szybciej przekonasz się, że śnisz”. Słowa te nie tylko zdają się sugerować wyjaśnienie (często wątpliwych) życiowych wyborów Józefa Świątczaka – odzwierciedlają również odczucia, które towarzyszyły odkrywaniu przeze mnie kolejnych warstw jego biografii. Ta ostatnia zaś stanowi niejako Jungowski cień naszej narodowej psyche, „pedagogiki dumy” i „wstawania z kolan”. Lubimy bowiem grzać się w blasku bohaterstwa powstańców warszawskich czy Żołnierzy Wyklętych, nawet jeśli w rodzinie nikogo takiego nie mieliśmy. Ale kto z nas przyzna się do pokrewieństwa ze szmalcownikiem, ubekiem czy sprzedajnym księdzem? Któż uzna takowych za część polskiej historii na równi z „bohaterami”, którym na przemian wznosimy i burzymy pomniki?

Może to już nie Polacy? Cóż, w takim razie pozostaje tylko przypomnieć o jednym z podstawowych praw psychologii: to, co spychamy w podświadomość, może się na nas zemścić w najmniej odpowiednim momencie.

Właśnie dlatego staram się nie zapominać, czyja krew płynie w moich żyłach.

## Stąd jestem

Katarzyna Tywusik-Buła

Julian Ryzewski, syn Ignacego i Ludwiki, miał 19 lat, gdy jako szofer czołgowy uczestniczył w bitwie pod Radzyminem, jednej z decydujących walk wojny polsko-bolszewickiej. W niewielkiej odległości od Warszawy, ten młody chłopak z ziemi piotrkowskiej, stał się częścią wielkiej historii, cegiełką w murze, o który rozbił się impet armii ze wschodu. Łączy mnie z nim zapewne już tylko kilka kropel wspólnej krwi, drobny ślad w DNA, bo już wtedy nasze linie rodzinne były rozdzielone, a kolejnych 100 lat jeszcze bardziej rozplotło więzy pokrewieństwa. Gdy jednak patrzę na jego zdjęcie widzę pewne podobieństwo rysów, które najwidoczniej razem z nazwiskiem spłynęło na moich żyjących Ryzewskich krewnych.

I wtedy żałuję... Żałuję, że kilka lat temu podczas swojej bytności w Radzyminie nie widziałam jeszcze tego zdjęcia i nie znałam tej historii. Chciałabym móc wtedy dać tej myśli przestrzeń, pozwolić jej przepłynąć przez świadomość, zadomowić się w niej. Żałuję, że nie stanęłam w tym miejscu gotowa połączyć tych dwóch obecności: swojej współczesnej pospolitej wyprawy w okolice Jeziora Żegrzyńskiego, z bohaterską walką o utrzymanie świeżo odzyskanej, a już zagrożonej, niepodległej ojczyzny. Chciałabym móc odczuć grozę tamtych lat, wdzięczność za wyzwania, których życie mi oszczędziło, nić porozumienia rozciągniętą między pokoleniami.

Patrząc na to zdjęcie i czytając akta Juliana, zaczynam też rozumieć powody, dla których coraz więcej ludzi angażuje się w genealogiczne poszukiwania. Na pozór są nowocześni aż do granic, na co dzień w pocie czoła próbują dotrzymać kroku czasom, które nie oglądają się na nikogo, ale w głębi rozpedzonego serca tęsknią za poczuciem zakorzenienia, połączenia z miejscami i ludźmi, za możliwością odczytania swojej historii przez pryzmat rodzinnych losów, a także wejścia na wyższy poziom, dzięki zgłębieniu i przeanalizowaniu wzorców, według których toczyło się życie naszych przodków.

Nie tak dawno przeczesywanie gałęzi własnego drzewa genealogicznego wydawało mi się jeśli nie pozbawione celu, to przynajmniej mocno ryzykowne. Otwierasz Puskę Pandory w nadziei na znalezienie w swoich żyłach błękitnej krwi, a odkrywasz ocean rodzinnych dramatów i traum, bolesne próby przetrwania przez setki niepewnych lat gdzieś na uboczu historycznych wydarzeń i bohaterskich czynów. Dowiadujesz się, że przodkowie rzadko mieli na coś wpływ, a gdy już mogli decydować, dokonywali wyborów, które historia zweryfikowała jako niewłaściwe. Widzisz swoje przywary jako charakterystyczne dla kolejnych pokoleń i czujesz się skazany na podobny los.

To nie bohaterska postać młodego czołgisty uświadomiła mi jednak, że warto znać ścieżki przodków i doświadczyć, jak splatają się w tym, jaka jestem i co mnie spotyka. Sprawily to działania jednego rodzinnego zapaleńca, brata mojej mamy, który nie wahał się uchylić drzwi, które zamknął przed nami czas. Wujek nie szczędził wysiłków, chcąc odkryć każdy aspekt



rodzinnej historii, nawet ten, który nie przysparza nam dumy. Nauczył się od zera, jak wyszukiwać informacje, jak czytać dokumenty, gdzie szukać danych i zdjęć. Odwiedził miejsca i ludzi, łączył fakty, budował archiwum. A co najważniejsze: tam gdzie nici kontaktu rozerwało niezrozumienie lub brak woli, zbudował nowe mosty i połączył zwaśnione brzegi. Z nieznanomych udało mu się stworzyć społeczność, prawdziwą rodzinną wspólnotę, zjednoczoną wokół przeżywania rodzinnych losów na nowo. To on jest moim inspirującym krewnym, dzielnym i wiernym temu, czym rodzina jest.

Dzięki niemu poznałam na nowo swoją niedawno zmarłą babcię. Trzymała mnie za rękę, kiedy zasypiałam, ja, małe dziecko, bojące się cieni na ścianie. Teraz widzę ją we wszelkich kolorach tęczy: jako małą dziewczynkę, porzucającą świat, który zna, by przenieść się z rodziną do dużego miasta po wojnie. Jako piękną, młodą, zakochaną kobietę, z nadzieją w oczach, nadzieją, która jak wiem się nie spełniła. Wujek odkrył też, że nazwisko Ryżewski w obecnej formie pojawiło się w aktach w 1824 roku za sprawą ślubu wdowca Wojciecha z Franciszką. Wojciech był szewcem, ale w 1804 roku przeszedł cały szlak bojowy Pierwszej Legii Nadwiślańskiej z wojskami Napoleona. Podziwiam go, szczerze podziwiam, ale już wiem, że losy mojej babci są równie bohaterskie. Bolesne próby przetrwania w niepewny czas uczą mnie być, widzieć piękno ludzi, tak niedoskonałymi, jakimi są. Tak, rodzinna Puszka Pandory potrafi zasmucić, ale dzięki temu wzmacniam się siłą przeszłych pokoleń.

I właśnie stąd jestem: z ciepła babcinych dłoni, z wujka, który nie boi się szukać, z szewca i rolników, z prostych ludzkich żyć.

# Życie (nie)wiele warte, czyli historia mojej babci – babci Stasi

Tomasz Sysk

Czasami zastanawiam się dlaczego istnieję, dlaczego jestem. Wola boska. Zrządzenie losu. Przeoczenie ludzi, którzy uznali życie mojej babci za nic nie warte. A może to dobrzy ludzie, którzy nie zawahali się, kiedy działo się zło. Rodzina, która nigdy nie zapomniała o dziesięcioletniej Stasi. W przypadku mojej babci zadziałały wszystkie te rzeczy razem, a margines między życiem a śmiercią nigdy nie wydawał mi się tak mały, jak w tej historii. Wystarczyło, by szczęścia było odrobinę mniej, by zło było bardziej zdeterminowane, by Bóg odwrócił wzrok. Moja Babcia by nie żyła. Ja bym tej historii nie opisał.

„Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?”

*List do Rzymian, rozdział 8, 31-39 Hymn wdzięczności*

## **RASOWO NIEPRZYDATNA**

Stanisława Syska (z domu Kropornicka) urodziła się w 1933 roku. Do wybuchu II wojny światowej, dzieciństwo Stasi w Skierbieszowie upływało szczęśliwie i beztrudnie. Mieszkała i żyła w rodzinnym domu wraz z rodzicami, tatą – Tomaszem (który umrze w 1943 w KL Auschwitz), mamą – Bronisławą (po pobyciu wraz ze starszą córką w trzech obozach Auschwitz, Ravensbruck, Sachsenhausen, zostanie wyzwolona i powróci do kraju w 1946 roku), starszą siostrą Wacią i babcią Agnieszką. Stasia była szczęśliwym dzieckiem, które lubiło czytać książki i roku 1939, w wieku 6 lat szykowało się do rozpoczęcia nauki w szkole. Starsza siostra Wacia (ur. w 1928 roku), do pamiętnej nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku, była wesołą nastolatką, marzącą o pierwszym pocałunku.

Plany i marzenia rodziny zostały zniweczone, gdy w nocy rozległ się łomot kolb karabinów. Niemcy chodzili od domu do domu krzyżąc: „Schnell! Schnell!”. Rodzina Kropornickich miała piętnaście minut na opuszczenie domostwa i zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. Na zewnątrz panował przeszywający chłód, padał deszcz. Cała wieś była otoczona wojskiem. Niemcy zapędzili mieszkańców Skierbieszowa pod szkołę. Następnie załadowali ludzi na furmanki, które pod eskortą niemiecką pojechały w kierunku Zamościa. To tam za bramą obozu, wielka komisja miała dokonać pierwszej selekcji i zdecydować kto będzie przydatny dla III Rzeszy, a kogo uznać za rasowo nieprzydatnego.

## **ZUPA Z BRUKWI**

W pamięci osób, które przebywały w obozie przejściowym w Zamościu, dzień pierwszy – dzień selekcji, jest dniem, który do dzisiaj jest dla tych osób niezapomnianym koszmarem.

Jeżeli można sprowadzić piekło do jednego momentu w czasie, to w głowach tych ludzi, był to dzień przekroczenia bramy obozu. Tego dnia Niemcy bestialsko rozerwali to co dla dzieci, było w tamtych chwilach najcenniejsze. Więź z rodzicami.

Komisja pod przewodnictwem komendanta obozu, zaczęła segregować ludzi i zabierała dzieci od matek. Matki nie chciały się na to zgodzić. Dzieci czepiały się ubrań rodziców. Niemcy zaczęli bić kolbami, rozdzielać rodziny, umieszczając ich w osobnych barakach. Dzieci poniżej 14 lat oraz starców powyżej lat 60 zaliczonych do grupy czwartej umieszczono w tzw. końskim baraku numer szesnaście. Grupa ta nie przedstawiała żadnej wartości jako siła robocza. Starsi ludzie i starsze dzieci opiekowały się młodszymi. Stasia opiekowała się 3-letnim synem sąsiadki, małym Mariankiem.

Warunki w baraku były katastrofalne. Bez podłogi, okien i drzwi. Było strasznie ciemno i zimno. Wewnątrz wszy i robactwo. Na śniadanie i kolację była rozwodniona kawa i kawałek chleba, na obiad zupa z brukwi. Do dzisiaj „Dzieci Zamojszczyzny” pamiętają tą zupę jako koszmarny symbol tamtych wydarzeń. Warunki w obozie powodowały, że już po kilku dniach dzieci zaczynały chorować. Przeziębienia, gruźlica, zapalenia płuc. Na ciałach wrzody, strupy i odleżyny. Śmiertelność wśród dzieci w takich warunkach rosła dramatycznie. Były dni, w których umierało ich nawet trzydzieścioro.

## **POCIĄG WIDMO**

W połowie grudnia, Stasię wraz z innymi dziećmi, wypędzono z braków i kazano stać przez całą noc. Wtedy Stasię zobaczył jej ojciec Tomasz. Podszedł do niej, chcąc ją uściskać. Scenę przerwał komendant obozu, zwany przez więźniów „Ne”. Był to Artur Schutz, były bokser, który w każdym zdaniu używał słowa „Ne”. Pobił ojca Stasi pejcem i poszczuł go psem. Wtedy Stasia widziała ojca po raz ostatni w życiu.

Po całonocnym staniu na placu załadowano dzieci na samochód i wywieziono na stację kolejową. Tam dano Stasi kawałek chleba, trochę marmolady z buraków i załadowano dzieci do wagonów towarowych. W wagonach było zimno. Dzieci płakały z głodu i pragnienia. Od pobytu w obozie nikt nie był w stanie pozbyć się wszy. Pociąg jechał kilka dni. Część dzieci nie przeżyło takiej podróży. Reszta przeżyła dzięki ofiarności kolejarzy i miejscowych, którzy na postojach podawali ciepłą wodę i kawałki chleba. Niestety, części dzieci nie udało się uratować. W Lublinie na cmentarzu, do dzisiaj, stoi pomnik – mogiła dzieci Zamojszczyzny, upamiętniający ofiary tamtych dni.

Stasia wraz z resztą dzieci, które doczekały stacji końcowej, wysiadła na stacji Pilawa. Tam z pociągu-widma wyrzucono wszystkie dzieci. W relacjach mieszkańców, szczególnie utkwił w pamięci obraz martwych dzieci, które wyrzucano z pociągu niczym bezwładne lalki. Miejscowa ludność zabierała dzieci i starców. Za starsze dzieci Niemcy żądali pieniędzy. Stasię wyceniono na 5 zł. Tyle było warte życie dziecka.

## **CZEKOLADA**

W Pilawie dzieci dostały pierwszą od kilku dni ciepłą zupę. Jak wspomina babcia Stasia, była to najlepsza zupa na świecie. Wybawcą Stasi okazał się Józef Książek ze wsi Sobienie Jeziory. Wraz ze Stasią wziął również kilkoro dzieci i przywiózł do swojego domu. Podczas zimy Stasia kilkakrotnie jeździła do Pilawy po kolejne dzieci, mając nadzieję, że spotka swoją starszą siostrę. Niestety, widziała tylko śmierć wydobywającą się z wagonów.

„Widziałam, jak otwierano wagony, a w nich były nieżywe, zmarznięte dzieci, siedzące na podłodze bydłowego wagonu. Co z tymi dziećmi zrobiono – nie wiem.”

Stasia przebywała u Pana Józefa około roku. Pomimo sprzyjających warunków dla wygłodniałego dziecka, Stasia przez cały ten czas, a to chorowała, a to zdrowiała. Miała pod dostatkiem mleka, ziemniaków, jarzyn, owoców. Sypiała we własnym łóżku z pościelą. Pierwszy raz w swoim życiu, dzięki pomocy „Społem” w Warszawie, Stasia spróbowała czekolady. To była pierwsza oznaka, że zbliża się do życia i że będzie już tylko lepiej...

„Kiedy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat.”

*Janusz Korczak*

Przyjmuje się, że Niemcy wysiedlili 30 tysięcy dzieci, 10 tysięcy z nich straciło życie.

Pamięci Tomasza Kropornickiego, po którym mam imię.

Pamięci rodzin polskich wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942-1943.

Tomasz Syska

## **BIBLIOGRAFIA**

- Stanisława Syska, relacja ustna
- Stanisława Syska, Dzieci Zamojszczyzny, [w:] Dzieci i młodzież w latach drugiej wojny światowej
- Henryk Kajtel, Hitlerowski obóz przesiedleńczy w Zamościu
- Józef Wnuk, Dzieci Zamojszczyzny, [w:] Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939-1945
- Beata Kozaczyńska, Losy dzieci z Zamojszczyzny wysiedlonych do powiatu siedleckiego w latach 1943-1945

## Wystarczy po prostu wrócić

Natalia Lewicka

Nigdy nie wiedziałam po kim mam duszę wojownika. Moje ciało zmagające się z ciężką chorobą też nie wiedziało. Do czasu. Do czasu kiedy usłyszało - Walcz, wróć do nas, wróć jak twój pradziadek!

Wiktora Lengiewicza nigdy nie poznałam. Cóż się dziwić dzieliły nas niemal trzy pokolenia.

Nie słyszałam zbyt wiele opowiadań na jego temat. Historie zaczęły “ożywać” dopiero wtedy, gdy zachorowałam. Wtedy kiedy moja rodzina stwierdziła, że potrzebuję wzoru do naśladowania, kogoś kto wzbudzi we mnie ducha walki, walki by wrócić do zdrowia, by mieć chęć do powrotu.

Wiktor Lengiewicz rocznik 1921. Skromny chłopak z niewielkiej miejscowości na Podlasiu, który przez niemal 19 lat wiodł spokojne, nastoletnie życie. Na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od pozostałych rówieśników. Choć damska strona zapewnia o jego ponadprzeciętnej urodzie. Uczył się, spotykał ze znajomymi, kokietował płeć piękną, pomagał w gospodarstwie na wsi, aż do dnia kiedy dostał list. Ten list. Zielona koperta. Duża atramentowa pieczętka. Pobór. Wojsko. Front.- Te trzy słowa wyrwali do góry nogami życie mojego pradziadka. W jednej chwili miał poczucie, że nic nie będzie już takie samo. Dom pozostanie pusty bez jego śmiechu, wieczory ciche bez jego żartów, a stół jakby “nagi” bez jednego nakrycia.

Został wysłany na front wschodni, do walki przeciwko Rosjanom. Regularnie pisał listy, informował o swoim stanie zdrowia i starał się pocieszać tych, którzy martwili się o niego każdego dnia. Mój pradziadek miał prawdziwą wolę walki. Nie dlatego, że był buntowniczy i charakterny, ale dlatego, że widział o co walczy. Miesiące zimowe były jednymi z najtrudniejszych na służbie. Oprócz niesprzyjającego wiatru utrapieniem były lodowate noce. Wszyscy pełniący funkcje wojskowe, niezależnie od stopnia, koczowali w wielkich legowiskach – bardziej podobnych do kazachstańskich jurt niż namiotów, które znamy współcześnie. Z listów wynikało, że żołnierze starali się spać jak najbliżej siebie, by chuchać i ogrzewać się wzajemnie własnym oddechem, gdyż temperatura w nocy sięgała takiej skali, że aż włosy przymarzały do posłania. Jedynie słowa “Bóg, Honor, Ojczyzna” ogrzewały mojego przodka równie mocno jak oddechy współkompanów - te słowa zaczerpnięte z dawnych lat, z polskiej kultury nie opuszczały go. Był im wierny. Zawsze jednak dopowiadał jeszcze jeden wyraz – Rodzina. Bóg, Honor, Ojczyzna, Rodzina. To wiara w te wartości pozwoliła mu dzielnie znieść trudy wojskowej służby, gdyż wiedział, że te cechy są najcenniejsze i nie może ich stracić.

Listopad 1940. “Nieudana akcja dywersyjna. Zastawiona pułapka rosyjska. Wiktor Lengiewicz skazany na zesłanie w głąb Rosji.”

Były to jedyne informacje, które otrzymała rodzina. Nie znali miejsca zesłania, nie wiedzieli czy list przekazuje prawdę, nie wiedzieli czy Wikuś – bo tak go nazywali – jeszcze żyje. W tamtym okresie każdy rekrut wojskowy na początku swojej służby dostawał srebrną blaszkę. Był to niewielki metalowy element w kształcie prostokąta z delikatnym załamaniem na środku.

W przypadku kiedy żołnierz poległ podczas walk, ową blaszkę - którą miał obowiązek mieć przy sobie - wyjmowano z kieszeni i przełamywano. Część z danymi osobowymi wkładano do ust, by później zidentyfikować ofiarę - drugą zaś wysyłano rodzinie. Istnieje więc coś gorszego niż zielona koperta - papierowa koperta z zawiniętą przesyłką. To właśnie niej moja rodzina obawiała się najbardziej, tego że lada dzień dostaną pocztą taki pakunek. Wraz z upływem kolejnych miesięcy nie otrzymali żadnej wiadomości. Ani złej, ani dobrej. Nie wiadomo co było gorsze.

Siódmy miesiąc od otrzymania druzgocącej wiadomości. Zero listów, żadnej metalowej blaszki.

Rok w rok, podczas Zielonych Świątków, (jest to nazwa potoczna święta Zesłania Ducha Świętego) wszyscy krewni zbierali się w domu rodzinnym, by wspólnie celebrować. Tańczyli, śpiewali, próbowali zapomnieć o otaczającej ich przygnębiającej rzeczywistości. Wspólnie cieszyli się chwilą lub oplakiwali tych, którzy w tym roku nie byli obecni. Tak naprawdę oprócz chrześcijańskiego święta, które miało ogromne znaczenie dla mojej rodziny Zielone Świątki były w tamtym okresie czasem "rachunków rodzinnych", zorientowania się w sytuacji czy wszyscy są zdrowi lub co kluczowe czy nikogo nie brakuje już na tym świecie (gdź z powodu wszechobecnej cenzury dostęp do informacji pozostawał utrudniony lub informacje zostawały zatajane przez służby). Tego roku brakowało Wikusia i nawet najsmaczniejsze ciasto upieczone przez pra-cioć Marysię nie pomagało o tym zapomnieć. Mama mojego pradziadka zrezygnowała z tańców i hulanki i postanowiła pograć się w żalobie we własnym pokoju. Wspominała syna, gdyż tego dnia wszystko jej o nim przypominało - wszakże było to jego ulubione święto. Kiedy kładła się już spać wsłuchiwała się w otoczenie i ku jej zdziwieniu nastąpiła cisza. Śpiewy ucichły, rozmowy przeszły w ledwie słyszalny szept. Nie wiedziała co jest tego przyczyną i fala strachu załaziła jej serce. Nagle rozbrzmiał szcęk uchylanych drzwi, a zaraz potem szuranie ciężkich butów. Wyobrażała sobie najgorsze, służbiste z karabinem w rękę z nakazem aresztowania świętujących, lecz jej rozmyślenia przerwało chrypliwe wołanie - "Matulu, śpisz?"

Tylko jeden człowiek na świecie nazywał ją w tej sposób... Ale gdzie znikła jego pełnia głosu, niski ton jego brzmienia i ta energia? To nie mógł być jej syn, jej syn został zesłany. Jej syn prawdopodobnie zginął. Wyjrzała przez szparę w drzwiach i ujrzała człowieka, powłóczącego niezdarnie nogą, wychudzonego i bladego na twarzy, w niczym nie przypominającego dawnego Wiktora Langiewicza - a jednak był to on we własnej osobie.

Mój pradziadek uciekł z zesłania. Nigdy, nikt nie dowiedział się w jaki sposób tego dokonał. Pewne jest natomiast, że ostatnie pięćdziesiąt kilometrów przeszedł pieszo, przez otaczającą nasze miejsce zamieszkania, Puszcę Knyszyńską. Lewą nogę miał uszkodzoną przez co kulął do końca życia. Przyczyną była beczka z prochem która podczas jednej z walk ciężko uszkodziła kość piszczelową.

Jest wiele historii wojennych, wiele osób opowiada o szlachetnych walkach, heroizmie, poświęceniu życia wobec innych. Za mało się mówi o historiach codziennych, prostych. Mój pradziadek nie posiadał żadnego wysokiego tytułu wojskowego, nie brał udziału w wielkich bitwach, które rozstrzygnęły o losie wojny. Natomiast swoim świadectwem i postawą pokazał to, co było i będzie najważniejsze - siłę miłości. Tak prostą, a zarazem pełną przeciwności.

Nie trzeba wielkich i heroiczych czynów by zostać bohaterem. Wystarczy po prostu wrócić do domu i kochać. Kochać na tyle, by wiedzieć że każdego dnia warto sprzeciwiać się trudnościom i walczyć by ujrzeć tych którzy dają nam siłę do tej walki. Walczyć o to by powrócić.

Mi też się udało. Wróciłam. Wróciłam do zdrowia, do domu. Siłę dały mi opowieści o dziadku. Nie zapomnę ich.

# Moja babcia, moja bohaterka. Krystyna Grygiel z domu Łaszkiewicz

Natalia Grygiel

Moja babcia jest dla mnie symbolem miłości, rodzinnych tradycji i patriotyzmu. Jej historia to opowieść o odwadze, miłości i determinacji w obliczu wojennych nieszczęść oraz o sile, która płynie z serca.

Babci przy narodzinach nadali piękne imię – Krystyna. Po patronce młynarzy, żeglarzy i łuczników. Co ciekawe, mój tata bardzo chciał być marynarzem. Obowiązek wojskowy spędził w 11 Pułku Łączności Marynarki Wojennej w Wejherowie. Mnie również od dziecka „ciągnie” do siebie morze. Na znak i pamiątkę wytatuowałam sobie kotwicę z ulubionymi kwiatami taty i babci.

Jako dziecko, moja babcia musiała opuścić swoje rodzinne miejsce zamieszkania i przeprowadzić się na drugi koniec kraju, uciekając przed wojną. Był to trudny moment w jej życiu. Był to też początek nowej przygody. Przenosząc się do nowego miejsca, babcia wniosła ze sobą ciepło i miłość rodzinnych więzi, które pozostały nienaruszone przez wojenne straszliwości.

Była osobą o ogromnym ciepłym sercu, zawsze gotową pomóc innym. Jej rodzinne wartości były nieodłączną częścią jej istnienia. Religijność i patriotyzm były nierozdzielnie związane z jej charakterem. Babcia dbała o tradycje rodzinne i przenosiła je na kolejne pokolenie.

Gdy poznała dziadka – Józefa, jej miłość do Polski i rodzinnych wartości tylko się wzmocniła. Babcia i dziadek często jeździli razem po całej Polsce na delegacje związane z pracą dziadka – był elektrykiem. To był dla nich nie tylko obowiązek, ale również okazja do poznawania różnych zakątków ojczyzny i spotkania ludzi z różnych stron Polski. Byli świadkami, jak piękna jest nasza ojczyzna i jak wiele do zaoferowania ma każdy jej region. Podczas podróży babcia urodziła trójkę dzieci. Renatę, Beatę i Dariusza. Każde z dzieci urodziło się w innym zakątku Polski.

Moim dziadkom marzył się syn. Gdy babcia zaszła w trzecią ciążę, postanowili zjechać do rodziny, do Dąbrowy Górniczej, aby osiaść na stałe. Wraz z moim dziadkiem i krewnymi postanowili zbudować dom i prowadzić gospodarstwo rolne. Babcia była odważna i ambitna, nie bała się podjąć trudów życia na wsi. Oba te aspekty życia przyniosły jej ogromną satysfakcję, ale także wymagały wiele wysiłku i poświęcenia. Dzięki ich ciężkiej pracy, gospodarstwo kwitło, a rodzina miała dostęp do świeżych i zdrowych produktów. Z czasem dziadkowie zaczęli hodować zwierzęta. Życie mijalo im w miłości i szczęściu.

Krawiectwo było pasją babci. To była jej droga do wyrażenia twórczej strony jej duszy, ale także sposób na utrzymanie rodziny. Babcia była znana w okolicy ze swoich umiejętności i dokładności w pracy. Liczył się dla niej każdy detal, zarówno przy projekcie jak i przy szyciu.

Jej wyjątkowe umiejętności w dziedzinie krawiectwa spotkały się z uznaniem i podziwem. Do tej pory mamy kilka rzeczy uszytych przez babcię.

W kwietniu 1975 roku urodził się mój tata – wymodlony syn, ważący ponad 5 kilogramów. Babcia stwierdziła, że jej największe marzenie spełniło się. „Darus” był oczkiem w głowie babci. Kochała go z całego serca. Poświęciła mu każdą możliwie wolną chwilę. Przekazywała mu wartości, którym była wierna całe życie. Zabierała mojego tatę do kościoła. W szkole podstawowej mój tata śpiewał nawet w kościelnym chórze, co sprawiło babci jeszcze większą dumę. Od małego uczyła go, jak zajmować się gospodarstwem i rodziną. Dziadek, jego tata, nauczył go, jak być odpowiedzialnym mężczyzną. Nauczył go również swojego fachu. Wspólne wieczory spędzane przy rodzinnej kolacji, świętowanie polskich tradycji i śpiewanie patriotycznych pieśni to momenty, które zapadły tacie głęboko w pamięć.

Niestety, los postawił przed nią najtrudniejsze wyzwanie - walkę z chorobą. Złośliwy rak nerki zabrał ją zbyt wcześnie. Mimo cierpienia, które jej prześladowało, babcia nigdy nie straciła swojego uśmiechu i pozytywnego podejścia do życia. Końcówkę swojego życia spędziła w gronie rodziny. Dla mojego taty śmierć babci to był okrutny cios. Pomimo upływu lat, nigdy nie pogodził się ze stratą swojej ukochanej mamy. Pomimo swojego młodego wieku, tata postanowił przygotować babcię na pogrzeb. Umył ją i ubrał jej ciało w ulubione ubrania. Mówi, że babcia nawet po śmierci sprawiała wrażenie zrelaksowanej i szczęśliwej. Pochował ją z jej ulubionym różańcem. Babcia zmarła młodo, nie dożywając nawet 50tki. I nie poznała żadnego z wnuków.

Babcia pozostawiła trwałe piętno na sercach wszystkich. Jej duch, miłość są dla mnie inspiracją. Pomimo tego, że nigdy nie miałam zaszczytu jej poznać, wierzę, że była bardzo dobrym człowiekiem. Mój tata uwielbia o niej opowiadać. Ma nawet kilka jej zdjęć. Była prawdziwą bohaterką, która pomimo wszystkich przeciwności losu, zachowała wiarę w swoje ideały i poświęciła się dla swojej rodziny i ojczyzny.



## Stąd jestem

Weronika Maria Pawlak

Wiele już na świecie napisano o miłości. Wiele się pewnie jeszcze o niej napisze. Lecz w tym wszystkim, w każdym słowie o niej, we wszystkich jej obrazach, obliczach i interpretacjach dodałabym jeszcze, że miłość jest prosta. A może raczej – tak powiedziałaby moja babcia, Irena Król.

Nie miałabym powodu, by jej nie wierzyć, w końcu była i nadal jest moją babcią Irenką, której słowo jest święte, czasem zabawne, może irytujące, drapiące jak stary sweter, nieco skrzekliwe, czułe i szczerze. Ale święte.

Miłość cierpliwa jest. Babcia też była, i to jak! Urodziła się 1 stycznia 1946 roku w mazowieckim Kałuszynie. W szewskim domu się nie przelewało – zdaje się, że i z pieniędzmi i ze szczęściem. Mając szesnaście lat cierpliwie zgodziła się porzucić naukę, by zaopiekować się chorą na raka matką. Ojciec miał pieniądze na wykształcenie tylko jednej córki, a że babcia była tą najmłodszą, jej przypadło w udziale czuwanie przy mamie. Trwała przy niej dwa lata – pielęgniarzka, opiekunka, towarzysząca, słuchaczka, kucharka. Nie skarżyła się, zresztą – chyba nawet nie miałaby komu. Po prostu była.

Miłość łaskawa jest. Pani Irencę, którą stała się później, nie można było łaskawości odmówić tak samo jak humoru. Przyznawali to na pewno uczniowie z kałuszyńskiej szkoły, w której pracowała jako woźna. Pewnego razu przyszedł do niej chłopak i powiedział, że boi się kartkówki z rosyjskiego, nic nie umie i w domu będzie chryja. Co by ojciec powiedział... Ojcowie wtedy mówili mało, a jak już, to rzadko kiedy były to dobre słowa. Babcia o tym wiedziała i obiecała, że coś na to poradzi. A jak ona tak mówiła, to nie mogło być inaczej. Gdy więc zaczęła się lekcja, weszła do klasy i przy wszystkich skrzyczała chłopaka, że narobił bałaganu w łazience i ma natychmiast wyjść to posprzątać. Wyszedł. Kartkówki z rosyjskiego nie napisał. Pani Irencę był wdzięczny do końca życia. Chryja zażegnana.

Miłość nie zazdrości. Choć nie miała wiele, nigdy nie zazdrościła innym. Tuż przed jednymi świętami Bożego Narodzenia pojechała do Warszawy, by kupić córkom bananów. To były takie rarytasy w tej wszechobecnej biedzie, jaka ogarnęła ówczesną Polskę! Trwała w kolejce niemal cały dzień, nogi jej drętwiały, ręce grabiły. W końcu stanęła przy ladzie, na której został ostatni banan. Ktoś przed nią wyszedł z całą ilością. Rozpląkała się, bo miała dwoje dzieci. Zabrała jednak ten jeden mały owoc do domu. To była uczta. Promyk nadziei w czasach, gdy wszystko, co dobre zdawało się chować w cień. Ona miała w zwyczaju go rozpraszać.

Miłość nie szuka poklasku. Nigdy też nie szukała uznania w tym, co robi. Po prostu robiła – prosta, zawsze elegancko ubrana pani woźna. Nauczyciele szanowali ją, uczniowie przychodzili po radę. Któregoś dnia dyrektorka szkoły poprosiła ją o popilnowanie gabinetu i wyszła. Babcia została, postukała obcasami na dywanie, a chwilę po tym przyszedł pan

z kuratorium na wizytację. Widząc ją, przywitał się jak z dyrektorką, nawet rączkę ucałował. Honor i klasa. Zaśmiała się tylko, szczerze i dobrodusznie – woźna w dyrektorskim gabinecie.

Miłość nie unosi się pychą. Była lubiana i to jak! Całe miasteczko знаło „panią Królową”. Umiała się ubrać, każdego zagadywała, wiedziała wszystko o wszystkich, nie odmawiała pomocy. Jej córki ukończyły świetne szkoły, pracowały w wymarzonych zawodach. Ale zawsze mówiła o tym, jakby to było takie codzienne, normalne i proste. Jakby właśnie tak miało być, nie wielkiego, choć duma rozciągała jej serce.

Miłość nie dopuszcza się bezwstydu. Zawsze była taka szczerą, że mało obchodziło ją, czy coś wypadła czy nie. Przydało się to podczas wypadku, jaki miał miejsce tuż pod jej oknem. Nagle huk. Krzyk. Czyjeś cierpienie wylewające się z gardła. Niewiele myśląc wypadła na ulicę z ulubioną kuchenną ściereką, uklękła przy jęczącym człowieku i odgarniała mu krew z twarzy, by się nie udusił. Nie wstydziła się, choć inni odwracali wzrok. Nie żałowała poplamionej sukienki.

Nie szuka swego. Rzadko kiedy myślała o sobie. Wszystko zawsze dla dzieci i dla wnuków. Wstawała codziennie rano po świeży chleb; nie mogło go zabraknąć, to było coś, co najbardziej mi się z nią kojarzy. Choćby odmówiła sobie ulubionej kaszanki, nowej bluzki – my zawsze mieliśmy chleb. Przez całe swoje życie tylko raz była nad morzem; wszystkie pieniądze, które mogłyby ją zabrać na piaszczyste plaże czy górskie szlaki, wydała na dzieci. Widziały piękno swojego kraju. Potem jej opowiadały – to wystarczyło. Była tam z nimi, gdy mówili. Miłość nie unosi się gniewem. Głos miała donośny, ale czy krzyczała? Rzadko. Gdy jej córki porzucały prace w domu i zasiadały po kątach z książkami, nigdy się nie złościła. Chciała, żeby się uczyły i podczas gdy one przewracały dłońmi kartki, ona swoje ręce (i serce!) poświęcała wszystkiemu wokół. Gdy raz dziadek kupił nie tej szynki, co chciała dla wnuków, to tylko załamała ręce. Zaśmiała się z niego, że sam to będzie jadł. Ale zawsze jadła z nim. Nawet gdy w garnku tylko hulał wiatr.

Miłość nie pamięta złego. Opowiadała zawsze tylko o dobrych rzeczach. Dziadka poznała na potańcówce w remizie przy okazji odpustu. Syn majątnych gospodarzy i córka szewca. Mezalians, co ludzie powiedzą? Gadali po kątach. Nie pamiętała nic poza dziadkiem. No i może tym, że na tę zabawę bardzo nie chciała iść. Szkoda by było, dziadkowi to na pewno! Miłość nie cieszy się z niesprawiedliwości. Teściowa dawała jej w kość. Odwodziła dziadka od tego małżeństwa, nie podobała się jej biedna dziewczyna z werwą. Ale gdy palił się jej dom, to babcia pierwsza pomogła go odbudować. Zakasała rękawy, otworzyła serce. Dołożyła cegielkę swojego czasu. Na kręgosłup i bolące nogi nie narzekała.

Miłość współwesołowała się z prawdą. A ślub z tego mezaliansu miała – naprawdę – niezbyt wesoły. W dniu ceremonii w całym miasteczku padł prąd. Wszędzie ciemno, co robić? Babcia zaśmiała się, że może wszystkich zaćmiło od tej miłości i poszła po świece. Wzięli ślub przy ich świetle – może przez to mogli skupić się na tym, by dostrzec siebie bardziej. Miłość wszystko znosi. Gdy parę lat temu zachorowała na raka płuc, cierpieliśmy wszyscy. Bolało ją, była słabsza i ulatywała z niej ta charakterystyczna werwa. Nikt już nie budził nas otwieraniem okien co rano, by przewietrzyć mieszkanie. Nikt nie stukał mytymi w kuchni kubkami, nie parzył nam przesłodzonej herbaty, której dziś nie umiemy odtworzyć. Bała się, ale nie uciekała od tego. Pozwoliła nam przeżywać to ze sobą. Może tak było nam łatwiej – podzielić się tym wszystkim.

Miłość wszystkiemu wierzy. I nie straciła przy tym wiary w drugiego człowieka. Przychodziliśmy do niej, opowiadaliśmy o swoich szkolnych problemach. Śmiała się z nami z naszych

wyglupów, rozumiała złość na plotkujące koleżanki, żałowała tych chłopaków, z którymi nie wyszło. Zawsze wierzyła, że damy radę, czegokolwiek się nie podejmiemy. Napisane przez siebie opowiadania, które jej podarowałam, pokazywała wszystkim w miasteczku. Obraz siostry powiesiła na ścianie. Zawsze chciała, by bracia coś zaśpiewali.

Miłość we wszystkim pokłada nadzieję. A chciała też bardzo, żebyśmy się uczyli. Sama miała skończony kurs krawiecki i szewski, ale nie narzekała. Z dumą mówiła o naszych zbiórkach w harcerstwie, o braciach śpiewających w chórze, o siostrach, które tańczyły i malowały. Ale w tym wszystkim to nie my dawaliśmy jej nadzieję, lecz ona nam, że dla jej małego, kałuszyńskiego świata znaczymy więcej niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Byliśmy „kimś” dla niej. Kimś, kogo kochała. A my kochaliśmy ją. Kochamy.

Miłość wszystko przetrzyma. Gdy odszedł dziadek płakała tylko trochę. Jak niebo z kapuśniaczkiem. Wierzyła, że nie odchodzi na zawsze, że to tylko chwila. Chodziła do niego codziennie, może to były ich randki, tylko tym razem to ona przynosiła kwiaty i nie grała muzyka z remizy, Eleni, którą tak kochała. Zwykle musiała coś „przy nim” zrobić. To chyba ją trzymało, to było jej językiem miłości.

Miłość nigdy nie ustaje. I taka zawsze pozostaje w naszych sercach. Nie była służącą, lecz sługą – z dobrowolności i dobroci serca starała się przysłużyć każdemu. Choć nie znała harcerskiej metody, zostawiała ten świat lepszym niż go zastała. Umiała słuchać i chciała to robić. Umiała rozmawiać i zachęcała do tego innych. Była kawałkiem historii Kałuszyna; nie dziwne więc, że na pogrzeb tej prostej woźnej przyszedł poczet sztandarowy ze szkoły i przedszkola, gdzie pracowała. Nie dziwne, że grono pedagogiczne płakało, a starzy „uczniowie” ściskali w dłoniach kwiaty. Gdy przyjeżdżam czasem zawieźć kwiaty dziadkom „do nieba”, mam wrażenie, że zaraz wyjdzie zza rogu z jakąś sąsiadką pod rękę. Będzie wiedziała wszystko, jak zawsze. Zabierze mnie na lody albo da Ptasie Mleczek. Zawsze na święta dawała nam wszystkim Ptasie Mleczek, to był dla niej symbol prestiżu. Uśmiechnie się, pójdzie pofarbować włosy na rudo. Pomaluje usta szminką, żeby wyglądać pięknie. Przyszyje mi guzik do munduru, a ja nigdy nie poprawię tego ściegu, nawet gdy inne się odprują. Naucz mnie swojej prostej, szczerzej wiary. Zadzwoń w najmniej spodziewanym momencie dnia, by zapytać, co u mnie. Ugotuje zupę, którą zjem, nawet jeśli nie będę głodna. Posiedzi na balkonie patrząc na ludzi na chodniku. Będzie. Po prostu.

Bo miłość jest prosta. Nie wymaga wielkich czynów, aktów odwagi czy znaczących gestów. Na nic jej wiersze i grube powieści, choć pewnie jeszcze wiele słów się jej poświęci. Miłość jest prosta, a może raczej – miłość jest. Trzeba ją tylko zauważyć w codzienności. I tak starałam, a może bardziej teraz staram się widzieć babcię. Być może nie przeżyła historii, jakie opowiadają mi niekiedy Powstańcy Warszawscy. Może nie miała ogromnej wiedzy o świecie. Była prostą kobietą. Prosto kochała. Stanowiła prosty wzór pracowitości i otwartości. I była – po prostu. Była kochana w podwójnym tego słowa znaczeniu. Bo miłość jest prosta.

# Stąd jestem

## Zuzia Czaja

### RODZINA MAMY...

Mieszkańcy okolic Opola.

Mieszkali tam od kilku pokoleń

Pradziadek Władysław Augustowicz jako kilkuletni chłopiec donosił jedzenie walczącym żołnierzom w lesie. Wiąże się z tym wiele wspomnień. Żona Władysława, Leokadia to moja prababcia od strony mamy, to ona pamięta swoje sny i czasami opowiada co jej się śniło. Przed wybuchem wojny na Ukrainie śniła krwawe niebo, to był jej zdaniem proroczy sen. Ogromna wrażliwość tej mojej prababci staje moim udziałem, pozwala mi na obcowanie z jej wyższą świadomością.

Leokadia jest dla mnie wzorem, mimo swojego wieku stara się pomagać i być obecna w życiu całej rodziny. Troskliwość, życzliwość, pogoda ducha to jej cechy warte dziedziczenia. Jednak oprócz nich prawdopodobnie dziedziczymy znacznie więcej, niż nam się wydaje... Córka Leokadii to Danusia, mama mojej mamy...

Staroświecka w poglądach, ale odnajduje się we współczesności. Stara się zrozumieć i poznać to wszystko, co nowe i nieznane, typowe dla XXI wieku. Ciepło rodzinne i obfitość stołu jest cechą naszej rodziny dzięki Leokadii i Danusi. Moja mama kontynuuje te rodzinne tradycje.

Pamiętam jak po dniu w przedszkolu biegłam do babci, by z nią lepić pierogi. Kobiety w mojej rodzinie są mistrzyniami dbania o dom, kuchnię, zarządzania sprawami rodziny. Zalecenia ze strony rodziny mamy są bliskie przekonaniu, że muszę być poważną i odpowiedzialną osobą, bo w dorosłym życiu nie będzie tak łatwo...

### RODZINA TATY....

Pochodzą z Kaszub. Rodzice Iwony – Irena i Roman Czapiewscy; Rodzice Adama – Edward i Lidia Czaja...

Mama mojego taty, Iwona miała ośmioro rodzeństwa. Trudno dziś mi ustalić co aktualnie robią ci z nich, którzy jeszcze żyją. To pokolenie 70-80 latków. Ich życie było dosyć trudne, młodość przypadała na czasy bezpośrednio po wojnie. Z kolei pokolenie ich rodziców przeżyło czas wojny - walczyli lub doświadczyli tragizmu tamtych czasów. W Polce panowała bieda, ludzie żyli skromnie, ale Kaszubi zawsze radzili sobie dobrze, byli pracowici i uparci. Roman Czapiewski był zawodowym wojskowym, a jego żona Irena była krawcową. Ich dom był zasobny i dobrze prowadzony. Mojemu dziadkowi rodzice przekazali pracowitość, sumienność, odziedziczył też siłę fizyczną i hart ducha. Dziadek zawodowo zajmował się sprawami technicznymi i przez wiele lat cierpliwie dojeżdżał do pracy aż z Kościerzyny. Nie poznałam swoich pradziadków od strony taty, ale dowiedziałam się, że Tato mojego dziadka – pradziadek Edward był kolejarzem, a babcia była gospodynią domową.

Rodzina taty wyposażyła mnie w poczucie humoru, lżejsze podejście do spraw życiowych. Moi dziadkowie są osobami, którym mogę zaufać, babcia Iwona ma optymistyczny sposób bycia, pełna pogody ducha. Dziadek jest mniej zaangażowany towarzysko, ale bywa radosny... Najbardziej inspirująca osobą w mojej rodzinie jest moja babcia Iwona.

Za razem jest też moim największym wsparciem, zawsze mogę na niej polegać. Np. Za każdym razem gdy znajduje się w trudnej sytuacji z którą nie mogę sobie poradzić sama ona pomaga mi racjonalnie myśleć i ostatecznie wszystko dobrze się kończy.

### **MOI RODZICE...**

Pochodzą z „dwóch różnych światów”, dwóch różnych domów... Spotkali się dzięki wakacjom i atmosferze lata. Jako nastolatka widzę jak bardzo się od siebie różnią, ale widzę też, że niosą swoją historię. A ja poniosę historię po nich...

## Stąd jestem

Michał Szyszło

Obecnie wiele się mówi na temat życia pojedynczych ludzi – niekoniecznie królów, czy wielkich dowódców, a o żołnierzach, robotnikach, czy rolnikach, których to jednak historie mogą inspirować obecne pokolenia. W tym esejku przedstawię historię mojego dziadka, Tadeusza Roga: jednego z pracowników zakładu PSL-Świdnik, uczestnika strajków i działacza Solidarności oraz przebieg wszystkich wydarzeń historycznych z tamtego okresu przedstawionych z jego perspektywy.

Tadeusz Róg urodził się w Świdniku w 1954 roku. W 1969 roku skończył szkołę podstawową, a w 1973 zdał maturę i rozpoczął pracę w zakładzie PZL-Świdnik. Były to czasy Gierka, czyli „dobrobytu zbudowanego na kredytach”. Zaczęto wprowadzać podwyżki płac, sklepy były lepiej zaopatrzone, pojawiły się artykuły produkowane na zachodzie. Dziadek opowiadał, jaka to radość była, kiedy na święta przyplłynął statek z owocami cytrusowym. Od połowy lat 70 sytuacja w kraju zaczęła się pogarszać. Brakowało nawet tak podstawowych artykułów jak ubrania, meble, czy jedzenie. W zakładach były czasem organizowane loterie na różne artykuły – jednakże nie jak obecnie, kiedy za kupony można sobie wziąć za darmo wybrane buty. Wtedy wygrywało się jedynie pozwolenia na kupno konkretnych butów bez możliwości wybrania nawet rozmiaru. Dziadkowi raz się udało wygrać buty, które okazały się potem za małe, acz na to nie można było nic poradzić, więc chodził w takich.

W lecie 1980 roku rozpoczęły się strajki. Dziadek opowiadał, że bezpośrednim powodem były wyższe ceny żywności – kiedy on i reszta robotników na pierwszej zmianie poszła do stołówki na przerwę okazało się, że kotlety mocno podrożały. Ten fakt przelał szalę zbierającej się od dawna goryczy. Robotnicy zaczęli się burzyć, dyskutowali o drogim posiłku, aż w końcu wyszło tak, że się zmówili i po zakończeniu przerwy nie wrócili do pracy.

Po rozmowach z nowoutworzonym komitetem protestacyjnym szefostwo próbowało naprawić napiętą sytuację powrotem poprzednich cen, lecz ludzie w tamtym momencie już nabrali odwagi do przeciwstawienia się władzy. Oprócz zakładu PZL-Świdnik zaczął protestować cały kraj. Władza zaczęła się coraz bardziej liberalizować. Otworzyły się też granice do krajów zachodnich.

Przemiany jednak nie przyniosły oczekiwanych skutków. Ludzie dalej byli niespokojni, a Solidarność rosła w siłę. Władza nie widząc innych form opanowania sytuacji wprowadziła z 12 na 13 Grudnia stan wojenny. Rano jednak po włączeniu telewizora, zamiast Teleranka dla dzieci, pojawił się generał Jaruzelski ogłaszający stan wojenny.

Dla ludzi stan wojenny to było coś nowego. Nigdy wcześniej nie było tak często chodzących policjantów i wojska, rewizji i godziny policyjnej. Z obawy przed aresztowaniami szli do kościoła lub zakładów pracy. W przypadku mojego dziadka po pójściu do zakładu rozpoczął razem z resztą robotników strajk okupacyjny. Od razu przyjechało wojsko i ZOMO

z ogłoszeniem przejścia przez nie zakładu pracy. Protestujący robotnicy zabarykadowali się jednak w środku i czekali na rozwój wypadków. Wojsku nie zależało na bezpośredniej konfrontacji, więc długo zwlekało z użyciem siły. Jednakże trzeciej doby strajku, o 3 w nocy rozwalono ogrodzenia i przez wyłomy wlało się najpierw ZOMO, a potem wojsko. Użyto granatów z gazem łzawiącym i broni palnej. Wśród robotników rozniosła się jednak informacja, że żołnierze mają do dyspozycji tylko pustą amunicję. Ten mit obalił jeden z dowódców ciągnąc serię po ścianie budynku. Następnie ludzi zwartych w jednej grupie rozdzielono na mniejsze, które się kolejno poddawały, a nieposłusznych „pałowano”. Ludzie w większości się jednak nie bronili – zakazały tego komitety strajkowe w obawie przed ofiarami. O 5 rano robotnicy opuścili zakład.

Na drugi dzień zakład nie pracował. Ludzie nie mając co robić poszli do kościoła by się spytać o radę proboszcza. Mieli nadzieje, że stanie na ich czele i razem z nimi pójdzie odbić zakład. On jednak im wytłumaczył, że walka na tą chwilę skończona i nie ma sensu dalej się bić. Następnego dnia wrócili do pracy, tym razem pod kontrolą wojska.

Dziadek wspomina, że w czasie godziny policyjnej pracownicy drugiej zmiany musieli pokazywać specjalne pozwolenia na wracanie do domu późną godziną. W Świdniku mogła być nawet od 19:00, a wszystko dzięki tzw. „Świdnickim spacerom” – ludzie w celu protestu wychodzili na zewnątrz w czasie trwania dziennika telewizyjnego. Na sylwestra ludzie po cichu się przemýkali do swoich domów. Jednakże niektóre osoby trochę zbyt mocno się upiły w ten dzień i z jakiegoś powodu postanowiły, że wszyscy razem, w środku nocy, pójdą na plac konstytucji 3 maja i zaczną śpiewać pieśni patriotyczne. Skończyło się na rozgonieniu tłumu przez policję.

Władza widząc, że przemocą dalej nic nie ugra zaczęła się przygotowywać do ewentualnych pertraktacji. Pomimo częstego przedstawiania historii okrągłego stołu w dobrym świetle w podręcznikach szkolnych, dziadek wspomina ten okres bardzo źle – według niego najbardziej uszkodzone przez państwo warstwy społeczne zostały „wyrolowane” przez swoich przedstawicieli.

Dziadek również należał do Solidarności. Dołączył do niej w 1981 roku i nawet udało mu się dostać do jej lokalnego zarządu. Z początku miał dość wyidealizowany obraz tej organizacji – postrzegał ją jako gwaranta praw i dostatniego życia robotników. Zobaczył jednak po jakimś czasie zepsucie u jej szefostwa – m.in. lokalne związki zawodowe często ustalały z szefem zakładu obniżkę płac dla robotników, by potem móc ogłosić protest, przywrócić poprzednie płace i wyjść wśród pracowników na bohaterów. Historia dziadka oczywiście trwa dalej – mógłbym jeszcze długo opowiadać o jego historii współczesnej. Jednak tu starałem się skupić na istotnych z historycznego punktu widzenia wydarzeniach przedstawionych z perspektywy zwykłego pracownika, ojca, Polaka. Wiele rodzin ma w swoich historiach momenty gdy były częścią większych istotnych państwowo zdarzeń. Ważne aby poznawać je i zachowywać w pamięci przyszłych pokoleń przez opowieści lub słowo pisane.

## Pio Mazurek – Zapomniana tożsamość

### Pio Mazurek

Nigdy go nie poznałem. Nie tylko dlatego, że jak się urodziłem już dawno był martwy. Nawet jak się o nim dowiedziałem nie chciałem go poznać. Jak wyglądał? Jaki był? Kim był? Interesowało mnie to... Bardzo mnie to interesowało. Ale jak to często mówią: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. I ten strach przed piekłem paraliżował i przerażał mnie na tyle, że ciekawość nie przeistaczała się w czyny, tylko dusiła samą siebie w zarodku.

Najmocniejsze relacje miałem tylko z najbliższą rodziną – rodzicami i rodzeństwem. Dziadków, kuzynostwo i całą resztę spokrewnionych ze mną osób widywałem sporadycznie. Głównym tego powodem było to, że mieszkaliśmy praktycznie po drugiej stronie Polski. Często towarzyszyły mi myśli pogłębienia tych relacji, ale jako dziecko nie byłem w stanie zbyt wiele zrobić w tym kierunku.

Pierwsza próba również pewnego, wewnętrznego uporządkowania członków całej mojej bliższej i dalszej rodziny zrodziła się z dodatkowej pracy dla chętnych, zadanej przez mojego nauczyciela historii. Praca ta polegała na narysowaniu drzewa genealogicznego. W tamtym czasie byłem niezwykle energicznym dzieckiem i pracowitym uczniem, chętnie podejmując analogiczne wyzwania z innych przedmiotów. Naturalne więc dla mnie było podjęcie się realizacji i tego zadania. Nie bez znaczenia był również fakt, iż lubiłem rysować oraz, że w przypadku sumiennie wykonanej pracy można było otrzymać ocenę celującą. Po stworzeniu ogromnego dębu na arkuszu A3 pierwszą osobą jaką narysowałem byłem ja. Bez większych problemów narysowałem również rodzeństwo, mamę i tatę. W końcu żyłem z nimi na co dzień. Pamiętałem ich imiona i to jak wyglądają. Z rodzeństwem rodziców i ich dziećmi również nie miałem większych problemów. Z dziadkami podobnie. Chociaż mam dużą rodzinę to po narysowaniu wymienionych osób nadal miałem na kartce mnóstwo białych przestrzeni. Możliwe, że powodem tego były niewielkie rozmiary portretów osób wiszących na moim drzewie. Żeby wypełnić rysunek – ze względów estetycznych – postanowiłem dorysować kolejne pokolenie. Tutaj pojawił się problem. Ze wszystkich moich prababci i pradziadków znałem tylko jedną osobę – wspaniałego pradziadka Franciszka, dziadka mojego ojca ze strony matki. Miałem z nim tylko dobre wspomnienia. Spędziłem na jego farmie same szczęśliwe chwile. Trochę posiłkując się zdjęciem odtworzyłem pradziadka. Moim zdaniem wyszedł mi bardzo dostojnie. Jednak nadal musiałem stworzyć jeszcze piętnaście kolejnych portretów osób będących moja rodziną, których kompletnie nie znałem. Puściłem wodze mojej dziecięcej wyobraźni i całkiem sprawnie nabazgrałem wszystkie potrzebne do drzewa osoby. Być może kiedyś zweryfikuje moje wyobrażenia za dzieciaka z faktycznym wyglądem moich prababci i pradziadków... Żeby ukończyć pracę pozostało mi wyłącznie dopisać portretom imiona. W tym szczytnym celu udałem się do sypialni rodziców w celu konsultacji i pomocy w dokończeniu pracy. Mama bardzo szybko mi w tym pomogła. Jedno imię szcze-



gólnie zwróciło moją uwagę. Jeden z moich pradziadków miał na imię Otto. Otto. W sumie bardzo ciekawe imię, prawda? Tak samo pomyślałem. Kierowany właśnie ciekawością dopytałem swoją rodzicielkę skąd w naszej rodzinie takie dziwne imię. Dowiedziałem się, że mój daleki przodek był Niemcem. Niemcem. Chciałem dowiedzieć się więcej, ale mama sama nic więcej nie wiedziała i zasugerowała rozmowę z dziadkami w celu zaspokojenia mojej ciekawości. O tym temacie szybko zapomniałem, nie wiedząc wtedy jeszcze, że będzie do mnie wracał jak bumerang. Kilka dni później pracę zaniósłem do szkoły i dostałem za nią zgodnie z oczekiwaniami ocenę celującą.

Tak jak wspominałem temat wracał. Dość nieregularnie i spontanicznie, ale wracał. Ponownie winowajcą tego stanu rzeczy była szkoła. Ponownie lekcja historii. Temat: druga wojna światowa. Łatwo było policzyć że mój pradziadek Otto żył prawdopodobnie właśnie w tych czasach. Był Niemcem... Niemcem podczas wojny. Nikomu nie trzeba tłumaczyć jaką rolę odgrywali Niemcy podczas wojny. W trakcie tych tematów narodził się we mnie strach w związku z pytaniem jaką rolę pełnił wtedy mój pradziadek. Co konkretnie robił? Czy uczestniczył w jakikolwiek sposób w Holokauście? Nie wiem dlaczego, ale podczas tych lekcji historii, kawałek po kawałku zżerało mnie ogromne poczucie winy za potencjalne zbrodnie mojego dalekiego krewnego. W szkole mówili, że Niemcy są potworami, że mordowali Polaków i Żydów. I, że Polacy są dobrzy, bo tych Żydów przed Niemcami ratowali. Czy byłem potomkiem potwora?

W tym miesiącu, mimo że do szkoły już nie chodzę ponownie temat powrócił do mnie jak bumerang. I ponownie mnie tym zaskoczył. Mama poprosiła mnie o pójście do kina na film z młodszą siostrą. Tytuł: „Historia jednej zbrodni”. Historia rodziny Ulmów... Nie sądziłem, że tak mi się spodoba film dokumentalny. Raczej gustuje w innym kinie. Film mnie mocno poruszył i wywołał skrajne emocje. Zupełnie niewyobrażalne było dla mnie, że człowiek może tak skrzywdzić inną istotę ludzką, bestialsko zamordować małe dzieci... Jaką nieprawdopodobną personifikacją zła na ziemi był naród niemiecki w tamtym czasie. Nie rozumiałem i nadal nie rozumiem siebie czemu tak się utożsamiam ze „złymi Niemcami”. Czemu czuje się odpowiedzialny w pewnym stopniu za to co robili w trakcie tamtej wojny. Wszystkie pozostałe prababcie i wszyscy pozostali pradziadkowie byli polakami. Ukochany dziadek Franciszek walczył po polskiej stronie podczas tej wojny. Był i na zawsze pozostanie bohaterem. Mam z czego być dumny. Mam przodków, z których powinienem i mam obowiązek być dumny. Czuję się Polakiem... Chyba. Czuję się złym Niemcem...

Jestem tchórzem. Do tej pory nie znalazłem w sobie odwagi by spytać dziadków o szczegóły na temat pradziadka Ottona i jego życia. Okoliczności, by to zrobić nie brakowało. Staram się wierzyć, że mój przodek był dobrym człowiekiem. Dobrym Niemcem... Jednak czym dłużej nad tym myślę tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu że był osobą zupełnie inną. Taką jak większość... Nie wiem czemu się dręcę i po prostu o to nie zapytam. Czemu tak bardzo obawia mnie poznanie prawdy?

Niewątpliwie powinno się pamiętać o tych co odeszli – ta pamięć daje im nieśmiertelność... Ale o moim pradziadku chyba nie chcę pamiętać. Chyba nie chcę go poznać... Nie chcę by on i potencjalnie to co zrobił było nieśmiertelne...

## Stąd jestem

Maciej Hibner

Początek wieku XXI, czasy, w których się urodziłem i wychowałem, był dla Polski okresem daleko idących przemian politycznych, społecznych i kulturalnych. Ostatni etap transformacji ustrojowej, wstąpienie do Unii Europejskiej, a także dotykająca wszystkich sfer życia liberalizacja i laicyzacja stały się elementami, które w największym stopniu wpłynęły na ukształtowanie mojego pokolenia, w szczególności zaś zracjonalizowały w powszechnej świadomości istnienie nowopowstałego archetypu obywatela, czyli człowieka apolitycznego, indywidualistycznego, traktującego tradycję i historię wyłącznie jako przyczynek do w gruncie rzeczy bezwartościowej, bo pozbawionej elementarnego intelektualizmu, polemiki. Zmiany te, tak przecież znaczące, nie osłabiły na szczęście czujności mojego ukochanego dziadka Marka, który, będąc skromnym, lecz gorliwym patriotą, wziął na siebie tragicznie zaniedbany przez instytucje państwowe obowiązek edukacji obywatelskiej swoich wnucząt.

Pogodny, serdeczny, zawsze służący radą, poczciwy patriarchy naszej rodziny, słowem najmądrzejszy człowiek, jakiego znam, a także mentor i dobry przyjaciel. W swoim życiu musiał pokonać wiele przeszkód – wczesną śmierć rodziców, brak środków na podjęcie wymarzonych studiów historycznych i nieudane małżeństwo. Siłę czerpał jednak ze swej wielkiej pasji do ogrodnictwa i oczywiście wychowania swoich dzieci. Pomimo trudności, które złamałyby wolę wielu najwytrwalszych ludzi, nigdy nie stracił radości życia, zarażając nią wszystkich dokoła.

Jeszcze jedna rzecz u dziadka zasługuje na wspomnienie, a mianowicie jego zaangażowanie, można by rzecz walczyć, do której podchodził z wręcz pozytywistycznym zapałem, o rozbudzenie świadomości politycznej w swojej społeczności. W czasach PRL-u bardzo aktywnie wspierał opozycję antykomunistyczną, agitując (nie bez rozsiedzenia wielu) wśród sąsiadów. Po 1989 roku zaś najwięcej czasu poświęcał rodzinie, w ten sposób dbając o jej jedność i dobrze przygotowując do życia kolejne pokolenia. I tak odebrałem u niego wiele ważnych lekcji, ale jedna zapadła mi szczególnie w pamięć. To było kilka tygodni po moich piętnastych urodzinach. Dziadek zaprosił mnie niespodziewanie na enigmatyczną „poważną rozmowę” i wbrew swej zwyczajowej rozbijającej szczeroci nie chciał wyjawić mi przed właściwym spotkaniem jej tematu. W końcu, gdy już usiedliśmy naprzeciwko siebie, w powietrzu czuć było podniesłe napięcie, a ja próbowałem wyczytać cokolwiek z jego dobronudnych oczu. Otworzył wreszcie usta przyozdobione niemalże błagierskim uśmiechem i bez zawahania w głosie powiedział: „Czy wiesz, że moi rodzice byli Niemcami?” Oniemiałem. W głowie zupełna pustka, nie byłem w stanie wyłuskać z niej ani jednej spójnej myśli. Tymczasem kolejne słowa doszły moich uszu: „Pochodzili z biednej rodziny robotniczej ze Śląska, gdzie stanowili mniejszość i...” Reszta rozmyła się w napięciu chwili, a ja znowu nie mogłem zmusić siebie do choćby skinienia głową. Kawalkada myśli bezwzględnie podeptała resztki umysłowej trzeźwości

mojego rozumu. Czy ja też jestem Niemcem? Czy jednak jestem Polakiem? Czy to coś zmienia? Czy... czy... czy? A dziadek jak gdyby nigdy nic poszedł do kuchni, by zrobić sobie kawę, zostawiając mnie w samym środku walki o tożsamość. Kiedy wrócił, ja już wiedziałem, co odpowiedzieć.

\* \* \*

Teraz, blisko pięć lat później, mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, iż w pełni doceniam rolę, jaką to doświadczenie odegrało w moim życiu. Dlatego też, zważywszy na jego, moim zdaniem, doniosłość i uniwersalny charakter, pozwolę sobie zobowiązać wszystkich czytających te słowa, by samodzielnie wykonali taki „eksperyment myślowy” i poszukali wewnątrz siebie szczerzej odpowiedzi na pytanie: „Czy wciąż kochałbym swoją ojczyznę tak samo, wiedząc, że moi pradziadowie wcale nie mieli jej w sercu?” Istotą tegoż nie jest bowiem, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, filozoficzne doszukiwanie się dziejowych prawideł czy historyczności korzeni własnej rodziny, a chwila introspekcji i refleksji nad esencją patriotyzmu. Krystalizuje się tutaj ważna życiowa prawda: przeszłość jest naprawdę pojęciem względnym. Bez znaczenia jest dla mnie jako Polaka, czy historia dziadka jest prawdziwa, bo mój dziadek mógłby nawet nie być moim dziadkiem, a ja w zasadzie mógłbym być wyrosnąć z ziarna rzuconego obcą ręką. Moja siła, podkreślam, jako Polaka, leży tam, gdzie początek bierze siła całego narodu. I to ma wielkie znaczenie.

Przypomina mi się w tym momencie jeszcze jedna pamiętna metafora zasłyszana, rzecz jasna, w domu rodzinnym. Na kontynencie amerykańskim występuje pewien specyficzny gatunek topoli, której rdzeń stanowi rozbudowany system podziemnych korzeni. Topole te dla niewprawionego oka tworzą zwyczajny las niemalże identycznych drzew. Każde z nich wydaje się być pojedynczym okazem, osamotnionym w swej walce o przetrwanie. Nic bardziej mylnego – wszystkie one tworzą jeden wielki, wielowiekowy organizm, któremu początek daje ów system korzeni. A czymże on nie jest, jak jedną myślą, jedną ideą – życiem i wspólnym celem: rosnąć dumnie i odważnie. I tak wyobrażam sobie polski naród, każdy rodak jest oddzielnym drzewem, które jednakowoż musi polegać na innych, by żyć i w zamian również innym to życie daje. Złączeni wspólną historią, tradycją, kulturą i językiem jesteśmy silni, gdy jesteśmy razem, solidarni.

Na zakończenie chciałem tym obrazem nakreślić, za moim dziadkiem, konkretną wizję narodu – przepotężnej rodziny, w której każdy członek jest i drzewem, i korzeniem. Dziedziczymy tu zatem nie tylko po rodzicach i dziadkach, ale po wszystkich tych, którzy byli przed nami. Stąd, choć sam nie mogę się poszczycić piękną genealogią ani bogatym rodowodem, wiem, że moi przodkowie są liczni i wielcy. Przeto z dumą mówię: Jestem potomkiem generała Bema, marszałka Piłsudskiego i rotmistrza Pileckiego. I jestem też potomkiem mojego dziadka Marka. I wy wszyscy, którzy to czytacie i czujecie się Polakami, jesteście ich potomkami!

# Inżynier

## Zbigniew Rej

Mam nadzieję, że to co napiszę nie będzie banalne.

Banalność jest bowiem ostatnią cechą jaką przypisał bym Józefowi Bogumiłowi Tomaszewskiemu mojemu pradziadkowi, był najmądrzejszą osobą jaką kiedykolwiek znałem – w moim mniemaniu błyskotliwością dorównywał Lemowi którego wiernie czytał. Ja sam nie wiedząc o tym też poddałem się urokowi jego książek, teraz uważam że to nie przypadek. Dzięki temu konkursowi zbliżyłem się do niego jeszcze bardziej. Tak jak bardzo nie był banalny był skromny dla tego uważam że to najlepsza okazja by ktoś pochwalił się za niego. Pradziadek urodził się w 1927 w Warszawie, już od dziecka wykazywał się sporą pracowitością wykonał na przykład pięknie wykończoną talię kart która do dziś jest jednym z cenniejszych skarbów rodzinnych. Ta pracowitość jaką się odznaczał przyniosła mu później wiele sukcesów. Muszę zaznaczyć że kiedy pisałem ten esej przeglądałem wiele listów i pocztówek, dzięki czemu dowiedziałem się nie tylko wiele o moich przodkach ale także o historii Polski. Wróć jednak do głównego wątku dziadek zaczął pracę w stoczni w 1950r. Najpierw jednak trzy lata uczył się w szkole inżynierskiej w Szczecinie ma kierunku budowy statków śródlądowych. W pracy został mianowany „mistrzem doków” była to praca ciężka ale przyjemna kilka razy zmieniał stanowiska (na lepsze aż do pewnej strasznej sytuacji w 1954).

Przykry wypadek: uszkodzenie oka tokarza, któremu odrobina pękniętej tarczy szlifierskiej wpadła w oko – i sztucznie prokuratura powiązała wypadek z kilkoma osobami z kierownictwa w tym z moim pradziadkiem. (W rzeczywistości poszkodowany był sam sobie winien był bowiem wysoko wykwalifikowanym fachowcem, doskonale wiedział o konieczności zakładania osłony na tarczę szlifierską, którą dysponował nie użył jej jednak przez pośpiech czy swoje osobiste niechłujstwo. Mój pradziadek błyskawicznie zwolnił się z wysokiej funkcji Szefa produkcji jaką wtedy pełnił. Sąd I instancji skazał go na 1,5 roku więzienia. Sąd II instancji zawiesił jednak te kary na trzy lata. Ryzyko było zbyt duże więc przynajmniej na jakiś czas pradziadek wrócił do pracy za biurkiem.

Ciekawa jest historia jak poznał moją prababcie którą odnalazłem w jednym z jego zapisków w 1960r. Jego podwładny p. Cebo zapytał go, czy nie mógłby przejściowo na dwa tygodnie zatrudnić młodej osoby- prawie skończonej lekarki. W chytrym umyśle mojego pradziadka zrodził się plan (dostosowany zresztą całkowicie do ówczesnych stosunków zatrudnieniowo kwalifikacyjnych).

Lekarka ma zapewne więcej kwalifikacji do pełnienia obowiązków inspektora lub referenta BHP niż on lub ktokolwiek z jego personelu. Pomyślał niech więc się zatrudni, choćby i na te dwa tygodnie. Zrobi się ruch w sprawie, szum w papierach i gdy ona nas opuści, jego wołanie o następstwo będzie miało więcej szans na realizację.

W ten sposób panna Barbara Łabuzińska została Barbarą Tomaszewską i moją prababcią. Śluby były dwa cywilny w Gdańsku 1.10.1960 a kościelny w Słupsku 8.10.1960. W tym czasie mój pradziadek przeniósł się do Gdańska gdzie urodziłem się i mieszkam ja.

Mój pradziadek pracował przy bardzo wielu stoczniach z tego co udało mi się znaleźć wymienię: Stocznie remontowe- w Gdańsku, Szczecinie, Gdyni, i Świnoujściu oraz w Płucku a także w małych portach morskich w nich bazy remontowe rybołówstwa.

Śródlądzie – Wrocław, Płock, Tczew, Koźle, Gdańsk, Szczecin, Sandomierz, Warszawa i „bazy remontowe” – Nowa sól, Malczyce, Płock, i znów Warszawa, Elbląg, Czarnków, Bydgoszcz i Ciemno. Oraz zagranicznych Wietnam stocznia Ha Long, Laos, Kambodża, Czechosłowacja oraz Kuba.

Do Wietnamu pradziadek pojechał w 1966. Skąd przyniósł mi znaczki, kiedy miałem 10 lat zaproponował bym je zbierał od tego czasu je kolekcjonuję teraz mam już piękną kolekcję. Opowiem jeszcze o rzeczach najważniejszych.

Pewnego razu dla swojego kolegi Krzysztofa Głuchowskiego wykonał piękny model statku, miał on być prezentem dla hrabiny Branickiej w podziękowaniu za udzielenie schronienia Głuchowskiemu podczas wojny. W archiwach rodzinnych znajduje się nawet zdjęcie autorstwa znanego fotografa Maksymiliana Jankowskiego wykonane w 1958 r. i zatytułowane „inżynier”. Statek ten obecnie znajduje się w zbiorach pałacu w Wilanowie. To jednak co dla mnie najważniejsze i czemu dla mnie najbardziej wyjątkową osobą jest pradziadek, jest to z jakim poświęceniem wykonywał dla nas różne przedmioty zabawki wspaniałe drewniane miecze, różdżkę, czy pudełka na klocki kiedyś wydawały mi się blahe jednak dziś dostrzegam ich wyjątkowość miłość którą w nie włożył. Jestem dumny jako jego wnuk i dumny jako Polak.

## Łut szczęścia przydaje się w życiu

Michalina Pasierbska

Pamiętam, kiedy Dziadek Daniel opowiadał mi o swoim dzieciństwie. W sumie to Dziadek był szczęściarzem. Dzięki temu mogę opisać jego historię.

Pamiętki po Dziadku, które mi pozostały z czasów wojny to jego komunijne zdjęcie i świadectwo promocji do drugiej klasy wydane 4 lipca 1944 roku w języku niemieckim i polskim. Wspominał kiedyś, że lekcje odbywały się w masarni, bo na ścianach były kafelki i haki, jakby właśnie na mięso. Natomiast na maturę z chemii, którą zdawał już po wojnie, spóźnił się, bo komisja niespodziewanie zmieniła datę i nieświadomy niczego Dziadek wybierał się na basen. Mimo że miał tylko połowę czasu, zdał na dobry z plusem (a przynajmniej tak twierdził).

Podczas wigilii, które spędzaliśmy razem, pamiętam jak mój Dziadzio (bo tak mówił o sobie nasz Dziadek Daniel) opowiadał mi o swoich przeżyciach w czasie II wojny światowej. Dziadek pochodził z Tarnowa, z wielodzietnej (aż trzynastoosobowej!) rodziny. Gdy Niemcy zaatakowali Polskę, właśnie skończył cztery lata. Jedyne co pamięta z samego początku wojny, to bombardowanie dworca kolejowego, na którym stojące dla Wojska Polskiego wagony-cysterny wylatywały w powietrze. Późniejsze historie dzieją się już w latach 1943 – 1945, kiedy jego ojciec, czyli mój pradziadek Alojzy, cudem uciekł około tysiąc pięćset kilometrów z przymusowych robót w Niemczech i to w dodatku bez dokumentów! Nikt nie wie, jak mu się to udało. Wracając jednak do Dziadzia, każda z jego historii posiada nieprawdopodobny zbieg okoliczności, który uratował mu życie i dlatego ja dziś mogę żyć w Polsce, w Warszawie, którą Dziadek odgruzowywał na ochotnika w latach 50. XX wieku.

Dom, w którym Dziadzio mieszkał w Tarnowie, znajdował się około 100 metrów od getta. Jego sąsiadami była rodzina żydowska i nawet bawił się z jej dziećmi. Pewnego razu, do domu przyszli Niemcy, wygonili wszystkich na zewnątrz i ustawili jak do rozstrzelania. Jeden z żołnierzy postanowił wejść do środka i jego oczom ukazały się liczne święte obrazki, a w szczególności Matki Boskie. Wyglądało na to, że Niemcy „pomylili” domy. Odkrycie tego Niemca uratowało dalsze losy mojej rodziny. Później okupanci poszli do domu obok i niestety dokonali egzekucji na oczach mojego Dziadka.

Dziadek wspominał również historię z łapanki, w której uczestniczyli jego ojciec Alojzy i mój prapradziadek Jan. Niemcy pojмали ich, gdy przebywali na rynku tarnowskim. W czasie dwudziestokilometrowego marszu na północ od Tarnowa, przy drodze inni Polacy kopali szerokie i głębokie rowy przeciwczołgowe, by zarobić na jedzenie. Dziadzio Daniel podczas przerwy na drugie śniadanie, gdy spadła czujność Niemców, wpełchnął swojego dziadka do rowu, a potem ojca i szczęśliwym trafem leżały tam akurat trzy łopaty, tak, że mogli udawać robotników. Oczekali jakiś czas i w ten sposób uratowali się z łapanki. Jednak w czasie drogi powrotnej, Tarnów został otoczony kordonem i nie można było wejść bez dokumentów, których pradziadek Alojzy nie miał. Wymyślił, że rozetnie Dziadkowi piętę nożem i zawinie

w chusteczkę, żeby udawać przed starym Niemcem na rogatek, że niesie dziecko do lekarza, dzięki temu wyszli cało z opresji i wrócili do domu. W niedługi czas potem pradziadek Alojzy został aresztowany właśnie za brak dokumentów i do końca wojny Dziadzio był bez ojca. Po wojnie pradziadek wyszedł z więzienia, ale niestety chorował i wkrótce potem zmarł. Nieobecność Alojzego sprawiła jego mamie trudności w zdobywaniu jedzenia dla rodziny i w związku z tym, kiedy Dziadek miał siedem lat postanowił jej pomóc sprzedając gazety: Dziennik Krakowski, Krakauer Zeitung (po niemiecku) i Dziennik Polski. Oprócz tego w swojej torbie przynosił broń i amunicję dla Podziemia. Pewnego razu, kiedy jechał tramwajem, Niemcy zrobili rewizję i akurat wtedy Dziadzio miał w swojej torbie pistolet. Niepostrzeżenie wyrzucił go do kosza na śmieci, do którego Niemcy nawet nie zajrzeli i zachował zimną krew w trakcie przeszukania. Gdy jego „przełożonego” o pseudonimie „Jajo” (bo był łysy) zdradzono i rozstrzelano na podwórku, na którym Dziadek mieszkał, Gestapo postanowiło znaleźć osobę o pseudonimie „Listonosz”, czyli Dziadka, ale nie wiedzieli, że jest to kilkuletni chłopiec.

Mojego Dziadka Daniela pomimo trudnego dzieciństwa, które przypadło na czas II wojny światowej, nie opuszczało poczucie humoru, które jestem pewna, że po nim odziedziczyłam. Mówił na przykład (za Antonim Słonimskim) „Bóg mi powierzył humor Polaków”... Nasz Dziadzio lubił śpiewać piosenki, kołysanki, na przykład swojej córce, a mojej mamie śpiewał do snu „Ach śpij kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz - dostaniesz”. Pamiętam kiedyś śpiewał mojemu bratu i tulił go na kolanach, kiedy mały Paweł obraził się na mamę. Nie pamiętamy już nawet dłaczego, ale mamy nagrany filmik z dziadkiem, jak śpiewa.

Dziadzio zainspirował mnie do dalszych poszukiwań moich przodków. Otóż opowiadał mi o swoim pradziadku, Janie Fudyma, który był powstańcem styczniowym. Żeby uchronić się przed zesłaniem na Sybir, uciekł do Stanów Zjednoczonych i tam walczył w wojnie secesyjnej i zginął pod Gettysburgiem. W 1912 roku jego dziadek Jan otrzymał zaproszenie do Nowego Jorku, by odebrać medal za udział pradziadka Jana w wojnie między stanami północnymi i południowymi. Zaczęłam więc podążać śladami prapradziadka Jana. Tropy sięgają prawdopodobnie parafii Zalasowa diecezji lwowskiej i archiwów Polish Museum of America. Badanie genealogii rodzinnej jest dla mnie bardzo pasjonującą przygodą.

# Prapcia Lala

Antonina Kaja

Nigdy nie interesowała mnie historia moich przodków. Żałuję tego, że poznałam tę inspirującą historię Alicji Rzygalińskiej dopiero po jej śmierci. Prapcia zmarła, gdy miałam 6 lat, niewiele pamiętam z tego okresu. Jedynie przepiękny dom z jeziorem, zapach świeżej kawy, ale to nic w porównaniu do wspaniałości tej osoby.

Alicja cieszyła się zwyczajnym dzieciństwem. Urodziła się 7 czerwca 1928 roku w Łodzi, na Polesiu. Rodzina – Kolejarska. Ojciec, Piotr, pracownik kolei. Matka- Helena, nauczycielka, Był jeszcze brat, jednak nieszczęście sprawiło, że zginął w wieku 4 lat na zapalenie opon mózgowych, Alicja była zafascynowana śpiewem, teatrem, szydełkowaniem. Jednak najlepiej czuła się na deskach teatru młodzieży... Moja kochana mama do dzisiaj wspomina, jak prababcia przyśpiewywała w kuchni:

„Cztery córki miał tata, stary młynarz ze Zgierza, każda piękna bogata...” podczas robienia najlepszej czekolady na świecie. Kochała słodczyce, zwłaszcza lody waniliowe i kwiaty. Ponoć jej ogród był najpiękniejszym w całej wsi!

W roku 1942, potajemnie dzieci zostały wywiezione do fabryki w UM nad Dunajem. W tym obozie były produkowane bomby. Kobiety radziły sobie pomagając nawzajem oraz organizując różnego rodzaju koła zainteresowań, oczywiście tajnie, było to nie wątpliwie ryzykowne, lecz pozwoliło na zachowanie symulacji zabawy, w świecie przykrym. Trzy lata pod rozpoczęcia pracy Alicji, nazwanej wówczas Lala od jej pięknej urody w zakładzie nastąpiło bombardowanie. Zakłady zostały zniszczone a Alicja dostała odłamkiem w głowę, przez co zemdlła i straciła pamięć na dwa tygodnie. Po zakończeniu wojny Prababcia wróciła do domu. Z opowieści wiem, że radości nie było końca. Tymczasem w Łodzi na kwaterach przebywało wojsko z 2 Dywizji Kościuszkowskiej. W domu Rzygalińskich znalazł się Jan Łagowski - młody porucznik, który załatwił leki i wojskową pomoc medyczną dla Ali.

Życie zaczęło znowu wydawać się piękne, nasza bohaterka wróciła do teatru i wyleczyła się z chorób, a w roku 1947- ślub. Porucznik okazał się przystojniakiem i między młodymi zaiskrzyło uczucie. Po ślubie Ala wraz z mężem zaczęli jeździć na Poligony po całej Polsce, Alicja urodziła w tym czasie trójkę wspaniałych dzieci. Piotra-najstarszego syna w Toruniu, Ewę – w ino Wrocławiu. Oraz Kingę- moją ukochaną Babcie w Toruniu. Podczas poligonów do momentu rozpoczęcia nauki w szkole podstawowe mieszkali wówczas w kamienicy pełnej żon oficerów. Niestety nie zawsze było kolorowo- pewnego razu zapłakana kobietą z małym dzieckiem na rękach przybiegła do Babcy, okazało się, że chłopiec bawił się niedopałem leżącym na podwórku. Ładunek wybuchowy był tak silny, że w wyniku przypadkowego uruchomienia go wybuchł i zniszczył całe mieszkanie oraz zabił dziecko, które w wyniku urwania wszystkich kończyn i oparzeń trzeciego stopnia zmarło natychmiastowo. W międzyczasie Jan awansował na pułkownika, rodzina wyprowadziła się do Gniezna, gdzie wybudowali



przepiękny dom. Babcia miała swoją farmę i prowadziła wymarzone życie. Po latach, dzięki pomocy swojej córki Babcia odnalazła swoje przyjaciółki z zakładu UM i zebrała się na wyjazd do stowarzyszenia Centrum Tadeusza Kościuszki na odwiedzinę, gdzie powstała kronika o życiu dziewczyn z tego zakładu.

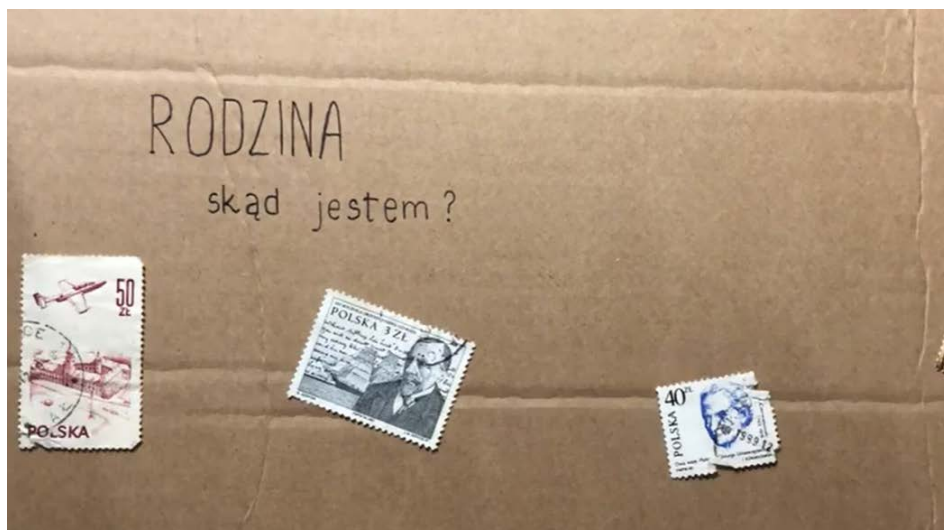
Lala przez wiele lat była idealną babcią dla mojej mamy, zaznaczała kwadracikiem wszystkie programy telewizyjne dla mojego pradziadka, głównie przyrodnicze. Oraz fioletowym kolorem – bajki dla mojej mamy. Prapcia zmarła w wieku 89 lat w swoim domu otoczona miłością i rodziną. 7 lipca 2014 roku.

Nawet nie wiem, jak ubrać w słowa moją wdzięczność za to, że mogę z dumą powiedzieć, że moja prababcia jest wzorem do naśladowania. Ciszę się, że mogę tak teraz o niej pisać i przekazywać tę historię może potem moim dzieciom. Uważam, że to naprawdę wyjątkowa historia i pisać o tym uroniła wiele łez. Kochana prababciu, dziękuję Ci za to, że byłaś. Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci.

222.

# Stąd jestem

Maria Ejsymont



[Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film](#)

## Stąd jestem

**Anna Paszko**

Gdy pytają mnie skąd jestem, mówię: „Tak daleko na wschód jak się tylko da. Na wschód od wszystkiego.”

Jeszcze do niedawna z pełną słuszością można było mówić, że nad Bugiem niewiele się dzieje. Przez większość życia tkwiłam też w przekonaniu, że żyliśmy tu zawsze tak jakby za kulisami wszelkich zdarzeń. Że historia pisze się gdzieś w większych i ważniejszych ośrodkach, a my tutaj to zaplecze Polski i świata. Stefankowice to mała i rzadko zaludniona wioska dwanaście kilometrów w linii prostej od koryta Bugu, a tym samym Granicy Państwa. Na dodatek z jakiegoś powodu podzielona administracyjnie na dwie jednostki: Wieś i Kolonię. Czy ktoś tam się kiedyś zastanawiał po co? Czy ktoś żywy wie, skąd się wziął ten podział? Czy to kogokolwiek, kiedykolwiek obchodziło? I czy ktokolwiek kiedyś zadał sobie pytanie: skąd nam się wszystkim wzięła ta chroniczna obojętność i poczucie, że dla reszty świata, równie dobrze, moglibyśmy nie istnieć?

Dziś pluję sobie w brodę, za każdym razem, gdy myślę o mojej babce, Józefie, która często, nieśmiało choć uporczywie próbowała zainteresować kogokolwiek historią miejsca, w którym spędziła całe swoje życie. Nigdy nie chciała się stamtąd wyprowadzić. Powtarzała, że starych drzew się nie przesadza. Raz żartobliwym tonem, a innym razem z pełną powagą. Całe swoje dzieciństwo, młodość, dorosłość i starość mieszkała tym samym miejscu, choć to jak ono wyglądało pod koniec jej życia, nie miało za pewne wiele wspólnego, z tym które pamiętała z lat dziecięcych.

Zwyrodnienie stawów biodrowych dopadło ją dość wcześnie. Nie pamiętam jej chodzącej bez wsparcia dwóch mocno różniących się od siebie budową i wydających specyficzny dźwięk kul. Widziałam ją stojącą o własnych siłach jedynie na zdjęciu. Było to zdjęcie, na którym trzymała na rękach mojego rocznego wtedy, starszego lata brata. Szeroki, ale zarazem łagodny uśmiech wyrażał szczere zadowolenia z posiadania kolejnego wnuka. Musiała mieć wtedy jakieś sześćdziesiąt lat.

Dobrze pamiętam dźwięk kul uderzających o podłoże. Zawsze w jednym, szybkim rytmie. Mimo, że nie była w stanie chodzić samodzielnie, chodziła szybko. Mimo niepełnosprawności, miała w sobie ogromne pokłady życia i witalności i dużo do powiedzenia.

Historia, której nigdy nie poświęcałam wystarczająco uwagi – a wystarczyło się wsłuchać i zadać kilka dodatkowych pytań – umarła razem z nią w 2011 roku. Ostatnie miesiące swojego życia spędziła w szpitalnym łóżku, a postępująca demencja stopniowo zamykała wrota skarbca jej pamięci. Od czasu do czasu miewała intensywne przebłyski dawnej świadomości i wtedy żwawo, pogodnie i bez śladu żalu opowiadała o pierwszej, utraconej miłości. Jak się okazało, była to sprawa niewarta zachodu, gdyż wybranek jej serca zdradził ją z inną, która na dodatek zaszła w ciążę. Akurat tej opowieści wysłuchałam z zaciekawieniem. Być może byłam wtedy nareszcie wystarczająco dojrzała, by zrozumieć wartość jej przekazu. Nabrałam ochoty na

więcej, lecz jak to zwykle bywa, było już za późno. Demencja odebrała jej resztki świadomości, a mi nie pozwoliła zadośćuczynić za grzech ignorancji.

Najbardziej fascynująca historia mojej babki, której nie wysłuchałam z uwagnością, dotyczyła wydarzeń, które miały miejsce tuż po wojnie, gdy komunistyczny reżim organizował Polskę na nowo. Żeby mniej więcej zrozumieć co się wtedy wydarzyło w jej życiu, muszę teraz szyc z resztek wspomnień i ogólnie znanych faktów historycznych.

Pamiętam, że kilka lat, a może miesięcy przed śmiercią, babkę Józefę odwiedził nieoczekiwany gość: krępy staruszek, ubrany w wysłużony, ale wciąż elegancki garnitur. W rękach miał równie wysłużoną aktówkę z brązowej skóry. Nie rozpoznała go. Nie miała szansy wiedzieć kim jest, dopóki się nie przedstawił jako Profesor Włodzimierz Bojczuk. W jednej chwili jej pomarszczona twarz rozpromieniła się jak u dziecka. W jednej chwili odzyskała cząstkę utraconego w młodości świata. Świata, o którym pamiętała tylko ona i o którym tak bardzo chciała komuś opowiedzieć.

Dziś mogę sobie tylko wyobrażać, jak wielka radość musiała zagościć w jej doświadczonym wszelkimi troskami i radościami z całego osiemdziesięcioletniego życia sercu. Profesor Politechniki Lwowskiej, Włodzimierz Bojczuk był jej ukochanym chrześniakiem, wypędzonym z rodzinnego domu wraz z całą rodziną w ramach masowych przesiedleń, w wyniku których ogromna liczba rodzin i polskich, i ukraińskich znalazła się nagle na obcej sobie ziemi. Jedni i drudzy zyskali nowe ojczyzny, tracąc całe dotychczasowe życie. Jedni w ramach zadośćuczynienia i z nadzieją na bezpieczną przyszłość wśród swoich, drudzy zaś ponosząc zbiorową odpowiedzialność za zbrodnię wołyńską.

Spośród wszystkich nostalgicznych opowieści babki Józefy jedna przewijała się wyjątkowo często. Wielokrotnie wspominała, że rzadko zaludniony, oddalony dziś o przynajmniej kilometr od szosy obszar zabudowań otoczony z jednej strony szczerym polem, a z drugiej lasem, był kiedyś tętniącym życiem centrum wioski. Po wojnie jednak, wszystkie domy zostały zburzone. Został tylko jeden. Ten, w którym żyła. Kilkaset metrów dalej, wzdłuż prowadzącej w głąb lasu polnej drogi mieściło się jeszcze kilka niewielkich gospodarstw. Dziś jest to wioska w wiosce, zamieszkiwana głównie przez starszych ludzi. Taki swoisty, mały i uroczy koniec świata.

Ani ja, ani nikt inny spośród członków mojej rodziny długo nie zaprzętał sobie głowy rozmyślaniami co stało się z całą resztą zabudowań i ludzi ich zamieszkujących. Wiedzieliśmy wszyscy z grubsza o przesiedleniach, o tym, że jeszcze długo po wojnie działały się rzeczy dla nas niepojęte, i że każda rodzina doświadczyła wtedy jakieś straty, traumy, czy dla odmiany cudu ocalenia. Nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy niczego szczególnego w opowieściach, których wartość uświadomiliśmy sobie dopiero gdy straciliśmy bezpowrotnie ich żywe źródło...

Babka zdążyła mi opowiedzieć, a ja na szczęście zdążyłam zapamiętać, że przed wojną w Stefankowicach mieszały tylko cztery polskie rodziny. Między innymi ona, jedynaczka, ponieważ jej młodsza o kilka lat siostra zmarła w wieku dwóch lat i jej rodzice. Resztę stanowiła mniejszość ukraińska, która dominowała na tych terenach. Było to dla nich zupełnie naturalne, że istniały między nimi różnice. Dwa różne języki i dwa różne wyznania. Wszyscy jednak żyli w symbiozie i wzajemnej życzliwości. Byli sobie przyjaciółmi i sąsiadami, a niekiedy nawet zapraszali się nawzajem do pełnienia honorów podczas rodzinnych uroczystości. Podczas gdy na obszarach oddalonych o zaledwie kilkanaście kilometrów od Stefankowic dochodziło do niewyobrażalnie okrutnych zbrodni, rodzina Burdzińskich ani razu nie musiała w popłochu uciekać przed żądnymi krwi i jakiegś bliżej niezrozumiałej, kolektywnej zemsty sąsiadami. Ci pozostali najwidoczniej niepodatni na skażenie banderowską nienawiścią. Za

każdym razem, gdy Babka wspominała swoich przedwojennych sąsiadów, na jej twarzy malował się nostalgiczny uśmiech, a wzrok wędrował gdzieś daleko. Nigdy jednak nie zapytałam jej o imiona jej przyjaciół z dzieciństwa ani o dzień, w którym zniknęli. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jak wielką tragedią musiało być ich najprawdopodobniej nagłe zniknięcie. Czy miała chociaż okazję, pożegnać się z najlepszą przyjaciółką? Czy zdążyły obiecać sobie, że się odnajdą i że jeśli się da, będą do siebie pisać? I co czuła i myślała, gdy burzono wyludnione domy, a te które zostały, przekazywano ocalałym z rzezi przybyzszom z za Buga? Ile czasu musiało minąć, żeby nowa rzeczywistość jakoś dała się oswoić? I jak bardzo wzruszający musiał być dla niej ten moment, gdy nieoczekiwany nieznajomy w podeszłym wieku okazał się być małym chłopcem, którego widziała ostatni raz kilka miesięcy po tym, gdy trzymała go do chrztu?

Ani w Stefankowicach, ani najpewniej nigdzie indziej w całej Polsce nie ma wielu, którzy byliby wolni od niechcianego dziedzictwa traum swoich przodków. Zapewne wszyscy jak jeden słyszeliśmy trudne do uwierzenia historie, o bolesnych a czasem też i radosnych momentach, jakie miały miejsce w czasach wojen i politycznych przetasowań. Może dlatego wydawały się one nam tak nieistotne? Może gdybyśmy zwrócili im zasłużoną istotność i wysłuchali od początku do końca tych, którzy chcieli zostać wysłuchani, może trochę więcej byśmy rozumieli dziś samych siebie?

224.

Pozakonkursowe wyróżnienie Jury Instytutu Staszica

## Józefa Błaszaka świadectwo

Eryk Błaszak



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

225.

## Stąd jestem

Klaudia Kiersnowska



Kliknij w zdjęcie aby odtworzyć film

226.

# Stąd jestem

Jacek Niemiec

—



# **Agnieszka Kowalska primo voto Konieczna domo voto Figas ur. 30 stycznia 1924 r. w Zacharzewie (†) 4 lipca 2005 r. – moja Babcia**

**Agnieszka Domańska**

Nie była nigdy „typową babcia” – taką przychodzącą do wnuków, kiedy rodzice mają wieczorne wyjście, czytającą wierszyki do snu, piekącą słodkie racuchy czy robiącą „najlepsze malinowe konfitury” świata, których smak jest smakiem dzieciństwa. Nie. I też po części wynikało to z tego, że moja pochodząca z Wielopolski mama „poszła za mężem” do Warszawy, zresztą na stołecznej uczelni zrobiła doktorat i pozostała tam pragnąc robić karierę naukową, natomiast Babcia Agnieszka (po której mam imię) pozostała w Ostrowie Wielkopolskim – tam, gdzie się urodziła i spędziła całe życie. Gdzie za własne, ciężko zarobione pieniądze w połowie lat 60. wybudowała swój dom! Kto nie pamięta tamtych czasów nie ma zielonego pojęcia, czym było postawienie wtedy domu przez prywatną osobę. Sprawą niezwykle trudno osiągalną, a to nie tylko ze względu na powszechny brak w społeczeństwie środków finansowych, ale dlatego, że wokół panowała „gospodarka niedoboru”. Niedoboru wszystkiego włączając oczywiście wszelkie materiały budowlane; z uwagi na planowanie, braki, przydzielanie i wydzielanie (głównie na potrzeby przedsiębiorstw i robót państwowych), kartki, niedomiary i domiary, wolny rynek nie funkcjonował i nie można było po prostu kupić cegieł, kupić cementu, kupić betonu, kupić farb i tak dalej. Piszę, gdyby ktoś urodzony po roku – powiedzmy – 1985 jeszcze się dziwił.

Wracając do Niej z mojego dzieciństwa: nigdy nawet nie pomyślałam, że czegoś mi w życiu z jej strony zabrakło lub brakowało. Żadnych babeczek, marmolady, ciasteczek czy kotleczków, których niepowtarzalny smak mogłabym teraz z rozrzewnieniem wspominać.

Babcia Agnieszka Kowalska była postacią inną, nieco odległą, a w moje życie wniosła wartości i pewien swoisty etos, z którego istnienia zdawałam sobie sprawę od dzieciństwa i od zawsze czułam, jak mocno splata się on z każdym moim myśleniem o Niej. Nie mogę więc górnolotnie powiedzieć, że w pełni pojęłam jego wagę dopiero po jej śmierci. Mogę natomiast powiedzieć, że w jakiś niewytłumaczalny sposób czuję, że Ona jest bliżej mnie teraz, właśnie teraz – kiedy jej fizycznie już nie ma, bo odeszła w 2005 roku (było to dosłownie w dniach, kiedy ja złożyłam doktorat, z którego Ona była bardzo dumna; szkoda, bo miałabym dla Niej teraz więcej czasu, tego wspólnie spędzanego, jakiego zawsze brakowało..) ...

Z perspektywy czasu myślę, że najważniejszy jest jednak etos: silna, niezwykle przedsiębiorcza, odporna na trudne do wyobrażenia w dzisiejszych czasach przeciwności i troski życia kobieta. Podejmująca wysiłki, codzienny znój, jakie byłyby dla mnie fizycznie nie do udźwignięcia,

z wielkim uporem i konsekwencją, które przyniosły efekty w postaci okazałego finansowego sukcesu na miarę czasu samego środka PRL-owskiego systemu. Systemu, w którym dobrobyt, domy, wille i materialne zaspokojenie należały się rzecz jasna tylko towarzyszom partyjnym, których Ona szczerze nie znosiła.

Moja Babcia Agnieszka (rocznik 1924), w czasie wojny jako młoda kilkunastoletnia dziewczyna działała w Armii Krajowej (do AK została przyjęta najprawdopodobniej w 1941 roku). Otrzymała pseudonim „Warkocz”. Była łączniczką i miała zadania właściwe dla tej funkcji, z którego to powodu była dobrze znana w podziemiu podokręgu Kalisz /Ostrów Wlkp. Wiem, że między innymi zaprzężonym w konia wozem przewoziła broń dla partyzantów pozostających w okolicznych lasach – musiała być bardzo odważna, bo karabiny, sprzęt i inne zaopatrzenie schowane były najczęściej w skrzyniach pod sianem. Wiem też, że za młodu była śliczna – miała gęste kruczoczarne włosy związane w dwa warkocze, czarne oczy i piękne kobiece kształty. I te dwa fakty spotykają się w opowiadaniu o tym, jak kiedyś przewożącą broń dla AK spotkał na polnej drodze niemiecki patrol. Przerażenie: co będzie, jak wytłumaczy się na gestapo jeśli dojdzie do przesłuchań, może tortur (?). W gardle suchy strach, paraliżujące zimno stresu, w głowie modlitwa, oczy i dusza widzące przed sobą najgorsze... i gdzieś nagle w tle: pomysł! Kobięca przebiegłość i intuicja – a może by tak go „wziąć na moje wdzięki”? A nade wszystkim zimna krew mimo gorących, ściśniętych strachem myśli. No i udało się „wziąć” hitlerowskiego żołdaka na uśmiechy, płonące policzki, umizgi, kokietyjne „strzelanie oczkami” i pewnie obietnicę nigdy oczywiście nieziszczonej randki zanim zabrał się za przeszukiwanie załadowanego po brzegi wozu.

W AK moja Babcia Agnieszka pozostała do końca wojny. Potem zresztą, po wojnie, nachodziło ją z tego powodu NKWD, trafiła na przesłuchanie do UB (historia tego przesłuchania mieści się w opowiadaniu poniżej – przyp. red). Była już wtedy młodą kobietą bez męża z dwójką dzieci mieszkającą w bardzo ubogim domu. Po wojnie moja babcia wyszła bowiem za mąż za Henryka Koniecznego. Jej małżeństwo, chociaż była bardzo w narzeczonemu Henryku zakochana, „rozpadło się jak domek z kart” – co przed samym ślubem wyróżyla podobno niedowierzającej absolutnie, bo zapatrzonej w wybranka Agnieszce jakaś lokalna wróżbiarka, która niestety i tym razem się nie pomyliła. Związek ten pełen był łez, alkoholowych ciągów męża i jego „eskapad z kolegami”, upokorzeń i głębokiego rozczarowania, które spowodowało, że po rozstaniu moja Babcia przez większość swojego życia pozostała sama. Z dwójką dzieci – Hanią i Wojtkiem, dla których postanowiła nie poddać się, choć zaczynała dosłownie „bez grosza”. Na szczęście w opiece nad nimi pomagała Jej matka, którą z opowiadań znam jako dobrą jak anioł „babcie Kasie”. Nawiasem mówiąc uwielbiałam opowiadania Agnieszki – te przedwojenne i wojenne historie, które przekazywała bardzo ciekawie, wartko, z reguły wesoło, czasem tylko z zadumą.



Sama więc przez kilkanaście godzin dziennie pracowała, by rozkręcić wymarzone ogrodnictwo – postanowiła bowiem zostać, jak dobrze pamiętamy to określenie, „badylarzem”. A za czasów PRL jak wiadomo owi badylarze byli jedną z niewielu grup zawodowych, która finansowo jak na tamte lata, tamte okoliczności, realia i społeczną „średnią” miała się całkiem nieźle. Bez patosu można powiedzieć, że Agnieszka rzuciła wyzwanie swojemu ubogiemu pochodzeniu, szarzyźnie, biedzie, bylejakości tamtych czasów, kiedy większość Polaków miało poczucie „braku perspektyw”. Sadziła pomidory i ogórki, kwiaty. Postawiła jedną, potem drugą szklarnię, wstawała podobno o 4:00 czy 5:00 w nocy, by jechać wozem na targ do Krotoszyna sprzedać wyhodowane warzywa, kupić sadzonki, zarobić trochę grosza, by potem inwestować, inwestować... A nade wszystko spowodować, by jej dzieci miały jak najlepiej, by nie czuły się gorsze z powodu braku ojca, by stać ją było na kupno wszystkiego co dla nich potrzebne. Godzinami wystawała przed cmentarzem na zimnie w Święto Zmarłych by sprzedać wyhodowane kwiaty. To były lata 50. i wczesne 60. Działała, mimo trudów, niewyspania i zmęczenia była bardzo aktywna, energiczna, wciąż bardzo towarzyska, lubiana i gromadząca wokół siebie grono znajomych i przyjaciół. Wstąpiła do Spółdzielni Ogrodniczej, w której prowadziła aktywną działalność umiejscawiając się we władzach różnego szczebla aż do władz naczelnych w Komisji Kobiet, z centralą przy ul. Wareckiej w Warszawie (obok Domu Chłopa, gdzie często nocowała będąc w delegacjach). Wkrótce poszerzyła działalność gospodarczą dobudowując kolejne szklarnie. Kupowała też działki. Postawiła wymarzony piętrowy dom.

Gdy była już dojrzałą ponad pięćdziesięcioletnią kobietą od losu dostała wreszcie prawdziwą miłość. Był to starszy od niej o dziesięć lat reemigrant, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – Klemens Kowalski (w którym podobno podkochiwała się jako nastolatka, a o którym słuch zaginął przez długie powojenne lata, kiedy to on zamieszkał w Kanadzie). Po śmierci swojej pierwszej żony Klemens postanowił wrócić w rodzinne strony, odnowił znajomość z Agnieszką szukając dawnych znajomych. W wieku 54 lat wyszła za niego za mąż.

Przynajmniej od lat siedemdziesiątych Agnieszka Kowalska zajmowała się opieką nad weteranami wojennymi z AK i ich rodzinami, również w ramach działalności Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, do którego należała i z którego wystąpiła będąc przyjęta do Światowego Związku Żołnierzy AK około roku 1991/92. W rodzinnych pamiątkach są pisemne opinie świadków ją rekomendujących i ilustrujące proces jej odejścia ze ZBOWiD



do ŚZŻAK, które też pokazują jej polityczny pragmatyzm – mianowicie wypowiedzenie członkostwa w ZBOWiD złożyła dopiero po otrzymaniu członkostwa w ŚZŻAK. Jak widać wiedziała, do której grupy chce naprawdę należeć, gdy już taki wybór był możliwy po przemianach w Polsce, ale nie chciała podejmować ryzyka pozostania samotną, bez środowiska. Od lat dziewięćdziesiątych Agnieszka Ko-

walska była więc aktywistką Światowego Związku Żołnierzy AK, dość często bywała w Warszawie na uroczystościach odbywanych przy pomniku w obszarze Cytadeli. Cały czas opiekowała się weteranami wojennymi i starszymi od niej AK-owcami. Warto też dodać, że przez całe życie była głęboko wierząca.

Na koniec pięknie i akuratnie byłoby napisać, że Babcia Agnieszka była i jest dla mnie wzorem do naśladowania! Ale to nie jest tak. Nie tak to czuję. Po prostu często o niej myślę. I szczerze podziwiam. Nie mogę pojąć, jak ona to wszystko udźwignęła, jak silna musiała być fizycznie i psychicznie, żeby w tych niełatwych czasach stawiać szklarnie, rozszerzać gospodarstwo, aktywnie działać w różnych środowiskach, przemawiać na zebraniach, by potem znów od wczesnego świtu tak ciężko pracować na lepsze jutro. Codziennie stawiając też czoła samotności – bez mężczyzny, bez wsparcia męża, które przecież każdej kobiecie jest tak bardzo potrzebne. Realizując każdego dnia na nowo swoją wizję, koncepcję, cel i pomysł na życie – nie dać się (!) w oczach świata nie być „tą, co to od niej facet odszedł”. Odnieść sukces i naprawdę coś znaczyć! Przyszedł i finansowy sukces, z którego jej dzieci i wnuki też oczywiście korzystały przez wiele lat, również po jej śmierci. I miłość. I pamięć. Wspaniale było Cię znać Babciu... patrz na nas, nadal się nami opiekuj i bądź zawsze blisko, kiedy chcemy z Tobą „rozmawiać”...

## **„Skrawki” z okresu okupacji (cztery historie: „Mięso”, „Niemka z niemowlęciem”, „Radzieccy „lotnicy”, „Aresztowanie Agnieszki przez NKWD”)**

Wszystkie prawdziwe, opowiedane przez samą Babcie, a przekazane mi w większych szczegółach przez moich Rodziców.

Agnieszka Figas w roku 1942 – będąc wieku 16 lat – wstąpiła do Armii Krajowej przyjmując pseudonim „Warkocz”.

### **„MIĘSO”**

Jak wiadomo, w czasie okupacji za „nielegalny” ubój swojego inwentarza groziła Polakom kara śmierci, względnie – więzienie lub wysyłka do obozu koncentracyjnego.

Pewnego zimowego dnia (w roku 1943 lub 1944) Agnieszka Figas składa nagłą wizytę wujowi Antoniemu Grzędzie (być może było to w ramach pracy łączniczki AK). Wuj Grzęda (daleka rodzina Agnieszki) prowadził przed wojną sklep rzeźniczy przy ul. Raszkowskiej w Zacharzewie (obecnie Ostrów Wielkopolski), który Niemcy mu formalnie odebrali, ale pozostawili byłego właściciela by tam pracował. W sklepie sprzedawano się Polakom mięso na kartki według przyznanych norm, a także był on miejscem zaopatrzenia dla samych okupantów. Młodziutka Agnieszka składa więc tę nagłą wizytę, a w domu wujostwa – wyraźny popłoch (!): naprędce myją podłogę, pootwierali okna choć zima na dworze, na środku izby stoi jeszcze jakiś szeroki zydeł, a pod nim.. kubel czy nieduża balia. Agnieszka stoi w przed-sionku w długim do kostek płaszczu zimowym nieco zaskoczona, a tu „łubu-dubu”(!) - żandarmi niemieccy wpadają na kontrolę, bo ktoś doniósł (mówiło się o Folksdojcu niejakim Wróblu), że „u Grzędów” uprawiają nielegalnie ubitą świnię.

Ciotka Helena Grzędowa zwraca się do Agnieszki: „A weźże siadaj wreszcie”! I posadziła ją na tym zydlu. Długie poły płaszcza osłaniają siedzenie i ukrytą pod nim balię z zawartością. Niemcy pokreśli się po domu, zajrzeli to tu – to tam: pod stół, pod łóżka, pootwierali szafy, zeszedli do piwnicy, przejrzyli komory... No – nic nie ma! Żadnych śladów świeżo ubitego świniaka, mięsa czy przetworów. Na koniec popatrzyli na siedzącą na środku pokoju ładną dziewczynę z długim warkoczem, coś tam zagadnęli (może na temat tych pięknych czarnych włosów..?) i poszli. Kiedy ucichły już na dobre ich kroki, ciotka Grzędowa zwraca się do gościa – „popatrz Agnieszka na czym siedziałś!”. Dziewczyna wstaje, a w tej balijce czy wiadrze: rąbanka ćwiartki świni i „lekkie” z wątroba. Działalność konspiracyjna mogła jak widać być nadzwyczaj skuteczna, nawet nieświadomie!

### **„NIEMKA Z NIEMOWLĘCIEM”**

Zima, przełom roku 1944/45. Od wschodu zbliża się front z armią radziecką (Ostrów został „wyzwolony” 23 stycznia 1945 r.). Szosą na zachód w stronę Krotoszyna uciekają grupki Niemców. Droga biegnie w odległości kilku metrów od domu babci Agnieszki, w którym mieszka ze swoją mamą Katarzyną (moją prababcią, której niestety nigdy nie poznałam – przyp. red) i starszym bratem Antonim (ojciec Stanisław Figas już wtedy nie żyje, zmarł na zawał serca jeszcze przed wojną). Od przechodzącej grupki odrywa się młoda kobieta niosąca przy piersi zawiniątko – podchodzi do obserwujących drogę Agnieszki i Katarzyny. Prosi

– może o wodę, może o pozwolenie przewinięcia płaczącego niemowlaka. Nasze kobiety patrzyły na szmatki, w jakie dziecko jest zawinięte, na przerażoną młodą matkę. Na dworze siarczasty mróz. Pomagają, a na odchodne dają Niemce dużą ciepłą poduszkę (pamiętajmy, że w tamtych czasach i okolicznościach taki przedmiot z praktycznego punktu widzenia stanowił majątek!), aby posłużyła Niemce dla owinięcia dziecka by w drodze nie zmarło z zimna. Obdarowana bierze i wybucha płaczem – „a myśmy Wam tyle złego zrobili!” mówi do naszych kobiet.

Ta Niemka, jeśli przetrwała drogę do kraju, dziś z pewnością już nie żyje. Ale to dziecko – jeśli jemu udało się przeżyć ucieczkę przed radzieckimi żołdakami – może pamiętać z opowiadań matki, jak Polki uratowały je od śmierci z zimna(?).

\* Obrazek równoległy – kilka miesięcy wcześniej, w okolicach czasu Powstania Warszawskiego, na jednej z ulic stolicy trwa „łapanka”. Esesman ustawia pod ścianą grupki zatrzymanych cywilów, przeznaczonych do transportu do Oświęcimia lub rozstrzelania. Wśród nich widzi młodą kobietę trzymającą na rękach i tulącą niemowlę. Po krótkim wahaniu wyciąga oboje z grupy, każąc uciekać jak najszybciej i nie odwracać się za siebie! To dziecko to kilkumiesięczny wtedy ojciec mojego męża – Wojciecha Sikorzaka, a młoda kobieta to jego Babcia – Janina, która zmarła wiele wiele lat później w już naprawdę wolnej Polsce.

### **RADZIECCY „LOTNICY”**

W tym czasie, gdy drogą na Krotoszyn uciekają grupki Niemców obserwowane przez Agnieszkę i jej mamę, w stodole ich gospodarstwa w głębi podwórza ukrywa się sześciu radzieckich „lotników”. To spadochroniarze – zwiadowcy zrzućeni za front w okolicach Zacharzewa. Nie powiodło im się. Jeden złamał nogę przy lądowaniu, pięciu pozostałych „na chodzie”, ale w opłakanym stanie: część choruje, mają gorączkę. Zostali znaleźni na polu za wsią (albo może sami dotarli do obejścia Figasów) i są ukrywani i żywieni przez Figasów w oczekiwaniu na swoich w zbliżającym się froncie (Babcia Agnieszka opowiadała, że trwało to około dwóch tygodni, pamiętała też imię i nazwisko ich dowódcy oraz imiona wszystkich – przyp. red). Front przyszedł, a owa szóstka „zaopiekowana” i w lepszym stanie poszła do swoich w radzieckiej armii (ciekawe czy nie ponieśli kary i czy nie przeszli śledztwa, że jak to się stało, że Polacy ich chronili? – przyp. red.)

### **ARESztOWANIE AGNIESZKI PRZEZ NKWD (LUB UB)**

Jest rok 1946. Po „wyzwoleniu” Ostrowa i zainstalowaniu się nowych komunistycznych władz zaczęto – jak wszędzie w Polsce – aresztować i przesłuchiwać osoby z AK, których dane pochodziły być może z przejętych archiwów, a może od jakiegoś miejscowego, wewnętrznego kolaboranta..., (?). Również Agnieszka Figas, pseudonim „Warkocz” została pochwycona, zaaresztowana i poddana śledztwu. Przesłuchanie prowadził jakiś oficer enkawudzista (Babcia kiedyś mówiła jak się nazywał, ale tego nie pamięta już nikt z mojej rodziny – przyp. red.). Krzyczał straszliwie, groził Agnieszce, straszył śledztwem... W odpowiedzi na to Babcia wspomniała, że wraz ze swoją mamą uratowały sześciu spadochroniarzy radzieckich: opatrywały rany, żywiły, opiekowały się chorymi... Oficer NKWD siadł za biurkiem, ułożył dłonie na czole i oczach tak, że patrzył na babcię przez chwilę poprzez poziome szpary między palcami. Zastanawiał się... Po chwili pyta: „jak to uratowałyście(?); my wiemy, że Wasi nie chcą nas tutaj, strzelają do nas”. Potem wyszedł z izby przesłuchań i nie było go dłuższy czas. Babcia czekała na jego powrót jak na wyrok. On wrócił i powiedział „wy swobodni”.